


BRIAN McCLELLAN



W
CIENIU
BŁYSKAWIC

— TOM I —
TRYLOGII MAGÓW
SZKŁA


fabryka słów
WARSZAWA

*Potężne rywalizujące ze sobą
rodziny, mordercze spiski,
epickie bitwy, niezwykle
postacie i magia.*

FONDA LEE

*Wciągająca, dynamiczna
i epicka*

JAMES ISLINGTON

Spoglądając na bajecznie piękny zachód słońca rozpościerający się nad cuchnącym, krwawym błotem pobojowiska, generał Demir Grappo zrozumiał, że woli towarzystwo żywych od zmarłych i przyjaciół od wrogów.

Sprzeciwiając się okrutnej tradycji, chciał zmienić świat na lepsze. Oglądając konsekwencje własnych decyzji, zrozumiał, że niczego nie da się zmienić. Tego dnia Demir Grappo, Książę Błyskawic, odszedł.

Spis treści

Karta tytułowa

Trylogia Magów Szklą

Mapy

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Epilog

Krótki słownik najważniejszych szkielec bożyc

Podziękowania

O Autorze

Karta redakcyjna

Okładka

BRIAN
McCLELLAN

W
CIENIU
BŁYSKAWIC

— TOM I —
TRYLOGII MAGÓW
SZKŁA

PRZEKŁAD
EDYTA ŁADUCH

fabryka słów®
LUBLIN – WARSZAWA

TRYLOGIA
MAGÓW SZKŁA

TOM I: W CIENIU BŁYSKAWIC

W PRZYGOTOWANIU:

TOM II TRYLOGII MAGÓW SZKŁA
TOM III TRYLOGII MAGÓW SZKŁA

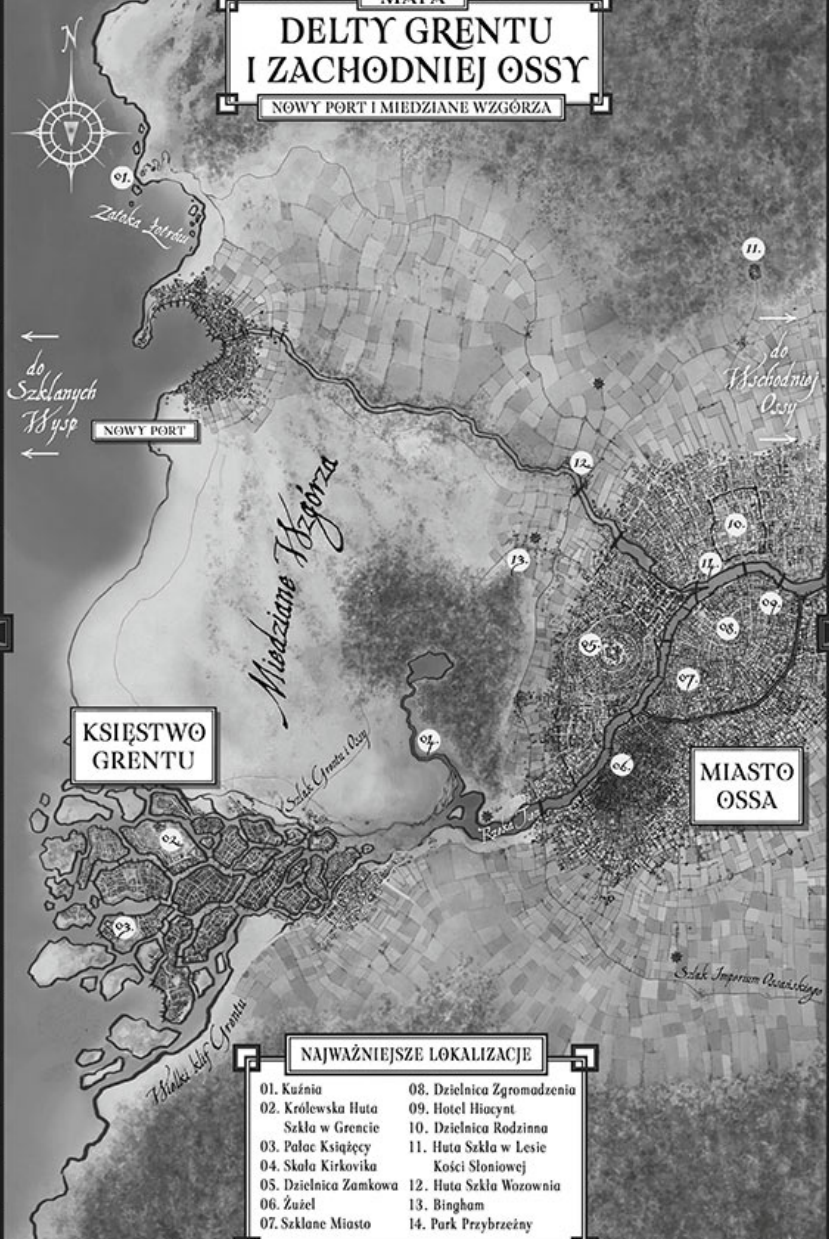
Dla C.A.

Wiesz, że to dla Ciebie.

MAPA

DELTY GRENTU I ZACHODNIEJ OSSY

NOWY PORT I MIEDZIANE WZGÓRZA



KSIĘSTWO
GRENTU

MIASTO
OSSA

NAJWAŻNIEJSZE LOKALIZACJE

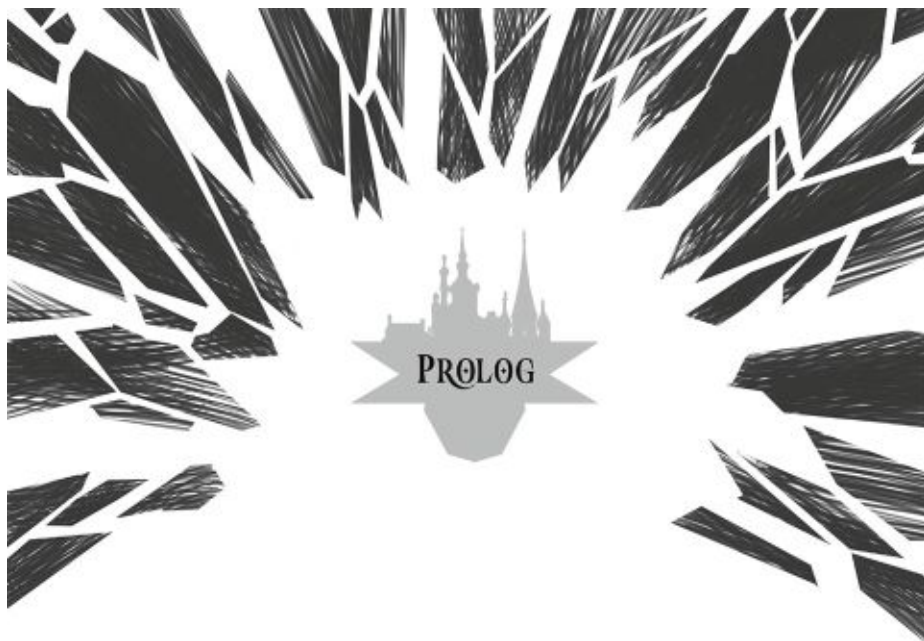
- | | |
|------------------------|-----------------------------|
| 01. Kuźnia | 08. Dzielnicza Zgromadzenia |
| 02. Królewska Huta | 09. Hotel Hiacynt |
| Szklarnia w Grecie | 10. Dzielnicza Rodzina |
| 03. Pałac Księżycy | 11. Huta Szklana w Lesie |
| 04. Skala Kirkovika | Kościół Słoniowej |
| 05. Dzielnicza Zamkowa | 12. Huta Szklana Wozownia |
| 06. Żużel | 13. Bingham |
| 07. Szklane Miasto | 14. Park Przybrzeżny |

Odległość w kilometrach

GŁÓWNY OBSZAR
**IMPERIUM
OSSAŃSKIEGO**



- | | |
|-----------------------------|-----------------------------|
| 1. OSSA I DELTA GRENTU | 5. HOLIKAN |
| 2. SZKLANE WYSPIY | 6. RZEKA TIEN |
| 3. PÓWYSEP
ŚPIĄCYCH PSÓW | 7. WYSPA STAREGO
MISTRZA |
| 4. EREPTIA | 8. GÓRY HALIFAX |



Słońce osuwało się powoli za góry, ostatkami sił oświetlając bitewne zgłiszcza, gdzie Demir Grappo przedzierał się mozolnie pod rubinowym niebem, upstrzonym chmurami przypominającymi macki płomieni niegasnącej kuźni. Sceneria ta godna byłaby uwiecznienia, gdyby nie rzeź rozpościerająca się we wszystkich kierunkach równiny. Demir utkwiał wzrok w zachodzącym słońcu, ignorując jęki i nawoływania umierających. Jego myśli zaprzętała kwestia wojskowego malarza. Zastanawiał się, czy w szeregach swej armii takowego by znalazł. Słyszał gdzieś, że inni ich mieli, więc jeśli okaże się, że im go brakuje, nie omieszka wystąpić o przydział.

Unióśł dłonie, układając palce niczym ramę obrazu, jak zwykli robić to pejzażyści, a jawiący mu się przed oczyma widok był wprost niebywały. Lecz gdy tylko opuścił złączone opuszki, jego wzrok uchwycił gwałtownie ciemniejące pole bitwy, którego widok daleki był od doskonałości.

Demir wyrósł na opowieściach o wojennej chwale, o bohaterstwie, ostatnich bastionach i zdziesiątkowanych szarżach

kawalerii; o niepokonanych Gromicielach w jaskrawych magicznych zbrojach, brutalnie torujących sobie drogę przez szeregi piechurów, podczas gdy tancerze szkła zalewali bitewne pole odłamkami błyszczącej krzemionki.

Owe wzniosłe relacje wyróżniała czystość, której rzeczywistości brakowało. Ni słowem nie wspominały o kłębach prochowego dymu czy odrażającym szlamie, mieszaninie błota i krwi, pod stopami. Żaden z jego guwernerów nie napomknął nigdy, choćby przypadkiem, o wrzaskach mężczyzn i kobiet, szlochających ze strachu, z powodu odniesionych ran lub za zmarłymi bliskimi. Z pewnością też nie przebacnęli nic o smrodzie.

Ani o krwi. Niewyobrażalnej ilości krwi nieustannie towarzyszącej tancerzom szkła.

W ciągu ostatnich siedmiu dni odniósł trzy potężne zwycięstwa i nie mógł zaprzeczyć, że przyglądanie się skrzętnie zaplanowanym bitwom przyprawiało go o tak gwałtowne bicie serca, jakiego nigdy wcześniej nie dane mu było doświadczyć. Widok rozgromionego wroga, huk wiwatujących żołnierzy – te elementy napawały trudną do opisanego ekscytacją. Ale to? Dla krążących po poboju medyków i kapłanów nie starczyło już blasku chwały.

Demir kontemlował przez chwilę bagnistą kałużę krwi pozostawioną przez kompanię żołnierzy poległych po ataku tancerzy. Wszędzie walały się wypatroszone ciała, resztki ludzi pociętych na strzępy przez miliony migoczących w słońcu odłamków. Ci, którzy ocaleli, przypominali manekiny z domu grozy, wrzeszczące w agonii do czasu, aż nie dotarli do nich sanitariusze z naręczem przeróżnych szkielec bożych kojących umysł, uśmierających ból i przyspieszających powrót do zdrowia.

Zastanawiał się, czy wszystko, co go otaczało, było w rzeczy samej jego dziełem. Wszak byli to żołnierze rebelii, a w wojennym chaosie nietrudno o utratę orientacji. W końcu skupił uwagę na jednej z rannych, młodej kobiecie siedzącej z zaciśniętym między zębami drogocennym, przynoszącym ulgę szkłem kojącym. Wpatrywała się w Demira z tak intensywną mieszanką przerażenia i obawy, iż zdał sobie sprawę, że instynktownie zakrył tatuaż na lewej dłoni, przedstawiający nakładające się na siebie trójkąty – symbol jego magii.

Guwernantka szkoląca go w szklanej sztuce walki oznajmiła mu przed laty, jakoby słuszne było, żeby tacy jak on stali ponad innymi. Uznawała to za niezwykle dar, który poza magiczną umiejętnością władania szkłem zapewniał mu również przewagę psychologiczną. Nigdy nie przestaną się go bać, wiedząc, że wystarczyłaby jedna jedyna myśl, by w gnieniu oka odebrał im tętniące w nich życie.

Dowody na owo twierdzenie jawiły się tuż przed jego oczami – setki mężczyzn i kobiet, pociętych na strzepy. Mieli powody, aby się go obawiać. Minione dni spędzone na polu walki po raz pierwszy z taką ostrością uświadomiły mu niszczycielską moc, jaką władał, i wywołały lęk nawet w głębi jego własnej duszy. Czy z czasem do tego przywyknie? Czy śmierć mu zobojętnieje? Miał wszak zaledwie dwadzieścia lat, a ta kampania była jego pierwszą. Zahartuje się? A może już zawsze będzie go to napawać obrzydzeniem?

Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby przywrócić mu spokój. Sztab oficerów Demira nie dostrzegł jeszcze jego nieobecności, miał więc chwilę tylko dla siebie, nie licząc zmarłych, rannych oraz personelu opiekującego się jednymi i drugimi. Żywi omijali go szerokim łukiem, ledwie zdawali sobie sprawę, że zdobiony czarny mundur połączony z krzemowym symbolem mógł oznaczać tylko jedno. Mogli nie rozpoznać twarzy – nieliczni przecież kojarzyli go jako generała Grappa, dowódcę tancerzy szkła – potrafili jednak połączyć fakty.

Szczerze tego nienawidził. Dlaczego nie mogli cieszyć się ze zwycięstw, które dla nich wywalczył, miast skupiać się na śmiertelności magii, o którą nigdy nie prosił?

Wreszcie jego wzrok przykuła znajoma postać. Porzucił bezcelowe rozważania i podążył w jej kierunku. Minął medyka podającego rannej żołnierce kawałek białego szkła bożego o wielkości i kształcie hufna.

– Trzymaj go w zębach, aż ból minie – poinstruował ją, zerkając na Demira, jak gdyby wszystko to było jego winą. Z rany na brzuchu kobiety wystawała część bebechów. Za kilka godzin z pewnością będzie już martwa, lecz kojąca magia szklanego odłamka niewątpliwie ulży jej w umieraniu. Nie zastanawiając się zbyt długo, Demir spróbował wyczuć ten niewielki fragment szkła

kojącego swymi zmysłami, natrafił jednak na coś zimnego i niedostępnego. Tylko szkło boże nie ulegało mocy tancerzy.

Wyrzuciwszy z głowy sanitariusza i jego konającą pacjentkę, Demir podszedł do mężczyzny klęczącego na niewielkim skrawku gołej ziemi, istnej wysepce pośród oceanu krwawych zwłok. Na tyle dobrze znał tego osobnika, żeby wiedzieć, iż z pewnością nie pochłaniała go modlitwa. Przed i po każdej bitwie oczyszczał on umysł. W każdym razie tak zwykł to nazywać. Demir żałował, że większość żołnierzy nie stosuje podobnych praktyk.

Idrian Sepulki był człowiekiem masywnym. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, skórę ciemną niczym węgiel, szerokie ramiona i nogi silne jak pnie drzew. Nosił niezwykłą zbroję Gromicielei, której nachodzące na siebie warstwy tworzyły mozaikę niezliczonej liczby wysokorezonansowych szkieł bożych, z czego akcenty szkła kojącego uśmierzały ból, żółte pasma szkła mocy zwiększały siłę oraz szybkość wojownika, a drobinki fioletowego szkła rozumu pobudzały umysł. Dominował jednak ciemnoniebieski odcień szkła młota, wytrzymalszego od stali, czyniący pancerz niemalże niezniszczalnym. Deltoidowa tarcza i ogromny bastardowy miecz, inkrustowane przeróżnymi bożymi odłamkami, znajdowały się na ziemi tuż obok niego, pokryte skorupą zastygłej bitewnej krwi. Hełm zaś ozdobiły dwa przylegające do stali rogi, wykonane z najtwardszego ze szkieł, uformowane na kształt baranich, od których wziął się jego przydomek – Taran.

Skutki uboczne skumulowanej magii tak dużej liczby szkieł bożych nazywane były pospolicie trądem i w kilka minut mogły wywołać chorobę u zwykłego człowieka, a po paru godzinach doprowadzały do zgonu. Idrian był jednak Odpornym – jednym z tych rzadko spotykanych osobników niemal niewrażliwych na trąd. Wszyscy Gromiciele nimi byli, inaczej nie pożyliby długo. Demir zerknął na grzbiet swej dłoni, gdzie na skórze rozkwitała już połyskująca łuska. Tym właśnie objawiał się szklany trąd, powodowany intensywnym wystawieniem na działanie któregośkolwiek z magicznych szkieł. W przypadku Demira chodziło o szkło rozumu, niezbędne do planowania i dowodzenia armią, dlatego też powłoka ozdabiająca jego rękę przybrała fioletowy odcień. Jeśli zignoruje pierwsze oznaki, miejsce stwardnieje i na stałe

przyłgnie do skóry, tworząc coś na kształt rybich łusek. By temu zaradzić, zmuszony będzie przez kilka dni rozsądnie obchodzić się z magią.

– Gromicielu Sepulki – przywitał go Demir. Idrian uniósł lewą powiekę i, dostrzegłszy dowódcę, zaczął podnosić się z klęczek, lecz ów powstrzymał go machnięciem ręki. – Nie, nie chciałem ci przeszkadzać.

– W niczym mi nie przeszkodziłeś, panie – odpowiedział Idrian głębokim, wibrującym basem. – Oczyszczałem tylko umysł z przemocy. – Otworzył prawe oko, ujawniając fioletowe szkło rozumu, z którego zostało ono onegdaj wykonane. Przed kilkoma tygodniami Demir rozpytywał o nie parę osób, lecz nikt nie był w stanie zdradzić, od kiedy Sepulki je ma ani jakim cudem jeszcze go nie zabiło. Słyszało się czasem o ludziach umieszczających magiczne szkła w swych ciałach, było to jednak szalenie niebezpieczne, nawet dla Odpornych.

– Twoja praktyka brzmi dość rozsądnie – zauważył Demir. – Ja rozkoszowałem się tym imponującym zachodem słońca.

Idrian przeszył go niepokojącym, na wpół fioletowym spojrzeniem. Nie było w nim jednak strachu, co Demir przyjął z dozą wdzięcznością. Przynajmniej on jeden z całej armii uważał go za kogoś więcej niż potwora. Z drugiej strony Gromiciele byli w rzeczy samej niczym więcej niż opłacanymi przez państwo maszynami do zabijania, a tylko siła mogła zrozumieć siłę.

– Zachód dziś, w rzeczy samej, może zachwycić, panie. Przyjmij moje gratulacje z powodu zwycięstwa.

Demir skinął nieznacznie. Wszak przeszła mu przez głowę myśl, czy przypadkiem Idriana nie irytuje nazywanie „panem” kogoś o połowę młodszego. Nie było jednak sensu roztrząsać teraz tej kwestii.

– Przypuszczam, że tak właśnie powinno wyglądać zwycięstwo.

– Wróg zmiażdżony. Niedobitki uciekły w góry. Bezbronny Holikan stoi przed nami otworem. – Idrian z rozmysłem pokiwał głową. – Tyle mi przynajmniej wiadomo. Lecz ty, panie, dysponujesz pewnie dokładniejszymi informacjami.

– Wręcz przeciwnie, wiem tyle, ile i ty wiesz.

– W takim razie, panie, może wiesz, gdzie powinienem szukać swego batalionu? – prychnął Idrian.

Demir zadumał się przez chwilę, przeglądając w myślach zbiór tysięcy rozkazów wydanych w ciągu ostatniej doby. Nie miał zwyczaju śledzić poszczególnych batalionów, tyle że Idrian należał do Stalowych Taranów, dowodzonych przez wuja Demira, Tadeasa. Był to najlepszy oddział inżynierii w całym Imperium Ossańskim. W normalnych okolicznościach Idrian walczyłby wraz z nimi, ale plany Demira na tę bitwę wymagały dodatkowego Gromiciela.

– Jeszcze nas nie dogonili – odparł w końcu. – Zdaje się, że nadal wysadzają mosty na rzece Tien. – Zmarszczył brwi. – Skoro już o nich mowa, powinniśmy kogoś do nich posłać, żeby poinformować o zwycięstwie. Wojna skończona. Nie ma sensu niszczyć tego, co nie wymaga zniszczenia.

– Racja, panie. Czy to ja mam przekazać im ten rozkaz?

– Aż tak ci do nich spieszo?

– Są moimi przyjaciółmi, panie. Byłbym spokojniejszy, gdyby towarzyszył im Gromiciel.

– Rozumiem, lecz muszę odmówić. Zostań ze mną jeszcze trochę. Przynajmniej do czasu, aż upewnimy się, że wróg już na nas nie czyha. Wyślemy posłańca i dopilnuję, abyś wkrótce dołączył do swych towarzyszy.

– Dziękuję, panie. – Zamilkł na chwilę. – Mogę coś rzec?

– Tak, proszę.

– Żołnierze zaczęli nazywać cię Księciem Błyskawic, panie. Pomyślałem, że wolałbyś o tym wiedzieć.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Demir smakował ów przydomek na języku. – Czyżby to był przytyk w związku z moim młodym wiekiem, czy może pochwała za szybkość mej kampanii?

Idrian zawahał się ciut za długo.

– No dalej, bądź ze mną szczery.

– Myślę, że z obu tych powodów.

Demir zaśmiał się szczerze.

– Podoba mi się – przyznał.

Książę Błyskawic. Większość znamienitych osobistości dopiero w kwiecie wieku mogło spodziewać się tego typu wyróżnienia. Mamrotał ten przydomek pod nosem, delektując się

jego brzmieniem. Dzięki temu niemalże zapomniał o krwi przesiąkającej buty. Może uda mu się do tego przyzwyczaić. Może uodporni się na zabijanie i nakazywanie tego innym.

Wzdrygnął się. Nie. Ważniejsze od bycia tancerzem szkła czy generałem było dla niego pełnienie funkcji polityka. Dowodził tą kampanią z racji zaistniałych okoliczności, z racji przypadku, i w ciągu kilku dni zamierzał wrócić do swej prowincji, gdzie będzie mógłby zostawić za sobą rozlew krwi i skupić się na pomocy ludziom.

Idrian wyprostował się, górując nad Demirem o ponad dwadzieścia centymetrów.

– Zdaje mi się, że szuka pana pański sztab.

Demir zerknął w stronę wskazywaną przez Idriana i dostrzegł niewielką grupę zbliżającą się konno. Była to osobliwa mieszanka ossańskich łączników politycznych przybyłych, aby nadzorować negocjacje z wrogiem, oraz doświadczonych oficerów wysłanych, by upewnić się, że młody, bezczelny generał nie poniesie sromotnej klęski podczas pierwszej kampanii. Uśmiechali się do niego niczym szaleńcy zbiegli z psychiatryka. Mógł dostrzec w ich oczach tłącą się nadzieję na zdobycie prestiżu, ziemi i wyróżnienia za sprawą jego zwycięstwa. Zupełnie mu to nie przeszkadzało. Miał świadomość, że dzielenie się zasługami oznaczało, iż będą wobec niego lojalni. Byli dla niego niczym asy, które trzymał w rękawie, żeby ich użyć, gdy zajdzie taka potrzeba.

Przez moment błędził wzrokiem po zgromadzonych, notując w myślach, kto może przydać mu się w przyszłości, kto może sprawiać kłopoty, a o kim można właściwie zapomnieć. Tavrish Magna był wielkim, brzuchatym żartownisiem o niewielkich ambicjach politycznych. Helenna Dorlani nieustannie knuła za plecami Demira, bez wytchnienia i z subtelnością kompanii kirasjerów podważając jego autorytet, zaś jej kuzyn Jevri ochoczo przyjmował od Demira łapówki w zamian za informowanie o jej poczynaniach. Trzem członkom małej rodzinnej gildii Forliów przekupstwem udało się wkraść do jego sztabu i to właśnie oni mieli zyskać na tej kampanii najwięcej. Z kolei Jakeb Stavri poszedł o zakład z członkami Zgromadzenia, obstawiając rychłą porażkę Demira, czekała go więc utrata setek tysięcy ozzo, a wnioskując

z malującej się na jego obliczu miny, miał już tego pełną świadomość.

Tworzyli osobliwą grupę, zarówno pod względem personalnym, jak i politycznym. Byli wijącymi się u jego stóp podstępnyimi zmijami, z których każda mogła go w dowolnej chwili ukąsić. Zachowanie ostrożności było w jego przypadku wskazane nawet w obliczu zwycięstwa, a to na wypadek gdyby któryś z tych parszywców zdecydował się zwrócić przeciwko niemu dla własnych korzyści.

Jegomościem stojącym na przedzie był zaś Capric Vorcien, przyjaciel Demira, którego ten sprowadził na kampanię, by ochraniać go przed tą zdradziecką zgrają. Capric był wysokim, szczupłym mężczyzną po dwudziestce, o czarnych włosach i oliwkowej cerze rodowitego mieszkańca Ossy. Na jego prawej ręce widniał tatuaż przedstawiający odwrócony trójkąt przecięty liniami pustynnych wydm, za którymi zachodziło słońce – krzemowy symbol rodzinnej gildii Vorcienów. Uroczyście zasalutował Demirowi, po czym zeskoczył z konia.

– Niech żyje zwycięski Grappo! – zawołał. Pozostali powtórzyli za nim, z różnym entuzjazmem. Demir wpatrywał się w grupę, wciąż oceniając każdego z osobna i starając się dostrzec tajemnice ukryte w ich duszach. Podobnie jak u żołnierzy, pod warstwą radości z wygranej bitwy krył się w nich strach. Wszak ilu tancerzy szkła należało do korpusu oficerskiego? Niewielu. Capric wydawał się jedynym, który nie obchodził się z Demirem jak z jajkiem. – Cóż to była za nieprawdopodobna bitwa – pochwalił przyjaciela.

– Zadowolająca – przyznał Demir. – Zaskoczyło mnie jednak to kontruderzenie dragonów.

– Ale i tak ich rozgromiłeś. A niech cię szkło, człowieku, nie bądź taki skromny! – Capric chwycił go za rękę i przyciągnął, obdarzając uściskiem, podczas którego wyszeptał: – Spójrz w lewo. Jeśli nadal pragniesz wprowadzić w życie swój kolejny plan, to jest właśnie ku temu idealna okazja.

Wzrok Demira padł na nieznaną mu trio: kobietę w średnim wieku, o blond włosach typowych dla wschodniej prowincji, i towarzyszących jej dwóch strażników. Cała trójka wyglądała na

zmizerniałych i pokonanych. Odsunął się od Caprica i gestem wskazał na grupę.

– Co to za jedni? – zapytał głośno, choć doskonale wiedział, kim byli.

– To burmistrzynie Holikanu. Przybyła, aby się poddać. – Na gest Caprica kobieta podeszła do Demira z rękami wyciągniętymi w błagalnym geście, a następnie opadła na kolana, przyciskając twarz do ziemi.

– Oddaję miasto Holikan w twe władanie – powiedziała bez emocji. – O nic nie proszę, pragnę jedynie zaoferować swe życie w zamian za życie mych poddanych. Nie zasłużyli na gniew Imperium.

Demir mrugnął do niej porozumiewawczo. Oto nadszedł następny, kluczowy etap jego politycznej kariery. Szczegółowo omówił ten moment z Capricem, a mimo to i tak odczuwał zaskoczenie. Tuż za korzącą się przed nim burmistrzynią Helenna Dorlani wyciągnęła krótką, srebrną lancę i trzymała ją zwróconą głowicą w kierunku Demira. Tradycja nakazywała przyjęcie kapitulacji i przebicie szyi burmistrzynie rytualną bronią, dokonując natychmiastowej egzekucji. Bądź co bądź była rebeliantką, powstańczynią i zdrajczynią Imperium. Demir rzucił okiem w stronę Idriana. Wizja tak bezpośredniego, sformalizowanego rozlewu krwi zachwiała trochę jego pewnością siebie, lecz Gromiciel nie przyszedł mu z pomocą, a cofnął się nieznacznie, dając do zrozumienia, że żołnierze nie powinni brać udziału w tego typu wydarzeniach.

Demir odebrał lancę z rąk Dorlani i odwrócił się ku Capricowi, ale ten wzruszył tylko ramionami. Znał myśli przyjaciela. Wiedział, że nie zamierza on podporządkować się przestarzałej tradycji tylko po to, by zadowolić Zgromadzenie. Demir machnął lekko lancą, po czym z namysłem uderzył rękobjęścią o lewą dłoń.

– Wstań – rozkazał.

Burmistrzynie spojrzała na niego, a potem na pozostałych zebranych. Wydawała się zmieszana faktem, że jeszcze nie odebrano jej życia. Demir wbił lancę w ziemię, ostrzem do dołu, a następnie wsparł się o nią, chwytając kobietę pod ramię i stawiając ją na nogi. Chwilę później wyciągnął do niej rękę.

– Dobry wieczór. Jestem Demir Grappo.

Kobieta wpatrywała się przez moment w jego drugą dłoń, a dokładnie w widniejący na niej symbol tancerza szkła. A potem uściśnęła tą wyciągniętą.

– A ja Myria Forl, burmistrzynie Holikanu. – Zawahała się, po czym dodała: – Dużo o panu słyszałam, panie Demirze Grappo.

– Same dobre rzeczy, jak miemam.

Przytaknęła.

– Co sprowadza cię w te strony, panie? Wszak jesteś gubernatorem ziem oddalonych o dwie prowincje stąd. Politykiem, a nie wojownikiem.

– Wojownikiem? – Demir roześmiał się i wskazał kciukiem na Idriana. – On jest wojownikiem. Ja miewam co najwyżej niezłe pomysły. Zdradź mi proszę, Myrio, czego byś sobie życzyła?

– Słucham?

– Przed siedmioma miesiącami ogłosiłaś niezależność tych terenów od wpływów Imperium Ossańskiego. Pokonałaś dwie armie, zaskarbiłaś sobie wsparcie całej prowincji i z tego, co mi wiadomo, zanim się tu pojawiłem, cholernie dobrze sobie radziłaś. Rebelia rozkwitała z dnia na dzień. Mimo to nadal tytułujesz się burmistrzynie.

– Bo nią właśnie jestem – odparła z niedowierzaniem.

– A więc nie chodziło ci o przejęcie władzy? Nie mianowałaś się cesarżową Holikanu?

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Ogłosiłam niepodległość, ponieważ Ossa traktuje nas jak prowincjuszy. Nie dano nam równych szans. Chcemy sprawiedliwych podatków, uznania władzy lokalnych sędziów i...

Demir przerwał jej łagodnie.

– Wiem, wiem. Zapoznałem się z twymi postulatami. Ze wszystkimi osiemdziesięcioma siedmioma. Chciałem po prostu zasięgnąć informacji u źródła.

Usłyszawszy znaczące chrząknięcie, odwrócił się i spostrzegł, że Helenna Dorlani wydobyla z ziemi srebrną lancę, wytarła grot i ponownie wyciągnęła ją ku niemu.

– Generale Grappo, zgodnie z tradycją powinieneś przelać krew przywódcy rebeliantów, a następnie zdziesiątkować miasto. – Wyglądała na zdezorientowaną. Jej wzrok powędrował w stronę

znaku na jego lewej dłoni, jakby się zastanawiała, dlaczego tancerz szkła nie zdecydował się jeszcze na zabicie klęczącej przed nim kobiety.

Demir zignorował ją i spojrzał w kierunku miasta, gdzie wraz z zapadającym zmrokiem zapalano już latarnie. Potrafił wyobrazić sobie przerażenie tych wszystkich ludzi, będących świadkami ucieczki ich armii i świadomych tradycji Imperium Ossańskiego.

– Zdziesiątkować – mruknął. – Zmusić całe miasto do ciągnięcia losów, a następnie do zamordowania co dziesiątego z ich pobratymców. Bez żadnej litości wobec dzieci czy osób niedołączych. Brzmi to dość nieprzyjemnie.

– I takie musi być – upierała się Helenna. – To kara.

– Za co? Za to, że chcą być traktowani jak obywatele we własnym kraju? – Prychnął. – Nie sądzę, by była to kara adekwatna do przewinienia. Co więcej, nie pozwolę na to.

– Ale... – zająknęła się Helenna. – Ale musisz! – Odwróciła się w stronę Caprica. – Powiedz mu, że musi przestrzegać tradycji.

Demir nie dopuścił, żeby przyjaciel odpowiadał w jego imieniu.

– Gdzie niby widnieje taki zapis? – zapytał lekceważąco. – Odpowiedź brzmi: nigdzie. Może i jestem młody, ale w wieku czternastu lat zostałem gubernatorem prowincji. Jest różnica między prawem a tradycją, a ja znam prawo równie dobrze jak swój krzemowy symbol. – Podniósł prawą dłoń, ukazując tatuaż w kształcie odwróconego trójkąta, z błyskawicami rozchodzącymi się od koła znajdującego się pośrodku. Świadczył o przynależności do rodzinnej gildii Grappów i wraz z drugim tatuażem Demira, znakiem tancerzy szkła widniejącym na jego lewej ręce, stanowił symbol prawdziwej władzy w Imperium. Wziął głęboki wdech. – Burmistrzynie, czy oddaje pani Holikan pod opiekę Demira Grappa działającego w imieniu Imperium Ossańskiego?

Myria Forl przez chwilę uważnie mu się przyglądała.

– Tak.

– Doskonale.

Wypowiedziane słowa nie zdążyły jeszcze wybrzmieć, a Capric już wyjmował coś z torby przy siodle. Tym czymś była czarno-karmazynowa peleryna, którą z powagą rozwinął. Demir

poczuł, że na jego twarzy mimowolnie pojawia się uśmiech, a serce przyspiesza biegu. Zwycięska peleryna była kolejną oznaką tradycji, pełną przepychu i głupoty, mającą na celu jedynie pochlebstwo. A szkło z tym! Zasłużył na nią, delektował się więc chwilą, podczas której Capric nałożył ciężką tkaninę na jego ramiona, a następnie zapiął złotą klamrę, kończąc ceremonię złożeniem pocałunku na jego lewym policzku i uroczystym ukłonem.

– Dobra robota, Księżę Błyskawic.

Na dźwięk tego nowego tytułu, wypowiedzianego w oficjalnych okolicznościach, włoski na karku Demira stanęły dęba. Zachował jednak kamienną twarz i jedynie skinął Capricowi, po czym oznajmił:

– Odtąd miasto Holikan znajduje się pod moją protekcją. Ludzie ci nie są już rebeliantami, lecz naszymi kuzynami, i tak właśnie będziemy ich traktować!

Zgromadzeni wpatrywali się w niego ze zdziwieniem. Żadnemu z nich nie przysłoby do głowy sprzeciwić się generałowi, a już na pewno nie tancerzowi szkła, wiedział jednak, że każde z nich z wściekłością układa w głowie treść listów z planem wysłania ich do stolicy.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – wyszeptała Myria.

– Jestem nie tylko obywatelem Ossy, ale i gubernatorem prowincji. Moi ludzie skarżą się na to samo co twój, warto więc, bym poruszył tę kwestię na zebraniu Zgromadzenia – odpowiedział cicho.

– Masz świadomość, że nie będą z tego powodu zadowoleni?

– Zgromadzenie składa się z bandy obrzydliwie bogatych lizodupów. Wiem to, bo jestem jednym z nich. Nigdy nie jesteśmy zadowoleni.

– Jesteś szalony, chcąc się im przeciwstawić.

– Szaleństwo od geniuszu dzieli jedynie skala sukcesu. Poza tym... – Demir zerknął na otaczające ich pobojowisko. Widok przyprawiał go o mdłości. Tęsknił za swą prowincją i pragnął powrotu do domu. W ciągu ostatniego tygodnia dowiedział, że świetnie sobie radzi podczas wojny, wolał jednak spokojne zarządzanie; spędzanie całych dni na sumiennym oliwieniu rządowych trybików i całych nocy w objęciach namiętnych kochanek. Zadumał się przez chwilę. Większość jego rówieśników była zajęta uczęszczaniem na

uniwersytet, szukaniem seksu i łożaniem kolejnych drinków. Zastanawiał się, jak by to było choć raz móc poleniuchować. Nie dane mu było doświadczyć tego osobiście. – Zdałem sobie sprawę, że wolę towarzystwo żywych od zmarłych i przyjaciół od wrogów.

Demir obejrzał się przez ramię, dostrzegając stojącego za nim Idriana. Potężny Gromiciel przybrał zamysłony wyraz twarzy i spoglądał w dal, trąc sztuczne oko. Demir był ciekaw, czy mężczyzna zgodziłby się z nim w tej kwestii. Pewnego dnia go o to zapyta.

– Gromicielu Sepulki – podjął Demir. – Oddaję burmistrzynie pod twoją opiekę. Zadbaj o jej bezpieczeństwo, dopóki nie uporamy się z całym tym syfem, dobrze? – Idrian skinął w milczeniu głową. – Doskonale.

Demir wsunął rękę do specjalnej, wyściełanej korkiem kieszeni munduru i wyciągnął z niej długi na cal kawałek szkła rozumu w kształcie łyżki. Na końcu trzonka znajdował się haczyk, który mężczyzna wsunął przez jedną z dziurek w płatku prawego ucha. Była to dość powszechna odmiana szkła, służąca do wzmacniania naturalnych zdolności umysłu, co czyniło ją wyjątkowo popularną wśród sklepikarzy, oficerów, polityków i nie tylko. Jej silnie rezonujące odmiany, te najlepszej jakości, mogły jednak doprowadzać noszące je osoby do szaleństwa. Demir nie znał nikogo innego o umyśle wystarczająco silnym, by z nich swobodnie korzystać.

Magia odłamka zadziałała momentalnie. Ledwie wyczuwalny szum i wibracje wkradły się do mózgu i przyspieszyły bieg myśli, pozwalając na wizualizację rozgałęziających się możliwości najbliższej przyszłości. Wykonywał obliczenia z nadludzką szybkością, podejmował decyzje z wielotygodniowym wyprzedzeniem, przygotowując się do kolejnych stu ruchów, niczym wytrawny gracz szachowych rozgrywek.

Nie była to jednak rozrywka. Tu na szali ważyła się jego kariera, życie wszystkich tych ludzi, a może i przyszłość samego Imperium. Wykorzysta zwycięstwo, by umocnić pozycję rodzinnej gildii, tak jak zrobiłby to każdy dobry obywatel Ossy, ale na tym nie poprzestanie. Wpłynie też na poprawę życia milionów. Mając zaledwie dwanaście lat, zrozumiał, że dążenie do doskonałości nie

powinno ograniczać się wyłącznie do jednostek. Jego ambicje dotyczyły wszystkich.

Pewnego dnia świat dostrzeże w nim kogoś więcej niż tylko urodzonego maga, a ludzie będą się do niego uśmiechać bez jakichkolwiek oznak paraliżującego strachu.

Zadowolony z poczynionych planów i świadomy postępującego rozkwitu fioletowych łusek trądu, wyciągnął szkło rozumu z ucha i schował do kieszeni, gdzie warstwa aksamitu i korkowej wyściółki chroniły go od magii, gdy z niej nie korzystał. Pozwolił palcom pozostać tam przez chwilę, błędząc po różnych szklach bożych, z których każde miało inny kształt, dzięki czemu z łatwością mógł je odróżnić. Był to kojący zestaw magicznych świecidełek, zapewniający komfort jego słabemu, śmiertelnemu ciału.

Z głębokiej medytacji wyrwał go jeden z oficjeli, nadal siedzący na koniu.

– Panie, coś się dzieje w obozie.

Myśli pochłonęły go bez reszty, musiał się więc zmusić, aby się od nich uwolnić. Poklepał Myrię uspokajająco po ramieniu, jakby byli starymi przyjaciółmi, po czym podniósł wzrok w kierunku obozu. Równina, na której się znajdowali, była lekko nachylona, dlatego też dopiero gdy dosiadł konia, dostrzegł, co zasygnalizowali jego ludzie.

W obozie rzeczywiście coś się działo. Zapalono setki, tysiące pochodni, które oderwały się od obozowiska i zmierzały prosto w kierunku Holikanu. Blask płomieni odcinał się na tle ostatnich podrygów gasnącego za horyzontem słońca. Demir był całkowicie zdezorientowany. Na nic zdały się jego nadzwyczajne zdolności analityczne. Po bitwie wybrane oddziały wysłano w celu opatrzenia rannych, wyśledzenia uciekających wrogów i zabezpieczenia bastionów, większość żołnierzy otrzymała jednak rozkaz powrotu do namiotów, gdzie z łatwością można było kontrolować tętniącą życiem armię.

Co w takim razie się tam, do cholery, wyprawiało? Dlaczego maszerowali w stronę miasta?

– Capricu! – zawołał. – Sprawdź, co się tam dzieje!

Capric przez chwilę patrzył gniewnie w tamtym kierunku, a następnie wskoczył na siodło. Demir nie odrywał wzroku od oddalającego się przyjaciela, znieruchomiały. Jakiś fragment jego mózgu nie chciał wrócić na właściwe tory. Wiedział, że coś jest nie tak, lecz nie potrafił znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia. Nie mieściło się to w jego obliczeniach. Chcąc ukryć ogarniającą go panikę, która nie pozwalała na beczynność, zaczął powoli zmierzać na południe, a w jego trzewiach narastała obawa przed nieznanym. Złapał materiał zwycięskiej peleryny między dwa palce lewej ręki i miał go niespokojne.

Prawdziwy lęk poczuł jednak dopiero, gdy Capric powrócił, zziąjany.

– Demirze! – krzyknął. – Pojawił się jakiś błąd w komunikacji. Ósemka twierdzi, że otrzymali rozkaz splądrowania miasta.

– Splądrowania... – wyszeptał Demir. – A niech to szkło! Postradali zmysły? Nie plądrujemy miast! Wracaj tam i każ im natychmiast wracać do obozu! Roześlij rozkaz do wszystkich pułkowników. Jazda! – Capric ruszył galopem, a Demir zerknął przez ramię na swój sztab. Wpierw spojrział na Helenę Dorlani, potem na Jakeba Stavriego i najstarszego z braci Forliów. Na ich twarzach pojawił się wyraz zmieszania i zaskoczenia, taki sam jaki wyobrażał sobie również na swoim obliczu. – Kto wydał rozkaz splądrowania miasta? – zażądał odpowiedzi.

Zgromadzeni popatrzyli po sobie i jak jeden mąż pokręcili głowami.

– Nikt nie wydałby takiego rozkazu – odparł Jakeb. – Co prawda dziesiątkujemy miasta, ale od stu lat nikt nie odważył się żadnego splądrować!

Demir zaklął, odwrócił się i obserwował miasto, aż zdał sobie sprawę, że Capric nie zdoła dotrzeć do Holikanu przed żołnierzami. A gdy ci zaczną już plądrować, żadna siła nie będzie w stanie ich zatrzymać. Spiął konia łydkami, zmuszając go do galopu i ledwie rejestrując nagłe okrzyki sprzeciwu ze strony sztabu. Ciemność szybko wymusiła poluzowanie cugli, aby zwierzę nie złamało nogi, pędząc przez nierówny teren. Dotarcie do kolumny wojskowej zajęło mu prawie dziesięć minut. Powitał go udręczony Capric.

– Pułkownicy uparcie twierdzą, że otrzymali rozkaz splądrowania miasta! – poinformował Demira.

– Kto go wydał?

Capric się skrzywił.

– Ty!

– Co?

– Otrzymali rozkaz splądrowania miasta opatrzony twoją osobistą pieczęcią.

– Nie, nie, nie – wymamrotał Demir, obserwując przepływający wokół nich strumień żołnierzy z pochodniami i muszkietami zaopatrzonymi w bagnety. Niektórzy wyglądali na pośepnych, inni radośnie wiwatowali na myśl o mrocznej obietnicy spędzenia nocy na zaspokajaniu krwawych żądz. Przyświecał im jeden cel: wykonanie rozkazu. Jego rozkazu. Na to przynajmniej wszystko wskazywało. Wygrzebał z kieszeni szkło rozumu i umieścił je w uchu na tyle długo, by przejrzeć wspomnienia w poszukiwaniu jakiejś pomyłki.

Czyżby wysłał źle sformułowany rozkaz? Czyżby palnął coś bez zastanowienia do jednego z sekretarzy? Nic nie przychodziło mu do głowy i to go przeraziło. Błędy zdarzały się nawet na najlepszych liniach komunikacyjnych, lecz to wykaczało poza wszystko, z czym kiedykolwiek się zetknął.

Musiał się dowiedzieć, jak do tego doszło, ale wpierv powinien powstrzymać nadciągającą rzeź. Wskazał na jednego z oficerów.

– Ty tam, kapitanie! Zatrzymaj swych ludzi! – Mężczyzna albo go nie usłyszał, albo zupełnie zignorował. Żołnierze zaś byli tak pochłonięci perspektywą nowej misji, że nawet go nie zauważali. Demir ponaglił konia, żałując, że nie ma pistoletu, z którego mógłby oddać ostrzegawcze strzały. – Stać! – krzyknął. – Zatrzymajcie się, do cholery!

Gniew walczył z narastającą w nim paniką. Wyciągnął rękę, siłą umysłu unosząc porozrzucane po bitwie kawałki szkła. Setki odłamków powędrowały do góry i zawisły w powietrzu niczym zastygłe krople deszczu, oczekujące na mentalny rozkaz. Nie mógł skupić wzroku, a myśli zamarały pod wpływem jego niezdecydowania. Czy aby zapobiec katastrofie, odważyłyby się zabić

własnych ludzi? Ilu z nich musiałby zmasakrować, żeby zwrócili na niego uwagę? Po paru chwilach odpuścił. Lśniące szklane okruchy opadły, rozsypując się po ziemi, niezauważone przez maszerujące zastępy.

Rozległ się wystrzał, potem kolejny. Z miasta dobiegały wrzaski, po których następowały radosne okrzyki. Demir poczuł, jak władza wymyka mu się z rąk, wywołując tak silną falę paniki, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Odwrócił się i pogalopował w kierunku obrzeży, gdzie strzały, krzyki i wrzaski stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej chaotyczne. Wkrótce minął leżące przy drodze ciało kobiety, kilkukrotnie przebite bagnetem. Ten widok sprawił, że zebrało mu się na wymioty. Dostrzegł kolejne zwłoki, i następne – to bez wątpienia byli cywile.

Ktoś silniejszy – bardziej doświadczony tancerz szkła – opanowałby sytuację szybką, brutalną manifestacją władzy. Demir zdawał sobie sprawę, że nadal ma czas, by to zrobić, ale nie potrafił się do tego zmusić. W głowie kręciło mu się od natłoku myśli, a umysł wydawał się tracić kształt, strzępiąc się na krawędziach i grożąc pęknięciem. To było jakieś szaleństwo. Jakim cudem jego oficerowie uwierzyli, że mógł wydać tak barbarzyński rozkaz? Z niewiarygodną szybkością przeprowadził ich przez góry i zapewnił im trzy zwycięstwa, nigdy jednak nie okazał okrucieństwa w obliczu chwały.

Dotarłszy do przedmieść, przekonał się, że tysiące żołnierzy wdarło się już do środka. Gnali od budynku do budynku, łupiąc wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, wyrzucając dzieci na ulicę i zabijając mężczyzn oraz kobiety. Odbywało się to w blasku pochodni i gęstniejącym dymie z płonących domostw.

Demir brnął dalej, szukając oficerów, którzy mogliby pomóc mu w odzyskaniu kontroli. Dym oślepiał go, utrudniając orientację i sprawiając, że czuł się zagubiony, przez co jego koń potknął się o przewrócony wóz. Mężczyzna z trudem wyswobodził się ze strzemion i spadł, lądując na lewej ręce. Ból przeszył mu ramię. Wierzchowiec upadł, wydając z siebie szaleńcze rżenie, po czym zerwał się i pognał w atramentową noc.

Ściskając zraniony nadgarstek, przez ból i otaczającą go zewsząd kakofonię dźwięków niezdolny do trzeźwego myślenia,

Demir biegł od domu do domu, nakazując żołnierzom, by zaprzestali swych działań. Beształ ich, złorzeczył, a ostatecznie również błagał. Kilku rzuciło przelotnie okiem na jego pokryty błotem mundur, lecz nikt go nie rozpoznał. Wszak jak mieli go rozpoznać, skoro tylko nieliczni widzieli jego twarz z bliska? Nie mógł też ściągnąć rękawiczki ze złamanej dłoni, by pokazać im magiczny znak.

– Kto to? – pytali jedni.

– Pewnie jakiś wariat – odpowiadali drudzy.

– Ale ma na sobie oficerski mundur i kosztowną pelerynę.

– Oficerowie upijają się właśnie w namiocie Grappa, my zaś mamy rozkazy do wykonania. Jeśli nie uporamy się z tym raz-dwa, to ktoś inny sprzątnie nam sprzed nosa najlepszej łupy. Hip, hip, hurra! Niech żyje Książę Błyskawic!

– Niech żyje! Niech żyje!

Śmiali się, nie zwracając na niego większej uwagi. Ktoś w końcu chwycił za zwycięską pelerynę i zepchnął go brutalnie do rowu, gdzie ledwo udało mu się uniknąć upadku twarzą w szlam.

Leżał częściowo zanurzony w błotnistej, pełnej nieczystości brei, wpatrując się w ulicę. Drżał z wściekłości i przerażenia. Niespełna pół godziny temu obiecał otoczyć Holikan opieką, a teraz jego pieczęć widniała pod rozkazem splądrowania miasta. Trzęsącymi się palcami sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu szkła harmonii, mogącego uspokoić jego skołatane nerwy. Wyciągnął garść błyskotek, które momentalnie wyslizgnęły mu się z dłoni i zatoneły w błocie. Zerwał się desperacko w ich poszukiwaniu, ale nie udało mu się nic wyłowić.

Wtem jego uwagę przyciągnął płacz dziecka po przeciwnej stronie ulicy. Podniósł wzrok i dostrzegł małą dziewczynkę – cztero-, najwyżej pięcioletnią, krzyczącą wniebogłosy. Wstał i z wysiłkiem wydostał się z rowu. Jeśli nie mógł ocalić wszystkich, może uda mu się ocalić przynajmniej jedno życie.

Niespodziewanie uszy wypełnił mu tętent galopujących koni. Drogę zagroziło mu kilkudziesięciu dragonów. Nigdy wcześniej nie znalazł się tuż pod ich pędzącymi kopytami, a huk ich przejazdu wstrząsnął nim do głębi. Zaczął gorączkowo grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu szkieł bożych, przypomniawszy sobie po chwili, że przecież upuścił je wszystkie niespełna kilka minut temu. Zmusił się

więc do zebrania resztek tłęcej się w nim odwagi. Wkrótce dragoni odjechali, a on zrobił jeszcze kilka kroków, zanim dostrzegł leżące na ziemi dziecko.

Zostało stratowane. Małe ciało leżało nieruchome, połamane i zakrwawione. Słaniając się na nogach, ruszył w jego kierunku, po drodze zrywając z ramion zwycięską pelerynę. Następnie podniósł dziewczynkę i udał się pędem na drugą stronę ulicy, niemal mijając się z kolejną grupą dragonów. Przytulił ją do piersi, drżąc na całym ciele, i opadł na schodek opuszczonego sklepu.

Prawdziwy koszmar miał się dopiero rozpocząć.



Demir nie ruszył się z miejsca do czasu, aż odnalazł go jego sztab. Od ponad dwunastu godzin nie spał, nie jadł, nie myślał. Siedział nieruchomo na schodach, tuląc w ramionach dziecięce zwłoki owinięte w zwycięski płaszcz. W ciągu minionej nocy był świadkiem przerażających okrucieństw, jakie jego armia wyrządziła temu miastu. Głowę opierał na chłodnym, kamiennym progu sklepu; oczy piekły go od ostrego dymu setek pożarów. Miał wysuszony na popiół język i niewyobrażalnie spuchnięty nadgarstek.

W takim właśnie stanie znalazł go Idrian i to on wezwał pozostałych. Gromiciel nie miał już na sobie zbroi, lecz oficcerski mundur z wyszytymi baraniami rogami, symbolem jego batalionu. Ukląkł przed generałem, przyglądając się jego twarzy. Demir wzdrygnął się na widok fioletowego oka żołnierza.

– Panie? Nic ci nie jest?

Demir nie potrafił znaleźć słów, by mu odpowiedzieć. Był odarty z uczuć. Ziała w nim jedynie ogromna pustka. Wiedział, że może stanąć na nogi, ale coś w tej wizji wydawało mu się niemożliwe. Oblizwał spierzchnięte wargi, próbując przywołać jakieś słowa, lecz na nic się to zdało. Łzy napłynęły mu do oczu i odwrócił wzrok, by ukryć je przed Gromicielem.

– Nie tak to się miało skończyć – wydusił w końcu. – To nie ja wydałem ten rozkaz.

– Wiem, panie – odpowiedział łagodnie Idrian. – Zawiodła komunikacja. Dowiemy się, co poszło nie tak. Obiecuję.

Reszta sztabu powoli gromadziła się za Idrianem, wpatrując się niepewnie w Demira. Miejsce wczorajszej radości zajęły przerażenie i obrzydzenie. Capric podszedł na tyle blisko, by dostrzec, co znajdowało się w pelerynie przyjaciela, po czym potknął się, cofając gwałtownie, i zwymiotował do rowu. Oko Idriana powędrowało w kierunku martwego dziecka, żołnierz pozostał jednak niewzruszony. Demir czuł na sobie ciężar spojrzeń otaczających go ludzi. Widział, jak próbują ocenić swe pozycje, zastanawiając się, jak ta sytuacja wpłynie na ich karierę lub na losy rodzinnych gildii. Widział, że każdy z nich kombinuje, jak odciąć się od tej masakry.

Ukaranie zbuntowanego miasta poprzez pokonanie go i zdziesiątkowanie to jedno, ale splądrowanie i puszczenie z dymem było czymś zupełnie innym.

Demir próbował zebrać myśli. Połączyć wszystkie umiejętności i przewidzieć możliwe scenariusze. Publicznie poprzysiągł ochronę Holikanu, po czym jego armia bez pardonowo go złupiła. Mordowali, palili i grabili na jego wyraźny rozkaz. Musiał rozpocząć śledztwo, aby przypisać tę klęskę komuś innemu. Komukolwiek. Nieważne, czy sprawiedliwie, czy nie.

– Szkło rozumu – wykrztusił.

Capric stanął znów u jego boku, wciskając mu magiczny odłamek do ręki. Demir przewlekl go przez przekłute ucho i próbował się skupić. Jego umysł pozostał jednak pusty, a szkło przyprawiło jedynie o ostry ból w czaszce, który ustąpił, dopiero gdy wyciągnął je z ciała i oddał przyjacielowi. Nie mógł zmusić mózgu do obliczeń. Jawiącą się przed nim przyszłość spowijał ciemny całun milczenia.

Coś w jego głowie przestało właściwie funkcjonować.

– Myria Forl? – zapytał, podnosząc wzrok w poszukiwaniu burmistrzynie.

– Jest bezpieczna – zapewnił Idrian. – Pański wuj przybył w środku nocy, więc zostawiłem ją pod opieką mojego batalionu. Nikt nie odważy się jej skrzywdzić.

Spojrzenie Demira powędrowało w stronę czarnego słupa dymu unoszącego się za zgromadzonymi.

– Wolałbym, żeby nie była bezpieczna. Wolałbym, żeby nie była świadkiem tego, do czego doprowadziłem.

– To nie pan do tego doprowadził – odparł stanowczo Idrian. – To był wypadek. Doszło do naruszenia zasad.

Demir rozejrzał się po twarzach otaczających go osób. Wszyscy unikali jego spojrzenia. Tym razem nie ze strachu, lecz ze wstydu. Co prawda to nie on przyczynił się do tej rzezi, ale to na nim spoczywała odpowiedzialność.

Powoli, zmagając się z bólem każdego mięśnia, zdołał wstać, nie wypuszczając ciała dziewczynki z rąk. Drzwi do sklepu były otwarte, a wnętrze splądrowane, choć nie pamiętał, aby żołnierze go mijali. Zawinięte w pelerynę zwłoki położył na sklepowej ladzie.

Musnął włosy dziecka, szukając w pamięci słów modlitwy znanej mu z dzieciństwa. Żałował, że nie wierzy w boga, do którego mógłby się w tym momencie pomodlić. Usiłował wziąć się w garść. Jak po tym wszystkim miał stanąć twarzą w twarz z innym człowiekiem? Jak miałby wrócić do rodziny, kochanek czy mieszkańców swej prowincji? Jak mógłby spojrzeć komukolwiek w oczy? Wyszedł ze sklepu. Po raz pierwszy od wielu lat zdał sobie sprawę ze swej młodości, z bezradności, braku doświadczenia, i zastanowił się, kiedy pojawi się ktoś dorosły, by to wszystko naprawić. By po nim posprzątać.

Idrian wyciągnął odłamek szkła kojącego i wcisnął mu w rękę. Nie było ono tak wysokiej jakości jak jego własne, ale magia zadziałała w mgnieniu oka. Ból zaczął wyciekać z jego kości, odpływać z ciała.

– Powinniśmy zająć się tym nadgarstkiem – stwierdził Gromiciel. – Wygląda na złamany.

Pomimo magicznego działania szkła nadgarstek bolał tak bardzo, że Demir przestał go już właściwie odczuwać. Podobnie było z jego duszą; sprawiała wrażenie odrętwiałej.

– Kto jest moim zastępcą? – zapytał Demir, ale nikt nie odpowiedział. Przyjrzał się badawczo twarzom współtowarzyszy. – Nie wiem nawet, czy kogoś takiego w ogóle mam. – Z jego ust wydobył się szaleńczy rechot. – Arogancja sprawiła, że nie uznałem

tego za istotne. No cóż. Kimkolwiek jest ta osoba, pogratulujcie jej awansu.

– Jak to, panie? – zdziwił się Idrian.

– Rezygnuję.

– Nie możesz zrezygnować! – powiedział ktoś. – To czas twojej chwały!

Demir odszukał wzrokiem Caprica, licząc na odrobinę otuchy. Jego przyjaciel jednak wpatrywał się ze zdumieniem w dziesiątki leżących na ulicy martwych cywili. Może uda mu się jeszcze to wszystko jakoś naprawić. Jego matka była w końcu polityczną geniuszką i na pewno starałaby się znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale jeśli po tym, co się wydarzyło, wmaszerowałyby do Ossy na czele zwycięskiego pochodu, już nigdy nie mógłby spojrzeć sobie w twarz.

Unikał wzroku Idriana.

– Proszę, przeproś Myrię Forl w moim imieniu. Przekaż też memu wujowi, że przepraszam go za niedokończenie kampanii. Capricu, napisz za mnie rezygnację. Sfałszuj mój podpis.

Matka z pewnością będzie zawiedziona. „Tak dobrze rokował – rzeknie. – Co za głupiec, przecież mogliśmy to wszystko naprawić”. Demir ześliznął się ze schodka, odzyskał równowagę i ruszył przed siebie.

– Powiedźcie im, aby mnie nie szukali – rzucił przez ramię. – Książę Błyskawic odszedł na zawsze.



Dziewięć lat po splądrowaniu Holikanu

Demir Grappo stał w głębi niewielkiej areny do cudgelingu w miejscowości zwanej Ereptią. Nawet jak na prowincjonalne standardy był to istny zaścianek; ot, mała miejscina, licząca mniej niż dziesięć tysięcy mieszkańców, usytuowana pośrodku winnej krainy należącej do bogatych członków ossańskich rodzinnych gildii. Jedyne w tym rejonie stadion mógł pomieścić kilkaset osób, lecz popołudniowy mecz pokazowy zapełnił go zaledwie w jednej trzeciej.

Cudgeling był w Imperium sportem narodowym, ważniejszym i popularniejszym niż wyścigi konne, walki kogutów, polowania i boks razem wzięte. Wchodzący na arenę dwaj zawodnicy zakładali magiczne kolczyki ze szkła mocy, czyniące ich silniejszymi i szybszymi, a następnie tłukli się ciężkimi pałkami, dopóki jeden z nich nie padł na kolana w akcie kapitulacji.

Lub martwy.

Ów sport bazował na pierwotnych instynktach, a Demir uważał, że idealnie definiuje on życie w Ossie przez sposób, w jaki

walczący, pośród szaleńczych owacji publiczności, niszczyli swe ciała w nadziei na chwilę ulotnej chwały. Pewnego dnia planował napisać na ten temat traktat filozoficzny, lecz ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Teraz jednak ścisnął w dłoni kwitek bukmacherski, obserwując, jak dwoje zawodników przemierza arenę wzdłuż i wszerz, podczas gdy niewielki tłumek wykrzykuje naprzemiennie przekleństwa i słowa otuchy. Kobieta nosiła imię Slatina. Miała mlecznobiałą cerę charakterystyczną dla Purnijczyków, krótkie blond włosy, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wspaniale umięśnione ciało. Mężczyzna, Overin, był od niej niższy, acz szybszy, łysy, z krzaczastą czarną brodą i jasnooliwkową skórą mieszkańca wschodniej prowincji.

Wojownicy zostali świetnie dobrani – siła przeciwko szybkości – a publiczność z zachwytem przyglądała się ciosom, od których pękała skóra i tryskała krew, plamiąc piaszczyste podłoże areny. Demir jednak skupiał się na tym, jak walczyli, a nie na tym, kto w danym momencie wychodził na prowadzenie. Rozgrywki musiały wyróżniać się widowiskowością i nie pozostawiać wątpliwości, że jedyne, czego pragną zawodnicy, to się pozabijać.

A kiedy Overin upadł na ziemię grzmotnięty pałką Slatiny, z wysiłkiem unosząc drżącą rękę na znak oddania zwycięstwa, nim ta zdąży zadać ostateczny cios, Demir wiedział już, że wszyscy to kupili – ani sędziowie, ani publiczność, ani bukmacherzy nie mieli pojęcia, że parę sownie opłacono za z góry ustalony wynik walki.

Demir przechadzał się po amfiteatrze, dopóki nie opuścili go ostatni widzowie, a zawodnicy nie otrzymali szkła leczniczego i nie wyprowadzono ich z areny. Obserwował i nasłuchiwał, upewniając się, że nikt nie podejrzewa, iż walkę zawczasu ustawiono. Nabrawszy kojącej pewności, zszedł po schodach, wyszedł na zewnątrz i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie w małej, obskurnej kantynie rezydował jeden z wielu ereptijskich bukmacherów. Umościł się na barowym stołku, położył kwitek na blacie i stuknął w niego palcem.

– Potrzebuję szkła harmonii – oznajmił, poprawiając rękawiczki skrywające tatuaże z krzemowymi symbolami.

Zarówno barmanem, jak i bukmacherem był mężczyzna w średnim wieku imieniem Morlius, który z udreńczonym spojrzeniem leniwie opłukiwał kufle w beczce wody stojącej za barem. Demir nie zwykł zaopatrywać się w szkło boże w podobnych spelunach, lecz w tak odległych, prowincjonalnych zakątkach Imperium było to jedyne miejsce, gdzie ów luksusowy towar dało się zakupić.

Morlius nawet na niego nie spojrział.

– Ciężko w tych czasach o szkło harmonii – burknął.

– Nawet to gorszej jakości?

– Nawet to gorszej jakości. Nie mam pojęcia dlaczego. Dostawy z Ossy po prostu nie dochodzą, a to, co udało mi się zdobyć w zeszłym miesiącu, wykupili zarządcy winnic.

– Szklorwa! – Kojąca magia szkła nie zmieniałaby jego życia, mogła jednak uczynić je ciut znośniejszym. Ostatni kawałek stracił moc trzy noce temu, a od czasu Holikanu trudno mu było bez niego zasnąć.

Potarł skronie.

– A szkło otępiające?

Morlius pokręcił głową.

– Trudno. W takim razie nalej mi pół pinty najlepszego ereptijskiego trunku i dopisz go do tego rachunku. – Stuknął ponownie w bukmacherski kwitek.

– Znów wygrałeś? – spytał Morlius, spoglądając na niego ponuro.

– Owszem. – Demir obdarzył go swym najbardziej czarującym uśmiechem. – Poszczyło mi się. – Przesunął kwit w stronę barmana. – Co z moim winem?

– Wczoraj też wygrałeś, nieprawdaż? I przedwczoraj – zauważył Morlius, nie sięgając po kieliszek do wina.

– Przed trzema dniami zaś przegrałem – odpowiedział Demir, nadal się uśmiechając. – Szczęście kroczy za nieszczęściem.

– Wątpię, aby chodziło tu o jakiegokolwiek szczęście.

Demir zaklął pod nosem, a radosny grymas spelził mu z twarzy, ustępując miejsca udawanemu zakłopotaniu. Dbał o to, by suma wygranych nie przekraczała sumy przegranych. Czyżby popełnił jakiś błąd? A może ktoś szepnął Morliusowi coś na ucho?

– Nie rozumiem, do czego pijesz – odparł, chrząkając głośno. Bukmacher nie cieszył się dobrą reputacją. Chodziły słuchy, że w nadziei na osiągnięcie pożądaných wyników odurzał pałkarzy przed walkami. Co prawda nie zdarzało mu się to zbyt często, nie na tyle, by zwrócić uwagę władz, lecz zła opinia na jego temat była na tyle rozpowszechniona, że dobrze poinformowani zawodnicy szerokim łukiem omijali drzwi kantyny.

Demir nie żywił urazy do męzczyzny za jego nieczyste zagrywki, wszak wyszedłby wtedy na hipokrytę, ubolewał jednak nad tym, jak traktował on pałkarzy. Wojownicy Demira zawsze otrzymywali swą działkę. Takie wyznawał zasady.

Z piwnicy wynurzył się jeden ze zbirów Morlius, taszcząc nową beczkę wina. Barman niezbyt subtelnie wskazał ruchem głowy na Demira. Nowo przybyły odstawił baryłkę, zamknął drzwi od kantyny i stanął tuż za nim. Morlius sięgnął pod bar i wyciągnął pałkę.

– Słyszałem plotki o podobnym do ciebie męzczyźnie, który błąkał się po Wallach. Nakryto go na ustawianiu walk, lecz zwiął z miasta, nim zdolali go dorwać. Oszukał mojego kuzyna na pokaźną sumkę.

Demir westchnął i obejrzał się przez ramię. Stojący za nim bandzior miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, kości palców zdeformowane od wielokrotnych złamań, potężną budowę ciała i pokiereszowaną twarz emerytowanego pałkarza. Wydobył zza pasa długi nóż.

– Grozisz klientowi z powodu niejasnego opisu hochsztaplera z jakiegoś odległego miasteczka? – zadrwił Demir. Nie był gotów na opuszczenie Ereptii. Slatina, owa utalentowana zawodniczka i niezła aktorka, zaprosiła go na weekendowe spotkanie ze swoimi rodzicielami. Demir uwielbiał poznawać rodziców znajomych. Było to niczym spojrzenie w przyszłość i dostrzeżenie, jak dana osoba będzie wyglądać za trzydzieści lat. – Nie bądź głupcem, Morliusie. Przecież nie chodzi tu o jakieś wielkie sumy. Jeśli dziś nie możesz tego spłacić, odliczę to od kolejnego zakładu.

Gdyby Morlius był sprytny, odurzyłby, okradł i porzucił Demira gdzieś w zaułku na skraju miasta. Ale Morlius nie był sprytny. Jego chciwość nie znała granic. Demir obrócił się na stołku,

sadowiąc się między barmanem a jego zbirem. Ponad ramieniem bandziora wyrżał na ulicę, widoczną przez okno, na której dostrzegł coś, czego być tam nie powinno. Stał tam bowiem piękny powóz z błękitnymi niczym niebo zasłonami, sześcioma strażnikami i wyżłobionym na drzwiach krzemowym symbolem rodzinnej gildii Vorcienów.

Demirovi natychmiast zakręciło się w głowie. Jakie sprawy mogły sprowadzić Vorcienów aż tak daleko w głąb prowincji?

Morlius poderwał się niespodziewanie, chwytając Demira za nadgarstek i unosząc pałkę.

– Uważam, że idealnie pasujesz do tego opisu.

Demir westchnął, zrezygnowany. Zatem nici z zapłaty i kolacji ze Slatiną. Czekwały go przenosiny do kolejnego miasteczka, rezygnacja z dotychczasowego życia, porzucenie przyjaciół i kochanek, tak jak robił to już dziesiątki razy w ciągu ostatnich dziewięciu lat. Ta myśl sprawiła, że poczuł zmęczenie nasączone wściekłością. Mocą tancerza szkła rozwinął mentalną sieć, namierzając każdą szybę i butelkę w barze.

– Puść mnie – warknął.

– Bo co? – odparł szczerzący się do niego Morlius.

Demir naparł nieznacznie magią na szkło. Znajdująca się za Morliusem butelka roztrzaskała się niespodziewanie, przyprowadzając mężczyznę o gwałtowne drgnięcie. Potem pękła kolejna i następna. Bukmacher rzucił się do stojaka z winem, krzycząc i sięgając po butelki, lecz ich nie dotykając. Demir stłukł jeszcze dwie, po czym niespiesznie zsunął lewą rękawiczkę i położył dłoń płasko na blacie. Gdy Morlius odwrócił się w jego stronę, symbol tancerza szkła był doskonale widoczny.

Bukmacher wytrzeszczył oczy, wypełniając je znanym Demirovi przerażeniem, towarzyszącym mu na każdym kroku, od kiedy w wieku osiemnastu lat wytatuowano mu ów symbol. Przyprawiało go to o nieprzyjemny ucisk w żołądku, ale nie pozwolił, aby zdradziła to jego twarz. Morlius nie był jego przyjacielem. Był człowiekiem, który nieświadomie zniweczył Demirovi plan dalszych poczynań w Ereptii i równie dobrze mógł gnić w obezwładniającym strachu.

– Ja... Ja... Ja... – zaczął się jąkać.

Demir oparł się o bar, dając wyraz obrzydzeniu.

– Nie spiesz się – rzucił. Stojący za nim zbir w popłochu uciekł z powrotem do piwnicy, zatraskując za sobą solidne drewniane drzwi. Rozsądny facet. – Mam cały dzień. – Rozbił w drobny mak kolejną butelkę wina, czerpiąc przyjemność z tego, jak Morlius się wzdygnął. Wiedział, że barman się nie sprzeciwi. Zresztą kto byłby na tyle nierozsądny, aby sprzeciwić się tancerzowi szkła? Gdyby tylko zechciał, mógł zrobić wszystko, na co miał ochotę, a i tak uszłoby mu to na sucho.

Demir wziął głęboki, urywany wdech. Był rozdrażniony. Dał przedsmak swej mocy, lecz musiał użyć ogromnych pokładów woli, by nie roztrzaskać każdego odłamka szkła w tym podłym barze i nie rzucić nimi Morliusowi w twarz. Nie było to jednak w jego stylu. Położył palec na kwitku i ponownie podsunął Morliusowi. Bukmacher wpatrywał się w kartkę przez moment, nim w jego oczach pojawiło się zrozumienie. Wyciągnął sakiewkę zza paska i położył ją na barze.

– Weź to. Proszę – błagał. Cóż za radykalna zmiana.

– Nie chcę cię okradać – powiedział cicho Demir. – Wezmę tylko to, co moje.

Z jakiegoś powodu okazało się to dla bukmachera jeszcze bardziej bolesne. Jego ręce drżały gwałtownie, gdy rozwiązywał sakiewkę i odliczał ciężkie imperialne monety. Trzęsącymi się dłońmi dwukrotnie rozrzucił stosik, trzykrotnie sprawdził kwit, po czym skinął na Demira.

Większość tancerzy szkła, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia, w taki czy inny sposób zasłużyła sobie na złą reputację. Lubili wykorzystywać swą przewagę nad innymi. Kradli, grozili i uwodzili, nie bacząc na konsekwencje. Takie zachowanie nie sprawiało Demirovi żadnej przyjemności. Sporadyczna satysfakcja z pokazania takim typkom jak Morlius, gdzie ich miejsce? Owszem. Lecz przyjemnością nazwać tego nie można.

Zgarnął monety i schował je do kieszeni.

– Wiedz, że opuściłem Wallach w przyjaznej atmosferze. Wszyscy sędziowie i zawodnicy wzbogacili się na ustawionych przeze mnie walkach. Jedyną osobą, która zdawała się nie darzyć mnie sympatią, był pewien bukmacher, na tyle głupi, że obstawiał

zakłady za pieniądze klientów. Twój kuzyn, jak mniemam. Wykaż się większym rozsądkiem, Morliusie. Oszczędziłem go, lecz oskubałem ze wszystkich oszczędności.

– Ta... Tak.

– Jeśli piśniesz choćby słówko o tym, co tu się wydarzyło, albo gdy się dowiem, że odurzyłeś kogoś z moich wojowników... – Demir skinął w kierunku półki ze zniszczonymi butelkami. – Zrobię z tego szkła właściwy użytek. – Uderzył dłońmi w bar. – Miłego dnia, Morliusie.

Odwrócił się na pięcie, nim tłąca się w jego wnętrzu frustracja dała o sobie znać. Kolejne stracone życie, kolejne miasto, z którego musi zniknąć, zanim ktokolwiek zda sobie sprawę, kim tak naprawdę był. Kolejna rysa na wizerunku powstrzymana jedynie przez groźbę. Rozważał pożegnanie ze Slatiną. Z pewnością zażąda wyjaśnień. I słusznie. Nie było jej dane poznać nawet jego prawdziwego imienia. Lecz nie mógł teraz nic na to poradzić. Przytłaczało go to. Pragnął choćby namiastki normalności w swoim życiu.

Na chwilę zapomniał o powozie Vorcienów stojącym przed kantyną, więc doznał sporego szoku, gdy po otwarciu drzwi stanął twarzą w twarz z kimś znajomym. Od ostatniego spotkania z Capricem Vorcieniem minęło dziewięć lat. Mężczyzna zeszcupłał, wyglądał obecnie niczym rasowy polityk, a w miarę jak zbliżał się do trzydziestki, rysy jego twarzy nabierały niemalże jastrzębiego wyrazu. Miał na sobie kosztowną marynarkę, narzuconą na ozdobną tunikę, w dłoni zaś ścisnął czarną laskę. Towarzyszyła mu para strażników.

– Demir? – zapytał ze zdziwieniem.

Demir wpatrywał się w przyjaciela przez kilka sekund, z niedowierzaniem kręcąc głową. Nie było wątpliwości. Oto stał przed nim Capric Vorcien we własnej osobie.

– A niech mnie szkło! Capric? Co ty tu, do cholery, robisz?

– Szukam cię. Wszystko w porządku? Wyglądasz żałośnie. Dotarły już do ciebie wieści?

Demir poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Zadał sobie wiele trudu, by niełatwo go było odnaleźć, więc jeśli przyjaciel

przybywał ze złą nowiną, oznaczało to, że była naprawdę zła. Podał mu rękę, którą ten uścisnął.

– Nie. Co cię sprowadza do mojego zakątka?

– Masz swój zakątek? Z rozmowy z Breenenem wynikało, że od czasu Holikanu nie przebywasz w żadnym miejscu dłużej niż pół roku. – Demir zmrużył oczy na wzmiankę o Holikanie, a Capric pospieszył z wyjaśnieniami. – Wybacz, chciałem tylko... Podobno często się przemieszczałeś.

– To prawda – potwierdził Demir. – Zbyt długie tkwienie w jednym miejscu sprawia, że ludzie zaczynają się zastanawiać, dlaczego nie zdejmuję rękawiczek. Po co jednak Breenen papla na temat moich wojaży? A może to matka wysłała cię, abys sprowadził mnie do domu?

– Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności. Mój powóz stoi tuż obok – powiedział Capric, bacznie się rozglądając.

W normalnych okolicznościach Demir odmówiłby stanowczo. Przecież rozmowa w prywatnym powozie, oznaczonym wyraźnym symbolem rodzinnej gildii, wywołałaby w tym prowincjonalnym miasteczku lawinę niewygodnych pytań, lecz niedawne spotkanie z Morliusem zakończyło już jego epizod w tym miejscu. Poza tym złe wieści najlepiej przekazywać niezwłocznie.

– Prowadź.

Podążył za Capricem do powozu, wokół którego biegały tutejsze dzieciaki, na przemian wykrzykując docinki i żebrząc o drobniaki. Wkrótce znaleźli się w środku, gdzie Capric wyciągnął butelkę sherry i nalał do dwóch kieliszków stojących na składanym stolczku. Demir przyglądał się bacznie staremu przyjacielowi, starając się odkryć powód tej niecodziennej wizyty. Upił łyk alkoholu i odstawił kieliszek na blat.

– O co chodzi, Capricu? Jakim cudem żeś mnie odnalazł i co cię tu właściwie sprowadza?

Capric opróżnił kieliszek jednym haustem, napełnił go ponownie i wypił do połowy, nim zebrał się w sobie, aby odpowiedzieć.

– Bardzo mi przykro, Demirze.

– A to z jakiego powodu?

– Twoja matka nie żyje.

Demir poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– To jakiś żart?

– Chciałbym, by tak było. Breenen powiedział mi, gdzie mogę cię znaleźć, więc pogałem, by dotrzeć do ciebie, nim przeczytasz o tym w gazetach.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zmęczoną, poważną twarz Caprica, aby się przekonać o prawdziwości tych wieści, po czym otworzył drzwiczki i zwymiotował śniadanie na bruk. Wypluwając żółć, poczuł na plecach delikatną dłoń, następnie wytarł usta ofiarowaną przez przyjaciela chusteczką.

Przez głowę przelatywało mu milion myśli: żale, zamiary, wzajemne oskarżenia. Może i widział matkę zaledwie kilka razy w ciągu ostatniej dekady, ale była dla niego niczym dodająca otuchy pochodnia, płonąca gdzieś w odległym oknie. Teraz, gdy ów płomień zgasł, przeklinał się, że nie odwiedzał jej częściej i że nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Przetrzęsął kieszenie w poszukiwaniu szkła harmonii, lecz przypomniał sobie, że żadne mu nie zostało. Gdy uniósł wzrok, Capric wyciągał w jego kierunku jasnoniebieski odłamek.

Demir przyjął go z wdzięcznością i przewlókł haczykowaty element przez jedną z dziurek w uchu. Galopujące serce i pędzący umysł natychmiast zwolniły, pozwalając na zaczerpnięcie powietrza i dojsście do siebie.

– Jak do tego doszło? – zapytał.

– Szczegóły są dość nieprzyjemne – ostrzegł Capric.

– Śmierć zawsze jest nieprzyjemna – odparł Demir, starając się zachować spokój.

– Skatowano ją na schodach do gmachu Zgromadzenia.

Na te słowa Demir wydał z siebie mimowolny jęk, przywodzący na myśl połączenie śmiechu ze szlochem. Adriana Grappo była reformatorką, jedną z niewielu członkiń Zgromadzenia, gotową poświęcić życie dla dobra ogółu, nie zaś dla zdobycia fortuny. Ossańscy reformatorzy słynęli z wieloletniej i chwalebnej tradycji publicznego umierania, zabijani przez współpracowników za zbyt stanowcze forsowanie społecznych zmian.

– Znaleźli sprawcę?

Capric pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie. Dokonało tego sześcioro zamaskowanych osobników. Dopadli ją w mgnieniu oka, pobili i rozpierzchli się we wszystkie strony świata, nim zdołano wezwać gwardzistów. I uprzedzając twoje pytanie: nie, nie zginęła z powodu reform. Prawdą było, że proponowane przez nią podatki rozdrażniły elitę, lecz wszyscy kochali twoją matkę. Zgromadzenie jest wściekle i zdziwione, jeśli do mojego powrotu nie dorwą sprawców.

Demir wyrwał się ze spirali podejrzeń i spróbował skupić na uspokajającym szumie tkwiącego w jego uchu szkła harmonii. Capric miał rację. Adriana od zawsze stąpała po cienkiej linii między byciem radykalną reformatorką a nieszkodliwą polityczką. Wiedziała jednak, kiedy przycisnąć, a kiedy się wycofać.

– A więc to nie jest sprawka członków Zgromadzenia?

– Szczerze w to wątpię – odrzekł Capric.

Demir oparł głowę o ścianę powozu. Kto w takim razie mógł za tym stać? Jakich wrogów narobiła sobie przez te wszystkie lata, gdy nie było go w pobliżu?

– Wszczęto śledztwo?

– Tak i to na szeroką skalę.

– Poinformowali wuję Tadeasa?

– Nie mam pewności. Do czasu uzyskania dodatkowych informacji Zgromadzenie zdecydowało się na utajnienie morderstwa. Adriana cieszyła się wielką popularnością wśród zwykłych obywateli. Ogłoszenie jej śmierci przed ustaleniem solidnego tropu mogłoby doprowadzić do zamieszek.

Tuszowanie publicznego morderstwa mogło wydawać się niedorzeczne, lecz Zgromadzenie miało w tej kwestii całkiem bogate doświadczenie.

– Rozsądnie – zgodził się Demir. – Wypadałoby też poinformować Małego Montega.

Capric zbladł. Była to powszechna reakcja na wzmiankę o Montegu. Jako światowy mistrz cudgelingu był jednym z niewielu ludzi wzbudzających taki sam strach jak tancerze szkła. Był również najlepszym przyjacielem i przybranym bratem Demira.

– Posłałem mu już wiadomość – zapewnił Capric. – Słyszałem jednak, że przebywa na jachcie gdzieś na Szklanych Wyspach, może więc minąć kilka miesięcy, nim wróci do kraju.

Demir zassał głośno powietrze przez zaciśnięte zęby. Korzystając z uspokajającej magii szkła, odsunął na bok osobiste uczucia i zaczął odhaczać zadania z długiej listy rzeczy, którymi, jako nowy patriarcha gildii Grappów, musiał się zająć.

– Przybyłem z propozycją od mego ojca – powiedział cicho Capric, jakby uprzedzając jego myśli.

Demir uniósł brew.

– Doprawdy? Jaką?

– Jest skłonny przyjąć Grappów pod swą opiekę. Otczylibyśmy cię ochroną. Spłacilibyśmy długi Adriany, zajęlibyśmy się hotelem, zadbalibyśmy o twoich klientów. Jeśli nie masz ochoty, nie musiałbyś nawet wracać do domu... – Urwał, jakby za szybko odkrył wszystkie karty.

Demir zignorował tę niestosowność. Takie w końcu były realia Ossy. Tam wszystko stanowiło okazję do interesów, nawet śmierć członka rodziny. Była to jednak hojna oferta. Vorcienowie należeli do jednej z najpotężniejszych rodzinnych gildii w Ossie, a wślizgnięcie się pod ich skrzydła mogłoby przynieść Demirovi ogromne korzyści. Lecz położyłoby to kres rodzinnej gildii Grappów i poważnie ograniczyło jego wolność. Protektorat wiązał się z określonymi warunkami i zobowiązaniami.

Pokręcił głową.

– Dziękuję, ale nie. Wpierw muszę wrócić do domu i uporządkować matczyne sprawy, by w ogóle rozważyć taką propozycję.

– Oferta pozostaje aktualna.

– Przekaż Ojcu Vorcienowi, że jestem mu niezmiernie wdzięczny.

– Oczywiście. Czy to oznacza, że wracasz do Ossy?

Demir przyjrzał mu się badawczo, próbując wyłapać drugie dno tego pytania. Rodzinna gildia Grappów może i była niewielka, lecz Adriana Grappo należała do tytanów ossańskiej polityki. Powrót jej marnotrawnego syna mógłby wywołać zamęt w różnych kręgach stolicy. Czy Capric – lub gildia Vorcienów – miał jakiś interes w ewentualnym powrocie Demira? Przełknął z wysiłkiem i wyjął szkło harmonii z ucha, ponownie zanurzając się w gniewie i niepewności. Emocje te czyniły go bardziej ludzkim.

– Co mówią o Demirze Grappie? – spytał.

Capric wyglądał jeszcze bardziej nieswojo niż wcześniej.

– Nienawidzą mnie? – naciskał Demir.

– Zapomnieli o tobie – odparł wolno Capric. – Adriana świetnie posprzątała po tamtych wydarzeniach. Wszystko zatuszowano. Demir Grappo i Księżę Błyskawic odeszli w zapomnienie, a o Holikanie nikt już nie wspomina.

Demir trawił tę informację przez chwilę. Zdjął prawą rękawiczkę i potarł krzemowy symbol Grappów. Wraz ze śmiercią matki i zrzeczeniem się przez wuja odpowiedzialności na rzecz kariery wojskowej był ostatnim prawowitym spadkobiercą rodzinnej gildii. Czy bezdzietny, upadły polityk może pokusić się o utrzymanie rodu?

– To najlepsze, na co mógłbym liczyć.

– Jak to? Przez kilka lat byłeś najwspanialszym politykiem Imperium. Byłeś wszystkim: następcą rodzinnej gildii, generałem, politykiem, tancerzem szkła. Cały ten prestiż, cała ta praca... to wszystko przepadło.

– Nie mam zamiaru wracać do polityki – stwierdził Demir.

– Po co w takim razie w ogóle wracać? Nie lepiej byłoby zostać klientem Vorcienów?

Demir zadumał się nad tym przez moment, nim zdecydował nie odpowiadać. Poklepał Caprica po ramieniu.

– Dziękuję, żeś przebył taki szmat drogi, aby mi o tym powiedzieć. Mam wobec ciebie dług wdzięczności, mój drogi przyjacielu. Uporządkowanie spraw zajmie mi kilka dni. Spotkajmy się w hotelu mej matki, moim hotelu, za tydzień, dobrze?

– Oczywiście.

Demir wysiadł z powozu i ruszył przed siebie, ignorując ciekawskie spojrzenia mieszczan i otwarte dłonie tłoczących się wokół ulicznych dzieci. Capric pomachał mu z okna na pożegnanie.

Demir sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu szkła rozumu. Natrafił na małe, nie większe niż opuszka palca, kółko zawieszona na haczyku. Ściskając je, nadal czuł wydobywającą się z niego magię, choć nie tak intensywną jak w przypadku noszenia go w uchu czy trzymania między zaciśniętymi zębami, to jednak wystarczyło, żeby przyspieszyć bieg jego myśli. Uświadomił sobie, że to był prezent od

matki. Po raz ostatni rozmawiali przed trzema miesiącami, gdy odnalazła go w jednej z południowych prowincji, błagając, aby powrócił do Ossy i odbudował swą pozycję.

Czy gdyby spełnił jej prośbę, żyłaby po dziś dzień? Wiedział, że to pytanie będzie go dręczyć do końca życia.

Po co więc wracać? A może by tak skorzystać z oferty Caprica i zostać klientem Vorcienów?

W głowie kłębiły mu się setki różnych odpowiedzi. Śmierć matki zmieniła w jego życiu dosłownie wszystko, a odpowiedzialność, której unikał przez ostatnią dekadę, nagle pomnożyła się dziesięciokrotnie za sprawą prawa dziedziczenia.

– Nie zasłużyła na taką śmierć – wyszeptał do siebie. – Nie zdołałem jej ochronić, więc przynajmniej ochronię jej dziedzictwo i zniszczę ludzi, którzy to uczynili.



RÓZDZIAŁ

2

Był taki czas, gdy Demir wkraczał do Ossy wyłącznie z ogromną pompą i rozmachem; z żonglerami, dzikimi zwierzętami, z prowincjonalną egzotyką stanowiącą pożywkę dla mas. Przywilej ten przysługiwał popularnym politykom odwiedzającym stolicę, a Demir wykorzystywał go do budowania swej reputacji pośród mieszkańców Ossy.

Ale to było przed Holikanem. Nim uciekł od przeklętej porażki, której doświadczył.

Przyjazd do miasta wynajętym powozem był czymś zgoła odmiennym. Ostatnie dziewięć lat spędził wśród ubogiego plebsu, doświadczając parszywej, zdeprawowanej głębi ludzkiej egzystencji. Przez cały ten czas nie zaznał niczego, co mogło równać się Ossie: zgiełkowi milionów ludzi ściśniętych niczym sardynki w jednym miejscu; odurzającemu zapachowi pobliskiej huty szkła, wypalającej co dzień całe połacie lasów, aby wyprodukować cenne szkło boże; cierpkiemu posmakowi sadzy i ludzkiego cierpienia, które można było dosłownie poczuć na koniuszku języka. Powrotu do tego

miejsca nie można było określić mianem miłego doświadczenia, lecz on czuł się tu jak w domu.

Zajechał prosto pod hotel o nazwie Hiacynt, stanął na ulicy i wpatrywał się w budynek, w którym dane mu było spędzić większość dzieciństwa. Bryła Hiacynta wyróżniała się wyśmienitą konstrukcją: czterema piętrami z granitowymi sklepieniami ozdobionymi złotymi gargulcami, imponującymi otworami okiennymi i lokalizacją w samym sercu Dzielnicy Zgromadzenia, której pozazdrościłby niejeden imperator. Każde z okien przyozdabiały purpurowe zasłony z ogromną błyskawicą pośrodku – krzemowym symbolem rodziny Grappów.

Całość prezentowała się wprost niewiarygodnie, choć boleśnie przypominała o minionej chwale i utraconej pozycji pośród najpotężniejszych rodzinnych gildii. Było to wiele pokoleń temu, a Hiacynt był jedynym, co pozostało po bogactwie i prestiżu.

Demir zaś był jedynym czystej krwi potomkiem tejże spuścizny.

Otoczające go ulice pełne były ludzi świętujących nadchodzące przesilenie zimowe. Przystrojeni w maski, skąpo ubrani mimo niskich temperatur, biesiadnicy nieśli blaszane kufle z grzonym piwem i, rozrzucając wszędzie papierowe serpentyny, podążali za wozami z chlebem, rozdającymi biednym darmowe posiłki. W innych okolicznościach Demir mógłby czerpać przyjemność z beztroski tego świętowania. Podziwiałby kobiety, śmiały się z klaunów i pomagały w rozdawaniu grzańców przed wejściem do hotelu. Ale nie dzisiaj. Nie w dzień, kiedy hotelowe schody pokrywał czarny żałobny dywan.

Demir wbiegł po masywnych marmurowych stopniach i przeszedł przez wielkie podwójne drzwi Hiacynta, wsuwając kilka banknotów do ręki zaskoczonego portiera. Podczas podróży przeszedł wizualną metamorfozę, zamieniając prowincjonalną, robotniczą tunikę na szkarłatną marynarkę z purpurowymi i złotymi wykończeniami. Wyprostował plecy, czując, jak ten elegancki strój opina mu niewygodnie ramiona, i spróbował przeistoczyć się z małomiasteczkowego oszusta z powrotem w Demira Grappa, dostojnego tancerza szkła i nowego patriarchę rodzinnej gildii Grappów.

Podobnie jak znajome obrazy i dźwięki tętniącego życiem miasta, jego zmiana wydawała się przytłaczająco naturalna.

Nie kojarzył większości odźwiernych, gońców hotelowych czy kelnerów poruszających się po foyer, ale znał rytm tego miejsca, rytm ich kroków. Przemierzył parter, kierując się dużymi podwójnymi schodami ku pierwszemu piętru, gdzie zatrzymała go przebrana w strój portiera strażniczka Grappów. Była młodą kobietą o pięknej twarzy zniekształconej blizną przecinającą policzek, z mieczem i pistoletem przewieszonymi przez pas wraz z korkową sakiewką wypełnioną szkłem bożym. Paznokieć małego palca lewej ręki pomalowany miała na fioletowo, co świadczyło o jej lojalności wobec rodziny Grappów.

– Przyszedł pan do kogoś w odwiedzinie? – spytała, zagradzając mu przejście. Ku jego zdziwieniu, nim weszła mu w drogę, nie zwróciła uwagi na jego ręce, ale stanowczo spojrzała w oczy.

Demir uniósł prawą dłoń, wewnętrzną stroną przyciskając ją do piersi, aby pokazać krzemowy symbol.

– Adrianie nie ma już wśród nas – oznajmił. – Zdaje mi się, że Breenena lekko poniosło, skoro postawił tu teraz strażniczkę.

Przez twarz kobiety przemknął cień zakłopotania, a potem jej oczy rozwarły się szeroko.

– Panicz Demir?

– We własnej osobie.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Pan Vorcien twierdził, że dotrze pan dopiero jutro! – Rozejrzała się zakłopotana, po czym zasalutowała. – Nazywam się Tirana Kirkovik. Jestem hotelową oficerką.

– Nawet w hotelu mamy teraz oficerów? – zapytał ze zdziwieniem. Jego matka nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do bezpieczeństwa i zwykła traktować to miejsce jak hotel, a nie jak posiadłość rodzinnej gildii.

– Tak, panie. Pracuję tu od czterech lat.

Demir utkwiał wzrok w jej oczach, nadal nie odkrywając w nich cienia strachu ni uległości. Wydawała się nie zważać na fakt, że był tancerzem szkła. Była jedynie lekko zakłopotana tym, że jest jej nowym szefem. I dobrze.

– Jesteś z rodziny Kirkovików, zgadza się?
– Owszem. Hammish Kirkovik jest moim dziadkiem.
– Lubię Hammisha. Nadal służy w Legii Cudzoziemskiej?
– W zeszłym roku przeszedł na emeryturę. Zawsze dobrze o panu mówił.

– To dlatego, że zawsze słabo znał się na ludzkich charakterach. – Otaksował Tiranę wzrokiem. Wyróżniała się żołnierską postawą, była pewna siebie i wyprostowana, jedną rękę opierała wygodnie na rękojeści miecza. Od razu widać było, że jego matka właściwie wybrała hotelową oficerkę. – Miło było cię poznać, Tirano. Mogłabyś przekazać Breenenowi, że idę się rozejrzeć po apartamencie matki?

– Oczywiście, panie! – Odwróciła się i pospiesznie zeszła po schodach do foyer.

Demir ruszył przed siebie, zmierzając prosto długimi, wyłożonymi karmazynowymi dywanami korytarzami, aż dotarł do niepozornego bocznego przejścia z tabliczką zawieszoną na sznurku i zagrządzającą drogę. Widniał na niej napis: WSTĘP WYŁĄCZNIE DLA PERSONELU HOTELOWEGO.

Przeszedł pod znakiem i zbliżył się do jedynych w tej alejce drzwi. Były zamknięte, ale naciśnięcie zatrzasku znajdującego się pod złotym listkiem trzy cale na prawo od zasuwki spowodowało, że zamek kliknął i się otworzyły. Wszedł do środka.

Kwaterna jego matki zajmowała parę pomieszczeń, będących niegdyś kuchnią dla służby i salą pooperacyjną. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy widział ten pokój po raz ostatni: białe ściany ozdobione purpurowymi akcentami; masywny kominek okolony przez okna, wykonane z niebieskich szkieł młota, wychodzące na park; pachnące cedrowe biurko; półki na książki i duże fotele z wysokimi oparciami do przyjmowania gości. Po lewej znajdowały się zamknięte drzwi do sypialni, a obok nich te łączące się z tajnymi korytarzami dla służby, biegnącymi przez cały hotel.

Jedynie, czego brakowało, to papiery matki. Wszystkie zniknęły, łącznie z notesami, które niegdyś wypełniały dziesiątki półek. Nie pozostało zupełnie nic, nawet encyklopedie. Można było odnieść wrażenie, że dopiero co się wyprowadziła.

Wygląd pokoju zszokował Demira niemal równie mocno jak wiadomość o śmierci matki. Przejrzał szuflady, ale okazały się puste. Zajrzał do szafek po prawej i lewej stronie, tam też niczego nie znalazł. W pomieszczeniu pozostały jedynie rzeczy osobiste: kryształowy stojak na napoje, srebrne świeczniki, mała rzeźba z kości słoniowej przedstawiająca purnijskiego słonia. Nie było jednak żadnych listów, notatek ani osobistej korespondencji. Sfrustrowany opadł na jeden z foteli, opierając podbródek na dłoni.

Wpatrując się w pusty regał na książki, mógłby przysiąc, że dostrzegł coś kątem oka. Coś, co przypominało twarz spoglądającą na niego przez okno gabinetu matki.

Postać była tam tylko przez chwilę, przez momencik: wydłużona, ciemnoskóra, o delikatnych rysach i nienaturalnie długiej szyi. Czarne, paciorkowate oczy gapiły się na niego znad zdeformowanej szczęki z dużym przodozgrzyzem i wyszczerbionymi zębami. Gdy odwrócił się, by skonfrontować się z tym, co wydawało mu się, że widział, twarz momentalnie znikła. Potok zimnego potu spłynął mu po karku. Oblicze dziwacznej istoty wypaliło się w jego pamięci niczym gęba z dziecięcej ilustracji przedstawiająca błakające się po nocach stwory. Tyle że w Dzielnicy Zgromadzenia był środek dnia.

Zareagował instynktownie, chwytając magią za szklanekę znajdującą się po drugiej stronie pokoju. Roztrzaskała się na tuzin odłamków, z których każdy zawisł na wysokości jego torsu, gotowy do ataku. Wystarczyła jedna myśl. Demir wstał powoli i ze ściśniętym gardłem przeszedł przez pomieszczenie. Otworzył okno wykonane ze szkła młota i wystawił głowę na zewnątrz, by spojrzeć w górę, w dół i na boki, lecz nic tam nie było. Najwyraźniej wyobraźnia płatała mu figle. Może to działanie stresu w związku z powrotem do stolicy? A może jakaś wada techniczna szyby? Dotknął szkła magicznymi zmysłami, ale jak każde ze szkieł bożych i to nie reagowało na magiczny dotyk. Nie było w nim nic nadzwyczajnego.

– Demir!

Odchylił się z powrotem do środka, zamknął okno i zastał Breenena stojącego w drzwiach. Majordomus rodzinnej gildii Grappów wyglądał, jakby w ciągu ostatniej dekady postarzał się co

najmniej o dwadzieścia lat. Był niskim mężczyzną o mysiej twarzy uczonego, z okularami na koniuszku nosa i jasną skórą, zdradzającą purnijskie pochodzenie. Miał ponad pięćdziesiąt lat i krótkie, posiwiałe w młodości włosy. Służył Adrianie, od kiedy Demir był dzieckiem, i przez większość tego czasu był też jej kochankiem.

Za młodu Breenen służył jako chirurg wojskowy w Legii Cudzoziemskiej, a w najlepszych okresach swego życia był człowiekiem nie do złamania. Demirovi wydawało się, że pod widocznym zmęczeniem w oczach Breenena kryją się niepokój, żal i złość.

W ciągu kilku chwil, kiedy na siebie spoglądali, Demir poczuł, jakby tysiąc niewypowiedzianych słów zawisło w powietrzu między nimi. Breenen chciał prawdopodobnie zapytać, dlaczego nie było go na miejscu, aby chronić matkę. Demir zaś chciał zapytać, dlaczego poszła na spotkanie Zgromadzenia bez ochrony. Wzajemne wyrzuty, oskarżenia, gniew i żal. Wszystko to pozostało niewypowiedziane. Tacy już byli Ossańczycy.

Demir odchrząknął, wykorzystując ten dźwięk do ukrycia magii i odłożenia odłamków szkła na stole po drugiej stronie pokoju.

– Dziękuję, że się wszystkim zająłeś – powiedział cicho. – Pochowano ją?

– Obok twego ojca, w mauzoleum. Ceremonia była kameralna, ale i tak kilkunastu przedstawicieli rodzinnych gildii koniecznie chciało w niej uczestniczyć.

– Dobrze. Odwiedzę ją najszybciej, jak się da.

– Dopilnuję, abyś mógł to zrobić w samotności.

Nastąpiła długa, niezręczna cisza, którą Demir przerwał, siadając. Nadal czuł się lekko wytracony z równowagi tym, co wydawało mu się, że dostrzegł w oknie zaledwie chwilę temu. Ale była to pewnie dziwna reakcja związana ze stresem, który obecnie odczuwał.

– O co chodzi z tą hotelową oficerką? – zapytał znacząco.

– Kapitanka Kirkovik jest zaufaną pracownicą rodzinnej gildii – oznajmił Breenen. – Adriana sprawdziła ją bardzo dokładnie. Tirana wyrzekła się lojalności wobec Kirkovików i jest teraz w pełni oddana Grappom.

– Wydaje się w porządku. A gdzie są papiery mojej matki? Jej notatki? Raporty szpiegowskie i dokumenty?

Breenen skrzywił się i w końcu wszedł do pokoju, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko Demira. W tamtej chwili naprawdę można było dostrzec jego wiek, gdyż wyglądał niczym wątły starzec, któremu życie wbiło nóż w plecy, odbierając zarówno pracodawczynię, jak i ukochaną.

– Zgromadzenie wszystko skonfiskowało – odrzekł. – Przysłało Gwardię, która spakowała to, co zawierało jej odręczne pismo lub oficjalną pieczęć. Była wpływową członkinią Zgromadzenia, wtajemniczoną w państwowe sekrety i rządowe machinacje. Nie chcieli, aby cokolwiek się ostało.

Demir zaklął. Gwardia Zgromadzenia była elitarną jednostką Imperium, podporządkowaną niewielkiej grupie starszych członków Zgromadzenia kontrolujących rząd.

– Liczyłem na to, że zdołam dotrzeć do tych tajemnic i dowiedzieć się, co doprowadziło do jej śmierci. Masz może jakieś przypuszczenia?

W odpowiedzi Breenen sięgnął do kieszeni tuniki i wyjął z niej małą, przewiazaną sznurkiem książeczkę.

– Co to jest? – spytał Demir.

– To dziennik Adriany. Zaczęła go pisać lata temu i to jedyna rzecz, którą poleciła mi ukryć przed Gwardią Zgromadzenia w przypadku jej przedwczesnej śmierci. Poinstruowała mnie, że przekazanie go tobie to najważniejsze, co mogę zrobić, aby uczcić jej pamięć.

Demir wziął go do ręki i musnął dłonią okładkę z cielejącej skóry. Nagle poczuł bolesny ucisk w piersi. Czy tak właśnie bolała żałoba?

– Wiesz, co w nim jest? – dociekał.

– Mam pewne przypuszczenia, ale prosiła, bym zachował ten dziennik w całkowitej tajemnicy. Założyłem więc, że dotyczy to również mnie samego, i uszanowałem jej życzenie.

Demir odwiązał sznurek i otworzył książeczkę na pierwszej stronie. Znajdowała się tam notatka spisana pięknym pismem jego matki. Było tam napisane:

Demirze,

jeśli czytasz te słowa, oznacza to, że już nie żyję. Nie wiem, ile dokumentów świadczących o dorobku mego życia skonfiskuje po mojej śmierci Zgromadzenie, dlatego też w tym dzienniku znajdziesz najważniejsze informacje, których musisz być świadom, aby objąć stanowisko patriarchy rodzinnej gildii Grappów i właściciela Hiacynta. Są tu wizytówki, rejestry, karty wstępu do Stowarzyszeń Fulgurytów, wpisy z dzienników i raporty szpiegowskie. Przystudiuj je uważnie i pamiętaj, że we wszystkich pozostałych kwestiach możesz polegać na Breenenie.

Twoja matka

Demir zacisnął wargi. „Stowarzyszeniami Fulgurytów” nazywano wszystkie ossańskie kluby towarzyskie. W samej stolicy było ich co najmniej tysiąc, a każdy obywatel należał do przynajmniej jednego. Demir nadal płacił składki do trzech z nich, choć nie utrzymywał kontaktu z żadnym ze swych starych przyjaciół. Jego matka należała do kilkudziesięciu. Jej Stowarzyszenia mogłyby okazać się bardzo przydatne, ale tylko pod warunkiem, że pozwoliliby mu do nich wstąpić. Na razie odsunął tę myśl na bok.

Na dole strony znajdowało się kilka dodatkowych zdań. Zapisanych tym samym pismem, lecz znacznie mniejszymi literami i opatrzonych datą sprzed osiemnastu miesięcy.

Demirze, rozpoczęłam współpracę z mistrzem Kastorą z Królewskiej Huty Szkła w Grecie. Jeśli nasza praca zakończy się sukcesem, z pewnością o tym usłyszysz. Jeżeli jednak umrę przed zakończeniem tego procesu, musisz niezwłocznie skontaktować się z Kastorą. Nikomu o tym nie mów. Tylko tajemnica może nas ocalić.

Demir przeczytał te słowa kilkakrotnie, a do jego trzewi wkradło się palące uczucie niepokoju. Otworzył już usta, pragnąc zapytać Breenena, co może mu powiedzieć o mistrzu Kastorze, ale powstrzymało go ostatnie zdanie. *Tylko tajemnica może nas ocalić.* Cóż to za dziwne stwierdzenie. Matka nie miała skłonności do przesady, więc musiało to być coś bardzo poważnego, skoro znalazło się na pierwszej stronie jej pamiętnika.

Demir spojrział w kierunku okna, w którym kilka minut wcześniej dostrzegł niezwykłą twarz. Oczywiście, teraz jej tam nie było. Nigdy jej tam nie było. Stanowiła jedynie wytwór jego zmęczonego umysłu. Odchrząknął, po raz kolejny przeczytał pośmiertny list matki, po czym zamknął dziennik i starannie przewiązał go sznurkiem.

Imię mistrza Kastory było mu znane. W końcu był on jednym z najbardziej cenionych magicznych inżynierów na świecie; geniuszem wśród hutników, podziwianym nawet przez swych krytyków. Nad jakim projektem mogli wspólnie pracować? Matka nie była hutniczką, a polityczką.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi. Do pokoju weszła portierka.

– Jest tu pan Capric Vorcien – poinformowała.

Demir wymienił spojrzenie z Breenenem.

– Przybywa z nowymi informacjami. Jeśli chcesz, możesz zostać.

– Lepiej będzie, jeśli wrócę do pracy – powiedział niechętnie Breenen. – Przygotować apartament?

– Tak, poproszę. I przyślij tu Caprica.

Breenen opuścił gabinet, a chwilę później w jego miejsce pojawił się Capric. Przyjaciel Demira wkroczył do pokoju pewnym krokiem, z łaską pod pachą i mieczem pojedynkowym za pasem.

– Ach, Demirze! Spodziewałem się ciebie dopiero jutro. Wpadłem tylko, by przekazać Breenenowi najświeższe nowiny. Dobrze się czujesz?

– Zmagam się z konsekwencjami szybkiej i smutnej podróży – odparł Demir, zbywając pytanie. Czuł się fatalnie, a ten dziwny tekst zapisany małym drukiem jedynie pogorszył jego samopoczucie. Potrzebował czasu, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Zajęcie się

jednym z projektów matki nie powinno być priorytetem, a jednak jej pośmiertne instrukcje stały się nagle niezwykle istotne. Zmusił się do zebrania myśli. – Jakież wieści o zabójcach?

– W zasadzie jednego już złapali. – Capric trzymał w dłoni rękawiczki i wymachiwał nimi wymownie. – Namierzyli go dwa dni temu, gdy próbował wsiąść do powozu zmierzającego do Grentu.

Demir zmarszczył czoło, starając się nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Tylko jednego?

– Tylko jego zidentyfikowali świadkowie. To były grencki żołnierz. Pod wpływem szkła dyscypliny przyznał, że wraz z pozostałymi trafił tu z rozkazu księcia Grentu. Nie zna powodów, dla których jego władca chciał śmierci Adrian, ale miało się to odbyć publicznie.

Grent był bliźniaczym miastem Ossy, położonym zaledwie kilka kilometrów w dół rzeki, tak że ich przedmieścia praktycznie się ze sobą zlewały. W pogodne dni Demir mógł dostrzec budynki sąsiedniego miasta z hotelowego dachu. Podczas gdy Ossa stała na czele Imperium, Grent było niewielkim, acz potężnym miastem-państwem, niezależnym od otaczających je kolosów i dysponującym ogromną flotą handlową. Grent i Ossę łączyła historia bogata w konflikty, ale były to głównie drobne spory kupieckie. Nic, co mogłoby doprowadzić do śmierci głowy rodzinnej gildii.

Tyle że... Kastora, genialny hutnik szkła, pochodził właśnie stamtąd. A to nie mógł być przypadek.

– A niech mnie szkło – wymamrotał Demir. – Co na to Zgromadzenie?

– Opowiedziało się za wojną.

Demir zaczerpnął gwałtownie powietrza. Zgromadzenie rzadko reagowało z takim pośpiechem.

– Jak to? Tak szybko? Z powodu zabójstwa jednej polityczki? Grent jest przecież naszym sąsiadem!

Pomimo dojmującej żądzы krwi Demir nie wyobrażał sobie, by śmierć jego matki była wystarczającym powodem do rozpętania wojny.

– To jest... ciut bardziej skomplikowane – przyznał Capric. – Co prawda nie jestem jednym z członków Wewnętrznego

Zgromadzenia, więc nie wtajemniczono mnie we wszystkie sprawy, mogę jednak przedstawić ci sedno tej kwestii. Od dziesięcioleci książę miesza się w interesy Ossy, a w ciągu ostatnich kilku lat stał się jeszcze bardziej zuchwały. Podkradał kontrakty handlowe, przekupywał ossańskich sędziów, a nawet zlecał zabójstwa ossańskich oficerów rezydujących w odległych prowincjach. Wielokrotnie go upominano. Morderstwo twojej matki przelało czarę goryczy. Zmobilizowano już Legię Cudzoziemską. Dziś wieczorem dokonamy inwazji.

– Ale w jakim celu? – zapytał Demir.

Capric rozłożył ręce.

– By dać mu łagodną reprimendę. Zabijemy kilku żołnierzy, zajmiemy książęcy pałac oraz budynki senatu, a potem książę się podda, złoży oficjalne przeprosiny i wypłaci ogromną rekompensatę. Może nawet dostaniesz część tych pieniędzy.

Wizja rządowego odszkodowania z powodu śmierci matki wydawała się większą obrazą niż nagrodą. Demir się skrzywił. Wojna. To słowo przyprawiało go o mdłości. I nie chodziło tu o jakąś odległą, zagraniczną wojnę, toczoną przez pełnomocników na innym kontynencie. Ta wojna miała rozpętać się na ich progu, zaledwie kilka kilometrów stąd. Armaty, armie, pożary. Próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni stolica Ossy była świadkiem prawdziwej walki zbrojnej. Nie odbyło się to z pewnością za jego życia, ani za życia jego poprzedników.

Wydawało się to niezwykle impulsywne, ale jeśli Capric mówił prawdę, to był w tym jakiś sens. Zgromadzenie działało z taką szybkością jedynie w wypadku, gdy zagrożone było ich własne dobro, a morderstwo jednego z nich przez zagranicznego zabójcę było cholernie osobistą sprawą.

– Chciałbym przesłuchać tego mordercę – oznajmił Demir.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedział z grymasem niesmaku Capric. – Wysokorezonansowe szkło dyscypliny doprowadziło go do szaleństwa. Kompletnie postradał zmysły.

– Wygodne rozwiązanie.

– Wygodne czy nie, tak bywa, gdy w grę wchodzi silna magia.

– Capric rzucił mu gniewne spojrzenie. – Wiem, o czym myślisz. Nie

podejrzewam nic zdroźnego, przynajmniej nie w kwestii śmierci zabójcy.

– Ale było ich jeszcze pięciu, tak? – dociekał Demir.

– Gwardia Zgromadzenia się tym zajmuje. – Capric pokiwał smutno głową. – Sugeruję, żebyś pozwolił im w spokoju wykonywać pracę. Szykujemy inwazję, Demirze. Sprawiedliwości stanie się zadość. Zapłacą za to, co zrobili twej matce, i za setki innych zniewag, obelg i ataków.

Demir ugryzł się mocno w język. Co prawda zdarzało się, i to dość często, że szkło dyscypliny doprowadzało kogoś na skraj szaleństwa, lecz w tym przypadku wydawało się to aż nazbyt wygodne. Jeśli zależy mu na uzyskaniu jakichkolwiek odpowiedzi, będzie musiał uciec się do niekonwencjonalnych metod. Spuścił wzrok na pośmiertny dziennik spoczywający w jego rękach. Rozpaczliwie pragnął pokazać go Capricowi i zapytać, co według niego mógł oznaczać. *Tylko tajemnica może nas ocalić.* To zdanie po raz kolejny powstrzymało go przed działaniem. Matka współpracowała z genialnym hutnikiem szkła z Grentu, a potem zginęła z rozkazu księcia Grentu. Czy ktoś ją zdradził? Czy ich dzieło było bliskie ukończenia? Nad czym właściwie pracowali?

Coś mu tu nie grało. Korciło go, by sięgnąć po szkło rozumu i przeanalizować wszystkie możliwości, lecz od wydarzeń w Holikanie przyprawiało go ono jedynie o ból głowy.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś – rzekł cicho.

– Nie ma problemu. Wiem, że przetrząsnęli to miejsce, aby zachować tajemnice państwowe. – Capric rozejrzał się po gabinecie. – Przykro mi, że tak wiele twoich pytań nadal pozostaje bez odpowiedzi. Przekażę ci wszystko, co tylko będę mógł bez narażania się na kłopoty. – Uderzył laską o dłoń. – Powiniennem już iść. Wiem, że masz wiele spraw do załatwienia. Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebował, po prostu daj mi znać.

Demir odprowadził Caprica na szczyt schodów hotelowego foyer. Pożegnał się z nim, po czym udał się do biura konsjerża, znajdującego się tuż obok westybulu. Przez chwilę stał w drzwiach i patrzył, jak Breenen wpisuje drobne, staranne liczby do ksiąg rachunkowych, a potem zapytał:

– Czy batalion mego wuja stacjonuje w pobliżu Ossy?

– Tak.

– Gdzie dokładnie?

– Z tego, co wiem, garnizon znajduje się w południowo-zachodniej części miasta.

Demir zagryzł wewnątrz policzka. W normalny dzień mógłby wskoczyć do powozu i udać się do Grentu, aby skonfrontować się z mistrzem Kastorą i wszystko wyjaśnić. Teraz jednak nie był to najlepszy pomysł, nawet dla tancerza szkła, bo nie udało by mu się wrócić przed rozpoczęciem inwazji i utknąłby za linią wroga.

– Dowiedz się, gdzie dokładnie. Może się okazać, że będę potrzebował ich pomocy.

– Oczywiście – odparł Breenen, kiwając głową.

– Jeszcze jedno... – Demir zamilkł na moment, bijąc się z myślami, a następnie zapytał: – Może to zabrzmieć dość dziwnie, ale czy w ciągu ostatnich dziewięciu lat coś nawiedzało hotel?

Breenen spojrzał na niego spode łba.

– Pytasz poważnie?

– Częściowo. – Postanowił nie dociekać. Pracownicy i tak byli już wystarczająco zestresowani śmiercią Adriany i powrotem marnotrawnego syna, będącego jednocześnie tancerzem szkła. Sprawy tylko niepotrzebnie by się skomplikowały, gdyby uznali, że załamanie psychiczne doprowadziło go również do obłądu. Poza tym Demir był człowiekiem nowoczesnym. Nie wierzył w nawiedzenia.

Obserwował, jak Breenen przemierza szybkim krokiem foyer, zmarszczył brwi i starał się odnaleźć właściwą drogę w labiryncie swego umysłu. Kusilo go, by zwiać: uciec z powrotem na prowincję, gdzie mógłby przeżyć resztę życia jako poczciwy hochsztapler. Po co zawracać sobie głowę zagadkami matki i nową wojną Zgromadzenia? Mógłby udać się gdzieś daleko, w miejsce, gdzie może kiedyś znalazłby szczęście.

W ossańskich rodzinnych gildiach nie było miejsca na szczęście. Królowały tam pieniądze, prestiż, potęga i potomstwo. Demir nie posiadał większości z tych rzeczy, miał jednak ludzi, za których był odpowiedzialny. Porzucenie obowiązków oznaczałoby porzucenie hotelu i wszystkich, którzy w nim pracowali. Wielu

z nich było tu nowych, ale byli też tacy, których znał od dziecka. Nie mógł ich zawieść.

Poza tym tkwiło w nim wystarczająco dużo z dawnego Demira, by zaciekać się tajemniczym dopiskiem z dziennika. Nic nie stało na przeszkodzie, aby udać się na prowincję dopiero za jakiś czas. Teraz musiał dowiedzieć się, dlaczego jego matka zginęła.

– Zostawiłaś mi niezły rozpiardol, co nie, matko? – mruknął do siebie. – Przydałoby się trochę pomocy.



Thessa Foleer zbudziła się przerażona w maleńkim pokoju dormitorium Królewskiej Huty Szkła w Grecnie. Śnili jej się padający trupem mężczyźni, płaczące kobiety i płonące miasto. Koszmar ten nawiedzał ją od dziewięciu lat, choć ostatnio, gdy w gazetach zaczęły pojawiać się historie o wojnach na wschodzie, jego częstotliwość gwałtownie wzrosła. Wilgotne od potu prześcieradło przylgnęło ciasno do jej ciała. Wyrzała przez otwarte okno, niepewna, czy zbudził ją upiorny sen, czy hałas dobiegający z zewnątrz.

– Nie każ mi wstawać – wymamrotała śpiąca obok postać.

– Śpij, śpij – odpowiedziała Thessa, delikatnie głaszcząc złotowłosą głowę spoczywającą na poduszce. Dziewczyna zwała się Palua, miała dziewiętnaście lat, zaledwie kilka mniej niż Thessa, i odbywała praktyki w grenckiej hucie szkła.

Na twarzy Thessy pojawił się grymas. Nie powinna sypiać z osobami niższej rangi. Jeśli Kastora się o tym dowie, z pewnością da jej niezły wykład. O ile się dowie. Przyrzekła sobie, że będzie to

tylko jednorazowy wyskok. Koniec z winem i wspólnym popalaniem do późnych godzin nocnych.

Spotkań z Paluą nie nazwałaby nawet czymś poważnym. Było to jednak coś, co Thessa zwykła robić w każde święta, za każdym cholernym razem. Tak radziła sobie z samotnością związaną z brakiem rodziny, którą mogłaby odwiedzić. W zeszłym roku padło na muskularnego strażnika, prawdziwego dupka, w dodatku żonatego. W poprzednich latach obżerała się do oporu, a potem rzygała do rana.

– Czas najwyższy z tym skończyć – mruknęła pod nosem, próbując pozbyć się z ust kwaśnego smaku papierosów.

W oddali słychać było grzmoty. Odwróciła głowę w tamtym kierunku, a następnie zmusiła się, by ponownie opaść na łóżko. To tylko Kuźnia – podatne na burze, klifowe wybrzeże znajdujące się kilkanaście kilometrów na północ. Często można je było usłyszeć późną nocą, huki dudniły z oddali nawet wtedy, gdy w samym Grecnie było spokojnie.

Tuż pod oknem zapanował harmider; rozległy się skrzydlate uderzenia i powtarzający się wysoki pisk. Thessa westchnęła poirytowana, zsunęła nogi z łóżka, podeszła cicho do drzwi i otworzyła je ze skrzypnięciem, po czym rozejrzała się po ciemnym wnętrzu dormitorium. Większość prycz świeciła pustkami, uczniowie rozjechali się do domów, aby świętować przesilenie zimowe. Thessa była jedyną czeladniczką pozostałą w budynku, zgłosiła się więc na ochotnika, by nadzorować piece i garstkę praktykantów. Nie było sensu brać urlopu, skoro nie miała nikogo, kogo mogłaby odwiedzić, a jej nieliczni przyjaciele pojechali zobaczyć się z bliskimi.

Włożyła tunikę i pospiesznie zeszła po schodach, podążając za odgłosami gniewnego skrzeku. Tuż przy wyjściu z pierwszego piętra stała duża sokola klatka, wielkości pokoju, z dachem pokrytym strzechą i żelaznymi kratami. Ogromny sokół, wielki na ponad pół metra, skakał z grzędę na grzędę, żwawo trzepocząc skrzydłami.

– Ekhi – wysyczała. – Ucisz się! Daj innym spać.

Sokół wskoczył na najbliższą grzędę, wychylił głowę przez kraty i wpatrywał się w nią, dopóki nie wyciągnęła ręki, by pogłaskać go po łepku. Skubnął delikatnie jej palec i nastroszył pióra.

– Co się dzieje, Ekhi? – zapytała. – Chyba nie zapomniałam cię wczoraj nakarmić, co? Nie, na pewno cię nakarmiłam. Dźwięk z Kuźni cię niepokoi? Nigdy nie miałeś z tym problemu. – Westchnęła. Gdy stała przy nim, wydawał się spokojniejszy. Musiał mieć po prostu złą noc. – Wiem, że od dawna nie zabierałam cię na polowania, ale jestem teraz odpowiedzialna za hutę. Gdy tylko wróci Kastora, wezmę wolne popołudnie i pojedziemy na wieś. Możemy się tak umówić?

Ekhi ponownie skubnął jej palec, a ona obdarzyła go uśmiechem. Nieważne, jak bardzo irytował ją ten mały dupek, i tak go kochała.

– Śniadanie będzie za dwie godziny, a do tego czasu... – Ze stojącej obok małej skrzynki, w której znajdowały się dłużce i pęta, wyciągnęła pierwszy lepszy zestaw i założyła mu na nogi. To zawsze go uspokajało, pewnie dlatego, że stanowiło obietnicę, iż wkrótce będzie mógł wzbić się wysoko w niebo. – A teraz się uspokój i nie budź pozostałych.

Przejechała włosy palcami, rozplątując skołtunione kosmyki. Nie było sensu wracać do łóżka, mogła więc równie dobrze zrobić obchód. Jeden z uczniów powinien już być na nogach i rozpalać piec przed rozpoczęciem pracy. Mistrz Kastora zwykł jej powtarzać: „Trzymaj ich krótko, bo inaczej nie będą cię szanować”. Szacunek był tym, czego Thessa potrzebowała najbardziej. Mając zaledwie dwadzieścia dwa lata i pracując w zawodzie, w którym bardziej ceniono wiek niż talent, była zbyt doświadczona, by kumplować się z praktykantami, i zbyt młoda, by osoby równe jej randze mogły traktować ją z należytych poważaniem.

Uciszyła niespokojne myśli, włożyła buty z grubą podeszwą oraz ciężki fartuch, po czym ruszyła przez pogrążone w mroku dormitorium prosto na dziedziniec. Nocne spacerowanie po terenie huty stały się jej drugą naturą i już po chwili przekraczała próg głównej pracowni. Piec buchał gorącym płomieniem – utrzymywano go w takim stanie, gdyż obróbka szkła wymagała ogromnych temperatur. Komora grzewcza nie została jednak jeszcze rozpalona, a warsztat był zupełnie pusty. Thessa westchnęła z irytacją. Odszukała i sprawdziła harmonogram pracy w wypalarni, aż trafiła na dzisiejszą datę. Axio. Ten mały flirciarz, gnojek jeden.

Wróciła do dormitorium, odnalazła trzecie łóżko przy wschodniej ścianie i szturchnęła chrapiącego lenia na górnej pryczy.

– Axio.

Chłopak zachrapał i przewrócił się na bok.

– Axio! – Uderzyła go mocno w brzuch.

– Ała! Szkłorwa... Thessa? Za co to? – Axio usiadł na łóżku i spojrział na dziewczynę. Był od niej tylko dwa lata młodszy, miał potargane blond włosy i ładną twarz, która bardziej pasowałaby do burdelu – zarówno w roli klienta, jak i chłopca do towarzystwa – niż do huty szkła. Był jednym z wielu pomocników pracujących w hucie przy wożeniu drewna na opał i utrzymywaniu czystości w pracowniach. Uniosła plan pracy, by mógł odczytać go w świetle księżycy. Przejechał ręką po nieogolonej twarzy i uśmiechnął się do niej krzywo. – Ej no, daj spokój. Przecież jest święto.

– A twoje imię widnieje w grafiku – odpowiedziała, rzucając w niego terminarzem. – Już od godziny powinieneś być na gorze, doglądając pieca i przygotowując komorę grzewczą.

Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów, słuchając, jak chłopak przeklina, zakładając buty i fartuch. Jego kroki rozbrzmiewały tuż za nią i wkrótce znaleźli się w głównym warsztacie. Thessa zapaliła lampiony, podczas gdy Axio głośno krzątał się z naręczem rozpałki.

– Hej – zaczął, ładując drewno do komory grzewczej. – Nie odpowiedziałeś na moją propozycję wypadu do miasta z okazji święta przesilenia. – Uśmiechnął się niepewnie. – Moglibyśmy wymknąć się cichaczem do Ossy. Ich grzane piwo jest o wiele lepsze od naszego.

Ach. Szkłorwa, zupełnie o tym zapomniała. Thessa przewróciła oczami, zapalając ostatni lampion. Axio flirtował z nią, odkąd pół roku temu pojawił się w hucie. Poza wyglądem niewiele miał do zaoferowania. Nie pochodził z bogatej rodziny, nie był ambitny ani błyskotliwy. Nie był nawet zbytnio zabawny. Poza tym już wcześniej wplątała się w związek z Paluą. Musiała się upewnić, że nie wybuchnie z tego żadna afera, nim zacznie szukać kolejnych rozrywek.

Mistrz Kastora uparcie powtarzał: „Można się poddać miłości, pieniądзом lub korzyściom politycznym. Najlepiej wybrać dwie

z tych rzeczy, bo każda następna może jedynie popsuć twą reputację”. Próżno było szukać przyjemności na tej liście, a Kastora przestał przymykać oko na jej romanse, odkąd awansowała na czeladniczkę.

– Zastanowię się – odparła Thessa, po czym zostawiła go, aby dokończył rozpalanie komory.

W drodze do dormitorium ze zdziwieniem zauważyła, że w gabinecie mistrza Kastory pali się światło. Od tygodni przebywał na wsi, pracując nad jednym ze swych tajnych projektów. Miał wrócić dopiero po przesileniu.

Thessa skierowała się w tamtą stronę i zatrzymała tuż przed jego biurkiem, wsłuchując się w odległy grzmot. Było w nim coś dziwnego, coś, czego nie potrafiła wyjaśnić.

Wyrzuciła jednak z głowy tę myśl i zapukała.

– Proszę – odpowiedział jej miękki męski głos.

Gabinet mistrza Kastory był pomieszczeniem nieskazitelnie czystym, w którym znajdowały się: duży stół kreślarski, biurko otoczone krzesłami z wysokimi oparciami, przeznaczonymi dla odwiedzających go polityków, oraz dwa duże żelazne sejfy po brzegi wypełnione recepturami i rysunkami technicznymi. Kastora był sześćdziesięcioletnim wdowcem, który – jak lubił mawiać – „drugi związek małżeński zawarł z piecem”. Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z łysą plamą na środku siwej głowy. Jego dłonie i ramiona zdobiła mozaika blizn po oparzeniach oraz trwale oznaki szklanego trądu, objawiające się pancierzem łusek, spowodowane wieloletnim wystawieniem na działanie szkła bożego. Miał roztargnioną, ale łagodną twarz i uśmiechnął się do niej, podnosząc wzrok znad biurka.

– Moja droga Thesso – powiedział. – Co, u licha, robisz tu o tej porze?

– Obudził mnie grzmot – odparła Thessa.

– Kuźnia wydaje się dziś nadzwyczaj hałaśliwa. Ekhi też jakiś nie w sosie. Sprawdziłaś, co tam u niego?

– Tak. Zachowuje się dziś jak rozwyrzony bachor.

Kastora zachichotał.

– A jak się miewała huta podczas mej nieobecności?

– Bezproblemowo. Przesyłka dla Atrii wyszła dwa dni przed czasem. Kontrakt wojskowy wrócił podpisany, leży na twoim biurku.

– Cudownie, cudownie.

– A jak tam projekt na wsi? – zapytała. Kastora był grymaśny i skryty w kwestii informacji, którymi się dzielił. W końcu był jednym z najlepszych hutników na świecie i często realizował tajne projekty dla księcia, zagranicznych klientów, a nawet dla ossańskich rodzinnych gildii. Nie spodziewała się, że udzieli jej szczerzej odpowiedzi, więc zdziwiła się, gdy odchylił się w fotelu, a na jego twarzy zawitał uśmiech.

– Och, Thessa. Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

– Dlatego pytam – przypomniała mu łagodnie.

Znów się roześmiał, dając jej znak, by się zbliżyła. Nachyliła się, zdumiona jego konspiracyjną miną.

– Stworzyłem portal feniksa – oznajmił triumfalnie.

Thessa zamrugała z niedowierzaniem. Portal feniksa był hipotetycznym mechanizmem służącym do przekształcania energii w magię. W skrócie: mógł naładować zużyte kawałki szkła bożego, umożliwiając ich nieskończone użytkowanie. Nie był czymś abstrakcyjnym, choć taki się zdawał, gdyż każdy światowej rangi mistrz próbował w pewnym momencie swej kariery go stworzyć, lecz dotychczas nikomu się to nie udało.

– Nie, nie zrobiłeś tego – wyrwało się jej, nim zdążyła pomyśleć, co właściwie papla. To było szalenie nietaktowne z jej strony, ale mistrz Kastora wydawał się tego nie zauważać.

– To nie żart – powiedział z szerokim uśmiechem. – Stworzyłem działający portal feniksa. Co prawda to tylko prototyp. Transfer energii daleki jest od doskonałości. Musiałem spalić sześć wozów twardego drewna, żeby naładować jeden odłamek. – Wyciągnął coś z kieszeni i uroczyście jej wręczył.

To było żółte szkło mocy – jej dzieło – w formie malutkiego kolczyka z haczykiem, z właściwościami wzmacniającymi naturalną siłę noszącej go osoby. Magia nie działała na nią tak jak na innych. Potrafiła usłyszeć lekki szum wydawany przez szkło, czuła też rezonansowe wibracje na koniuszkach palców, ale Thessa była amagiczna: nie mogła korzystać ze szkieł bożych i nie doskwierał jej

szklany trąd. Była dzięki temu wyjątkowo dobrą hutniczką, bo mogła pracować długie godziny bez żadnych konsekwencji.

Odłamek szumiał intensywnie w jej dłoniach. Sprawiał wrażenie szkła bożego. Brzmiał jak szkło boże.

– Gdy zaczynałem, było wyczerpane – zapewnił Kastora.

Jeśli Kastorze udało się stworzyć działający portal feniksa – a nie był on z natury kłamcą ani żartownisiem – mogłoby to zmienić świat. Powtórne lądowanie stałoby się zupełnie nową gałęzią przemysłu i pomogłoby obniżyć rosnące ceny żaropiachu. Przyjrzała się uważnie Kastorze, dostrzegając zmęczenie w jego oczach i lekko drżące ręce. Był jak uczeń, który po tygodniowej popijawie cudem zdał egzamin.

– Niesamowite! Co planujesz z tym zrobić?

– Mówię ci o tym dlatego, że zamierzam przenieść go tutaj, do huty. Umieszczę go w jednym z pieców, a po przesileniu zbiorę kilku czeladników, aby pomogli mi go udoskonalić. Jak już mówiłem, to prototyp. Wymaga jeszcze wielu godzin pracy.

Thessa spojrzała z nadzieją na Kastorę. Jak każdy hutnik, dowiedziała się o portalu feniksa już na samym początku edukacji i od tamtej pory marzyła, by pewnego dnia przyczynić się do jego stworzenia.

– Wybrałeś już asystentów?

– Jak najbardziej! – wykrzyknął. – Mianuję cię moją zastępczynią. Zarys projektu jest dobry, musimy go tylko ulepszyć!

Thessa zrobiła gwałtowny wdech, a ostatnie ślady snu uleciały jej z głowy. Od lat była protegowaną Kastory, a to był zdecydowanie najważniejszy projekt, jakiego kiedykolwiek się podjął. Propozycja zostania jego zastępczynią była dla niej niewyobrażalnym zaszczytem.

– Jesteś pewien?

– Jesteś, i wyprę się tego, jeśli komuś o tym powiesz, drugim w kolejności najlepszym hutnikiem szkła w Grecie. Po mnie oczywiście. – Nadal się do niej uśmiechał. – Nikt inny nie pomógłby mi z tym projektem tak dobrze jak ty. Teraz jednak muszę się zdrzemnąć. Ukryłem portal feniksa w moim pokoju. Rozpakujemy go po obiedzie i rozpoczniemy pracę nad jego udoskonaleniem. Jeśli spadnie deszcz, to będzie dobry dzień na burzę mózgow, a ja... –

Urwał, przekrzywiając lekko głowę. – Jesteś pewna, że to grzmot z Kuźni?

– Tak mi się zdaje – odpowiedziała niepewnie Thessa. Otworzyła drzwi i zaczęła wsłuchiwać się w odległy dźwięk. Po chwili usłyszała, jak Kastora wstaje, podchodzi i staje za nią.

– Może masz rację – rzekła. – Dźwięk jest zbyt regularny jak na burzowy grzmot. W sumie co innego mogłoby to być?

Kastora przeszedł obok niej i już miała się odezwać, ale zerknęła na profil jego twarzy. Zazwyczaj wesołe oblicze przykrył pochmurny grymas.

– Chodź ze mną – zawołał, ruszając szybkim krokiem przez dziedziniec.

Thessa musiała biec, żeby go dogonić, a jej buty stukały o ubitą ziemię. Minęli dormitorium, potem lekko pochyłą drogą udali się w kierunku małej stróżówki, nadzorującej główne wejście do huty szkła. Serce Thessy waliło jak oszalałe i co kilka kroków zerknęła na Kastorę. Mężczyzna nie odrywał wzroku od horyzontu, nawet wtedy gdy zeszli ze wzniesienia i nie widzieli już światła Grentu. Spostrzegła, jak mistrz wkłada odłamki szkła bożego w przekłute płatki uszu. Ich magia na nią nie działała, na szczęście знаła rozkład huty na tyle dobrze, by podążyć za nim, nie potykając się w ciemności.

Dotarli na miejsce i Kastora wsunął głowę do maleńkiego pomieszczenia.

– Zawołaj kapitankę Jero – powiedział do dyżurnego strażnika. – Tak, wiem, która jest godzina. Natychmiast ją tu sprowadź.

Minutę później z budynku wyłoniła się ciemnoskóra kobieta w średnim wieku, zakładająca biało-pomarańczową kurtkę piechoty królewskiej.

– Mistrzu Kastoro? – spytała Jero.

– Chcę, byś wszystkich zbudziła.

– Słucham? – ziewnęła.

Kastora wyciągnął rękę i złapał za jeden z plecionych pagonów na jej kurtce.

– Słyszysz to? To odgłos dział armatnich. Dochodzi ze wschodniej części Grentu. Obudź wszystkich, postaw ich w stan

gotowości i natychmiast pošlij kogoś do pałacu.

– Nie mogę... Ja... – Nie dało się ukryć, że kobieta nadal zмага się z sennością. – To pewnie tylko odgłosy świętowania.

– O czwartej nad ranem? Nie obchodzą mnie żadne przypuszczenia. Wyślij posłańca, żeby się tego dowiedział. Dopóki nikt nie zaprzeczy, chcę, byś uznała, że zostaliśmy zaatakowani.

– Ale przez kogo? – zapytała z niedowierzaniem Jero.

– Czy to ważne? – Kastora obrócił się na pięcie i udał się z powrotem na wzgórze.

Thessa z trudem za nim nadążała. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie i bardzo ją to niepokoiło.

– Naprawdę myślisz, że zostaliśmy zaatakowani? Jesteśmy neutralnym miastem-państwem! Kto mógłby tego dokonać?

– Jeżeli strzelają do nas ze wschodu, to musi być Ossa.

Thessa roześmiała się nerwowo.

– Ale przecież mamy z nimi dobre stosunki. Jesteśmy partnerami handlowymi! Dlaczego mieliby nas zaatakować?

– Ponieważ wkrótce wszystkie zasady ulegną drastycznej zmianie. Kończą się nam zasoby, Thesso.

– Zasoby czego? – Przeszył ją paraliżujący strach. Dlaczego wizja ataku ze strony Ossy zupełnie go nie dziwiła? Czy wiedział coś, czego ona wiedzieć nie mogła?

Kastora zignorował jej pytanie.

– Jeśli nas zaatakowali, to znaczy, że jest gorzej, niż podejrzewałem. Ossa będzie chciała zdobyć nasze rezerwy żaropiachu, nasze badania, a nawet naszych hutników. Ostrzegала mnie przed tym. Myślałem, że się myli. Myślałem, że mamy więcej czasu. Ja...

– Mistrzu! – Thessa pstryknęła palcami. Był to jedyny sposób, by wyrwać go z głębin umysłu. – Co się kończy? Kto ostrzegł cię przed atakiem Ossy? Dopóki nie wyjaśnisz mi, o co tu chodzi, nie będę mogła ci pomóc.

W końcu skupił na niej uwagę.

– Adriana Grappo, to ona mnie ostrzegła – oznajmił. – Kobieta, która wynajęła mnie do stworzenia portalu feniksa. Powiedziała, że żądza Ossy, by zdobyć żaropiach, popchnie ją ku wojnie. Jedyne, co nam pozostało, to... – Gwałtownie odwrócił głowę, spoglądając w dół

wzgórza w kierunku bramy, gdzie Thessa ze zdziwieniem dostrzegła trójkę żołnierzy, stojących poza blaskiem pochodni. Mieli na sobie mundury królewskiej piechoty Grentu i wyglądało na to, że kapitanka Jero zamierza ich wpuścić.

– Nie otwieraj bramy! – warknął Kastora.

Jero odwróciła się, zaskoczona.

– Twierdzą, że przybywają ze stolicy z wiadomością od księcia – zawołała.

– A co jest źródłem tego hałasu? – odrzyknął Kastora.

Wywiązała się krótka dyskusja.

– To tylko odgłosy świętowania. Wpuścić ich?

Kastora łypał zajadle w kierunku bramy, niczym pies przyglądający się nieznanemu przy stole.

– Idź do mojego gabinetu i otwórz oba sejfy – powiedział cicho. – Klucz do tego po lewej ukryty jest w desce podłogowej pod lewą przednią nogą biurka. Klucz do drugiego sejfów znajduje się w pierwszym.

Oddech ugrzązł jej w gardle.

– Co się dzieje?

– Nie otwieraj bramy! – wrzasnął Kastora do Jero. – Nikt z wyjątkiem posłańca, którego wyślesz do Grentu, nie ma prawa tu wejść ani stąd wyjść. – Po czym, nie odpowiadając na zadane przez Thesę pytanie, kontynuował: – Zabierz wszystkie papiery z obu sejfów i zanieś je do wypalarni. Spalisz je, gdy tylko dam ci znak.

Thesę ogarnęła fala nudności. W tych sejfach znajdowały się badania, odkrycia i rysunki techniczne całej huty szkła z Grentu, było tam nawet kilka jej własnych. Spalenie ich oznaczałoby unicestwienie wielu pokoleń krzemowych innowacji. Uświadomiła sobie, że dotyczyłoby to również wszystkich tajemnic państwowych związanych ze szkłem bożym.

– Powinnam obudzić uczniów?

– Dopiero gdy spalimy dokumenty. Są ważniejsze niż życie któregokolwiek z nas.

Skinęła głową, licząc na to, że nie wygląda na zbyt przestraszona, i ruszyła biegiem w stronę jego biura. Wtem rozległ się huk wystrzału. Odwróciła się i zobaczyła, jak kapitanka Jero

chwieje się i upada. Jeden z rzekomo grenckich żołnierzy trzymał w ręku dymiący pistolet.

– Wyważyc bramę! Kompanio Sto Czterdziesta Druga, chwyc za bramę! – Rozkazy wychodziły z ust stanowczego mężczyzny z ossańskim akcentem.

Strach owładnął Thessą tak mocno, że niemal potknęła się i upadła. Pęd jednak utrzymał ją w pionie.

– Ej, wy tam, stójcie! – dobiegło ich wołanie żołnierza.

Mijając dormitorium, Thessa obejrzała się przez ramię. Kastora deptał jej po piętach, jedną ręką dając znaki, by się nie zatrzymywała, drugą zaś wciskając szkło boże w przekłute ucho.

– Biegnij, biegnij! – krzyczał.

– Otwórzcie bramę! – usłyszała, jak ktoś wrzeszczy po ossańsku. – Znajdźcie hutników!

Thessa dotarła do gabinetu sekundę przed Kastorą. Mistrz energicznie wbiegł przez drzwi i dzięki magii szkła mocy tkwiącego w jego małżowinie odrzucił biurko na bok z siłą trzech mężczyzn. Wyrwał obluźowaną deskę podłogową, otworzył lewy sejf, potem prawy i zaczął układać stos papierów na wyciągniętych rękach Thessy. Gdy okazało się, że dziewczyna nie może unieść nic więcej, klepnął ją w ramię.

– Do wypalarni!

Thessa przebiegła sprintem przez dziedziniec, a z oczu spływała jej kaskada łez. Wpadła do warsztatu, o włos uniknąwszy zderzenia z Axiem.

– Co się dzieje? – zapytał spanikowany uczeń. – Czy to był dźwięk wystrzałów z pistoletów?

Thessa zignorowała go. Otworzyła drzwiczki od pieca i wrzuciła stertę dokumentów prosto w żarzący się ogień, a jej wilgotne oczy wyschły momentalnie od poddmuchu gorąca i zapiekły od dymu.

– Co... – Axio ponownie próbował ją o coś zapytać, ale przebiegła obok, zatrzymując się kilka kroków dalej, by wykrztusić polecenia.

– Obudź uczniów, a potem stajennych. Nie, najpierw stajennych. Trzeba osiodłać konie. Obcy żołnierze próbują przejąć hutę. Musimy wyprowadzić wszystkich z budynku. Biegiem! –

Starła się wlać w wypowiedziane słowa pośpiech i autorytet mistrza Kastory, ale wydawało jej się, że brzmi zbyt gorączkowo. – Upewnij się też, że Palua wstała. Śpi w moim łóżu.

Sprintem popędziła w kierunku gabinetu Kastory i ze zdziwieniem zastała go stojącego na zewnątrz, opartego o długą, grawerowaną piszczel hutniczą, której używał, pracując nad większymi projektami. Z otwartych drzwi i okien jego biura unosiły się kłęby dymu. Thessa zamarła.

– Podpalileś budynek! – Ogień był jednym z największych zagrożeń huty szkła. Niekontrolowany piec mógł zniszczyć warsztat. Umiejętne podpalenie mogło obrócić cały kompleks w proch.

Twarz Kastory była popielata, jej wyraz ponury, lecz pełen determinacji.

– Tak będzie szybciej – odparł. – I skuteczniej. Nie pozwolę, żeby moja praca wpadła w ręce Ossańczyków.

– Poleciałam Axiowi obudzić stajennych – powiedziała Thessa, starając się nie myśleć, że w tym ogniu płonie cała krzemowa wiedza. – Osiodłają konie.

– Dobrze, powinniśmy stąd jak najszybciej uciekać. – Drgnął, jakby wyrwał się z zamyślenia. – Prototyp... – Zawiesił głos. – Nie, jest dla ciebie zbyt ciężki. Nie ma na to czasu. – Obrócił się w jedną, potem w drugą stronę, jakby nie mogąc się zdecydować, co zrobić.

Thessa złapała go za ramię i pociągnęła w kierunku stajni.

– Zbudujemy kolejny – zapewniła. – Ten zostaw płomieniom.

– Tak, masz rację.

Wkrótce biegli obok siebie, mijając kantinę i inne zabudowania. Gdy przebiegali przed dormitorium, Thessa zatrzymała się na moment, aby uciszyć Ekhięgo. Zdenerwowały go wystrzały i skrzeczał, przeraźliwie szamocząc się w klatce. Dziewczyna nie miała chwili do stracenia, więc po prostu otworzyła drzwiczki od klatki, nie mogąc znieść myśli, że ptak zostałby uwięziony w szalejącym ogniu.

– Dalej, Ekhi! Leć! – Wpatrywał się w nią przez ułamek sekundy, po czym wskoczył na najbliższą grzędę i przeleciał jej nad głową. Machając energicznie skrzydłami, odfrunął w bezgwiezdną noc.

Thessa wpatrywała się w niego z łamiącym się sercem, aż poczuła, że Kastora szarpie ją za ramię.

– Nic mu nie będzie – obiecał, więc pozwoliła, by pociągnął ją za sobą. Minęli kolejne dormitorium i wyszli z zakrętu dokładnie w momencie, gdy tylna brama kompleksu nagle się otwarła, a do środka wpadł oddział żołnierzy w grenckich mundurach z bagnietami na muszkietach. Thessa z trudem powstrzymała się, by do nich nie zawołać, nim zdała sobie sprawę, że oni również mogą być agresorami.

Mistrz Kastora wciągnął ją z powrotem za róg, a w jego oczach pojawił się gniew. Za ich plecami rozległy się krzyki i wystrzały. Wszystko wskazywało na to, że strażnicy huty stanęli do walki.

– Bronimy się! – szepnęła do Kastory. – Walczymy!

– Na to wygląda – skwitował mężczyzna i, jakby podejmując jakąś decyzję, wyciągnął z torby przy pasie zwitek pergaminu i wcisnął jej w dłoń. – Rozdzielmy się.

– Co?

– Dzięki temu będziemy mieli większe szanse na wygraną. Ty uciekniesz z huty, a ja zbiorę nasze oddziały i postaram się uratować tylu ludzi, ilu tylko zdołam.

– Ale gdzie mam uciekać? – zapytała zrozpaczona.

– Zabierz te schematy do Adriany Grappo, znajdziesz ją w hotelu Hiacynt w Ossie.

– Przecież to właśnie oni nas zaatakowali! – zaprotestowała Thessa.

– Nie wszyscy Ossańczycy są źli – przerwał jej ostro. – Adriana pomagała mi przy tym projekcie. Powiedz jej, że straciliśmy prototyp, a to są jego schematy. – Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. – Jeśli coś mi się stanie, chcę, żebyś to ty go odbudowała.

– Ale...

– Pod żadnym pozorem nie przekazuj tych szkiców nikomu innemu. Żaden marny, ossański hutnik nie zasługuje, by dokończyć moje dzieło. Ty masz to zrobić. Rozumiesz?

Thessa zadrzała, próbowała jednak opanować ciało, zbierając w sobie odwagę, by stawić czoła determinacji bijącej z oczu Kastory.

– Tak.

– Nie martw się. Nie sądzę, żeby do tego doszło. Postaram się na tak długo zatrzymać wroga, byś zdołała uciec, a potem wycofam się do miasta. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, pod koniec tygodnia spotkamy się w hotelu Adriany. A teraz biegnij!

Zanim zdążyła zaprotestować, Kastora ruszył pędem wzdłuż muru okalającego kompleks, a jego cień co jakiś czas pojawiał się w świetle gazowych latarni. Thessa zamarła na kilka chwil, mając częściowo nadzieję, że mężczyzna wróci i ucieknie wraz z nią. Ale gdy stało się jasne, że nie wróci, wzięła parę głębokich oddechów. Da radę. Już wiele razy była w Ossie. Wtopienie się w tłum nie było niczym trudnym. Musiała jedynie zbiec z Grentu przed inwazją.

Do dzieła.

Okrążyła stajnię, zatrzymując się, by po raz kolejny zaczerpnąć powietrza. Następnie rozłożyła na ziemi stos pergaminu, wygładziła go, zwinęła w ciasny rulon i wcisnęła do buta. Upewniwszy się, że nie wystaje, zakradła się do stajennych drzwi.

– Axio – wysyczała w ciemności. – Axio, przygotowałeś konie?

Brak odpowiedzi. Przeklęła samą siebie, wiedząc, że nie zdoła osiodłać konia po ciemku. Chwila niezdecydowania sprowadziła na nią kłopoty, gdyż nagle z lewej strony dobiegł ją stanowczy krzyk.

– Stój! Pokaż ręce. Żadnych gwałtownych ruchów.

Przeszedł ją dreszcz przerażenia, gdy odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w średnim wieku w źle dopasowanym grenckim mundurze. Trzymał muszkiet na wysokości piersi, z przytwierdzonym do niego bagnetem, i wyglądał, jakby bez zawahania mógł go użyć. Nie było wątpliwości, że jego akcent pochodził z Ossy.

Thessa nie mogła zmusić się do odpowiedzi, kiedy nagle z porannego mroku wyłonił się jakiś kształt, uderzając żołnierza prosto w twarz. Rozległy się wrzaski i przekleństwa, aż żołnierzowi udało się odeprzeć Ekhego, który dwukrotnie odbił się od ziemi i wzbił w powietrze, znikając z pola widzenia dziewczyny. Mężczyzna podniósł muszkiet, wycelował i strzelił.

Tuż po wystrzale rozległ się pojedynczy, agonalny skrzek. Serce podskoczyło Thessie do gardła; wstrzymała oddech, a obawa o własne życie ustąpiła miejsca natychmiastowej fali wściekłości

i żalu. Rzuciłaby się na tego przeklętego żołnierza, gdyby ktoś nie złapał jej od tyłu.

– Biegnij! – wysyczał jej do ucha Axio. – Odciągnę jego uwagę, a ty uciekaj! – Nie czekając na odpowiedź, podniósł ciężki topór do rąbania drewna i stanął naprzeciwko bluzgającego żołnierza.

Thessa zdała sobie sprawę, że biegnie co sił w nogach, a z oczu leją jej się łzy. Przecięła stajnię i wybiegła na tyły, odryglowała małe drzwiczki gospodarcze w murze kompleksu i szybko się przez nie wymknęła. Pędziła ścieżką prowadzącą do lasu, z dala od huty, a drogę oświetlał jej płonący gabinet mistrza.

Zmęczona, wystraszona, z adrenaliną wciąż buzującą w żyłach, Thessa stłumiła poczucie winy z powodu Axia pozostawionego na pastwę losu z wrogim żołnierzem. Miała w głowie jedną misję: musiała wydostać się z Grentu i dotrzeć do Ossy, gdzie w domu wroga poczeka na przybycie Kastory.



Kizzie Vorcien, egzekutorka rodzinnej gildii Vorcienów, stała na schodach prowadzących do jednego z budynków na skraju Dzielnicy Zamkowej w Ossie, skąd obserwowała mijających ją biesiadników i ulicznych artystów, biorących udział w corocznych obchodach święta przesilenia. Minęła dziewięta, a ponad harmidrem ulicznego jarmarku dało się słyszeć odległe wystrzały z armatnich dział.

Zastanawiała się, ile z tych osób świadomych jest toczących się tuż za rogiem walk. O ataku Legii Cudzoziemskiej na Grent w celu pomszczenia śmierci Adriany Grappo pisały co prawda wszystkie poranne dzienniki, ale artykuły w gazetach wcale nie musiały oznaczać, że mieszkańcy Ossy rozumieli, co tak naprawdę się działo. Złe rzeczy zwykły przytrafiać się komuś innemu, nie mieszkańcom wspaniałej ossańskiej stolicy. Nikt nie przerwie świętowania, dopóki kule armatnie nie zaczną przeszywać lokalnych kamienic, a może nawet wtedy nic się nie zmieni.

Uwagę znużonej Kizzie przykuła jedna z ulicznych artystek. Była to starsza kobieta ubrana w jaskrawą tunikę, niosąca

przewieszony przez ramię zniszczony futerał na skrzypce. Zdawało się, że jest w tych stronach dość znana, gdyż zebrał się wokół niej niewielki tłumek, a staruszka przechadzała się pośród zgromadzonych, rozmawiała, śmiała się i potrząsała puszką, wyraźnie zachęcając zgromadzonych do wrzucenia kilku monet lub banknotów. Kiedy nikt nie był już skory ofiarować więcej datków, wyszła na środek ulicy i położyła futerał na bruku. Następnie otworzyła go, wyjęła instrument i przybrała osobliwą pozę.

Przechyliła głowę na bok i zaczęła stroić skrzypce, marszcząc przy tym brwi z taką frustracją, że jej twarz przybrała wyraz wręcz komiczny. Puściła oko do jednego z wpatrujących się w nią dzieci. Kizzie prychnęła, widząc ten mały popis, lecz mimo wszystko była nim zaintrygowana i z rosnącym rozbawieniem mu się przyglądała, choć zdawało się, że trwa on aż nazbyt długo.

Uczucie mrowienia pojawiło się u podstawy szyi i powędrowało w dół, przez ramiona ku koniuszkom palców. Kizzie odczuwała to za każdym razem, gdy tylko jakiś tancerz korzystał w pobliżu ze swej magii. Przyjrzała się uważniej ulicznej artystce, a wtem z futerału leżącego u jej stóp coś wyskoczyło.

Ptak. A raczej coś go przypominającego. Dziwne stworzenie powstałe z wielobarwnych szkieł. Zeskoczyło z futerału na bruk i zaczęło tańczyć na dwóch chwiejnych, patykowatych nóżkach, podczas gdy staruszka kończyła stroić skrzypce. Przeciągnęła smyczkiem po strunach, wydobywając pojedynczą, długą nutę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, po czym wzbił się w powietrze, z chwilą gdy kobieta zaczęła grać.

Dzieci wybuchały gromkim śmiechem. Dorośli wzdychali z zachwytu, klaszcząc radośnie. Gapie szturchali się ramionami, zachęcając innych do wrzucania pieniędzy do futerału staruszki, a stworzonko wzlatywało i opadało w rytm granej melodii.

– Całkiem niezłe – powiedziała do siebie Kizzie. Bywała cyniczna, lecz nawet ją urzekło to widowisko. Istniały dwa rodzaje tancerzy szkła: ci genialni i ci, których umiejętności były raczej niewielkie. Tych drugich było stosunkowo wielu, wliczając w to Kizzie. Potrafiła wyczuwać szkło i innych tancerzy, a przy dużym skupieniu mogła również manipulować niewielkimi ilościami krzemionki.

Osoby obdarzone genialnym talentem spotykano znacznie rzadziej i prawie zawsze trafiały one do wojska, gdzie mogły wykazać się na polu walki, a następnie stać się członkami jednej z rodzinnych gildii. Najbardziej utalentowanych darzono ogromnym szacunkiem i lękiem, oni zaś traktowali zarówno siebie, jak i swą magię niezwykle poważnie. Ale ta kobieta! Jakim cudem udało jej się wymknąć z obowiązujących ram i zabawiać ludzi na ulicy, wyraźnie czerpiąc z tego przyjemność?

– Ach, gdybyśmy wszyscy mogli przeciwstawić się ciężącym na nas oczekiwaniom – mruknęła pod nosem Kizzie. Jeszcze chwilę obserwowała przedstawienie, zanim uleciała z niej radość i zmusiła się do odwrócenia wzroku od kobiety i skupienia na swym zadaniu. Chodziło o niewielki magazyn znajdujący się po drugiej stronie ulicy, pół przecznicy od artystki. Było to małe, niezbyt ciekawe miejsce tuż obok dużej stajni. Większość ludzi nie zwróciłaby na nie uwagi. Kizzie natomiast spędziła ostatnie dwa tygodnie, tropiąc skradziony transport żaropiachu, który doprowadził ją właśnie tutaj.

Przed wejściem do magazynu wylegiwała się młoda kobieta ubrana w ciężką, zimową, robotniczą tunikę, z luźno przewieszonym przez ramię garłaczem. Z przekrzywioną głową przyglądała się tancerce szkła, od czasu do czasu ziewając, a myślami błądząc gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Kizzie już dawno doszła do wniosku, iż problem z gangami polegał na tym, że skupiały one w swych szeregach tępych, leniwych i pozbawionych talentu osobników. Jeśli ktoś nie był wystarczająco dobry, by stać się egzekutorem w rodzinnej gildii lub wstąpić do Gwardii Narodowej, to jaki mógł być z niego pożytek przy pilnowaniu skradzionych dóbr?

Kizzie odepchnęła się od schodka, na którym stała, i powoli ruszyła w dół ulicy, mijając magazyn i jego strażniczkę, a następnie weszła do sąsiedniej stajni, gdzie zastała dwóch mężczyzn średniego wzrostu kręcących się przy drzwiach. Ich małe palce pomalowane były jasnoniebieską farbą oznaczającą posłuszeństwo wobec Vorcienów.

– To wy jesteście tymi wozakami, o których prosiłam? – Kizzie pokazała im swój krzemowy symbol: odwrócony trójkąt Vorcienów ze słońcem zachodzącym nad pustynnymi wydzmami. Jej znak był

znacznie mniejszy niż znak członka rodzinnej gildii, wszak była jedynie bękartką, wzbudzał jednak pożądany respekt.

Jeden z nich skinął głową, zerkając nerwowo na ulicę.

– Liczę na to, że szybko się z tym uporamy. Słyszałem, że Dusiciele z Zamkowego Wzgórza są niebezpieczni. – Jego towarzysz przytaknął ochotczo.

– Dusiciele z Zamkowego Wzgórza to samozwańcza rodzinna gildia, która nie wie nawet, jak sprzedać żaropiach skradziony z rzecznych łodzi Vorcienów – odparła Kizzie. Starła się nie okazywać irytacji tonem głosu. Dawniej tak nie było. Dawniej posiadała pewien status, poważanie. Dawniej dowodziła całą strażą Gwardii Narodowej, pojąc i karmiąc potężnych klientów Vorcienów. A teraz zdegradowali ją do tropienia złodziei.

– Może wróćmy, kiedy będzie trochę mniej tłoczno, co? – zapytał drugi wozak.

– To jest Zamkowe Wzgórze. Tu zawsze jest tłoczno. Poza tym nocą spodziewaliby się nas bardziej niż teraz. Dostyc tego, przyprowadźcie konia z wozem.

Nie czekając na odpowiedź, Kizzie opuściła stajnię. Przywarła ramieniem do muru i, idąc powoli, jakby od niechcienia, zbliżyła się do strażniczki. Nieszczęsna kobieta nawet jej nie zauważyła i zorientowała się, dopiero gdy Kizzie ukuła ją sztyletem w bok. Biedaczka zrobiła gwałtowny wdech.

– Masz dwie możliwości – zaczęła uprzejmie Kizzie. – Albo zaczniesz się drzeć i przedziurawię ci płuca, albo odpowiesz na kilka pytań i będziesz mogła dalej oddychać. Kiwnij głową, jeśli zdecydujesz się na to drugie.

Strażniczka przełknęła z trudem i skinęła głową.

– Kim jesteś?

Kizzie uniosła prawą rękę, ukazując krzemowy symbol, lewą zaś, w której trzymała sztylet, mocno przycisnęła do boku kobiety.

– A niech to szkło – przekłęła strażniczka. – Iasmos mówił, że Vorcienowie nie dadzą rady nas namierzyć.

Iasmos był drobnym oszustem, samozwańczym szefem Dusicieli z Zamkowego Wzgórza.

– Iasmos jest idiotą – stwierdziła Kizzie. – Ilu waszych jest w środku?

– Tylko Iasmos i dziewczynki.
– Jakie „dziewczynki”? – Kobieta zwlekała z odpowiedzią, więc Kizzie mocniej wbiła sztylet w jej bok.
– Ała! Jego siostry, Dorry i Figgis.
– Nikt więcej?
– Nie!
– Jaki rodzaj szkła bożego mają przy sobie?
– Cała trójka korzysta ze szkieł mocy. A Iasmos ma jeszcze szkło rozumu, ale wydaje mi się, że jego moc już dawno się zużyła.
– Dobra. Zsuń garłacz z ramienia. Tak. A teraz powiedz, czego się dziś nauczyłaś.

Kizzie wbiła sztylet jeszcze głębiej, na co strażniczka zareagowała, wydając z siebie dźwięk przypominający westchnienie, po czym odpowiedziała:

– Nie kraść od Vorcienów!
– Nieźle. Jestem pod wrażeniem. A teraz wynoś się stąd. Udam, że nigdy nie widziałam twojej twarzy.

Kobieta posłusznie wykonała polecenie i pospiesznie ruszyła w dół ulicy, nie oglądając się za siebie. Kizzie odczekała chwilę, upewniwszy się, że strażniczka nie zawróci, a następnie skierowała się w stronę wąskiej alejki obok magazynu. Wyrzuciła garłacz w błotnisty rów i wyjęła z kieszeni parę magicznych kolczyków. Zostały pieczołowicie zaprojektowane, łącząc trzy cienkie paski szkła bożego – szkło rozumu, szkło mocy i szkło zmysłów – w potężną całość. Były to zdecydowanie najdroższe przedmioty, jakie posiadała. Uniosła je pod światło, sprawdzając, ile magii w nich pozostało. Ich kolor już częściowo wyblakł, niczym kieliszek wina w połowie wypełniony trunkiem. Jeśli będzie się pilnować, posłużą jej jeszcze przez pięć miesięcy. Wsunęła haczykowate końcówki w przekłute płatki uszu i zaczęła wsłuchiwać się w magiczny szum, dzięki któremu czuła się bardziej ożywiona.

Kizzie nie była z natury osobą gwałtowną, lecz pomijając nawet jej niewielki talent tancerki szkła, bywała wyjątkowo niebezpieczna. Tego w sumie wymagano od niej na stanowisku egzekutorki rodzinnej gildii. Uważała jednak, że wyłącznie durnie posuwają się do przemocy w pierwszej kolejności. Woląla bardziej wyrafinowane metody: staranne planowanie, trochę przekupstwa

i szantażu, plus stare dobre śledztwo. To były jej standardowe narzędzia pracy.

Niestety, pozbycie się podrzędnego gangu nie wymagało zbyt dużej subtelności.

Podeszła do bocznych drzwi magazynu, znajdujących się na końcu alejki, i mocno w nie walnęła. Przyłgnęła plecami do ściany, przełożyła sztylet do prawej ręki i wyciągnęła z kieszeni metalową pałkę. Drzwi się otworzyły i rozbrzmiał kobiecy głos, pytający:

– Czego?

Kizzie uderzyła kobietę pałką w udo, co wywołało okrzyk bólu i zapewniło egzekutorce wystarczająco dużo czasu, by przyjrzeć się twarzy ofiary. Tak, to była jedna z sióstr Iasmosa, Figgis. Kizzie poderżnęła jej gardło i kopnięciem wrzuciła do wnętrza magazynu, biegiem podążając za upadającym truchłem. Szkło mocy sprawiało, że jej ciało przekraczało wszelkie granice, zapewniając nadnaturalną szybkość i siłę, zaś szkło rozumu pozwalało obserwować otoczenie tak, jakby świat stał w miejscu.

Pomieszczenie nie było zbyt dobrze oświetlone, co mogłoby utrudnić Kizzie orientację, ale w tym pomagało połączone w kolczykach szkło zmysłów. Po lewej dostrzegła Iasmosa – dwudziestolatka ubranego w brudną, lecz drogą marynarkę, prawdopodobnie zdjętą z kogoś, kogo zamordował. Druga siostra, Dorry, stała tuż za nim. Oboje z otwartymi ustami wpatrywali się w Figgis.

Kizzie rzuciła pałką zza głowy, trafiając Iasmosa prosto między oczy. Upadł do tyłu, zamroczony na tyle długo, by mogła zmniejszyć dzielący ich dystans i wbić sztylet między jego żebra. Wtem zauważyła, że Dorry podnosi pistolet. Wydobyla sztylet z ciała Iasmosa, lekko je unosząc i używając jako tarczy, gdy pocisk wystrzelił z lufy.

Huk, wzmocniony przez magię szkła zmysłów, ogłuszył Kizzie. Zignorowała jednak dzwonienie w uszach, odrzuciła Iasmosa i wbiła sztylet w oko Dorry.

Potem sprawdziła, czy w magazynie nie ma żadnych innych członków gangu, po czym wróciła, by upewnić się, że cała trójka nie żyje. Wytarła sztylet o marynarkę Iasmosa. Serce waliło jej jak oszałałe, rękawy tuniki poplamione miała krwią, a na dodatek

zupełnie nic nie słyszała. Pomijając te niedogodności, cała akcja zakończyła się sukcesem.

Przerwała rozważania i ponownie przeszukała magazyn. Była to typowa złodziejska kryjówka, ze skradzionymi towarami porozrzucanymi na ziemi i leżącymi bezładnie na półkach. Łupy składały się głównie z rzeczy, które „wypadły” z rzecznych łodzi lub zostały skradzione przez kieszonkowców. Kizzie nadal nie wiedziała, kim jest ich łącznik w rzecznych dokach, nie była to jednak część jej zlecenia. Tym razem chodziło o skrzynię z żaropiachem, o pojemności zaledwie kilku metrów sześciennych, schowaną w rogu i opatrzoną krzemowym symbolem Vorcienów. Gdy okazało się, że nadal jest pełna drobnego, szarawego piasku, Kizzie odetchnęła z ulgą. W tym momencie swego żywota nie potrzebowała kolejnych porażek.

Wymieniła splecione kolczyki na kawałek szkła leczniczego, które w ciągu kilku chwil zatrzymało dzwonięcie w uszach. Wychyliła głowę przez boczne drzwi magazynu. Biesiadnicy musieli słyszeć wystrzał, ale zdawali się zupełnie tym nie przejmować, podeszła więc do wejścia i je otworzyła.

Wozacy czekali już na zewnątrz z koniem i wozem.

– Przynieśliście brezent, o który prosiłam?

– Tak, psze pani.

– Dobrze. Załadujcie żaropiach do wozu, a następnie owińcie te trzy ciała i wrzucie je na górę.

Mężczyźni spojrzeli na krew na jej tunice, ale nic nie odrzekli. Wiedzieli, że lepiej nie zadawać głupich pytań egzekutorce Vorcien. Gdy zabrali się do pracy, Kizzie uraczyła się skradzionym towarem: trzema złotymi zegarkami, sześcioma portfelami, kilkoma niskiej jakości szklami bożymi i butelką dwunastoletniego ereptijskiego wina.

– Najpierw dostarczcie żaropiach, a potem zawieźcie ciała do fabryki konserw na Rzeźniczą – poleciała. – Szkło boże, które tu znajdziecie, ma trafić do rodzinnej gildii, a reszta tych śmieci należy do was – oznajmiła, wskazując ręką na złodziejską kryjówkę.

– Naprawdę? – zapytał ze zdziwieniem jeden z wozaków.

– Kizzie Vorcien potrafi zatroszczyć się o swych ludzi – odparła.

– Wielkie dzięki, Kizzie! – odpowiedzieli jednocześnie.

Wróciła na ulicę, wrzuciła jeden ze złotych zegarków do futerału ulicznej artystki i ruszyła przez miasto ku Dzielnicy Zgromadzenia. Przed jedenastą dotarła do ulubionej kawiarni, gdzie podwinęła rękawy, żeby ukryć ślady krwi. W kawiarnianym ogródku opadła na krzesło z kutego żelaza i schowała twarz w dłoniach, pozbywając się oparów adrenaliny buzującej w jej wnętrzu.

Znała wielu egzekutorów lubujących się w zabijaniu. Uważali to za atut tej pracy. Ona była odmiennego zdania. Co prawda nie zrujnuje jej to życia, ale minie kilka tygodni, nim znów będzie mogła spać spokojnie. Tropienie skradzionych ładunków, likwidowanie drobnych złodziejasek, którym powinna się noga: to wszystko należało do obowiązków egzekutora niższego szczebla. Od ponad dziesięciu lat nie musiała parać się tego typu zleceniami. A mimo to była tu, gryząc się w język i wykonując brudną robotę. Przymuszczała, że taka jest cena porażki.

– Kissandra Vorcien.

Kizzie podniosła gwałtownie wzrok na osobę wysuwającą stojące naprzeciw niej krzesło i siadającą na nim. Już chciała ją zbesztać, ale powstrzymała się dzięki magicznym zmysłom, informującym, że osobnik ten dysponuje niezwykłym talentem. Przed nią znajdował się ktoś, kogo ledwo rozpoznała. Był niższy od niej o kilka centymetrów, miał zaczesane do tyłu czarne włosy, cienką szkarłatną marynarkę narzuconą na szarą tunikę i ciemnooliwkową skórę obywatela Ossy. Dostrzegła odłamek wysokiej jakości szkła harmonii tkwiący w jego prawym uchu.

– A niech mnie szkło – palnęła. Natychmiast zapomniała o frustracji i uleciało z niej całe zmęczenie. – Demir Grappo!

Demir uśmiechnął się do niej.

– Poznajesz mnie?

– Ledwie! – Kizzie była doświadczoną egzekutorką, osobą przyzwyczajoną do niespodzianek, ale widok Demira Grappa był dla niej cholernym szokiem. Znikła gdzieś jego pulchna, delikatna skóra politycznego geniusza, który dzięki urokowi osobistemu wkradał się do alków większości córek ossańskich rodzinnych gildii. Schudł co najmniej dwadzieścia kilogramów, a jego twarz i ręce pokrywały stare blizny. Wyglądał na zaprawionego w boju, jakby od dwóch

żywotów sam pracował jako egzekutor. Zdała sobie sprawę, że patrzy na niego z rozdziawionymi ustami.

– A niech mnie szkło – powtórzyła.

– Nic się nie zmieniłaś – powiedział z zawadiackim uśmiechem. – Co prawda, gdy widziałem cię po raz ostatni, nie byłaś cała we krwi, ale muszę przyznać, że dobrze wyglądasz.

– To próba podrywu czy szczerzy komplement? – zapytała z powątpiewaniem.

Demir położył rękę na sercu, udając zszokowanego.

– Nigdy nie ośmieliłbym się z tobą flirtować.

– No tak, oboje doskonale wiemy dlaczego. – Prychnięcie Kizzie przerodziło się w śmiech i złapała się na tym, że zaczęła się szeroko uśmiechać. Ostatnio nie miała zbyt wielu przyjaciół. Spotkanie z Demirem sprawiło jej prawdziwą, choć niespodziewaną przyjemność. – Co się z tobą działo? To znaczy, słyszałam plotki, ale... – Urwała, a jej pogodność zmieniła się w niezręczność, gdy starała się wymyślić, co powiedzieć komuś, kto splądrował miasto, a potem zniknął na kilka lat, przechodząc załamanie psychiczne. Zganiła się w myślach, przypomniałszy sobie, że jest zwykłą egzekutorką, on zaś przewyższa ją nie tylko rangą. Miała nadzieję, że wybaczy jej niestosowne zachowanie przez wzgląd na ich młodzieńczą przyjaźń.

Na szczęście uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Przeprowadziłem się do Marn – zaczął Demir. – Poślubiłem księżniczkę, walczyłem z piratami na pełnym morzu i założyłem nową religię, a do Ossy powróciłem w poszukiwaniu wyznawców.

Kizzie zmrużyła oczy, zastanawiając się, ile z tego jest właściwie prawdą. W jego przypadku nie było rzeczy niemożliwych.

– A niech mnie szkło! Twoja matka! Tak mi przykro. Wiesz, jak bardzo ją podziwiałam.

Uśmiech Demira zbladł lekko, lecz nie znikł.

– Dziękuję. Kawy? Herbaty?

– Kawy.

Machnięciem dłoni przywołał kelnera i złożył zamówienie.

– Z góry przepraszam za pominięcie kolejnych uprzejmości, ale czeka mnie bardzo pracowity dzień. Chciałbym zaproponować ci pracę.

– Ale... ja mam pracę – odparła Kizzie, wpatrując się w Demira z zakłopotaniem. Miała do niego mnóstwo pytań. Gdy rozmawiali po raz ostatni, był jeszcze szalenie popularnym gubernatorem ossańskiej prowincji. Tak wiele się od tamtego czasu zmieniło.

– Wypadłaś z łask, Kizzie.

Nagle poczuła, że powinna przyjąć pozycję obronną, zdziwiona, iż rozmowa zesłała niespodziewanie na jej temat.

– Co ty nie powiesz?

– Poprosiłem więc twojego brata, aby użyzył mi twych usług, na co przystał bez chwili zawahania.

– Którego brata?

– Caprica.

Kizzie przewróciła oczami. Capric nie był najgorszy z jej przyrodniego rodzeństwa, ale nie był też najlepszy. Ich relacje od zawsze miały charakter czysto biznesowy. Wypożyczenie jednego z egzekutorów przyjacielowi rodziny – bez pytania kogokolwiek o zdanie – było typowym zachowaniem Caprica.

– Czyli to jedna z tych rzeczy, na które nie mam wpływu, tak?

Demir wzruszył ramionami.

– To nie w moim stylu. Wyjaśnię ci, na czym polega to zadanie. Jeśli nie będziesz chciała się go podjąć, powiem Capricowi, że zmieniłem zdanie. A jeśli się zdecydujesz... Dobrze zapłacę. Śmiem też twierdzić, że jestem osobą, którą warto mieć po swojej stronie.

Kizzie zagryzła wewnętrzną stronę policzka, podczas gdy kelner postawił przed nimi filiżanki z kawą. Czy rzeczywiście warto było mieć go po swojej stronie? Adriana nie żyje, Demir pojawił się znikąd po dziewięciu latach nieobecności. Wypożyczenie jej usług rodzinie Grappów nie było niczym niezwykłym. Z drugiej strony mężczyzna był teraz patriarchą rodzinnej gildii, a nawet gdyby nim nie był, to i tak wzbudzał szacunek z racji nietuzinkowego talentu magicznego. Oczywiście, że go wysłucha.

– Jeszcze przed chwilą nie miałam pojęcia, żeś wrócił do miasta.

– Jestem w domu od niespełna dwudziestu czterech godzin. – Niecierpliwie postukał palcami w stół. – To jak?

– No dawaj – powiedziała.

– Co wiesz o śmierci mej matki?

Kizzie pokręciła głową.

– Tylko tyle, ile przeczytałam w gazetach. Od dwóch tygodni krążyły jakieś plotki, ale dopiero dziś ukazały się wiadomości o jej śmierci. Zginęła na schodach przed siedzibą Zgromadzenia z rąk grenckiego agenta.

– Moją matkę zabiło sześć osób. Tylko jednego sprawcę złapano. Chcę, abyś odnalazła pozostałych pięciu.

– Och. – Kizzie odchyliła się na krzesło, odstawiając sączoną kawę. To była zupełnie inna historia niż ta, którą opisywały gazety. – Pozostała piątka nie była z Grentu?

– Nie wiem. Ujęty zabójca wydawał się tak twierdzić, ale taki jest właśnie problem ze szkłem dyscypliny: ujawnia tylko to, co dana osoba wie. Dobrze wiesz, że publiczne egzekucje mają na celu przekazanie jakiejś informacji, więc chcę się dowiedzieć, o co chodzi w tym przypadku. Ważniejsze od poznania zabójcy mej matki jest poznanie motywu.

– A sam nie chcesz się tym zająć? – Tancerze szkła nie stronili od rozlewu krwi. Demir nigdy nie był człowiekiem gwałtownym, ale Kizzie przypuszczała, że zabójstwo matki mogłoby obudzić w nim żądzę zemsty.

Demir wzdrygnął się i pokręcił przecząco głową.

– Chciałbym zająć się tym z trochę innej strony – odpowiedział zamyślony. – Moja matka... – Urwał, po czym powtórzył: – Z innej strony.

– Mam ich tylko znaleźć i przesłuchać, tak? Czy również wymierzać im sprawiedliwość?

Demir zabębnił palcami w stół, spoglądając na ulicę. Widać było, że nie podjął jeszcze w tej sprawie ostatecznej decyzji. W końcu się odezwał:

– Zrobisz, co uznasz za stosowne.

– Serio?

– Tak. Jak już wspominałem, nieważne, kto to zrobił, ważne, dlaczego to zrobił.

– To zdecydowanie utrudnia sprawę.

Demir uniósł filiżankę i położył coś na spodku, przesuując go po stole w kierunku Kizzie. Był to kawałek jasnozielonego szkła

bożego w kształcie podkowy, wielkości małego palca u dłoni, z jednym zwężonym ramieniem zakończonym haczykiem umożliwiającym wsunięcie go w dziurkę w uchu.

– Szkło dyscypliny? – zapytała zaskoczona. Ten rodzaj szkła bożego nie był czymś, z czego można swobodnie korzystać; pozostawał niedostępny, wręcz zabroniony dla zwykłych cywili, ale gdy było się wystarczająco bogatym lub wpływowym, można go było w pewien sposób zdobyć.

Kizzie jednak nie widziała żadnego od lat.

– Chcę zeznać.

Spojrzała uważnie w oczy Demira. Dostrzegła w nich jakąś ostrość, której nie było tam w jego młodości; stanowczość, która odzwierciedlała zmiany w jego wyglądzie. Być może stał się już człowiekiem gwałtownym. Był w końcu tancerzem szkła. Czy planował zająć się czymś ważniejszym niż mordercy jego matki? Być może ręce wymachujące pałką stanowiły jedynie dodatek do jego planu.

– Czy Capric wie, w czym miałabym ci pomóc?

– Nie. – Demir sączył kawę, obserwując Kizzie znad brzegu filiżanki. – Powiedziałem mu, że potrzebuję dodatkowej ochrony do hotelu.

– Dlaczego ja?

Demir uniósł brew, jakby odpowiedź była nazbyt oczywista.

– Ponieważ ciężko zapracowałaś na reputację jedynej uczciwej egzekutorki w Ossie. Przedkładasz osobistą uczciwość nad lojalność wobec Vorcienów.

– Z tego właśnie powodu wypadłam z łask – prychnęła Kizzie.

– I ja to szanuję. Poza tym przyjaźniliśmy się w dzieciństwie i nie pogardziłbym teraz dobrą przyjaciółką. To jak? Przyjmiesz tę pracę?

To zdanie było echem tego, co przed kilkoma minutami przeszło Kizzie przez głowę, usypiając jej czujność. Powinna odmówić. Sprawą zabójstwa członkini Zgromadzenia powinna zająć się Gwardia Zgromadzenia, a nie samotna egzekutorka. Wszystko wskazywało jednak na to, że Gwardia zamknęła już dochodzenie, zwalając winę na Grent, czego Demir nie chciał zaakceptować.

– Może nie spodobać ci się to, do czego się dokopię – zauważyła.

– Jestem przygotowany na taką ewentualność.

– Dobra, ostatnie pytanie.

– Pytaj o cokolwiek chcesz.

– Czy Montego będzie brał w tym udział?

Demir zawahał się przez dłuższą chwilę.

– Został wezwany, ale nie mam pojęcia, kiedy się pojawi. Czy wy dwoje nadal jesteście... w separacji?

– Ciekawy dobór słów – odparła ze zmęczonym uśmiechem Kizzie. – Nie rozmawialiśmy od piętnastu lat. – Samo myślenie o Montegu było dość nieprzyjemne, i to z wielu powodów. Jednym z nich była ich przeszłość. Innym zaś fakt, że dosłownie wszyscy czuli się w jego towarzystwie niekomfortowo, w końcu facet zabijał dla sportu. Był jednym z niewielu ludzi na świecie, którzy budzili strach nawet w tancerzach szkła.

– Nie będę cię prosił, żebyś z nim współpracowała, ale może się zdarzyć, że na siebie wpadniecie – rzucił Demir.

Kizzie zdała sobie sprawę, że to w pewnym sensie przypieczętowało umowę. Szansa na ponowne spotkanie Montega, z Demirem pełniącym funkcję bufora, była zbyt idealna, by ją zaprzepaścić. Po tym, co wydarzyło się piętnaście lat temu, ograniczając ich kontakt do ledwie kilku listów, nagle pragnienie domknięcia pewnych spraw okazało się silną zachętą do działania.

Chwyliła kawałek szkła dyscypliny i włożyła go do wyściełanej korkiem kieszeni, a nawet chwilowy kontakt sprawił, że poczuła się trochę zmęczona i oszołomiona.

– Okej – powiedziała. – Zrobię to.

Coś jakby przemknęło przez twarz Demira. Czyżby ulga?

– Zgromadzenie nie zdradzi ci pewnie żadnych szczegółów. Doskonale zatuszowali sprawę i będą poirytowani, jeśli dotrą do nich wieści, że grzebiesz w ich śledztwie.

– Zdarzało mi się już omijać oficjalne dochodzenia – odrzekła Kizzie. Większość doświadczonych egzekutorów miała w tym wprawę. W końcu ich zadaniem było lawirowanie między Gwardią Narodową, rodzinnymi gildiami a prawem.

Demir wypił kawę jednym haustem, po czym wstał i rzucił na stół wystarczającą ilość monet, by zapłacić za obie.

– W razie potrzeby znajdziesz mnie w hotelu. Breenen zajmie się wydatkami i wynagrodzeniem. Dziękuję, Kizzie. Zdjęłaś mi właśnie ogromny ciężar z barków.

Kizzie uniosła filiżankę w kierunku Demira, a potem odprowadziła go wzrokiem.

– I – powiedziała cicho – przełożyłam go na swoje. – Mimo obaw czuła się zaintrygowana. Nigdy wcześniej nie miała okazji wściubić nosa w prawdziwą konspirację. To może się okazać banalne. Wytropi pięciu zabójców na granicy z Grentem, a później przekaze Demirovi, że wszystko jest dokładnie takie, jakie się wydaje.

Miała jednak przeczucie, że nie będzie to takie proste.



Pod osłoną porannego półmroku Thessa przepłynęła przez rzekę, używając jednego z licznych kajaków rozsianych po dokach wokół Grentu. Nie była ani strażniczką, ani żołnierką, ale z tego, co udało się jej zauważyć, inwazja zdawała się skupiać na wschodzie, wiele kilometrów od miejsca, w którym się znajdowała. Atak na Królewską Hutę Szkła w Grecie wydawał się incydentem odosobnionym. Wielokrotnie była o krok od powrotu, przekonując się w myślach, że Kastora zmobilizował już pewnie mały garnizon i odparł atak ossańskich najeźdźców. Otrzymała jednak zadanie i zamierzała je wykonać, dostarczając schematy Adrianie Grappo. Jeśli mimo wybuchu wojny Kastora chciał, żeby trafiły one do Grappo, będzie działał zgodnie z jego poleceniem.

Przed świtem, zaledwie kilka godzin po ataku na hutę, dotarła do północnych dzielnic Grentu. Dzwoniły kościelne dzwony, ludzie wyszli tłumnie na ulice, a plotki rozprzestrzeniały się prędkiej niż niekontrolowany płomień. Ktoś twierdził, że książę już nie żyje. Inny krzyczał, że ossański atak okazał się klęską. Jedni wrzeszczeli i wpadali w panikę, drudzy stali na progach swych domostw

i wpatrywali się w obłoki dymu unoszące się na wschodzie, upierając się, że wszystko to jest w rzeczy samej jedynie jakąś wielką pomyłką.

Thessa zatrzymała się tylko na chwilę, by zapytać przechodniów o wieści. Nie dowiedziawszy się niczego nowego, ruszyła dalej. Powierzono jej misję i zamierzała ją wykonać. Złapała się na spoglądaniu w niebo w poszukiwaniu znajomej sylwetki Ekhięgo, krążącej niegdyś nad hutą, daleko za nią. Jego nieobecność objawiała się poczuciem wewnętrznej pustki. Uświadomiła sobie, że był ostatnim, co łączyło ją z rodzinnym domem. Dostała go, gdy był jeszcze pisklęciem, a ona dopiero zaczynała naukę u Kastory. Od tamtej pory minęła już ponad dekada i przez cały ten czas Ekhi wytrwale jej towarzyszył.

Na przedmieścia dotarła w południe. Drogi zmieniły się w polne dróżki, kamienice w domy, a następnie w zagrody. Po wielu kilometrach marszu stopy bolały ją preraźliwie od ciężkich, hutniczych buciorów, a fartuch wrzuciła po drodze do jakiegoś rowu z obawy przed zdradzeniem swej profesji. Nie miała ani pieniędzy, ani dokumentów, ani szkieł bożych. Była wyczerpana i przestraszona, ale zmusiła się, by iść prosto i patrzeć pewnie przed siebie. Wiedziała, że jeśli będzie można dostrzec w jej chodzie celowość, istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, iż ktoś ją zatrzyma.

Nie był to właściwy czas na oplakiwanie Ekhięgo. Jeszcze nie. Plan był prosty: podążać brukowaną drogą aż do samej Ossy i wejść do miasta od północy, gdzie możliwość kontroli wydawała się znikoma. Nie wykluczała opcji, że będzie zmuszona przespać się noc lub dwie gdzieś w trawie, lecz i tak była zdania, że nadłożenie drogi wydaje się bezpieczniejsze.

Dochodziło późne popołudnie, gdy wspięła się na wzgórze i dostrzegła grupkę blokujących drogę ludzi. Była to jakaś duża rodzina, licząca około dwudziestu osób – głównie dzieci i osoby starsze. Mieli trzy wozy, a wszystkie wypełniało coś przypominającego ich dobytek. Ostatni z pojazdów ugrzązł w rowie u podnóża wzniesienia, z kołem głęboko zanurzonym w błotnistej brei. Wół wraz z czwórką dorosłych zmagił się z wyciągnięciem wozu z koleiny, podczas gdy dzieci i starszyzna wpatrywali się

w dym nad Grentem, nerwowo załamując ręce. Byli uchodźcami, uciekinierami pragnącymi wydostać się z miasta z powodu wybuchu wojny.

– Proszę pani! – zawołał jeden z mężczyzn. Miał może z czterdzieści lat i cały był oblepiony błotem od prób wyciągnięcia wozu z rowu. – Proszę pani, proszę nam pomóc!

Thessa zeszła z drogi, zamierzając wyminąć ich szerokim łukiem, gdy pojęła, że słowa te kierowane były do niej. Zawahała się. Zwolnienie tempa oznaczało, że wyprzedzą ją inni, i ci biedni ludzie wydawali się zamartwiać z tego samego powodu. Czy powinna zaryzykować i im pomóc?

– Bardzo panią proszę – zawołał ponownie mężczyzna. – Potrzebujemy jeszcze tylko jednej osoby. Powinno się udać. Jesteśmy już bardzo zmęczeni, a przed nami długa droga.

Thessa zastanowiła się przez moment.

– Dokąd zmierzacie? – zapytała.

– Do Vlorstadu – odpowiedział mężczyzna. – Mieszka tam mój ossański kuzyn, u którego będziemy mogli przeczekać obecną sytuację.

Trasa Thessy zakładała minięcie Vlorstadu późnym wieczorem. Miasto było przecież jeszcze daleko przed nią. Podróżowanie z tak liczną grupą mogłoby się jednak okazać bezpieczniejsze niż samotna przeprawa.

– Podwiózłbyś mnie do Vlorstadu? – spytała.

– Jak najbardziej!

Thessa zakasała rękawy i pospiesznie zeszła do rowu. Nie była wołem, ale lata pracy przy piecach zapewniły jej silne plecy i ramiona. Podparła ciężkie buty o śliskie krawędzie rowu i wraz z pozostałymi napała ramieniem na tył wozu. Zgodnie z przewidywaniem nieznanego udało im się rozkołysać pojazd w przód i w tył, aż koło wyskoczyło z koleiny. W ciągu kilku minut wyswobodzili wóz i przepchnęli go przez kolejne wzgórze.

Tam grupa zaczerpnęła tchu i dołączyli do niej pozostali. Thessa szybko znalazła się w tłumie dzieci tulących się do jej nóg oraz starszych mężczyzn i kobiet entuzjastycznie ściskających jej dłoń. Głowa rodziny – mężczyzna, który ją zawołał – przegonił ich i wyciągnął do niej rękę.

– Na imię mi Serres – przedstawił się.

– Teala – odpowiedziała Thessa, podając fałszywe imię, wymyślone już kilka kilometrów wcześniej.

– Bardzo ci dziękuję, Tealo. Przeszło obok nas wiele osób, nawet na nas nie patrząc, ty jednak nam pomogłaś. Wybierasz się do Vlorstadu, tak?

– Właściwie to dalej. Ale podwózka ocaliłaby moje stopy.

– Żaden problem, oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko, by w razie potrzeby wyciągnąć nas z kolejnych tarapatów.

Thessa przystała na ten warunek i wkrótce jechała już z tyłu wozu, do którego wydostania się przyczyniła, siedząc obok śpiącego dziecka i słuchając, jak żona Serresa śpiewa cicho, umilając sobie podróż. Możliwość odciążenia nóg przyniosła jej ogromną ulgę, ale dała też czas na myślenie o Ekhim. Zdawała się słyszeć jego pełen bólu skrzek, który rozległ się tuż po wystrzale z muszkietu, i choć nie była tego świadkiem, wyobrażała sobie zlepek piór i krwi upadający na ziemię.

Na szczęście Serres przerwał jej w porę te mroczne rozważania.

– Wiesz może, co się dzieje w Grecie, Tealo? – zagadnął przez ramię. – Nikt chyba nie wie, dlaczego Ossa zaatakowała.

– Ja też nie wiem – przyznała Thessa. Nie była to cała prawda, bo jeśli twierdzenia Kastory okażą się słuszne, to Ossańcy postanowili przejąć zarówno żaropiech, jak i badania ich małego miasta-państwa.

Mężczyzna przytaknął, jakby tego właśnie się spodziewał.

– Do jakiego miasta planujesz dotrzeć? – zapytał.

Thessa szukała w myślach łatwego kłamstwa.

– Mam przyjaciela w Havshire. Gdy tylko usłyszałam wystrzały, uznałam, że lepiej opuścić miasto.

– Mądra z ciebie kobieta – odparł Serres, poklepując kufer zamocowany tuż za jego siedzeniem. – My zrobiliśmy to samo. Żona zbudziła nas o piątej rano i spakowaliśmy wszystko, co tylko dało się tu zmieścić. Jeśli Ossa stwierdziła w końcu, że czas Grentu minął, najlepiej przenieść się gdzieś, gdzie można udawać, że było się tam od początku, czyż nie? Wątpię, by ktokolwiek zauważył jakąś różnicę. – Zamilkł na chwilę. – Do Havshire jest z osiemdziesiąt

kilometrów. Naprawdę zamierzałaś iść tam w tych butach i bez żadnego okrycia?

– Spanikowałam – odpowiedziała, mając nadzieję, że w jej głosie da się wyczuć zakłopotanie. – Gdy byłam dzieckiem, mieszkałam wraz z rodziną w Holikanie. Huk armatnich wystrzałów napawa mnie lękiem.

Serres się wzdrygnął.

– Och, w takim razie bardzo ci współczuję, młoda damo. Słyszałem historie o tamtym miejscu. Cholerni Ossańczycy. Jeśli chciałabyś zostać z nami na noc we Vlorstadzie, to co prawda nie mogę zaoferować ci łóżka, ale może uda mi się zdobyć zapasowy koc i mogłabyś się zdrzemnąć pod wozem.

Była to zdecydowanie lepsza opcja niż spanie w krzakach.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała Thessa. Wolałaby dotrzeć do Ossy jeszcze tej nocy, nawet jeśli musiałaby iść po ciemku, ale propozycja ta dawała jej dodatkowe możliwości. Podejmie decyzję po dotarciu do Vlorstadu.

Spojrzała na swoje buty, pokryte błotem i zwisające z tylnej krawędzi wozu. Nie powinna nosić ich poza hutą – były ciężkie i drogie, a im mniej się zużywały, tym lepiej. Prawie się uśmiechnęła na myśl, że Kastora zgani ją za wchodzenie w nich do rowu. Z pewnością tak uczyni, gdy tylko spotkają się w hotelu Hiacynt. Oczami wyobraźni widziała już, jak ją poucza, z roztargnieniem przeglądając schematy, które przemyślała do Ossy.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wyjęła z buta pergaminy ze schematami i rozłożyła je na kolanach. Czuła się przy tym trochę tak, jakby otwierała czyjś dziennik. Odsunęła od siebie tę myśl, uznając, że Kastora i tak zamierzał wprowadzić ją w ten projekt. Równie dobrze może się z nim zapoznać wcześniej.

Wszystkie kartki wypełnione były rysunkami technicznymi przedstawiającymi portal feniksa i okalającą go komorę. Przypominało to broń – działo, gdzie z jednej strony ładowano energię, a z drugiej otrzymywano magię. Krawędzie pergaminu pełne były komentarzy, zapisanych drobnym pismem.

Siedząc z tyłu wozu, mogła w spokoju i bez pośpiechu studiować schematy. W ciągu kilku godzin w pełni zapoznała się z teorią Kastory związaną z działaniem portalu i użytymi

materiałami. Zastanawiała się, czy ktoś wpadł już wcześniej na pomysł użycia szkła błysku jako rdzenia portalu. Rezonował on na swój magiczny sposób, ale od tysięcy lat nikt nie znalazł dla niego właściwego zastosowania. Wsunęła schematy z powrotem do buta, rozmyślając, jak mogłaby je ulepszyć.

Niedługo potem obudziło się śpiące obok niej dziecko i z zaskoczeniem zauważyła, że się jej przygląda. Chłopiec miał mniej więcej osiem, dziewięć lat i leżał zwinięty w kłębek w obszernej tunice. Thessa spojrzała w stronę Serresa, rozważając, czy powinna dać mu znać, że malec się zbudził, czy nie. Nie bardzo radziła sobie z maluchami. Przybywający do huty praktykanci mieli zazwyczaj około dwunastu lat i od czasu, gdy w Holikanie zginęła jej mała siostrzyczka, nie miała doświadczenia z młodszymi dziećmi.

– Cześć – odważyła się zagaić do chłopca.

Dziecko nic nie odpowiedziało.

– Jestem Teala. Miło mi cię poznać.

Nadal nie było odpowiedzi. Thessa przyglądała się malcowi przez kilka minut, czekając na jakąś reakcję, wydawało się jednak, że wystarczyło mu samo spoglądanie na nią. W końcu przeniosła wzrok z powrotem na południe, gdzie kłęby dymu połyskiwały na tle złotych promieni zachodzącego słońca.

Niespodziewanie poczuła, jak ktoś ciągnie ją za rękaw i, spojrzawszy w dół, dostrzegła chłopca wyciągającego małe drewniane zabawki i rozkładającego je sobie na kolanach. Było ich kilkanaście i przedstawiały różne zwierzątka. Układał je bez większego zaangażowania, jakby czekając na jej ruch.

– Wszystkie należą do ciebie?

Przytaknął uroczyście.

Thessa wskazała na jedno z nich – małego ptaszka z rozpostartymi skrzydłami.

– Ja też mam ptaka. To znaczy miałam. – Wzdrygnęła się, czując, jak uśmiech znika jej z twarzy. – Sokoła. Nazywał się Ekhi. Miał wspaniałe brązowe pióra zakończone czerwonym ubarwieniem i biało-brązową nakrapianą pierś.

Chłopiec położył figurkę na jej dłoni. Ujęła ją w dwa palce i naśladowała naturalny lot ptaka, okrążając głowę dziecka, następnie udała, że atakuje nim inne zwierzątko znajdujące się na

jego kolanach. Malec w końcu nie wytrzymał i na jego buzi pojawił się nieśmiały uśmiech, który zniknął tak szybko, że nie była pewna, czy aby go sobie nie wyobraziła.

– Leone – zawołał Serres. – Nie przeszkadzaj naszej gościni.

– Nie przeszkadza – zapewniła go Thessa.

– Jeśli zacnie, to po prostu go zignoruj. – Mężczyzna przeciągnął się i ziewnął. – Jeszcze tylko kilka godzin. Nie będę ukrywał, że cieszę się na myśl o dotarciu wreszcie na miejsce. Nie przepadam za podróżowaniem z tymi wszystkimi staruszkami. – Wskazał na dwa wozy przed nimi, gdzie najstarsi z grupy jechali z tyłu, zupełnie jak Thessa, podczas gdy większość dzieci szła obok powozu. – Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to żeby któryś z nich się rozchorował.

Gdy wjechali na wzgórze, wozy na przedzie zniknęły na chwilę z pola widzenia, a wtedy Serres niespodziewanie pociągnął za lejce, głośno przeklinając. Gwałtowne szarpnięcie niemal strąciło Thesę z furmanki. Podparła się i wyciągnęła szyję w poszukiwaniu przyczyny, spodziewając się powalonego w poprzek drogi drzewa czy czegoś podobnego.

To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Niecałe dwadzieścia kroków przed pierwszym wozem stała garstka ossańskich legionistów. Czterech mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy ubrani w czarne mundury ze złotymi wykończeniami i muszkietami zakończonymi bagnetami. To żołnierze blokowali drogę.

Nie było żadnego powitania, żadnej rozmowy. Mundurowi zbliżyli się, dwóch z nich wyszło na przód, a pozostali odsunęli się nieco do tyłu.

– Co się dzieje? – zapytał Serres.

Dowódczyni legionu, kobieta z plecionym karmazynowo-srebrnym wzorem na stójce od munduru, zignorowała jego pytanie.

– Och, jest nieźle – powiedziała do stojącego obok niej towarzysza. – Mówiłam, że to się nam opłaci.

– Proszę pani – zaczął stanowczo Serres. – Mamy dokumenty poświadczające nasze pokrewieństwo z obywatelami Ossy. Próbujemy po prostu dotrzeć do naszej rodziny.

Żołnierka zdawała się zupełnie nie zauważać, że ktoś do niej mówi.

– Tamten – rzekła, wskazując na Serresa. – Tamten, tamta i tamten. Och, i zdecydowanie tamta. – Wskazała bezpośrednio na Thesę. Drugi z żołnierzy podszedł i złapał Thesę za ramię. Próbowwała się wyrwać, gdy ściągał ją z wozu, lecz jego uścisk był niczym żelazna obręcz. Skrzywiła się, lądując ciężko na kolanie. Podnosząc wzrok, dostrzegła w jednym z jego uszu kolczyk ze szkłem mocy.

To był wyraźny sygnał, że jakkolwiek opór nie miał sensu.

Wkrótce zbliżyła się też pozostała piątka żołnierzy. Chwyтали członków rodziny i jednego po drugim wyciągali z wozów, popychając to na prawą, to na lewą stronę drogi, opróżniając w ten sposób furmanki z ludzi i odprowadzając je, wraz z końmi i wołem, na pobocze.

Sprzeciw Serresa stawał się coraz głośniejszy i gwałtowniejszy, aż w końcu jeden z żołnierzy uderzył go kolbą muszkietu w głowę. Thessa stłumiła jęk, gdy przeciągnięto go w jej stronę i porzucono obok.

Wszystko działo się tak szybko, że dziewczyna nie miała czasu, by jakoś zareagować. Najpierw w osłupieniu wpatrywała się w żołnierzy, następnie w drogę, na której zgromadzono wszystkie dzieci i starszych członków grupy. Leone, chłopiec, z którym się bawiła, wpatrywał się w ojca z otwartymi ustami, ściskając kurczowo drewniane zabawki. Thessa borykała się ze strachem i dezorientacją, zdając sobie sprawę, że powinna zawczasu przygotować plan na taką ewentualność, nie wiedziała jednak, co miałyby zrobić. Powinna uciekać? Porzucić rodzinę, która ją podwiozła? Przecież nie mogła im pomóc.

Dzieci płakały, dorośli zawodzili, a Thessa z rosnącym przerażeniem uświadamiała sobie, że wszystkie sprawne osoby zostaną zabrane wraz z nią. Rozejrzała się po grupie w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby przejąć rolę przywódcy, ale pozostali wydawali się jeszcze bardziej zszokowani niż ona. Uklękła obok Serresa, ochlapując go odrobiną wody z jego manierki i przyciskając brzeg tuniki do rozcięcia na czole, aż się ocknął.

Selekcja dobiegła końca. Dowodząca żołnierzami kobieta wyglądała na znudzoną; ziewała w kierunku płaczącego dziecka,

podczas gdy jeden z jej podwładnych wskazywał na drugą stronę drogi.

– Co mamy z nimi zrobić, sierżantko?

– Przepędzić. Nie będzie z nich żadnego pożytku.

Serres usiadł, rzucając Thessie pełne wdzięczności spojrzenie.

– Co zamierzasz z nami zrobić? – zapytał. – Mam rodzinę w Ossie, ja...

Sierżantka wyciągnęła pistolet z pewnością kogoś, kto gotów jest w każdej chwili oddać strzał. Serres zamilkł, a po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Jesteście intruzami – powiedziała, wzruszając ramionami. – Szpiegami przechodzącymi przez granicę, aby szerzyć chaos i niezgodę.

– W żadnym razie! – zaprotestował Serres.

Kolejne ziewnięcie sierżantki.

– Czy wyglądam na kogoś, kogo to obchodzi? Konfiskujemy twój dobytek. Ossańska marynarka wojenna potrzebuje marynarzy, a ja potrzebuję domku na wsi. – Jeden z żołnierzy roześmiał się głośno, a ona kontynuowała: – Jeśli przeżyjesz kilka wojaży, z pewnością pozwolą ci odnaleźć rodzinę, gdy wojna już się zakończy.

Thessa nie słuchała, skupiała się na uważnym obserwowaniu, szukając okazji do ucieczki. Wymknięcie się w kierunku drzew wydawało się najlepszą opcją. W końcu żołnierzy było jedynie siedmiu, a zakładników, z którymi musieli się uporać, ponad dwudziestu. Gdyby choć jeden z mundurowych chciał podjąć się próby jej schwytania, ryzykowałby rozproszeniem reszty więźniów. Thessa zaplanowała już trasę ucieczki, kiedy nieznany jej młodzieniec wyrwał się nagle do biegu, pędząc sprintem w stronę drzew, na które spoglądała.

Sierżantka bez mrugnięcia okiem zabrała muszkiet jednemu z podwładnych, wycelowała i wpakowała kulę między łopatki młodego człowieka.

Huk wystrzału był niczym fizyczny cios. Thessa patrzyła na upadające ciało, wsłuchując się w westchnienia otaczających ją ludzi. Kobieta w średnim wieku – prawdopodobnie matka chłopaka

– próbowała do niego podbiec, ale zatrzymali ją inni członkowie rodziny.

– Nie mam do was za grosz cierpliwości! – oznajmiła sierżantka. – Za godzinę będzie tu mój przyjaciel i wtedy wszyscy rozpoczniecie karierę w ossańskiej marynarce wojennej. Przyzwyczajcie się do klęczenia, bo jest tam wiele pokładów do wyszorowania!

Do tego momentu udało się Thessie zachowywać pozory spokoju. Zaatakowano jej hutę, zmuszono ją do porzucenia mistrza, zabito jej sokoła, a teraz planowano sprzedać ją jak psa? W końcu ogarnęła ją panika. Nie mogła pomóc towarzyszącej jej rodzinie, mogła za to pomóc sobie. Zawiedzenie Kastory nie wchodziło w grę. Poderwała się na równe nogi i wyprostowana stanęła naprzeciw sierżantki.

– Nie sprzedasz mnie do marynarki wojennej – rzuciła.

– Ale nikt tu nikogo nie sprzedaje – odparła kobieta z uśmiechem, jakby rozbawił ją wybuch Thessy. – Imperium Ossańskie zakazuje niewolnictwa. Będziesz tylko... hm... zmuszona do służby przez bliżej nieokreślony czas.

– Nie zgadzam się na to.

Jakakolwiek radość, którą sierżantka zdawała się czerpać z tej sytuacji, zaczynała zanikać.

– Przeladuj muszkiet – rozkazała podwładnemu.

Thessa rozpaczliwie szukała czegoś, co mogłoby ją uratować, nie ujawniając jednocześnie jej prawdziwej tożsamości. Polecenia Kastory odbijały się echem w jej głowie: „Nikommu nie ufaj. Udaj się prosto do Adriany Grappo”.

– Jestem dla ciebie o wiele cenniejsza tu w Ossie niż na jakimś tam statku.

– Co ty nie powiesz? – rzekła beznamiętnie kobieta.

– Jestem hutniczką.

Sierżantka zmrużyła oczy. Wszyscy wlepili wzrok w Thesę, od żołnierzy, przez Serresa, po resztę życzliwych osób, w towarzystwie których spędziła ostatnie kilka godzin. Kobieta podeszła i złapała Thesę za rękę, podciągając jej rękawy, by przyjrzeć się bliznom. Rzuciła okiem na tunikę dziewczyny, a potem na jej buty.

– No niech mnie szkło! – zaczęła. – Wygląda na to, że mówisz prawdę. Jaki masz stopień?

Thessa się zawahała. Nie powinna zbyt dużo ujawniać.

– Starszej uczennicy – odpowiedziała.

– Nieźle.

Thessa poczuła, jak zalewa ją fala ulgi.

– Mogę zorganizować zapłatę w zamian za moją wolność. W ten sposób zarobisz znacznie więcej. Obiecuję.

Sierżantka zdawała się dumać nad tym przez chwilę, a na jej twarzy pojawił się grymas zamyślenia.

– Od kogo?

„Nikommu nie ufaj”. Thessa musiała jednak zaryzykować. Inaczej nie uda jej się dostarczyć schematów.

– Od Adriany Grappo z hotelu Hiacynt. Jest przyjaciółką mojej rodziny.

Sierżantka oddaliła się, by naradzić się z dwoma podwładnymi, podczas gdy pozostali pilnowali uchodźców. Serce Thessy waliło jak oszalałe. Czuła, że jej niedawni towarzysze wpatrują się w nią z mieszkanką strachu, złości i zazdrości. Nie chciała ich opuszczać, ale zmusiła się do skupienia wyłącznie na swej misji. Może wyjdzie z tego obronną ręką.

Dyskusja ciągnęła się przez dobre kilka minut. Po karku Thessy zaczął spływać pot, a żołnierze pełniący wartę przechadzali się nerwowo.

W końcu sierżantka wróciła, wyglądała na poirytowaną.

– Złożyłaś kuszącą propozycję – oznajmiła. – Ale jej nie przyjmuję.

Oddech ugrzązł Thessie w gardle. Czy naprawdę zostanie wysłana do ossańskiej marynarki wojennej? Nie istnieje żadna inna możliwość ucieczki?

– Dlaczego? – zażądała odpowiedzi, wkładając w to pytanie całą władczość, jaką tylko mogła z siebie wykrzesać.

Sierżantka wyglądała na nieporuszoną.

– Ponieważ otrzymaliśmy ściśle instrukcje dotyczące schwytych hutników z Grentu. Mamy ich wysłać do Huty Szkła w Lesie Kości Słoniowej. Co więcej, Adriana Grappo nie żyje. – Wzruszyła ramionami. – To jej śmierć jest powodem tej wojny.

Wątpię, by udało nam się uzyskać zadowolającą zapłatę od jej marnotrawnego syna.

Thessa zatrzymała się na słowach „nie żyje” i nie słuchała już dalszej wypowiedzi kobiety, wpatrując się w nią z otwartymi ustami i czując, jak drętwieje jej całe ciało.

– Ale... Co się stało... Ja nie... – Próbowwała sformułować jakieś sensowne zdanie.

– Koniec z pytaniami – sapnęła sierżantka. Jej zachowanie wyraźnie się zmieniło. Może nie zachowywała się wobec Thessy z szacunkiem, ale nie traktowała jej też aż tak surowo jak pozostałych zakładników. Dziewczyna próbowała znaleźć w tym jakieś ukojenie, ale na nic się to zdało. Miała w Ossie tylko jedną sprzymierzeńczynię, martwa nie zapewni jej jednak ochrony niezbędnej do przetrwania wojny. Jak miała się spotkać z mistrzem Kastorą? Dokąd miałyby się udać?

Zakładając oczywiście, że jakimś cudem uda jej się wygrzebać z tego bagna.



Grent był niezwykłym miastem-państwem, zuchwale zbudowanym w samym sercu ogromnej rzecznej delty. Niezliczone kanały dzieliły je na setki wysp o przeróżnej wielkości, a zdumiewające wały przeciwpowodziowe kontrolowały przepływ wody, stając się cudem inżynieryjnym, któremu nikt nie mógł dorównać. Miasto od lat zmagало się z nieuniknionym, co bez wątplenia było jednym z powodów, dla których przetrwało tak długo, znajdując się zaledwie kilka kilometrów od stolicy agresywnego Imperium Ossańskiego.

Ossańscy żołnierze zwykli żartować z inwazji na Grent, gdyż wydawało się to wręcz niedorzeczne. Miasto nie stanowiło praktycznie żadnego realnego zagrożenia dla Imperium, a zaatakowanie go mogło okazać się o wiele bardziej ryzykowne niż oplącalne.

Jak zauważył jednak Idrian Sepulki, żart ów zdawał się zabawny do czasu, gdy nie nadszedł rozkaz wszczęcia wojny.

Idrian wrócił z frontu posiniaczony, obolały i wyczerpany, spędziwszy prawie czternaście godzin na brutalnych walkach

ulicznych we wschodnich przedmieściach Grentu. Tego dnia zabił osiemnaście osób, był świadkiem śmierci trójki przyjaciół i zyskał szramę, która z pewnością pozostawi po sobie paskudną bliznę. Zabijanie było częścią jego pracy, rana już się goiła dzięki silnej magii szkła leczniczego przytwierdzonego do jego zbroi, lecz pogodzenie się z utratą przyjaciół nadal nie przychodziło mu z łatwością, mimo że w szeregach Legii Cudzoziemskiej spędził kilka dekad.

By poradzić sobie z bólem związanym ze śmiercią bliskich, wypracował nawyk polegający na skrywaniu emocji do końca konfliktu, aby po jego ustaniu na spokojnie móc opłakiwać zmarłych.

Zatrzymawszy się na szczycie wzgórza, wsparł się o swą masywną tarczę i spojrzął na przedmieścia, gdzie jego batalion – Stalowe Tarany – podążał za nim, niosąc zabitych i rannych współtowarzyszy. Słońce zaczynało chylić się już ku zachodowi, rzucając złoty blask na spokojną rzekę, częściowo uniemożliwiając Idrianowi skupienie wzroku na jej rozgałęzieniach. Z kilku miejsc na linii frontu, tam gdzie ossańska Legia Cudzoziemska posunęła się wiele kilometrów w głąb Grentu, unosiły się gęste kłęby dymu, a doniesienia o pojedynkach artyleryjskich trwały niemal tak długo, jak walka Stalowych Taranów.

Ta nagła wojna była, czego nie omieszkał przyznać sam przed sobą, bardzo niepokojąca. Przerazała go. Przywykł do zagranicznych wypraw, kiedy to dysponował tygodniami, a nawet miesiącami na przygotowanie się do nadchodzącego konfliktu z odległym nieprzyjacielem. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Niespełna dwa dni temu grał jeszcze z Tadeasem w karty, rozkoszując się spokojną i wygodną stacją poza granicami Ossy. Teraz zaś walczyli przeciwko swemu najbliższemu sąsiadowi.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzucił zachęcająco do słabnącego żołnierza. – Głowa do góry.

– Dziękuję, Idrianie – nadeszła zmęczona odpowiedź.

Idrian zapragnął dodać coś jeszcze, lecz jego uwagę przykuła odległa smuga dymu z dział. Chwilę później rozległ się jeżący włosy na karku świst lecącej tuż nad nim kuli armatniej. Instynktownie osłonił się tarczą, mając pełną świadomość, że znajdujące się na jego gromicielskiej zbroi szkło młota na nic by się nie zdało, jeśli tylko

pocisk trafiłby bezpośrednio w niego. Uprzednio sielska ulica nagle pograżyła się w chaosie. Podniósłszy głowę, usłyszał histeryczne wrzaski i nawoływania o pomoc oraz towarzyszący im dławiący pył i serię przerażających uderzeń.

Nie upłynęło zbyt wiele czasu, nim pojął, co właściwie zaszło – pocisk trafił w budynek na szczycie wzgórza, potężną pięciopiętrową kamienicę, rozrywając go na strzępy. Idrian udał się pędem w kierunku zawałonej konstrukcji. Z tumanów pyłu wyłonił się oficer ze srebrnym plecionym wzorem na stójce majorskiego munduru oraz szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami, wyglądający niczym ryba wyjęta z wody.

– Strzelają do nas! Strzelają do nas! – darł się.

– Ty idioto – rzucił Idrian, chwytając mężczyznę za marynarkę i potrząsając nim gwałtownie. – Strzelają, bo najechaliśmy ich cholerny kraj.

– Ale przecież to my mieliśmy zwyciężyć!

Gromiciel musiał skorzystać z niemal całych zasobów cierpliwości, by nie rzucić mężczyzny brutalnie na ziemię. Kolejny pseudooficer, członek ossańskiej rodzinnej gildii, osobnik pozbawiony jakiegokolwiek doświadczenia, wielce zdziwiony, że ktokolwiek śmie bronić się przed najazdem wrogich wojsk. Cholerny głupiec. Zresztą jeden z wielu.

– Czy w środku był ktoś jeszcze? Posłuchaj mnie, człowieku! Czy ktoś tam był?

– Połowa mojego batalionu – odezwał się w końcu major.

Żołądek ścisnął się Idrianowi w supeł.

– A niech cię szkło! To twoi ludzie! Weź się w garść i zacznij kopać! Każda zmarnowana sekunda to kolejne stracone życie!

– Co? Ja? Kopać?

Idrian w końcu nie wytrzymał i powalił idiotę na ziemię. Uniósł miecz, a masywne szkło brzytwy, z którego został on wykonany, rozbłysło w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Tam są nasi żołnierze! Chodźcie tu wszyscy! Odrzeźbmy to rumowisko! – krzyknął.

Poczuł, jak ktoś ciągnie go za ramię, spojrzał w dół i zobaczył Fenny, żołnierkę z jego batalionu. Była drobną kobietą, a czarna wojskowa czapka zawsze wydawała się dla niej zbyt duża. Miała

szeroko otwarte oczy, jasna z natury skóra wyglądała na wyjątkowo bladą.

– Idrianie – wymamrotała. – Squeaks tam była.

Idrian odwrócił się w stronę gruzów.

– Co? Jak? Przecież dopiero co wróciliśmy!

– Wbiegła tam, aby kupić butelkę wina od jednego z kwatermistrzów z Czterdziestki Dwójki. Planowałyśmy wypić ją dziś wieczorem.

– Szklorwa mać! Gdzie widziałaś ją po raz ostatni?

– Właśnie tam. – Fenny zakaszłała, wskazując na nieistniejącą już kamienicę. – Widziałam ją w oknie na pierwszym piętrze sekundę przed uderzeniem kuli. Pomachała do mnie. – Zadrzała gwałtownie.

Idrian odwrócił się i ujął delikatnie jej twarz.

– Spójrz na mnie. Spójrz na mnie! Twoja kobieta wyjdzie z tego cało. Znajdę ją. Biegnij z powrotem na wzgórze i znajdź Mikę. Powiedz jej, by sprowadziła tu wszystkich swych żołnierzy, aby mogli zająć się kopaniem. – Popchnął ją lekko, zmuszając do działania, po czym odrzucił na bok miecz i ruszył sprintem we wskazane miejsce. Z kamienicy nie pozostało nic poza ogromną stertą roztrzaskanych cegieł i pokrytych pyłem elementów konstrukcji, wykrzywionych pod dziwnymi kątami. Z wnętrza gruzowiska wydobywały się krzyki i zawodzenia wywołujące u Idriana gęsią skórę. Odrzucił opanowujące go zmęczenie i pozwolił, by ciało wchłonęło magię szkła znajdującego się na zbroi, dodając mu siły i szybkości.

Tarcza posłużyła jako szufla; wrzucał do niej tyle cegieł, ile tylko mógł unieść, a następnie wynosił je z rumowiska i rozrzucał gdzie popadnie. Pierwsze znalezione ciało należało do młodego mężczyzny, znanego mu przelotnie z Czterdziestki Dwójki. Biedak już nie żył. Wkrótce otoczył Idriana jego własny batalion, dziesiątki mężczyzn i kobiet schylających się, by odsunąć cegły i deski, wyciągając ciała – żywych i martwych – z ruin. Pot spływał mu po czole i szyi, wsiąkając w ukryty pod zbroją mundur.

Gdy słońce schowało się już za horyzontem, teren rozświetliły setki lampionów i pochodni, a Gromiciel kopał dalej, bez przerwy, wołając tylko od czasu do czasu imię Squeaks. Stopniowo nabierał

przekonania, że ktoś go obserwuje. Na skraju gruzowiska, nieco z tyłu, stał młody mężczyzna. Miał jasną purnijską skórę i nosił ossański mundur, choć z twarzy wyglądał na góra siedemnaście lat, a z ramienia zwisał mu duży plecak. Chłopak wpatrywał się w Idriana z dziwną intensywnością.

– Zamierzasz mi pomóc? – warknął do niego Idrian.

– Ja... Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Od przerzucania cegieł.

– Nie powinieneś używać tarczy w taki sposób.

Idrian zamarł i wbił wzrok w młodzieńca, który wzdrygnął się na widok jego fioletowego oka. Wiele osób odczuwało niepokój, patrząc na wykonane ze szkła bożego oko Gromiciela, ten młodzieniec jednak wyraził jedynie zdziwienie, nie strach.

– Ta tarcza służy do ochrony mojego batalionu – burknął Idrian, trzymając ją w ramionach, ciężką od gruzu. – Członkini mojego batalionu ugrzęzła pod gruzami, więc to oto narzędzie spełnia swą funkcję. – Przedarł się przez zgliszcza, aż dotarł do miejsca, gdzie zrzucił gruz, po czym wrócił do rozmowy. – To jak? – zapytał. – Pomożesz mi czy zejdziesz z drogi?

Młody mężczyzna poruszył się w końcu, odłożył plecak i przyłączył się do nawoływania Stalowych Taranów.

Kopanie trwało jeszcze kilka minut, a za każdym razem, gdy Idrian widział, jak Fenny ostrożnie przedziera się przez gruzowisko, roniąc łzy i wykrzykując imię żony, żołądek ścisnął mu się boleśnie w supeł. Stracił już zupełnie poczucie czasu, gdy nagle dobiegł go stłumiony odgłos gdzieś po jego lewej.

– Proszę pana! – zawołał młody intruz. – Tutaj, proszę pana! Tam jest kilka osób. Są uwięzieni pod belką nośną!

– Mika! – krzyknął Idrian. – Mika, pomóż mi!

Wkrótce kilkunastu saperów otoczyło Idriana, ostrożnie usuwając gruz, aż Gromiciel wsunął ramię pod belkę.

– Zaczekaj! – zawołał jeden z nich. – Czekaj! Trzymaj! Dobra, podnoś!

Idrian uniósł powoli dźwigar. Jego ciężar był ogromny, ważył prawdopodobnie ponad czterysta pięćdziesiąt kilogramów, i pomimo tętniącej w nim magii szkła mocy Gromiciel czuł, jakby miał rozerwać mu wszystkie ścięgna. Wsłuchiwał się w harmider

żołnierzy krzątających się wokół niego, aż jeden z nich klepnął go w tył hełmu.

– Już! Wystarczy!

Idrian upuścił belkę i zatoczył się do tyłu, chwając i potykając się, aż ktoś złapał go i pomógł mu stanąć na nogi. Ulga wypełniła go od środka, gdy odwróciwszy się, dostrzegł Squeaks leżącą na oczyszczonym z gruzu skrawku ziemi, otoczoną kilkoma osobami. Była młodą kobietą, utalentowaną saperką, starszą o rok lub dwa od Fenny. Miała zmiądzoną rękę, ale żyła, była przytomna i otulona ramionami żony. Idrian westchnął z trudem, gdyż spadek adrenaliny sprawił, że nie mógł oddychać i ledwo co stał na nogach. Wyszedł z gruzowiska, by odnaleźć swój miecz, i znalazł go leżącego przy pobliskiej kamienicy, wraz ze stojącym tuż obok młodzieńcem, który zagaił go wcześniej w kwestii tarczy, a teraz tkwił tam niczym żołnierz sprawujący wartę.

Ale Idriana nie to zdziwiło najbardziej, a przyszyty do munduru chłopaka żółty znak Taranów.

– Dlaczego masz na sobie mundur Stalowych Taranów? – zapytał, odkładając tarczę obok miecza i siadając tuż przy nich. Zdjął hełm i odrzucił go na bok, a pot spłynął mu po twarzy.

– Jestem nowym płatnerzem, panie.

Idrian podniósł głowę i wbił wzrok w chłopaka.

– Od sześciu miesięcy prosiłem o płatnerza i dostaję go właśnie teraz? Jak się nazywasz?

– Braileer, panie. Braileer Holdest.

– Ile masz lat?

– Osiemnaście.

– Naprawdę musi im brakować płatnerzy, skoro wysłali kogoś takiego jak ty.

Braileer wzdrygnął się i wyprostował, próbując wyglądać ciut dojrzałej.

– Mam doświadczenie w obróbce stali i szkła bożych. Potrafię dokonać wszelkich niezbędnych napraw w terenie. Gdyby dał mi pan do dyspozycji kuźnię i piec do wypalania szkła, mógłbym nanieść praktycznie wszystkie niezbędne poprawki, oczywiście oprócz całkowitej rekonstrukcji. Pańska zbroja, miecz i tacza będą w dobrych rękach.

Idrian miał pewne wątpliwości. Płatnerze zajmujący się sprzętem Gromicielei byli profesjonalistami, doświadczonymi fachowcami po trzydziestce lub czterdziestce.

– A co ze wsparciem?

– Słucham?

– Płatnerze są też żołnierzami, dzieciaku. Widzę, że masz mały puklerz ze szkła młota na plecach i niewielki sztylet za paskiem. Pytanie, czy umiesz się nimi posługiwać. Moim zadaniem jest utrzymanie Stalowych Taranów przy życiu. Jestem ostrzem ich forpoczty i tarczą ich flanki. Twym zadaniem zaś jest utrzymanie mnie przy życiu. Rozumiesz? Masz nie tylko dbać o moją zbroję, ale też iść za mną w sam środek walki.

Pewność siebie Braileera zdawała się słabnąć.

– Odbylem kilka tygodni szkolenia bojowego, panie.

– Szklorwa mać! – zaklął Idrian. Gdyby nie to, że tarcza tak bardzo ucierpiała podczas przenoszenia gruzu, mógłby odesłać młodzieńca prosto do Ministerstwa Legionów. Był jednak na wojnie i potrzebował kogoś, kto zajmie się jego zbroją. – Szklorwa! Dobra, chodź ze mną.

Wstał i gestem nakazał Braileerowi wziąć jego miecz, tarczę i hełm. Młody człowiek uczynił to bez słowa sprzeciwu, choć na plecach miał też własny plecak. Obeszli zniszczoną kamienicę i skierowali się na kolejne wzgórze, a tam zeszli do prowizorycznego obozu, zajmującego dwie ulice i trzy zdobyte budynki. Pośrodku płonęło ognisko, obok powiewał sztandar z wyszytym symbolem przedstawiającym złoty barani łeb, dokładnie taki sam, jaki widniał na zbroi Idriana i mundurze Braileera.

– Co wiesz o Legii Cudzoziemskiej? – zapytał Idrian.

– Eee... przepraszam, panie, ale szkolono mnie na rzemieślnika, nie żołnierza. Do wojska wcielili mnie niecały miesiąc temu; nauczyli strzelać i dźgać, lecz nic poza tym.

Idrian zdjął rękawice i przetarł twarz spoconymi dłońmi.

– A niech ich szkło! Cholerne Ministerstwo! Nie potrafią nawet właściwie przeprowadzać szkoleń. Dobra, zacznijmy w takim razie od podstaw. Przydzielili cię do Stalowych Taranów. Jesteśmy wojskiem inżynieryjnym, batalionem saperów. Naprawiamy mosty, wznosimy barykady, wyrównujemy teren pod baterie artylerii...

w skrócie wykonujemy brudną robotę, często pod ostrzałem. Mamy trzystu żołnierzy, dwustu inżynierów i jednego Gromiciela, czyli mnie. Stwierdzenie, że jesteśmy najsłynniejszym batalionem Legii Cudzoziemskiej, nie jest przechwałką, zasłużyliśmy na to miano. Mamy bardzo wysoką skuteczność i niski wskaźnik ofiar. Zaprawieni w boju przeciwnicy wolą się dobrze zastanowić przed podjęciem z nami bezpośredniej walki. – Idrian odwrócił się w stronę Braileera. – Nasze motto brzmi: „Rogi gotowe, kopyta stalowe”. Trzymaj broń zawsze pod ręką, nogi twardo na ziemi, oczy szeroko otwarte, a może uda ci się przeżyć tę wojnę.

Braileer z całej siły starał się nie wytrzeszczać oczu.

– Tak jest, panie.

– Dobrze się czujesz?

– Dużo tych informacji, proszę pana.

– Jest tego jeszcze więcej, ale nie będę ci wrzucał wszystkiego na jeden raz. Co robisz dla przyjemności, Braileer?

– Gram w karty. Trochę też na skrzypcach. I... trenuję szczury. Idrian spojrział na chłopaka z nieskrywaną ciekawością.

– Szczury?

– Tak, żeby robiły sztuczki. Kradły monety. Takie drobne, śmieszne rzeczy.

– Szczury to dobry sposób, by złapać zarazę. Dzięki skrzypcom zdobędziesz popularność. A co do kart, to jesteś kapralem, więc Tadeas pozwoli ci w nie grać z oficerami. To nasz dowódca. Oszukuje w karty, ale tak, że nigdy się nie kapniesz, jak to robi. Mika i Valient są kapitanami naszego małego oddziału, odpowiedzialnymi kolejno za saperów i żołnierzy. Są małżeństwem dłużej, niż znam którekolwiek z nich, i oboje będą próbowali się z tobą przespać. Radzę ostrożnie stąpać po tym grząskim gruncie. – Idrian podrapał się po karku. Był kompletnie wyczerpany, gotów zdjąć zbroję i porządnie się wyspać. Zdecydowanie przydałaby mu się chwila odpoczynku. Stalowe Tarany miały wrócić na front przed brzaskiem. – Pomóż mi zdjąć zbroję. Napraw ją i wypoleruj, nim padniesz na prycę. Tamten pokój jest mój. – Idrian wskazał na okno kamienicy po lewej. – Gdy tylko mogę, wybieram prywatność. Możesz spać na korytarzu przed moimi drzwiami.

Mimo młodego wieku i braku doświadczenia Braileer wiedział, jak obchodzić się ze zbroją Gromiciela. W niecałą minutę rozebrał Idriana do munduru, a potem zabrał zbroję, zostawiając go przy ognisku, gdzie ten pozwolił, aby jego mokre od potu ciuchy wyschły w ciepłe. Wbrew zmęczeniu Idrian został tam jeszcze przez jakiś czas, wpatrując się w płomień i medytując; pozwalając ciału i umysłowi zregenerować się po całodziennej walce.

Wkrótce dołączyła do niego Mika. Była niską marnijską kobietą o krótkich, czarnych włosach i ciemnej skórze, ubraną w źle dopasowany mundur Legii Cudzoziemskiej, przez który w niekorzystnym świetle wyglądała, jakby miała na sobie worek ziemniaków. Niosła ciężki, masywny, wypełniony narzędziami plecak, z którego zwisały dziesiątki baranich rogów, stukających podczas chodu. Zdjęła plecak z ramienia i usiadła na ziemi przy ognisku, spoglądając na Idriana.

– Wiesz co – zawiesiła głos – będzie mi ciebie brakowało, gdy już spłacisz dług.

Idrian chwycił instynktownie za mały, srebrny nieśmiertelnik wiszący mu na szyi. Symbolizował część życia oddaną Legii Cudzoziemskiej, rodzaj długu do spłacenia.

– Przydzielę wam kolejnego Gromiciela – odpowiedział.

– Ale nie takiego, który poświęca wiele godzin na kopanie gruzu w poszukiwaniu jednego piechura. Fenny i Squeaks zawsze cię lubiły. Myślę, że teraz będą czcić ziemię, po której stąpasz.

Idrian uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Kiedyś odwdzięczą mi się za ten wysiłek.

– Albo i nie.

– Albo i nie – przyznał Idrian. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Jak powiedział Braileerowi: jego zadaniem była ochrona Stałowych Taranów i traktował to niezwykle poważnie. Nie tylko podczas walki na froncie. – Jak ona się czuje?

– Całkiem nieźle rozwalila sobie tę rękę, ale kilka dni kuracji, z dobrej jakości szkłem leczniczym, powinno postawić ją na nogi. Chwalebny się nią zajmuje. A co do tej kuli armatniej, to był to spory fuks, bo trafiła w główną belkę nośną źle zbudowanej kamienicy. Rano dowiemy się, ile dokładnie jest ofiar, wydaje mi się jednak, że ocaliliśmy dwie trzecie tego batalionu.

– No i to brzmi jak dług, który można odebrać – powiedział Idrian, uśmiechając się do Miki.

Odwzajemniła mu się tym samym, wyciągając z plecaka kilka butelek wina.

– Ja już zaczęłam. To wszystko dzięki uprzejmości Czterdziestki Dwójki. – Podała mu butelkę i odkorkowała drugą. Stuknęli się nimi. – Widziałeś Tadeasa? – zapytała.

– Właśnie miałem cię spytać o to samo – odrzekł Idrian, odstawiając butelkę na bok. – Gdy widziałem go po raz ostatni, wzywali go z powrotem do kwatery głównej.

– A słyszałeś plotki o jego siostrze i siostrzeńcu?

Idrian zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Masz na myśli Demira?

– Tak. Podobno cała ta wojna rozpętała się przez morderstwo Adriany. Podążając tropem zabójcy, trafili do księcia Grentu.

– Jak dla mnie wygląda to na dość kiepski pretekst do wojny – prychnął Idrian. Cenił Adrianę, a jej śmierć zszokowała wszystkich, w końcu była ich sponsorką, nie zamierzał jednak z uśmiechem na twarzy oddawać życia z powodu politycznego zabójstwa. – Zawsze jest jakieś drugie dno.

– Z tego, co słyszałam, jest ich wiele – odparła Mika, ziewając.

– Przez ostatnie kilka lat tajne działania księcia stawały się coraz zuchwalsze. Śmierć Adriany przelała czarę goryczy. Zbyt wiele razy zaczął się śpiącego olbrzymia i oto stoimy u jego wrót.

Sytuacja ta nie była niczym nadzwyczajnym, Idrian wielokrotnie walczył w wojnach będących wyłącznie pokazem siły. Pokój sprawiał, że Imperium się bogaciło, wojna zaś przypominała innym, kto rządził połową świata.

– Niezły z niego szczęściarz. A co z Demirem?

Mika wzruszyła ramionami.

– Podobno wrócił i przejął kontrolę nad rodzinną gildią.

– Ciekawe, co na to Tadeas – mruknął Idrian, ukrywając zaskoczenie. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś zobaczy Demira, a tym bardziej że zbłąkany Grappo kiedykolwiek wróci do Ossy. – Gdy widziałem go po raz ostatni, założyłbym się o niezłą sumkę, że niedługo wpakuje sobie kulkę w łeb.

– Powrót do polityki rodzinnej gildii może go do tego doprowadzić. – Mika komicznie poruszyła brwiami. Było w tym stwierdzeniu trochę kpiny, ale też wiele prawdy. Idrian miał nadzieję, że dla dobra Tadeasa pozostanie to jednak w sferze żartów. Demir był teraz jedynym spadkobiercą rodzinnej gildii Grappów.

Idrian przeciągnął się i patrzył, jak żołnierze Miki wloką się do obozowiska. Kilku z nich padło na posłania rozłożone pod gwiazdami, inni udali się do wnętrza kamienicy, na wcześniej zarezerwowane miejsca. Toczyły się przyciszone rozmowy i nieliczne wygłupy. Mimo niewielkiej liczby ofiar mieli za sobą ciężki dzień. Wszyscy byli cholernie wyczerpani, a to dopiero początek wojny.

– Idę się położyć – rzucił Idrian. – Jeśli natkniesz się na Tadeasa, powiedz mu, żeby mnie nie budził, o ile sprawa nie będzie naprawdę poważna... – Przerwał z powodu nadejścia Valienta. Mąż Miki był wysokim, szczupłym, jasnoskórym Purnijczykiem z ogoloną głową i muszkietem przewieszonym przez ramię.

– Hej, Idrianie – wszedł mu w słowo Valient, ziewając. – Jest tam jakiś facet podający się za członka rodzinnej gildii. Chce z tobą rozmawiać.

Idrian zamrugał, po czym odwrócił się, by spojrzeć we wskazanym przez Valienta kierunku. Wokół panował mrok, ale jego sztuczne oko zawierało niewielki odłamek szkła zmysłów, który pobudzał narządy i pozwalał mu widzieć w ciemności dużo lepiej niż inni. Dostrzegł zakapturzoną postać czającą się tuż za blaskiem ogniska. Nikt z obecnych nie zwracał na nią uwagi.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Nie. – Valient ziewnął ponownie, siadając obok żony i kładąc głowę na jej ramieniu.

Idrian rozejrzał się dookoła, walcząc z uczuciem frustracji. Niektórzy żołnierze przyjmowali rolę klientów rodzinnych gildii, ale on starał się unikać tego typu powiązań. Co prawda Grappowie płacili mu część pensji, ale chodziło tu raczej o ich publiczny prestiż niż cokolwiek innego. Nie miał wobec nich żadnych zobowiązań. Kim więc, do cholery, była ta czająca się w strefie wojny postać, pragnąca z nim porozmawiać?

– Mam się go pozbyć? – zapytała Mika.

– Nie, sam to zrobię.

Idrian podszedł do stojącej na uboczu postaci, starając się zajrzeć pod jej kaptur. Mógł dostrzec haftowane mankiety i kosztowną tkaninę ubrania. Ktokolwiek to był, na pewno miał pieniądze, ale nosił też rękawice, żeby ukryć symbol rodzinnej gildii.

– Jestem Idrian Sepulki – powiedział, prostując się.

– Cześć, Idrianie. Kopę lat.

Zmysły Idriana błyskawicznie się ożywiły. Jeszcze uważniej przyjrzał się zakapturzonej postaci. Rozpoznał tę wyraźną linię szczęki i ów błysk w oczach. Mężczyzna wyglądał jak młodsza wersja Tadeasa.

– Demir?

Demir położył palec na ustach.

– Wolałbym, by nikt nie wiedział, że przebywam w strefie wojny – odparł cicho.

Idrian zniżył głos i starał się ukryć zdziwienie. Jak długo Demir się tu kręcił? Czy słyszał, jak plotkował o nim z Miką?

– Tadeas wie, że tu jesteś?

– Jeszcze nie. Próbowałem go złapać, ale wezwali go na spotkanie z generałem Stavrim. – Skrzywił się. – Jak już mówiłem, wolałbym, by nikt nie wiedział, że tu jestem. Potrzebuję pewnej przysługi. Nie powinno nam to zająć więcej niż kilka godzin.

– Teraz? – Idrian rozejrzał się, zdumiony. Żołnierze już chrapali, a nie było jeszcze nawet dwudziestej pierwszej. Sam też by się z chęcią położył.

– Niestety tak. Potrzebuję eskorty za linię wroga.

Idrian parsknął.

– By zrobić coś takiego, muszę mieć bezpośredni rozkaz.

– Nie potrzebujesz go, jeżeli w grę wchodzi pomoc nowemu sponsorowi. Mam pewne prerogatywy w stosunku do twych obowiązków.

Idrian wciąż nie mógł uwierzyć, że stoi przed nim Demir. Książę Błyskawic; gubernator prowincji, który zdławił ogromną rebelię i sprawił, że wydawało się to dziecinnie proste. Mimo że Holikan zapamiętano jako totalną porażkę, żołnierze nadal szeptali o tym, jakim był świetnym dowódcą. Rozmiary piedestału, z jakiego

spadł po wydarzeniach w Holikanie, mogły przyprawić o zawrót głowy.

– Przeprowadzenie cię za linię wroga to już chyba lekka przesada, nie sądzisz?

– Pewnie tak, ale wydaje mi się, że cel tej podróży może cię zainteresować.

– Jaki cel?

– Wydostanie mistrza Kastory z Królewskiej Huty Szkła w Grencie.

Idrian musiał się powstrzymać, by nie dotknąć szklanego oka.

– Jest w niebezpieczeństwie?

– Myślę, że tak. Całe popołudnie spędziłem na rozmowach ze starymi szpiegami mej matki. Podobno dziś z samego rana zaatakowano hutę szkła w Grencie, próbując przejąć jej projekty, zapasy i hutników. Odparli co prawda jeden z naszych pułków, ale Kastora został ciężko ranny. Walki w tym rejonie ustały, a żołnierze obu stron ruszyli na wschód. Powinniśmy dać radę wślizgnąć się do Grentu i wrócić, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Idrianowi zaschło w ustach. Nie wiedziałyby, co począć, gdyby coś stało się z Kastorą. Dotknął oka, myśląc o hutniku, który je stworzył.

– Ufasz swym informatorom?

– Nie wydaje mi się, by pojawiły się jakieś przeszkody, którym Gromiciel i tancerz szkła nie mogliby sprostać – zapewnił go Demir.

Idrian nie walczył zbyt długo z myślami. Wciąż był w szoku z powodu niespodziewanego spotkania z Demirem i miał pełne prawo, aby odmówić, w końcu młody Grappo zniknął na dziewięć lat, ale czy nie mógł mu zaufać? W końcu to siostrzeniec Tadeasa, a jeśli mistrz Kastora znajdował się w niebezpieczeństwie...

– Pójdę po zbroję – odpowiedział.



Demir zdziwił się, że Idrian tak szybko przystał na jego ofertę, tym bardziej że wyglądał na wyczerpanego; nie zamierzał jednak zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Po dziesięciu minutach Gromiciel wrócił opancerzony, z mieczem i tarczą przerzuconymi przez ramię oraz ogromną peleryną narzuconą na zbroję, aby światło księżyca nie odbijało się od otulającej ciała stali.

Nikt nie zagaił Idriana, gdy przechodził obok śpiących towarzyszy, a dotarwszy z powrotem do Demira, po prostu skinął głową, by ten wskazał drogę.

Podczas nieobecności Idriana Demir stał przez chwilę, przyglądając się Mice i Valientowi siedzącym cicho przy ognisku. Rozpaczliwie pragnął się z nimi przywitać. W czasie holikańskiej kampanii spędził ze Stalowymi Taranami zaledwie kilka dni, lecz wszyscy traktowali go bardziej jak członka rodziny niż dowódcę. Podobało mu się to i marzył, aby znów się tak poczuć, ale kiedy Idrian chrząknął, Demir odrzucił tę myśl. Stalowe Tarany nie były jego rodziną – nie wliczając w to Tadeasa. A co ważniejsze, miał misję do wykonania.

Podobne odczucia miał też w stosunku do Idriana. Wielki Gromiciel postarzał się w ciągu ostatnich dziewięciu lat; krótkie czarne włosy posiwiały mu trochę na skroniach, wyglądał na wymęczzonego, jego ciało pokrywało jeszcze więcej blizn, lecz ostatecznie był tym samym człowiekiem, którego towarzystwo Demir tak bardzo sobie cenił podczas holikańskiej kampanii. Zobaczenie go po latach było tak cholernie miłe, że aż bolesne, a Demir miał ogromną ochotę po prostu go przytulić. Byłoby to oczywiście szalenie niestosowne i wątpił, żeby Idrian z chęcią na to przystał. Gdy spowił ich mrok, Demir zrównał krok z Idrianem, zerkając na niego z boku.

– Dołożyłem wszelkich starań, by znaleźć najbezpieczniejszą drogę, ale wiesz pewnie lepiej niż ja, jak szybko może się to zmienić, gdy wokół toczy się wojna. Trzymaj się blisko i miej oczy szeroko otwarte.

– Rogi gotowe, kopyta stalowe – odpowiedział Idrian, nakładając przepaskę na oko, aby ukryć fioletowe szkło boże.

Przez twarz Demira przebiegł cień uśmiechu. Wuj powtarzał mu to od dzieciństwa. Każdy, kto kiedykolwiek służył w Legii Cudzoziemskiej, oficer czy żołnierz, znał to motto i wiedział, kto je wymyślił. Tancerz szkła skinął głową w podziękowaniu i obaj ruszyli w noc.

Demir poruszał się po mieście częściowo z pamięci – w młodości spędził w Grecie bardzo dużo czasu – częściowo zaś bazując na zapamiętanej mapie, dostarczonej przez jednego z wielu szpiegów jego matki z Ministerstwa Legionów. Przekroczyli kilkanaście mostów, przeszli sześć punktów kontrolnych obsługiwanych przez ossańskich żołnierzy, którzy przepuścili ich, rozpoznając Gromiciela. W końcu udało im się przedostać do północno-zachodnich dzielnic Grentu, gdzie granice walk pozostawały niewyraźne, a zamieszkujące je społeczności wydawały się nietknięte wojną toczącą się kilka kilometrów dalej. Bez wątpienia znajdowali się za linią wroga, ale było tam niewielu żołnierzy Grentu, gdyż koncentrowali się oni na głównym ataku Ossy.

Demir wyciągnął z kieszeni szklaną bańkę. Trzymał ją przez chwilę przed sobą, a następnie przy pomocy magii rozbił na kilka

małych odłamków, które zawisły w powietrzu tuż nad jego ramionami. Jeśli zaniepokoiło to Idriana, nie dał tego po sobie poznać. W sumie czego miałby się obawiać? Demir wiedział, że przez lata Gromiciel walczył i zabił wielu tancerzy szkła, miał też pewność, że liczba ta nie była jednocyfrowa.

Noc była stosunkowo cicha, przerywana jedynie pojedynkami artyleryjskimi toczącymi się gdzieś na południu. Nie istniał jednak normalny wieczorny ruch. Nieliczni mijający ich cywile wpatrywali się w miecz Idriana, a następnie pospiesznie odchodzili, bez wątpienia myśląc go z jednym ze swych Gromicielei.

– Zbliżyliśmy się – oświadczył Idrian, wskazując na zalesione wzgórze około pięćdziesięciu metrów przed nimi. Na zboczu migotały płonące budynki, a światło księżyca oświetlało unoszący się nad nimi dym. Nie wróżyło to nic dobrego. Demir przełknął gorycz porażki, żałując, że nie przybył do Ossy kilka dni wcześniej. Mógłby wtedy po prostu przyjechać, porozmawiać z Kastorą i wrócić do domu bez konieczności wkraczania w strefę działań wojennych.

Zdał sobie też sprawę, że wypowiedziane przez Idriana słowa były pierwszymi od ponad godziny. Nie było nic niewygodnego w ciszy panującej między dwoma mężczyznami wspólnie wykonującymi zadanie, ale mimo to sprawiała ona, że Demir czuł kropelki potu spływające mu po plecach. Jakie myśli kołatały się w głowie Gromiciela? Bez wątpienia nie poszedł tam, by wyświadczyć Demirovi przysługę, lecz z powodu relacji łączącej go z Kastorą. Ale o czym myślał? Ostatni raz widzieli się dziewięć lat temu i był to najgorszy moment w jego życiu.

Idrian nie był typem człowieka, z którym Demir mógłby pogadać i nadrobić lata nieobecności, jak w przypadku Kizzie. Czyniło go to bardzo trudnym do rozgryzienia. Czy jego dowódcy byli równie poirytowani tą milczącą spolegliwością? A może było im to na rękę? Jeśli istniało coś, czego członkowie rodzinnych gildii szczerze nienawidzili, to była to nieumiejętność wniknięcia w głowy podwładnych.

Kiedy zaczęli wspinać się na wzgórze prowadzące ku ruinom huty szkła, Demir porzucił rozważania. Okolica przerażała panującą tam ciszą i sprawiała wrażenie zupełnie opuszczonej. Wyteżył zmysły w poszukiwaniu tancerzy szkła, lecz nikogo nie wyczuwał.

Odwrócił się, uchwycił spojrzenie Idriana i pokręcił głową, następnie popędzili, aby zająć pozycję tuż za murem kompleksu.

– Ani śladu tancerzy – szepnął do Idriana. – Właściwie to nikogo nie słyszę. – Starał się, by w jego głosie nie słychać było frustracji. Jeśli Kastora już nie żył lub wycofał się w głąb miasta, tym samym znajdując się poza zasięgiem Demira, to tajemnica jego matki pozostałaby nierozwiązana.

– Tam w drzwiach są dwaj żołnierze – powiedział Idrian, wskazując na róg ulicy. – Młody mężczyzna i kobieta w średnim wieku. Na wpół śpiący. – Opuścił miecz i wsunął go za pas na plecach, tarczę zaś zawiesił na haku przytwierdzonym do naramiennika. – Wygląda na to, że jednak mnie nie potrzebowałeś.

Demir rozejrzał się po kompleksie. Poczul, jak ściska mu się żołądek, i to nie tylko ze względu na Kastorę, ale na samo miejsce. Główny gabinet spłonął doszczętnie, bezpowrotnie zabierając ze sobą dziesięciolecia badań nad krzemem. Płomienie strawiły piec, a także jedno z dwóch dormitoriów. Skala zniszczeń przyprawiała go o mdłości. Skręcił za róg i, wyęzając zmysły, podszedł do pary grenckich żołnierzy w pomarańczowo-białych mundurach przysypiających na progu jedynej ocalałej wypalarni.

Nie zauważyli go, aż pojawił się praktycznie naprzeciwko nich. Młodzieniec zbudził się, poderwał na równe nogi i wycelował w Demira muszkiet, starając się obudzić towarzyszkę.

– Pokaż nam ręce, nieznajomy! Szabrowników zabijamy bez ostrzeżenia!

Demir ściągnął ostrożnie lewą rękawiczkę i pokazał znak tancerza szkła.

– Sugerowałbym opuszczenie broni – oznajmił, subtelnie zmieniając akcent, nieznacznie przeciągając samogłoski, jak czynili to Grenczycy. Otrzeźwiło to żołnierzy i sprawiło, że zanim opuścili muszkiety, wyraźnie zbladli na twarzach.

– Przepraszam, panie. Nie wiedzieliśmy... – odparła zgarbiona kobieta w średnim wieku, głośno przełykając ślinę.

Demir zbył to machnięciem ręki.

– Szukam Kastory. Nie udało mi się go odnaleźć ani dowiedzieć się niczego o jego stanie zdrowia.

Żołnierze spojrzeli po sobie, zdawało się, że chcą już coś odpowiedzieć, ale naraz kobieta westchnęła.

– A niech mnie szkło. To Taran.

Idrian podszedł i stanął obok Demira, a ów rzucił mu spojrzenie, zastanawiając się, czy z Gromicielem u boku będzie mu łatwiej czy trudniej.

– Spocznij – rzucił Idrian.

– Ty... Wy... Nie powinno was tu być – stwierdził chłopak. Jeśli wcześniej stanęli jak wryci na widok tancerza, to teraz niemal robili w gacie ze strachu. – Jesteście Ossańczykami.

– Ossańczycy czy nie – odrzekł Idrian – Kastora jest moim przyjacielem. – Zerknął na kobietę. – Tinny, tak? I... Geb? Należycie do garnizonu huty szkła. Spotkaliśmy się, gdy byłem tu ostatnio zbadać oko.

– Taran zapamiętał moje imię – szepnęła Tinny do Geba, zaskoczona.

Demir zakrył usta dłonią, aby ukryć uśmiech. Nie było sensu udawać grenckiego tancerza szkła. Może w sumie tak będzie łatwiej.

– Co z Kastorą? – zapytał łagodnie.

Para jakby się rozluźniła. Pierwszy odezwał się Geb:

– Przykro mi, ale jest ranny. Bardzo ciężko ranny. Garnizon otrzymał rozkaz opuszczenia miasta i nawet przy użyciu najlepszych dostępnych szkieł bożych nie udało się nam ustabilizować jego stanu na tyle, by go przenieść. Pewnie nie przeżyje nocy. Zgłosiliśmy się z Tinny na ochotników, żeby zostać przy nim do końca. Przynajmniej tyle mogliśmy dla niego zrobić po tym, jak przez te wszystkie lata był dla nas taki dobry.

Wzrok Demira padł na otwarte drzwi za nimi. W migoczącym świetle dogasających budynków dostrzegł prowizoryczną pryczę, stos zakrwawionych bandaży oraz koców, a pośród nich leżącego nieruchomo człowieka. Przepchnął się między żołnierzami, podszedł tam i opadł na kolana. Poznał Kastorę bardzo dawno temu i nie kojarzył już tej uprzejmej, zbolalej twarzy wpatrującej się w niego spod wółprzymkniętych powiek. Demir przyglądał mu się przez moment, po czym rzucił okiem na zakrwawione nakrycie. Nie był chirurgiem, ale jedynym wytłumaczeniem stanu, w którym

znajdował się ów mężczyzna, było wielokrotne, agresywne dźgnięcie bagnetem.

– Kastora? – zapytał.

Starzec otworzył usta, ukazując kawałki szkła kojącego i leczniczego, które trzymał między zębami. Przesunął je na bok językiem.

– Kim jesteś? – wymamrotał.

– Nazywam się Demir Grappo. Jestem synem Adriany.

– Przysłała pomoc, prawda? – mówił powoli, acz zaskakująco spójnie jak na kogoś, kto znajdował się u progu śmierci. Tkwiące w jego ustach szkło kojące było pewnie jego własnym wytworem. – Och, Księżę Błyskawic, mogłeś przybyć wcześniej.

Demir drgnął, słysząc ten przydomek, zaskoczony, że ktoś taki jak Kastora w ogóle o nim wiedział. Odwrócił się i dał znak Idrianowi, żeby do niego podszedł. Gromiciel szepnął coś do dwójki żołnierzy, po czym dołączył do Demira przy łóżku Kastory.

– Idrianie? A niech to szlag, przydałaby mi się wasza dwójka dziś rano.

– Przepraszam, mistrzu – odparł łagodnie Idrian. – Przybyłbym, gdybym wiedział.

– Wiem, wiem. – Spojrzenie Kastory zwróciło się na Demira. – A ty co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Usprawiedliwienie? – Demir zmrużył mimowolnie oczy ze złości, by sekundę później przypomnieć sobie, że rozmawia przecież z umierającym człowiekiem, a więc jego irytacja była kompletnie nieuzasadniona. – Na moje usprawiedliwienie mam to, że dopiero wczoraj wróciłem z prowincji. Zamordowano moją matkę, jej śmierć wykorzystano jako pretekst do tej wojny, a jedyne, co mi zostawiła, to list, w którym nalega, bym niezwłocznie się z tobą skontaktowałem.

Kastora wpatrywał się w niego przez chwilę w milczeniu.

– To dobre usprawiedliwienie – przyznał w końcu. – Co się stało z Adrianą?

Demir widział śmierć w oczach starca. Wkrótce nadejdzie, nic nie mógł na to poradzić, więc zagłuszył chęć zadania pytań i najlepiej, jak potrafił, w kilka minut opowiedział o szczegółach zgonu matki i wybuchu wojny. Ledwo skończył, gdy zorientował się, że Kastora coś do siebie mamrocze. Pochylił się, żeby lepiej słyszeć.

– Nie mogli wiedzieć, co zamierzamy, prawda? Nie. To niemożliwe. Nikt nie wiedział. To nie mogło mieć z tym związku. Ale przyznanie się do winy, wojna. To zbyt duży zbieg okoliczności. To jest... – Zamarł, a jego oczy ponownie skupiły się na Demirze. – Prototyp. – Próbował gestykulować. – Zniszczony w pożarze.

– Jaki prototyp? – zapytał Demir, czując, że oddech grzęźnie mu w gardle. To musiał być powód, dla którego jego matka współpracowała z Kastorą. Jakiś rodzaj krzemowego wynalazku? Nowe szkło boże? Chwycił Kastorę za ramię, mając nadzieję, że fizyczny dotyk pomoże staruszkowi się skupić.

– Adriana nic ci nie powiedziała?

Demir poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Gdyby był na miejscu, wiedziałby, co się dzieje. Gdyby był na miejscu, jego matka być może jeszcze by żyła.

– Nie zdążyła.

– No tak. Syn marnotrawny. A wiesz cokolwiek? – Ostatnie słowo ociekało desperacją i drwiną.

– Musisz być bardziej konkretny – odpowiedział Demir, starając się zdusić sarkazm w głosie.

Kastora westchnęła.

– Jest tak wiele do wyjaśnienia, a czasu tak mało. Od czego zacząć? – Podniósł głos. – Tinny, Geb. Zostawcie nas, proszę, na osobności.

Stojący w drzwiach żołnierze wycofali się bez sprzeciwu, zostawiając Demira i Idriana samych z Kastorą. Idrian wyglądał na niezwykle zmieszanego, co zdziwiło Demira, bo przecież codziennie stykał się z umierającymi.

– Ja też powinienem już iść. Cokolwiek macie do omówienia, to krzemowe interesy, a ja jestem jedynie żołnierzem – stwierdził.

– Nie! – zaprotestował Kastora. – To moja ostatnia spowiedź. Nie odbędę jej tylko przed jednym człowiekiem, tym bardziej takim, którego praktycznie nie znam. Zostaniesz, Idrianie, choćby po to, by odwdziżyć się za dobroć, którą ci okazałem.

Widoczne zakłopotanie Idriana momentalnie przybrało na sile, ale pozostał na miejscu, przyciskając delikatnie dwoma palcami swe sztuczne oko. Demir wyciągnął rękę, by ująć Kastorę za dłoń. Krew rozlała się między ich palcami.

– Opowiedz nam wszystko. – Przez jakiś czas Kastora wpatrywał się w milczeniu w sufit, a Demir martwił się, że mężczyzna mu się wymyka. Potrząsnął nim, tracąc cierpliwość. – No dalej, człowieku! Musisz mi to powiedzieć!

– Za dużo tego, za dużo – odparł ledwie słyszalnym szeptem, a potem dodał już głośniejszym: – Żaropiach jest na wyczerpaniu.

Demir parsknął. Nie mógł się powstrzymać. Stwierdzenie Kastory było dziwnie oczywiste, a jednocześnie prawdziwe – zasoby żaropiachu były przecież ograniczone – i niedorzeczne.

– To niemożliwe. Na całym świecie są tysiące kopalń i kamieniołomów. Wydobywają tak dużo... – Urwał, gdy stary mistrz spojrział na niego z powagą. – Wyjaśnij.

– Te kopalnie – rzekł – są puste albo niemal puste. Rządy na całym świecie już sięgają do swych zapasów. Wydobycie spada, ceny rosną. Przy obecnym tempie eksploatacji za niecałe pół roku ogół społeczeństwa nie będzie mógł kupić szkielec bożych. A za kilka lat tylko królowie i rodzinne gildie będą mogły sobie na nie pozwolić.

Demir popatrzył na Idriana. Ciężko było wyczytać coś z twarzy Gromiciela, ale w jednym oku, tym pełnym magii, pojawił się błysk. Może strachu. Nie mógł mu się w sumie dziwić. Bez żaropiachu nie będzie szkielec bożych. A przecież wszystko się na nich opierało. Kastora sugerował nie tylko utratę istotnego materiału, ale i samej magii. Upadek cywilizacji byłby nieunikniony, tak samo jak w przypadku zniknięcia prochu strzelniczego, prasy drukarskiej czy koła napędzającego młyn.

To nie mogła być prawda. Umysł Demira sprzeciwiał się tej myśli, lecz ciężko było odrzucić słowa jednego z najznamienitszych mistrzów krzemowych, wypowiedziane na łożu śmierci. Wrócił pamięcią do ostatniego dnia na prowincji, kiedy to nie mógł kupić nawet najtańszego kawałka szkielec rozumu, a wcześniej szkielec mocy okazało się dużo droższe, niż się tego spodziewał. Wtedy przypisywał to problemom z zaopatrzeniem biedniejszych regionów Imperium, ale teraz nie był już tego taki pewien.

– Co mam zrobić z tą informacją? – zapytał Demir, nie zadając sobie trudu, by ukryć nutę desperacji w głosie. Poczł, jakby na jego barki spadł ogromny ciężar. – Co matka miała z tym wspólnego? Czym jest ów prototyp?

Kastora zaczerpnął głęboko powietrza, jak gdyby zbierał rezerwy wewnętrznej siły, aby wydobyć z siebie kolejne słowa. Chwycił Demira za ramię. Ręka mistrza była zaskakująco silna.

– Wiesz, czym jest portal feniksa?

Brzmiało znajomo, jak coś, co studiował lata temu. Zerknął na Idriana, lecz ten tylko pokręcił przecząco głową.

– To największy cel krzemowej nauki – wyjaśnił Kastora. – Mechanizm, dzięki któremu energia przeistacza się w magię, pozwalając na ponowne ładowanie zużytych odłamków szkła bożego.

Demir zmarszczył czoło. Wspomnienia z dawno zapomnianych wykładów powoli zaczęły do niego wracać. Jak jego tutorzy opisywali portal feniksa? Idealny? Elegancki? Nieosiągalny?

– Portal feniksa pozwoliłby na uniknięcie katastrofy, jaką byłaby utrata magii – powtórzył z pamięci. Poczul, jak na tę sugestię wybałuszają mu się oczy. – Stworzyłeś go, prawda?

– Tak! Zaprojektowałem go wraz z twoją matką. To ona zaproponowała użycie szkła błysku zamiast zwykłego szkła bożego. Lecz portal uległ zniszczeniu podczas pożaru. To, co z niego pozostało, leży tam... – Kastora zadrżał i na krótko zamknął oczy. – W tamtym kącie. Można go odbudować. Potrzebujesz jednak schematów i kogoś wystarczająco utalentowanego, by umiał je odczytać. Już ją wysłałem.

Demir wygrzebał z kieszeni mały notes i ołówek. Zapisał: „szkło błysku”. Był to rzadki minerał, powstający naturalnie, podczas uderzenia pioruna w złoże żaropiachu.

– Gdzie ją wysłałeś?

– Do twojego hotelu. Nazywa się Thessa Foleer. – Kastora zrobił głęboki wdech. – To dwudziestodwuletnia czeladniczka, moja protegowana. Jest jedyną osobą, której powierzyłbym dokończenie mego dzieła. Nigdy nie spotkałem osoby z tak naturalnym krzemowym talentem. Jeśli nie uda jej się dotrzeć do hotelu, musisz ją odnaleźć.

Demir utkwiał wzrok w niewidzialnym punkcie nad leżącym Kastorą. W głowie kłębiły mu się pomysły. Starał się ułożyć jakiś plan działania. Thessa mogła być wszędzie – schwytna, martwa,

uciekająca. Może dotrze do hotelu po jego powrocie albo wsiadła już na statek płynący do Purnii, by uciec przed walkami.

– Jak ona wygląda?

Kastora rzucił mu spojrzenie umierającego człowieka, którego zapytano właśnie o długą listę rzeczy do załatwienia, ale Demir się nie wycofał.

– Muszę wiedzieć – nalegał.

W końcu Kastora odpowiedział:

– Nieco wyższa od ciebie. Ciemne blond włosy. Delikatne rysy. Jasna skóra. – Zdawał się wyrzucać z siebie słowa z wielkim wysiłkiem, a Demir zastanawiał się, ile jeszcze pozostało im czasu. – Ma liczne blizny od pracy przy piecu i... jest doświadczoną sokolniczką. Te ślady też pewnie zobaczysz.

Demir zapisał kolejne szczegóły – nazwisko Thessy i jej opis. Pozwolił Kastorze kontynuować, skupiając się na dodatkowych informacjach dotyczących zarówno hutniczki, jak i portalu feniksa. Czuł, jak z mężczyzny uchodzi życie, każde słowo powodowało jeszcze większy ból, a złapanie oddechu stawało się coraz trudniejsze. Gdy skończył, całe jego ciało zwiotczało z wyczerpania.

– Czy żołnierze, którzy zaatakowali cię dzisiejszego poranka, wiedzieli o portalu feniksa? – zapytał Demir.

– Nie wiem – wykrztusił z bólem. – Zdawali się nie szukać niczego konkretnego. Chcieli jedynie zdobyć hutę szkła. Dobry ruch strategiczny jak na początek wojny. – Zaśmiał się, choć Demir nie widział w tym nic zabawnego. Może było to dodatkowe działanie szkła kojącego, uśmierzającego ból. Głowa Kastory opadła na bok, jego skóra przybrała jeszcze bielszy odcień, a błysk w oczach przygasł. Demir ścisnął dłoń mężczyzny, prosząc w duchu, by staruszek pożył jeszcze chwilę dłużej, żeby mógł przekazać mu więcej informacji.

Kastora zadrżał po raz kolejny, wydając przy tym ciche westchnienie, które zdawało się jeszcze bardziej złowrogie niż poprzednie. Jego twarz odprężyła się, a ciało opadło na prowizoryczne posłanie. Rozluźnił uścisk dłoni.

– Nie dam rady już z tym walczyć, Demirze.

– Czy jest coś jeszcze? – błagał Demir, ponownie potrząsając ramieniem Kastory.

– Trzeba pozwolić mu odejść – powiedział Idrian.

Demir zaklął pod nosem. Miał jeszcze mnóstwo pytań, ale najwyraźniej jego czas minął. Nie była to już odpowiedzialność Kastory. Ten ciężar spadł na Demira.

– Dobrze – zgodził się Demir. – Dopilnuję, aby twoje dzieło zostało ukończone.

– Musisz odnaleźć Thesse – rozkazał mistrz. – Wystarczy już. Teraz pozwól mi umrzeć. – Wypluł szkło lecznicze i, choć nadal trzymał w zębach szkło kojące, jego ciało zaczęło drżeć. Śmierć nie nadeszła od razu, nie przebiegła też spokojnie.

Demir ścisnął dłoń mistrza jeszcze długo po tym, jak dusza opuściła ciało. Rozmyślał. Do rozważenia miał więcej, niż zdołałby ogarnąć w ciągu jednego dnia. Sama informacja o ograniczonych zasobach żaropiachu była wystarczającym powodem, żeby każdego wprawić w osłupienie. Możliwość stworzenia portalu feniksa – odnowa zużytych szkieł bożych – była dla niego światelkiem na końcu bardzo ciemnego tunelu. Z zadumy wyrwało go pojawienie się Idriana, którego zniknięcia nawet nie zauważył. Gromiciel przyniósł płótno i delikatnie owinął nim ciało Kastory. Demir wstał i cofnął się o krok, stając obok Idriana. Zastanawiał się, o czym Gromiciel może teraz myśleć.

– Wiesz, że to, co właśnie usłyszałeś, musi pozostać tajemnicą? – zapytał Demir.

Idrian z powagą skinął głową.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Demir już dawno zabiłby tę osobę, wbijając jej odłamek szkła w szyję. Wokół leżało wystarczająco dużo przedmiotów, by tego dokonać, a przekazane chwilę wcześniej informacje były zbyt ważne, aby mógł je komukolwiek powierzyć. Znał jednak charakter Idriana. Darzył go takim samym zaufaniem jak Kastora. Demir zmusił się, żeby odejść od zwłok i podejść do leżących w kącie szczątków tego, co kiedyś było prototypem Kastory. Ujrzał dziwną konstrukcję, w większości strawioną przez płomień, pozostała jednak obudowa, a w niej pęknięta rurka, kilka dużych odłamków szkieł bożych i na wpół stopione kawałki cyny.

Kastora powiedział, że ten projekt był pomysłem matki Demira; kolejnym niespodziewanym prezentem, zniszczonym przez

idiotów próbujących przejąć hutę. Demir przeczesał włosy ręką.

– Nie mam pojęcia, jak się za to zabrać. Nie posiadam wystarczającej wiedzy, aby stworzyć nowy. Nie znam ludzi, którzy mogliby mi w tym pomóc.

Idrian prychnął.

– Znajdź Thesę. Znam ją i tak samo jak Kastora uważam, że jest niezwykle utalentowana.

– A co, jeśli nie uda mi się jej odnaleźć?

– Jesteś Księciem Błyskawic. Na pewno coś wymyślisz.

– Księżę Błyskawic nie żyje od dziewięciu lat – warknął

Demir. – Wiódł żywot krótki i przerażający.

Złapał grzbiet nosa, próbując zapanować nad złością. Było tego zbyt wiele. Zbyt wiele jak na jednego człowieka i miał wrażenie, że sama wizja nadchodzących zmian może doprowadzić go do ostateczności. Odrzucił tę myśl. Nie mógł sobie pozwolić na kolejne załamanie. Stawka była zbyt wysoka. W ciągu kilku minut wszystko w jego życiu stało się sprawą drugorzędną. Zatrudnienie Kizzie do znalezienia zabójców matki nagle wydało mu się najمأدرةjšą rzeczą, jaką zrobił od lat.

– Przepraszam – powiedział i odwrócił się, by zobaczyć wpatrującego się w niego Idriana. Zazwyczaj opanowany Gromiciel wyglądał na zdesperowanego; w jego oczach można było wyczytać szaleństwo. Przez ułamek sekundy Demir miał wrażenie, że mężczyzna go zaatakuje, lecz nie zrobił tego, tylko przemówił.

– Czy ten cały portal może naładować zużyte szkło boże?

– Tak twierdził Kastora.

– Czyli gdybyśmy go odbudowali, to moglibyśmy doładować magię w moim oku?

– Myślę, że tak – odrzekł zaskoczony Demir.

Idrian skinął głową, jakby podejmując decyzję.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, czegokolwiek, oferuję swe usługi w zamian za możliwość skorzystania z portalu feniksa.

– Aha. – Demir uniósł brwi. Wyglądało na to, że oko Gromiciela było o wiele ważniejsze, niż Demir przypuszczał. Byłby głupcem, lekceważąc taką propozycję, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła obietnica jednego z Taranów. Zaoferowano mu niezwykle cenną usługę. Zassał powietrze przez zęby, zastanawiając się, jak

mógłby ją wykorzystać, lecz się powstrzymał. – Nie mogę ci niczego obiecać – odparł. – Nie wiem nawet, czy uda mi się odbudować to przeklęte ustrojstwo.

– Sugeruję, byś dołożył wszelkich starań, aby ci się to udało – oświadczył cicho Idrian. – I nie mówię tego wyłącznie we własnym imieniu. Jestem tylko żołnierzem, lecz domyślam się, co może się stać, gdy wyczerpią się złoża żaropiachu. Portal feniksa może uratować nie tylko Imperium, ale i cały świat.

Demir spojrział w kierunku posłania, na jeszcze ciepłe ciało Kastory. Niespodziewany obowiązek ciążył mu na barkach niczym kowadło. Mimo to jego myśli zaczynały się powoli klarować, pomysły zaś od wielu lat nie były bardziej konkretne. Cel – nie pogoń za bogactwem, sławą, seksem czy zemstą, ale prawdziwy cel – został mu narzucony. Nie wskrzesiło to w pełni jego starej osobowości, lecz rozbudziło ją na nowo.

– Czegokolwiek, tak?

– Czegokolwiek, co w mojej mocy – odpowiedział Idrian. – To dla mnie ważniejsze, niż ci się wydaje.

– To pomóż mi przetransportować prototyp do obozu Stalowych Taranów. Stamtąd dostarczę go Tadeasowi.

Demir wyszedł z pomieszczenia, rzucając okiem na dwoje żołnierzy stojących na skraju drogi i dzielących się papierosem. Poczul ukłucie wyrzutów sumienia, zdając sobie sprawę, że nie pomyślał o wezwaniu ich, gdy Kastora umierał. W końcu zasłużyli, aby się z nim pożegnać. Podszedł do nich i zaoferował każdemu z nich kawałek drogocennego szkła bożego.

– Kastora odszedł. Dziękuję za to, co dla niego zrobiliście – oznajmił.

Tinny odchrząknęła.

– Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem nawet, dlaczego wybuchła ta wojna. Cieszę się jednak, że ty i Idrian towarzyszyliście mi w ostatnich chwilach życia. Jeżeli nie masz nic przeciwko, to już sobie pójdziemy. – Ostatnie słowa wypowiedziała z lękiem w głosie, jakby obawiała się, że w każdej chwili i ona może zginąć.

Demir machnął do nich, by odeszli, i wrócił na dziedziniec huty. Zmarszczył brwi. Coś przykuło jego uwagę. W koronie wielkiego drzewa rozciągającego się nad murami kompleksu siedział

sokół. W ciemności nie potrafił określić jego gatunku, ale był to duży, piękny ptak. Na nogach miał pęta; małe, zwisające skórzane paski. Z pewnością był tresowany. Czy należał do Thessy?

– Idriane – zawołał Demir. – Pożycz mi rękawicę.



Ossańscy egzekutorzy rodzinnych gildii pełnili wiele różnorodnych funkcji. Większość z nich można było zaliczyć do zwykłych zakapiorów – piechurów potrafiących machać pałką, niemających nic przeciwko łamaniu nóg, czaszek i zamków do czyichś posiadłości. Niektórzy spełniali się jako osobiści ochroniarze czy strażnicy. Zaś ci najbardziej zaufani pracowali jako kurierzy, dostarczając umowy i korespondencję między matkami i ojcami rodzinnych gildii.

Kizzie radziła sobie świetnie w dwóch kwestiach. Jej ulubionym zajęciem było sprawianie, by klienci Vorcienów czuli się otoczeni opieką. Jednemu z interesantów spłonął magazyn? Kizzie trzymała go wtedy za rękę, współczuła i kontaktowała go ze śledczymi Gwardii Narodowej. Pod jej skrzydłami nawet mało znaczący klient mógł pomyśleć, że Vorcienowie zawsze mają na względzie jego dobro. Czasem rzeczywiście tak było, a innym razem robiła to na pokaz. Nie bez znaczenia był też fakt, że nosiła nazwisko Vorcien i krzemowy symbol, nawet jeśli nie była „prawdziwym” członkiem rodziny.

Drugą umiejętnością – tą bardziej przydatną, odkąd wypadła z łask – było odnajdywanie ludzi.

Za zadanie zlecone przez Demira zabrała się od razu, poświęcając pierwszy dzień na dowiedzenie się wszystkiego o człowieku, który przyznał się do udziału w śmierci Adriany Grappo. Był nim Espenzi Darfoor, obywatel Grentu, znany łajdak wywodzący się z rodziny mającej nieznaczny udział w grenckim rządzie. Był hazardzistą i kobieciarzem z kilkunastoma udanymi pojedynkami na koncie. Nie miał za to żadnych publicznych powiązań z nikim w Ossie.

Kizzie zastanawiała się więc, dlaczego przybył do Ossy po to, by zabić Adrianę.

Oficjalne wyjaśnienie – to wydobyte z niego siłą przez Gwardię Zgromadzenia przy użyciu tak mocnego szkła dyscypliny, że doprowadziło go do obłędu – wskazywało, że za udział w zabójstwie otrzymał sowitą zapłatę od księcia Grentu. Ale czy tak było naprawdę? Czy mogła zaufać Gwardii lub Wewnętrzznemu Zgromadzeniu? A może to wszystko było tylko wygodnym kłamstwem uknutym na potrzeby wygodnej wojny? Była to nieprzyjemna myśl, więc Kizzie starała się skupić na faktach, zamiast wyciągać pochopne wnioski.

Wiedziała, że na Placu Zgromadzenia spotkało się sześć zamaskowanych osób. Ich celem było zabicie popularnej reformatorki. Demir uznał to za spisek. Ale dlaczego spisek, a nie stare, dobre zabójstwo z użyciem noża? Ponieważ obłąkany Espenzi przebywał obecnie w areszcie śledczym Gwardii Zgromadzenia, Kizzie musiała znaleźć jego współspiskowców, aby zdobyć jakiegokolwiek odpowiedzi.

Zacząła więc od początku, czyli od szukania wskazówek, dzięki którym mogłaby podążać nieznanymi ścieżkami. Zlokalizowała powóz, który przywiózł Espenziego do Ossy. Rozmawiała z kelnerem w restauracji, gdzie jadł kolację, oraz z konsjerżem hotelu, w którym się zatrzymał. Odnalazła nawet kawiarnię, gdzie w dzień zabójstwa zamówił poranną herbatę. Prześledziła jego kroki aż do godziny przed śmiercią Adriany.

Nie miał żadnych potajemnych spotkań z zakapturzonymi postaciami. Ani w restauracji, ani w kawiarni, ani w hotelu. Dla

wszystkich, którzy go spotkali, był po prostu mężczyzną w średnim wieku, odwiedzającym Osse, żeby na jakiś czas zmienić otoczenie. Nie miał nawet broni.

To było tak zwyczajne, że aż frustrujące. Kizzie nie dysponowała żadną wskazówką umożliwiającą znalezienie chociaż jednego z pozostałych zabójców.

Następnego ranka zmieniła taktykę i osobiście udała się na Plac Zgromadzenia. Było to ruchliwe miejsce, pełne polityków, urzędników oraz wałęsających się strażników i żebraków. Nadal trwały obchody przesilenia zimowego, co nakręcało improwizowane parady zamaskowanych biesiadników, podążających za wozami z chlebem, z których rozdawano darmowe jedzenie i picie wszystkim chętnym. Kizzie, korzystając z plotkarskich rubryk i doniesień prasowych, odtworzyła w myślach przebieg morderstwa Adriany, próbując ustalić, w jakich kierunkach mogliby rozproszyć się zabójcy, chcąc uciec przed nadchodzącymi gwardzistami.

Przeszła przez plac, szukając małej wnęki pod górującym nad okolicą pomnikiem jednego z założycieli Ossy. Niecka była niewielka i służyła jako schronienie dla żebraczki podającej się za Madame spod Magny.

– Hej, Courino – zagadnęła Kizzie, przykucając obok niszy i zaglądając do środka. Trudno było cokolwiek dostrzec w blasku porannego słońca odbijającego się od marmuru, ale wnętrze wypełniały koce, gazety i inne drobiazgi, dzięki którym żebraczka mogła przetrwać łagodną ossańską zimę.

Para przenikliwych oczu wpatrywała się w Kizzie, a z wnęki wysunęła się małeńka, pomarszczona dłoń.

– Mów do mnie Madame spod Magny!

Kizzie uniosła wzrok na wznoszący się nad ich głowami posąg. Dość proporcjonalny mimo obszernej tuniki.

– Przepraszam. Jak się masz, Madame spod Magny? – odparła Kizzie, włożywszy ciężką monetę w zasuszoną, drobną dłoń.

Ręka i moneta znikły tak szybko, jak się pojawiły.

– Dobrze, Kissandro. Słyszałam, że oczyściłaś Zamkowe Wzgórze z Dusicieli.

– Słyszysz pewnie wiele rzeczy.

– Biedny Iasmos. Był z niego taki miły chłopiec. Dorry była tą okrutną, prawdziwą liderką bandy. A teraz ich już nie ma! – Wydała z siebie dziwny chichot. – Dużo słyszę i widzę, Kissandro. Chcesz skorzystać z moich usług? Mogę ci opowiedzieć o kochance Stavriego lub skorumpowanym sekretarzu Legii Cudzoziemskiej. – Oczy kobiety zdawały się przybliżać. – Są istoty czające się w ciemności. Widziałam je i mogłabym o nich opowiedzieć, ale kosztowałyby cię to majątek! – Madame spod Magny zakasłała głośno. Kizzie nie mogła nigdy stwierdzić, czy kobieta jest szalona, czy po prostu świetnie gra.

– Chciałabym, żebyś opowiedziała mi o śmierci Adriany Grappo. Kto za tym stoi? Szpiedzy? Rewolucjoniści? Stowarzyszenie Fulgurytów?

Madame spod Magny cmoknęła.

– Och, tego akurat nie mogę zrobić.

– Nie widziałaś zabójstwa?

– Oczywiście, że widziałam! Widziałam, jak zatrzymała się przed schodami, o tam, aby sprawdzić kieszonkowy zegarek. Widziałam, jak zgromadzili się przy niej zabójcy. To ja zaczęłam wołać o pomoc, gdy padły pierwsze ciosy.

– Jeśli byłaś tego świadkiem, to dlaczego nie możesz mi o tym opowiedzieć? Zapłacę.

– Ponieważ Gwardia Zgromadzenia kupiła już moje milczenie. Muszę dbać o reputację.

Kizzie kuciała, obserwując, jak popołudniowe światło odbija się od tych małych, świdrujących oczek. Madame spod Magny była jednym z najbardziej wiarygodnych źródeł informacji w stolicy; prawdziwie neutralnym, poważnie przestrzegającym zasady milczenia. Jeśli ktoś zapłacił jej za zatrzymanie pewnych informacji dla siebie, nie było możliwości, by je z niej wyciągnąć. Co prawda Kizzie miała kawałek szkła dyscypliny przekazany jej przez Demira, ale nie zamierzała używać go na Madame spod Magny, a już na pewno nie chciała robić tego publicznie.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, czy to, co da się przeczytać w gazetach, jest prawdą? – zapytała.

– Ach. Hm... – Madame spod Magny wpatrywała się w Kizzie przez kilka chwil, zanim odpowiedziała. – Potwierdzenie, że

przedstawione fakty są prawdziwe, nie naruszyłyby w sumie mojej umowy z Gwardią Zgromadzenia.

A to niespodzianka.

– Sześciu zabójców? – dociekała Kizzie. – I Espenzi wynajęty przez księcia Grentu?

– Wszystko prawda.

Kizzie wydawało się, że dostrzegła we wnętrzu błysk diabelskiego uśmieszku. Jej informatorka chciała coś wyjawić. Przez parę minut rozważała różne możliwości, kucając w milczeniu obok posągu, po czym się odezwała:

– Czy Espenziego złapano celowo? Zaproponowano go Gwardii, by inni mogli uciec?

– Mądra z ciebie dziewczynka, Kissandro. Żałuję, że nie przyszedł do mnie przed gwardzistami.

Kizzie prychnęła z frustracją, rozważając opcje. Gwardia pojawiła się tu tuż po zabójstwie Adriany, czyli ponad tydzień temu. Kizzie spotkałaby się z podobną reakcją ze strony każdego żebraka, handlarza, sprzedawcy i włóczęgi. Zastraszono lub zmuszono do milczenia wszystkich ewentualnych świadków. Drażnienie tematu Espenziego, podobnie jak dalsze wypytywanie Madame spod Magny, było bezcelowe. Ale... może Kizzie zadawała po prostu niewłaściwe pytania.

– Jeśli nie mogę zapytać cię o szczegóły morderstwa Adriany, to kogo powinnam o to zapytać? – Wyciągnęła kolejne dwie ciężkie monety.

– Bardzo mądra dziewczynka – odparła ponownie Madame spod Magny, pociągając nosem. – Przeiębiłam się.

Kizzie pogrzebała w kieszeni, aż znalazła dobrej jakości szkło lecznicze i dołożyła je do przekazywanych monet. Ręka chwyciła za wszystkie przedmioty, a Madame spod Magny ponownie zarechotała.

– Powinnaś zapytać Torlaniego Chlebaniego. – Mała, pomarszczona dłoń machnęła w stronę słońca, dając znak, by dziewczynka odeszła. – Koniec z pytaniami.

Kizzie odnalazła Torlaniego Chlebaniego w jednej z kilkudziesięciu alejek oddzielających budynki rządowe na Placu Zgromadzenia. Była to wąska dróżka pełna sprzedawców,

zapewniająca miejsce jedynie dla dwóch mijających się osób, a Chlebani znajdował się na jej odległym krańcu. Był starym człowiekiem, zgarbionym od lat sięgania do pieców. Jego wózek wciąż załadowywali chłopcy kursujący między nim a piekarnią po drugiej stronie dzielnicy. Nosił maleńki kolczyk w nosie, niewielki odłamek niskiej jakości szkła aury, mając pewnie nadzieję, że dzięki niemu wyda się atrakcyjniejszy od konkurencji.

Torlani przyjrzał się Kizzie, gdy ta podeszła, zwracając uwagę na sztylet za jej paskiem i krzemowy symbol na prawej dłoni.

– Kissandra Vorcien, tak? – zapytał, kiedy przyglądała się oferowanym przez niego bochenkom. Znalazła mały chleb, wyjątkowo chrupiący, z przypalonymi brzegami, i wzięła go do ręki, wręczając mężczyźnie banknot.

– Tak – przyznała.

– Słyszałem, że na Zamkowym Wzgórzu hula okradający cię gang.

A niech to szkło, w dzisiejszych czasach wieści strasznie szybko się rozchodzą.

– Już nie. – Wgryzła się w chleb, przeżuła i uśmiechnęła się. – Naprawdę dobry – stwierdziła między kęsami.

– Dziękuję. – Ponownie spuścił wzrok na jej krzemowy tatuaż.

– Nie szukam ochrony.

Kizzie prychnęła.

– A ja nie jestem tu po to, by próbować cię zastraszyć.

– Ach – odparł starzec, wyraźnie się odprężając. – Mój błąd.

– Nie szkodzi.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy inni sprzedawcy są wystarczająco daleko, aby jej nie usłyszeć, po czym zagaiła:

– Powiedziano mi, że możesz coś wiedzieć o morderstwie Adriany Grappo.

Torlani zbladł. Imponująco szybko. Cała jego twarz zamarła, oczy wypełniły się przerażeniem, ręce zaczęły się lekko trząść.

– To... to jest mój mały zaułek. Byłem tu, gdy ją zabito. Jak miałbym cokolwiek wiedzieć? – Przerwał, jakby chciał wziąć się w garść. – Kto ci powiedział, że cokolwiek wiem? – zażądał odpowiedzi.

– A jak myślisz? – spytała Kizzie.

– Madame spod Magny. Ta suka! Ta... – Torlani syknął z frustracji. – Powiedziałem Gwardii Zgromadzenia wszystko, co wiem. Nie mam nic do dodania, a już na pewno nie Vorcienom.

Kizzie cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się całej alejce, a potem zerknęła w stronę Placu Zgromadzenia. Jeśli Adrianę zamordowało sześć osób, które następnie rozproszyły się we wszystkich kierunkach, nie było wątpliwości, że któraś z nich przebiegła właśnie tą uliczką. Dziewczyna westchnęła i spojrzała Torlanemu w oczy.

– Widziałeś jednego z zabójców.

– Ja... nie mam nic do powiedzenia!

– Nie pytam w imieniu Vorcienów.

Zakłopotany Torlani zmarszczył brwi.

– A kogo?

– Zatrudnił mnie Demir Grappo.

Zaskoczyła go ta informacja. W ciągu kilku sekund na jego twarzy pojawiło się kilkanaście różnych emocji – od zdziwienia po konsternację.

– Dlaczego ciebie?

– Ponieważ przyjaźniliśmy się w dzieciństwie i mam nienaganną reputację. – Nie były to przechwałki. Wszyscy wiedzieli, że popadła w niełaskę właśnie z tego powodu. Wyciągnęła wizytówkę z kieszeni marynarki, zachowując pozory, jakby Chlebani był tylko jednym z kilkadziesiątu tropów. – Jeśli mi nie wierzysz, możesz popytać w okolicy. A gdy będziesz chciał coś z siebie wyrzucić, to znajdziesz mnie pod tym adresem.

Torlani nie wyciągnął ręki po wizytówkę. Obliznął wargi. Od razu zrozumiała, że chciał jej coś powiedzieć. Miał to na końcu języka, wystarczyło go tylko zachęcić do zwierzeń.

– Gwardia sowicie mi zapłaciła, abym nie robił zamieszania.

– Nie proszę cię o robienie zamieszania – odrzekła łagodnie Kizzie. – Po prostu powiedz, co wiesz.

– Adriana... była moją sekretną patronką.

Teraz to Kizzie dała się zaskoczyć. Sekretni patroni nie byli czymś powszechnym. Głównym celem relacji klient–patron było publiczne prezentowanie prestiżu, wpływów i lojalności. Sekretny patron mógł otrzymywać część zysków, na przykład z piekarni, ale

nie mógł zdradzać swym przyjaciołom, że jest właścicielem najlepszej piekarni w mieście. Z drugiej strony klient nie mógł wykorzystywać nazwiska patrona, aby chronić się przed oszustami lub otrzymać lepszą obsługę ze strony dostawców.

– Dlaczego sekretną? – zapytała.

– Bardzo cenię sobie niezależność – odparł z westchnieniem. – Adriana kilkakrotnie wspierała finansowo moją piekarnię i anonimowo wysyłała egzekutorów, gdy Dorlani stawali się zbyt natarczywi. Zawdzięczam jej... Zawdzięczam jej życie.

– Czy jest coś, co chciałabyś przekazać jej synowi o tym, jak umarła? – Kizzie ostrożnie dobierała słowa.

Widziała, jak Torlani walczy ze sobą. Chwycił jeden z bochenków chleba, wgrzył się w niego i, przeżuwając z zaangażowaniem, mamrotał coś pod nosem. Następnie przełknął i powiedział:

– Jeśli to się wyda, wszystkiego się wyprę.

– Nie robię tego dla magistratu – rzekła bez ogródek Kizzie. – Nikt się nie dowie, od kogo pochodzą te informacje.

Wahał się jeszcze przez kilka długich chwil, a potem odezwał się cicho:

– W porządku. Tak więc byłem tu w momencie jej zabójstwa. Usłyszałem krzyki z placu, a kiedy spojrzałem... – zawiesił głos i rzucił okiem w stronę krańca alejki – ...dostrzegłem biegnącego mężczyznę, miał białą maskę na twarzy. Potknął się tuż przed moim wózkiem, a ta zsunęła mu się na kilka sekund. Udawałem, że go nie widzę. Zresztą nawet na mnie nie spojrzał. Z powrotem nałożył maskę i pobiegł.

– Rozpoznałeś go?

– Oczywiście. Czasem kupowałem u mnie chleb.

Kizzie poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

– I?

– To był Churian Dorlani.

Kolana ugięły się lekko pod Kizzie. Churian Dorlani nie był, jak to się mówi, ważną osobistością. Był średnio zamożnym kuzynem rodzinnej gildii Dorlanich. Ale sam fakt, że w ogóle nosił nazwisko Dorlani, sprawił, iż Kizzie poczuła kropelki potu na plecach. Była to jedna z pięciu najpotężniejszych rodzinnych gildii

w Ossie, a matka tego rodu była członkinią Wewnętrznego Zgromadzenia.

Podobno to spisek Grentu. Dlaczego w takim razie zamieszany był w niego członek rodzinnej gildii?

– Powiedziałeś o tym gwardzistom? – spytała.

Torlani pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Wydanie jednego z Dorlanich Gwardii Zgromadzenia skutkowałoby wyrokiem śmierci.

– Ale mnie o tym powiedziałeś. Nawet jeśli zawdzięczasz Adrianie życie... – Przerwała. Czy była tym aż tak zaskoczona, by zacząć kwestionować inteligencję własnego świadka?

Torlani, zamiast się poirytować, ponownie pokręcił głową.

– Sprzedałem Adrianie i Demirowi bardzo dużo chleba. Ludzie starają się o nim zapomnieć, ale ja pamiętam, że kiedyś był najważniejszą osobą w Ossie. Pamiętam, jak bardzo się starał, żeby ludzie widzieli w nim polityka, a nie tancerza szkła. Niewiele osób chcących zmienić świat na lepsze przechodzi obok mojego wózka, więc zwracam uwagę na tych, którzy faktycznie robią coś w tym kierunku. Jeśli Demir chce pomścić śmierć matki, tylko w taki sposób mogę mu w tym pomóc.

– Dzięki za trop. – Wyciągnęła z kieszeni zwitek banknotów. – Demir może sobie pozwolić na hojność. – I położyła je na tacy Torlaniego, zabierając ze sobą kolejny bochenek chleba. Wróciła na plac, rozmyślając nad swym kłopotliwym położeniem. Spodziewała się, że w sprawę zamieszana jest jakaś rodzinna gildia. Ale Dorlani...

Zlecenie nagle stało się o wiele bardziej skomplikowane i niebezpieczne. Po części chciała wrócić do Demira, zwrócić mu pieniądze i powiedzieć, by sam się tym zajął. Zdusiła jednak to pragnienie. Nie była tchórzem. Podjęła się tego zadania i zamierzała je wykonać.

Od tej pory będzie musiała działać niezwykle ostrożnie.



Demir powrócił do Hiacynta wczesnym rankiem. Całą noc nie zmrużył oka, próbując poskładać resztę matczynej siatki szpiegowskiej w Legii Cudzoziemskiej – dziesiątki kontaktów, z których jedynie siedem okazało się wiarygodnych – a wszystko to robił, taszcząc ze sobą rannego i przerażonego sokoła. Nie było w tym nic przyjemnego, więc gdy tylko wślizgnął się do hotelu tylnymi drzwiami, był wyczerpany i sfrustrowany. Od razu udał się na dach, gdzie na uboczu, ukryta przed widokiem z ulicy, znajdowała się niewysoka platforma.

Na niej stała ogromna klatka, podzielona na sekcje dla poszczególnych ptaków i szafę z całym sokolniczym sprzętem. Od dawna nikt z jej nie korzystał, a właściwie odkąd sokół Demira zdechł, gdy ten miał dwanaście lat. Włożył rannego ptaka do największej z klatek i pozwolił na spokojnie znaleźć odpowiadającą mu grzędę, po czym zdjął prowizoryczny karnal. Sokół zadrzał, rozejrzał się i wydał z siebie głośny, przeszywający pisk.

Przeskakiwał z jednej grzędy na drugą, podpierając się lewym skrzydłem i drząc lekko na całym ciele. Oddalał się od hałasu

dochodzącego z ulicy poniżej, a Demir zastanawiał się, czy nie powinien postawić przegrody, aby powstrzymać część napływających dźwięków. Był to jednak projekt na inny dzień lub dla jednego z pracowników hotelu.

Demir położył się na dachu, obserwując, jak sokół przystosowuje się do nowego otoczenia, i odetchnął głęboko. Wcześniej, w drodze do hotelu przeglądał poranne gazety. Każdą przeczytaną nowinę postrzegał w świetle zupełnie innym niż dotychczas – niewielka podwyżka cen żaropiachu przyprawiała go o szybsze bicie serca; zamknięcie dużego kamieniołomu w Purnii powodowało zaciśnięcie szczęki; pożar magazynu Stavrich wypełnionego żaropiachem, podczas którego spłonęła cała jego zawartość, sprawił, że zrobiło mu się naprawdę niedobrze.

Zaledwie wczoraj wszystkie te wydarzenia uznały za niepowiązane ze sobą incydenty, nic, czym warto byłoby zaprzętać sobie głowę. Dziś jednak były to oczywiste sygnały czegoś znacznie większego. Na świecie kończyły się zasoby żaropiachu. Jeżeli nic się w tej kwestii nie zmieni, lada dzień magia zniknie bezpowrotnie.

Aby się uspokoić, ostatni etap podróży spędził na czytaniu artykułu o potworach widywanych na prowincjach. Takie bzdury zwykle poprawiały mu nastrój, ale tym razem jego myśli stały się jeszcze mroczniejsze. Jak niby miał rozwiązać problemy świata, skoro przeciętny człowiek wierzył w duchy, stwory pełzające po bagnach i ludzi mieszkających na drzewach? Wysilek, jakiego wymagało stawienie czoła czekającej go wyprawie, wydawał się nie do pokonania.

– To wszystko, co na tę chwilę mogę dla ciebie zrobić – powiedział do sokoła, rozglądającego się po klatce. – Wyślę kogoś, by zajął się tym cholernym skrzydłem, a w kuchni znajdzie się pewnie jakiś zajac albo i dwa. Teraz jednak muszę dopilnować swoich spraw.

Zostawił zranione zwierzę w klatce i udał się do hotelowego ogrodu, celowo unikając personelu i problemów, jakimi mógłby go obarczyć. Pozwolił, aby Breenen się tym wszystkim zajął, przynajmniej na razie.

Należący do hotelu ogród był ogromnym, zamkniętym terenem wielkości normalnego bloku mieszkalnego, otoczonym

korytarzami na parterze i pokojami hotelowymi tuż nad nimi. Było to spokojne miejsce, chroniące przed miejskim zgiełkiem, pełne drzew i kwietników obsadzonych zimowymi kwiatami. Po drugiej stronie ogrodu znajdowała się stara huta szkła wyposażona w mały piec, z czasów przed narodzinami Demira, kiedy to hotel zatrudniał pełnoetatowych hutników. Zanotował w pamięci, że powinien ją naprawić, na wypadek gdyby udało mu się znaleźć Thesę.

Stara huta nie była jednak celem jego dzisiejszej podróży. Kolejnym z dwóch budynków w ogrodzie było mauzoleum. Piękna budowla z rzadkiego białego purnijskiego marmuru z grubymi purpurowymi żyłkami, ozdobiona podobiznami założycieli dynastii Grappów, których wyrzeźbione twarze prezentowały się dość surowo. Na pierwszy rzut oka mauzoleum nie wydawało się duże, ot, ozdobny obelisk z ciężkimi, zniszczonymi drewnianymi drzwiami. Większość gości hotelowych przechodziła tuż obok, bardziej zainteresowana pozostałymi częściami majestatycznego ogrodu.

Potężne wrota otwały się na naoliwionych zawiasach, ukazując ciemną jamę, którą Demir oświetlił, przekręcając pokrętko od latarni gazowej umieszczonej przy wejściu. Biało-purpurowe marmurowe schody prowadziły stromo w głąb, ku podziemiom. Demir szedł powoli, zapalając każdą latarnię, jakby rozproszenie ciemności w krypcie miało rozproszyć również tę w jego umyśle. Wąskie schody wiodły do szerokiego, sklepionego pomieszczenia pod ogrodem; długiej komnaty, większej niż hotelowy apartament, wyłożonej marmurowymi popiersiami wszystkich członków rodzinnej gildii sięgającej trzydzieści pokoleń wstecz.

Prochy Adriany Grappo spoczywały w urnie na końcu krypty. Piedestał nad cinerarium był pusty, ponieważ prace nad popiersiem nie zostały jeszcze ukończone. Demir wpatrywał się w to miejsce ze zmarszczonym czołem, zmagając się z głębokim niezadowoleniem z powodu oglądania matczynych szczątków bez jej podobizny. Oczywiście rzeźba nie będzie przedstawiała matki taką, jaką ją pamiętał, gdyż rzeźbiarz miał stworzyć podobiznę młodej Adriany, zaczerpniętą z portretu, na którym miała dwadzieścia kilka lat. Już teraz wiedział, że będzie mu to przeszkadzało.

– Cześć, mamó – odezwał się do pustego pomieszczenia. Zaskoczyło go, jak wielką sprawiło mu to przyjemność. Odpowiedź

jednak nie nadeszła. Już nigdy nie nadejdzie, co przyprawiło go o dojmujący ból w klatce piersiowej. – Nieźle mnie załatwiłaś, co nie? Poradziłbym sobie z hotelem, klientami i sponsorowaniem Stalowych Taranów, ale z portalem feniksa? Z obowiązkiem ocalenia Imperium ciężącym mi na barkach? Powinnaś wcześniej mi o tym powiedzieć. Powinnaś mnie do tego przygotować. Widzieliśmy się zaledwie kilka miesięcy temu. Mogłaś już wtedy zdradzić mi tę tajemnicę.

Bił się z myślami, czując, jak ciągną go raz w jedną, raz w drugą stronę. Był niesprawiedliwy i miał tego pełną świadomość.

– Przepraszam, że nie było mnie tu, by cię chronić. Byłem samolubny i głupi, spędzając jedną trzecią życia na ukrywaniu się przed kimś, na kogo mnie wychowałaś.

Odwrócił się gwałtownie, zmierzając w kierunku schodów, po czym zatrzymał się tam na kilka minut, zanim zdołał wrócić do urny.

– Po Holikanie darzyłem cię tak wielką nienawiścią – wyznał, słysząc gniew w swoich słowach. – Nienawidziłem sposobu, w jaki mnie wychowałaś; guwernerów, harmonogramów, oczekiwań. Nienawidziłem tego, że moje dzieciństwo było krótsze niż dzieciństwo mych przyjaciół, ponieważ widziałaś we mnie potencjał i za wszelką cenę chciałaś go rozwijać. Byłem wybitnym uczniem, ale presja, jaką na mnie wywierałaś, sprawiła, że stałem się kruchy. Nie byłem przygotowany na katastrofę, jaka wydarzyła się w Holikanie. To była moja porażka, moja odpowiedzialność, ale to ty byłaś temu winna. Nie sądzę jednak, abym mógł dłużej cię za to obwiniać. Po prostu zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne. Wiem, jak bardzo mnie kochałaś. Miłość jest rzadkością w rodzinnych gildiach i żałuję, że nie powiedziałem ci, jak bardzo cię kocham, kiedy jeszcze żyłaś. Żałuję, że nie wybaczyłem ci, gdy miałem jeszcze ku temu okazję. – Przystanął, wpatrując się w pusty piedestał. – Przebaczam ci, matko. Popelniłaś wiele błędów, ale zaszczepiłaś we mnie również dużo dobra. Zadbalaś o to, bym troszczył się o innych i o swe wartości, a nie tylko o szkło boże i pieniądze. Zadbalaś o to, bym stał się osobą, która uratowałaby ptaka ze strefy wojny, nawet jeśli byłoby to zupełną stratą czasu. Zadbalaś o to, bym stał się inny niż reszta członków rodzinnych gildii, i jeśli jest coś, co mnie ocali, to

będą właśnie twoje nauki. Nie mogę obiecać, że będziesz ze mnie dumna. Ale mogę się postarać, by ponownie cię nie zawieść.

Ukląkł i dotknął urny, po czym skierował wzrok na marmurowe popiersie znajdujące się na prawo od pustego piedestału. Przedstawiało młodego mężczyznę o mocno zarysowanej szczęce, wysokim czole i płaskich uszach. W niczym nie przypominał Demira do czasu, aż spojrzało się w jego oczy. Nawet w marmurze były bystre, a buńczuczny uśmiech na jego ustach wyglądał tak, jakby rzeźbiarz zaczerpnął go z lustra przedstawiającego młodego Grappa.

Tancerz szkła przejechał dłonią po znajomych rysach twarzy mężczyzny, tak jak robił to już setki razy, gdy był dzieckiem.

– Zaopiekuj się nią, tato – poprosił, a następnie odwrócił się i wyszedł z krypty.

Wynurzył się na popołudniowe słońce i przez chwilę spoglądał w niebo, uspokajając się, aż ból w klatce piersiowej zaczął ustępować i mógł bez trudu zaczerpnąć głęboko powietrza. Poczul ulgę, jakby zrobił coś, czego potrzebował, ale dotychczas nie zdawał sobie z tego sprawy. Wyrzucił kłębiące się w głowie myśli, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

W gardle ugrzęzła mu gęła i choć bardzo się starał, nie mógł jej przełknąć. Jak miał to wszystko zrobić? Jak miał odnaleźć Thesę? Jak miał stworzyć portal feniksa? Jak miał wywiązać się ze wszystkich tych nowych obowiązków? Matka poleciła mu, by nie zdradzał nikomu, nawet Breenenowi, tajemnicy dotyczącej portalu feniksa. Czy naprawdę samodzielnie musiał się tym wszystkim zająć?

Nagle usłyszał dźwięk odbijający się echem od wnętrza hotelu. Przekrzywił głowę, wsłuchując się uważnie, aż pojawił się on ponownie, a potem jeszcze raz. Ktoś wykrzykiwał jego imię, a on w mgnieniu oka rozpoznał głos tej osoby. Zanim zdążył się zorientować, biegł już w stronę drzwi do hotelu, wpadając na korytarz.

– Demir! – darł się ktoś. – Gdzie jest Demir?

Ledwie dotarł na szczyt schodów, a jego oczom ukazał się największy mężczyzna, jaki kiedykolwiek stanął mu na drodze. Znajdował się tuż za drzwiami wejściowymi do hotelu. Był wysoki

na dwa metry i szeroki na metr, miał jasną skórę północnego prowincjusza i pasujący do niej mocny akcent. Odziany był w karmazynowo-purpurową marynarkę z kunsztownym haftem, sprawiającą, że cała garderoba Demira wydawała się po prostu kiepska. Jego twarz była ogromna, wielka jak beczka, a małe oczy i usta tonęły w jego ciele niczym rodzyńki w cieście.

Demir potrafił rozpoznać nowych członków personelu hotelowego po tym, z jaką mieszkanką podziwu i strachu wpatrywali się w tego masywnego mężczyznę. Mały Montego, mistrz świata w cudgelingu, jedna z niewielu osób, która budziła lęk nawet w tancerzach szkła.

– Mały! – zawołał Demir, wbiegając na co drugi schodek i pędząc przez lobby.

– Demir! Ej, nie rób tego!

Demir rzucił się, by objąć olbrzyma, owijając ramiona wokół jego grubej szyi i ściskając tak mocno, jak to tylko możliwe. Montego wydał z siebie cierpiętnicze westchnienie i poklepał go niepewnie po plecach.

Demir postawił nogi na podłodze, cofnął się o krok i obdarzył przyjaciela długim, badawczym spojrzeniem.

– Ale się spasz, Mały.

– Zdarzało mi się łamać silniejszych za mniejsze zniewagi – mruknął Montego.

– Może byłoby ci łatwiej, gdybyś przestał upodabniać się do przerośniętego bobasa, co? – odparł Demir. – Breenen, przygotuj dla naszego gościa apartament tuż obok mojego. Dopilnuj, żeby miał wszystko, czego tylko zapragnie.

– Jestem tu z powodu śmierci twojej matki – odpowiedział Montego, machając Demirovi gazetą przed twarzą. – Nie dam się niańczyć.

– Czyli nie muszę wzywać stolarza, by zbudował ci gigantyczną kołyskę, tak? – rzucił Demir, po czym dodał już poważniej: – Powiedz mi, jak udało ci się dotrzeć tu tak szybko.

– Wiadomość od Caprica nadeszła, gdy mój jacht wpływał do portu. Kupiłem wszystkie wolne konie z powozami na odcinku między Yavlli a Ossą, aby podróżować bez przeszkód. Ale nie to jest tu ważne. Opowiadaj, Demirze! Powiedz mi, co się stało.

– Porozmawiajmy na osobności. – Demir złapał Montega za rękaw i pociągnął w stronę schodów. Wkrótce znaleźli się w jego gabinecie, gdzie zamknął drzwi i opadł na jedną z kanap. Po raz pierwszy od dwóch dni poczuł, że może zdjąć z twarzy wszystkie przywdziane maski i bez skrępowania otworzyć się przed drugą osobą. W tym momencie zdecydował też, że opowie Montegowi o wszystkim. Niczego nie zatai. Chrząnić matczyne ostrzeżenia. Jeśli nie mógł zaufać Montegowi, równie dobrze mógł się po prostu powiesić.

Olbrzymi pałkarz stał przy drzwiach, wpatrując się w Demira.

– Paskudnie wyglądasz.

– Dzięki.

– Mówię poważnie. Nie widziałem cię tak roztrzęsionego od Holikanu. Czuję, że nie chodzi tu tylko o śmierć twojej matki. Stało się coś jeszcze. Mów, co się dzieje!

– Wróciłem, bo umarła matka, a teraz muszę odnaleźć młodą kobietę, aby pomogła mi w uratowaniu świata.

– Myślę, że wolałbym dłuższą wersję wydarzeń.

Demir wziął głęboki wdech, opierając się pokusie sięgnięcia po szklaneczkę whisky lub odłamek szkła otępiającego, znieczulającego umysł.

– W takim razie ją dostaniesz.

Ze szczegółami opowiedział wydarzenia ostatnich dwóch dni, niczego nie pomijając. Mówił tak długo, że aż zaschło mu w gardle, a w głowie zawrzało. Montego siedział na kanapie naprzeciwko niego, a na jego komicznie szerokiej twarzy malowało się skupienie. Ludzie patrzący na Montega rzadko zwracali uwagę na coś więcej niż jego rozmiary czy sportowe osiągnięcia, ale Demir wiedział, że pod tym wielkim czołem kryje się umysł porównywalny z jego własnym. Montego bywał małomówny, czasem towarzyski i niezmiennie błyskotliwy.

Demir zakończył opowieść, wzdychając i rozkładając ręce.

– Za dużo tego, Mały. Nie dam rady.

– Spokojnie – odparł Montego, unosząc potężną dłoń. – Nie ufasz dochodzeniu prowadzonemu przez Zgromadzenie?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie wybór Kizzie był właściwy. Cieszę się, że ją do tego zaangażowałaś.

– Nie będzie to dla ciebie niezręczne?

– Twoja matka nie żyje – rzekł z powagą Montego. – To ona sfinansowała moją pierwszą walkę. Adoptowała mnie. Chcę, żeby Kizzie kontynuowała polowanie na jej zabójców. Nie ma tu miejsca na niezręczność.

– Dobrze.

Montego wydał z siebie kilka zamyślonych dźwięków.

– Zostawmy to w jej rękach. A co do żaropiachu... Wierzysz Kastorze w tej kwestii?

– Nie ma powodu, by mu nie wierzyć.

– Od lat nie korzystałem ze szkła bożego – prychnął Montego.

– Sprawia, że strasznie mnie swędzą łuski szklanego trądu na nogach. Ale myślę, że pewnie by mi go brakowało, głównie ze względu na innych ludzi. – Skrzywił się. – Konsekwencje jego braku byłyby... drastyczne.

Demir zachichotał.

– Twój talent do powściągliwości nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

– Mnie za to nigdy nie przestanie zadziwiać twój talent do rozpaczania. Nie staraj się zaprzeczać, masz to wymalowane na twarzy. Wyglądasz tak samo jak wtedy, gdy wmówiłeś sobie, że zakochałeś się w nasuudzkiej księżniczce.

– Uważasz, że nie powinienem rozpaczać? Kastora dał mi jasno do zrozumienia, że potrzebuję tej Thesy, jeśli chcę odtworzyć portal feniksa, tylko że ona zniknęła. – Demir przeszedł w końcu przez pokój i nalał dwie szklaneczki whisky. Podał jedną Montegowi, a potem uniósł swoją, zauważając, że jest to ta sama, którą rozbił poprzedniego dnia, gdy wydawało mu się, że dostrzegł kogoś za oknem. Tancerze szkła potrafili zmusić szkło do ponownego połączenia, ale on zrobił to niechlujnie, zniekształcając przedmiot.

Montego wypił łyk whisky i pokręcił głową.

– Nie ma czasu na rozpacz, gdy gdzieś tam są wrogowie, których należy wykończyć, a na horyzoncie majaczy katastrofa gospodarcza. Nie będzie... Spójrz na mnie. Demirze, spójrz na mnie! – Demir zmusił się do spojrzenia w przenikliwe oczy Montega. – Nie

będzie łatwo. Bez wątpienia. Ale jesteś Demirem Grappem, a ja Małym Montegiem. Wróciłem i nie odejdę, dopóki nie naprawimy tego świata. Obiecuję.

Demir przełknął ciężko, po czym zdał sobie sprawę, że nie ma już guli zalegającej mu w gardle. Poczłł się lżejszy, lekko skołowany, a spowijająca go ciemność ustąpiła pod nieugiętym spojrzaniem Montega.

– Twój optymizm – rzekł łamiącym się głosem – jest niepoprawny.

– A twoja rozpacz bezsensowna. Mamy zadanie do wykonania. Jesteś tancerzem szkła i najwybitniejszym umysłem naszego pokolenia. Zostałś gubernatorem w wieku zaledwie czternastu lat! Do tego wynegocjowałś ogromną umowę handlową między Nasuudami a Balkanami, kończącą stulecia wzajemnej wrogości, dodatkowo zapewniając swej prowincji niebotyczne zyski! Kto to przebiję?

Demir poczuł, jak na to wspomnienie kącik jego ust unosi się nieznacznie.

– Byłem najwybitniejszym umysłem naszego pokolenia.

– Wierzę, że nadal nim jesteś. Po prostu wyszedłś z wprawy.

Demir chciał mu się sprzeciwić. Każda tkanka jego ciała protestowała przeciwko własnym umiejętnościom, przekonana, że nie może zmierzyć się ze stawianym przed nim wyzwaniem. Jego psychika zapadała się na grząskim gruncie, jakby czekając, aż pęknie i rozpadnie się na milion kawałków, jak wtedy w Holikanie. Ale Montego nie był z nim tamtego potwornego dnia. Był za to solidnym filarem, na którym Demir mógł się teraz oprzeć, a optymizm pałkarza mógł pokonać jego największe wątpliwości.

Demir zaczerpnął niepewnie powietrza, starając się zebrać do kupy i ponownie przywdziać maskę pozorów, aby pracownicy hotelu nie dostrzegli, jak naprawdę się czuje.

– Dobra. Zrobimy to twoim sposobem, ty wielki, głupi optymisto. Ale kiedy mi się nie uda, zwałę winę na ciebie.

Montego klepnął się w udo i wybuchnął śmiechem.

– Ha! Wiedziałem, że uda mi się cię przekonać. Pamiętaj, Demirze, że nie zdołasz pokonać wrogów, dopóki nie pokonasz samego siebie.

– Jedno z matczyńskich powiedzeń – zauważył Demir, marszcząc brwi. Widmo dawnego siebie, nieśmiała i niepewne, które poczuł zeszłej nocy, zdawało się krążyć gdzieś z tyłu jego głowy, pobudzone obecnością Montega. Może naprawdę mógł to zrobić. Zamknął oczy, wypierając z umysłu cały nagromadzony w nim chaos, żeby skupić się na tym, co go czeka. – W porządku. Damy radę. Breenen zajmie się hotelem. Capric pomoże mi w przygotowaniu kilku transakcji biznesowych, dzięki którym zasile kufry Grappów. Co prawda spoczywają na mnie obowiązki patriarchy, ale jeżeli zamierzamy odnaleźć Thesę, to musimy skoncentrować się na rozrzuceniu sieci po okolicy.

– Gdzie zaczniemy poszukiwania?

Demir całą noc zadawał sobie to samo pytanie.

– Udała się na północ albo na południe od Grentu, omijając walki toczące się przy wjeździe do miasta.

– Zajmę się tym osobiście – zaproponował Montego.

– Nie jesteś zmęczony podróżą?

– Bzdura, przyjacielu! Potrzebujesz mnie. Czymże jest sen przed takim zobowiązaniem? Ruszę bezzwłocznie.

– A ja dowiem się, czy nie porwał jej ktoś z rodzinnych gildii. – Demir poczuł, jak rośnie w nim pewność siebie, jak siły powracają do jego umysłu i ciała. – Dziękuję, że przyjechałeś, Montego.

Montego uśmiechnął się szeroko, słysząc, jak Demir zwraca się do niego po imieniu.

– Nie mógłbym uważać się za twojego przyjaciela, gdybym tego nie zrobił. Ale widzę, że znów się wahasz. Nie wahaj się. Działaj!

– Poderwał się na równe nogi i otworzył drzwi do gabinetu. – Breenen! – krzyknął. – Potrzebuję nowych koni do powozu. Muszę lecieć! – rzucił do Demira, po czym zniknął.

Nie tracąc czasu na wątpliwości, Demir zabrał się za pisanie listów, przygotowując zapytania do matczyńskich szpiegów, własnych kontaktów i starych znajomych, którzy mogliby pomóc. Ostrożnie formułował zdania, nie nawiązując bezpośrednio do Thesy i starając się nie zdradzić swych planów komuś, kto mógłby okazać się niegodny zaufania.

Pracował nad tym już od jakiegoś czasu, gdy w drzwiach pojawił się portier.

– Dostarczono przesyłkę od Idriana Sepulkiego, panie. Pilnujący jej żołnierze twierdzą, że życzyłybyś sobie odebrać ją osobiście.

Demir zapieczętował kilka listów i przekazał je boyowi hotelowemu. Następnie podążył za portierem na tyły hotelu, gdzie kazał wszystkim opuścić pomieszczenie, zanim otworzył coś, co wyglądało jak zwykła skrzynia na wojskowe muszkiety. W środku znajdowały się spalone szczątki stworzonego przez Kastorę portalu feniksa.

Demir po raz pierwszy dobrze przyjrzał się prototypowi i przez kilka minut krążył wokół niego, próbując ustalić, jak mógł wyglądać przed pożarem. Zewnętrzna powłoka – komora o cienkich blaszanych ścianach, zaizolowana korkiem – uległa w większości zniszczeniu. W jej popękanych i połamanym wnętrzu tkwił długi na ponad pół metra kawałek szkła błysku, ozdobiony pierścieniami ze szkła potęgi.

Demir nieczęsto widywał tak duże okazy magicznego szkła, a okalające go przezroczyste okręgi były równie rzadko spotykane. Szkło potęgi było drogim i trudnym w obróbce magicznym materiałem wzmacniającym inne szkła boże. W tym przypadku użyto go zapewne, aby wspomóc proces konwersji energii, który Kastora miał nadzieję uchwycić.

Do naprawy prototypu Demir potrzebował zarówno materiałów, jak i kogoś, kto potrafiłby połączyć je w całość bez zniszczenia jakiegokolwiek z jego elementów. Wspólnie z Montegiem zamierzał skupić się na tym drugim, ale nie wykluczało to znalezienia chwili na pierwszą ze spraw.

Na zewnątrz czekał na niego portier.

– Zanieś to do mojego apartamentu – polecił młodzieńcowi. – A potem przekaz Breenenowi, żeby zlokalizował każdy z większych egzemplarzy szkła błysku znajdujących się w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od hotelu. Ma wziąć pod uwagę zarówno prywatne, jak i publiczne zbiory.



ROZDZIAŁ 10

Idrrian siedział w rogu tymczasowej bazy, z dłonią przyciśniętą do szklanego oka. Promienie słońca wpadały do pomieszczenia przez wąskie okno, przebijając się przez zakurzone powietrze, podczas gdy z zewnątrz dobiegał dźwięk zorganizowanego chaosu, wywoływanego przez batalion przygotowujący się do rozpoczęcia dnia. Po tym, jak przyglądał się śmierci Kastory i zadbał, aby portal feniksa dostarczono do Hiacynta, sen nie chciał otulić go ramionami. Czuł się obolały, jakby dopiero co stoczył bitwę o własne życie. Wyobrażał sobie błoto na kolanach i pręgi na karku, choć minęły dziesiątki lat, odkąd ojciec ośmielił się podnieść na niego rękę.

Gdzieś w kamienicy rozległ się śmiech dziecka.

Zmusił się do wstania, porzucając posłanie i przecinając pokój w poszukiwaniu pozostawionej mu przez Braileera zbroi. Przejechał palcami po kilku drobnych naprawach, wyczuwając głębokie nacięcia w stalowej ramie tarczy i mocne zadrapania na szkłe młota lewego naramiennika. Nie dało się ukryć, że coś poprawiono, choć przesadą byłoby stwierdzenie, że zrobiono to dobrze. Zmarszczył

czoło. Czy niedoświadczony płatnerz był lepszy niż żaden? Chłopak przynajmniej niczego nie pogorszył.

Idrian otworzył plecak w poszukiwaniu ołówka i kartki papieru z zamiarem napisania wiadomości do Ministerstwa. Gdy jednak nie znalazł ani jednego, ani drugiego, zaczął układać tekst w myślach: Braileera czekało jeszcze kilka lat szkolenia przed rozpoczęciem czynnej służby; jego obecność szkodziła im obu; Idrian potrzebował doświadczonego zbrojmistrza. Wróciwszy do zbroi, przyjrzał się jej jeszcze raz, tym razem dokładniej. Zreperowano jeden z pękniętych pasków, i to całkiem nieźle. Metal wypolerowano we właściwy sposób. Musiał przyznać sam przed sobą, że kilka rzeczy wykonano poprawnie.

Ponownie usłyszał śmiech dziecka. Pokręcił głową, przeklinając w myślach cywili, którzy najwyraźniej nie opuścili jeszcze strefy wojny. Mógłby im współczuć, pewnie wielu z nich nie miało się gdzie podziać, ale ucieczka na wieś lub w głąb Grentu czy Ossy była zdecydowanie lepszą alternatywą niż pozostanie w tym miejscu. Wszedł na korytarz i podążył za śmiechem dobiegającym z drugiego końca budynku. Dotarłszy do celu, zastał uchylone drzwi do pokoju, z którego wnętrza dolatywał dziecięcy chichot.

– Słuchaj – powiedział głośno, pukając do drzwi i jednocześnie je otwierając. – Musisz stąd iść... – Urwał, po czym przez kilka chwil rozglądał się po pomieszczeniu. Nikogo nie zobaczył. Pokój był równie zniszczony i opuszczony jak ten, w którym spędził ubiegłą noc. W kącie leżały śpiwór i plecak należące do jednego z sierżantów Stalowych Taranów, nic więcej. A już na pewno nie było tam żadnych dzieci. Idrian z trudem przełknął ślinę i nacisnął mocno na oko ze szkła bożego. – Szklorwa – wyszeptał.

Ostrożnie chwycił je i wyciągnął z oczodołu, unosząc pod światło, by sprawnym okiem spojrzeć w głąb fioletowych odmętów. Kolor wydawał się nieco bardziej wypłowiały, niż kiedy sprawdzał go po raz ostatni, ale nie na tyle, by zmniejszyć skuteczność rezonującej magii.

– Proszę pana – zawołał ktoś. Idrian wepchnął oko z powrotem na miejsce, odwrócił się i zobaczył stojącego tuż za drzwiami Braileera. – Wszystko w porządku?

Idrian omiótł wzrokiem pusty pokój, wyszedł i zamknął drzwi, zmuszając się do zignorowania dziecięcego śmiechu, który natychmiast dobiegł z jego wnętrza.

– Tak.

– Śniadanie gotowe, panie.

Idrian podążył za Braileerem do swojego tymczasowego lokum i usiadł na posłaniu, gdy młodzieniec postawił przed nim blaszany talerz. Pograżył się w rozmyślaniach, starając nie skupiać się na dziecięcym śmiechu, jednocześnie wymyślając sposób na łatwe pozbycie się młodego płatnerza. Czy natychmiastowe usunięcie z nowego stanowiska zawstydzi chłopaka? A może poczuje się lepiej, wiedząc, że nie musi stawać do walki? Albo jedno i drugie?

W zamyśleniu stuknął kilka razy nożem o blaszane naczynie, zanim zabrał się do jedzenia. Przeżuwał pierwszy kęs, natychmiast powrócił do rzeczywistości, a jego podniebienie załała fala intensywnych smaków. Spojrzał w talerz.

– To nie jest papka Laurenta – stwierdził.

Braileer przyglądał mu się uważnie.

– Przepraszam, jeśli jest gorszej jakości, panie, ale kwatremistrz...

– Laurent.

– Tak, Laurent, nie chciał uwierzyć, że jestem pana nowym zbrojmistrzem, musiałem więc zwędzić parę rzeczy pozostawionych w jego kuchni. To tylko smażone na smalcu ziemniaki z cebulą, starym czosnkiem i odrobiną sera.

Idrian wziął kolejny kęs i powoli przeżuwał, przechylając głowę na bok i nasłuchując odległego śmiechu. Nagle zapadła cisza. Urojenia ustały. Przyjemność jakiegokolwiek rodzaju zwykła je uciszać.

– To smakuje lepiej niż wszystko, co Laurent kiedykolwiek przyrządził. I zrobiłeś to z jego resztek?

– Tak, panie.

– Od dawna masz lepsze ręce?

Braileer zdawał się wyczuwać pułapkę w tym pytaniu i spuścił głowę.

– Nie jestem złodziejem, panie. Byłem najmłodszym z rodzeństwa. Wychowałem się w dużej, ubogiej rodzinie. By mieć co

jeść, musiałem nauczyć się podkraść jedzenie z talerzy braci i nie dać się przy tym złapać.

– To jakim cudem nauczyłeś się gotować?

– Przez trzy lata pracowałem w kuchni zbrojmistrza. Pewnego dnia jego stała asystentka zachorowała, więc ją zastąpiłem. Biedaczka zmarła kilka dni później, a że szybko się uczyłem, zostałem jego czeladnikiem.

Idrian dokończył posiłek, delektując się każdym kęsem i znajdując ukojenie w ciepłe oraz bogactwie smaków. Skończywszy, oparł się plecami o ścianę i odstawił talerz, przyglądając się Braileerowi.

– Te naprawy są... no cóż, nie najgorsze, ale też nie najlepsze.

– Rozumiem, panie. Prawdę mówiąc, mój mistrz kłócił się z rekruterem ponad godzinę, gdy przyszli, chcąc wcielić mnie do wojska. Mówił, że nie jestem jeszcze gotowy, i miał rację. Na tę chwilę nie umiem idealnie wykonywać swej pracy, ale gwarantuję, że mój serwis jest lepszy niż żaden.

Idrian zaczął lubić tego dzieciaka. Był szybki, świadomy i uważny.

– Płaca płatnerza Legii Cudzoziemskiej jest wyższa niż ta, którą dostaje uczeń zbrojmistrza – zauważył.

– Tak, panie.

Oblizwał nóż, wytarł go o spodnie od munduru i włożył z powrotem za pasek.

– Ile wynosi?

– Tysiąc na miesiąc... – Braileer zawahał się przez chwilę. – Zamierza mnie pan zwolnić ze służby?

– Hm. – Idrian spojrział na talerz i poważnie rozważał wylizanie go do czysta. – Jeszcze nie. Zobaczmy, jak się wpasujesz – powiedział. – Wiesz, gdzie jest Tadeas?

– Major Grappo jest na zewnątrz, panie.

Idrian zostawił Braileera, by zwinął jego posłanie, i wyszedł przed budynek, gdzie mijały się różne oddziały Stalowych Taranów, rozchodząc się we wszystkich kierunkach. Widocznie wydano już rozkazy, lecz najwyraźniej nie obejmowały one Idriana. Jego dowódca i wieloletni przyjaciel stał w centrum prowizorycznego

obożu z rękami wspartymi na biodrach i oczami wzniesionymi ku niebu, jakby pogrążony w rozważaniach.

Tadeas Grappo wyglądał jak starsza wersja jego sławnego siostrzeńca. Był czterdziestoletnim mężczyzną z czarnymi włosami, zmęczoną i poznaczoną bliznami twarzą oraz zamyślonymi, piwnymi oczami. Chociaż wiele lat temu zrzekł się miejsca w Zgromadzeniu na rzecz Demira, nadal zachowywał się jak członek rodzinnej gildii. Stał wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, i mimo brudnego od potu i pyłu munduru czuć było w nim szczyptę dostojeństwa.

– Wreszcie postanowiłeś do nas dołączyć, nasz znakomity Gromicielu – rzekł, spoglądając na Idriana.

– Nie przysłałeś nikogo, żeby mnie obudził – odparł Idrian, po czym dodał: – Nie każą nam iść dzisiaj na front?

Tadeas pokręcił głową.

– Rozdzielili nas, byśmy niańczyli przemieszczające się wojska artyleryjskie. Nic przyjemnego, choć lepsze to niż wczorajsza jatka.

– Pełna zgoda. – Idrian stanął obok Tadeasa, jednocześnie naciskając delikatnie sztuczne oko i upewniając się, że nikt go nie słyszy. – Znów się zaczyna – powiedział cicho.

– Już? – Tadeas przygwoździł go wzrokiem, a na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie. – Sądziłem, że zostało ci jeszcze kilka lat, nim stan oka zacznie się pogarszać.

– Też tak myślałem, ale... Demir był tu wczoraj wieczorem. Poprosił, abym towarzyszył mu podczas wyprawy do Królewskiej Huty Szkła w Grecie. Chciał wydostać stamtąd mistrza Kastorę, lecz znaleźliśmy go śmiertelnie rannego. Zmarł kilka minut po naszym przybyciu. – Mówił tak, jakby składał raport skrupulatnemu generałowi, starając się nie okazywać emocji, powstrzymując się od jakichkolwiek wybuchów.

Tadeas nawet nie mrugnął okiem na wzmiankę o siostrzeńcu. Albo już o tym wiedział, albo w ogóle go to nie zdziwiło. Położył Idrianowi rękę na ramieniu.

– Przykro mi. Ministerstwo wie, że to oko trzyma na wodzy tkwiące w tobie szaleństwo. Masz z nimi umowę. Będą musieli znaleźć ci jakiegoś hutnika, żeby zrobił ci nowe, czyż nie?

– Tak, ubolewam jednak, że nie ma nikogo równie zdolnego, by powtórzyć dzieło Kastory. Był najlepszy w swoim fachu.

– Kogoś ci znajdziemy.

Bezwartościowe zapewnienie, choć niosące ze sobą pewne pocieszenie, gdyż wychodziło z ust przyjaciela.

– Wyznaję zasadę, by nie oplakiwać zmarłych przed zakończeniem wojny, lecz ostatniej nocy bardzo ciężko było mi się powstrzymać. To dzięki Kastorze nie popadłem w obłąd. Był dobrym człowiekiem, a nasi durni, szkółerni żołnierze zadźgali go bagnetem. Nie zasłużył na śmierć. Mogli go pojąć, a nie od razu zabijać.

– Wiem, jak wiele dla ciebie znaczył. Był nie tylko twoim przyjacielem, ale i pewnego rodzaju lekarzem – odparł łagodnie Tadeas, nachylając się, by niczym chirurg zbadać magiczne szkło, z którego wykonane było oko Idriana. – Jaką formę przybrało tym razem?

– Śmiech dziecka.

– Tego objawu nie pamiętam.

– Bo jest nowy.

– Powiniennem zgłosić to do Ministerstwa – stwierdził ze smutkiem w głosie. – To dla twojego bezpieczeństwa.

Idrian chwycił Tadeasa za ramię.

– Nie. – Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował, było zostawienie przyjaciół na polu bitwy i udanie się do Ministerstwa Legionów na całodobową obserwację lekarzy, traktujących go jak szaleńca. – Nic mi nie będzie.

– Czy te omamy nie wpłyną na twoją gotowość do walki? – Tadeas ostrożnie zadał to pytanie, domyślając się odpowiedzi, po tym jak usłyszał prychnięcie Idriana.

– Nie, oczywiście, że nie – rzucił Gromiciel.

– Powiedziałbyś mi, gdyby tak było?

– Tak.

Tadeas spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Może to tylko reakcja umysłu na śmierć Kastory i niedługo wszystko wróci do normy. Kolor twojego oka jest dość intensywny. Wydaje mi się, że masz jeszcze kilka lat na znalezienie nowego hutnika, nim magia szkła bożego w pełni się wyczerpie.

Idrian przełknął ślinę, powstrzymując tysiące kłębiących się w nim obaw i niepewności. Nie wstydził się ich okazywać, po prostu w tej chwili nie uważał tego za konieczne. Wiedział, że Tadeas go rozumie. Zamiast tego powiedział:

– Mam taką nadzieję. – Musiał powstrzymać chęć opowiedzenia Tadeasowi o portalu feniksa. Wiedział, że może powierzyć mu każdy sekret, nie chciał jednak złamać obietnicy danej Demirowi. Ta tajemnica nie opuści jego ust, nie pozwoli też, aby zaćmiła jego myśli. Jeśli złoża żaropiachu się wyczerpią, jego los będzie przesądzony. Nie ma sensu dłużej się nad tym rozwodzić.

Tadeas pokiwał głową, klepiąc Idriana delikatnie po ramieniu.

– Przykro mi. Jak tylko ta wojna się skończy, pomogę ci uporać się z Ministerstwem i ze znalezieniem nowego genialnego hutnika.

– Dziękuję – odpowiedział Idrian. Dobrze było mieć u swego boku troskliwego przyjaciela. Gromiciele byli ważnymi członkami społeczeństwa, ale przedstawiciele rodzinnych gildii mogli zdecydowanie szybciej załatwić pewne sprawy. – Zastanawiam się czasem, czy gdybym nie stracił tego oka, to popadłbym w obłąd.

– Ja zaś zastanawiam się, czy mógłbym powstrzymać się przed zabiciem twego ojca, gdybym go kiedykolwiek spotkał – prychnął Tadeas. – Nie wiem, jakim cudem sam tego jeszcze nie zrobiłeś..

– Trybunał nie patrzy przychylnie na ojcobójstwo.

– Tylko gdy natrafiają na zwłoki. – Tadeas sprawdził kieszonkowy zegarek. – Cholera, muszę lecieć na spotkanie sztabu z generałem Stavrim. Nie mam dziś dla ciebie żadnych rozkazów, więc odpocznij sobie. Mika zjawi się tu lada chwila z jednym z pułków artyleryjskich. Nie wychylaj się, bo zaraz któryś z tych nadętych kutasów z rodzinnych gildii będzie chciał zmusić cię do pełnienia warty.

Idrian pożegnał przyjaciela, unosząc rękę i obserwując, jak ten odchodzi w dół ulicy. Ponownie dotknął szklanego oka. Większość zakładała, że stracił je podczas walki. Nie wyprowadzał ich z błędu. Tylko Tadeas wiedział o okrucieństwie jego ojca – o krzykach i biciu. Próbował wyrzucić te myśli z głowy. Po wydarzeniach poprzedniego dnia potrzebował chwili odpoczynku, ale wolał mieć coś do roboty, choćby po to, by nie skupiać się na ogarniającym go obłądzie. Przechadzał się nerwowo po obozie,

ignorując ukradkowe spojrzenia pomocniczego personelu Stalowych Taranów, który sprzątał, prał i cerował mundury.

Braileer wyszedł na ganek i zaczął rozkładać zbroję, miecz oraz tarczę Idriana. Gromiciel zatrzymał się na moment, aby popatrzeć. Może w świetle dnia młody płatnerz lepiej poradzi sobie z naprawami. Nawet jeśli miał tylko ją wypolerować, to dobrze, że mógł się czymś zająć.

Idrian dołączył do niego, usiadł na podeście i zapatrzył się w niebo.

– Zdarza ci się myśleć o śmierci, Braileer? – zapytał.

– Nie, panie.

– To zaczniesz, jeśli zostaniesz w Legii Cudzoziemskiej na dłużej. – Idrian ugryzł się w język od razu, gdy słowa te opuściły jego usta. Było to do niego niepodobne. Na ogół nie wprowadzał tak ponurej atmosfery w towarzystwie kogoś, kogo ledwie znał, i to w dodatku świeżego rekruta. Chłopak niczym sobie na to nie zasłużył. – Doświadczysz też najlepszych chwil w życiu – dodał.

– Tak, panie – odpowiedział Braileer, skupiając się na pracy i unikając jego wzroku. Idrian zastanawiał się, czy go nie przestraszył.

Chwilę później dostrzegł kątem oka jakiś ruch i odwrócił się, by zobaczyć małą dziewczynkę, obserwującą go z okna kamienicy usytuowanej w głębi ulicy. Większość grenckich cywili uciekła przed walkami, ale nadal tysiące pozostało w domach, nie mając dokąd się udać. Idrian pomachał do niej. Dziewczynka odmachnęła. Nagle za dzieckiem pojawiła się młoda kobieta, wciągnęła je do środka i zatrasnęła okiennice, rzuciwszy Idrianowi gniewne spojrzenie.

Nie miał jej tego za złe. Nikt nie chciał tej wojny: ani cywile, ani żołnierze. Gdyby nie odgórne rozkazy, być może spędzałyby wakacje na tej właśnie ulicy, ciesząc się przesileniem i mocniejszym grzany piwem z Grentu.

Niespodziewanie usłyszał odgłos niewielkiej eksplozji. Spojrzał w górę. Po nim nastąpił kolejny huk, zbyt blisko, by można było go zignorować.

– Braileer – syknął. – To granaty Miki. – W sekundę był już na nogach, starając się zlokalizować dźwięk. – Weź broń i chodź ze mną – rozkazał, wyrywając hełm z rąk młodzieńca i wciskając go sobie na

głowę. Chwycił miecz oraz tarczę i ruszył biegiem, nie zwracając uwagi na to, czy płatnerz za nim nadąży.

Zbliżając się do źródła eksplozji, usłyszał krzyki.

– Grencka Gromicielka! – krzyknął ktoś. – Nadchodzi Gromicielka!

Idrian wyłonił się z alejki i zobaczył, że tuż przed nim rozgrywa się zażarta bitwa. Wzdłuż ulicy rozstawiono kilkanaście dział artyleryjskich, a załoga gromadziła się wokół nich, starając się uspokoić konie, podczas gdy żołnierze i saperzy z herbem Stalowych Taranów na mundurach utworzyli punkty obrony.

Szyki załamywały się na czele kolumny. Ubrana w pełną zbroję grencka Gromicielka brutalnie torowała sobie drogę pośród wojska artyleryjskiego. Dwa konie były już martwe, ciągnięte przez nie działa roztrzaskane na bezużyteczne kawałki, a dokoła leżały porozrzucane zwłoki brygady i Taranów. Idrian przyglądał się, jak kobieta w mgnieniu oka odcina głowę jednemu z oficerów artylerii, zabija kolejnego konia, odrąbuje koło sześciofuntowego działu polowego i kosi połowę korpusu. Reszta uciekła, a Stalowe Tarany kulami z muszkietów ostrzeliwały pancierz Gromicielki.

– Nie możesz tam iść bez zbroi – wykrzyknął Braileer, doganiając Idriana. Miał przy sobie mały rapier i puklerz wykonany ze szkła młota. Wyglądał na przerażonego.

– Spróbuj mnie powstrzymać – warknął Idrian. Grupa żołnierzy z Grentu, prawdopodobnie niewielka kompania, ruszyła za Gromicielką, dżgając bagnetami rannych i strzelając do Taranów. Idrian szukał swych towarzyszy, aż znalazł Mikę stojącą z saperami, bezpośrednio na drodze Gromicielki. Trzymała w ręku procę, do której włożyła mały granat, a następnie zakręciła nią nad głową, by materiał wybuchowy poszybował w stronę wroga. Eksplozja przyciągnęła ich uwagę, co Idrian wykorzystał na swą korzyść.

Puścił się pędem z ukrycia, licząc, że magia hełmu pomoże mu przetrwać walkę. Naparł na grenckich żołnierzy z boku, mieczem przebijając się przez nich z taką samą łatwością, z jaką ich własna Gromicielka rozcinała Stalowe Tarany. Ich okrzyki przerodziły się we wrzaski, a on sam w ciągu kilku chwil skąpany był we krwi.

Wtem nad jego ramieniem przeleciał granat, roztrzaskując się o bruk i eksplodując tuż u stóp grenckiej Gromicielki. Była zbyt

zajęta obracaniem się w kierunku Idriana, by dostrzec rzucony obiekt, więc wybuch zwałił ją z nóg.

Idrian zablokował tarczą pchnięcie bagnetu, poczuł kolejne nacięcie na łydce i zarznął cały oddział grenckiej piechoty ostrzem miecza. Kula świsnęła mu koło ucha, a on, świadomy, że nie ma na sobie zbroi, rzucił się w stronę wrogiej Gromicielki, gdy ta stanęła już na nogi.

W mgnieniu oka zbliżyła się do niego, a on odparł jej atak tarczą, po czym odrzucił osłonę i uderzył niezaostrzoną krawędzią miecza w magiczną zbroję Gromicielki, by nie uszkodzić szkła brzytwy, z którego został on wykonany. Cios ją oszołomił, ale szybko doszła do siebie. Rzuciła na bok własną tarczę, a następnie z całej siły napała na Idriana.

Tępe krawędzie ich jednosiecznych mieczy zderzały się ze sobą, ogromne płyty metalu i szkła bożego uderzały o siebie z prędkością szermierczej szpady i siłą górniczego kilofa. Idrian odczuwał każdy odbijany cios, od czubka głowy do palców u stóp, i szybko stało się jasne, że chociaż jest od niej bardziej doświadczony, to zespolone szkło mocy jej zbroi czyni ją zbyt silną i zbyt szybką. Odwrócił się, próbując znaleźć wyjście z potrzasku, nie dając się przeciąć na pół i licząc na to, że stojący za nim, przeklęci idioci zdążyli już wycofać się w bezpieczne miejsce.

Tak się oczywiście nie stało. Nawet w skupieniu potrafił wyczuć toczące się wokół niego walki. Ręka dzierżąca ostrze ciążyła mu coraz bardziej, a nogi stawały się niezwykle ociężałe, gdy próbował władać bronią i tarczą bez dodatkowej pomocy magicznych szkieł. Uderzenie w szczyt głowni sprawiło, że zdrętwiały mu palce i zagrzechotały kolana. Chrząknął, odrzucając Gromicielkę do tyłu i wpatrując się w jej zwycięski uśmiech.

Nagle w powietrzu przeleciała kula, uderzając grencką Gromicielkę w bok hełmu. Wyglądała, jakby się tym nie przejęła, a na jej twarzy pojawił się zaledwie krótki grymas. Idrian mógłby się roześmiać, gdyby nie rozpoznał w tej kuli jednego z granatów Miki.

Nadeszła szansa na ewakuację.

Rzucił się do tyłu, ochraniając się tarczą przed granatem, a eksplozja odrzuciła go i jego przeciwniczkę w przeciwnych kierunkach. Poczuł, jak zatykają mu się uszy. Na klatkę piersiową

naparła ogromna siła. Pozwolił sobie swobodnie opaść, ścięty z nóg. Przetoczył się po bruku, a potem wstał z mieczem gotowym do walki. Grencka Gromicielka postąpiła identycznie, zbroja ochroniła ją przed wybuchem. Ale niespodziewanie odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę. Idrian stał sphywający mu z czoła pot, a do jego uszu dobiegło trąbienie Grentczyków do odwrotu. Reszta grenckiej piechoty ustawiła się do zorganizowanej ucieczki, czekając, aż Gromicielka znajdzie się bezpiecznie pośród nich.

Wtem powietrze przeciął głośny gwizd, po czym nastąpiły dwa krótkie wybuchy. Idrian poczuł, jak zalewa go fala ulgi. To Tadeas wraz z posiłkami Valienta. Ucichły muszkietowe wystrzały, pozostawiając gęstą od dymu ulicę upiornie cichą, wypełnioną jedynie stukotem butów i jękami rannych. Wkrótce Stalowe Tarany otoczyły Idriana.

– Wszystko w porządku, panie? – zapytał jeden z nich.

– Gdzie mój płatnerz? – spytał Idrian, rozglądając się dookoła. Ku jego zdziwieniu Braileer stał tuż za nim. Co prawda miecz młodzieńca był czysty, lecz tarcza nosiła ślady zadrapań, a po czole sphywała mu strużka krwi. Poza szeroko otwartymi oczami wydawał się cały. – Byłeś tu ze mną przez cały czas? – niedowierzał Gromiciel.

Braileer drżał na całym ciele, ale zdołał skinąć głową.

– Zuch chłopak. – Idrian poklepał go po ramieniu i w tym samym momencie wiedział już, że go nie odeśle. Rozluźnił się, czując, jakby cała energia opuściła jego ciało, a ręce stały się zbyt słabe, by utrzymać miecz i tarczę. Odłożył je więc tam, gdzie stał, i zdjął hełm, aby otrzeć pot. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć biegnącego w jego stronę Tadeasa.

– Jeśli jeszcze raz – krzyczał Tadeas – ruszysz do walki bez szklolonej zbroi, wyślę cię przed sąd wojskowy!

Idrian spojrział beznamiętnie na przyjaciela. Twarz Tadeasa była czerwona, a wypełnione po brzegi troską oczy bacznie oglądały Idriana w poszukiwaniu ran.

– Jak sobie życzysz, szefie.

– Nie szefuj mi tu, do cholery!

– Tad! – powiedziała stojąca tuż za nim Mika. – Gdyby nie zainterweniował, stracilibyśmy cały batalion artyleryjski, załogę i pomagających im saperów!

– To nic w porównaniu z utratą Gromiciela – wyrzucił z siebie Tadeas.

Idrian uniósł ręce w pojednawczym geście. Nie było sensu dyskutować z Tadeasem, gdy był taki rozjuszony. Dowódca miał rację; to, co zrobił Idrian, było cholernie głupie.

– Zrobiłbym to ponownie – oświadczył Tadeasowi, mając nadzieję, że spokojny ton głosu ukoi jego wściekłość. – Myślisz, że zmarnuję czas na założenie zbroi, gdy gdzieś tam będą ginąć ludzie? Chyba trochę już mnie znasz, co nie?

– Ty... – Tadeas pogroził Idrianowi palcem. – Szklorwa mać!

– Może lepiej dowiedz się, jakim cudem grencka grupa uderzeniowa prześlizgnęła się przez nasze posterunki? – zaproponowała Mika, chwytając Tadeasa za ramię. Mężczyzna wyszarpnął się z jej uścisku, a przez twarz przemknęło mu kilkanaście różnych grymasów, aż w końcu pojawiło się na niej przerażenie. Idrian rozejrzał się i wstępnie ocenił, że stracili kilku saperów i dwudziestu lub trzydziestu żołnierzy z batalionu Taranów, nie wspominając o kilku artylerzystach i ich dowódcy. Dowodziło to, jak wiele szkód w ciągu kilku minut może wyrządzić dobry oddział uderzeniowy z Gromicielem na czele.

– Valient! – zawołał Tadeas. – Dowiedz się, kto, do szklanej cholery, przepuścił wroga przez nasze posterunki, i przyprowadź ich do mnie, abym mógł pociąć ich na drobne kawałki!

– Już się robi! – rozległ się okrzyk z drugiego końca artyleryjskiej kolumny.

– A ty... – Tadeas odwrócił się z powrotem do Idriana. – Idź do medyka po kilka szwów i solidny kawałek szkła leczniczego.

– Nic mi nie jest. – Idrian zdążył już trochę ochłonąć i dopiero teraz poczuł przeszywający ból promieniujący z rozciętej łydki. Pochylił się, aby ją obejrzeć, z ulgą stwierdzając, że rana jest jedynie powierzchowna. – Są nowe rozkazy? – zapytał.

– Tak, i są cholernie dziwne. Masz w ogóle świadomość, że odcięła ci płatek ucha?

Idrian dotknął lewego ucha. Mocno zapiekło, a kiedy spojrział na palce, okazało się, że są całe we krwi.

– To było moje ulubione ucho – zwrócił się do Miki, gdy Tadeas się oddalił.

– Doceniam to. Właśnie uratowałeś masę moich ludzi – powiedziała cicho Mika, unosząc brwi.

– Taką mam pracę – odparł Idrian, ignorując jej podziękowania. – Ten ostatni granat uratował mi życie.

– Wyglądałeś, jakby ramiona odmawiały ci posłuszeństwa, a twój płatnerz omal nie został dźgnięty grenckim bagnetem.

– Dzięki. Jeszcze trzydzieści sekund i by mnie dopadła. Ten miecz jest piekielnie ciężki, gdy do dyspozycji mam tylko szkło młota w rękojeści i hełmie. – Kiwnął głową na Mikę, pozwalając jej zająć się rannymi saperami, sam zaś znalazł kawałek szkła leczniczego, żeby zatamować krwawienie, nim pojawi się przy nim jeden z medyków. Po godzinie zszyto mu już długie rozcięcie na łydce i to, co zostało z płotka ucha. Bolało jak cholera, ale nie przyjął proponowanego mu szkła ukojenia. Chciał zapamiętać ten ból, kiedy następnym razem zdecyduje się na coś równie głupiego.

Pewnie niczego to nie zmieni, ale też niczemu nie zaszkodzi.

W pewnym momencie usłyszał, jak za rogiem Tadeas na kogoś krzyczy. Prawdopodobnie był to skurczybyk odpowiedzialny za posterunki – jakiś średniej rangi oficer z regularnej piechoty. Wkrótce w pobliżu wybuchła kolejna bitwa, kiedy to piechota uderzyła w grencką linię obrony. Idrian czekał na wieści o konieczności dołączenia do walki, lecz te nie nadeszły.

Gdy ponownie zobaczył Tadeasa, ten zmierzał już w jego kierunku, z ulicy uprzątnięto zabitych i opatrzone rannych. Wstał, chcąc złapać przyjaciela.

– Co się stało?

Tadeas westchnął i usiadł na jednym ze zniszczonych dział artyleryjskich, wpatrując się w muchy brzęczące wokół leżącego przed nim martwego konia.

– Mają dobry oddział uderzeniowy – odparł. – Cholernie dobry. Zniszczyli nasze posterunki i zgładzili siedem plutonów regularnej piechoty, zupełnie nie zwracając na siebie uwagi. Niczyja wina. I szkoda, bo wolałbym znaleźć jakichś winnych. Mógłbym ich wtedy rozstrzelać.

– Odpowiemy tym samym? – zapytał Idrian.

Tadeas pokręcił głową.

– Czwórka się tym zajmie. My otrzymaliśmy nowe rozkazy – powiedział, a na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. – Siódemka rusza na książęcy pałac. Generał Stavri uważa, że jeśli uda nam się go zdobyć, będziemy mogli zmusić księcia do rozważenia wcześniejszej kapitulacji. Zaspokoi to żądzę krwi odczuwaną przez rozwścieczone masy po śmierci Adriany, a my damy po łapach Grentowi za jego polityczne manipulacje.

– Szybko i krwawo – przytaknął Idrian. – Brzmi dobrze. Pomożemy Siódemce dostać się do pałacu?

– Tak. Słyszałem, że odbywające się tam walki są jeszcze lepsze niż te z wczoraj.

Idrian jęknął. Podobała mu się ta strategia, ale pomysł stania na czele kampanii już nie. Takie jednak było jego zadanie. Tadeas wcisnął mu do ręki coś, co go zaskoczyło. Był to list zapieczętowany fioletowym woskiem z krzewowym symbolem Grappów.

– Co to jest? – zapytał.

– List od mojego siostrzeńca.

Idrian złamał pieczęć. Na notce napisane było:

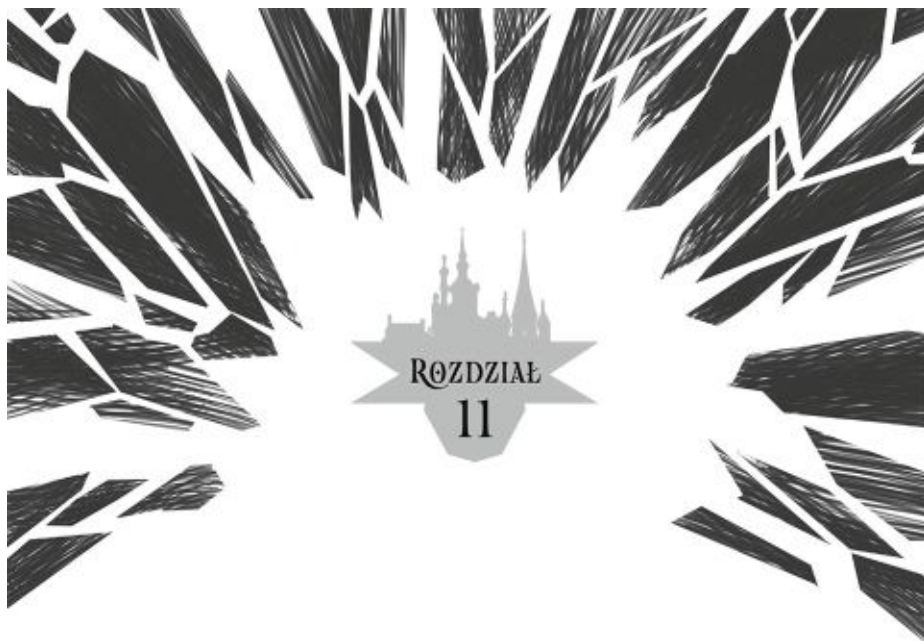
Książę Grentu trzyma w swym pałacu duży egzemplarz szkła błysku. Jest on częścią jego niezwyklej kolekcji dzieł sztuki. Zorganizowałem przeniesienie Stalowych Taranów w pobliże miejsca, w którym toczą się walki. Dostarcz mi ten szklany okaz w jednym kawałku, a wywiążę się z mojej części umowy.

– Co tam jest napisane? – spytał Tadeas.

Idrian pokręcił głową, przypominając sobie obietnicę złożoną Demirowi. Przysiągł, że nie powie nikomu o portalu feniksa. Serce waliło mu jak oszalałe, a między ramionami pojawiło się przyjemne mrowienie. Demir nie tylko przyjął jego ofertę, ale zrobił to zaskakująco szybko. Dzięki sprawnemu portalowi feniksa mógł przywrócić magię swego oka. Nie potrzebowałyby kolejnego hutnika. Mogło się okazać, że uda mu się uratować zszargane zdrowie psychiczne. Wrócił myślami do spotkania w książęcym pałacu przed kilkoma miesiącami. Pojawił się tam w roli strażnika i teraz

uświadomił sobie, że widział już ten kawałek szkła błysku. Był wystawiony w foyer.

Jako pierwszy będzie musiał przekroczyć frontowe drzwi pałacu, a z racji tego, że był Gromicielem, nie było to niemożliwe. Nie przejmował się wizją brutalnych potyczek. Zrobi wszystko, co tylko będzie trzeba, jeżeli w grę wchodzi ocalenie cywilizacji i własnego cholernego umysłu.



Ossańscy porywacze bezceremonialnie załadowali Thesę na wóz i zabrali na północ, tą samą drogą, którą pierwotnie zamierzała dostać się do Ossy. Z rozpaczą patrzyła, jak przejeżdżają obok wjazdu do miasta, dokładnie tam, gdzie planowała skręcić.

Nie mogła przestać myśleć o Serresie i jego rodzinie. Nastolatków i dorosłych wcielono do służby w marynarce wojennej; dzieci i starców wyrzucono na bruk, ograbiając ich z całego dobytku. Czy uda im się przeżyć mroźną zimową noc? Czy znajdą pomoc i pocieszenie? Mogła mieć jedynie nadzieję, że zdołają dotrzeć do krewnych i zebrać wystarczającą kwotę, aby wykupić rodzinę z marynarki. Gdy myśli nie zajmował jej los nowo poznanych, wracała wspomnieniami do Ekhięgo. Próbowwała wmówić sobie, że uciekł, lecz ciężko było w to uwierzyć, gdyż słyszała wyraźnie ów zbolwały skrzek. Nawet jeśli przeżył, postrzelony sokół nie miał praktycznie żadnych szans na przetrwanie w dziczy.

Nie łudziła się, że los Ekhięgo się odmieni, miała jednak nadzieję, że przynajmniej Kastora wyjdzie z tego bez szwanku. Oraz

Palua i wszyscy uczniowie.

Porywacze przekazali ją parze egzekutorów z rodzinnej gildii Magnów – mężczyźnie i kobiecie po czterdzieste, ciężko uzbrojonych i milczących, z paznokciami małych palców pomalowanymi na czerwono na znak ich przynależności. Nie znęcali się nad nią, ale wyraźnie dali jej do zrozumienia, że próba ucieczki skończy się połamaniem kości. Tamtej nocy spali we troje, stłoczeni z tyłu wozu. Thessa śniła o płomieniach i krzykach, choć tym razem widziała też małego Leonego, stojącego na błotnistej ulicy z zabawkami w rękach i intensywnie się w nią wpatrującego.

Rano wyruszyli w dalszą drogę. Thessa zmagiała się z ogarniającą ją rozpaczą, starając się nie poddać przerażeniu kłębiącemu się w jej głowie. Tłumaczyła sobie, że to tylko chwilowe niepowodzenie, coś jak zboczenie z trasy podczas wyprawy do celu. Ucieknie. Musi uciec. Przyszłość krzemowej nauki spoczywała w jej bucie.

Późnym popołudniem wjechali do zadymionego, podupadłego miasta na skraju ciemnego lasu. Wyciągnęli ją z wozu i przeprowadzili przez główną bramę w wysokim murze. Natychmiast rozpoznała ten typ zabudowań. Był to duży kompleks szklarski, znacznie większy od Królewskiej Huty Szkła w Grecie, z prawdziwymi ulicami i dziesiątkami budynków wypluwającymi w niebo czarny dym. Wszystko pokrywała sadza, a drogi wypełniał tłum robotników, hutników i uczniów, przemieszczających się w przeróżnych kierunkach.

Byli tam też egzekutorzy z bagnietami zamocowanymi na muszkietach, obserwujący zatłoczone ulice, dając jasno do zrozumienia, że nie jest to zwykły garnizon, a oni pełnią funkcję strażników więziennych.

Para eskortująca Thesse wepchnęła ją do małego pomieszczenia tuż za bramą i zatrzasnęła za nią drzwi, nim ta zdołała zadać jakiegokolwiek pytanie. Z frustracją wpatrywała się w wejście, utrzymując na końcu języka tysiąc pytań i burzę emocji – niepokoju, złości i strachu – chcących wydostać się z niej w postaci łez lub przemocy.

– Thessa?

Odwróciła się, instynktownie sięgając za pas, gdzie kiedyś znajdował się nóż, skonfiskowany oczywiście przez egzekutorów. W kącie, na małej drewnianej ławce siedział Axio. Młody uczeń wyglądał na wyczerpanego. Miał zalaną łzami twarz i szeroko otwarte oczy. Poderwał się gwałtownie i podbiegł do Thessa, obejmując ją, zanim ta zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Odważemniła uścisk, a przez ciało przepłynęła jej fala ulgi. Znajoma twarz, nawet w takim miejscu jak to, orzeźwiła ją niczym łyk zimnego piwa. Jej rozszalałe myśli uspokoiły się momentalnie, pozwalając na zaczerpnięcie powietrza.

– Co ty tu robisz? – Wyswobodziła się z uścisku, odsuwając Axia na odległość rąk i przyglądając mu się badawczo. Na lewym oku i prawym policzku miał czarniejący ślad od uderzenia, ale poza tym wydawał się cały i zdrowy. Nie była pewna, czy to za sprawą instynktu macierzyńskiego, czy po prostu jej wyższej pozycji w hutniczej hierarchii, ale natychmiast poczuła potrzebę, by go chronić. Chciała się dowiedzieć, kto mu to zrobił, a potem sprawić winnemu równie dotkliwy ból. Podobnie jak w przypadku troski o tamtą rodzinę, również teraz zmusiła się do odrzucenia wściekłości, uznając ją za bezcelową.

– To tamten żołnierz mnie tak pobił, a krótko po tym wycofali się z huty. Próbowiałem uciec, ale wywlekli mnie ze sobą – odezwał się Axio.

– A co z mistrzem Kastorą? – Thessa nie potrafiła sobie wyobrazić, jak poczciwy starzec mógł stanąć do walki z wrogimi żołnierzami, lecz wyglądało na to, że zmobilizował garnizon. Żałowała, że nie posłuchała instynktu i nie zawróciła.

– Nie wiem.

Thessa uściaskała go ponownie.

– Dobrze się spisałeś. Dziękuję, że odwróciłeś uwagę tamtego żołnierza. Mistrz Kastora wysłał mnie... – Zamilkła, zastanawiając się nad swą opowieścią. Lepiej nie wspominać nikomu, nawet Axiowi, o schematach. – Kazał mi udać się do jednego ze swych ossańskich sojuszników, niestety granic pilnowali już żołnierze.

Axio pociągnął nosem i wytarł go brudnym rękawem. Tak samo jak Thessa miał na sobie wczorajsze ubranie. Zaskoczyło ją to, bo zdała sobie sprawę, że to wszystko zaczęło się zaledwie

wczorajszego poranka. Miała wrażenie, jakby minęły tygodnie. Roześmiała się raczej z szoku niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go, spojrzła na drzwi, a następnie rozejrzała się po małym, nijakim pokoju. Była czeladniczką, dumną hutniczką, a teraz ciążyła na niej dodatkowa odpowiedzialność związana z ochroną kogoś niższego rangą. Było w tym coś wznioślejszego niż zwykle dostarczenie ważnych schematów. Ponownie zaczerpnęła głęboko powietrza. Da radę zrobić jedno i drugie. – Nie wiem, na jak długo zostawią nas tu samych – wyszeptła. – Opowiedz mi więc wszystko, co wiesz.

Wydawało się, że jej obecność dodawała Axiowi odwagi.

– Nie ma tego za wiele – odparł, a ton jego głosu brzmiał już spokojniej. – Wiem tylko tyle, że jesteśmy w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej.

– Rozumiem. – Rozpoznała tę nazwę i próbowała przypomnieć sobie cokolwiek o tym miejscu, choć nie wiedział za dużo. – To dość spora huta – powiedziała do Axia. – Specjalizują się w masowej produkcji niskorezonansowych szkieł bożych. Z tego, co udało mi się przed chwilą zauważyć, to bardziej obóz pracy. W sumie wiele to wyjaśnia, bo jakość ich produktów nigdy nie była zbyt dobra. – Zamyśliła się przez chwilę. – Jeśli naprawdę jest to obóz, to będą musieli wysłać nas do pracy. Zlecą nam dzienne limity i ustalą ścisły grafik. Tobie dadzą... Co się stało?

Na wzmiankę o limitach Axio zrobił taką minę, jakby Thessa kopnęła go w krocze.

– Ale ja... powiedziałem im, że szkole się na hutnika.

– Jaja sobie robisz? – Sekundę zajęło jej uświadomienie sobie, co to oznacza. Hutnik, nawet tak niski rangą jak uczeń, był towarem deficytowym. Wykwalifikowaną siłą roboczą. Natomiast asystent hutnika był zaledwie o stopień wyżej niż zwykły robotnik. Axio skłamał, że jest uczniem, aby lepiej go traktowali, nie myśląc o tym, że w zamian ktoś będzie od niego czegoś wymagał.

Wyglądał na przerażonego.

– Przepraszam, Thesso.

– Szklorwa mać. Dobra, jakoś sobie z tym poradzimy. Ja... coś wymyślę. – Usłyszała, jak ktoś rozmawia przed drzwiami, więc ściszyła głos do szeptu: – Gdyby ktoś pytał, to mam na imię Teala.

Oboje uczyliśmy się w Królewskiej Hucie Szklą w Grecnie. Powiedz im, że jesteś nowy, może w taki sposób uchronisz się od nadmiaru obowiązków.

– Nie chcesz posługiwać się prawdziwym imieniem?

– Nie. I nie mów im, kim jestem ani jaki mam stopień. To bardzo ważne! Rób dokładnie to, co ci powiem, a oboje wyjdziemy z tego cało.

Gdy tylko skończyła, otworzyły się drzwi i ukazał się w nich mały, przypominający wiewiórkę człowiek. Na jego fartuchu wyszyto odwrócony trójkąt przecięty falistymi liniami wychodzącymi ze środka jednego z punktów. W kontekście szklą bożego symbol ów reprezentował szklą lecznicze, a w społeczeństwie ossańskim był to znak rodzinnej gildii Magnów. Mężczyzna miał to też wytatuowane na grzbiecie dłoni. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat, miał długie, czarne włosy, spiczastą twarz i bystre, nerwowe spojrzenie.

W jego uchu znajdowało się maleńkie szklą aury, rodzaj szklą bożego wzmacniającego naturalną charyzmę noszącej go osoby. Z doświadczenia wiedziała, że noszą go tylko ci, którym brakowało pewności siebie. Na jego ramionach nie było żadnych blizn, co przypomniało Thessie jedno z powiedzeń Kastory: „Blizny odzwierciedlają prawdziwe umiejętności hutnika. Zbyt duża ich liczba oznacza głupka. Zbyt mała zaś osobę, która nigdy tak naprawdę nie pracowała przy piecu”. Żadna z tych rzeczy nie zapowiadała nic dobrego.

Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w Thesę i Axia, a na jego twarzy malowało się wyłącznie znużenie.

– To są ci nowi przybysze z Grentu? – zapytał egzekutora stojącego tuż za nim.

– Tak, panie.

– Coś o nich wiemy?

– Nie, panie.

Mężczyzna pociągnął nosem i jeszcze raz rzucił okiem na Axia i Thesę. Dziewczyna złapała jego spojrzenie, licząc na to, że odrobina pewności siebie przyciągnie całą jego uwagę, odciągając go od Axia. Zadziało.

– Nazywam się Filur Magna i jestem rzemieślnikiem. Możecie się do mnie zwracać: panie, rzemieślniku lub rzemieślniku Magna. Jestem nadzorcą tego kompleksu.

– Czy to obóz pracy, panie? – spytała Thessa.

Przez twarz przemknął mu cień irytacji.

– To warsztat dla niepożądanych hutników; skazańców, zakładników i dłużników. Wrogów państwa. Jesteście jeńcami wojennymi i do czasu, aż ktoś nie zdecyduje się was wykupić lub nie zakończy się wojna, miejsce to będzie waszym domem.

– Panie – zaczęła Thessa, starając się jak najlepiej zatuszować rodzącą się w niej nadzieję. – Ile wynosi okup?

Gdy wbił w nią wzrok, odniosła wrażenie, że mężczyzna nie przywykł do odpowiadania na pytania więźniów. Wysunął spod pachy podkładkę, do której przypięto kilka kartek papieru, i przewertował je, zatrzymując się na jednej.

– Ach. Nie można wpłacać okupów. Zrozum, że wojna dopiero się rozpoczęła. Potrzebujemy was do wsparcia naszych działań wojennych, nie wroga. – Na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech. – Nikt nie wie, że tu jesteście. Nie wolno wam przyjmować żadnych odwiedzin ani kontaktować się ze światem zewnętrznym. – Odwrócił się do stojącego za nim egzekutora. – Przeszukaj ich.

Egzekutor wszedł do pokoju i zanim Thessa zdążyła jakkolwiek zareagować, stała już zwrócona twarzą do ściany. Grube palce macały ją w miejscach, których dotykać nie powinny, wciskając się pod tunikę, przeczesując włosy, błędząc po ciele, co przyprawilo ją o mdłości. Na szczęście nie trwało to zbyt długo i było na tyle fachowe, na ile mogła w tych okolicznościach liczyć. Zamknęła oczy, próbując się odprężyć, ale serce biło jej jak oszalałe, bo wiedziała, co ją zaraz czeka.

– Ściągaj buty – rozkazał egzekutor.

Thessa próbowała wymyślić jakąś wymówkę, by nie musieć wykonywać tego polecenia, lecz nic nie przyszło jej do głowy. Niechętnie zdjęła buty. Egzekutor podnosił je pojedynczo, wkładając rękę do środka. Z jednego z nich wyciągnął zwinięte schematy i bez słowa przekazał nadzorczy. Ten je rozwinął i przejrzał ze zmarszczonym czołem.

– No, no, no, a co my tu mamy? Wygląda ciekawie. – Zerknął na Thesę. – Skąd to masz?

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię, wypowiadając pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło jej do głowy.

– Zabrałam to tuż przed ucieczką z huty, panie.

– Złodziejka, tak?

– Nie wiedziałam...

– Nie próbuj się tłumaczyć! – przerwał jej. – Nie chce mi się słuchać wymówek. Co to jest?

– Nie mam pojęcia, panie. Zabrałam to z wypalarni. Uznałam, że może uda mi się to jakoś sprzedać. – Wolą, żeby uznali ją za złodziejkę niż protegowaną Kastory. Spojrzała na nadzorcę. Ponownie przyglądał się schematom, obracając je w tę i w tę, marszcząc przy tym czoło. W końcu zwinął pergaminy i schował do kieszeni. Zdawał się nie przejmować jej wyjaśnieniami.

Thessa zerknęła na Axia, mając nadzieję, że zrozumiał, jak ważne jest, aby jej nie zdradził. Wiedział, że nigdy nie okradłaby mistrza Kastory. Na skinienie nadzorcy egzekutor chwycił Axia i poddał go równie szybkiemu i dokładnemu przeszukaniu. Nic nie znalazł. Thessa zmusiła się, by to wszystko oglądać. Widziała jego drżące ręce oraz malujące się na twarzy przerażenie. To dodawało jej sił. Była jego przełożoną. Jej pewność siebie musiała starczyć za ich dwoje. Skoro nie było szans na wykupienie, dobrze zrobiła, decydując się na podanie fałszywego imienia. Być może spędzą tu trochę czasu. Nadzorca nie będzie od niej dużo wymagał, nie mając świadomości, kim tak naprawdę jest. Może nawet zdoła w jakiś sposób sabotować działania huty. Żwir w żaropiachu? Nieczystości w palącym się piecu?

Zmusiła się do koncentracji, opracowując szybki plan. Po pierwsze nauczyć się poruszać po tym miejscu. Po drugie zaplanować ucieczkę. Po trzecie odzyskać schematy. Po czwarte – gdyby ucieczka okazała się niemożliwa – wymyślić sposób dezorganizacji kompleksu.

Nadzorca ponownie przejrzał swe kartki, po czym wyciągnął zza ucha ołówek i spojrzął na Thesę.

– Imię?

– Teala. – Zmrużył oczy, więc dodała: – Panie.

- Nazwisko?
- Nie mam, panie. Jestem sierotą.
- Ranga?
- Starsza uczennica, panie.

Kiwał głową po każdej z jej odpowiedzi, dodatkowo zadając wiele podstawowych pytań o to, kim jest, jaki był jej kontakt z mistrzem Kastorą i czym zajmowała się w Królewskiej Hucie Szkła w Grecie. W swych wypowiedziach lawirowała między półprawdami i kilkoma ewidentnymi kłamstwami, przedstawiając się jako zwykła pracownica huty, osoba rzadko widująca mistrza Kastorę i sporadycznie z nim rozmawiająca. Nim rzemieślnik Magna skończył wypytywanie, dziewczyna miała wrażenie, że dowiedziała się dużo więcej o nim niż on o niej. Znała ten typ zarządcy: nietraktującego krzemowej wiedzy zbyt poważnie, nie bardzo radzącego sobie w pracy biurowej i kompletnie nieporadnego przy piecu. Był małostkowy, prawdopodobnie drobiazgowy i bardziej przejmował się rejestrami niż zależnymi od niego ludźmi. Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, by to wykorzystać.

Mężczyzna odezwał się do Axia.

- Imię?
- Axio Darnasus, panie. – Głos Axia brzmiał niepewnie.
- Ranga?
- Młodszy uczeń, panie – wtrąciła Thessa.
- Nie ciebie pytam! – warknął rzemieślnik Magna, najwyraźniej tracąc do niej cierpliwość.
- Przepraszam, panie. On był w hucie od niedawna.
- Jeśli jeszcze raz odezwiesz się niepytana, każę cię wychłostać na środku kompleksu.

Thessa zacisnęła głośno zęby. Gwałtownie skinęła głową, spuszczać wzrok na stopy, mając nadzieję, że ten gest wyda mu się spolegliwy, licząc też, że Axio jej nie zdradzi. Ulżyło jej, gdy chłopak przebrnął przez resztę pytań, nie wzbudzając podejrzeń nadzorca.

Rzemieślnik Magna skończył przesłuchiwanie i wsunął podkładkę z kartkami z powrotem pod pachę.

- Za mną – rzucił ostro, odwracając się na pięcie. Szli tuż za nim, a eskorta egzekutorów górowała nad nimi złowieszczo, gdy

maszerowali ulicą. Thessa była czujna: liczyła budynki, bacznie przyglądała się murom i próbowała ocenić mijanych ludzi.

Kompleks wydawał się w pełni nadzorowany. Istniało jedno wejście główne i kilka mniejszych, użytkowych, przez które przynoszono drewno na opał, żaropiach i inne niezbędne rzeczy. Wyjścia pilnie strzegli uzbrojeni egzekutorzy. O ile hutnicy mieli na sobie jednakowe, bure tuniki i fartuchy, wyglądające jak więzienny uniform, o tyle personel pomocniczy zdawał się w pełni najemny, gdyż osoby te nosiły własne ubrania i rozmawiały swobodnie. Niektórzy mieli kolczyki ze szkłem mocy, wspomagającym ich w przenoszeniu ciężkich ładunków. Może za pośrednictwem jednego z tych właśnie ludzi zdoła przekazać wiadomość.

Tylko komu? Adriana nie żyła. Kastora znajdował się w okupowanej hucie. Z racji tego, że byli już w Ossie, łatwiej byłoby skontaktować się z rodziną Adrianą, ale to Kastora mógłby ich przemycić z powrotem do Grentu lub wpłacić odpowiednią łapówkę. Miała również świadomość, że każda z tych osób może okazać się bezradna. Thessa musiała założyć, że na razie są zdani tylko na siebie.

Gdy przechodziła przez dziedziniec kompleksu, jej wzrok przykuł wleczony w przeciwnym kierunku młodzieniec. Płakał przeraźliwie, ciągnięty za ramiona przez dwóch egzekutorów. Thessa przyglądała mu się z niezdrową fascynacją. Tył jego tuniki był rozerwany i zakrwawiony od straszliwej chłosty.

– Aha – zaczął wyjaśnienia rzemieślnik Magna. – Tak wygląda porażka. Nie wywiązał się ze swych zadań, a ja mam ograniczone pokłady cierpliwości dla leniuchów.

– Co się z nim stanie? – zapytała Thessa, ryzykując.

– Pojedzie do tartaku, tam też mamy obóz. Jeśli nie radzi sobie ze szkłem bożym, to znajdziemy dla niego coś innego do roboty. Chodźcie tędy.

Thessa starała się zachować neutralny wyraz twarzy, ale zauważyła zbolące spojrzenie Axia. Pokiwała głową, mając nadzieję, że ów gest doda mu odrobinę otuchy.

Szloch młodego mężczyzny odbijał się echem w jej głowie, gdy odprowadzano ich do drzwi oznaczonych jako PIEC NUMER TRZY. Wnętrze pomieszczenia było jej dobrze znane. Na środku znajdował

się ogromny piec, a stanowiska pracy rozchodziły się od niego jak szprychy od piasty w kole. Było tam wystarczająco miejsca dla czternastu hutników – o wiele więcej niż w jakiegokolwiek wypalarni w Grecji. Przy stacjach roboczych zobaczyła kobiety i mężczyzn w różnym wieku, pocących się intensywnie od panującego wewnątrz upału. Kilka osób uniosło głowę, rzucając okiem na Thesę i Axia, kiedy nadzorca prowadził ich w odległy kraniec warsztatu, ku pustym stanowiskom. Wszystkie punkty były starannie przygotowane: narzędzia rozłożone, piszczele hutnicze i metalowe nabieraki zawieszane na stojaku, a z haka zwisał pomięty, jednobarwny fartuch.

Thessa odetchnęła z ulgą, gdy rzemieślnik Magna skierował ich do dwóch sąsiadujących ze sobą stanowisk. Praca tuż przy Axii umożliwiała jej opiekę nad nim, instruowanie go, a nawet pomoc w wywiązaniu się z dziennych limitów. Nadzorca zatrzymał się i spojrzał na nich, chwilę dłużej skupiając się na Axii. Thessa miała nadzieję, że mężczyzna nie dostrzegł u chłopaka dyskomfortu, który pewnie odczuwał, stojąc tuż przy nowym stanowisku pracy. Przywykł przecież do biegania i przynoszenia różnych rzeczy, a nie do produkcji magicznego szkła.

– Czy to są nasze stanowiska pracy, panie? – zapytała Thessa, pragnąc ponownie zwrócić na siebie uwagę rzemieślnika.

– W rzeczy samej. Dobrze się z nimi zapoznajcie, bo spędzicie przy nich mnóstwo czasu, aż do zakończenia wojny.

Rzemieślnik Magna kontynuował wywód, przytaczając dziesiątki zasad i informując, gdzie znajdują się kantyna oraz dormitorium. Thessa trochę go słuchała, a trochę przyglądała się pomieszczeniu, próbując się zorientować w sytuacji obecnych w nim ludzi. Ich mowa ciała wskazywała na zmęczenie i przerażenie. Nic dziwnego. Jak bardzo mogliby zostać w tyle z dziennymi limitami, aby nie narazić się na chłostę albo wysłanie do innego obozu? Tartaki były bardzo niebezpiecznymi miejscami. Wypadek w hucie szkła mógł zakończyć czyjąś karierę, ale wypadek w tartaku mógł pozbawić kończyny lub życia.

Nikt nie odważył się uchwycić jej spojrzenia. Ramiona pozostały skulone, oczy skierowane w dół. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi rzemieślnika Magny.

Spojrzała z powrotem na nadzorcę, gdy ten powiedział:

– Wasze dzienne limity będą egzekwowane. Jeśli szybko wyrobicie się z pracą, będziecie mogli odpocząć. A jeśli się nie wyrobicie, będziecie pracować całą noc. W przypadku gdy nieustannie będziecie w tyle, zostaniecie wysłani do obozu w tartaku. – Wypowiadając ostatnie zdanie, zwrócił się bezpośrednio do Axia.

Thessa przeklęła pod nosem. Z czoła chłopaka lał się pot i nie był to wyłącznie skutek panującego w pomieszczeniu skwaru.

– Jestem pewna, że sobie poradzimy, panie – odparła.

– Trzymam cię za słowo – rzekł mężczyzna, a na jego twarzy ponownie pojawił się okrutny uśmiech. Zrobił gwałtowny wdech i sprawdził coś na jednym z dokumentów trzymany pod pachą, po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł z wypalarni, zostawiając za sobą wpatrującą się w niego dwójkę nowych więźniów.

Thessa starała się skoncentrować, jednocześnie rozglądając się po pomieszczeniu. Wyglądało na to, że parę osób rozluźniło się po wyjściu nadzorcy. Kilkoro pracowników zerknęło w jej stronę z różnym zainteresowaniem. Większość jednak skupiała się na pracy. Poza szuraniem butów, skrzypieniem drzwi od pieca i hukiem płomieni nie było słycać zbyt wielu dźwięków. Tylko garstka hutników rozmawiała. Wyglądało na to, że nie pozwalano tu na piecowe pogaduchy.

To miejsce było równie dusznym, co bezdusznym obozem pracy. Taki najwyraźniej był jego cel. Thessa pochyliła się, żeby podrapać się po kostce. Przez ostatnie półtora dnia wciśnięte w but schematy ocierały się o jej skórę, ale teraz, gdy już ich nie było, czuła dotkliwą pustkę.

– Thesso – wysyczał Axio. – Co mam robić?

Thessa zaczerpnęła głęboko powietrza i skierowała całą uwagę na stanowiska pracy. Narzędzia były tanie i zużyte, ale niczego nie brakowało. Każda stacja miała dobry dostęp do pieca, w tym do komory grzewczej i lejka, służącego do kierowania ciepła na maleńkie odłamki szkła bożego. W tyglu znajdował się już roztopiony żaropiach, a przy każdym przeznaczonym do pracy stole

leżała kartka z datą i dziennym limitem. Wszystkie przydziały były takie same.

Koniec z łudzeniem się, że przyznają Axiowi mniejsze normy do wyrobienia.

– Nauczę cię wykuwać szkło boże – powiedziała do chłopaka.

– Jak?

– Tak samo jak uczyłam wszystkich moich podopiecznych. Damy radę. Szkło mocy nie jest aż takie trudne do wykonania. Pewnie już setki razy widziałeś, jak się to robi.

– Ale nigdy nie zwracałem na to większej uwagi – odpowiedział Axio. Miał rozbiegane spojrzenie i bladą twarz.

– No to będziesz musiał zacząć! – Thessa zachowała spokojny, cichy, lecz stanowczy ton. Zdjęła ze stojaka piszczel hutniczą, czyli długi, metalowy pręt, i umieściła jej koniec w piecu. – Na początku rozgrzej żelazo – zaczęła tłumaczyć. – Następnie zanurz piszczel w ten sposób. – Kiedy pręt był już rubinowy, nabrała nim roztopiony żaropiach z tygła. Potrzebowała zaledwie odrobiny. Zniosła piszczel hutniczą wraz z zawartością do stalowej płyty umieszczonej przy jej stole. Tam zaczęła formować, używając ciężkich szczypiec.

Jej ruchy były swobodne i płynne. Mimo że warunki panujące w tym miejscu były okropne, sprzęt kiepski, a stanowisko pracy zupełnie nieznanne, Thessa potrafiła wykonywać tę pracę z zamkniętymi oczami. Z kolei Axio wydawał się zupełnie roztrzęsiony. Drżał, pocił się, a wzrok przeskakiwał mu z punktu na punkt. Jeśli nie uda jej się skupić jego uwagi, nic z tego nie będzie.

– Patrz, co robię – poleciła.

Ciałem Axia wstrząsnął potężny dreszcz. Ściągnął piszczel hutniczą i chwycił ją oburącz, nadal stojąc tyłem do stanowiska pracy. Thessa kontynuowała robotę, rolując drobinki szkła bożego na stalowej płycie i formując je za pomocą szczypiec. Zatrzymała się tylko po to, by przytrzymać roztopioną masę nad lejkiem, a następnie nacisnęła pedał służący do wdmuchiwanie gorącego powietrza do pieca, dbając o to, by szkło boże zaczęło się żarzyć.

Wróciwszy do stołu, pochyliła się nad małym kawałkiem roztopionego żaropiachu, wsłuchując się w delikatny dźwięk magii.

– I to by było na tyle. Pewnie zajmie ci to kilka dni, ale w końcu załapiesz, o co w tym chodzi. Roluj, zagniataj, formuj.

Poruszaj roztopionym żaropiachem do momentu, aż usłyszysz szum magii, a potem powoli staraj się ją wzmocnić. Jeśli zniknie, cofnij to, co przed chwilą zrobiłeś. Jeśli się nie uda, po prostu zacznij od nowa. Możesz ponownie podgrzać kawałek w piecu lub wyrzucić go i zastąpić nowym.

Uniosła wzrok znad stołu, aby upewnić się, że Axio jej słucha, i dostrzegła łzy spływające po jego twarzy.

– Nie dam rady – wyszeptał.

– Dasz – odpowiedziała mu cicho. – Masz w sobie ogromną moc, Axio. Stałeś do walki z ossańskim żołnierzem, zapewniając mi czas na ucieczkę. – Obniżając jeszcze bardziej głos, sięgnęła w głąb siebie, zbierając siły, grzebiąc w złości i oburzeniu, jakie odczuła w odpowiedzi na to, jak ją potraktowano. – Zaatakowali nasz dom. Zabili Ekhego. Zastrzelili kapitankę Jero. Teraz chcą wykorzystać naszą pracę. Nie zamierzam się na to godzić. Rozumiesz? Przetrywamy tu jakiś czas, a potem uciekniemy. Razem przez to przejdziemy.

Axio odetchnął niepewnie.

– Naprawdę myślisz, że nam się uda?

– Oczywiście, ale potrzebuję twojej pomocy. Musisz być teraz silny; wiem, że potrafisz.

Axio zawahał się przez moment, potem niepewnie skinął głową. Na razie musi jej to wystarczyć.

– Ćwicz – rozkazała mu. – Udawaj, że pracujesz, a dopóki nie będziesz mógł samodzielnie wywiązywać się z limitów, pomogę ci je spełnić. – To oznaczało dwa razy więcej pracy, a później przemykanie gotowych kawałków na jego tacę. Z pewnością nie będzie to łatwe, nie miała też pojęcia, jak straszne mogą ją czekać konsekwencje, jeśli zostanie przyłapaną.

Starła się nie ujawniać swych wątpliwości. Na tę chwilę uciezka wydawała się niemożliwa. Skoro Adriana Grappo nie żyje, nawet gdyby udało im się opuścić więzienne mury, nie mieliby dokąd się udać. Powstrzymała napływ myśli. Nie mogła pozwolić sobie na rozpacz. Musiała wymyślić jakiś sposób na odzyskanie schematów. Miała też niespodziewany bagaż w postaci Axia. Nie mogła porzucić żadnego z tych obowiązków, nie chciała. Zajmie się wszystkim, krok po kroku.



To Montego wpadł na trop Thessy, podążając za kilkoma pogłoskami o młodej kobiecie samotnie zmierzającej na północ od Grentu. Pokróćce opisał swą metodę oraz wyniki poszukiwań, i choć Demir nie miał pewności, czy trafili na właściwą osobę, wiedział, że jedyne, co może zrobić, to podążać za tą nitką do kłębka, jeśli nie zerwie się ona po drodze.

Po czterech godzinach od zdanego mu przez Montega raportu Demir wpatrywał się w drobną kobietę siedzącą naprzeciw niego przy kawiarnianym stoliku. Ubrana była w skromny szary płaszcz nałożony na bogato haftowaną, ale nie ostentacyjną tunikę. Kobieta miała jasną purnijską karnację, niewymuszony uśmiech i łagodny sposób bycia, który działał mu czasem na nerwy. Nazywała się Duala Jaass i była jednym z tysięcy niezależnych pośredników, zarabiających na życie, pośrednicząc w transakcjach między rodzinnymi gildiami.

W Dzielnicy Zgromadzenia zapadł już zmrok, wilgotny chłód przeniknął nocne powietrze, przebijając się przez lekką marynarkę

Demira. Podwórze kawiarni oświetlały lampy gazowe, rzucając cienie na twarz Duali.

– Myślę, że to ona – stwierdziła.

– Thessa Foleer? – zapytał Demir, odchylając się na krześle i starając się nie wyglądać na kogoś zbyt przejętego. Gdy był gubernatorem Duala pracowała jako jego szpieżka. Aktualnie może i zajmowała się pośrednictwem, ale nigdy nie miała sobie równych w zbieraniu informacji. Kusilo go, by wysłać ją za zabójcami matki, lecz jej usługi kończyły się tam, gdzie zaczynała się przemoc. – Jesteś pewna?

– Na tyle, na ile mogę być pewna tropu przekazanego przez Montega – odparła, rozkładając ręce. – Kobieta odpowiadająca opisowi Thesy trafiła dziś po południu, około godziny piętnastej, do huty szkła w Lesie Kości Słoniowej.

Demir spojrzał na kieszonkowy zegarek. Było kilka minut po osiemnastej.

– Jak, do cholery, udało ci się tak szybko zdobyć tę informację?

– Ponieważ huta szkła w Lesie Kości Słoniowej jest obozem pracy dla hutników, a Legia Cudzoziemska ma rozkaz wysyłania tam wszystkich schwytanych hutników z Grentu. – Obdarzyła go triumfalnym uśmiechem. – Thessa podała im fałszywe imię, nazwała się Tealą, ale sprawdziłam w rejestrach, które miałam przypadkiem pod ręką, i w Królewskiej Hucie Szkła w Grecie nie było żadnej Teali. Więc albo jest to dziewczyna, której szukasz, albo jakiś piekielnie duży zbieg okoliczności.

Demir odetchnął z ulgą. Znaleźli ją. Pierwszy problem z głowy. Czas na drugi...

– Czy pracownicy tego kompleksu wiedzą, kim ona jest?

– Wątpię. To nie jest prestiżowe miejsce, nie prowadzą go też zbyt rozgarnięci ludzie. Jedyne, na czym im zależy, to czerpanie zysków z państwowych więźniów.

– Jak więc ją stamtąd wydostać, nim się zorientują, że trafił im się prawdziwy talent?

– To będzie już ciut bardziej skomplikowane – odrzekła Duala.

– Huta szkła w Lesie Kości Słoniowej działa na podstawie umowy rządowej. Ma wyłączne prawo do pozyskiwania hutników z terenów Imperium, jego prowincji i zamorskich kolonii. Obowiązują tam

bardzo surowe zasady dotyczące traktowania więźniów, wyznaczania okupów i wymierzania wyroków. Nie wypuszczą jej stamtąd, dopóki nie skończy się wojna.

– W takim razie jakось będą musiał się do niej dostać. Kto jest właścicielem huty?

– Magnowie.

– Uda mi się wykupić od nich jakieś udziały?

– Absolutnie nie. Supi Magna woli trzymać akcje huty w rodzinie.

Demir bębnił palcami po stole obok spodka od filiżanki, rozważając różne opcje. Najprostszym sposobem na wyciągnięcie Thesy z obozu byłoby wykupienie części udziałów w hucie, uzyskanie dostępu do ksiąg i znalezienie odpowiednich ludzi, zarówno po stronie Magnów, jak i rządu, do wzięcia łapówki. Ale to chyba nie wchodziło w grę. Jak w takim razie miał dostać się do Thesy?

– Dysponujesz listą osób nadzorujących hutę?

Triumfalny uśmiech znikł z twarzy Duali.

– Z Magnami nie jest to takie łatwe. Trzymają wszystko pod ścisłą kontrolą. Mam tylko kilka nazwisk sekretarzy rządowych związanych z hutą. – Wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru i mu ją podsunęła. Demir przebiegł wzrokiem po nazwiskach, czując napływ irytacji, przygnębienia i obawy, że znów utknie w martwym punkcie, do momentu, aż trafił na jedno szczególne imię, wpisane na samym dole. To akurat znał doskonale.

– Świetnie – powiedział do Duali. – Myślę, że znalazłem coś na dobry początek.

– Przepraszam, że nie mogę nic więcej dla ciebie zrobić – odparła. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Czy umowa ze Stavrim doszła do skutku? – zapytał Demir, przechodząc do tematów związanych z podstawowymi usługami Duali, czyli pośrednictwem.

– Tak, ten tartak należy już do ciebie.

– A huta stali Prosotsich?

– Też.

– Wyśmienicie. – Demir prześledził w myślach dziesiątki transakcji zawartych w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od powrotu

do Ossy. Pieniądze z ustawianych na prowincjach walk przeznaczył na konkretne, przynoszące zyski przedsięwzięcia wzbogacające Grappów. Jego nowe inwestycje omijały szerokim łukiem huty szkła, w końcu cały przemysł miał się wkrótce rozsypać.

Zawarcie tych wszystkich transakcji uświadomiło mu coś, na co wcześniej zupełnie nie zwracał uwagi – był bogaty. I to nie tylko jako patriarcha rodzinnej gildii, ale również jako jednostka, czym niewiele osób pozbawionych dynastycznego bogactwa mogło się pochwalić. Wyruszył na prowincję z garścią monet i kilkoma tanimi kawałkami szkła bożego, a w ciągu dziewięciu lat przemienił to w fortunę. Mimo wszystko mógł być z siebie dumny i wykorzystać majątek w przypadku pojawienia się jakichś problemów.

Rozważał przez chwilę tę myśl, zanim powrócił do rozmowy.

– Może dziwnie to zabrzmiało, ale czy zauważyłaś, by rodzinne gildie zachowywały się ostatnio trochę... nietypowo, jeżeli chodzi o krzemowe transakcje?

Chłodne spojrzenie, jakim obdarzyła go Duala, mówiło samo za siebie. Jak widać, nie było to aż tak dziwne pytanie. Pochyliła się nad stołem.

– Krążą pewne plotki.

– Jakie plotki?

– Podobno wszyscy główni gracze prowadzą jakąś tajną krzemową wojnę. Nie jest to nic oficjalnego, ale wydaje się poważne. Skupują żaropiach, potrają działania szpiegowskie, a nawet posuwają się do sabotażu; choć niczego nie da się udowodnić. Prześcigają się w wynalezieniu czegoś, o czym wiedzą jedynie krzemowi mistrzowie i głowy rodzinnych gildii.

Wszyscy próbują stworzyć portal feniksa – to był jedyny logiczny wniosek, jaki Demir mógł z tego wysnuć. Ci mistrzowie, matki i ojcowie rodów mieli dostęp do tych samych informacji co Kastora i jego rodzicielka. Mieli świadomość, że złoża żaropiachu się kończą, i starali się znaleźć jakieś rozwiązanie. Demir cmoknął językiem, po czym wyciągnął kilka banknotów i przygniótł je filiżanką.

– Wszystko jasne. Daj znać, jeśli cokolwiek się zmieni. Sprawdź też, czy jest jakaś szansa, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat huty szkła w Lesie Kości Słoniowej. Tylko dyskretnie.

– Oczywiście.
– Dzięki, Dualo. Będziemy w kontakcie.
– Przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała. Zanim zdążył wstać, sięgnęła przez stół i dotknęła grzbietu jego dłoni. – Cieszę się, że znów mogę z tobą pracować, Demirze.

– Naprawdę?
– Płacisz na czas i nie przynudzasz. Niewielu moich klientów może pochwalić się tymi cechami.

– Też się cieszę, że znów cię widzę – rzucił Demir. – Pozdrów ode mnie swego uroczego męża. Powinniśmy umówić się w trójkę na jakąś kolację. – Wstał i przed wyjściem pocałował ją w czoło.

Wyszedł na środek ulicy, skąd rozpościerał się widok na oświetlone aleje Dzielnicy Zgromadzenia. Drogi wypełniał wieczorny tłum: handlarze dobijali targu na chwilę przed końcem roku; członkowie Zgromadzenia rozmawiali przyciszonymi głosami o kolejnych głosowaniach; młode potomstwo rodzinnych gildii obnosiło się ze swym bogactwem w ekskluzywnych lokalach.

Pomimo zawartych układów, mających na celu zabezpieczenie przyszłości jego małej rodzinnej gildii, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wszystko to pójdzie na marne, jeśli nie uda mu się uratować Thessy. Potrzebował zarówno schematów, które miała przy sobie, jak i jej wiedzy. Gdyby je zdobył i gdyby udało jej się ponownie stworzyć portal feniksa, zanim zrobią to inni... Grappowie nie byłiby już tylko małą rodzinną gildią. Mógłby ocalić Imperium, stając się jednocześnie oszałamiająco bogatym. Za dużo było w tym jednak niewiadomych, co bardzo go denerwowało.

Musiał się jeszcze dowiedzieć, jaki związek z tym wszystkim miało morderstwo jego matki. Czy naprawdę była to sprawa Grentu? A może to spisek? I czy łączyło się to jakoś z portalem feniksa, jej reformami, czy też z jakąś nieudaną transakcją? Pytań było wiele, a przy odrobinie szczęścia Kizzie zacznie niedługo na nie odpowiadać. Tymczasem musiał uważać, żeby nikt nie dowiedział się o stworzonym przez Kastorę portalu. Z chwilą, gdy to się wyda, Hiacynt zaroi się od szpiegów, sabotażystów i zabójców działających na zlecenie rodzinnych gildii. Obecność Montega może utrzymać ich chwilowo na dystans, ale nie potrwa to w nieskończoność.

Demir sięgnął do kieszeni po listę sekretarzy przekazaną mu przez Dualę, potem uniósł dłoń, by przywołać powóz.

Żużel uznawany był za największy slums na świecie. Co prawda Demir widział większe, ale żadne z nich nie były tak nędzne. Wysiadając z powozu, poczuł na języku dym z huty szkła, niesiony wiatrem w dół rzeki od Szklanego Miasta. Znajdował się nieco ponad trzy kilometry od Dzielnicy Zgromadzenia, lecz otaczający go krajobraz drastycznie odbiegał od tego, który właśnie opuścił: tutejsze ulice przypominały błotniste rowy, wokół grasowały gangi, a z powodu braku schludnych rzędów latarni gazowych panowała nieprzenikniona ciemność. Żebracy brodzili w czarnej brei lub walczyli o skrawek suchego chodnika, a wszystko było pokryte grubą, smolistą mazią.

– Zbłądziłeś? – zapytał ktoś, kiedy Demir zaczynał orientować się w okolicy. Tym kimś był młody, oparty o ścianę awanturnik, stojący tam z trzema innymi osobnikami w podobnym wieku. Wszyscy mieli wymalowany na środku twarzy karmazynowy znak, którego Demir nie znał.

Rzucił na nich okiem, instynktownie wyczuwając najbliższą szybę, po czym przyłożył lewą dłoń płasko do piersi, ukazując symbol tancerza szkła. Wyrwyny młodzieniec sapnął nieznacznie, a jego twarz przybrała zabawny zielony odcień.

– Przepraszam pana – powiedział szybko, jękając się. Pozostała trójka zrobiła duży krok w tył, pragnąc odciąć się od towarzysza. – Chciałem tylko wskazać panu drogę.

– Z pewnością – skwitował Demir, nie czekając na dalsze wyjaśnienia. – Gdzie znajdę Harlena? Woźnica za wcześniej mnie wysadził.

Po krótkiej, przyciszonej naradzie cała czwórka zgodnie wskazała na skraj ulicy. Demir wyłowił z kieszeni kawałek niskorezonansowego szkła mocy i przekazał go przywódcy grupy. Usłyszał, jak się o niego kłóca, gdy szedł ulicą, brnąc przez błoto i zmieniając wyraz twarzy na taki, który – jak miał nadzieję – zniechęci kolejne osoby do wchodzenia mu w drogę.

Przybytek Harlena znajdował się po lewej stronie drogi, dwie przecznice dalej, wciśnięty między dwie fabryki. Prowadziło do

niego małe wejście na końcu alejki, oświetlone pojedynczą latarnią gazową, z nazwą lokalu wypisaną kredą na ścianie.

Demir wszedł przez otwarte drzwi do dużego pokoju z niskim sufitem, cuchnącego dymem z papierosów i cygar. Pomieszczenie było ciemne, ale w pewien niskobudżetowy sposób wygodne. Demir machnął symbolem rodzinnej gildii przed potężnymi egzekutorami stojącymi w środku, a ci przepuścili go bez słowa. Wewnątrz garstka mężczyzn i kobiet wylegiwała się na poduszkach, rozkoszując się odrętwiającym działaniem niewielkich bordowych szkieł otępiających umieszczonych w uszach.

Demir rozejrzył się i dostrzegł małego, grubego goblina ubranego w drogie szaty, z niskorezonansowym szkłem zmysłów nałożonym na zęba. Mężczyzna uśmiechnął się i przywitał go, rozkładając szeroko ręce.

– Demir!

– Harlen! Kopę lat!

– Dostałem wczoraj twoją wiadomość i obstawiłem dla ciebie te wszystkie zakłady. – Jak za dotknięciem magicznej różdżki w jego dłoni pojawił się gruby zwitek banknotów, który podał Demirowi. – Wygrywaj tak dalej, a ludzie zaczną się wściekać.

– Oj tam, miałem po prostu dobry dzień – rzucił Demir, uśmiechając się do mężczyzny. Znali się, odkąd Demir w wieku jedenastu lat postawił pierwszy zakład. Harlen nie był może typem człowieka z wyższych sfer, ale nie był też pazerny na procenty, płacone mu przez Grappów. Demir zauważył jednak, jak bukmacher spogląda na jego tatuaż. Powstrzymał irytację. Stary wspólnik biznesowy powinien znać go trochę lepiej, lecz taka była cena, którą płacił za bycie tancerzem szkła. Ludzie po prostu czuli się w jego towarzystwie nieswojo. – Potrzebuję przysługi – powiedział do Harlena.

– Dla ciebie wszystko, przyjacielu.

– Czy Lechauri Pergos nadal obstawia u ciebie zakłady?

– Jak najbardziej.

– Czy wciąż przegrywa o wiele więcej, niż wygrywa?

Harlen uśmiechnął się drwiąco.

Doskonale.

– Ile jest ci winien?

– Sto pięćdziesiąt trzy tysiące.

Demir zaklął pod nosem. A niech cię szkło, Lechauri. Jego ciągotki do hazardu zboczyły na bardzo grząski grunt.

– Dobra. Wezwij go do zapłaty długu.

– Mm... – zawahał się Harlen, unosząc brwi. – Teraz?

– W tej chwili. – Demir mógł dostrzec w jego oczach tłącą się ciekawość rozbudzoną tym nagłym obrotem spraw, ale bukmacher nie był na tyle głupi, by zadawać dodatkowe pytania. Pomimo niechęci, jaką darzył swój status tancerza, nie dało się ukryć, że czasem działał on na jego korzyść.

– Oczywiście. Już się za to zabieram. Ej! Jeely! Chwytaj za szkło mocy i leć, szklorwa, zanieść tę wiadomość do biura Zgromadzenia! Ruchy, ruchy! – Wykrzykując polecenia, nabazgrał coś na kartce i przekazał ją jednej ze swych bandyckich, młodych strażniczek. Kobieta wybiegła z pomieszczenia, a Demir wsłuchiwał się, jak pędem przemierza błotnistą alejkę. Pożyczył od Harlena niskorezonansowy kawałek szkła otępiającego i opadł na jedną z brudnych poduszek leżących w rogu pokoju, rozkoszując się przyprawiającą o przyjemne mrowienie magią.

Zakapiorka wróciła po niespełna półgodzinie, a dziesięć minut później przez drzwi wpadła znajoma postać. Lechauri Pergos był wysokim, szczupłym mężczyzną o zaskakującej kombinacji oliwkowej skóry i długich, ognistoczerwonych włosów. Nosił kolorowe szaty urzędnika Zgromadzenia, a paznokcie małych palców u rąk pomalowane miał na karmazynowy kolor, przedstawiając w ten sposób oddanie rodzinnej gildii Magnów.

– Harlen! Zostały mi jeszcze dwa tygodnie, do cholery! – wrzeszczał od progu. – Mam pokwitowanie! Co ty sobie wyobrażasz?! Dwa. Szklorwa. Tygodnie. Rozumiesz?!

Harlen odwrócił się do niego z cierpiętniczą miną kogoś, kto przywykł do takich tyrad.

– Ja tylko staram się prowadzić swoją działalność. Codziennie upominam się o spłatę długów, dziś padło na ciebie.

Demir wyciągnął z ucha szkło otępiające, momentalnie tęskniąc za przyjemnym uczuciem, które mu zapewniało, i podszedł do klójących się mężczyzn. Oparł się o kolumnę i wyjął z kieszeni zwitek banknotów, trzymając go ostentacyjnie w dłoni.

Lechauri nie przestawał ganić Harlena.

– Nie masz prawa upominać się o dług dwa tygodnie przed terminem. To przestępstwo! To... – Urwał, powoli odwracając głowę w stronę Demira, dopiero teraz dostrzegając jego obecność.

– Cześć, Lech – rzucił z uśmiechem Demir.

Lechauri wpatrywał się w Demira przez kilka chwil, a z jego twarzy odpłynęła cała krew, jakby dopiero co zobaczył ducha.

– Demir? Słyszałem, że wróciłeś.

– Nie przypuszczałem, że spotkam cię w tym miejscu. – Podrzucił i złapał zwitek. – Jakież problemy?

Oczy Lechauriego podążyły za pieniędzmi. Oblizął wargi, a Demir mógł dostrzec myśli kłębiące się w jego głowie.

– Tak... – zaczął powoli Lechauri. – Niespodziewane spotkanie. – Jego oczy się zwężyły. – Ty sukinsynu! To ty wezwałeś mnie do zapłaty długu, prawda?

– Nie śmiałbym. Wygląda jednak na to, że potrzebujesz trochę gotówki, więc pomyślałem, że moglibyśmy sobie wzajemnie pomóc.

Lechauri łąpczywie wpatrywał się w banknoty.

– Co chcesz w zamian?

– Zapraszam do mojego biura – odpowiedział Demir, dając znak Lechauriemu, by podążył za nim na zewnątrz, w głąb alejki. Gdy znaleźli się tam tylko we dwóch, Demir poklepał Lechauriego po ramieniu. – Co tam u ciebie? Słyszałem, że wżeniłeś się w Magnów i dostałeś wygodną posadkę urzędnika Zgromadzenia.

– Zgadza się – odparł Lechauri.

Demir przyjrzał się uważnie twarzy starego przyjaciela, szukając charakterystycznych oznak pechowego hazardzisty: zmartwienia, zmęczenia, zażawionych oczu. Wiedział, jak dużo Lechauri jest winien Harlenowi. Wiedział też, że gdyby jego teściowie, członkowie rodzinnej gildii Magnów, dowiedzieli się o problemach mężczyzny, nie skończyłoby się to dla niego najlepiej.

– Pamiętasz tę sztukę, którą napisaliśmy? – zapytał Demir, pozwalając sobie na chwilę nostalgii. – Ile mieliśmy wtedy lat? Trzyście? Odwiedziliśmy wszystkie burdele na ulicy Chwały, próbując znaleźć jakieś aktorki. Nie traktowały naszego geniuszu poważnie.

– Dobrze czasy – zgodził się półgłosem Lechauri. – Czego chcesz, Demirze?

Demir udał zaskoczonego.

– Cóż, skoro już o tym wspomniałeś...

– No, wyrzuć to z siebie! – domagał się niecierpliwie Lechauri.

– Z tego, co wiem, jednym z twych obowiązków jest nadzór nad dokumentami napływającymi z huty szkła w Lesie Kości Słoniowej, tak?

– Skąd o tym wiesz?

– To nieistotne. Pytanie brzmi: czy to prawda?

Lechauri kopnął grudkę błota.

– Tak, to prawda.

– Potrzebuję informacji – oznajmił Demir. – Dużo informacji. Każdy, nawet najmniejszy strzępek informacji, jaki możesz mi dostarczyć na temat huty szkła w Lesie Kości Słoniowej i... a co mi tam, również całej rodzinnej gildii Magnów. Chcę wyciągów bankowych, rejestrów więziennych, spisów egzekutorów, akt członków rodziny.

Lechauri prychnął z drwiną.

– Jaja sobie robisz?

– Ani trochę.

– Nie ma opcji. Nie mogę tego zrobić. Jeśli Supi się o tym dowie, albo moja żona... to będę trupem. Nikt nigdy nie znajdzie mojego ciała.

– Czyli wolisz, by zbiry Harlena zostawiły po tobie jakieś skrawki, tak? Bo chyba nie uda ci się dziś spłacić stu pięćdziesięciu tysięcy ozzo, czyż nie?

– Skąd możesz to wiedzieć – rzucił obronnie Lechauri. Demir wpatrywał się w niego tak długo, aż mężczyzna zaczął przestępować z nogi na nogę. – No dobra, może mi się nie uda. Ale nadal zostały mi dwa tygodnie. Harlen musi dać mi więcej czasu. Taką mamy umowę.

– A dasz radę zdobyć tę kwotę w dwa tygodnie?

– Hm... Nie.

– Tak też sądziłem. – Demir podrzucił ponownie rulon banknotów w powietrze i złapał go. – Przed jutrzejszym śniadaniem dostarczysz do mojego hotelu wszystko, o co cię właśnie prosiłem, a ja spłacę za ciebie sześćdziesiąt tysięcy.

Lechauri wybałuszył oczy.

– Skąd, do cholery, masz dostęp do takiej gotówki?

Demir pokazał mu banknoty.

– Tu jest pięćdziesiąt. – Pieniądze nie miały dla niego żadnego znaczenia. Od zawsze tak było. Nigdy nie był chciwy, co już w młodym wieku odróżniało go od reszty potomków rodzinnych gildii.

– A niech cię szkło – mruknął Lechauri, zachłannie wpatrując się w banknoty. Demir już prawie go miał, ale dostrzegł w jego oczach błysk zawahania. – Nie dam rady tak szybko zrobić kopii. Musiałbym dać ci oryginały.

– To nie mój problem. Zgadzasz się czy nie?

Twarz Lechauriego wykrzywiła się w udawanym bólu.

– Ale ja... no, nie mogę. Nadal byłbym winien Harlenowi zbyt dużo pieniędzy i...

– Siedemdziesiąt tysięcy – zaproponował Demir, przerywając mężczyźnie. – Poproszę też Harlena, by dał ci cztery miesiące na spłatę reszty długu.

– ...i zakładam, że nikt nie zauważy, jak zginie kilka dokumentów. W końcu Magnowie to ogromna rodzina.

Demir uśmiechnął się do Lechauriego.

– Wspaniale było cię znów spotkać, Lechu.

Lechauri wydał z siebie nieokreślony odgłos, który przerodził się w pisk, gdy tylko Demir podał mu zwitek banknotów. Mężczyzna żonglował nim przez chwilę niczym uliczny magik, aż w końcu złapał i sprawił, że zniknął w jego kieszeni. Przy odrobinie szczęścia przekaże Demirowi informacje potrzebne do podjęcia próby ocalenia Thessy.

– Zapłacę ci dodatkowe dwadzieścia i załatwię przedłużenie spłaty długu, gdy tylko dostanę te dokumenty. Będę czekał w Hiacyncie – rzucił na koniec Demir.



Kizzie nie miała nigdy okazji osobiście poznać Churiana Dorlaniego, choć widywała go już wielokrotnie. Jako najbliższy z kuzynów rodzinnej gildii Dorlanich dostał posadę nadzorcy w dużym tartaku nieopodal Ossy, gdzie pobierał ogromną pensję, pozwalając bardziej kompetentnym podwładnym wykonywać całą pracę za niego. Nie był wystarczająco bystry, by się wybić, ani wystarczająco głupi, by ponieść prawdziwą porażkę. Zdaniem Kizzie to mężczyzna, który zaszedł dość daleko, będąc zupełnie przeciętnym.

Nie był to odosobniony przypadek wśród ossańskiej elity i Kizzie starała się nie myśleć, jakie to niesprawiedliwe.

Zebranie informacji o Churianie – jego zainteresowaniach, kochankach, grupach towarzyskich – zajęło jej dwie godziny i kosztowało zaledwie kilka monet otrzymanych od Demira. Resztę wieczoru spędziła, przesiadując na ulicy Chwały, gdzie mieściło się Stowarzyszenie Fulgurytów, do którego należał. Ulica Chwały była małą, samodzielną gminą ulokowaną pomiędzy Dzielnicą Zgromadzenia a Żużlem, oddzielającą najbogatszych od

najbardziej potrzebnych i zapewniającą im dogodny sposób spotkań. Kizzie przyglądała się, jak podrzędna ossańska elita pojawia się i znika, fantazując, że pewnego dnia dołączy do ich leniwego, hedonistycznego stylu życia.

Mogła o tym jedynie pomarzyć, bo jej ojciec, jeden z najpotężniejszych ludzi w Ossie, publicznie potępił pomysł legitymizowania nieślubnych dzieci. Bez legitymizacji nie było szans, aby stała się kimś więcej niż cenioną egzekutorką. Miała prawo do noszenia mniejszej wersji tatuażu z symbolem Vorcienów, ale towarzyszące temu przywileje były w jej przypadku bardzo ograniczone. Jeśli zaś zdecydowałyby się kiedyś na dzieci, nie miałyby one prawa do posługiwania się znakiem rodzinnej gildii.

Obecnie jednak nie była nawet cenioną przez rodzinę egzekutorką. Najstarszy z jej przyrodnych braci, Sibrial, znienawidził ją jeszcze bardziej, ponieważ odmówiła złożenia fałszywych zeznań przed sędzią, a Ojciec Vorcien był poirytowany z tego samego powodu. Szanse na to, że przeżyje śmierć Ojca i przekazanie władzy w gildii, zmalały z niewielkich do żadnych.

Kizzie dostrzegła jedną z kuzynek – dziewiętnastoletnią bumelantkę, która mimo dojmującego chłodu nie miała na sobie praktycznie nic i uwieszała się na ramieniu potężnego tancerza szkła – wchodzącą do budynku, gdzie odbywały się walki kogutów i mieściło się jedno ze Stowarzyszeń Fulgurytów. Przełknęła rodzącą się w niej irytację i sprawdziła zegarek. Dochodziła dwudziesta. Zimowy wieczór był mroźny i ciemny, a ulicę wypełniały odgłosy rozmawiających przechodniów i stukających powozów.

Chuchnęła w dłonie, żeby je trochę ogrzać. Prawie nikt nie zwracał na nią uwagi. Ochroniarze i egzekutorzy niskiego szczebla kręcili się w pobliżu, czekając, aż ich pracodawcy wyjdą z burdeli, hazardowych nor czy hoteli serwujących szkło otępienia. Skinęła głową jednemu z egzekutorów, który podniósł rękę na powitanie, potem naciągnęła krawędź filcowego kapelusza, aby zasłonić twarz.

Minęła dwudziesta pierwsza, gdy Churian Dorlani wynurzył się z budynku, w którym znajdowała się arena do walk kogutów. Był wysokim, łysiejącym i niezgrabnym mężczyzną w średnim wieku. Szedł, wciskając rękę pod krótką tunikę idącej tuż obok niego młodej kobiety, która opierała się na nim i chichotała w ten szczególny,

udawany sposób, zarezerwowany dla kochanek zdolnych do wielu poświęceń, by opłacić ciężące na nich rachunki.

Kizzie zaczekała, aż dotrą na skraj ulicy, po czym wychyliła się z cienia i podążyła za nimi.

Nie szli daleko, zaledwie pięć przecznic, do jednej z ładniejszych kamienic, zlokalizowanej na obrzeżach Dzielnicy Zgromadzenia. Churian miał dwie kochanki i jednego kochanka, a wszystkich ich zwykł przyprowadzać do tego samego apartamentu. Było to, jeśli chodzi o te sprawy, dość niesmaczne, ale zdecydowanie ułatwiło Kizzie pracę.

Patrzyła, jak wchodzi do środka, odczekała pięć minut i podeszła do portiera.

– Przepraszam – powiedziała, unosząc rękę. – Chciałabym tylko dać znać, że boczne drzwi od budynku są szeroko otwarte, a nie sądzę, by komukolwiek potrzebne było jeszcze więcej przeciągów.

Portier zaklął pod nosem.

– Dzień, szklorwa, jak co dzień. Postawiłem tam nawet znak – poskarżył się.

– Przykro mi – odparła ze współczującym uśmiechem. – Pomyślałam, że wolałbyś o tym wiedzieć. Mojego portiera zwolniono z powodu takiego zaniedbania. Uważam to za niesprawiedliwe, ale w końcu właścicielem jest Magna, a z nimi, jak wiadomo, nie ma co dyskutować.

– Dzięki – odpowiedział. Rozejrzał się, uznawszy pewnie, że nie jest tu w tej chwili niezbędny, i oddalił się pospiesznie. Gdy tylko się odwrócił, Kizzie wślizgnęła się do kamienicy.

Szła pewnym krokiem, z wysoko uniesioną głową, ze zdecydowanym spojrzeniem i gotową wymówką, gdyby ktoś zakwestionował jej obecność w tym miejscu. Znalazła apartament Churiana i zatrzymała się przed nim, sprawdzając, czy ma wszystko, czego może potrzebować. Szyplet oraz pistolet, który wzięła na wszelki wypadek, ukryte były pod marynarką. Wzięła ze sobą też przekazane jej przez Demira szkło dyscypliny, które trzymała w kieszeni wyłożonej korkiem.

Przyłożywszy ucho do drzwi, nasłuchiwała tak długo, aż nabrała pewności, że znajdująca się za nimi para jest sobą w pełni

zajęta.

Dość często rozmyślała, jak mogłoby potoczyć się jej życie, gdyby nie zdecydowała się zaszantażować tamtego profesora podczas pierwszego roku studiów. Może mieszkałaby na prowincji i prowadziła winiarnię, z garstką miejscowych kochanek i kochanków. Westchnęła i wyjęła z kieszeni trzy małe, szklane, kwadratowe koraliki. Nie było sensu roztrząsać błędów przeszłości. Przynajmniej słuchała, jak po drugiej stronie jacyś idioci uprawiają seks, a nie podrywała gardła członkom gangów. Była wdzięczna Demirowi za tę niewielką odmianę.

Uklękła przed drzwiami i, trzymając na dłoni paciorki, starała się skoncentrować. Tancerzy szkła o niewielkim talencie nie uznawano za zbyt cennych – z pewnością nie na tyle, by przyjmować ich do rodzinnych gildii i okazywać należne im szacunek, strach oraz władzę. Odkryła jednak, że dar ten ma pewne korzyści. Koraliki uniosły się w powietrze i podążyły grupką do wnętrza zamka. Kropla potu wystąpiła na jej czoło, gdy manewrowała koralikami w mechanizmie, wywierając trzy różne siły nacisku na zapadki, które w końcu zaskoczyły.

Chwilę później była już w mieszkaniu, delikatnie zamknęła za sobą drzwi i uważnie stawiała kroki na drewnianej podłodze. Zignorowała odgłosy uciech dobiegające z sypialni i szybko rozejrzała się po apartamencie. Wnętrze nie wyróżniało się niczym szczególnym: miało sklepione sufity, kilka tanich dzieł sztuki wiszących na ścianach i latarnie gazowe. Zgasiła oświetlenie z wyjątkiem jednej lampki i usiadła na krześle zwróconym w kierunku sypialni.

W środku oczekiwanie zdawało się przeciągać bardziej niż to na zewnątrz, przed klubem, choć w rzeczywistości nie trwało dłużej niż czterdzieści pięć minut. Kizzie oparła głowę na krześle, trzymając w dłoni sztylet, i rozsiadła się wygodnie w przyćmionym świetle do czasu, aż z pokoju wynurzyła się kochanka.

Młoda kobieta zamarła na moment, po czym zamknęła za sobą drzwi od sypialni. Miała rozmazany makijaż i ścisnęła w rękach kupkę ciuchów.

– Śpi? – zapytała cicho Kizzie.

Kochanka skinęła głową.

– Będzie tak, jak się umówiliśmy? Nie zabijesz go? On nie jest złym człowiekiem. Tylko... – Urwała, jakby sama nie była pewna, dlaczego zależy jej, by Churian przeżył.

– Nie zabiję go – obiecała Kizzie, wyjmując z kieszeni zwitek banknotów i kładąc go na stoliku obok. Było tam wystarczająco dużo pieniędzy, aby opłacić kilkumiesięczny czynsz za takie mieszkanie albo kilkuletni czynsz za lokal w Żużlu. Młoda kobieta zabrała łąpówkę, rzucając w kierunku Kizzie sceptyczne spojrzenie, a potem przykucnęła w kącie, żeby się ubrać. Wkrótce zniknęła, zostawiwszy Kizzie samą w apartamencie, w którym słychać było jedynie chrapanie mężczyzny.

Kizzie weszła do sypialni i zerknęła na niechlujnego dupka śpiącego nago pod prześcieradłem, które nie pozostawiało zbyt wiele dla wyobraźni. Ciężko oddychał, co wskazywało na głęboki sen, więc ostrożnie wsunęła mu w ucho kolczyk ze szkłem dyscypliny. Magia tego szkła bożego nie sprawiała bólu, więc ciało mężczyzny nawet nie drgnęło.

Upewniwszy się, że wszystko jest tak, jak być powinno, gwałtownie wepchnęła Churianowi do ust jego własną bieliznę. To go obudziło. Stała nad nim i przez kilka chwil patrzyła, jak wierci się i chrząka, zanim odezwała się do niego, wydając konkretne polecenia:

– Nie ruszaj się. Nie odzywaj się niepytany. Jasne? – Zapaliła lampę gazową nad łóżkiem. Widziała, jak rodząca się w jego oczach panika walczy z mocą szkła. Ostatecznie magia zwyciężyła, a twarz mężczyzny zmieniła wyraz na przerażoną akceptację. W odpowiedzi jedynie skinął głową.

Niskorezonansowe szkło dyscypliny znane było z tego, że czyniło ludzi prawdomównymi i podatnymi na sugestie. Powszechnie podawano je skazańcom oraz więźniom, a czasem również pracownikom domów rodzinnych gildii, jeżeli ich przywódcy byli szczególnie przewrażliwieni lub okrutni. Z kolei wysokorezonansowe szkło dyscypliny zmuszało ofiarę do zdradzenia najskrytszych tajemnic i wykonywania wszelkich poleceń. Kawalek, który dał jej Demir, odznaczał się średnim rezonansem i był idealny do celu, w jakim chciała go użyć.

Wyciągnęła bieliznę z ust Churiana i usiadła obok niego na łóżku.

– Jak się nazywasz?

– Churian Dorlani – odrzekł z obawą.

– Jaki jest twój najbardziej upokarzający sekret?

Wybałuszył oczy i natychmiast odpowiedział:

– Puściłem kiedyś takiego bąka na wytwornym przyjęciu, że aż się osrałem, ale obwinilem o to psa.

Kizzie potarła nos, aby ukryć śmiech. No cóż, najwyraźniej szkło działało bez szwanku. Potem założyła rękawiczkę, by zakryć krzemowy symbol.

– Poznajesz mnie? – zapytała.

– Nie – odparł.

– Dobrze. Brałeś udział w morderstwie Adriany Grappo?

Churian jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Zaczął drżeć, jakby siłował się z niewidzialnymi linami, lecz ciało nie mogło przeciwstawić się rozkazom Kizzie. Otwierał, zamykał i znów otwierał usta, walcząc z magią. Przygryzł język, nie na tyle, by go sobie odgryźć, ale na tyle, by wypłynęło trochę krwi. Kizzie straciła cierpliwość. Wyciągnęła sztylet i przycisnęła mu do gardła w ramach dodatkowej zachęty.

– Brałeś udział w morderstwie Adriany Grappo? – zapytała ponownie, bardziej stanowczo.

– T-t-tak – wyjąkał.

Kizzie spojrzała na niego z góry, marszcząc czoło.

– O szklorwa. – Zdziwiła się, choć spodziewała się takiej odpowiedzi, bo w końcu Chlebiani sprawiał wrażenie wiarygodnego świadka, ale i tak jej się to nie podobało. – Dlaczego to zrobiłeś?

Churian obliznął wargi, zerkając nad ramieniem Kizzie jakby w poszukiwaniu pomocy. Pot spływał mu obficie po czole.

– To był rozkaz mojej babki, Aelii Dorlani – odezwał się w końcu.

– Ot tak? – dociekała Kizzie. – Po prostu ci kazano?

– Aelii się nie odmawia.

Aelia była matką rodzinnej gildii Dorlanich i powszechnie znaną sadystką. Sprzeciwienie się jej było niemal jak sprzeciwienie się Ojcu Vorcienowi, z tą różnicą, że ona zabiłaby cię sama, a on

zleciłby to komuś innemu. Kizzie poczuła, że rodzi się w niej niepokój. Jeśli wydałoby się, że za morderstwem rzeczywiście stoją Dorlani, to mogłoby to wywołać wojnę między rodzinnymi gildiami. Mieli wystarczająco dużo wrogów, a malutki ród Grappów był na tyle lubiany, że nie minęłoby kilka godzin, a egzekutorzy zaczęliby strzelać do siebie na ulicach.

– Wiesz, dlaczego Aelia chciała śmierci Adriany?

– Nie. Ja... – Churian zawahał się, po czym wyrzucił z siebie: – Ja tego nie chciałem! Nawet nie znałem osobiście Adriany. Po co miałbym ją zabijać? Ale babka się uparła.

– Czyli tylko wykonywałaś rozkazy, tak? – westchnęła Kizzie. Ten trop nie był jednak tak dobry, jak początkowo myślała. Nie mogła przecież wślizgnąć się do posiadłości Dorlanich i potraktować Aelii szkłem dyscypliny. Nawet prośba o spotkanie z nią wzbudziłyby podejrzenia zarówno wśród Dorlanich, jak i jej własnej rodziny. – A co z pozostałymi zabójcami? Czy oni również byli tam z rozkazu twojej babki?

– Nie wiem.

– A jak sądzisz?

Churian zmrugał oczy. Znajdujące się pod nim prześcieradło przesiąkło potem.

– Myślę, że nie.

– Dlaczego nie?

– Spotkaliśmy się anonimowo, tuż przed zabójstwem. Wszyscy mieli na sobie maski... ale rozpoznałem jedną z osób. Babka nigdy nie zleciłaby Magnie publicznego morderstwa.

Po kręgosłupie Kizzie przeszedł chłodny dreszcz. Agent z Grentu, Dorlani i Magna. Szklorwa mać, to był ewidentny spisek! W głowie zaczęły jej krążyć najprzeróżniejsze domysły i musiała użyć całej siły woli, by uciszyć te myśli i skupić się na zadaniu.

– Kim była ta osoba?

Churian przestał drzeć. Jego ciało było zwiotczałe i wyczerpane próbą sprzeciwienia się magii.

– Glissandi Magna.

Kolejna kuzynka rodzinnej gildii. Kizzie zagryzła wargę w zamyśleniu.

– Nie ruszaj się – rozkazała Churianowi, wychodząc do salonu, gdzie mogła na spokojnie pomyśleć.

Czyżby to był prawdziwy spisek? Czy rodzinne gildie i książę Grentu działali razem? A może Capric okłamał Demira w sprawie schwytanego agenta? Wszystko to wydawało się nieprawdopodobne. Tak jak pomysł, że członkowie trzech największych gildii skrzyknęli się, by dokonać zbrodni.

Kizzie zastanawiała się, co zrobić. O ile Churian nie był nikim ważnym w swej gildii, o tyle Glissandi sprawowała rzeczywistą władzę w Magnie. Stała tak blisko głowy rodziny, jak to tylko możliwe. W końcu była prawowitą córką; kobietą niezależną, bogatą i znaną w całej Ossie. Niezwykle trudny cel, choć najlepszy z tropów, jakimi na chwilę obecną dysponowała Kizzie.

Podeszła do drzwi.

– Na pewno nie rozpoznałeś nikogo innego? – dociekała.

– Nie, przysięgam! – brzmiała odpowiedź.

Z minuty na minutę sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Kizzie po raz kolejny rozważała, czy nie byłoby lepiej, gdyby zwróciła Demirowi pieniądze i zrezygnowała z tego zlecenia. Minęło zaledwie półtora dnia. Prawdopodobnie mogła się jeszcze wycofać. Ale gdyby tak postąpiła, to pytanie, co tak naprawdę się stało, dręczyłoby ją do końca życia. Co więcej, straciłaby szansę na ponowne spotkanie z Montegiem.

Było coś jeszcze, co niepokoiło ją w całej tej sprawie. Zakładając, że Capric nie skłamał w kwestii agenta wysłanego przez Grent, to przynajmniej dwóch z sześciu zabójców było kozłami ofiarnymi. Zabójcami, ale nie konspiratorami. Żaden z nich nie wiedział, dlaczego Adriana Grappo musiała zginąć.

Może Glissandi coś wiedziała.

Kizzie podrzuciła sztylet w powietrze i złapała go dwoma palcami za ostrze. Glissandi Magna. Przyparcie jej do muru będzie trudne, ale nie niemożliwe. Zdecydowanie łatwiejsze niż Aelii Dorlani.

Nie miała czasu na zamartwianie się. Musiała się skupić. Polityka nie była częścią jej pracy. Wystarczy, że przekaże informacje Demirowi. A jeśli on zdecyduje się na wszczęcie wojny z rodzinnymi gildiami, to już jego problem. Co prawda Kizzie będzie musiała ukryć

przed rodziną udział w całej tej sprawie, ale na wypadek gdyby wszystko wyszło na jaw, będzie miała wygodne alibi. W końcu to oni wypożyczyli ją Grappowi.

Wróciła do sypialni i przyłożyła ostrze sztyletu do nagiego torsu Churiana.

– Masz dwa wyjścia – zaczęła. – Albo do jutrzejszego popołudnia sprzedasz cały majątek i wskoczysz na pierwszy lepszy statek płynący do Marn, albo powiem Małemu Montegowi, że brałaś udział w zabójstwie jego przybranej matki. Co wybierasz?

Mężczyzna znów zaczął drżeć, a Kizzie szybko wyczuła zapach moczu.

– Wyjadę! – rzucił Churian. – Zniknę. Ja... nikomu nic nie powiem. Nic nie sprzedam, wyjadę od razu. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Usatysfakcjonowana odpowiedzią pochyliła się i wyrwała szkło dyscypliny z ucha mężczyzny.

– Jeśli wpadniesz na pomysł, by mnie śledzić, zabiję cię. Jeśli wpadniesz na pomysł, by dowiedzieć się, kim jestem, zabiję cię. Na twoim miejscu poleżałabym tu jeszcze przez kilka minut po tym, jak wyjdę. Obiecuję, że jeśli nie znikniesz do jutrzejszego popołudnia, Mały Montego odwiedzi cię w porze obiadu.

Po wypowiedzeniu tych wszystkich gróźb wyszła z mieszkania, a następnie przeszła przez te same drzwi, którymi wkradła się do budynku, okłamując portiera. Było około dwudziestej drugiej. Idealna pora na drinka. Przyda jej się trochę alkoholu, jeśli zamierza wymyślić, jak dopasować kolejny element tej układanki, nie dając się przy tym zamordować ochroniarzom Glissandi Magny.



Lechauri dotrzymał słowa i do rana biuro Demira wypełniło się dokumentami dotyczącymi huty szkła w Lesie Kości Słoniowej. Zwrócił się do Breenena, Montega, a nawet do hotelowej oficerki, Tirany Kirkovik, aby pomogli mu przeczesać te sterty. Nie zdradził im, dlaczego muszą wydostać stamtąd Thesę, po prostu trzeba było to zrobić. Dzięki temu mógł skoncentrować uwagę na właścicielach huty.

– Nie chcę się skarżyć – zaczęła cicho Tirana po kilku godzinach czytania, porównywania notatek i odrzucania bezużytecznych informacji – ale zastanawiam się, czy często robisz takie rzeczy.

Demir przeglądał właśnie leżące przed nim dokumenty – wyglądały na wewnątrz raporty szpiegów Magny na temat najbliższych członków ich rodzin – nie mogąc uwierzyć, że Lechauri otrzymał do nich dostęp, nie wspominając już o przekazaniu ich dalej. Najwyraźniej Harlen naprawdę go przerażał.

– Tylko kiedy pojawia się ku temu potrzeba – odpowiedział.

Kątem oka dostrzegł, jak Tirana z grymasem spogląda na kolejną księgę, zawierającą raporty finansowe huty szkła.

– Aha, ale czy to nie jest...

– Strata czasu? – wtrącił Demir.

– Próbowałam jakoś subtelniej ubrać to w słowa.

– Gdy byłem młody, używałem bardzo specyficznej metody, a mianowicie zbierałem wszystkie informacje, jakie tylko wpadły mi w ręce, i analizowałem je za pomocą wysokorezonansowego szkła rozumu. Mogłem przetworzyć podobną ilość danych w ciągu około dziewięćdziesięciu minut, pamiętając o tym, że co jakiś czas muszę wyciągać szkło boże z ucha dla własnego bezpieczeństwa – wyjaśnił.

Tirana zrobiła wielkie oczy, choć Demir nie powiedział tego, by wyrzucić na niej wrażenie.

– Robiłeś to wszystko sam? – zapytała.

– Tak to już jest z geniuszami, którzy nie dostają bzika od wysokorezonansowego szkła rozumu – mruknął Montego. Odsunął stos dokumentów i raportów na bok, aby przeczytać poranną gazetę. W dłoni trzymał duży kieliszek wina, już czwarty tego ranka, nie wykazując żadnych oznak upojenia alkoholowego.

Demir uśmiechnął się skromnie.

– Tak było przed... Holikanem – powiedział, stukając się w skroń. – Nadal lubię stosować tę metodę, choć obecnie zajmuje mi ona o wiele więcej czasu niż kiedyś.

– I naprawdę przynosi to jakieś korzyści? – dociekała Tirana.

– Im więcej wiesz, tym lepiej planujesz – odparł Demir. – Plan A, plan B, plan C. Plany na wypadek nieudanych planów. Plany na wypadek nieudanych planów wynikających z nieudanych planów. Informacja jest nie tylko użyteczna, jest wręcz najważniejsza. – Zerknął na Tiranę. – Myślisz, że nie sprawdziłem cię w ciągu kilku godzin od naszego pierwszego spotkania? Zapamiętałem twoje akta wojskowe i wszystko, co mogłem znaleźć o twym życiu osobistym.

Tirana popatrzyła z ukosa na Breenena, ale majordomus tylko pokręcił głową. Demir mógł odczytać to milczące przesłanie: „Przyzwyczajaj się, teraz on tu rządzi”.

– Nie ma opcji, byś zdołał zapamiętać wszystkie informacje na mój temat – rzuciła.

– Wszystkie, jakie udało mi się znaleźć – doprecyzował Demir, przerzucając kolejny dokument i przebiegając po nim wzrokiem.

– Och, tak? Jak można...

– Przez pół roku byłaś zaręczona z Sandri Vorcien. Wydawałyście się szczęśliwe, ale Johanna Vorcien odwołała wasz ślub w ostatniej chwili, bo nie chciała, żeby Sandri poślubiła kobietę, mimo że uszczęśliwiłoby to dwie niedziedziczące wnuczki. Chodziło o jakieś bzdety, że niby woli mieć prawdziwe prawnuki, a nie adoptowane.

Tirana zaciągnęła się gwałtownie powietrzem i niemal stanęła na baczność, sięgając ręką po miecz.

– To są prywatne informacje!

Demir natychmiast poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Tym razem chciał wyrzucić na niej wrażenie, nie wiedział jednak, że tak zareaguje. Przetarł oczy i gestem nakazał, żeby usiadła.

– Przepraszam, nie powinienem. – Zerknął na Tiranę i zobaczył, jak przygarbiła się, siadając z powrotem na krzesło.

– Dlatego wstąpiłam do wojska – odparła cicho.

Poczucie winy Demira pogłębiło się jeszcze bardziej. Starł się je stłumić, bo w końcu miał ważniejsze sprawy na głowie niż zranione uczucia jednej ze swych pracownic.

– Chciałbym cię jeszcze raz bardzo przeprosić. Informacje są dla mnie niezwykle istotne. Świat jest jedną wielką łamigłówką. Nie zostawiłem cię na obecnym stanowisku dlatego, że zatrudniła cię moja matka, ani dlatego, że twój dziadek jest moim przyjacielem. Chciałem, byś została, ponieważ cała twoja historia wskazywała na to, że jesteś niezależną i lojalną kobietą, na której mogę polegać w kwestii ochrony hotelu.

Tirana spojrzała na niego nieśmiało.

– I nie mówisz tego, by mnie udobruchać?

– Nie. A teraz skup się na tej szkłolonej księdze, aby znaleźć więcej informacji, które będziemy mogli wykorzystać do uratowania Thessy. – Demir ponownie przetarł oczy. – Myślę, że znalazłem coś ciekawego. Breenenie, ile czasu zajęłoby ci namierzenie Uliny Magny?

– Trzydzieści minut?

– Działaj.

Breenen skinął głową i, stąpając ostrożnie pośród stosów dokumentów, wyszedł z pokoju. Demir kontynuował studiowanie akt do powrotu majordomusa.

– Przebywa obecnie na arenie Zamkowego Wzgórza – zrelacjonował Breenen. – Relaksuje się, oglądając popołudniowe walki w prywatnej łoży.

Demir wybrał kilka stron szpiegowskich raportów i schował je do kieszeni tuniki, aby w drodze dokończyć lekturę. Wziął gazetę, znalazł rozkład walk rozgrywających się na arenie i chwycił za marynarkę.

– Byłem kiedyś bardzo dobry w tworzeniu wieloetapowych planów – powiedział Tiranie. – Być może utraciłem tę umiejętność, ale miejmy nadzieję, że nadal radzę sobie z prostymi planami. Lecę zapoznać się z Magną. Mały, będę potrzebował twojej pomocy.

Montego złożył gazetę na pół i bez słowa dołączył do Demira. Pozostawili w gabinecie Breenena i Tirane, pospiesznie udając się do holu, gdzie w ciągu kilku minut przygotowano dla nich powóz. Niedługo potem wyruszyli w drogę.

– Dlaczego chcesz, żebyśmy spotkali się z Uliną Magną na arenie Zamkowego Wzgórza? – zapytał Montego, przerywając ciszę. Nie wyglądał na szczególnie zmartwionego perspektywą spotkania z Magną, w sumie trudno było go czymkolwiek zdenerwować, ale pochylił się z ciekawością w kierunku Demira. Ten zaś pokazał mu papiery, które przeglądał w gabinecie.

– Oto raport szpiegowski na temat Uliny Magny – wyjaśnił. – Jest jedną z czterdziestu siedmiu wnucząt Magny. Ma dwadzieścia osiem lat, według doniesień jest całkiem ładna, czarująca i posiada szesnaście procent udziałów w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej.

Montego wziął dokument od Demira i się mu przyjrzał. Podczas gdy paciorkowate oczy szybko przeskakiwały po stronie, na jego twarzy coraz wyraźniej rysowało się zaciekawienie. Po przestudiowaniu kartek oddał je Demirowi.

– Wygląda na to, że przez jej osobiste konto bankowe co miesiąc wpływa i wypływa sporo pieniędzy – zauważył.

– Dokładnie tak. Mogą to być długi. Może to być korupcja. Albo hazard. Musimy się dowiedzieć, co to jest, i należyście wykorzystać tę informację. – Demir postukał plikiem kartek o policzek. – Śmiał

twierdzić, że Ulina jest dokładnie tą osobą, której potrzebujemy, aby uratować Thesę.

– Masz jakiś plan?

– Można tak powiedzieć. Choć prawdopodobnie będę improwizował.

Montego przewrócił oczami.

– Dawny Demir zawsze miał co najmniej pięć planów.

– Nie jestem już tamtym Demirem – odpowiedział.

Montego machnął ręką, dając za wygraną.

Ich powóz przejechał przez Dzielnicę Zgromadzenia i wspiał się na Zamkowe Wzgórze. Wkrótce dotarli do podnóża starego zamku, lata temu wybebeszonego i przekształconego w arenę do cudgelingu. Nad wejściem wisiał ogromny plakat informujący, że sponsorem areny są Szklani Pałkarze, popularne Stowarzyszenie Fulgurytów zrzeszające emerytowanych sportowców. Demir rozpiął stójkę tuniki, zmierzwił włosy i przygotował gruby zwitek banknotów. Musiał wyglądać jak ktoś, kto regularnie uczęszcza na wczesnopopołudniowe mecze.

– Bardzo pana przepraszam – zaczął portier, gdy tylko Demir wyszedł z wozu – ale na arenie nie ma już wolnych miejsc. Nie może pan wejść.

Demir jeszcze nigdy w życiu nie chciał tak bardzo użyć zwrotu: „Wiesz, kim jestem?”. Zamiast tego wyciągnął kilka banknotów ze zwitka i wsunął je do przedniej kieszeni tuniki portiera.

– Jesteś pewien?

Portier uśmiechnął się ze skruchą.

– Tak, panie. Jestem pewien... – Przerwał i wybałuszył oczy w momencie, gdy z powozu wynurzył się Montego, prawie wpadając na mężczyznę podczas schodzenia z wozu. Położył rękę na ramieniu portiera i potroił kwotę przekazaną przez Demira.

– Mały Montego i Demir Grappo – rzucił Montego. – Na pewno znajdzie się jakieś miejsce dla emerytowanego mistrza świata i jego przyjaciela, co nie?

– Och... Och! Tak, oczywiście, panie. Zobaczę, co da się zrobić. – Odszedł, pozostawiając Demira wpatrującego się ze smutkiem w jego plecy.

– Dałem za mało? – zapytał Demir.

– Nie. Po prostu nie jesteś członkiem opłacającym składki. – Wskazał głową na bramę wejściową. – Może i masz dostęp do prowincjonalnych aren, ale w Ossie działa to zupełnie inaczej.

– Czy muszę cię zjeść, aby zyskać twe moce? – spytał z przekąsem Demir.

– Gdybyś mnie zjadł, stałbyś się po prostu równie duży jak ja. Dobra, wraca, chodź.

Demir cofnął się, pozwalając Montegowi iść przodem i torować drogę przez tłum. Ci, którzy w porę się nie odsunęli, zostali delikatnie, acz stanowczo zepchnięci na bok, a do uszu Demira dochodziły szepty mijanych osób.

– O szklorwa – powiedziała jedna z kobiet. – Czy to Mały Montego?

– Nie wiedziałem, że wrócił do miasta! – odparł jakiś mężczyzna.

– Myślisz, że będzie rozdawał autografy?

– Na co mi jego autograf? – wtrąciła się inna kobieta. – Bardziej interesuje mnie to, w jakim hotelu się zatrzymał. Słyszałam, że jest prawdziwą bestią w...

Demir zachichotał, doganiając portiera prowadzącego ich przez wąski korytarz i pozostawiając za sobą rozemocjonowane szepty. Montego miał rację. Demir był sławny, ale na arenie do cudgelingu to on był bogiem.

– Znalazłeś dla nas miejsca? – zagadnęła mężczyznę Montego.

– Tak, panie! Nie ma stąd idealnego widoku, ale jeśli zaanonsuje pan swą obecność następnym razem, obiecuję, że znajdę dla pana wygodną łóżę.

Wyszli z korytarza i znaleźli się na dziedzińcu starego zamku, na tyłach ściśniętego tłumu. Ring, na którym odbywała się walka, znajdował się pośrodku, na podwyższeniu. Po wschodniej stronie było kilka piętrowych miejsc siedzących, łóże chaotycznie doklejone do północnej i zachodniej ściany oraz masa ludzi wyglądających z okien i ustawionych na szczytach zamkowych murów.

Portier zaprowadził ich do miejsca znajdującego się mniej więcej w połowie drogi między ścianami a ringiem. Jak sam powiedział, nie była to dobra lokalizacja do obserwowania walk, ale

Demir ledwie spojrział w tamtą stronę. Przeskanował ściany, okna i łożę w poszukiwaniu kobiety w wieku około dwudziestu lat. Znalazł jedną, lecz była to nasuudzka blondynka. Szukał dalej, aż zauważył, że z okna narożnej wieżyczki spogląda w stronę ringu pewna kobieta.

Portier poprzesuwał ludzi na boki, aż zrobiło się wystarczająco miejsca dla Montega i Demira, potem ustawił się obok Montega z wyraźną intencją osoby gotowej do usługiwania w zamian za dobre napiwki. Demir nie był na prawdziwym ossańskim meczu od ponad dziesięciu lat, ale Montego zachowywał się tak, jakby wszystko to było zupełnie naturalne. Nawet gdy ludzie zaczęli się odsuwać, wpatrując się w niego ze zdziwieniem, zdawał się nie zwracać na to większej uwagi.

– Dlaczego jest tu tak tłoczno? – zapytał Montego.

– Bo to specjalny mecz pokazowy – wrzasnął portier, starając się przekrzyczeć tłum. – Zna pan Fidoriego Glostovikę?

– Balkańskiego mistrza? – dopytał Demir. – Nie widziałem jego nazwiska w harmonogramie.

– Och, ma stoczyć ostatnią walkę – powiedział portier. – Wszyscy będą tu siedzieć cały dzień, żeby go zobaczyć. To takie ekscytujące! Byłby świetnym przeciwnikiem dla ciebie, mistrzu Montego, w czasach twej świetności.

Montego chrząknął wymijająco, a Demir zauważył, jak przyjaciel mruży oczy z lekką dozą irytacji. Doskonale. Demir nie lubił snuć przypuszczeń na tematy, na które nie miał wystarczająco dużo informacji, ale ta mina oznaczała coś, co mogło mu się niedługo przydać.

– Kto jest jego sponsorem? – spytał.

– Magna.

– Och, naprawdę? Nie rozmawiałem z żadnym z nich, odkąd wróciłem do miasta. Czy jest tu dziś któryś z członków rodu?

– Panienska Ulina Magna – odrzekł portier, wskazując na wieżę, którą Demir już wcześniej uznał za prywatną łożę Uliny. – Jest stałą bywalczynią.

Demir odwrócił się w stronę Montega, udając zaskoczenie.

– Czy nie mówiłeś przypadkiem, że chciałbyś poznać Ulinę?

– Tak, w rzeczy samej! – przyznał Montego, podejmując grę.

Portier cmoknął, wyrażając nieufność.

– Bardzo przepraszam, ale panienska Ulina nie lubi, gdy przeszkadza się jej w oglądaniu meczów, ja...

Montego pochylił się nagle i objął portiera ramieniem, jakby chciał mu się zwierzyć.

– Słyszałem, że Ulina jest bardzo ładna. Mój przyjaciel i ja bardzo chcielibyśmy ją poznać. Czy mógłbyś to zorganizować? Potraktuj to jako osobistą przysługę dla mnie.

Twarz portiera poczerwieniała.

– Oczywiście... oczywiście – wyjąkał. – Mistrzu Montego, zrobię co tylko w mojej mocy! – Zniknął w tłumie, a Montego odwrócił się do Demira z szerokim uśmiechem.

– Wciąż mam w sobie to coś.

– Oczywiście, że masz, ty wielki kłocu – odparł Demir. – Jesteś w końcu cholernym Małym Montegiem. Szklorwa, widzisz tam coś w ogóle?

– Wystarczająco, by ocenić, że obaj walczący obecnie zawodnicy nigdy nie zajdą dalej niż do regionalnych walk pokazowych. Nie sądziłem, że poziom w stolicy aż tak się obniżył.

Demir stał na palcach, próbując ogarnąć wzrokiem arenę. Widział głowy poruszające się w przód i w tył, czasem mignęła mu uniesiona pałka, ale nic poza tym. Poddał się i czekał na portiera. Młody człowiek wrócił wkrótce, wyglądając na bardzo z siebie zadowolonego.

– Panienska Ulina łaskawie zaoferowała, że podzieli się dziś z panami lożą. Tędy, proszę! – krzyknął.

Demir pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Idealnie.

Montego ponownie przebił się przez tłum, torując sobie drogę, którą Demir chętnie podążył. Poprowadzono ich z powrotem tą samą trasą, którą przyszli, przez szereg wąskich przejść, a potem po historycznych, kamiennych, spiralnych schodach, na których Montego ledwo się mieścił. Dotarłszy do loży, zastali grupę przypominającą świętę Uliny, wypchniętą z boksu, aby zrobić miejsce dla Montega i Demira. Zgromadzeni nie wyglądali na zadowolonych, ale na widok Montega na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie.

– To on!

– Montego, widziałem twoją ostatnią walkę! Nie mogę uwierzyć, że to ty!

Gdy przechodzili, ręce same wyciągały się w kierunku Montega. Jedna z młodych kobiet zemdląła, a mężczyźni wpatrywali się w niego z mieszaniną podziwu i strachu. Nikt nie zaprotestował, kiedy Montego wszedł do łoży. Demir uśmiechnął się do nich, zamykając za sobą drzwi.

Ulina Magna była posagową kobietą, miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, długie, kręcone, czarne włosy, opadające kaskadami na karmazynowo-białą tunikę. Gdy Demir i Montego wkroczyli do środka, odwróciła się do nich i przemknęła przez niezwykle wąską łożę, by ich przywitać.

– Mój drogi mistrzu Montego, jakże miło cię poznać! Cóż za niespodziewana przyjemność mnie dziś spotkała!

– Panienko Ulino – odpowiedział Montego, ujmując dłoń kobiety i delikatnie ją całując. – Oto mój przyjaciel, Demir Grappo.

– Ach! Nowy patriarcha rodzinnej gildii Grappów. Toż to podwójna przyjemność! – Gdy witała się z Demirem, ton jej głosu wyraźnie się ochłodził i obdarzyła go jedynie przelotnym spojrzeniem oraz niemym osądem wskazującym na to, że nie ma zbyt dobrego zdania ani o nim, ani o jego niewielkiej rodzinnej gildii. Za to na widok jego tatuażu tancerza szkła zmrużyła delikatnie oczy, co nie uszło uwadze Demira, choć nie dał tego po sobie poznać. Uśmiech nie schodził jej z twarzy, szybko jednak odwróciła się z powrotem do Montega.

Demir nie miał nic przeciwko temu. Nie potrzebował w tej chwili jej uwagi. Musiał skupić się na obserwacji. Łoża była niewielka, mieściło się w niej zaledwie sześć miejsc. Ulina usadowiła się między nowo przybyłymi, opierając się o ramię Montega i wskazując na znajdujący się pod nimi ring. Właśnie zakończyła się walka i Demir widział, jak dwaj nowi zawodnicy przygotowują się do kolejnej, podczas gdy z podestu wycierano krew. Rozsiadł się wygodnie, przeglądając dostępne w łoży gazety oraz broszurę wydawaną przez arenę, dotyczącą odbywających się tego dnia walk.

Kojarzył nazwiska kilku zawodników, ale nie były to osoby o szczególnych umiejętnościach ani sławie, po prostu mężczyźni i kobiety potrafiący zapewnić wystarczająco dobre przedstawienie

przyciągające fanów. Głównym wabikiem dla publiczności był bez wątpienia Fidori Glostovika.

Ulina mówiła bez przerwy, nie tracąc czasu nawet na zaczerpnięcie powietrza. Opowiadała niekończące się anegdoty, co jakiś czas prosząc portiera o jedzenie lub picie. Montego zręcznie lawirował między tematami, wtrącając dowcipne uwagi i od czasu do czasu kwestionując jej wiedzę o sporcie. Ewidentnie nie była pierwszą zamożną, młodą kibicką, z którą oglądał cudgelingowy mecz.

Ciągłość konwersacji przerwała tylko jedna sytuacja, w której Ulina kazała drugiemu portierowi pobiec do bukmachera znajdującego się w foyer areny, by obstawić zakłady w jej imieniu. Decyzje kobiety były błyskawiczne, a w miarę upływu rozgrywek niekiedy zaprzeczały poprzednim i dotyczyły jeszcze większych pieniędzy. Każdy zakład szczegółowo omawiała z Montegiem, czasami zmieniając go na podstawie jego sugestii.

Demir milczał, przyglądając się i rozmyślając, a przy czwartym meczu Ulina przeprosiła ich na moment i wyszła z łoży, aby skarcić jednego ze swych portierów.

– Wygląda na to, że świetnie się dogadujecie – skomentował Demir.

Montego wzruszył ramionami.

– Ma sporą wiedzę, ale jak na mój gust jest zbyt arogancka. Wpadłeś już na jakiś pomysł?

– Chyba tak – odparł Demir. – Pamiętasz ten mały przekręt, który robiliśmy za dzieciaka?

– Jasne – parsknął Montego.

– Co ty na to, by go wskrzesić?

– Tutaj? Mówisz poważnie?

– Jeśli się da, to tak.

– Nie mam odpowiednich ciuchów.

– Jakbyś je miał, to przekręt nie wyglądałby wiarygodnie.

Montego zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Ostatnim razem zrobiliśmy to na arenie Czarnego Drzewa i gonilo nas sześciu wściekłych bukmacherów i ich egzekutorzy.

– Podaliśmy im fałszywe nazwiska i było to, zanim stałeś się sławny.

– Teraz oboje jesteście sławni. Jeśli nas złapią, to...

Demir skinął głową ze zrozumieniem. Gdyby ich złapano, straciłby co prawda niewielką, ale jakąś pozycję wśród innych rodzinnych gildii. Dodatkowo cudgelingowa liga mogłaby zacząć go śledzić, co z pewnością zagroziłoby wszystkim jego działaniom na prowincjach. A biorąc pod uwagę, że to one finansowały jego legalne zakupy dla Grappów, byłoby to dość ryzykowne. Potrzebował jednak natychmiastowego dostępu do huty szkła w Lesie Kości Słoniowej.

– Zróbmy to – powiedział w końcu.

– Dobra.

Chwilę później Ulina wróciła do łóżka z kolejnym drinkiem w dłoni.

– Portierka była zbyt powolna, więc wysłałam ją na chłostę – wyjaśniła słodko. – Zaczynamy?

– Ulino – podjął Demir, podnosząc rękę.

– Hm? – Odwróciła się, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jego istnieniu. – Tak, Demirze?

– Korci mnie, by postawić jakiś zakład.

– Ha! Nie dziwię ci się. Nie krępuj się, możesz skorzystać z jednego z moich gościów.

– Dopiero co wróciłem do stolicy i wolałbym tak szybko nie wchodzić w układy z bukmacherami. Co byś powiedziała na przyjacielski zakład?

Ulina wpatrywała się w niego przez moment, po raz pierwszy w ciągu ostatniej godziny przyglądając mu się tak uważnie.

– Co masz na myśli?

– Nie znam kolejnych zawodników, ale czuję, że to mój szczęśliwy dzień. Na kogo stawiasz?

– Walka będzie wyrównana, ale myślę, że postawię na Błaga.

– W takim razie ja stawiam na Wastiego. Tysiąc ozzo?

Twarz Uliny rozciął szeroki uśmiech. Jeśli wcześniej przerażał ją tatuaż tancerza szkła, to teraz zupełnie o nim zapomniiała.

– Wchodzę w to!

Walka przebiegła tak, jak się tego spodziewał. W rzeczywistości znał obu zawodników. Błago został kilka lat temu pośrednio wpisany na listę płac Demira i mimo że był starszy i tracił energię, wygrał z łatwością. Gdy mecz zakończył się przegraną

Wastiego, Demir wyciągnął plik banknotów i wysunął z niego dziesięć setek.

– Co za walka, co za walka – powiedział do Uliny, a gdy sięgnęła po pieniądze, cofnął je lekko. – Dasz mi szansę je odzyskać?

Ulina nie zwracała już uwagi na Montega. Uśmiechnęła się chytrze do Demira.

– Podwójna stawka albo nic? Tym razem możesz wybrać zawodnika jako pierwszy.

Połknęła haczyk.

Demir wygrał następny mecz, przegrał kolejne trzy, a potem wygrał jeszcze jeden. Ulina wysłała jednego ze swych ludzi do najbliższego banku, a włożyła, na jednym z pustych miejsc zaczęła się piętrzyć pokaźny stos banknotów. Montego przyglądał się temu z zaciekawieniem, odmawiając udziału w zakładach mimo ponawianych próśb ze strony Uliny.

Po ósmej walce krew buzowała w żyłach Demira i zaschło mu w ustach. W grze było już ponad dwieście tysięcy ozzo. Nie przypuszczał, że tak szybko dojdą do podobnych kwot. Spojrzał na harmonogram pojedynków. Została już tylko jedna walka i była nią ta pokazowa Fidoriego z lokalnym mistrzem, którego Demir nie znał. Sięgnął po kupkę pieniędzy.

– Co to, to nie! – rzuciła Ulina, figlarnie dając mu po rękach. – Co ty wyprawiasz?

– Odbieram swoją wygraną?

– Został jeszcze jeden mecz.

Demir roześmiał się i pokręcił głową.

– Fidori znajduje się na liście płac Magny i to nie bez powodu. Dobrze się bawiłem, ale nie zamierzam obstawiać przeciwko niemu.

– Och, nie bądź taki! Proszę? – Nadąsała się.

Demir udał, że się nad tym zastanawia, po czym ponownie pokręcił głową.

– Nie ma szans.

– Dam ci fory.

Zawahał się przez chwilę.

– Nie. Wyszedłbym na głupca.

Ulina spojrzała na kupkę pieniędzy. Bazując na jej osobistych księgach rachunkowych, Demir wiedział, że co miesiąc wygrywała

i przegrywała podobne sumy, choć nadal było to nieprzyzwoicie dużo pieniędzy. Bez względu na to, jak bardzo ktoś był bogaty, takie kwoty robiły wrażenie.

– Rób, co chcesz – westchnęła. Udało jej się zachować spokój, ale Demir mógł dostrzec w jej oczach frustrację.

Rozpoczęto przygotowania do ostatniego pojedynku. Tłum kipiał od emocji. Ludzie machali i wykrzykiwali imię Fidorigo, gdy ten przechadzał się wśród nich w drodze na ring. Był niesamowitym okazem: prawie tak wysoki jak Montego, o jasnej skórze spieczonej słońcem i błyszczących od olejku mięśniach. W jednej ręce trzymał pałkę, a w drugiej bukiet kwiatów, który rzucił publiczności, wchodząc na podest.

Demir zerknął na Montega, który przewrócił oczami.

– Ukradł ten motyw ode mnie – mruknął Montego.

Ulina wyraźnie ucichła, choć nadal była łaskawą gospodynią. Nachyliła się, stawiając wyjątkowo duży zakład u bukmachera, bez wątplenia w nadziei na odzyskanie części pieniędzy straconych na korzyść Demira. Zamiast schować wygraną do kieszeni, Demir zostawił ją na krześle obok, a Ulina co jakiś czas zerkała w tamtą stronę.

Musiał przyznać, że walka była bardzo dobra. Fidori i jego przeciwnik, lokalny mistrz, przemieszczali się po ringu z zadziwiającą szybkością i siłą, wyprowadzając ciosy mogące powalić zwykłych zawodników.

– Na pewno nie chcesz na nikogo postawić? – zapytała Demira Ulina. – Tutejszy chłopak radzi sobie całkiem nieźle.

Demir machnął jej ręką od niechcienia, i dobrze zrobił, bo miejscowy wojownik oberwał wkrótce w ramię. Zatoczył się na boki, niezdolny do obrony, podczas gdy Fidori ponownie w niego uderzył. W końcu młody mężczyzna upadł na jedno kolano, wyraźnie próbując zasygnalizować sędziemu, że się poddaje.

– No dalej! – ryknął Montego, podrywając się na równe nogi. – Zakończcie walkę! – Był to pierwszy raz w ciągu całego popołudnia, kiedy aż tak gwałtownie zaangażował się w starcie.

Sędzia wbiegł na ring, odpychając Fidorigo, a miejscowy zawodnik został szybko wyniesiony z areny. Montego odwrócił się do Demira cały czerwony na twarzy.

– To nie była dobra walka.

– Och, nie przesadzaj – powiedziała lekceważąco Ulina. – Zabiłeś na ringu dziesiątki wojowników.

– Ale nigdy nie zamachnąłem się na kogoś, kto próbował się poddać.

– Nie zasygnalizował tego.

– Próbował. Należy dać zawodnikowi szansę na wycofanie się z walki. Tak nakazują zasady.

– Fidori postępuje tak wyłącznie z przeciwnikami, których szanuje – zaśmiała się Ulina.

Demir wepchnął się między nich.

– Hej, hej. To była niezła walka. Siadaj, Mały, ten wojownik wróci pewnie do siebie po tygodniowej kuracji ze szkłem leczniczym.

Montego mamrotał coś gniewnie pod nosem, siadając, a Demir wiedział, że to nie było zagrywką z jego strony.

– Przepraszam za niego – odezwał się do Uliny. – Takie sytuacje niezwykle go poruszają.

– Hm. Fidori jest w czołówce kandydatów aspirujących do przyszłorocznego tytułu mistrza. Oczywiście nieoficjalnie. W końcu sezon jeszcze się nie rozpoczął.

– Nie jest aż tak dobry – rzucił Montego.

– Ha! Jest niesamowity. Nie obraż się, ale uważam, że Fidori ma przed sobą świetlaną przyszłość. Założę się, że pokonałby nawet ciebie w okresie twej świetności!

Słowa te padły tego dnia już po raz drugi i był to dokładnie ten moment, na który Demir cierpliwie wyczekiwał.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał Ulinę z nieskrywaną ciekawością.

– Oczywiście, jestem tego pewna.

Demir udał, że się nad tym zastanawia, a na jego oblicze wkradł się niewielki uśmiech.

– Dobrze, w takim razie dam ci szansę na odzyskanie pieniędzy. Proponuję kolejny mecz. Tu i teraz. Montego przeciwko Fidoriemu.

Ulina westchnęła gwałtownie.

– Chyba żartujesz!

– Ani trochę. Masz ochotę na walkę, Mały?

– Niestety nie mam ze sobą pałek – poskarżył się Montego. Wypowiedział te słowa niczym rozwydrzone dziecko, choć Demir mógł z łatwością wyczuć, jak bardzo palił się do walki z młodszym wojownikiem, chcąc pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Ulina niemal wskoczyła na Montega.

– Załatwimy ci pałki. Och, zapowiada się najwspanialszy mecz stulecia! I to wyłącznie dla nas! Oczyszczymy arenę, przekupimy zarządcę. Stary mistrz kontra przyszły mistrz! – Piszcząca, wydając z siebie tak rozentuzjasmowany dźwięk, że Demira aż rozboleły uszy.

– Niech publiczność zostanie – mruknął Montego. – Zapewnimy im niezłe widowisko.

– Jak najbardziej! Spełnię wszystkie twoje prośby, aby tylko ten mecz się odbył!

– Co zgarbie wygrany? – zapytał Demir.

– Gotówkę. Podaj kwotę.

– No hej, urozmaicmy to trochę. Niedawno kupiłem nowy tartak. Założmy się o jakieś nieruchomości – rzucił swobodnie Demir, choć tak naprawdę starannie dobierał słowa i sposób, w jaki je wypowiadał. Chciał przyciągnąć ją do siebie jak sprawny wędkarz, uważając, by jej nie odstraszyć. Dzięki aktom wiedział dokładnie, jakie nieruchomości posiada.

– Mogłabym założyć się o kopalnię w Fortshire – odparła.

– Co się tam wydobywa?

– Miedź.

– Zgoda. Jak uprawomocnimy przeniesienie udziałów?

Ulina machnęła lekceważąco ręką, jakby robiła to już wiele razy.

– Zarządca i portier będą naszymi świadkami. I Montego, oczywiście.

Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie, choć w tajemnicy. Opłacono zarządcę areny, wezwano nowego sędziego, a portierzy oczyszczili duży obszar tuż przed ringiem, aby Demir i Ulina mogli oglądać starcie z najlepszych miejsc. Zapowiedziano niespodziewaną walkę i Demir poczuł, jak tłum zaczyna się ekscytować. Ludzie, zmęczeni po wielu godzinach stania, poderwali się na równe nogi,

wiwatując i radując się na myśl o ponownym wkroczeniu Małego Montega na ring.

Demir wziął Montega na bok, podczas gdy Ulina zrobiła to samo z Fidorim. Demir musiał przyznać, że Montego nie prezentował się najlepiej. W cudgelingowej przepasce wydawał się jeszcze bardziej otyły, miał zwiotczone ramiona i obwisły brzuch. Montego rozciągał się, dotykając dłońmi stóp, podczas gdy Demir przyglądał się Fidoriemu.

– Jesteś pewien – zaczął cicho, a jego głos niemal utonął we wrzasku podekscytowanego tłumu – że zdołasz wygrać?

– Yhy – odpowiedział Montego.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

– W sumie ma spore umiejętności – przyznał Montego. – To będzie dobra walka.

– Nawet jeśli przegrasz?

– Nawet jeśli przegram.

– Proszę, nie rób mi tego. Pomijając kwestię pieniędzy, to nasza najlepsza okazja na uratowanie Thessy – jęknął Demir.

Montego nic nie odpowiedział, podciągnął się na krawędzi podestu, wszedł na ring i wykonał kilka wymachów pałąką. Fidori spoglądał na niego nieco sceptycznie, zresztą podobnie jak Demir. Montego nie był już młodym pałkarzem, lata temu przeszedł na emeryturę i Demir zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił błędu.

W końcu rozdano zawodnikom szkło mocy. Montego obejrzał je z niesmakiem, po czym włożył kolczyk do przekłutego płatka ucha. Mecz rozpoczął się powoli, a wojownicy zaczęli krążyć wokół siebie. Nie obowiązywały żadne limity czasowe, co zdawało się zupełnie nie przeszkadzać szalejącej wokół publiczności. Można było zauważyć, że walczący chcieli, aby walka toczyła się we własnym tempie. Demir zajął miejsce obok Uliny i zerknął na zarządcę areny, trzymającego w rękach weksel na obie nieruchomości oraz kupkę gotówki z wcześniejszych zakładów.

– Naprawdę myślisz, że Fidori mógłby pokonać Małego Montega, gdy ten był w najlepszej formie? – zapytał Ulinę.

– No cóż – odparła, uważnie przyglądając się pierwszej wymianie ciosów. – Jeśli mam być szczerą, to może nie w jego

najlepszym okresie. Ale teraz? Tylko na niego spójrz. Twój przyjaciel sapie za każdym razem, gdy unosi pałkę.

Demir oparł się chęci, by stanąć w obronie Montega. Nie było przecież aż tak źle. Z drugiej strony nie mógł stwierdzić, czy Montego udaje, bo z ledwością blokował serię ciosów Fidoriego. Balkański mistrz przyspieszył ataku, zmuszając Montega do wycofania się, bezlitośnie uderzając go w uda i ramiona.

Mały przyjmował ciosy bez jakiegokolwiek jęku. Jego odpowiedzi były co prawda wolniejsze, ale i silniejsze. Trafienia z pewnością oszałamiały młodego Fidoriego, ale nie powalały go na ziemię.

– Co powiesz na podbicie stawki? – zapytała chytrze Ulina.

Demir zaprzeczył, kręcąc głową.

– Szanse są dwa do jednego – kusila Ulina.

Demir pozwolił jej powiesić się na własnym haczyku.

– A jak niby chciałybyś podbić stawkę? – spytał.

Fidori praktycznie gonił Montega po ringu. W normalnych okolicznościach byłaby to dobra walka – zawsze przyjemnie oglądało się, gdy goniony przeciwnik nie chciał się poddać – ale dla mistrza świata było to dość żenujące.

– Mam szesnaście procent udziałów w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej. To duży kompleks tuż za Ossą. Postawię je wszystkie.

– Czym niby miałbym na to odpowiedzieć?

– Powiedzmy, że czterystoma tysiącami ozzo.

– Niech będzie. Stawiam kopalnię węgla na Szklanych Wyspach. – Zerknął na zarządcę i towarzyszących mu portierów, którzy skinęli głowami, potwierdzając, że usłyszeli nowe warunki zakładu.

Montego potknął się i upadł na kolano. Tłum zawył – niektórzy z radości, inni ze złości. Grupa kobiet stojących tuż za Demirem krzyczała, żeby Montego się podniósł. Udało mu się unieść pałkę, tkwiła ona teraz między jego twarzą a twarzą Fidoriego, ale seria ciosów, która na niego spadła, była tak silna, że wyglądało na to, iż zaraz ją upuści.

– Poddaj się, Montego – wrzeszczał pomiędzy uderzeniami Fidori. – To nie wstyd się poddać. Nie chcę cię zabijać w meczu

pokazowym.

Ramię Montega opadło, ale on pozostał na nogach. Fidori cofnął się o krok i popatrzył na Ulinę.

– On się nie podda – rzucił.

– To go wykończ! – ryknęła.

W tym momencie spojrzenie Montega spotkało się ze spojrzeniem Demira. Grappo skinął głową, na co Mały zrobił głęboki wdech. Fidori odwrócił się w jego stronę i uniósł pałkę.

– Daję ci ostatnią szansę, starcze! – Odczekał pół sekundy, a potem zamachnął się z całej siły.

Montego wstał, łapiąc lewą ręką pałkę w połowie. Prawą zamachnął się nisko, a obciążony trzonek dosięgnął kolana Fidoriego. Uderzenie nie wyglądało na silne, było jednak niewiarygodnie precyzyjne. Kolano Fidoriego odskoczyło na bok, sprawiając, że mężczyzna upadł na nie w nienaturalny sposób, niemalże doprowadzając Demira do wymiotów. Fidori krzyknął przeraźliwie z bólu. Tłum zawył gwałtownie, oszalałszy z radości i z tak niespodziewanego obrotu spraw.

Demir zerknął na siedzącą obok niego Ulinę, usilnie starając się, by na jego twarz nie wypłynął uśmiech. Następnie wdrapał się na arenę, ignorując Fidoriego, do którego podbiegli sędzia, zarządca areny i Ulina, starając się mu jakoś pomóc. Demir złapał Montega za rękę.

– Bardzo dobra walka.

Montego stłumił ziewnięcie.

– Amator – mruknął, zerkając od niechcienia na jedną z ran na ramieniu i sprawiając wrażenie, jakby go to nudziło. W jego oczach nie było już żadnych oznak zmęczenia, zniknęło też to całe sapanie. Szkłolerny pozer. – Jak mi poszło?

– Od dziś jestem dumnym właścicielem szesnastu procent udziałów w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej.



Miecz Idriana dźwięczał niczym dzwon za każdym razem, gdy zderzał się z bronią przeciwnika. Ciosy odbijały się drzeniem w jego dłoni, przechodząc przez ramię i rozchodząc się po całym ciele z przerażającą siłą. Zablockował uderzenie, odpychając wroga na bok, jednocześnie przytrzymując ciasno tarczę przy lewym ramieniu, podczas gdy rzęsisty deszcz pocisków odbijał się o nią jak grad o szkło.

Nie rozpoznał grenckiego Gromiciela, lecz słyszał o pierzastym znaku zdobiącym jego tarczę. Zwali go Jastrząb, był młodym, prawdopodobnie dwudziestokilkuletnim mężczyzną z kocią bródką i szelmowskim uśmiechem. Jedyne, co Idrian o nim wiedział, to że był niezwykle ambitny, i można to było dostrzec w determinacji, z jaką nacierał na oponenta, nie zważając na podążającą za nim kompanię piechoty. Skupiał się wyłącznie na Idrianie.

Stalowy Gromiciel wiedział, cofając się o kilka kroków, że to doprowadzi go do zguby.

Zahaczył tarczą o miecz Jastrzębia, szukając okazji do ataku, której niestety nie znalazł, wybił się więc z tylnej nogi, napierając na zaskoczonego przeciwnika. Dzięki temu Idrian mógł opuścić nie tylko swą tarczę, ale i tę należącą do wroga, pochylając się nad nimi na tyle, by uderzyć go głową. Ociekające krwią rogi jego hełmu zahaczyły o lewy policzek Jastrzębia, zmuszając go do wycofania się z powodu chwilowego oślepienia i napływu krwi do ust.

Idrian uniósł tarczę, chroniąc się przed kolejną salwą wystrzałów grenckiej piechoty. Jastrząb zapomniał o otaczających go żołnierzach, co wykorzystało wojsko Tadeasa i ostrzelało go z muszkietów. Co najmniej dwie kule prześliznęły się przez szczeliny w pancerzu grenckiego Gromiciela. Jastrzębiem szarpnęło dwukrotnie, potknął się, a Idrianowi pozostało tylko obrócić rękojeść miecza i uderzyć wykonaną ze szkła brzytwy krawędzią ostrza w jego szyję, zgrabnym ruchem pozbawiając go głowy.

Grency żołnierze wydali z siebie okrzyk przerażenia. W przeciwieństwie do ich nieżyjącego już Gromiciela wyglądali na dobrze przygotowanych i natychmiast rozpoczęli zorganizowany odwrót. Idrian wyczuł, że Stalowe Tarany podążają za nimi, przygotowując się do zdobycia kolejnej ulicy.

Walka toczyła się już od wielu godzin, a grencka i ossańska piechota zaciekle przepychały się tam i z powrotem przez rzędy wspaniałych kamienic należących do ewakuowanej elity Grentu. Zbroję Idriana pokrywała warstwa krwi i pyłu, a w powietrzu unosiła się dławiąca chmura prochowego dymu. Dokładnie naprzeciw Gromiciela, niecałe dwa kilometry od niego majaczyło zbcze grenckich wzgórz zwieńczone książęcym pałacem zbudowanym z białego kamienia, lśniącego w popołudniowym słońcu.

Idrian wpatrywał się przez chwilę w pałac, walcząc z ogarniającymi go wątpliwościami. Czy w obliczu zaciętej obrony wroga zdołają go zdobyć? Czy gdyby im się to udało, mieliby szansę na szybsze zakończenie wojny? I najistotniejsze: czy szkło błysku tkwi nadal wystawione w foyer oraz czy uda mu się je wykraść?

Niedługo później dołączyła do niego reszta Stalowych Taranów, uprzednio zabezpieczających skrzyżowania. Mika i jej wojsko inżynieryjne rozebrali bruk, by za jego pomocą wznieść

niskie barykady chroniące przed bezpośrednim kontratakiem wroga. Przy Idrianie zatrzymał się medyk, obejrzał go i upewniwszy się, że krew na jego zbroi należy do kogoś innego, ruszył, aby opatrzeć rannych w potyczce żołnierzy.

Gromiciel podnosił już tarczę, gotowy do przejścia na kolejną ulicę, gdy rozległ się głośny gwizd – jeden długi, a następnie dwa krótkie – oznaczający wstrzymanie natarcia. Zacisnął zęby, spojrział przez ramię, a potem z powrotem na książęcy pałac. Jeśli zamierzali go dziś zdobyć, nie mieli ani chwili do stracenia. Z drugiej strony po popołudniowym starciu z Jastrzębiem czuł się wyczerpany. Kilka minut odpoczynku dobrze by mu zrobiło.

– Nic panu nie jest? – zapytał Braileer. Przez cały dzień nie opuszczał Idriana niemal na krok. Tak jak poprzednio, na mieczu młodzieńca nie było ani kropli krwi, młody płatnerz nie mógł zmusić się do zabijania, ale jego wykonany ze szkła młota puklerz był nieźle pogruchotany. Mimo oczywistego przerażenia dzieciak miał dość odwagi, by pozostać w centrum wydarzeń, broniąc flanki Idriana samym tylko entuzjazmem.

– Nie, wszystko dobrze – odpowiedział Idrian, przyjmując oferowany bukłak i upijając łyk wina. Zdjął hełm i przyłożył chłodną manierkę do czoła, po czym oddał ją Braileerowi. – Dobrze sobie radzisz – stwierdził. – Powinieneś jednak cofnąć się jeszcze o jakieś dziesięć kroków. Wróg skoncentruje całą moc na mnie, więc jeśli będziesz się kręcił zbyt blisko, to dostaniesz rykoszetem.

– Rozumiem, panie!

Wycofali się z linii frontu, chcąc się dowiedzieć, dlaczego wydano rozkaz o zaprzestaniu działań. Kilka metrów dalej natrafili na Tadeasa, schylającego się nad stołem w restauracji, którą niecałą godzinę temu wybebeszyły granaty Miki. Większość szczątków po grenckiej piechocie została już uprzątnięta, ale podchodząc do Tadeasa, Idrian zauważył leżący nieopodal poplamiony prochem palec.

– Dlaczego wstrzymujemy natarcie? – zapytał z pretensją Idrian.

– Ponieważ za bardzo wyprzedziliśmy inne oddziały – odparł Tadeas. Stał nad stołem pokrytym notatkami, korespondencją i naprędce rozrysowaną mapą okolicy. Do przedstawienia ustawień

poszczególnych wojsk używał fasolek: czarnych i pomarańczowych. Przyjął wiadomość od posłańczeni, odprawił ją i przesunął trzy pomarańczowe fasolki z jednego końca mapy na drugi.

Valient, mąż Miki, stanął obok Tadeasa i uśmiechnął się do Idriana.

– Cholernie dziś szarżujesz, wielkoludzie. Gryzie cię w dupę jakiś chrząszcz?

Idrian oparł miecz wraz z tarczą o ścianę i przeczesał dłonią mokre od potu włosy. Bez hełmu, do którego przytwierdzone były dodatkowe szkła mocy, wspierające obolałe mięśnie, jego nogi wydawały się chwiejne i niepewne. Machnął pogardliwie na Valienta, doprowadzając go tym do śmiechu.

– Braileer, ogarnij nam jakiś obiad – rzucił.

– Jest prawie siedemnasta, panie.

– A jedliśmy już obiad?

– Nie, panie.

– To ogarnij nam jakiś obiad. – Idrian poczekał, aż płatnerz odejdzie, po czym odezwał się ponownie. – Wydawało mi się, że generałowi Stavriemu zależy na zdobyciu pałacu do końca dnia.

– Nie, jeśli ma się to skończyć naszą śmiercią – odparł Tadeas, spoglądając na fasolową mapę.

Idrian się zbliżył. Spędził wystarczająco wiele lat na wpatrywaniu się w prowizoryczne mapy Tadeasa, by rozumieć je na pierwszy rzut oka, dzięki czemu mógł dostrzec, że Stalowe Tarany rzeczywiście wyprzedziły swych sojuszników o kilka przecznic. W działaniach operacyjnych udział brało osiem batalionów – około czterech tysięcy żołnierzy piechoty – i wyglądało na to, że Grenccy naprawdę nie mieli zamiaru oddać książęcego pałacu bez walki. Parę ulic na zachód od ich obecnej pozycji zauważył stertę pomarańczowych fasolek.

– A co tu się dzieje?

– Grenckie wojska blokują drogę – odpowiedział Valient, krzywiąc się. – Właśnie stamtąd wróciłem. Zielone Mundury dostają niezły łomot, próbując przejąć to skrzyżowanie. Wysłałem tam kilka oddziałów wyposażonych w granaty Miki, ale chyba na dużo się to nie zdało. Przeciwnicy mają ze sobą dość potężnego tancerza szkła, więc każdy, kto tylko się tam pojawia, zostaje momentalnie

wypatroszony. Wezwaliśmy już naszych, lecz minie pewnie parę godzin, nim przybędą na miejsce.

– I to nas wstrzymuje?

Tadeas westchnął.

– Pewnie tak. Spójrz tutaj. Grentczycy wycofują się, próbując pociągnąć nas w tę stronę. Według informacji od naszych szpiegów gdzieś tu znajdują się ich rezerwy. – Wskazał na mapę. – Podążając za nimi, pozbawimy się wsparcia.

– Ale jeśli wesprzemy Zielone Mundury, te same rezerwy mogą ruszyć naprzód i uderzyć na nas z flanki – zauważył Valient.

Idrian wyszedł na zewnątrz, spojrział w dół ulicy, gdzie Mika i jej saperzy zabezpieczali pozycje pod czujnym okiem żołnierzy Valienta. Obecnie na ich niewielkim skrawku dzielnicy panował względny spokój, w każdej chwili jednak mogło się to zmienić. Na wzgórzu, tuż za linią walk wznosił się kuszący z oddali książęcy pałac. Zastanawiał się, czy powinien zdradzić Tadeasowi swą tajną misję. Wiedział wszak, że nie może ujawnić jej prawdziwych powodów.

– No cóż, Tad – mruknął pod nosem Idrian. – Obiecałem pomóc twemu siostrzeńcowi w ocaleniu cywilizacji w zamian za ochronę własnego zdrowia psychicznego. Aby wywiązać się z tej obietnicy, chciałbym narazić nasz batalion na ogromne niebezpieczeństwo. Co ty na to?

Przez moment wydawało mu się, że słyszy echo dziecięcego śmiechu, tak jakby odbijało się ono od odległego krańca nieprzeniknionej jaskini. Wiele lat temu, gdy szaleństwo dopiero zaczęło się ujawniać, próbował jakoś z tym żyć. Kiedy się skupiał, potrafił odróżnić fikcję od rzeczywistości. Wkrótce jednak okazało się, że jego stan się pogarsza, a w stresowych sytuacjach staje się wprost nie do zniesienia. Ale dopiero gdy pewnego dnia zaatakował tancerza, którego tak naprawdę w ogóle tam nie było, opowiedział o swoich omamach przyjacielowi z Ministerstwa Legionu.

Ministerstwo skłonne było dodać dwadzieścia lat do jego długu w zamian za sfinansowanie wysiłków mistrza Kastory zmierzających do opanowania jego szaleństwa.

Idrianowi nie przeszkadzał wydłużony dług, takie w końcu bywało życie. Pamiętał za to swe przerażenie, gdy zdał sobie sprawę,

że zamachnął się na powietrze, a nie – jak początkowo sądził – buntowniczego tancerza szkła stojącego tuż przed nim. Nie mógł pozwolić sobie na tego typu błędy, gdyż mogły kosztować go życie lub, co gorsza, życie jego przyjaciół. Strach zniknął, gdy Kastora udoskonalił jego oko, lecz teraz powrócił i ciążył w podbrzuszu Idriana niczym ołów.

Odwrócił się z powrotem do Tadeasa i Valienta.

– Jak dokładna jest ta mapa? – zapytał.

– Bardzo dokładna, zresztą jak wszystkie moje mapy – odparł z wyrzutem Tadeas.

Idrian przewrócił oczami.

– A te budynki tutaj, to takie same domy miejskie jak te tu?

– Tak.

– Dokładnie takie same? – dociekał Idrian.

Valient przytaknął.

– Mówiłem przecież, że dopiero stamtąd wróciłem.

– W takim razie dam radę podejść tu – powiedział Idrian, wskazując miejsce na mapie. – I zejść tędy. Jeśli uda mi się zaskoczyć tancerza, może będziemy mogli przejąć kontrolę nad tym skrzyżowaniem.

W oczach Tadeasa pojawił się błysk.

– Jak wtedy w Foli?

– To było w Stagro, ale tak – sprostował Idrian.

– Ach, no tak. Stagro. – Tadeas wpatrywał się w mapę z zaciśniętymi ustami. – Pamiętasz tę rudowłosą ze Stagro? Nie myślałem o niej od lat. – Przez chwilę wydawał się błądzić myślami gdzieś daleko, a następnie skinął głową. – Dobra, podoba mi się ten pomysł. Wpadamy, robimy, co trzeba, i wypadamy, zanim grenckie rezerwy zorientują się, że się przemieściliśmy. Valient, przenies setkę piechurów w ten punkt. Dam znać Zielonym Mundurom, że ruszamy.

– Idealnie. – Idrian wcisnął hełm na głowę, zapiął skórzany pasek, a potem chwycił za miecz i tarczę. Zespolone z hełmem szkło mocy natychmiast dodało mu sił. Na zewnątrz zastał Braileera, z przerażaniem spoglądającego na trzymane w dłoniach skromne racje żywnościowe. Płatnerz zdziwił się, widząc Idriana ponownie z hełmem na głowie.

– Zostań tutaj. Mam pewną szybką, jednoosobową misję do wykonania. Po powrocie będę oczekiwał obiadu i kolacji – rzucił Idrian, ruszywszy biegiem przed siebie, podczas gdy Valient skrzykiwał sierżantów.

Walki uliczne miały to do siebie, że przemoc napierała ze wszystkich stron, sprawiając wręcz klaustrofobiczne wrażenie, jakby wróg znajdował się niemalże na wyciągnięcie ręki. Nawet w zamożnej dzielnicy Grentu, z nadzwyczaj szerokimi ulicami oraz kamienicami ozdobionymi z przodu i z tyłu ogrodami, można było zagubić się w śmiertelnym labiryncie.

Idrian pędził, oddalając się od linii wroga, przecinając boczne uliczki i podążając zgodnie z zapamiętanym z fasolowej mapy Tadeasa układem miasta. Minął dzielnicę, gdzie toczyły się walki, osłaniając się tarczą przed strzałami wychodzącymi z najwyższych okien budynków, i dotarł do wąskiej alejki przecinającej tyłne ogrody kilku kamienic. Przycupnął tam na chwilę, uważnie się rozglądając, aż dostrzegł to, czego potrzebował: kominiarską drabinę, czyli coś w rodzaju solidnych gwoździ wbitych w bok masywnego domu.

Rozejrzawszy się po raz ostatni w poszukiwaniu wroga, przebiegł sprintem przez działkę i rzucił się na drabinę.

W ciągu kilku sekund znalazł się cztery piętra wyżej, chowając się w cieniu komina, skąd rozpościerał się widok na całą okolicę. Widział stamtąd książęcy pałac oraz grenckich żołnierzy biegających we wszystkich kierunkach. Barykady z worków wypełnionych piaskiem stanowiły osłonę dla garnizonu, świadomego celu ossańskiej misji w tym rejonie.

O jego misji nie mieli jednak pojęcia. Oderwał wzrok od obwarowań i skupił się na najbliższym otoczeniu, gdzie mógł dostrzec setki snajperów przyodzianych zarówno w ossańską czerwień, jak i grencki pomarańcz. Toczyli oni własną wojnę na dachach pobliskich kamienic. Co chwila rozlegały się pojedyncze strzały, wyrzucające w niebo kłęby czarnego dymu, a kręcące się tam postacie chowały się pod liniami zadaszeń i przemykały z jednego punktu obserwacyjnego w drugi, starając się chronić zarówno siebie, jak i żołnierzy walczących na ulicach poniżej.

Wszystko wskazywało na to, że nikt nie zauważył obecności Idriana, więc ten siedział ukryty za kominem, czekając na właściwy moment. Jego pozycja pozwalała na obserwację dwóch skrzyżowań. Na jednym z nich widział Zielone Mundury przygotowujące się do kolejnej szarży, z jaskrawozielonymi gwiazdami na uniformach odbijającymi promienie zachodzącego słońca. Na drugim, skrytym na tyle, że ledwo mógł je dostrzec, znajdowało się stu żołnierzy z jednostki Stalowych Taranów.

Valient pomachał w kierunku Idriana, co oznaczało gotowość do działania. Gromiciel odmachął.

Wtem huk baraniego rogu przeciął powietrze, odbijając się echem od zabudowań, i Stalowi ruszyli zwartym szykiem, z bagnetami przytwierdzonymi do muszkietów. Oddział składał się z sześciu rzędów żołnierzy oraz saperów wyposażonych w proce i granaty. Kilka chwil później do boju poszły Zielone Mundury.

Idrian policzył do dziesięciu, wyszedł z ukrycia i przebiegł sprintem wzdłuż dachów ustawionych równolegle do walk. Biegł szybko, a stopy ślizgały mu się na dachówkach, gdy wspinał się po jednej stronie i schodził z drugiej, a potem przeskakiwał przez sześciometrowe szczeliny między kamienicami. Szkło mocy dodawało mu odwagi, a magia szumiała w jego ciele.

Pierwszy dom. Drugi. Czwarty. Dotarłszy do piątego, znajdował się już na terytorium Grentu. Gdy wdrapał się na szczyt dachu, dostrzegł snajperkę celującą w znajdujących się poniżej Stalowych Taranów. Strzelczyni szykowała się do strzału. Idrian dopadł ją w mgnieniu oka, jednym błyskawicznym ruchem przecinając ostrzem jej muszkiet, ramię i klatkę piersiową, nie zwalniając przy tym tempa.

Pobiegł dalej, przeskakując na kolejny budynek, a ciągnąca się za mieczem wstęga wnętrzości wylądowała wraz z nim na następnym dachu. Dwóch innych strzelców dostrzegło, co zrobił ich towarzysze. Jeden wycelował i oddał w stronę Idriana strzał, który ten z łatwością zablokował tarczą. Gromiciel przebił żołnierza na wylot, podczas gdy drugi zeskoczył z dachu, wyraźnie dając do zrozumienia, że woli walkę z grawitacją niż z ossańskim superżołnierzem. Idrian usłyszał, jak zwarta grencka obrona oddaje pierwszą serię strzałów. Był już prawie na samym końcu szeregowej

zabudowy. Przeskoczył nad jeszcze jedną przepaścią i wylądował na płaskim dachu budynku gospodarczego, na którym roіło się od grenckich strzelców wyborowych.

Zupełnie się go tam nie spodziewali i słono zapłacili za swą nieuwagę.

Od momentu, w którym Idrian rozpoczął akcję, minęło zaledwie kilka chwil. Znajdował się teraz cztery piętra nad grenckimi wojskami i wiedział już, dlaczego tak trudno było ich pokonać: za wysokimi barykadami czekały dwie strzelające naprzemiennie kompanie, a tuż za nimi stał tancerz szkła z kilkoma dużymi odłamkami szklanych tafli unoszącymi się nad jego ramionami, gotowy do zaatakowania nadciągającej piechoty.

Idrian odczekał jakiś czas, obserwując ulicę do momentu, aż Stalowe Tarany się zatrzymały. Ze swej pozycji mógł usłyszeć rozkazy wykrzykiwane przez Valienta. Pierwszy rząd żołnierzy ukląkł i wraz z drugim wypuścił salwę w stronę obrońców Grentu. Od razu po strzałach ktoś zadał w barani róg. W niebo poszybowały wystrzelone z procy granaty, lądując za barykadami przeciwnika, a ich eksplozja wywołała tak wielki wstrząs, że Idrian odczuł ją na dachu budynku, na którym się ukrywał.

Stalowi ruszyli z bagnetami przytwierdzonymi do muszkietów, dając Idrianowi znak, na który czekał. Spojrzał na ulicę, odnalazł tancerza i dostrzegł, że ten gotów jest zalać Stalowych krzemową ulewą. Gromiciel poderwał się i skoczył w dół z rozpostartymi niczym skrzydła rękoma uzbrojonymi w miecz i tarczę. Spadając z czwartego piętra, ledwo słyszał świst powietrza dzięki adrenalinie napędzającej jego gwałtownie bijące serce. Miał wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu, a tancerz szkła uniósł wzrok niecałą sekundę przed tym, jak Idrian wylądował na jego ramionach.

Nieprzyjaciel zamortyzował w pewnym stopniu upadek Idriana, mimo to Gromiciel odczuł, jak jego ciałem wstrząsa nieprzyjemny dreszcz. Gdyby nie wzmacniająca magia szkła mocy, z pewnością połamałby nogi.

Poczuł, jak ofiara łamie się pod jego ciężarem, przetoczył się po ziemi i szybkim poziomym ruchem wybebeszył najbliższy oddział. Roztrzaskał tarczą czaszkę oficera, ponownie zamachnął się

mieczem, rozcinając na pół kolejnych żołnierzy, po czym ruszył biegiem, atakując inną grupę piechoty. Grencka obrona załamała się wokół Idriana, gdyż wojownicy odwrócili się, stawiając czoła Gromicielowi, który niespodziewanie znalazł się w samym środku ich wojsk, a to ułatwiło Stalowym przedostanie się przez barykadę. Następnie pojawiły się żądne zemsty zastępy Zielonych Mundurów.

Rozpętała się istna masakra. Kilka grup grenadierów – strażników samego księcia – utrzymywało się do czasu, aż Idrian zlokalizował je i wybił. Resztę grenckiej piechoty rozszarpały ossańskie bagnety, rozerwały granaty Miki, nielicznym szczęściarzom zaś udało się zbiec.

Po niespełna dziesięciu minutach Idrian zatrzymał się zdyszany pośród oceanu zwłok. Do jego uszu ledwo docierały krzyki umierających i sporadyczne nawoływania o odrobinę litości ze strony rannych grenckich piechurów. Zielone Mundury przejęły władzę nad skrzyżowaniem, a cały ich batalion rozlał się na wszystkie strony niczym występująca z brzegów rzeka, próbując przesunąć barykady i przygotowując się do kontrataku.

Jeśli Grent znów zaatakuje, sami będą musieli sobie z tym poradzić. Idrian odnalazł Valienta, organizującego swych żołnierzy, by jak najszybciej wrócili na pozycje.

– Pięciu zabitych, osiemnastu rannych – zameldował Valient.

Idrian przytaknął. Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę całą tę szaloną akcję.

– Zaliczyłeś konkretny skok. Tad powiedział, że wylądowałeś na tancerzu szkła. Tak było?

Idrian uśmiechnął się, nie mogąc się powstrzymać. Musiał przyznać, że sam był pod wrażeniem, jak idealnie udało mu się wymierzyć miejsce upadku.

– Ostatnie, co zobaczył ten nieszczęśnik, to moje buty. – Podniósł głowę, spoglądając raz jeszcze na południe, gdzie na szczycie wzgórza stał majestatyczny pałac. Zielone Mundury zyskały dogodną pozycję, co oznaczało, że można kontynuować operację.

Valient klepnął go w ramię, po czym na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia, bo dłoń pokryła śliska warstwa grenckiej krwi.

– Chodźmy – powiedział Idrian. – Nie uda nam się dziś zdobyć pałacu, ale może wykurzymy ich z tych szeregowców. – Znajdował się już na tyle blisko, by poczuć smak sukcesu. Zamierzał poprowadzić swój oddział na wzgórze, a przy odrobinie szczęścia jako pierwszy przekroczyć próg książęcego pałacu. Potem powinno już pójść jak z płatka: zabezpieczy szkło błysku i a nuż zdobycie siedziby grenckiego księcia doprowadzi do zakończenia wojny. – O, i jeszcze jedno. Wyświadczyłbyś mi przysługę?

– Po tym skoku? Jasne! Czego ci trzeba?

– Znajdź mi jakiś kozuch. Muszę zawinąć w niego coś bardzo delikatnego.



Pierwsze dwadzieścia cztery godziny w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej sprawiły, że Thessa czuła się jak wrak człowieka. Harowała do późna w nocy, zdrzemnęła się kilka godzin w dormitorium wraz z dwudziestoma innymi więźniami, po czym wstała na tyle wcześnie, żeby zobaczyć, jak pomocnicy rozpalają komory grzewcze. Pracowała nieustannie, ignorując przerwę na obiad, by nadrobić zaległości i skończyć pracę zarówno swoją, jak i tę przydzieloną Axiowi, a potem bez chwili odpoczynku zabrała się za przydział z dnia bieżącego.

Przez cały ten czas myślała o portalu feniksa. Godziny spędzone w wozie pozwoliły jej dogłębnie zrozumieć projekt, mogła więc zastanawiać się nad różnymi rozwiązaniami, zajmując nimi głowę. Ten przypominający armatę przekładnik mocy dryfował jej w myślach, obracając się we wszystkich kierunkach, pozwalając na wyobrażenie sobie wszelkich jego aspektów oraz drobnych zmian, które zamierzała wprowadzić, aby go ulepszyć.

Jeśli pozostali więźniowie zauważyli, że pracuje za dwóch, najwyraźniej zostawili tę informację dla siebie. Wyglądało na to, że

Thessa była niemalże pozbawiona nadzoru. Przyznano limity do wykonania i każdy po prostu starał się je zrealizować. Nikt nie wchodził nikomu w drogę – ani strażnicy, ani współwięźniowie. Nie było też żadnej interakcji, poza sporadycznym skinieniem głowy ze strony zatrudnionych pomocników i robotników. Sprawiało to wrażenie, jakby Thessa oraz inni hutnicy pracujący przy piecach byli maszynami, które od czasu do czasu należy naoliwić, a poza tym równie dobrze można je ignorować.

To było niezwykle odczłowieczające. Upokarzające. Thessa pozwoliła tym dwóm słowom krążyć gdzieś z tyłu głowy, napędzając swe działania ogarniającą ją wściekłością. Nie złamię jej. Nie pozwoli im na to. Wykorzysta ich nieludzką taktykę, planując ucieczkę, i jeśli tylko zaistnieje taka możliwość, ocali siebie i innych zmuszonych do pracy w tym miejscu.

A co do Axia, to nauka nie przychodziła mu z łatwością – nikt przecież nie staje się hutnikiem w ciągu zaledwie jednej nocy – pomagał jej jednak w zbieraniu informacji. Służył za drugą parę oczu i uszu. Notował w myślach pozycje strażników, zmiany warty, życzliwych robotników, a nawet innych więźniów. Rozmawiali przyciszonym głosem, wymieniając się spostrzeżeniami, a Thessa zapamiętywała to wszystko, jednocześnie wypełniając ich tace szkłem bożym.

Podgrzać, przycisnąć, przyciąć, uformować, podmuchać, posłuchać, powtórzyć.

Podgrzać, przycisnąć, przyciąć, uformować, podmuchać, posłuchać, powtórzyć.

Wpadła w trans, szybko i sprawnie przerzucając narzędzia z rąk na stół roboczy. Podgrzać, przycisnąć, przyciąć, uformować, podmuchać, posłuchać, powtórzyć. Była całkowicie pogrążona w myślach, gdy tuż obok pojawiła się starsza, kulejąca kobieta o siwo-czarnych włosach. Thessa podskoczyła, łapiąc oddech.

– Przepraszam, nie zauważyłam cię.

Kobieta była jedną z więźniarek. Nikt nie chciał zdradzać swego imienia, więc Thessa nazywała innych od numeru ich stanowisk pracy. Według tego nazewnictwa była Dziewiątką. Kobieta zaś Trójką. Trójka wbiła wzrok w podłogę i nawet na chwilę nie spojrzała Thessie w oczy.

– Za dużo pracujesz – wymamrotała przeproszającym tonem.

– Słucham?

– Jeśli będziesz tyle pracować, to w końcu nabawisz się szklanego trądu. Rób przerwy, tak jak wszyscy.

Thessa zaczerpnęła gwałtownie powietrza, zdając sobie sprawę z popełnionego błędu. Jedną z jej największych zalet była amagiczność. Większość hutników musiała rozsądnie gospodarować czasem, jej jednak to nie dotyczyło i wykorzystywała swą przewagę, by nadrabiać zaległości. Nawet nie przyszło jej do głowy, że ktokolwiek zwróci na to uwagę.

Udała, że drapie się po nieistniejącym trądzie, starając się, aby wyglądało to wiarygodnie.

– Masz rację, muszę robić przerwy. Dzięki za ostrzeżenie.

Kobieta bez słowa wróciła do swojego stołu. Thessa nie miała pojęcia, czy ktoś słyszał ich rozmowę. Zerknęła na Axia, który pracował, wytwarzając pozbawione rezonansu kawałki szkła mocy. Od czasu do czasu wyławiała je z jego tacy, zastępując swoimi, a następnie przetapiała je w tyglu, aby ponownie przerobić. Było to nieefektywne i rozrzutne, ale fortel zdawał się działać.

Rozległ się gwizd sygnalizujący wybicie pełnej godziny. Więźniowie momentalnie porzucili narzędzia. Niektórzy poklepywali się po plecach, inni pochylali się nad stanowiskami, by cicho zapłakać. Większość po prostu wyszła na zewnątrz. Po ostrzeżeniu Trójki Thessa wiedziała, że musi zrobić sobie przerwę, zanim ktokolwiek zauważy brak szklanego trądu na jej skórze. Spowolni ją to, ale nic nie mogła na to poradzić.

Wraz z Axiem porzucili miejsca pracy i wyszli na dziedziniec, gdzie dziesiątki więźniów z kilku różnych warsztatów robiły sobie przerwę. Powietrze było ciężkie od dymu wydobywającego się z buchających kominów, a światło przyćmione od zachodzącego słońca, jednakże miło było znaleźć się z dala od gorących pieców.

Już na zewnątrz Thessa osunęła się na ziemię, kuląc ramiona i przeklinając cicho. Axio usiadł obok niej, podniósł głowę i przyglądał się strażnikom stojącym na murach obronnych. Wiedziała, że powinna robić to, co on, lecz potrzebowała chwili wytchnienia. Niech sam zajmie się rekonesansem. Czy naprawdę minął zaledwie jeden dzień w tym przeklętym miejscu? Zdawało jej

się, jakby upłynęły tygodnie. Zastanawiała się, jak długo byli tu inni więźniowie. Miesiące? Lata? Jakim cudem udawało im się przetrwać każdy kolejny dzień?

Na dziedzińcu toczono przyciszone rozmowy, a dym drzewny mieszał się z zapachem papierosów wyżebranych od strażników i robotników. Tylko dwie osoby trzymały w rękach książki i ścisnęły je kurczowo, niczym drogocenny skarb, za każdym razem, gdy ktoś obok nich przechodził. Nie było tu żadnych gazet, żadnych rozrywek. Wydawało jej się, że słyszała coś o weekendowym meczu cudgelingu rozgrywanym między strażnikami.

Odczłowieczenie. Słowo to cisnęło się jej na usta jak flegma, którą ze wszystkich sił chciałaby wypluć. Czy tak wyglądały wszystkie więzienia? Czy ktokolwiek z tu obecnych naprawdę sobie na to zasłużył? Thessa nie wiedziała nawet, czy jej współwięźniowie byli złodziejami, mordercami, czy po prostu mieli pecha, znajdując się po złej stronie ossańskiej wojny.

– Tamte boczne drzwi – szepnął Axio. – Chroni je tylko jeden strażnik. Używają ich do przywożenia drewna na opał. Mogą posłużyć jako dogodne wyjście z kompleksu.

Thessa zerknęła w tamtym kierunku, od razu zauważywszy, że podwójne drzwi znajdują się w zasięgu wzroku niemal wszystkich osób na dziedzińcu. Strażnicy musieliby być ślepi lub rozkojarzeni, a w takiej sytuacji lepiej byłoby po prostu użyć głównej bramy.

– Masz dobre oko, Axio – pochwaliła. – Kontynuuj obserwację, ale staraj się nie rzucać w oczy. – Posłała mu szybki, uspokajający uśmiech. Skinął głową i ponownie spojrzał do góry. Od czasu załamania, którego doświadczył od razu po przyjeździe do tego upiornego miejsca, starał się robić dobrą minę do złej gry. Nie wiedziała, czy robi to dla niej, czy dla własnego dobra.

Thessa obserwowała, jak jedna z robotnic – wysoka, silna, młoda kobieta, prawdopodobnie zaledwie kilka lat starsza od niej samej, z krótko ściętymi brązowymi włosami i jasną purnijską skórą – ciągnie po nierównym bruku masywny wóz z drewnem na opał. Nikt nie zwracał uwagi na to, jak siłuje się z ładunkiem. Lewe koło zakleszczyło się w koleinie między dwoma kamieniami, a robotnica

wydała z siebie zrezygnowane stęknienie. Pociągnęła, zmarszczyła brwi, a potem pchnęła. Wózek ani drgnął.

Mijały sekundy. Kobieta obejrzała wózek z każdej strony, jeszcze raz próbując go wydostać, po czym odeszła. Po chwili wróciła, cała czerwona na twarzy, mamrocząc coś pod nosem. Więźniowie dostrzegli jej zmagania i ukradkiem przyglądali się całej sytuacji. Trzech strażników stojących na górującym nad dziedzińcem murze spoglądało w dół, śmiejąc się do siebie. Nikt nie przyszedł z pomocą.

Robotnica próbował dostać się pod zaklinowane koło, stękając i popychając je. Thessa patrzyła wraz z innymi, zdumiona jej wysiłkami, do chwili gdy koło nagle posunęło się do przodu. Widziała wszystko wyraźnie i skrzywiła się we współczującym bólu, kiedy przetoczyło się przez kolejny kamień i wpadło wprost w następną koleinę, tym razem przytrzasnąjąc kobiecie rękę. Więźniarka zaczerpnęła gwałtownie powietrza, wybałuszyła oczy i wykrzywiła twarz. Nie wydała jednak żadnego dźwięku, tylko desperacko napałała na wózek, próbując się spod niego wydostać.

Thessa rozejrzała się dookoła. Wszyscy to widzieli. Kilkudziesięciu więźniów, pięciu lub sześciu strażników. Wielu z nich otwarcie się śmiało. Thessa poderwała się z ziemi.

– Nie ma nic śmiesznego w cierpieniu innych – rzuciła wściekle do siedzącego obok, chichoczącego starca i podbiegła do kobiety. – Axio, pomóż mi! – Kucnęli razem pod wozem i wydostali koło spomiędzy kamieni.

Robotnica syknęła z bólu, przyciskając dłoń do brzucha. Wydała z siebie niski pomruk i odwróciła się plecami, gdy Thessa do niej podeszła.

– Ktoś musi cię natychmiast opatrzyć – powiedziała stanowczo Thessa. – Pokaż mi ją. – Zignorowała fakt, że kobieta pokręciła głową, i pociągnęła ją za ramię tak, by obejrzeć zranioną dłoń. Nie było aż tak źle, ręka była tylko lekko zaczerwieniona wokół palca i ozdobiona kilkoma głębokimi otarciami. Kobieta próbowała wyrwać dłoń, a Thessa mogła wyczuć, że jest w szoku. Delikatnie dotykała opuszków każdego z palców, uważnie obserwując reakcję robotnicy.

– A niech to szkło, stracę rękę – szepnęła kobieta.

– Jak masz na imię? – zapytała Thessa.

– Pari.

– Nie stracisz ręki, Pari. Ciężar wylądował na jednym palcu. Jest złamany, ale wystarczy dzień ze szkłem leczniczym i będzie jak nowy.

– Nie stać mnie na dzień w Szklarni. – Robotnica trzęsła się z bólu, wyraźnie starając się tego nie okazywać. Thessa spotkała wielu robotników i pomocników takich jak ta kobieta, ludzi wywodzących się ze środowisk, gdzie ujawnienie słabości mogło ich słono kosztować.

– Jesteśmy w hucie szkła. Muszą tu mieć jakieś szkło lecznicze. Byliby głupcami, gdyby go nie mieli.

– Dla nas, robotników, go nie mają.

Thessa spojrzała Pari w oczy, uświadamiając sobie, że ta mówi prawdę. Mogła w nich dostrzec ból, ale również strach i wstyd. Thessa zakłęła cicho. Ułamała kawałek cienkiego drewnianka z podpałki znajdującej się na wózku, a następnie wyrwała długi pasek obszyta tuniki Pari.

– To posłuży jako szyna – odparła. – To bardzo prowizoryczne i powinnaś udać się do lekarza po coś lepszego, ale przynajmniej dasz radę przetrwać do końca dnia. Jeśli palec będzie prawidłowo unieruchomiony, powinien się zagoić po około ośmiu tygodniach.

Robotnica nie zaprotestowała, gdy Thessa wiązała jej dłoń. Stojący na murach strażnicy znudzili się już oglądaniem tej sceny i wrócili na swoje stanowiska, podczas gdy więźniowie zwyczajnie ignorowali całą sytuację. Thessa wysłała Axia do mesy po wino – jeden z niewielu luksusów, na które więźniowie mogli sobie pozwolić – i dokończyła opatrywać dłoń kobiety.

– Dlaczego nie poprosiłaś o pomoc? – spytała Thessa.

– Poprosiłam – odpowiedziała z pretensją Pari. – Tylko wszyscy są tu dupkami.

– Ale chodzi mi o to, kiedy wózek przygniótł ci palec.

Pari prychnęła.

– Jesteś nowa, tak? Nie widziałam cię tu wcześniej.

– Przywieziono mnie wczoraj.

– Z Grentu?

Thessa przytaknęła, ciesząc się, że w końcu udało jej się zachęcić kobietę do rozmowy.

Pari znów prychnęła.

– W takim razie powinnaś dowiedzieć się czegoś o Magnie.

– Słyszałam, że są strasznymi dupkami.

– Przed Magną nie należy okazywać słabości – oznajmiła Pari.

Thessa tak też podejrzewała.

– Nie jesteś ich klientką?

Robotnica uniosła drugą dłoń i pokazała paznokieć małego palca. Nie było na nim żadnego koloru.

– Nie zamierzam zaprzedać duszy Magnom, ale nie mam nic przeciwko temu, by sobie u nich trochę dorabiać, kiedy ciężko z kasą. – Gdy tylko Thessa puściła jej rękę, kobieta cofnęła się gwałtownie jak oparzona.

– Proszę bardzo – rzuciła Thessa.

Pari nic nie odpowiedziała. Uważnie obejrzała bruk, złapała za wózek i nieporadnie zahaczyła sobie o ramię, potem pchnęła go zuchwale przez dziedziniec. Ryzyko się opłaciło i Thessa przyglądała się, jak kobieta znika za zakrętem.

Westchnęła i rozejrzała się dookoła. Axio jeszcze nie wrócił – prawdopodobnie kłócił się z kucharzem o możliwość wyniesienia wina z mesy – zaś reszta więźniów zdawała się jeszcze bardziej ją ignorować. Wróciła do warsztatu i podeszła do stanowiska numer dziewięć, spoglądając na nędzne narzędzia i roztopiony, niskorezonansowy żaropiach w tyglu. Zakłęła. Niczym sobie na to nie zasłużyła. Przeżyła tak wiele: od straty rodziny po długie lata ciężkiej pracy w hucie. Nie była cholerną kryminalistką.

– Hej, niebieskooka – zawołał ktoś.

Thessa odwróciła się i zobaczyła podążającego za nią współwięźnia. Był prawdopodobnie po trzydziestce, mniej więcej jej wzrostu, z szerokimi ramionami i wieloma bliznami od pracy przy piecu. Nazwała go Szóstką, od numeru stołu, przy którym pracował.

– Czego chcesz, brązowooki? – zapytała.

– Jesteś jedną z tych miłych, co nie? – zagaił, podchodząc. – Pomogłaś tej idiotce i podrzucasz szkło boże na tacę przyjaciela, by pomóc mu w wyrobieniu limitów.

Thessa zmrużyła oczy. Nawet ją to nie zaskoczyło ani nie przeraziło. Wyczerpała już dzisiejsze pokłady życzliwości i czuła, jak zaczyna się w niej gotować wściekłość.

– Lepiej będzie, jak sobie pójdziesz i zapomnisz, co chciałeś mi powiedzieć – odparła.

– Och, nie, nie. Będziesz wyrabiać również moje limity. Zasłużyłem sobie na przerwę i mi ją zapewnisz, bo inaczej powiem rzemieślnikowi Magnie, że twój przyjaciel nie umie wykuwać szkła bożego. Wyślą go do tartaku i pewnie zmielą już pierwszego dnia...

Mistrz Kastora często powtarzał, że hutnicy zdobywają posłuch szacunkiem lub siłą. W jego hucie nie było miejsca na to drugie, ale w ciągu ostatnich dwudziestu kilku godzin Thessa na własnej skórze przekonała się, jak skuteczne może to być narzędzie. Nie pozwoliła Szóstce dokończyć zdania. Ten głupiec doprowadził ją do granic wytrzymałości. Chwyliła ciężkie nożyce ze stołu i uderzyła go nimi w policzek, a następnie złapała je pewnie i przyłożyła ostry koniec do obojczyka mężczyzny.

Stęknął pod wpływem ataku, przeklął dwukrotnie, a potem pisnął, czując na sobie zimną stal. Popchnęła go na sąsiedni blat roboczy.

– Nie myl współczucia ze słabością – wysyczała. – Jeśli piśniesz Magnie choćby słówko, a mój przyjaciel zostanie wychłostany, będzie pomiatany lub odesłany go z powodu twojej niewyparzonej gęby, to przytrafi ci się niefortunny wypadek. Może stracisz oko, może rękę, albo utkniesz w piecu i nikt nie usłyszy twoich krzyków. – Nie wierzyła, że to mówi. Było to do niej zupełnie niepodobne. Mimo to kontynuowała: – Sprawdź mnie, jeśli mi nie wierzysz, a z pewnością stracisz jakiś kawałek ciała. To nie ostrzeżenie, a obietnica. Rozumiesz?

Szóstka przytaknął ostrożnie, wybałuszając oczy. Thessa odsunęła się gwałtownie, pozwalając mu uciec. Gdy tylko wybiegł z warsztatu, poczuła, jak uginają się pod nią kolana, i musiała oprzeć się o stół. Czy czeka ją coś jeszcze gorszego? Czy tylko w taki sposób uda jej się przetrwać w tym miejscu? Czy tak właśnie jest w Ossie? Pochyliła się, przyciskając czoło do chłodnego stalowego blatu.

– Cóż, tego się nie spodziewałam.

Thessa poderwała się nagle, unosząc trzymane w dłoni nożyce niczym broń. Pari, robotnica, której przed chwilą pomogła z wózkiem, stała tuż przy wejściu dla pracowników. Thessa opuściła narzędzie.

– Czego chcesz? – rzuciła oschle. Stres zaczynał dawać się jej we znaki i po raz pierwszy na poważnie zastanawiała się, czy mogłaby zabić w przypływie wściekłości.

Robotnica podniosła ręce w pojednawczym geście, cofając się nieznacznie.

– Przyszłam ci podziękować. Musiałam się najpierw trochę uspokoić. Nie zamierzam mieć wobec żadnego więźnia długu wdzięczności, więc zapytam cię o to tylko raz: czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

Thessa zamrugnęła ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli?

– No, przemyścić coś – wyjaśniła niecierpliwie Pari. – Jakieś cygara, gotówkę. Nie mogę zrobić zbyt dużo, ale mogę zapewnić ci odrobinę luksusu. I będziemy kwita, dobrze? Tylko musisz mi o tym powiedzieć teraz. I żadnych przysług w przyszłości.

Thessa rozejrzała się dookoła zdezorientowana, miała zawroty głowy.

– A mogłabyś przekazać komuś wiadomość? Komuś, kto mógłby zapłacić za mnie okup?

– Nie, nie dam rady – powiedziała Pari, kręcąc głową. – Po pierwsze to zbyt ryzykowne, a po drugie, nawet gdybym to zrobiła, i tak nic by to nie dało, bo okupu można zażądać dopiero po zakończeniu wojny. Tak ustalił rząd i sam rzemieślnik Magna nie może złamać tego prawa.

– To... – Thessa próbowała wymyślić coś, cokolwiek, co pomogłoby jej w ucieczce. Oczywiście przysługa musiała się mieścić w ściśle określonych ramach. Pari nie zamierzała ryzykować życiem za kogoś, kto pomógł jej jedynie podnieść wózek. Thessa zmarszczyła brwi. Czy mogła zaryzykować? Czy miała w sumie jakiś wybór? – Rzemieślnik Magna odebrał mi coś ważnego. Jak myślisz, gdzie to ukrył?

Robotnica uniosła brwi.

– Naprawdę jesteś odważna, ale to niewielka przysługa. – Zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową. – Jeśli to coś osobistego, to pewnie jeden ze strażników już to oddał w zastaw. Jeśli jest to coś cenniejszego, trzyma to gdzieś w gabinecie.

– Naprawdę? – zapytała Thessa, niedowierzając, że schematy mogą znajdować się tak blisko.

– Tak. Wszystkie cenne rzeczy trzyma tu, na terenie kompleksu, żeby jego uzależnieni bracia nie mogli mu tego wykraść.

– Czy gabinet jest strzeżony?

Pari tylko pokręciła głową.

– Radzę ci nie robić tego, o czym właśnie myślisz. Jeśli cię złapią... no cóż, obóz w tartaku będzie przy tym wyglądał jak zagraniczne wakacje. Nie próbuj go też uwodzić. Już tego próbowano i tylko go to zirykowało.

Thessa zrobiła minę, która wywołała na twarzy kobiety szeroki uśmiech.

– Tego z pewnością nie będę próbować.

– Czyli jesteście kwita, tak? – spytała Pari, odwracając się w stronę wejścia dla służby. – Żadnych dodatkowych przysług.

Thessa zrobiła pół kroku w jej stronę.

– Mogłabyś mi powiedzieć coś jeszcze o więziennych biurach?

Robotnica się zawahała.

– Słuchaj, nie powinnam była nawet... – Westchnęła. – Szkłorwa, a co mi tam, i tak wracam dziś do Ossy. Nie dam rady wozić drewna z tym czymś. Muszę znaleźć nową pracę. – Podniosła usztywniony palec, wyraźnie się przy tym krzywiąc. – Dobra. Rzadko kiedy zamykają biura. Jest tam zawsze dwóch egzekutorów, ale śpiąją ze sobą i nie pamiętam, kiedy po raz ostatni zwrócili na cokolwiek uwagę. – Przechyliła głowę w zamyśleniu. – I jeszcze jedna rzecz: rzemieślnik Magna jest bardzo religijny. To zagorzały rennita. Życzę ci powodzenia w czymkolwiek, co planujesz zrobić. – Pomachała Thessie i wymknęła się wejściem dla pracowników.

Thessa pogrążyła się w myślach i planowaniu, niemalże nie zauważając odchodzącej kobiety. Religijność rzemieślnika Magny mogła się okazać kluczem do sukcesu. Wiedziała już, gdzie są schematy. Teraz musiała je tylko odzyskać. Może dzięki tym informacjom uda jej się odwrócić jego uwagę.



ROZDZIAŁ 17

Elitarny Klub Vorcienów znajdował się na skraju Dzielnicy Rodzinnej i był rozległym, jednopiętrowym budynkiem zajmującym całe dwie przecznice, gdzie można było uprawiać hazard, raczyć się szkłem otępiającym, zabawiać się z dziwkami, jeść i palić do oporu, rozgrywać prywatne mecze cudgelingu i robić wiele innych rzeczy, a wszystko to bez skalania się prząsnymi hulankami popółstwa z ulicy Chwały. Było to ekskluzywne miejsce dostępne wyłącznie dla śmietanki ossańskiego społeczeństwa.

Właścicielem przybytku był najstarszy z przyrodnich braci Kizzie, Sibrial.

Kizzie wślizgnęła się do budynku tylnym wejściem, lawirując między portierami niosącymi skrzynie z drogim winem i kiwając głową paniom palącym papierosy przed zatoczkami dostawczymi. Wokół kręciła się garstka egzekutorów, rzucających kości na podłodze lub czytających książki po kątach. Kilku z nich zmarszczyło brwi na jej widok, ale nikt jej nie zatrzymał, gdy przemierzała się po labiryncie kuchni i korytarzy dla służby, aż do podwyższonej

empory za masywnym lustrem wychodzącym na główny hol klubu. Trzymała się blisko ścian, pozwalając kelnerom swobodnie przechodzić w jedną i drugą stronę, jednocześnie przyglądając się temu chaotycznemu tańcowi utrzymującemu to miejsce w ciągłym ruchu.

Przy ogromnym lustrze, wydając rozkazy niczym generał na polu bitwy, stała posągowa, ciemnoskóra kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w półprzezroczystą, czarną tunikę, skrojoną na bardziej profesjonalną wersję klubowego uniformu. Veterixi Jorn była konsjerżką, związaną z rodziną Vorcienów na długo przed narodzinami Kizzie. W Elitarnym Klubie Vorcienów pracowała początkowo jako portierka, zanim Ojciec Vorcien przekazał go Sibrialowi. Sprawowała władzę zwierzchnią nad tym miejscem niczym majordomus rodzinnej gildii. Można jej było zaufać niemalże we wszystkich sprawach, dodatkowo nie bawiła się w politykę rodzinną, w tym w konflikt między Kizzie a Sibrialem.

– Masz świadomość, że twój brat cię zabije, jeśli cię tu zobaczy? – powiedziała nagle Veterixi, przerywając na chwilę ciągły strumień raportów i nie odwracając wzroku od klubowego holu.

– Klub należy do rodziny – odparła Kizzie, unosząc dłoń, by pokazać krzemowy znak. – Zostało mi kilka przywilejów.

– Ach tak? Sibrial gra teraz w karty przy swoim stoliku – rzuciła Veterixi. – Chcesz się do niego przyłączyć?

– Może i jestem bezczelna, ale nie głupia – prychnęła Kizzie. – Przyszłam prosić o przysługę.

Veterixi podniosła rękę, gdy młody mężczyzna, jeden ze skąpo odzianych kelnerów, wbiegł z płaczem na empore. Poglądziła go delikatnie po ramieniu, wymieniając z nim kilka szybkich zdań tonem tak cichym, że Kizzie nie słyszała ani słowa, po czym go odesłała.

– Pozbądźcie się Needor Plagni – rozkazała jednemu ze stojących na baczność portierów. – I zabrońcie jej wstępu do klubu przez najbliższy miesiąc. Gównu mnie obchodzi, że jest tancerką szkła. Jeśli jeszcze raz położy rękę na którymkolwiek z moich pracowników wbrew jego woli, zakażę jej wstępu na stałe.

Kizzie zakaszła w dłonie, gdy tylko portier zniknął z pola widzenia.

– Słyszałam, że wczorajszej nocy zdemolowano jedną z hut szkła Plagniego. Rozbito szkło boże warte setki tysięcy ozzo, a strażnicy obwiniają za to niemal wszystkich, od cudzoziemców po gigantyczne ptaki. Założę się, że są tym nieźle poirytowani.

– Ja za to słyszałam, że zdegradowali cię do roli strażniczki hotelu Demira Grappa – rzekła Veterixi tonem, który jasno wskazywał, co o tym myślała, a mianowicie, że był to upadek większy niż wypadnięcie z łask Vorcienów.

– To bardzo ładny hotel, a dodatkowo nie będę musiała przez jakiś czas spierać krwi z moich tunik.

– Przyjaźnię się z Breenenem i bardzo go podziwiam – wyznała Veterixi. – Mam jednak nadzieję, że powrót Demira nie przyczyni się do ruiny tego hotelu. – Westchnęła, nakazując jednemu z portierów podanie butelki wina do stolika marnijskich kupców, którzy tracili właśnie sporo pieniędzy. – O jaką przysługę przysłaś prosić, Kissandro?

Kizzie oparła się chęci stanięcia w obronie Demira i podeszła do lustra, by przyjrzeć się gościom klubu. Momentalnie dostrzegła Sibriala, mężczyznę o jasnej skórze i długich blond włosach, które tak bardzo uwielbiała jego matka. Był masywny, ale nie otyły, miał grube kości i barczyste ramiona, a teraz śmiał się jak osioł z czegoś, co powiedziała jedna z jego kochanek. Sam jego widok przyprawiał Kizzie o mdłości. Przy sąsiednim stoliku siedział Capric, miał zamknięte oczy, szkło otępiające w uchu i zdawał się drzeć, podczas gdy wokół toczyły się nieustanne rozmowy. W rodzinnej gildii Vorcienów było dziewięcioro pełnokrwistych potomków i większość z nich bywała w tym miejscu praktycznie każdej nocy, lecz w tej chwili dostrzegła jedynie Sibriala i Caprica.

Nie oni jednak byli jej celem. Kizzie dalej taksowała wnętrze klubu, przyglądając się tłumowi, aż jej wzrok padł na osobę, której szukała. Glissandi Magna leżała w łoży niedaleko lustra. Była krótkowłosą kobietą w średnim wieku, ubraną w cienką granatową tunikę. Palila grube cygaro, obserwując, jak jeden z jej kuzynów – trzeci w kolejności do spuścizny rodu Magnów – gra w karty z kilkoma innymi potomkami rodzinnych gildii.

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Glissandi Magnie.

Veterixi pstryknęła palcami, a kilku stojących na baczność portierów opuściło pomieszczenie. W ciągu paru sekund zostały same, otulone przytłumionymi dźwiękami dochodzącymi z sali znajdującej się za lustrem.

– A na co ci te informacje?

– Zadarła z kilkoma dostawcami Demira, więc prosił, żebym się jej przyjrzała. – Jedną z korzyści płynących z reputacji osoby uczciwej było to, że większość ludzi zakładała, iż nigdy nie kłamie. Było to niezwykle głupie założenie, tym bardziej jeśli czyniły je dość inteligentne osoby. Wewnętrzny kodeks Kizzie był dość specyficzny: zawsze dotrzymywała słowa i rzadko okłamywała władze publiczne. Lecz niewinne kłamstewka, których nikt nie miał szansy zweryfikować, stanowiły częste narzędzie w jej pracy.

Veterixi oderwała wzrok od sali i spojrzała ukradkiem na Kizzie, która udawała, że tego nie widzi. W końcu powiedziała:

– Ta kobieta to istny wulkan. Jest uparta, inteligentna i bezwzględna. Jeśli podejmie już jakąś decyzję, nic jej od tego nie odwiedzie. Na twoim miejscu wróciłabym do Demira i poradziła mu znalezienie nowych dostawców.

– Myślisz, że kuzynka Magny może wzbudzić strach w tancerzu szkła z rodu Grappów?

Veterixi wzruszyła ramionami.

– W sumie to nie wiem, co wzbudza w nim strach. Nikt nic o nim nie wie poza tym, że załamał się po Holikanie. Mimo to radziłabym mu nie zadzierać z Glissandi.

– Ci dostawcy są też klientami – skłamała Kizzie.

– To z pewnością komplikuje sprawę.

– Chciałabym porozmawiać z nią w cztery oczy.

– W tym ci nie pomogę – oświadczyła Veterixi. – Nieustannie towarzyszy jej kilku purnijskich ochroniarzy, więc poza tym klubem i jej własnym domem nie uda ci się porozmawiać z nią na osobności.

– Myślisz, że mogłabym się z nią jakoś umówić? – dociekała Kizzie. Co prawda nie wchodziło to w grę, bo Kizzie nie chciała, żeby istniała jakakolwiek wzmianka o ich rozmowie, ale nic nie szkodziło zapytać.

– Pewnie tak, jeśli nie miałybyś nic przeciwko czekaniu na to spotkanie przez co najmniej pół roku. Choć bardziej prawdopodobne

byłoby to, że jej ochroniarze zatłukliby cię na śmierć tylko dlatego, że odważyłaś się o to spytać.

Kizzie obserwowała, jak Glissandi pali cygaro, próbując wniknąć w jej umysł.

– Ma na koncie jakieś występki? Coś, co mogłoby pomóc mi wkupić się w jej łaski? – Plugawe nałogi były świetnym materiałem do przekupstw i szantaży.

– Nic a nic – odparła Veterixi, ze współczuciem marszcząc brwi. – Kocha pieniądze i samą siebie. Nikogo się nie boi, nawet tancerzy szkła, a Demir nie jest wystarczająco bogaty, żeby ją przekupić.

Z pozoru wydawałoby się, że Glissandi jest zupełnie poza jej zasięgiem. Kizzie przejrzała w głowie możliwe opcje. Demirowi zależało na czasie, a przekopywanie się przez biznesy, rodzinę czy przyjaciół Glissandi w poszukiwaniu czegoś, co mogła wykorzystać, zajęłoby tygodnie. Dodatkowo było to bardzo niebezpieczne, bo gdyby Magna dowiedziała się, co Kizzie knuje, dziewczyna mogła spodziewać się wizyty grupki purnijskich ochroniarzy.

Wpadła jednak na pewien pomysł. W sumie może nie będzie to aż takie trudne.

– A jaką ma reputację? – zagadnęła.

– Nienaganną. Do moich uszu dociera wiele sekretów, ale w jej przypadku nie usłyszałam niczego, co robiłoby jakieś wrażenie.

– Naprawdę jest aż tak nieskazitelna?

– Zakładałabym raczej, że bardzo skrupulatnie po sobie sprząta.

W takim razie jej plan może się powieść. Kizzie przygryzła wargę, a jej nowy pomysł powoli nabierał kształtu.

– Daj mi znać, jeśli sobie coś przypomnisz – rzuciła.

Veterixi zrobiła gest, jakby uchyliła runda kapelusza.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Coś jeszcze?

Kizzie wskazała głową w stronę narożnej łoży w odległym krańcu sali, gdzie Sibrial nadal grał w karty.

– Jeśli wpadłby ci do głowy jakiś pomysł, który pomógłby mi wkupić się w jego łaski, to byłabym wdzięczna.

– Jestem konsjerżką, a nie jakimś wszechmocnym bytem – odpowiedziała Veterixi.

– Jest aż tak źle? Nie sądziłam, że będzie to miało tak wielkie znaczenie. Przecież kwota tej grzywny to dla niego jakieś grosze.

– Nie chodziło o grzywnę, lecz o sam fakt, że musiał ją zapłacić. Upokorzyłaś go, a wystarczyło tylko dać sędziemu jakieś zmyślane alibi – odrzekła stanowczo Veterixi.

– Ale on przejechał małego chłopca przeklętym powozem. Złamał mu nogę i mógł go zabić.

– Nieważne, czy zabiłby to dziecko, czy nie, jest następcą Ojca Vorciena, dlatego powinnaś okłamać sędziego.

Veterixi miała rację. Dziedzice rodzinnych gildii byli poza prawem, jeśli nie w teorii, to na pewno w praktyce. Zeznanie najuczciwszej egzekutorki rodu Vorcienów miało zapewnić Sibrialowi szybkie uniewinnienie. Tak się jednak nie stało, bo Kizzie powiedziała prawdę, chcąc zobaczyć, jak sędzia wrzeszczy na tego idiotę, jej przyrodniego brata. Z perspektywy czasu wiedziała, że była to tylko chwila mściwej głupoty, na którą nie powinna była sobie pozwolić. Spodziewała się gniewu Sibrialia w związku z całą tą sprawą. Nie spodziewała się jednak utraty przychylności Ojca Vorciena.

– Chciałabym mu to jakoś wynagrodzić.

– Życzę powodzenia. – Brzmiało to szczerze, lecz dość pesymistycznie. Oczy Veterixi zwęziły się nagle, a Kizzie podążyła za jej spojrzeniem w stronę stołu, przy którym siedział Sibrial i gdzie jeden z portierów pochylał się, by szepnąć mu coś do ucha. Sibrial odwrócił głowę i popatrzył prosto w lustro, za którym stała Kizzie. Veterixi zakłęła. – Ten mały kutas sprzedał cię właśnie twemu bratu. A niech to szkło! Nie chcę mieć z tym dzisiaj do czynienia. Postaram się go spowolnić, a ty znikaj.

Kizzie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Sibrial wstawał już od stołu, a ona rzuciła się do ucieczki, pędząc tak szybko, jak tylko mogła. Biegła przez kręte korytarze, obok prywatnych pokoi i przez kuchnie, a gdy już prawie dotarła do tylnego wyjścia, doleciał ją znajomy głos, wykrzykujący jej imię:

– Kizzie!

Zastygła w bezruchu. Przybrała pokorny wyraz twarzy i odwróciła się, by ujrzeć stojącego za nią Sibrialia. Podobno, poza kolorem włosów, przypominał on ich ojca z młodości lat: miał

beczkowatą klatkę piersiową, grube ramiona i kwadratową, ogoloną szczękę. W jednej ręce trzymał laskę, a jego policzki były zarumienione od alkoholu.

– Bracie – powiedziała Kizzie, lekko się kłaniając. Pewnie poinstruował pracowników, aby powiadomili go w przypadku jej niespodziewanej wizyty. Przekłęła pod nosem. To była ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili potrzebowała.

– Co ty, szklorwa, robisz w moim klubie? – zażądał wyjaśnień.

– Mam...

– Jeśli powiesz choć jedno słowo o swych przywilejach, to każę cię zastrzelić.

Kizzie ugryzła się mocno w język. Sibrial mógł to zrobić, nie bacząc na konsekwencje. Z pewnością był już wystarczająco wzburzony. Nie było sensu jeszcze bardziej go rozjuszać.

– Przyszedłem zapytać Veterixi, czy jest cokolwiek, co mogłabym zrobić, aby wynagrodzić ci zaistniałą sytuację – odparła, unosząc ręce w pojedynczym geście.

– Wynagrodzić mi zaistniałą sytuację? Ty szklolerna suko. Przez ciebie cały tydzień pisały o mnie wszystkie ossańskie gazety, a ty masz czelność myśleć, że możesz mi to jakoś wynagrodzić? Nie ruszaj się stąd, do cholery! – Odwrócił się w połowie tyrady, krzycząc na służącą, próbującą prześlizgnąć się między nimi z butelką brandy. W korytarzu nagle zapanowała cisza, obejmująca również kuchnie na jednym krańcu holu i klub na drugim. Kizzie widziała twarze zaciekawionych członków klubu, wychylających się zza kątów, którzy przyszli zobaczyć całe zamieszanie.

– Przepraszam, Sibrialu. Naprawdę mi przykro. Nie wiedziałam, że tak to się skończy. – To oczywiście kłamstwo idealnie współgrało z tym, jaką opinię o Kizzie miał Sibrial.

– Niewiedza nie jest usprawiedliwieniem dla zdrady.

Słowo „zdrada” wydawało się zbyt mocne na coś, co miało tak niewiele realnych konsekwencji. Kizzie cofała się powoli ku wyjściu, z duszą na ramieniu. Musiała jak najszybciej załagodzić tę sytuację, bo inaczej dowie się o niej Ojciec Vorcien. Nie potrzebowała teraz zwracać na siebie jego uwagi.

– Przepraszam – powiedziała ponownie. – Wróćmy do tej rozmowy, gdy wytrzeźwiejesz – rzuciła, pospiesznie skrzyła za róg,

przeszła przez kuchnię i udała się ku uliczce na tyłach klubu. Przy odrobinie szczęścia do rana Sibrial zapomni o całym zajściu lub straci ochotę do kontynuowania tej konfrontacji.

Tym razem jednak szczęście jej nie dopisało. Gdy była zaledwie w połowie alejki, Sibrial wyłonił się z wejścia dla dostawców, wykrzykując jej imię. Portierzy, służba i egzekutorzy rozproszyli się przed jego furią. Kizzie była gotowa porzucić dumę i schować się za beczką whisky, lecz Sibrial już ją dostrzegł.

– Ty cholerna szmato – ryknął, zbliżając się szybko. – Nie zasługujesz, by nosić na skórze symbol Vorcienów. Wyrznę ci go własnoręcznie! – Dotknął pasa, lecz ku uldze Kizzie nie znalazł za nim noża. Zamiast tego zaczął wymachiwać laską. Zrobił kilka kroków i znalazł się tuż przy niej.

Sibrial znany był z zamiłowania do pojedynków, więc gdyby miał przy sobie miecz, mógł zabić Kizzie, nawet jeśli stawiałaby opór. Nie mogła się jednak bronić, bo podniesienie ręki na następcę rodu Vorcienów uchodziło za największą zbrodnię, jaką mogłaby popełnić w oczach ojca. Dlatego też pozwoliła, żeby przyrodni brat ją zaatakował. Uderzył ją laską w lewe ramię, na tyle mocno, że natychmiast zdrętwiało. Zachwiała się.

– Sibrialu – wyszczała – nie rób tego. – Zmusiła się, aby nie sięgnąć po sztylet, tylko zareagować w inny sposób. Użyła magii, by chwycić za jeden z małych, szklanych koralików, używanych do otwierania zamków. Wyskoczył z jej kieszeni i zatrzymał się tuż przy szyi Sibrialą. Kuleczka była na tyle mała, że ledwo ją widziała. Jeśli mężczyzna ją zabije, ostatnią rzeczą, jaką zamierzała zrobić przed śmiercią, będzie wbicie mu tego przeklętego przedmiotu w tętnicę.

Ponownie ją uderzył, trafiając dokładnie w to samo miejsce. Kizzie prawie nie poczuła ciosu, ale znów się zachwiała. Oparła się o ścianę klubu, przeklinając cicho, w nadziei, że ktoś wyjdzie i powstrzyma Sibrialą, zanim ten posunie się do zbrodni. Mógłby to zrobić Capric, gdyby nie był pogrążony w odmętach szkła otępiającego. Albo Veterixi czy któryś z jego przyjaciół, jakiś inny dziedzic rodzinnej gildii. Ktokolwiek.

Uniknęła kolejnego ciosu, a potem następnego. Końcówka jego laski głośno trzasnęła o cegłę, a Kizzie skoncentrowała się na koraliku unoszącym się niezauważenie nad jego ramieniem.

– Nie ruszaj się, szklorwa! Zamierzam spuścić ci takie lanie, jakie powinienem...

Kizzie straciła cierpliwość. Nie zamierzała zabić go tą kuleczką, mimo że bardzo tego pragnęła. Nie zamierzała też pozwolić, żeby to on ją zabił. Jako podrzędna egzekutorka była bezsilna w obliczu jego wściekłości. Lecz jako jego przyrodnia siostra miała jedno wyjście. Po raz kolejny uniknęła ciosu, naparła na niego i chwyciła za jego tunikę.

– Montego wrócił do miasta – wyszczała mu do ucha. – Chcesz, żeby gazety rozpisywały się teraz o mojej śmierci?

Sibrial wyrwał się z jej uścisku i przez chwilę myślała, że będzie kontynuował atak. Zamiast tego jednak wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami i z do połowy uniesioną laską. Jego wściekłość znikła jak płomień zdmuchnięty przez silny wiatr. Widać było, że zebrał się w sobie.

– Nie zasługujesz nawet na pobicie. – Splunął i, odwróciwszy się, ruszył z powrotem w stronę wejścia dla dostawców klubu.

Kizzie została sama. Trzymała się za lewe ramię, a dziesiątki portierów i służących przyglądały się jej uważnie z oddali. Ostatkiem sił włożyła szklany paciorek z powrotem do kieszeni. Gdy tylko Sibrial odszedł, jeden z portierów zawołał do niej, pytając, czy podać jej szkło lecznicze. Odmówiła i, zataczając się, wyszła na ulicę.

Wyciągnęła z kieszeni kawałek przynoszącego ulgę szkła ukojenia. Nie było ono zbyt dobrej jakości, ale złagodziło ból, a do ręki powoli powracało czucie. Założyła rękawiczki, zakryła twarz chustą i odnalazła najbliższe biuro kurierskie. Pukała tak długo, aż w drzwiach stanął mały, około trzynastoletni chłopiec.

– Papier – poleciła.

Veterixi zdradziła jej jedną niezwykle istotną informację, a mianowicie, że Glissandi pilnie strzeże swej reputacji. Kizzie mogła to wykorzystać.

Kurier podał jej kartkę papieru i ołówek, a ona szybko zapisała kilka zdań. Zanotowała: „Wiem, kogo zabiłaś dziesięć dni temu. Spotkaj się ze mną jutro o dwudziestej drugiej przed pubem Palmora na Abażurowej Promenadzie. Przyjdź sama, bo inaczej twoje nazwisko znajdzie się w gazetach”.

Wcisnęła chłopcu do ręki banknot i garść monet.

– Dostarcz to do Glissandi Magny. Jest w Elitarnym Klubie Vorcienów – rozkazała.

Chłopiec wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Wszystko w porządku, psze pani?

– Jak najbardziej. Idź już! – Poczekała, aż kurier zaleje woskową pieczęć, potem wróciła na ulicę i patrzyła, jak odchodzi w stronę klubu.

Nie był to plan doskonały. Prawdopodobnie Glissandi zleci swym purnijskim ochroniarzom, by ją dopadli. Ale w przeciwieństwie do konfrontacji z bratem, Kizzie nie miała żadnych skrupułów, by walczyć z najemnikami. Była obolała, wściekła i upokorzona.

Miała też zadanie do wykonania. W ten czy inny sposób zmusi Glissandi do zdradzenia, dlaczego Adriana Grappo została zamordowana.



Pierwszym punktem dnia Demira była wizyta u hotelowego stolarza, starszego mężczyzny pracującego w dużym, połączonym z powozownią warsztacie, po drugiej stronie ulicy od hotelu. W momencie gdy pojawił się tam Demir, akurat smarował osie. Grappo wszedł do pomieszczenia, wyprosił z niego wszystkich pracujących pomocników, podszedł do stołu stolarskiego i rozłożył na nim rysunki techniczne, nad którymi spędził pół nocy. Stolarz skończył swe zadanie i dołączył do niego.

– Chciałbym, abyś zmodyfikował powóz – oznajmił Demir. – Potrzebuję takiego schowka ukrytego pod siedzeniem.

– Wygląda na wystarczająco duży, by pomieścić człowieka – zauważył stolarz.

– Dokładnie tak. Dasz radę to zrobić?

– Jak najbardziej. Będę musiał odjąć kilka centymetrów, żeby ukryć schowek, i może tu i tu umieściłbym ozdobne skrzydła.

– Doskonale. Ile czasu ci to zajmie?

– Tydzień.

– Masz pięć dni. – Chciał dodać coś jeszcze, ale do warsztatu wszedł portier trzymający w ręku wizytówkę. Demir przewrócił oczami, przypominając sobie, dlaczego życie w stolicy od zawsze tak bardzo go irytowało. Było mnóstwo rzeczy do załatwienia. – Kto tym razem? – zapytał.

– Panie – zaczął portier, wręczając mu wizytówkę. – Pan Supi Magna chciałby się z panem widzieć.

– Co? – Demir chwycił za wizytówkę. Po części spodziewał się tej wizyty, ale nie sądził, że dojdzie do niej aż tak szybko. Zaledwie o północy wszedł w posiadanie dokumentów potwierdzających jego udział w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej. Postukał kartą w policzek. – Przyjmę go w gabinecie. Albo nie! Niech poczeka na mnie w restauracji. – Nie skończyłoby się to najlepiej, gdyby Supi Magna wszedł do gabinetu Demira i ujrział raporty szpiegowskie na temat jego rodzinnej gildii.

Niespiesznie przeszedł przez ulicę do hotelu i udał się w kierunku restauracji, dokładnie w momencie, gdy portier prowadził Supiego do narożnej łoży. Demir usiadł naprzeciwko, ucisnął mu dłoń i obdarzył serdecznym uśmiechem.

– Supi, co za niespodzianka.

Patriarcha rodzinnej gildii Magnów był wysokim, smukłym mężczyzną o jastrzębiej twarzy, ubranym w tunikę, w której wyglądał jak strach na wróble. Dobijał siedemdziesiątki, choć prezentował się jak ktoś około pięćdziesiątki, co jeszcze bardziej podsycalo krążące od lat plotki o tym, jakoby jego osobisty hutnik stworzył szkło boże o właściwościach chroniących przed upływem lat. Demir sądził jednak, że mężczyzna po prostu bardzo dbał o wygląd. Supi, wraz z czterema innymi członkami Wewnętrznego Zgromadzenia, należał do najpotężniejszych ludzi w Ossie. Był wart setki milionów, przynależał do kilkudziesięciu Stowarzyszeń Fulgurytów, dowodził armią egzekutorów i miał w kieszeni jedną czwartą Zgromadzenia.

Mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu Demira.

– Moje kondolencje z powodu śmierci twojej matki. Adriana była moją serdeczną przyjaciółką – powiedział. – Gratuluję ci też przejścia po niej schedy i zostania głową rodzinnej gildii Grappów.

– Dziękuję. Zjadłbyś coś? – spytał Demir, machając do kelnera.

– Obawiam się, że nie mam wystarczająco czasu na posiłek. Dowiedziałem się, że Ulina, moja nierozsądna wnuczka, przepuściła swe udziały w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej.

Demir oparł się, unosząc brwi.

– No cóż, spędziliśmy razem uroczę popołudnie, a zakłady były dość spontaniczne. Zawsze tak bardzo interesujesz się rodzinnym majątkiem?

– Jeśli chodzi o hutę szkła, to tak. – Supi wyciągnął zza poły marynarki małą szaszetkę. Demir rozpoznał ją jako tą, którą banki dawały zamożnym klientom, gdy ci chcieli mieć przy sobie wyjątkowo dużą sumę pieniędzy. – Wolałbym, aby sto procent własności huty szkła pozostało w rękach Magnów. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Oczywiście.

– Jestem gotów zapłacić ci sto piętnaście procent wartości udziałów mej wnuczki w zamian za natychmiastowy ich zwrot.

Demir rzucił Supiemu pytające spojrzenie. Sto piętnaście procent wartości udziałów w hucie realizującej rządowe kontrakty? Skąpy drań.

– Obawiam się, że będę musiał odmówić.

– Sto trzydzieści procent?

– Nie, dziękuję – odparł Demir, spoglądając chłodno w oczy Supiego. Mógł dostrzec w nich złość, choć była dobrze ukryta.

– Jesteś gotów przepuścić taki zysk z czegoś, co posiadasz dopiero od północy?

Demir rysował palcem na stole niewidzialne kształty.

– Nie potrzebuję gotówki, Supi. Potrzebuję inwestycji. Sam fakt, że jesteś skłonny zapłacić za te udziały taką cenę, oznacza, że są one cenniejsze, niż myślałem. Nie oddam ci ich.

Nozdrza Supiego się rozděły.

– Sto pięćdziesiąt?

– Jesteś przeraźliwie skąpy, Supi. Tylko utwierdzasz mnie w tej decyzji.

– Ty... – warknął Supi, szeroko otwierając oczy.

– No, daj spokój. Po co się tak wzburzać. Spędziłem naprawdę miły czas z Uliną. Może za rok lub dwa te udziały wrócą do twojej

rodziny.

– O ile Magna zniżyłaby się na tyle, by poślubić Grappa – powiedział cicho Supi.

– W rzeczy samej – odrzekł Demir. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, ale był pewien, że jego oczy mówiły co innego. Gdy był młodym politykiem, potężniejsze rody próbowały wyrzucić na nim presję. Wtedy im się to nie udało, ponieważ potrafił je przechytrzyć. Teraz też im się nie udało, bo wyróżniał się silnymi zasadami moralnymi. – Na pewno nie zostaniesz na śniadanie?

Supi poderwał się nagle i spojrzał z góry na Demira.

– Twoja matka była moją przyjaciółką. Liczyłem na to, że okażesz się rozsądniejszy.

– To, że moja matka była dla wszystkich przyjaciółką, Supi, nie oznacza, że była głupia.

– Uważaj, młody Grappo. Może i byłeś kiedyś dobrym politykiem, ale wiedz, że Ossa zmieniła się od twego wyjazdu i jeśli zapomnisz, gdzie twoje miejsce, rozdepcze cię jak robaka.

Demir położył dłonie płasko na stole, prezentując Supiemu dwa tatuaże: tancerza szkła i rodzinnej gildii Grappów. Nieważne, czy Supi był członkiem Wewnętrznego Zgromadzenia, czy nie, trzeba było mu przypomnieć, kim tak naprawdę był Demir.

– Gdzie w takim razie uważasz, że jest moje miejsce, Supi, co? Pod twoim krzesłem, w roli posłusznego zwierzątka? Może i należę do niewielkiego rodu, ale pamiętaj o spuściznie mej matki: rodzinna gildia Grappów zasiada przy stole z całą resztą. Możesz być moim przyjacielem albo wrogiem, nie zapominaj jednak, że to drugie będzie kosztować cię o wiele więcej.

– Jesteś bezczelny.

– Znamy się nie od dziś. I może wiele się zmieniło, ale to pozostało bez zmian.

Supi warknął gniewnie i wyszedł z restauracji. Demir odprawił kelnera i odliczył do sześćdziesięciu, po czym dosłownie przebiegł przez hotelowe foyer, udając się do biura Breenena.

– Zawołaj Montega i przygotuj powóz – rzucił. – Postanowiłem odwiedzić moją nową inwestycję.



Demir spędził całą podróż do huty szkła w Lesie Kości Słoniowej na analizowaniu raportów szpiegowskich, które udało mu się wyłudzić, ukraść lub wykupić od Dorlanich, Vorcienów i Stavrich. Niektóre z tych dokumentów dotyczyły stricte Lasu Kości Słoniowej, większość zaś przedstawiała ogólne informacje. Będzie potrzebował nawet najmniejszych skrawków notatek, jakie uda mu się zdobyć, skoro już teraz narobił sobie wrogów pośród Wewnętrznego Zgromadzenia. Zbliżali się właśnie do huty, gdy po raz pierwszy odezwał się do Montega.

– Dzieje się tu coś podejrzanego – oświadczył, wskazując za okno.

Montego podniósł wzrok znad książki.

– Tak?

– Supi nieźle się wściekł, gdy powiedziałem mu, że nie odsprzedam udziałów Uliny w hucie szkła. Znam go od dawna i rzadko zdarza mu się traktować coś aż tak osobiście. Albo myśli, że wykorzystam swoje szesnaście procent udziałów, by zniszczyć hutę i pozbawić go rządowych kontraktów, albo coś przede mną ukrywa.

– Co miałyby ukrywać? – zapytał Montego.

Demir pokręcił głową.

– Pewnie to, co zwykle: pranie brudnych pieniędzy, znęcanie się nad więźniami, sprzedawanie okręgów wyborczych. To huta szkła, więc może więźniowie pracują nad nielegalnym szkłem bożym. Niczego się nie dowiemy, dopóki trochę nie powęszymy, ja sam skupię się jednak na znalezieniu Thessy. Pamiętasz jej rysopis?

– Po dwudziestce, nieco wyższa od ciebie, ciemne blond włosy.

– Miej oczy otwarte, a ja zajmę się ludźmi. – Demir przykleił sobie uśmiech do twarzy, podczas gdy powóz mknął po nierównych uliczkach małego, brudnego, hutniczego miasteczka. Z okna po lewej stronie można było dostrzec mur o wysokości ponad sześciu metrów, ciągnący się wzdłuż drogi, z kilkoma wieżami strażniczymi obsadzonymi uzbrojonymi egzekutorami Magnów. – To naprawdę poważne przedsięwzięcie – rzekł do Montega, gdy skręcili w kierunku bramy.

Powóz zahamował gwałtownie, niemalże wrzucając Demira na kolana Montega. Wychylił głowę przez okno i zobaczył kilkunastu egzekutorów tłoczących się przy bramie i wykrzykujących coś wściekle na woźnicę. Demir założył rękawiczkę na lewą dłoń, aby zakryć znak tancerza szkła, prawą zaś pozostawił odsłoniętą. Zrobił to, by zaprzyjaźnić się z tymi ludźmi, a nie po to, by im grozić. Otworzył drzwi, wysiadł i uśmiechnął się szeroko do wszystkich.

– Coś się stało?

Mężczyzna w kapeluszu, wyróżniający się od innych egzekutorów wyszytym na kurtce krzemowym symbolem Magnów, przepchnął się na przód i wskazał na Demira, a następnie na powóz.

– Powiedz swemu woźnicy, żeby się cofnął. To teren zamknięty i będziemy strzelać, jeśli spróbowacie przedostać się do środka.

– Będziecie strzelać? – zapytał Demir, kładąc prawą rękę płasko na piersi.

Wzrok kapitana padł na krzemowy symbol Demira; mężczyzna momentalnie się skulił.

– Och, przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że jest pan członkiem rodzinnej gildii.

– Demir Grappo, do usług. Zawołaj nadzorcę i poinformuj go, że jestem nowym właścicielem szesnastu procent udziałów w tej hucie szkła. Chciałbym natychmiast zwiedzić cały kompleks.

Kapitan stał przez kilka chwil z otwartymi ustami.

– Yyy... ale... to niemożliwe.

– Ale co jest niemożliwe? Moje udziały czy zwiedzanie?

– Zwiedzanie. Albo i to, i to. To znaczy... – Demir znał to spojrzenie, miało je wielu funkcjonariuszy niskiego szczebla, starających się po prostu wykonywać swą pracę, gdy natrafiali na coś, czego zupełnie się nie spodziewali. Kapitan zastanawiał się pewnie, czy wolno mu było powiedzieć Demirovi, żeby spieprzał. I czy gdyby to zrobił, przyniósłby wstyd całej rodzinnej gildii. Był zdeorientowany. Dokładnie tak, jak Demir tego oczekiwał. – Wezwę nadzorcę – stwierdził w końcu mężczyzna.

– Świetnie, pójdę z tobą. Mały, wprowadź powóz! – Demir zarzucił rękę na ramię kapitana i, ciągnąc go przez bramę,

ignorował jego desperackie gesty rozkazujące jednemu z egzekutorów, by ich wyprzedził.

Po wejściu do środka Demir przebiegł wzrokiem po obiekcie. Miejsce to przypominało coś z pogranicza więzienia i obozu pracy. Była tam jedna główna droga, dzieląca cały kompleks na pół, oraz druga, przebiegająca tuż przy okalającym wszystko murze. Na powierzchni około dwudziestu akrów znajdowały się dziesiątki budynków, z których każdy oznaczono dużymi czarnymi literami, według ich funkcji.

Demir starał się zapamiętać wszystkie szczegóły: od tego, w jaki sposób egzekutorzy nosili broń, po szerokość dróg. Nie wiedział, jakie informacje mogą mu się w przyszłości przydać.

– Niesamowite – powiedział. – Widziałem zaledwie kilka większych hut szkła i nie miałem pojęcia, że dysponujemy obozem pracy przymusowej wyłącznie dla hutników. Świat nie przestanie mnie zadziwiać! – Podeszedł do najbliższego warsztatu, otworzył drzwi i wcisnął głowę do środka. Pomieszczenie było bardzo gorące, dobrze oświetlone dzięki wysokim oknom, a w jego wnętrzu znajdował się rząd mężczyzn i kobiet w ciężkich fartuchach i butach, pracujących przy surowo wyglądających stołach. Kilkoro z nich spojrzało w jego stronę. Reszta go zignorowała.

– Stój! Nie możesz... – Kapitan szarpnął Demira za rękaw, wyraźnie nie potrafiąc nad sobą zapanować. – Nie powinien pan tego robić. Potrzebuje pan pozwolenia. Proszę zaczekać na nadzorcę.

Demir rozglądał się po warsztacie na tyle długo, aby się upewnić, że wśród pracujących tam osób nie ma Thessy, a następnie pozwolił się odciągnąć od drzwi. Z szerokim uśmiechem odwrócił się do kapitana.

– Nie masz pojęcia, jakie to ekscytujące! Byłem już właścicielem małych hut szkła, ale to jest coś zupełnie innego. – Nachylił się konspiracyjnie do mężczyzny. – Jak utrzymujecie ich w ryzach? Sprawiają problemy? Co robicie, gdy któryś z nich staje się agresywny?

– Proszę zachować te pytania dla nadzorcy.

– Daj spokój, jestem współwłaścicielem tego miejsca i od teraz będziesz mnie tu widywał dość często.

Kapitan stłumił jęk.

– Ale, panie...

– Nie przejmuj się nadzorcą – rzekł cicho Demir, stając tyłem do egzekutorów i wsuwając mężczyźnie do ręki gruby zwitek banknotów. – Jestem hojny dla swych pracowników.

Kapitan rozdziawił usta, wpatrując się przez chwilę w pieniądze, po czym schował je pospiesznie do kieszeni i odchrząknął.

– Hm... no... nie mamy żadnych problemów z więźniami. Z większością brutalnych hutników obchodzimy się tak samo jak z pospolitymi przestępcami i karzemy ich już w prowincjach, w których mieszkają. Tu znajdują się głównie dłużnicy, drobni złodzieje i cudzoziemcy. Tak to wygląda.

– To w dzisiejszych czasach bycie obcokrajowcem jest przestępstwem? – zapytał Demir.

– No nie, ale w sumie to zależy od pochodzenia. Mamy tu kilku hutników z Grentu, którzy chcieli przedostać się do Ossy, gdy wybuchła wojna. Są tu też ludzie z Balkanii, biorący udział w rewolucji. No wie pan, takie...

Przerwał mu krzyk dochodzący z drugiego końca kompleksu. Demir odwrócił się i zobaczył niskiego, szczupłego mężczyznę w czystym hutniczym fartuchu pędzącego w jego stronę i wymachującego rękami.

– Zabierzcie ich stąd! Co wy wyprawiacie! To teren rządowy! Obowiązuje tu całkowity zakaz wstępu! Dopilnuję, aby Zgromadzenie się o tym dowiedziało!

Demir odpowiedział na wrzaski szerokim uśmiechem i wyciągniętą dłonią.

– Jestem Demir Grappo, a ten wielki mężczyzna próbujący wydostać się z powozu to Mały Montego. – Nadzorca otworzył szeroko oczy, słysząc nazwisko Demira, a potem jeszcze szerzej na wzmiankę o Montegu, Grappo zaś kontynuował: – Posiadam szesnaście procent udziałów w tej hucie i postanowiłem przyjechać na inauguracyjne zwiedzanie.

Nadzorca w końcu do niego dobiegł, wpatrując się niepewnie w wyciągniętą rękę Demira.

– O niczym mnie nie powiadomiono.

– Pewnie dlatego, że zostałem ich właścicielem zaledwie wczorajszej nocy.

– Będę musiał to potwierdzić – fuknął nadzorca. – Nie mogę pozwolić, by po kompleksie włóczyły się obce osoby!

Demir próbował przypomnieć sobie imię mężczyzny z akt przekazanych mu przez Lechauriego.

– Filur, tak? Świetne imię. Mój praprawujek też tak się nazywał. To takie silne, męskie imię. – Demir zacisnął pięść i wyciągnął ją przed siebie w geście przypominającym napinanie się zawodników, jaki czasem wykonywali dla publiczności przed walką. – Mały! Przynieś dokumenty!

Montego podszedł do Demira i wręczył mu plik kartek, które ten przekazał Filurowi, dając mu minutę na zapoznanie się z ich treścią.

– Jak sam widzisz, wszystko się zgadza – oznajmił dumnie Demir.

– Te dokumenty rzeczywiście wydają się na oficjalne – przyznał zamyślony Filur, wyglądając na lekko zmieszanego.

– Filurze, przyjacielu, jestem szalenie zajęтым człowiekiem i przebyłem długą drogę, by zwiedzić ów kompleks. Jako jeden z sześciu właścicieli tego miejsca wiem, że Ulina darzyła cię sympatią, w przeciwieństwie do pozostałych, więc wydaje mi się, że powinno ci zależeć na tym, aby i mnie zadowolić. – W rzeczywistości była to totalna bzdura, ale Demir wiedział z doświadczenia, iż większość marginalizowanych członków rodzinnych gildii żyła w ciągłym strachu, że ktoś młodszy, sympatyczniejszy, przystojniejszy lub po prostu bardziej odpowiedni zajmie ich miejsce.

Filur przełknął głośno ślinę.

– Rozumiem.

– Masz tu tysiąc ozzo – odezwał się Demir, wrzucając pieniądze do kieszeni w fartuchu mężczyzny. – Jeśli z jakiegoś powodu moje dokumenty okażą się niewystarczające, to wyjdzie na to, że oprowadziłeś po hucie dwójkę znanych osobistości. Jeśli zaś dokumenty te okażą się wystarczające, zadowolisz jednego ze swych zwierzchników. Masz może wino?

– Ja... eee... mam w biurze.

– Nie kłopotz się, przywiozłem sporo własnego. Mały, przynieś, proszę, butelkę wina dla nadzorcy i jedną dla kapitana, a potem... jeszcze kilkanaście dla egzekutorów. Wzięliśmy ze sobą ten krąg sera? Nie znam egzekutora, który nie lubiłby sera. Zanieś go, proszę, do koszar. – Spojrzał ponad ramieniem nadzorcy, nieustannie ucząc się układu kompleksu na pamięć. – Och, i kilka butelek wina dla pracowników. Robotnicy muszą być pewnie spragnieni! A teraz czas na zwiedzanie!

Demir ruszył przed siebie, zmuszając nadzorcę do wyboru między przywróceniem porządku z pomocą tłoczących się przy Montegu egzekutorów albo udaniem się za Grappem. Mężczyzna wybrał to drugie.

– Ile jest tu pieców? – zapytał, gdy Filur go dogonił.

– Yyy... jedenaście. W sumie to dwanaście – odpowiedział Filur, wyraźnie zdezorientowany.

– Dwanaście? Wspaniale, chciałabym zobaczyć je wszystkie.

Mężczyzna zbladł.

– Ale chyba... mogę pokazać tylko dziewięć. Zapewniam pana, że wszystkie wyglądają dokładnie tak samo.

– A co z pozostałymi trzema? Chcę zobaczyć, co kupiłem, i upewnić się, że to miejsce nie spłonie, nie upadnie i nie okaże się siedliskiem wypadków czy nadużyć, jakich doświadczyło ostatnio tak wiele innych hut szkła.

Filur ożywił się na wzmiankę o nadużyciach.

– Och, nie ma takiej możliwości. Na terenie huty znajduje się trzydziestu egzekutorów i nikt nie przejdzie przez tę bramę bez mojej zgody! A co do pozostałych trzech pieców, to dostęp do nich jest zastrzeżony i naprawdę będę musiał uzyskać pozwolenie, żeby je panu pokazać.

Demir był lekko rozczarowany, brakowało mu jednak pomysłów na dobrą wymówkę. Wprowadzono ograniczenia na terenie zamkniętego kompleksu? Te piece z pewnością służyły do produkcji nielegalnych szkieł bożych. Tylko których? Szkła furii? Szkła strachu? Szkła choroby? Przeszedł do kolejnej wypalarni i otworzył drzwi, żeby wejść do środka. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo jak poprzednie, od zniszczonych stanowisk po

zmęczone twarze więzionych hutników. Nikt nie odpowiadał opisowi Thessy.

– Myślisz, że są przepracowani? – zwrócił się do Filura, który najwyraźniej pogodził się już z koniecznością oprowadzenia Demira po obozie.

Nadzorca posłał mu blade uśmiech.

– Tak z pewnością twierdzą, ale w ten sposób utrzymujemy tu porządek. Dajemy im do zrealizowania tak duże limity, by zawsze byli na skraju wyczerpania.

– Ciężko uzyskać dobrej jakości szkło boże z pracy na wpół martwych hutników – odparł Demir, marszcząc brwi.

– To pewien kompromis, z którego jesteśmy w sumie bardzo zadowoleni. Przez dziesięciolecia udoskonaliśmy ten proces.

– Hmm. – Demir szedł dalej główną drogą przez środek kompleksu. Otwierał drzwi, zaglądał do warsztatów, przeszedł dwa dormitoria i mesę, podczas gdy Filur deptał mu po piętach jak nieprzyjacielski pies gończy. Grappo nie przestawał zadawać pytań, które przeplatał głupimi anegdotami. Zgodnie z planem nadzorca wydawał się tym wszystkim ogromnie przytłoczony, często bujając się na piętach i nie potrafiąc zbyć większości pytań.

Te, na które nie odpowiedział, Demir przeformułowywał i zadawał ponownie kilka minut później.

Dopiero w piątym warsztacie zauważył osobę pasującą do rysopisu Thessy. Była to młoda kobieta o ciemnych blond włosach spiętych w kucyk, pochylająca się nad stołem, z jednym uchem oddalonym zaledwie kilka cali od kawałka szkła bożego. Demir rozejrzał się po pozostałych, aż dostrzegł kolejną hutniczkę, całkiem atrakcyjną, prawdopodobnie około dwudziestki, o ciemnej skórze i ogolonej głowie.

Spojrzał na nią pożądliwie i pochylił się w stronę Filura.

– Powiedz mi szczerze – zaczął cicho. – Czy zdarzyło ci się kiedyś... no wiesz...

– Słucham?

– Te młode kobiety...

– Ach. Ach! W żadnym razie. Nie, nie. Rządowy nadzór nad tym kompleksem jest zbyt restrykcyjny, by pozwolić sobie na taki skandal.

– Wołałem zapytać – skwitował Demir, udając rozczarowanie. Nie spuszczał wzroku z marnijskiej hutniczki, a potem spojrzął w stronę Thessy. Zdecydowanie wolął uchodzić za degenerata, niż zdradzić się z prawdziwym powodem wizyty. Przespacerował się wokół okrągłego pieca, sprawdzając każde stanowisko pracy, aż dotarł do młodej blondynki pasującej do opisu Thessy i się do niej odezwał.

– Jak masz na imię, dziewczynko?

– Ach, ach! – wtrącił się Filur. – To chyba nie najlepszy pomysł, żeby rozmawiał pan z więźniami.

Demir splótł ręce na brzuchu, starając się wyeksponować krzemowy tatuaż.

– No, daj spokój, mam przecież udziały w tym przedsięwzięciu. Nie mogę ignorować trybików pracujących w tej maszynie! Powiedz mi, jak ci na imię, dziewczynko. – Przyjął ton głosu, który wielokrotnie słyszał w całym Imperium, ton człowieka uważającego, że jego podwładni są warci niewiele więcej niż zwierzęta.

Kobieta z trudem powstrzymywała grymas obrzydzenia.

– Teala, panie.

Serce Demira zabiło mocniej. Odnalazł ją. O tej kobiecie mówiła Duala, twierdząc, że jest tu przetrzymywana. Idealnie pasowała do opisu Kastory. A niech to szkło! Musi ją teraz stąd jakoś wydostać, a to niestety potrwa pewnie zdecydowanie dłużej.

– Nad czym pracujesz, Tealo?

– Robię kolczyki ze szkła mocy, panie.

Demir zabębnił kciukami o brzuch, próbując zwrócić jej uwagę na swoje ręce. Udało się. Spojrzała mu prosto w twarz, a następnie spuściła wzrok na krzemowy symbol. Upewniwszy się, że zrozumiała jego wiadomość, sięgnął do kieszeni po mały odłamek szkła brzytwy, po czym upuścił go na tacę z gotowymi produktami. Chwycił za jedno ze szkieł mocy, przewlekł go przez ucho i sięgnął po kolejne. Potem przejechał palcami po pozostałych kolczykach, aż ukrył pod nimi podrzucone szkło brzytwy.

– Przeciętne – powiedział, ziewając. – Wiesz co, Filurze, liczę na to, że inni więźniowie mają trochę więcej talentu.

Thessa wbiła w niego gniewne spojrzenie. Upewniwszy się, że nikt nie widzi jego twarzy, mrugnął do niej, po czym wskazał wzrokiem na tacę. Wpatrywała się w niego podejrzliwie, dopóki nie odwrócił się, prowadząc Filura z powrotem na ulicę.

– Jak najbardziej – zapewnił Filur. – To tylko starsza uczennica z Grentu. Nikt szczególny.

– Mam taką nadzieję!

Demir zakończył zwiedzanie, starając się w żaden sposób nie wyjść z roli. Zamienił jeszcze kilka zdań z paroma więźniami, sprawdził kilka szkieł bożych, wypił butelkę wina z nadzorcą i udał się do powozu, żegnając się z Filurem i kapitanem.

– Dobrze to wygląda – oświadczył Filurowi przez okno. Nadzorca przytaknął skwapliwie. Demir miał go na haczyku. – Dopilnuj, by wszystko szło sprawnie, a ja zadbam, abyś został za to sownie wynagrodzony. I oczywiście nie krępuj się potwierdzić moich dokumentów u swego przełożonego z Ossy, lepiej uniknąć nieporozumień podczas mojej kolejnej wizyty. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to znajdziesz mnie w hotelu Hiacynt. No dobra, Mały, ruszamy!

Gdy tylko wyjechali z terenu obozu, Demir odwrócił się do Montega.

– Znalazłem ją – oznajmił. – Wydaje się cała i zdrowa. Mam nadzieję, że wytrzyma tam kilka tygodni. Będziemy musieli często odwiedzać to miejsce i wypatrywać okazji, by ją wydostać. Zleciłem już stolarzowi dodanie do jednego z naszych powozów ukrytego schowka.

– Nawiązałeś z nią kontakt? – zapytał Montego.

– Nie wprost, ale wydaje mi się, że wie, kim jestem. Zostawiłem jej kawałek szkła brzytwy na wypadek, gdyby musiała się bronić. Nie sądzę, aby pozwolono strażnikom się do niej dobierać, lecz wolę, by miała przy sobie jakąś broń.

– Jakiego pretekstu użyjemy, żeby tam wrócić?

Demir się skrzywił.

– Jaki tylko przyjdzie nam do głowy. Jeśli będę musiał udawać przyjaciela tego śliskiego nadzorcy, to tak zrobię. Wrócimy tam z samego rana. Im szybciej strażnicy, robotnicy i nadzorca przyzwyczają się do mojej obecności, tym mniej podejrzany będę im

się wydawał. Może nawet uda mi się porozmawiać z Thesą w cztery
oczy.



Thessa wpatrywała się w wychodzącego z warsztatu mężczyznę, obejmującego ramieniem rzemieślnika Magnę niczym starego przyjaciela. Z jednej strony czuła się bardzo zdezorientowana, z drugiej zaś urażona. „Dziewczynka?” „Przeciętne?” A niech to szkło, była kobietą, nie dziewczynką, a tworzone przez nią szkło boże było doskonałe, pomimo przycinanych w pośpiechu krawędzi.

Ale to mrugnięcie i ten tatuaż... Serce waliło jej z podekscytowania. To był krzemowy symbol Grappów, czyż nie? Ponieważ była to dość mała rodzinna gildia, znaku tego nie spotykano zbyt często, ale widziała go już kilka razy. Ów człowiek musiał należeć do Grappów. Może to jakiś krewny Adriany? Jej brat? Kuzyn? Żołnierze, którzy schwytali ją na granicy, wspomnieli coś o synu Adriany, nazwali go co prawda synem marnotrawnym, ale skoro udało mu się odnaleźć Thesę w ciągu zaledwie kilku dni, to nie wydawał się aż takim nieudacznikiem.

– Dobrze się czujesz? – szepnęła Axio. Thessa oderwała wzrok od zamkniętych drzwi do wypalarni. Kilku innych więźniów

zerknęło w jej kierunku, ale nikt się nie odezwał. Stojący tuż za nią Axio nachylił się nad swoim stołem. – To kawał gnojka – stwierdził chłopak. – Nie przejmuj się tym, co powiedział.

– Wiem, dzięki – odrzekła Thessa i wróciła do pracy. Włożyła piszczel hutniczą z powrotem do pieca, aby trochę rozgrzać szkło, potem przeniosła je na metalową płytę stanowiska i zaczęła wyrabiać nowe odłamki. Pracowała powoli, starając się rozważyć w myślach wszystkie możliwości.

Istniały oczywiście inne opcje. Może to jakiś zwykły dupek? Może źle skojarzyła ten krzemowy symbol? A może ten człowiek był jednym z przyjaciół nadzorcy i najzwyczajniej w świecie z nią flirtował? Jeśli to ostatnie było prawdą, to będzie musiała bardzo uważać w jego towarzystwie. Niczego jednak nie była pewna i przez resztę poranka doprowadzało ją to do szału.

Spośród wszystkich krążących jej w myślach prawdopodobieństw wyróżniało się jedno. Jeśli ten mężczyzna naprawdę należał do Grappów i chciał ją stąd wydostać, to musiała natychmiast znaleźć schematy portalu feniksa. Nie miała pewności, kiedy nadejdzie ratunek. Czy uda jej się z powrotem wykraść te rysunki? Robotnica udzieliła jej kilku informacji o biurze nadzorcy, ale Thessa nie była zręczną magiczką, złodziejką ani kokietką. Czy odważy się tam zakraść w pojedynkę? A co, jeśli te papiery zostały gdzieś ukryte?

Nadeszło w końcu popołudnie i więźniowie wyszli z warsztatu, podczas gdy Thessa została na miejscu, zapełniając tace swoją i Axia. Gdy chłopak wychodził, dotknęła jego ramienia.

– Zaraz do ciebie dołączę – rzuciła. – Zrobisz coś dla mnie? Wypytaj, proszę, robotników, kim był ten mężczyzna. Ktoś przecież musi go znać.

Axio skinął ochoczo głową i odszedł, zostawiając ją samą przy piecu. Rozkoszowała się chwilą ciszy i samotności, pochylając się, aby rozciągnąć dolną część pleców, i siadając na moment na ziemi ze zdjętymi butami, żeby rozmasować stopy. Słyszała, jak jeden z najemnych robotników krzątał się przy piecu, dorzucając kolejne porcje drewna.

Uniosła się nieznacznie, sięgnęła po tacę i położyła ją sobie na kolanach, by na spokojnie policzyć kolczyki. Nie zgadzało jej się coś

w ich wadze. Zmarszczyła brwi, przesuwając szkła mocy, aż natknęła się na coś, co wyglądało jak kawałek papieru. W rzeczywistości było to coś zawinięte w papier. Miało sześć cali długości, cal szerokości i było dość cienkie. Rozpakowała zawiniątko, odsłaniając ukryty w nim przedmiot.

Oddech ugrzązł jej w gardle. Był to odłamek szkła brzytwy. Niewielkie ostrze osadzone zostało na wąskim trzonku i przypominało narzędzie używane przez wysokiej klasy rzemieślników do delikatnego cięcia. Dobrej jakości szkło brzytwy było niezwykle trudne do wykonania i potrafiło przeciąć niemalże wszystko. Spojrzała na papierowe opakowanie i znalazła zapisaną na nim wiadomość: „Na wszelki wypadek! Trzymaj się. Planuję akcję ratunkową”.

Szkłorwa, miała rację. To był Grappo i przybył tu, aby jej pomóc. Jego napastliwość i arogancja były jedynie grą – a przynajmniej miała taką nadzieję – by zmylić nadzorcę.

Zaschło jej w gardle. Obejrzała się przez ramię, przyciskając papier i szkło do piersi. Upewniwszy się po stokroć, że nie ma w warsztacie nikogo oprócz niej, wrzuciła papier do pieca. Używając ostrza szkła, odcięła skrawek materiału z ciężkiego fartucha kowalskiego wiszącego przy drzwiach, owinęła nim szkło brzytwy i schowała do kieszeni.

Następnie wróciła do pracy i zdołała ochłonąć zaledwie chwilę przed powrotem Axia i innych więźniów z obiadu. Wyrwała chłopakowi twarde ciastko z dłoni i pożerała je zachłannie, gdy on szeptał jej to, co udało mu się dowiedzieć.

– Nazywa się Demir Grappo i wszyscy dziś o nim gadają. Zdaje się, że wygrał udziały w hucie szkła podczas jakiegoś zakładu z członkiem Magny i nalegał na inspekcję. Cała ta akcja wstrząsnęła nadzorcą, podobnie jak wszystkimi strażnikami i najemnikami. Podobno prawo własności do huty od lat pozostawało wyłącznie w rękach Magnów.

Po plecach Thessy przebiegł dreszcz oczekiwania. Zalała ją fala ulgi, a ucisk podekscytowania zelżał odrobinę. Dotknęła kieszeni, upewniając się, że nadal jest w niej niespodziewany szklany prezent. Na wszelki wypadek.

Doskonale wiedziała, jaki wypadek będzie go wymagał.



Idrian na ogół nie brał udziału w spotkaniach wywiadu wojskowego, ale kiedy przyszedł rozkaz wzywający Gromicieli, by stawili się na nim wraz ze zwykłymi oficerami, nie mogło to wróżyć niczego dobrego. Minęło południe, a świat wydawał się zaskakująco spokojny jak na tę porę dnia. Od ponad godziny nie docierało do niego nic poza odległymi strzałami i wydawało się, jakby obie strony konfliktu postanowiły zrobić sobie małą przerwę, żeby niezależnie od siebie zastanowić się, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi.

Z tego, co wiedział, tak właśnie się stało.

Razem z Tadeasem i Miką mozolnie oddalał się od linii walk, ubrany w oficerski mundur i świeżo wypastowane buty oraz szklane oko. Podczas ich nieobecności Valient przejął dowództwo nad Stalowymi Taranami. Idrian czuł się jednak rozdarty z powodu tej krótkiej pauzy. Z jednej strony, mógł spędzić kilka godzin z dala od przelatujących mu nad głową kul, z drugiej zaś, zależało mu na tym, aby Stalowi kontynuowali natarcie na pałac. Byli o krok od jego zdobycia, a wtedy on mógłby wykraść szkło błysku dla Demira. Miał wrażenie, że to może się udać.

Dotarłszy do nieuszkodzonej podczas walk sali tanecznej w Grecie, zaadaptowanej na miejsce spotkania, weszli do środka wraz z resztą wyczerpanych oficerów, wymieniając się skinieniami głów i kilkoma słowami powitania. Idrian zauważył co najmniej tuzin innych Gromicieli, którzy tak jak on mieli pseudonimy wyszyte na klapach mundurów. Wśród nich byli: Stalowy Koń, Sokół, Trebusz, Czarna Jama czy Szklany Skurczybyk. W tłumie znalazłoby się pewnie kilku innych, którzy nie dorobili się jeszcze przydomków, ale bez mundurów nie dało się ich odróżnić od pozostałych oficerów. Było tam też kilkudziesięciu tancerzy szkła w bogato zdobionych jaskrawymi haftami uniformach, podkreślających ich status i naruszających wojskowe nakazy. Gromicieli od tancerzy różniło to, że ci pierwsi socjalizowali się z pozostałymi, ci drudzy zaś w większości stali samotnie na uboczu.

Tadeas przepychał się łokciami, pragnąc dotrzeć w ką, blisko wyjścia, a Idrian ochoczo za nim podążył. Rozpoznał kilku starszych

oficerów znajdujących się na scenie zlokalizowanej na końcu sali, a miejsce, w którym stał, pozwalało mu na obserwowanie całego pomieszczenia. Widział osoby wydające, jak i przyjmujące rozkazy. To strategiczne ustawienie umożliwiało mu odczytywanie panujących w sali nastrojów.

– Nienawidzę tych spotkań – szepnęła do niego Mika. – Czuję się jak na świeczniku. Wystarczyłaby jedna beczka prochu pod parkietem i jakiś przedsiębiorczy saper, aby przerobić śmietankę ossańskiego korpusu oficerskiego w trzy podrzędne brygady.

– Czworo uzbrojonych Gromicielei – odpowiedział Idrian.

– Co?

– Tyle potrzeba, żeby zabić wszystkich w tym pomieszczeniu i uciec, zanim ktokolwiek zdążyłby zareagować.

– Nawet z tancerzami na pokładzie?

Idrian zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Gdyby byli ubrani w pełne zbroje, to nadal mieliby dość duże szanse na sukces.

Kilku pobliskich oficerów zerknęło z niepokojem na Idriana i Mikę. Gromiciel uśmiechnął się do nich szeroko, dostrzegłszy, że otwierają usta, jakby chcieli coś powiedzieć, ale ich wzrok w porę padł na barana wyszytego na klapie jego marynarki, co zmusiło ich do zachowania przemyśleń dla siebie.

Mika też to zauważyła. Zachichotała.

– Mam w kieszeni dwa granaty – wyszeptła.

– Coś mi się zdawało, że jakoś tak dziwnie chodzisz – odparł Idrian, wciąż rozglądając się po sali w poszukiwaniu znajomych twarzy. Brakowało kilkoro jego przyjaciół. Byli zajęci czymś innym? A może byli już martwi? Będzie musiał później sprawdzić, gdzie się podziewają. – Tadeas nie powiedział ci przypadkiem, żebyś nie brała ze sobą żadnych materiałów wybuchowych?

– Że co? Zwykli oficerowie mogą nosić miecze lub pistolety, a ja nie mogę mieć pod ręką granatu? Przecież to cholernie niesprawiedliwe. Nie ma na to mojej zgody.

– Dlaczego stresujecie naszych współtowarzyszy? – zapytał ironicznie Tadeas. Robił to samo co Idrian, czyli skanował pomieszczenie, od czasu do czasu kiwając komuś głową. – Cieszę się, że tak bardzo zależy ci na naszym bezpieczeństwie, Miko. Jeśli coś

pójdzie nie tak, każę Idrianowi cię podpalić i rzucić w kierunku wroga.

Mika wbiła wzrok w Idriana, mrużąc oczy, jakby oceniała, czy zdołałby rzucić nią na tyle daleko, by jej poświęcenie nie poszło na marne.

– Ej no – odpowiedział na jej spojrzenie. – To nie ja to zaproponowałem.

– Uciszcie się – przerwał im Tadeas. – Generał Stavri już tu jest.

Przez salę przebiegł szmer, gdy na scenę wkroczyło kilku wyższych rangą oficerów. Generał Stavri był krzepkim mężczyzną po pięćdziesiątce, o szerokich barkach, wydatnym brzuchu i silnych ramionach. Miał krótkie brązowe włosy i cerę po ojcu. Był trzeci w kolejce do władzy w rodzinnej gildii Stavrich, ugruntowując swą pozycję poprzez dowodzenie ossańską Legią Cudzoziemską na całym świecie.

Zdaniem Idriana brakowało mu jednak osobowości. Dla generała Stavriego wojsko było całym życiem, choć posiadał dość marne umiejętności przywódcze, a sposób, w jaki prowadził kampanię przeciwko Grentowi, nie wzbudzał w Idrianie ani zaufania, ani przerażenia. Bardziej coś na kształt niepewności. Grent okazał się trudniejszym orzechem do zgryzienia, niż Stavri mógłby zakładać. Gromiciel zastanawiał się, jak długo jeszcze potrwał walki uliczne, nim zastąpią generała kimś innym. Stavri przez blisko minutę rozmawiał szeptem ze swoimi doradcami, po czym wkroczył na scenę i odchrząknął. Był skupiony na zadaniu, miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, a pod pachą trzymał plik raportów.

– Oficerowie Trzeciego, Siódmego i Dwunastego Oddziału – zaczął głosem instruktora musztry. – Poczuliśmy dziś pewien powiew zmian w naszej wojnie. Niektórzy z was wiedzą, że Smoki Kerite, ta nikczemna kompania najemników, zimuje na Szklanych Wyspach, a od czasu zabójstwa Adriany Grappo nasz rząd prowadził negocjacje w sprawie ich usług. – Wśród zgromadzonych przetoczył się pomruk zadowolenia, na co Idrian zmarszczył brwi. Generał Stavri wydawał się nie podzielać tego entuzjazmu. Na wzmiankę o Adrianie kilku oficerów zerknęło na Tadeasa. Ten zaś zachował

obojętny wyraz twarzy. Stavri kontynuował, uważnie dobierając słowa, jakby starał się utrzymać nerwy na wodzy. – Poinformowano mnie, że negocjacje zostały przerwane i że to rządowi Grentu udało się wynająć Smoki Kerite. Docierają właśnie na południe od Nowego Portu i zamierzają niezwłocznie ruszyć na Osse.

Zadowolone pomruki przerodziły się w gniewny szum.

– A niech to szkło! – rzucił jeden z kapitanów. – Czyli mamy teraz walczyć z Kerite?

– Cholerni najemnicy! – krzyknął ktoś inny.

– Fe! – Kolejna osoba wydała z siebie zniesmaczony dźwięk. – Zmieciemy ich z planszy!

Idrian wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Tadeasem, dostrzegając, że w oczach Grappa odbija się jego własny niepokój. Devia Kerite, Purnijska Smoczyca, była uważana za najlepszą dowódczynię na świecie. Jej kariera trwała nieprzerwanie od trzydziestu pięciu lat, podczas których walczyła głównie w Marn i Purnii. Wojowała zarówno na zlecenie Ossy, jak i przeciwko niej. A z tego, co Idrian słyszał, podobno nie przegrała żadnej bitwy.

– Iloma żołnierzami dysponują Smoki? – zapytał cicho Tadeasa.

– Podobno jest ich około dziesięciu tysięcy – odparł, przygryzając dolną wargę. – Ma Gromiciele, tancerzy szkła i artylerię.

– Spokój! Spokój! – wydarł się Stavri, unosząc ręce do czasu, aż obecni na sali nie umilkli. – Nazywanie ich cholernymi najemnikami jest słuszne i bez wątpienia zmieciemy ich z planszy. Pamiętajmy jednak, że Kerite należy traktować bardzo poważnie. Dlatego też Zgromadzenie zwołało wszystkie dostępne brygady z prowincji. Dziesięć dywizji zmierza nam już na pomoc.

– A kiedy tu dotrą? – zawołał ktoś z tyłu.

Stavri rzucił okiem w kierunku, z którego dobiegł głos, wyraźnie starając się ocenić, kim jest ta osoba, po czym ponownie się odezwał.

– Miną tygodnie, zanim dotrze do nas pierwsza grupa. Dlatego zmieniamy rozkazy! – huknął ponad wzbierającą falą niezadowolonych oficerów. – Wycofujemy wszystkie wojska z Grentu i koncentrujemy się na północnym brzegu delty. Naszym

zadaniem jest powstrzymać Kerite do czasu przybycia naszych oddziałów z prowincji.

Słowa Stavriego uciszyły grupę skuteczniej niż jego groźne spojrzenie. W sali zapanowała głucha cisza. Idrian mógł nawet usłyszeć bicie swego serca. Nagle zaschło mu w ustach, a w głowie zapanował zamęt.

– Szklorwa mać – szepnęła Mika. Stanęła na czubkach palców i krzyknęła: – Na co nam była ta cała szkolerna walka na ulicach Grentu, skoro się wycofujemy?

Słowa grzęzły Idrianowi w gardle, ale udało mu się wykrztusić:

– Od książęcego pałacu dzieli nas zaledwie kilometr! Podbiliśmy już połowę miasta! – Emocje zdawały się tryskać z jego wnętrza, nadając głosowi gniewny ton. Nie chodziło o poniesione straty ani o walkę o miasto, na którego zdobyciu zupełnie mu nie zależało, czy o rozkazy Zgromadzenia, które samo nie stanęło do walki. Prawda była taka, że jeśli zamierzali dziś się wycofać, to nie będą mieli szans na zdobycie pałacu, a co za tym idzie Idrian nie zdoła wykraść szkła błysku dla Demira.

Gromiciel i Mika nie byli jedynymi, którzy zaczęli głośno wyrażać swoje zdanie. Po sali zaczęły krążyć przekleństwa. Jedni wykrzykiwali pytania i żądania, oplakując jednocześnie żołnierzy poległych w ciągu ostatnich kilku dni, najwyraźniej na darmo. Drudzy kwestionowali zasadność nowych rozkazów, domagając się wyjaśnień, jakim cudem Zgromadzenie mogło być tak bezmyślne, że pozwoliło Grentowi przebić swą ofertę w walce o tak dużą i znaną kompanię najemników.

Stojący obok Idriana Tadeas był wyjątkowo milczący. Zerknął ukradkiem na Gromiciela i pokręcił głową.

– No co? – zapytał gniewnie Idrian. Było mu gorąco, a lewe oko zaczęło niespodziewanie drżeć. Gdzieś z tyłu sali usłyszał dziecięcy śmiech.

Upłynęło pięć minut, nim w pomieszczeniu przywrócono porządek, a generał Stavri stał przed nimi cały czerwony na twarzy. Gdy ucichło na tyle, żeby mogli go wysłuchać, odezwał się ponownie:

– Musimy za wszelką cenę chronić Ossę! Staniemy do walki z Kerite na Miedzianych Wzgórzach. Grenckie wojska stacjonujące

w mieście z pewnością podążą za nami, gdy będziemy się wycofywać, dlatego rozkazy dotyczące odwrotu zostaną dokładnie zaplanowane dla każdego z batalionów i muszą być wykonane co do joty. Poczekajcie na swoje rozkazy na zewnątrz. Rozejść się!

Sala wyrzygała z siebie tłum – stu wściekłych oficerów klnących pod nosem. Niektórzy z nich krzyczeli do Stavriego jeszcze długo po tym, jak generał ulotnił się tylnymi drzwiami.

Idrian podążył za Tadeasem i Miką przez tłum ludzi, przekraczając ulicę i udając się do zacisznego miejsca w parku na wzgórzu, gdzie Tadeas zatrzymał się, by wyjąć woreczek z tytoniem i fajkę. Nabił ją w milczeniu, a jego spokój był niemal tak samo denerwujący jak ogłoszenie generała Stavriego. Idrian rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby uderzyć. Gdy nie znalazł nic odpowiedniego, usiadł na wzgórzu i chwycił się obiema rękami trawy, jakby w każdej chwili mógł sturlać się z tego świata.

Mika usiadła obok niego, a Tadeas stanął naprzeciw, zapalając fajkę.

– Postępują właściwie – oświadczył.

Idrian spojrział gniewnie na przyjaciela.

– Nie – odpowiedział, unosząc ostrzegawczo palec. Nie miał nastroju na przekomarzania.

– A właśnie że tak – upierał się Tadeas, kontynuując: – Nie cieszy mnie to, że w ciągu ostatnich kilku dni straciliśmy tak wielu żołnierzy i inżynierów. Uważam też, że to cholernie głupie, że musimy oddać tereny, które udało nam się zdobyć, wylewając z siebie pot i krew, ale jeśli Smoki Kerite mają nas zaatakować, to musimy się wycofać i stawić im czoła. Jeśli tego nie zrobimy, ona po prostu nas ominie i doszczętnie spali Ossę. Mimo wszystko jesteśmy Legią Cudzoziemską.

– A niech atakuje – prychnęła Mika. – Odbije się od naszych linii obronnych.

– Masz na myśli twierdze pierścieniowe wokół Ossy? – Tadeas pokręcił głową. – Grałem kiedyś w karty z jednym z dowódców takiego miejsca. Od stu lat nie były modernizowane. Mają za mało ludzi, za mało broni i są zbyt zniszczone.

To miało sens. Oczywiście, że miało to sens. Idrian nie zaprzętał już sobie głowy rezygnacją z tego, co udało im się osiągnąć

na ulicach Grentu. Wściekle zastanawiał się nad innymi sposobami na zdobycie szkła błysku. Przysiękł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc Demirowi, w zamian za możliwość skorzystania z portalu feniksa. I jeśli tego nie zrobi, to powoli i boleśnie będzie się staczał w odmęty obłądu.

O ile w ogóle przeżyje wojnę.

Podczas gdy on kipiał ze złości, Tadeas i Mika wpatrywali się w niego. W końcu Gromiciel odwzajemnił się im gniewnym spojrzeniem.

– Co?

– Coś jest z tobą nie tak – stwierdziła Mika, a Tadeas zgodził się, kiwając głową.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekł Idrian. Nawet dla niego brzmiało to niezbyt przekonująco. Buzująca wściekłość zdawała się uchodzić z niego niczym powietrze z nadmuchanego balonu, ustępując miejsca chłodnej niepewności. Nie miał pojęcia, co robić, a to przerażało go bardziej niż samotna walka z baterią artyleryjską.

– Chodzi jej o to – zaczął Tadeas, zaciągając się fajką – że odkąd wczorajszego ranka przerwaliśmy szturm na pałac, zachowujesz się jak opętany. Saperzy ledwo za tobą nadążali. Nie widziałem cię w takim stanie od czasu naszej drugiej wyprawy do Marn.

Idrian przyjrzał im się uważnie. Jakiej wymówki mógłby użyć? Spędził z nimi przeszło dwadzieścia lat. Znali go na wylot. Wiedzieli, dlaczego to oko było dla niego tak ważne.

– Powiesz nam, co się z tobą dzieje? – spytał Tadeas. – A może wyjaśnisz, dlaczego od czasu otrzymania wiadomości od mojego siostrzeńca zachowujesz się jakoś dziwnie?

Idrian przygryzł wewnętrzną stronę policzka. Nie mógł zdradzić sekretu Demira, nawet jeśli chciał. Ta tajemnica – dotycząca kończących się zasobów żaropiachu – była zbyt przerażająca, by mogła przejść mu przez gardło.

Chwilową ulgę zapewniło mu przybycie posłańca wysłanego przez generała Stavriego.

– Major Grappo? – zapytał chłopak, podając kopertę Tadeasowi.

Tadeas odebrał list, złamał generalską pieczęć i odczytał treść wiadomości.

– Mamy wycofać się z Grentu z samego rana. Zielone Mundury będą nas osłaniać. Potem mamy zameldować się na Miedzianych Wzgórzach, aby pomóc w przygotowaniach do starcia z Kerite – powiedział.

Idrian wycofał się do wnętrza swej głowy, starając się zachować spokój i zebrać myśli. Zostało mu osiemnaście godzin do odwrotu. Czy może coś z tym zrobić? Niby tak, ale byłoby to dość ryzykowne. Potrzebowałby pomocy. Ile mógł zdradzić, nie łamiąc obietnicy złożonej Demirowi? Czy ma w ogóle jakiś wybór?

– Demir zlecił mi tajną misję – wyszeptał.

Jeśli na chwilę stracił zainteresowanie swych towarzyszy, to teraz momentalnie je odzyskał. Mika się roześmiała, a Tadeas jęknął.

– A niech to szkło – rzucił Tadeas. – Dlaczego mnie to nie dziwi. Zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– Nie. Woląłem tego uniknąć.

– Więc dlaczego mówisz nam to teraz?

Mika znów się roześmiała.

– Chodzi o pałac, prawda? Od wczoraj nie przestawałeś gadać o jego zdobyciu.

– No tak – przyznał wolno Tadeas. – Mika ma rację. Tu nie chodzi wyłącznie o odcięcie Grentu od ich siedziby i zmuszenie wojska do poddania się. Na co Demirowi dostęp do książęcego pałacu?

Idrian spojrzął na przyjaciół, czując, że przyparli go do muru. Nie było to szczególnie przyjemne, ale wykorzystał ten moment defensywy, aby zebrać siły.

– Obiecałem, że ukradnę szkło błysku z prywatnej kolekcji księcia Grentu – odparł.

Zapadła długa cisza, którą ostatecznie przerwała Mika.

– Powiesz nam coś więcej?

– Nie. I tak zdradziłem zbyt wiele.

Tadeas powstrzymał gestem Mikę od zadawania kolejnych pytań i w zamyśleniu zmarszczył czoło. Idrian niemal widział, jak ten układa sobie w głowie poszczególne elementy układanki. Może i nie był Demirem, lecz nadal należał do Grappów. Zbyt sprytny dla

własnego dobra, ale na szczęście dość mądry, by nie werbalizować swych przypuszczeń.

– W porządku – rzekł w końcu Tadeas. – W takim razie co się zmieniło?

– Dzisiejszy wieczór jest moją ostatnią szansą na jego zdobycie. I tak zauważycie moją nieobecność, więc równie dobrze mogę skorzystać z waszej pomocy.

– Twoją nieobecność? – powtórzyła Mika. Na twarz wystąpił jej grymas zrozumienia. – O szklorwa, zamierzasz tam pójść?

Idrian przytaknął. Nie było innej opcji. Fakt, że rozkazano im odwrót jutrzejszego ranka, a nie dzisiejszego wieczoru, był niczym przeklęty dar z niebios. Jeśli z niego nie skorzysta, nigdy sobie nie wybaczy.

– Ach, to dlatego – zaczął Tadeas z uśmiechem – poprosiłeś Valienta, by znalazł ci jakiś kozuch.

– Zgadza się.

Tadeas zaczął przechadzać się tam i z powrotem, żując gwałtownie trzonek fajki. Idrian czekał cierpliwie na upomnienie, karę bądź bezpośredni rozkaz ustąpienia ze służby. Zastanawiał się, czy da radę się im sprzeciwić. Przez lata ich przyjaźni pokłócili się zaledwie kilka razy, z czego to Tadeas zawsze wygrywał te potyczki.

Grappo zatrzymał się nagle i odwrócił, by stanąć twarzą w twarz z Gromicielem.

– Czego potrzebujesz?

Idrian zdążył stworzyć w głowie zaledwie zarys planu, biorąc pod uwagę fakt, że dopiero co otrzymali sprecyzowane rozkazy. Uniósł dłoń, prosząc Tadeasa o chwilę do namysłu, po czym powiedział:

– Nie mogę iść tam w zbroi. Jest zbyt hałaśliwa. Dlatego będę potrzebował cholernie dużo szkła mocy. Worek granatów. Rysunki techniczne pałacu i raporty szpiegowskie dotyczące linii wroga.

– Mika? – zapytał Tadeas.

– Bez problemu ogarnę ci granaty, a Valient ma chyba trochę szkła mocy w zanadrzu, tylko takiego średniej jakości, z tego co wiem.

– Co do reszty, to wydaje mi się, że dam sobie radę – oznajmił Tadeas. – Zielone Mundury wiszą nam przysługę w związku z twoim

wczorajszym manewrem, a ich dowódcą jest siostra szpiega pracującego dla Stavrich. Z pewnością będą zadawać niewygodne pytania. Co mam im powiedzieć?

– Żeby pilnowali swoich szkodliwych spraw – prychnął Idrian.

– Postaram się jakoś ładniej ubrać to w słowa.

Idrian odetchnął niepewnie. Nie zdawali sobie sprawy, jak ważna była dla niego ta misja. Bez szkła błysku nie miał szansy na dobiecie targu z Demirem. A bez tego czekało go ciągle pograżanie się w obłądnie, bez szans na jakąkolwiek poprawę. Mógł wyobrazić sobie, jak wymachuje mieczem do wyimaginowanych wrogów. Już chciał podziękować, ale Tadeas powstrzymał go kiwnięciem głowy.

– Ani słowa – rzucił. – Jeśli sztab Stavriego się o tym dowie, mogą nas obu postawić przed sądem wojskowym. Możesz mieć pewność, że kiedy to wszystko się skończy, zamienię słowo z moim siostrzeńcem.



ROZDZIAŁ 20

A bażurowa Promenada była ogromną drewnianą konstrukcją wbijającą się w rzekę Tien od północno-wschodniej części Ossy. Podobnie jak na ulicy Chwały, tu również mieszały się kasty mieszkańców stolicy; ubodzy sprzedawcy ryb wystawiali towary zaledwie kilka metrów od witryn ekskluzywnych sklepów jubilerskich, a podrzędny bar dla marynarzy podnajmował pokoje w drogich hotelach dla przyjezdnych kupców. Na promenadzie panowała atmosfera wiecznego karnawału i w przeciwieństwie do ulicy Chwały było to miejsce przyjazne rodzinom; latem zamykano lokale po zmroku, zimą zaś około dwudziestej pierwszej.

Kizzie pojawiła się na miejscu spotkania dwie godziny przed czasem. Spacerowała po okolicy, przechadzając się obok zamkniętych sklepów i restauracji gaszących już latarnie gazowe na tarasach. Przyglądała się wszystkim i wszystkiemu, szukając kryjówek, wypatrując zasadzek. Woląa przygotować się na każdy podstęp, jaki mogła jej zgotować Glissandi. Używając magii, zarzuciła mentalną sieć w poszukiwaniu wrogich tancerzy szkła, na

wypadek gdyby Glissandi dysponowała aż tak dobrymi znajomościami. Nikogo jednak nie wychwyciła.

Dochodziła dwudziesta druga, gdy przełożyła marynarkę na lewą stronę, zastępując jaskrawe hafty nierzucającą się w oczy szarością. Wyciągnęła karmazynowe pióro z filcowego kapelusza, naciągając go głębiej z jednej strony i zakrywając chustą usta.

Pubu Palmora, jako jednego z niewielu miejsc, nie zamykano po zmroku. Zbierali się tam robotnicy, kucharze, kelnerzy oraz sprzedawcy, pijący po tym, jak klienci opuścili już ich lokale i udali się do domów. Kizzie przeszła pół przecznicy, weszła na drugie piętro promenady i ustawiła się obok grubego drewnianego pylonu, aby obserwować pub.

Ku jej zaskoczeniu Glissandi przybyła dokładnie o dwudziestej drugiej. Szkarłatna marynarka kobiety, założona na czarną tunikę, miała zapewne prezentować się pospolicie, ale i tak sprawiała wrażenie bardzo drogiej i nadawała jej wygląd osoby, która zgubiła się w okolicy, wychodząc od jubilera. Magna zmarszczyła brwi, rozglądając się dookoła i ściskając coś ciężkiego pod pazuchą.

Czy to był pistolet? Nie, było to coś większego. Może kilka pistoletów?

Kizzie wyciągnęła z kieszeni kolczyki i włożyła je do dziurek w płatkach obu uszu. Szkło rozumu przyspieszyło bieg jej myśli, mięśnie natychmiast zareagowały na szkło mocy, ale to szkło zmysłów okazało się w tym momencie najbardziej potrzebne. Cały świat wypełnił się życiem. Wyostrzyły się jej wzrok i słuch. Wydobywający się z rzeki rybi zapach stał się niemal obezwładniający. Dała sobie chwilę na oswojenie się ze zmianami, a następnie wykorzystwała swój punkt obserwacyjny, żeby zbadać okolicę. Nigdzie nie było widać ochroniarzy Glissandi ani żadnych śladów jakiegokolwiek zasadzki. Czyżby tak dobrze się ukrywali? A może ta wiadomość tak bardzo ją przeraziła, że postanowiła przyjść w pojedynkę?

Kizzie włożyła ręce do kieszeni, w lewą złapała metalową pałkę i przeszła okrężną drogą, kierując się w dół, tak aby zbliżyć się do pubu od drugiej strony. Chwilę później znalazła się obok Glissandi.

– Chodź ze mną – powiedziała niskim głosem.

Nozdrza Glissandi się rozszerzyły.

– Ta wiadomość była od ciebie? – zażądała wyjaśnień.

– Chodźmy tam – odpowiedziała Kizzie, kiwając głową w kierunku zaciemnionej części promenady. Spodziewała się, że Glissandi odmówi, ta jednak tylko westchnęła i ruszyła za Kizzie. Gdy oddaliły się już trochę od zgiełku dochodzącego z Palmory, Glissandi odchrząknęła.

– Kim jesteś? – spytała.

– Nikim ważnym.

– To może się zmienić, jeśli ta sprawa przeciągnie się w czasie.

Kizzie zatrzymała się i odwróciła w stronę Glissandi. Znajdowały się poza zasięgiem słuchu przechodniów.

– Co to ma niby znaczyć? – rzuciła.

Z bliska Glissandi wyglądała starzej i poważniej. W kącikach oczu miała kurze łapki, a na twarzy kilka wyprysków ukrytych pod grubą warstwą makijażu.

– Chodzi mi o to – zaczęła, a jej głos ociekał arogancją osoby wielokrotnie wykonującej podobne akcje – że mam tu czterdzieści tysięcy ozzo. – Powoli wyciągnęła skórzaną saszetkę spod marynarki i rzuciła ją na ziemię pomiędzy nimi. – Przyjmij te pieniądze i zabierz do grobu rzekomo posiadane informacje. Nie chcę się już z tobą spotykać ani kontaktować.

Cała ta sytuacja trochę rozbawiła Kizzie. Zerknęła ponad ramieniem Glissandi w kierunku Palmory, gdzie wybuchła bójka między dwoma marynarzami.

– Chyba źle odczytałaś moje intencje – odparła.

Glissandi zacisnęła zęby.

– Złożyłam ci ofertę niepodlegającą negocjacom. Podnieś tę torbę i ciesz się, że jeszcze żyjesz.

Kizzie rzuciła okiem na najbliższe dachy. Snajperzy na promenadzie? Nawet Glissandi nie odważyłaby się na coś tak śmiałego. Gdyby tylko rozległy się strzały, w ciągu minuty zaroiłoby się tu od gwardzistów. Nóż był o wiele lepszą opcją w tym miejscu niż broń palna.

– Nie chcę twoich pieniędzy – oznajmiła. – Chcę wiedzieć, dlaczego zabiłaś Adrianę Grappo.

– Aha. – Zachowanie Glissandi znacznie się ochłodziło. W jej oczach pojawił się błysk, którego nie było tam wcześniej. Czy to gniew? A może strach? Kizzie dostrzegła, że zaskoczyła Magnę, która najwyraźniej potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Nagle kobieta potarła wściekle nos. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. A zaraz przytrzymasz kawałek szkła dyscypliny i odpowiesz na moje pytania – odrzekła Kizzie.

– Kto cię wysłał? – dociekała zestresowana Glissandi. – Gwardia Zgromadzenia? Gwardia Narodowa? Prywatna firma detektywistyczna? Kto? – Głos się jej łamał. – Sprawa została umorzona. Umorzona, rozumiesz!?

– Pracuję dla prywatnej firmy detektywistycznej – skłamała Kizzie. – Zapytam ponownie: dlaczego zabiłaś Adrianę Grappo? – Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej szkło dyscypliny, zamierzając wcisnąć je w jedną z dziurek w uchu Glissandi. Zauważyła, że kobieta ponownie pociera wściekle nos, a jej oczy stają się nieco bardziej rozbiegane; gorączkowo rozglądała się to w jedną, to w drugą stronę.

Wtedy Kizzie zdała sobie sprawę, że Magny nic nie swędziało. To był znak.

Chwilę później usłyszała stukot czyichś butów na promenadzie. Odwróciła się w momencie, gdy z ciemności wyłoniły się dwa masywne kształty. Chwyciła Glissandi i pociągnęła ją niczym tarczę, odgradzając się od napastników. Jeden z mężczyzn zamachnął się pałką, ale zamarł w pół ruchu. Zaklął i popędził do przodu. Nie zdążywszy wyhamować, wpadł na Glissandi oraz znajdującą się tuż za nią Kizzie.

Egzekutorka potknęła się, ledwo utrzymując się na nogach pod ciężarem upadających na nią ciał. Dzięki magii szkła zmysłów w kolczykach widziała na tyle dobrze, by stwierdzić, że atakującymi jest para wielkich Purnijczyków, bez wątplenia ochroniarzy Magny, przed którymi ostrzegła ją Veterixi. Drugi z mężczyzn z zaskakującą zręcznością przeskoczył przez swą szefową oraz towarzysza leżących na ziemi i z impetem rzucił się na Kizzie, wymachując krótką pałką. Egzekutorka uchyliła się przed jednym ciosem, drugi ominęła łukiem, wycofując się ku Palmorze.

Jej przeciwnik był o ponad sześć cali wyższy i dwadzieścia pięć kilogramów cięższy od niej. Miał około trzydziestu lat, mały kolczyk ze szkłem mocy w uchu i szeroką, obitą twarz, jakby w dzieciństwie oberwał kowadłem. Szklą boże nie zawsze wyrównywały szanse, często jedynie wzmacniały cechy noszącej je osoby. Dlatego też, nawet jeśli jakość szkła mocy Kizzie była lepsza, i tak ten wielki brutal był od niej prawdopodobnie o wiele silniejszy. Nie mogła dać mu się złapać. Do tego na szczęście nie potrzebowała siły. Do zachowania równowagi wystarczył ostry nóż.

Nie zawracała sobie głowy magią, wiedziała, że nie jest na tyle dobra, by zdołać manipulować szkłem w tak szybko zmieniających się okolicznościach. Zamiast tego wyciągnęła sztylet, przemykając się i odskakując w poszukiwaniu okazji, którą mogłaby wykorzystać, zanim pierwszy z ochroniarzy włączy się do walki. Miała na to niewiele czasu, więc gdy tylko jej przeciwnik zamachnął się odrobinę za mocno, Kizzie uchyliła się przed ciosem i walnęła go metalową pałką w łokieć.

Jęknął z bólu, a egzekutorka Vorcien wkroczyła do akcji. Poczowała, jak jego ręka łapie za klapę jej marynarki, więc wbiła mu nóż między żebra. Następnie wyszarpnęła go z ciała mężczyzny i dźgnęła ponownie, a potem odepchnęła od siebie, gdy zabrakło mu powietrza, zaś płuca zaczęły wypełniać się krwią.

Glissandi wstała z ziemi, chwyciła za skórzaną saszetkę z pieniędzmi i ruszyła biegiem w dół promenady, w kierunku zatłoczonego pubu Palmora. Kizzie upewniła się, że chustka nadal zakrywa jej twarz, co zabrało kilka cennych sekund, które naleźycie wykorzystał pierwszy z ochroniarzy, stając na nogi i zmniejszając dzielący ich dystans.

Ledwo co udało jej się wbić nóż pomiędzy jego pałkę a swoją twarz. Wymiana ciosów była bardzo chaotyczna, a jej ręka natychmiast zdrętwiała od siły jego uderzenia. Odskokzyła na bok i potknęła się, robiąc unik przed kolejnym ciosem. Poderwała się z powrotem na nogi, ale zbyt wolno, bo ochroniarz zdążył chwycić ją mocno za nadgarstek ręki, w której trzymała nóż. Uniósł pałkę, aby uderzyć ją w bok głowy.

Zanim zdążył zadać cios, Kizzie dzieliła go metalową pałką w czoło. Zachwiał się, a z oczu nagle popłynęły mu łzy. Starła się

wyrwać z jego uścisku, ale jej się to nie udało, więc walnęła go jeszcze kilkukrotnie – raz w skroń, a następnie w krtań.

Zatoczył się do tyłu, krztusząc się i opuszczając broń, by złapać się obiema rękami za szyję. Kizzie udało się w końcu wyswobodzić dłoń z nożem i wbić go mężczyźnie nad mostkiem.

Sekundę później biegła już za Glissandi, a znajdujący się za nią ochroniarz upadł na ziemię.

– Hej! – krzyknął do niej jeden z marynarzy stojących przed pubem, gdy zbliżała się w jego kierunku. – Zwolnij!

Kizzie spojrzała na trzymany w rękę zakrwawiony sztylet, rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Glissandi i rzuciła do mężczyzny:

– Ta suka i jej znajomi na mnie napadli! Ukradła mi torbę!

W biały dzień wymówka ta nigdy by nie przeszła, ale marynarze stojący przed lokalem byli już wystarczająco pijani, żeby uznać to za prawdę – przynajmniej na tyle, aby jeden z nich machnął jej ręką w lewo. Kizzie nie dała im szansy na jakiegokolwiek wątpliwości. Ruszyła sprintem we wskazanym kierunku, wspinając się po schodach na drugi poziom promenady.

Było tam ciemno, paliły się tylko nieliczne latarnie, a po drugiej stronie rzeki połyskiwały lampy oświetlające Osse. Kizzie zatrzymała się na tyle długo, by zaczerpnąć głęboko powietrza i zachować je na chwilę w płucach. W uszach szumiało jej od krwi gwałtownie krążącej w ciele, ale wychwyciła też inny dźwięk. Słyszała, jak ktoś biegnie po drewnianej promenadzie, po drugiej stronie zaciemnionych okien najbliższej restauracji. Szkoło rozumu pomogło jej ocenić prędkość i odległość, dzięki czemu mogła pognać, by odciąć Glissandi drogę ucieczki. Biegła, lekko stawiając stopy, poświęcając prędkość na rzecz możliwie jak największej ostrożności. Minęła wąską uliczkę, później kolejną, a w następnej skręciła w prawo.

Wyłoniła się tuż za ciemną postacią trzymającą w rękę torbę. Kizzie dostrzegła błysk miejskich świateł odbijający się w oczach Glissandi, gdy ta obejrzała się przez ramię, a potem Magna potknęła się i upadła prosto na twarz. Kizzie musiała chwycić się pylonu, żeby nie wbiec z impetem w tę przeklętą kobietę. Egzekutorka trzymała w jednej dłoni sztylet, drugą schowała pałkę do kieszeni i złapała

Glissandi za tył marynarki. Postawiła ją na nogi i popchnęła na ścianę.

Odrzucając saszetkę z pieniędzmi, Kizzie wykorzystała nieuwagę kobiety, aby ją przeszukać. Nie miała noża ani pistoletu. Cholernie arogancka członkini rodzinnej gildii sądziła, że uda jej się wykupić od oskarżeń o morderstwo, a jeśli to nie zadziała, jej dwaj ochroniarze wezmą sprawę w swoje ręce.

– Tylko się rusz, a zaserwuję ci krwawy uśmiech – zagroziła Kizzie, przytykając sztylet do szyi Glissandi.

Opanowanie i arogancja momentalnie z niej uleciały. Ze strachem wpatrywała się w egzekutorkę, ciężko oddychając. Kizzie przesunęła wolną ręką po uszach Glissandi, wyczuwając maleńki kolczyk ze szkłem mocy i drugi ze szkłem zmysłów, oba dość niskiej jakości.

– Czego chcesz? – domagała się wyjaśnień Glissandi w przerwach między kolejnymi oddechami.

– Już to ustaliłyśmy. Chcę odpowiedzi.

– Nie. Dam ci pieniądze. Podwoję stawkę. Tylko to mogę zaoferować.

– Możesz mi zaoferować o wiele więcej. – Kizzie sięgnęła do kieszeni po szkło dyscypliny. Jednym szybkim ruchem wcisnęła je w płatek prawego ucha Glissandi. Ramiona kobiety natychmiast opadły, a całe ciało się rozluźniło. Twarz przybrała zrezygnowany wyraz, ale w oczach nadal czaił się strach.

– Nie rób tego – wysyczała cicho.

Kizzie nie potrafiła jej współczuć. Chwilę wcześniej została zmuszona do zabicia dwóch ochroniarzy z powodu jednego pytania. Nie domagała się pieniędzy ani dowodów, pragnęła jedynie odpowiedzi. Tak czy inaczej, miała zamiar ją uzyskać.

– Powiedz prawdę – przemówiła. – Pomogłaś w morderstwie Adriany Grappo?

Glissandi zadrzała gwałtownie, zupełnie jak Churian Dorlani. Otworzyła usta, z których wydobył się cichy dźwięk, a następnie ledwie słyszalny pisk. W końcu udało jej się wykszusić:

– Tak.

– Dlaczego?

Prawe oko Glissandi drgnęło. Przez moment Kizzie sądziła, że kobieta dostanie ataku padaczki, ale ostatecznie wypluła tylko jedno słowo:

– Rozkazy.

– Od kogo? – Kizzie odczekała kilka sekund i potrząsnęła Glissandi. – Od kogo? – ponownie zażądała odpowiedzi. – Kto chciał jej śmierci? Kim byli inni zabójcy? Dlaczego ją zabili?

Glissandi wydała z siebie głośny skowyt. Dziwnie poruszyła szczęką i dopiero po jakimś czasie Kizzie zorientowała się, że z kącika ust kobiety coś wycieka. Egzekutorka cofnęła się z przerażeniem. Glissandi uśmiechnęła się, a z ust wypłynęła jej ciemna ciecz. Mamrotała coś triumfalnie.

Nie było wątpliwości, że odgryzła sobie język.

– Co to, szkłorwa... – zaczęła Kizzie, lecz nie zdążyła dokończyć. Glissandi rzuciła się nagle na trzymane przez egzekutorkę ostrze, nadziewając się na nie z zaskakującą siłą. Upadając na ziemię, wydała z siebie bulgoczący śmiech. Kizzie wiedziała już, że nigdy nie zapomni tego dźwięku.

Z otwartymi ustami wpatrywała się w leżące u jej stóp ciało, nie mogąc pojąć, co właściwie się stało. Nagle zrobiło jej się bardzo, bardzo zimno. Jaki człowiek wołał odebrać sobie życie, niż zdradzić przełożonego? Kizzie zaschło w ustach, a myśli stały się mętne. Zebrała się w sobie na tyle, by uklęknąć obok zwłok i sprawdzić, czy Glissandi nie ma dodatkowych szkieł bożych albo portfela. Chwyciła skórzaną saszetkę. Nie miała jak pozbyć się ciała, więc uznała, że lepiej, by wyglądało to na rabunek, który wymknął się spod kontroli.

Nie mogła przestać kląć pod nosem, bolała ją ręka, a w żyłach wrzała krew. Musiała jak najszybciej się stamtąd ulotnić.

Wysuwając szkło dyscypliny z ucha Glissandi, dostrzegła w jej oczach odrobinę życia. Jej gałki poruszały się lekko, wpatrując się intensywnie w przestrzeń za Kizzie. Egzekutorka odwróciła się powoli.

W ciemności, poza zasięgiem jej wzmocnionego przez magię wzroku, stała jakaś postać. Budową przypominała mężczyznę, łysego, niewiarygodnie wysokiego i szczupłego. Musiał mieć ponad dwa metry wzrostu. Ujrzała błysk w jego oczach, gdy na nią patrzył, ale nie poruszył się ani się nie odezwał. Tętno Kizzie przyspieszyło

jeszcze bardziej. Zabrała wszystko, co miała przy sobie, i pędem oddaliła się od zwłok Glissandi.

Przy następnej alejce zatrzymała się, żeby obejrzeć się za siebie. Tajemnicza postać pozostała na miejscu, nadal wpatrując się prosto w Kizzie, nie zważając nawet na leżące na ziemi ciało. Kim był ten mężczyzna? Nocnym stróżem? Kolejnym ochroniarzem? Przeklętym szaleńcem z promenady? Kizzie wołała tego nie wiedzieć. Miała już dość konfrontacji jak na jedną noc. Pospiesznie udała się do pubu Palmora, dała nura do środka i wydostała się przez właz serwisowy pod barem. Skradając się pod promenadą, usłyszała nad sobą ciężkie kroki.

W pewnym momencie kroki ustały, a między szczelinami zobaczyła mężczyznę o jasnej skórze wpatrującego się w Palmorę. Bez wątpienia była to ta sama wysoka postać. Nie zbliżył się, ale westchnął ciężko, odwrócił się i odszedł z powrotem w kierunku zwłok Glissandi. Kizzie odczekała chwilę, aż jego kroki zupełnie ucichły, po czym wspięła się na drabinę i wróciła na promenadę.

Nigdy nie zdarzyło jej się uciekać do domu ze strachu. Tym razem też nie zamierzała tego robić, lecz coś zmuszało ją do przyspieszenia kroku, znalezienia powozu, zapłacenia woźnicy i pognania do mieszkania. Potężna członkini rodzinnej gildii wołała popełnić samobójstwo niż przyznać, kto rozkazał jej zabić Adrianę Grappo, a umierając, wbiła wzrok w wysokiego mężczyznę stojącego w cieniu.

Coś przerażającego działo się w Ossie. Imperium gniło od środka i to o wiele szybciej niż zazwyczaj.



Około drugiej nad ranem Idrian opuścił względnie bezpieczną linię frontu ossańskiego wojska. Narzucił pelerynę, ukrywając pod nią cywilne ubranie, i zakrył szklane oko prowizoryczną, materiałową przepaską. Przy pasku zwisał mu woreczek z granatami Miki, majtając niebezpiecznie blisko krocza, choć gdyby tylko któryś z nich przypadkowo wybuchł, nie miałyby to już żadnego znaczenia. Miał przy sobie szkło zmysłów, dzięki któremu dobrze widział w ciemności, oraz wystarczająco dużo szkła mocy, sprawiającego, że jego ciało dosłownie szumiało od magii. Każdy jego krok wydawał się niezwykle lekki, jakby praktycznie nic nie ważył.

Noc była wyjątkowo mroźna, w Ossie nigdy nie doświadczył takiego chłodu. Mógł nawet dostrzec parę ulatującą z ust ossańskich wartowników, gdy przemykał obok nich w mroku. Szedł niemalże bezgłośnie. Nikt nawet nie spojrzał w jego stronę, za co był ogromnie wdzięczny.

W dużej mierze to dzięki Stalowym Taranom ossańska Legia Cudzoziemska kontrolowała prawie całą bogatą dzielnicę kamienic,

zlokalizowaną u podnóży pałacowego wzgórza. Tuż za nią znajdował się zalesiony park, ziemia niczyja oddzielająca wrogie armie, a następnie szereg barykad i okopów, ciągnących się prawie kilometr. Na wzgórzu obozowało około dwóch tysięcy żołnierzy, z których wielu czuwało w razie ewentualnego nocnego ataku. Było tam też co najmniej sześć baterii artyleryjskich, ale jak dotąd Grent nie zdecydował się na ostrzeliwanie własnych kamienic.

Z miejsca pod parkowym drzewem Idrian mógł dostrzec grenckie wojska, oświetlone ustawionymi w równych odstępach pochodniami. Bezpośrednio przed nim leżał pierwszy rząd worków z piaskiem, a nad nimi widać było oczy żołnierzy stojących na warcie. Ów widok nie zachęcał do ataku i gdyby Idrian miał za sobą całą brygadę, z pewnością rozważyłby zasadność dalszego działania. W pojedynkę było to wręcz przerażające. Za jedyne plus obecnej sytuacji mógł uznać to, że Tadeas dotarł do raportów szpiegowskich, z których jasno wynikało, iż rodzina księcia opuściła pałac – udając się w bezpieczne miejsce na Szklanych Wyspach – i służy on obecnie jako koszary dla grenckich oficerów. A to oznaczało, że będzie musiał stawić czoła żołnierzom, a nie tuzinowi Gromicieli, należących do osobistych ochroniarzy księcia.

Idrian skradał się, uważnie podbiegając od drzewa do drzewa, przemierzając park równoległe do grenckiej linii obrony, aż dotarł do szemrzącego strumyka. Tam skręcił w wąski wąwóz prowadzący w górę wzgórza, aż do niewielkiego źródła tuż pod pałacem. Był to jedyne fragment wzniesienia przebiegający bezpośrednio przez środek grenckiej obrony.

Idrian miał pięćdziesiąt procent szans, że na szczycie wąwozu nie stoi strażnik chroniący przed tego typu akcjami. Dlaczego niby miałoby tam nikogo nie być? Z drugiej jednak strony kto byłby na tyle szalony, by odważyć się samemu zakraść do grenckiego garnizonu?

Zaryzykował i ruszył powoli w górę, delikatnie stawiając stopy, aby nie stracić nawet najmniejszego kamyczka. Każdy ruch był mozolny, a oddziałujące na jego ciało szkło mocy zdawało się protestować przeciwko niewykorzystywaniu pełnego potencjału magii. Gromiciel odetchnął głęboko, przypominając sobie, jak

w dzieciństwie w podobny sposób wspinał się na wyżyny Marn, polując na górskie koty.

Co prawda było to trzydzieści lat temu, ale...

Dziesięć metrów. Pięćdziesiąt. Sto. W miarę jak posuwał się naprzód, wąwóz stawał się coraz głębszy i szerszy, a on nieustannie obserwował jego brzegi w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów wartowników. Docierały do niego rozmowy, dolatywał zapach papierosowego dymu. Chociaż miał ze sobą naręcze szkła mocy, bez zbroi czuł się nagi. Był też niebezpiecznie odsłonięty, a ujawnienie jego pozycji groziło niemalże natychmiastową śmiercią. Na szczęście wąwóz okazał się niestrzeżony.

Dotarł już prawie pod sam pałac, rzut kamieniem od niego, gdy odgłos czyjegoś śmiechu wbił go w ziemię. Przykucnął i zamarł, spoglądając w górę i wypatrując ruchu. Chwilę później wyrosły przed nim dwa cienie. Wystarczyłoby sięgnąć i mógłby złapać te osoby za kostki. Zatrzymały się na samym skraju wąwozu, oświetlone przez pobliskie pochodnie.

– A niech to szkło – powiedział jeden z nich. – Przysięgam, że już nigdy więcej tego nie tknę. W ogóle nie czuję się wstawiony, a cały czas cholernie chce mi się sikać. – Jakby dla podkreślenia swoich słów trysnął strumieniem, rozbryzgując mocz na kamieniu tuż przed Idrianem. Gromiciel przełknął ogarniające go obrzydzenie i nie ruszył się z miejsca.

– Jak sobie chcesz – zachichotał drugi. – Mnie tam ciągle mało. Hej, a słyszałeś tę plotkę, że Ossańczycy się wycofują? – Kolejny strumień moczu dołączył do pierwszego.

– Nie. A co się dzieje?

– Podobno kilka batalionów wycofało się tuż po zmroku, następne mają do nich dołączyć jutrzejszego ranka.

– Ogłosili zawieszenie broni?

– No co ty, przenoszą wojska, by stanąć do walki ze Smokami Kerite.

– Dzięki szkłu za Smoki. Książę pewnie wydał na nich fortunę. – Charknął. – Jutro będziemy musieli przejść do ofensywy. A to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, wiedząc, że Stalowi siedzą nam na ogonie.

– Co ty nie powiesz. A słyszałeś, co zrobili z Dwieście Siedemdziesiątymi Pierwszymi? Dosłownie pocięli ich na wstążki. Taran zeskoczył z czteropiętrowego budynku i wylądował na ich tancerzu szkła!

– Bujasz.

– Moja kuzynka służy w batalionie, który ich wspierał. Powiedziała, że była to najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała, a na dodatek jeden z tych przeklętych granatów oderwał jej rękę.

Pierwszy z nich parsknął. Do tego czasu oba strumienie moczu ustały i mężczyźni oddalili się od wąwozu, kontynuując rozmowę. Idrian odetchnął z ulgą, w końcu zostając sam. Mimo świadomości, że zaledwie jeden dźwięk mógłby pozbawić go życia, niemal wybuchnął śmiechem, wiedząc, że to o nim dyskutowało tych dwóch Grentczyków. Byłby to cholernie zabawny powód utraty życia.

Wspiął się na pionową ścianę wąwozu i podciągnął nad jej krawędzią, rozglądając się uważnie, zanim przeturlał się po ziemi i pognał do wątpliwej kryjówki będącej jedną z wielkich, ozdobnych, kwadratowych kolumn, ciągnących się wzdłuż fasady pałacu. Pozostał tam tak długo, jak tylko mógł, nasłuchując uważnie, czy nie nadciągają kolejni wartownicy. Przy samym budynku było ich z pewnością znacznie mniej, istniało za to większe prawdopodobieństwo, że dostrzegą go w świetle pochodni.

Idrian próbował rozeznaczyć się w sytuacji panującej wewnątrz pałacu. Garnizon oficerski mógł oznaczać wiele rzeczy: porządek i spokój od zachodu do wschodu słońca albo cholerny festyn z niekończącymi się drinkami i dziwkami tańczącymi na stołach bilardowych księcia. Na szczęście wszystko wskazywało na tę pierwszą opcję. Poza nielicznymi oficerami chadzającymi się odlać, w pałacu panowała względna cisza.

Gdzieś w oddali usłyszał śmiech dziecka. Zignorował go, rozdrażniony.

Odnalazł wejście dla służby i wślizgnął się do środka, ostrożnie stąpając po zacienionym korytarzu. Budynek wydawał się opuszczony. Nie było tam śladu oficerów ani służby. Czy to naprawdę może okazać się tak cholernie proste?

Sam odpowiedział sobie na to pytanie, gdy skręcając w przejścia dla personelu, zgubił się dwukrotnie, aż w końcu znalazł się w foyer. Pomieszczenie to było bardzo dobrze oświetlone, co sprawiło, że musiał przyspieszyć, by nie natknąć się na jakiegoś zbłąkanego posłańca. Popędził ku centralnej części holu, spojrział w górę i zdusił okrzyk frustracji.

Witryna, w której jeszcze kilka miesięcy temu znajdowało się szkło błysku, stała pusta.

Idrian wrócił pospiesznie do ciemnych korytarzy dla służby i zaklął cicho we wszystkich znanych sobie językach. Szkło błysku nie było jedynym brakującym elementem w pałacu. Na ścianach nie było obrazów ani gobelinów, a na stołach brakowało waz. Musieli przenieść gdzieś wszystkie cenne dzieła sztuki, gdy tylko Legia Cudzoziemska podeszła niebezpiecznie blisko. Może nawet stało się to na samym początku wojny. To miało sens.

Wszystko na nic. Będzie musiał wrócić do Demira z pustymi rękami, licząc na to, że ten da mu jeszcze jedną szansę. Oparł się o ścianę, by zaczerpnąć powietrza i nacisnąć na szklane oko w nadziei na pozbycie się uciążliwego bólu głowy, pełnącego przez sam środek jego czaszki. Śmiech dziecka zdawał się zbliżać, jakby dobiegał z sąsiedniego pomieszczenia. Czas wracać.

Albo...

Idrian usłyszał miękkie, miarowe kroki kogoś przemierzającego marmurowe korytarze tuż za rogiem. Powinien zaryzykować? Było to warte jego cholernego życia? Zakradł się, podążając przed siebie z głową zwróconą w stronę dobiegającego dźwięku, aż dotarł do otwartych drzwi prowadzących do jednego z głównych przejść. W porównaniu z oświetlonym foyer panował tam mrok, ale i tak dostrzegł wysoką kobietę w pomarańczowo-białej książęcej szacie, idącą powoli środkiem sali.

Była zwrócona do niego tyłem, z rękami splecionymi za plecami. Nie wyglądała na kogoś wsłuchującego się w otaczające ją odgłosy. Czyżby należała do książęcej służby? A może opiekowała się oficerami rezydującymi w pałacu? Zatrzymała się u podnóża schodów, w połowie zwrócona w kierunku Idriana, rozejrzała się i usiadła na najniższym stopniu. Wyglądała na wyczerpaną, miała

potargane włosy, ale jej strój był nieskazitelnie czysty. Ziewnęła i oparła głowę o poręcz.

Kilka minut później przymknęła oczy.

Pojawiła się okazja, dość ryzykowna, lecz takiej właśnie Idrian potrzebował. Wychylił się z ukrycia i pospiesznie przeszedł przez korytarz. Znalazł się przy niej, zanim zdążyła otworzyć oczy, i przyciągnął ją do siebie, jedną ręką trzymając szyję, a drugą zakrywając usta kobiety. Próbowana krzyczeć, ale dłoń Gromiciela stłumiła jej wrzask.

– Milczenie albo życie – wysyczał Idrian.

Co ciekawe, kobieta nie przestała się drzeć. Miała nerwy ze stali i dzięki temu odkryła bluff Idriana, który tak naprawdę nie zamierzał zabijać wyłącznie dla uzyskania informacji. Mógł jednak porządnie nią potrząsnąć i tak też zrobił.

– Powiedz mi, gdzie to wszystko wywieźli – wyszeptał. – Gobeliny, dzieła sztuki. Przenieśli to do jakiegoś magazynu? Ukryli w mieście czy na wsi? – Służąca spojrzała na niego znad ręki zakrywającej jej usta. Nie próbowała już krzyczeć i widać było, że zmienia taktykę; mogłaby poświęcić życie, gdyby napadł ją zabójca. Ale złodziej? Powoli zabrał dłoń z jej szyi, zachęcając tym kobietę do uznania go za tego drugiego. – Odpowiedz na moje pytania, a przeżyjesz noc.

Spuściła wzrok na jego drugą rękę, którą wolno zsunął z jej ust, był jednak gotowy na ponowne zasłonięcie jej buzi. Po cichu, tonem ociekającym obrzydzeniem, wycedziła:

– Zabrali wszystko na dół, do podziemnego skarbcza, na wypadek ostrzału ossańskiej armii. – Idrian odetchnął z ulgą. To, czego szukał, było tuż pod jego cholernymi stopami. Kobieta wpatrywała się w materiałową przepaskę zakrywającą jego oko. Miał nadzieję, że nie skojarzyła wielkiego bezokiego Marnijczyka z najsłynniejszym ossańskim Gromicielem.

– Zaprowadź mnie tam – zażądał.

Spojrzenie kobiety nie zmieniło się, nie szamotała się też ani nie próbowała uciekać, tylko zaprowadziła go przez korytarze dla personelu z powrotem do miejsca, w którym wszedł do budynku. Wskazała na drzwi pokryte takimi samymi panelami jak otaczające

je ściany. Idrian pchnął je. Otworzyły się ze skrzypnięciem, ukazując ciemne, wąskie schody wiodące w dół.

– Ile jest stamtąd wyjść? – zapytał.

– Z podziemia? Dwa. To i jedno z drugiej strony, prowadzące do stajni w zachodniej części pałacu.

Idrian zastanawiał się nad kolejnym krokiem, wiedząc, że zejście do krypty mogło przypieczętować jego los. Pozostając na górze, miał pewne szanse na ucieczkę i nadzieję, że w razie podniesienia alarmu mrok uniemożliwi strażnikom jego namierzenie. Schodząc do podziemia, nie mógłby liczyć na taki luksus. Wsunął się do wnętrza klatki schodowej, dostrzegł małe płomień lampy gazowej i podkręcił ją, aby oświetlić kamienne mury.

Nie podjął jeszcze decyzji, co zrobi, kiedy ktoś niespodziewanie oświetlił drugi koniec korytarza, jakieś dziesięć metrów od niego. Wyłoniła się stamtąd kolejna postać ubrana w książęce szaty, trzymająca lampion nad głową i intensywnie patrząca w ich kierunku. Stojąca obok niego kobieta krzyknęła, a Idrian nie zdążył jej przed tym powstrzymać.

– Intruz! Intruz! Bij na alarm! Mamy w pałacu wroga!

– Szkołolerna...! – zaklął Idrian, popychając zakładniczkę w stronę jej rodaka. Miał ułamek sekundy, by zdecydować o dalszym działaniu. Przeklął raz jeszcze, dał susa na schody prowadzące do podziemia i zatrzasnął za sobą drzwi. Nie miały nawet zasuwki, więc sięgnął do woreczka z granatami Miki i wyciągnął z niego ten pomalowany na czarno. Był mniej więcej wielkości pięści Gromiciela, licząc ze zbrojną rękawicą, zakończony krótkim łańcuszkiem i zawleczką. Idrian ostrożnie zawiesił granat na wewnętrznej framudze drzwi, tak aby łańcuszek zerwał się, gdy ktoś z impetem je otworzy.

Zastawił pułapkę i zbiegł po schodach.

Podziemny skarbiec był w rzeczywistości jednym wielkim pomieszczeniem, wysokim na sześć metrów i podzielonym rzędem kolumn, zajmujących większą część piwnicy. Pomimo zapalenia kilku latarni nadal nie mógł dostrzec zbyt wiele w panujących tam ciemnościach.

Nie potrzebował jednak dużo światła, aby dostrzec piętrzący się przed nim skarb. Kobieta powiedziała prawdę, znajdowały się tu

wszystkie cenne przedmioty, uprzednio zdobiące wnętrze pałacu. Stosy skrzyń wznosiły się wysoko nad ziemią, a między nimi leżały zwinięte gobeliny i obrazy owinięte w płótna. Za młodu Idrian pracował w ossańskim muzeum, spędzając całe lato na przenoszeniu eksponatów. To miejsce przypominało mu muzealną piwnicę.

Poruszał się szybko, nie dbając już o ostrożność. Nawet tutaj, na dole, słyszał, że w pałacu wybuchło zamieszanie. Nie mógł pozwolić na to, że go zabarykadują. Oszacował wielkość szkła błysku, wykluczając wszystkie mniejsze skrzynie, i zabrał się do poszukiwań. W mgnieniu oka odnalazł łom i używał go do zdejmowania wiek, robiąc to z takim pośpiechem, z jakim tylko zdołał. Znalazł rzeźbę jakiegoś filozofa. Starą ceramikę. Złote i srebrne ozdoby. Ignorował stosy wyrastających przed nim skarbów, wiedząc, że żaden z nich nie może się równać wartością z jego zdrowiem psychicznym, a za wszelkie opóźnienia mógł zapłacić życiem.

Masywny zestaw drogiej porcelanowej zastawy stołowej. Srebrne kielichy. Kryształowe kielichy. Platynowe kielichy. Kielichy ze szkła bożego. A niech to szkło, ktoś z książęcej rodziny musiał lubować się w kielichach.

Usłyszał tupot butów na górze. Żołnierze prawdopodobnie zalewali już tłumnie korytarze, żądając wyjaśnień od służącej, która podniosła alarm, i próbując zrozumieć, kto był na tyle głupi, aby chcieć okraść książęcy pałac, gdy służył on jako wojskowe koszary. Zmarnował kilka cennych sekund. Ile pozostało mu czasu do momentu, aż ci z góry zdobędą się na odwagę, by po niego przyjść?

Niespodziewana eksplozja rozerwała powietrze, sprawiając, że Idrian wzdrygnął się i odruchowo sięgnął po tarczę, której przy sobie nie miał. Rozmiar i odgłos wybuchu pasowały do zastawionej wcześniej pułapki z granatem Miki. Żołnierze byli już w drodze. Przy odrobinie szczęścia huk odebrał im na jakiś czas trochę odwagi.

Idrian kontynuował poszukiwania, przewracając skrzynie, rozbijając wieka, uderzając w drewno łomem. Zastanawiał się, jak głośno krzyczałaby jego dawna przełożona z ossańskiego muzeum, gdyby go teraz widziała. Prawdopodobnie bardzo, ale nie miał teraz czasu się tym przejmować. Strącił ramieniem stos ze skrzyniami, chwycił pierwszą lepszą z góry, aby oderwać z niej wieko, i zamarł.

Pękła podczas upadku, a przez szparę widać było znajomą fakturę przypominającą kamień. Natychmiast zwolnił i bardzo ostrożnie ściągnął resztę osłony.

Szkoło błysku miało około metra długości i dziesięć centymetrów grubości, a z jego rdzenia w nieregularnych odstępach wychodziły liczne rozgałęzienia. Wyglądało jak zmieniony w kamień pień młodego drzewa. Wstrzymał oddech, wyciągając je ze skrzyni i podnosząc do światła. Nie dostrzegł na nim żadnych uszkodzeń.

Odkładając łom i rozkładając na ziemi kożuch, słyszał krzyki spierających się na schodach oficerów, niemogących zdecydować, czy powinni kontynuować atak, czy nie. Gdzieś w pałacu rozległ się zbolwały wrzask – prawdopodobnie wydobywał się z ust osoby, która natrafiła na pułapkę. Idrian położył szkło błysku na kożuchu, po obu stronach ułożył kilka długich deseczek z drewnianej skrzyni dla zachowania stabilności, następnie zawinął cały pakunek i związał sznurem. Za pomocą skórzanego paska zawiesił go sobie na plecach i podbiegł do schodów.

Żołnierze nadal zajadle dyskutowali. Nie twierdzili już, że był zwykłym złodziejem, aktualnie zastanawiali się, czy nie jest przypadkiem sabotażystą. Nie zostało mu zbyt dużo czasu, zanim któryś z nich nabierze odwagi do działania. Wyciągnął drugi z granatów Miki – ten pomalowany na pomarańczowo – i położył go w widocznym miejscu, na samym środku ostatniego stopnia.

Sam ten fakt mógł po raz kolejnych spowolnić ich akcję.

Co powiedziała służąca o wyjściach z podziemi? Drugie prowadziło do stajni w zachodniej części pałacu? Idrian udał się biegiem w mrok, a tkwiące w jego uchu szkło zmysłów pomogło rozproszyć światło latarni, chroniąc przed potknięciem czy wpadnięciem na jakąkolwiek przeszkodę. Słyszał, jak jego buty rozbryzgują kałuże na kamiennej posadzce, a z ust wydobywa się nierówny oddech. Drżały mu dłonie.

W każdej chwili ktoś mógł go zaatakować, a to nie wróżyło nic dobrego. Był w końcu uzbrojony jedynie w granaty. Dotarł do zachodniej ściany i podążył wzdłuż niej, tak bardzo skupiając się na oświetlonym suficie, że prawie nie dostrzegł znajdujących się po lewej stronie drzwi. Otworzył je i zalało go morze światła z pobliskiej lampy, zmuszając do mrugania w tej nagłej jasności.

Huk wystrzału był ogłuszający, kula odbiła się od framugi drzwi centymetry od jego głowy. Rzucił się do tyłu, w głąb krypty, rejestrując tylko skrawek zewnętrznego otoczenia i zatrzymując się, by złapać oddech. Drzwi wychodziły na tyły stajni. Zdołał dostrzec dwa rzędy boksów, stos bel siana i pomieszczenie wypełnione uzbrojonymi grenckimi żołnierzami.

To by było na tyle, jeśli chodzi o bezproblemowe opuszczenie podziemnego skarbcu.

Za nim, na drugim krańcu piwnicy rozległy się krzyki. Przed nim, w stajni również krzyczano. Idrian mruknął cicho, przeklinając się za głupotę. Znalazł się w pułapce, dokładnie tak jak przewidywał. Jakim trzeba być idiotą, żeby sobie zgotować taki los? Pogrzebał w worku z granatami, znalazł kolejny pomarańczowy i mocno pociągnął za zawleczkę. Licząc do trzech, otworzył drzwi na tyle, by wrzucić go na stos słomy leżący najdalej od niego.

Ktoś krzyknął: „Granat!” i usłyszał, jak żołnierze rzucają się do ucieczki. Kilka chwil później rozległ się wyraźny trzask i ktoś inny krzyknął o wiele bardziej rozgorączkowanym głosem:

– Pali się!

– Teraz się bawcie, łajzy – syknął Idrian. Zauważył kolejne drzwi, usytuowane głębiej w podziemiach. Potrzebował czegoś – szczeliny, okna, czegokolwiek – co pozwoliłoby mu się stąd wydostać. Dostrzegł pojawiające się w skarbcu pochodnie i lampy, więc wyciągnął pierwszy lepszy granat, wyrwał zawleczkę i rzucił nim w tamtym kierunku. Pocisk uderzył o kamienną posadzkę, przelatując zaledwie połowę drogi, zanim eksplodował.

Idrian zamrugał, żeby pozbyć się błyszczących punkcików mącących mu wzrok, i udał się do nowo odkrytych drzwi, po czym je otworzył. Nawet z pomocą szkła zmysłów mógł rozpoznać jedynie niewyraźne kształty: narzędzia wiszące na ścianach, jakiś ogromny lejek i wielki piec. Włożył rękę do leja, natrafiając na coś, co wydało mu się kawałkiem węgla, zanim zdał sobie sprawę, że jest w książęcej wypalarni. Wokół unosił się zapach kurzu, więc prawdopodobnie miejsce nie było używane od lat. Znalazł zsypany węgiel, lecz zasuwa była mocno przykuta łańcuchem.

Odnalazł w ciemności drogę do pieca, którego drzwi były na tyle duże, że mogłyby się przez nie przecisnąć. Następnie spojrział

w górę, w otwór komina – był wąski i ciemny, wznosił się bardzo wysoko, ale tam, na samej górze, mógł zobaczyć gwiazdy.

Wyobraził sobie nagłówki gazet: „ZIDIOCIAŁY GROMICIEL GINIE WE WNĘTRZU KSIĄŻĘCEGO KOMINA”. Towarzyszyłyby temu niewybredne żarty, a Stalowe Tarany nigdy nie wybaczyłyby mu takiej zniewagi, Demir zaś udawałby, że w ogóle go nie znał. Niech ich wszystkich szlag trafi, pomyślał. Podciągnął się na krawędzi paleniska i momentalnie owdądnęła go klaustrofobia. Zmusił się jednak, aby brnąć dalej.

Raz kozie śmierć.

Podpierając się ostrożnie rękami i nogami, Idrian zaczął się wspinać. Ściany komina wydawały się raczej zakurzone niż brudne, co utwierdziło go w przekonaniu, że wypalarnia nie była używana. Wkrótce poczuł zapach dymu. Czy ktoś rozpałił pod nim ogień? Zatrzymał się na tyle długo, by spojrzeć w dół. Ani śladu płomieni. To pewnie ze stajni. Komin zwężał się nieznacznie w miarę wspinaczki, wzmagając odczucie klaustrofobii. Idrian miał coraz mniej miejsca na podciąganie rąk i nóg, ale zachował wystarczająco dużo siły, żeby nie spaść. Mimo magii szkła mocy całe jego ciało drżało z wysiłku. Mięśnie paliły go tak, jak nie paliły od dekady.

Idrian uderzył o coś głową. Zatrzymał się, wstrzymał oddech i ostrożnie spojrział w górę. Był na samym szczycie i musiał tylko przesunąć wąskie wieko, by precyzyjnie się przez otwór. Kożuchowe zawiniątko zaczęło się o krawędź komina i przez ułamek sekundy myślał, że zgubił szkło błysku. A potem wydostał się na zewnątrz.

Podciągnął się i usiadł na kominie, oceniając sytuację: znajdował się na szczycie jednej z pałacowych wieżyczek, niepewnie balansując na wysokości około osiemnastu metrów. Na wschodzie widać było światła Grentu i Ossy, a na południu i zachodzie resztę delty. Wszystko to zdawało się niezwykle odległe. Tam, gdzie delta stykała się z oceanem, widoczna była jakaś flota. Prawdopodobnie byli to najemnicy Kerite. Jeśli to przeżyje, za kilka dni będzie z nimi walczył. Pod księżycem przemknął jakiś cień; czarna plama lecąca poprzez noc.

– To wyglądało jak dość duży nietoperz – szepnął do siebie.

Dobiegający z dołu dźwięk przywrócił Idriana do teraźniejszości. Najpierw podniosły się głosy, następnie rozbrzmiały

światła. Znaleźli go. Gromiciel sięgnął do worka z granatami, wyciągnął jeden z nich, całkowicie losowo.

„Zielone są wystrzałowe”, mawiała Mika. Idealnie. Pociągnął za zawleczkę i upuścił go wprost do komina.

Eksplozja wstrząsnęła gwałtownie całym budynkiem. Żołądek podskoczył Idrianowi do gardła. Przyłgnął do kamiennego komina, upewniwszy się, że wybuch nie wysadzi w powietrze całej wieży, później odetchnął niepewnie i, nie tracąc ani chwili, wziął się do działania. Skoczył na dach, ześlizgnął się po miedzianych gontach, a następnie przeskoczył przez szczelinę na parapet znajdujący się piętro niżej.

Schodził stopniowo, piętro po piętrze, aż w końcu stanął na ziemi, nie mając pojęcia, jakim cudem jego ręce i nogi zdołały sprowadzić go na dół. Prawdopodobnie upadłby na kolana, całując twardą glebę, gdyby nie usłyszał rozlegającego się w pobliżu krzyku.

– Tam jest! Zwołać wojsko!

Ruszył biegiem, czując, jakby wszystkie mięśnie zostały właśnie przepuszczone przez wyżymaczkę. Huknęło, potem jeszcze raz i znów. Kule świsnęły mu nad głową i trafiały w ziemię wokół niego, a on miał tylko nadzieję, że ciemność pozostanie jego sprzymierzeńcem. Pędził prosto przez środek obozu usytuowanego na książęcym wzgórzu, widząc żołnierzy wychodzących z namiotów, gotowych odpowiedzieć na wezwanie. Dostrzegając Idriana, patrzyli tylko ze zdziwieniem. Jeden z młodszych lekkomyślnie próbował stanąć Gromicielowi na drodze. Idrian opuścił ramię i przeorał biednego skurczybyka.

Przeskoczył przez rząd worków z piaskiem, przeszedł przez baterię artyleryjską wypełnioną małymi działkami, a następnie rzucił się w sześciometrową przepaść. Tak mocno uderzył o ziemię, że ugięły się pod nim kolana. Potknął się, spadł z kolejnego, mniejszego urwiska i obrócił ciało w locie, by nie wylądować na szkle błysku. Upadek pozbawił go tchu i wyłącznie dzięki magii szkła mocy nie połamiał żadnej kości.

Nie zdążył jeszcze zrobić wdechu, gdy usłyszał stukot kopyt.

Czy ci cholerni Grentczycy nie dadzą za wygraną? Odwrócił się i zobaczył, że znajduje się tuż u podnóża książęcego wzgórza, niecałe piętnaście metrów od linii drzew wyznaczających granicę

między wrogimi wojskami. Nie zostało mu dużo drogi do przebycia, tyle że w jego kierunku zmierzało właśnie kilka szwadronów dragonów. Byli niemalże krok od niego.

Idrian sięgnął po miecz, lecz uświadomił sobie, że go nie ma, i rzucił się w stronę drzew tak szybko, jak tylko mogły ponieść go zmęczone nogi. Był wyczerpany i mimo narecza szkieł mocy, które miał przy sobie, nie dałby rady uciec dragonom. Nie zwalniając tempa, dragoni wyciągnęli karabinki. Obsypali go kulami, a następnie otoczyli. Niechlujnie, lecz skutecznie.

Wtem linia drzew eksplodowała niespodziewanie płomieniami i głośnymi wybuchami. Połowa dragonów padła pośród skowytów ludzi i koni. Idrian wpatrywał się w nich przez chwilę, kompletnie dezorientowany, zanim usłyszał, że ktoś krzyczy jego imię zza linii walk. Dostrzegł jakieś postacie i dobiegł go wrzask mobilizujący do strzału. Ponowny wybuch i płomień, zmiatające z powierzchni jeszcze większą grupę dragonów. Ci zaś, którzy nie polegli, odwrócili się i rzucili do ucieczki.

Idrian, kulejąc i wciąż uważając na pobliską piechotę wroga, dotarł do drzew.

Na miejscu zastał Tadeasa i Valienta czekających już na niego z ponad setką żołnierzy. Nie dając Gromicielowi chwili na zaczerpnięcie powietrza, cała grupa zaczęła natychmiastowy odwrót. Tadeas chwycił Idriana za ramię i pociągnął za sobą. Wkrótce wyłonili się spomiędzy drzew i pojawili się między kamienicami, gdzie zdumieni ossańscy wartownicy obserwowali, jak wracają do obozu. Dotarwszy na miejsce, Idrian zastał Braileera czekającego na niego z zatroskanym wyrazem twarzy.

Gromiciel machnął do niego i zdyszany upadł na ulicę.

– I jak? – rzucił Tadeas. – Udało ci się to zdobyć?

Idrian posłał mu wymowne spojrzenie i ściągnął pakunek z pleców, oddając go w ręce Tadeasa.

– Tak, jeśli nie rozbiło się podczas upadku.

– To ty podpaliłeś pałac? – zapytał Valient, spoglądając nad ramieniem Idriana w stronę książęcej siedziby. Gromiciel odwrócił się, zauważając dym i płomień. Ze szczytu dobiegały też dość głośne krzyki. Po części czuł się trochę winny, w końcu w podziemnym skarbcu ukryto mnóstwo dzieł sztuki, z drugiej

jednak strony ucichł towarzyszący mu już przez jakiś czas śmiech dziecka.

– Mika powinna być dumna – odparł. – Wrzuciłem jej największy granat prosto do książęcego komina. Chyba trzeba zacząć wymyślać wymówki, Tadeasie. Domyślam się, że sztab generała Stavriego będzie miał rano mnóstwo pytań.



W idealnej sytuacji Thessa odczekałaby kilka tygodni, zanim podjęłaby próbę wykradzenia schematów portalu feniksa. Zapoznałaby się ze strażnikami, innymi więźniami oraz ich zwyczajami. Dowiedziałaby się też więcej na temat osobowości rzemieślnika Magny. Może nawet wybrałaby się na kilka przypadkowych wypadów do budynku administracyjnego, żeby poznać jego rozkład.

Sytuacji, w której się znalazła, w żadnym razie nie można jednak było nazwać idealną. Nie był to okres wczesnej nauki, gdy podjudzona przez innych uczniów odważyła się wykraść słodycze z szuflady biurka mistrza Kastory. Nie wiedziała, ile miała czasu, nim Demir faktycznie zorganizuje akcję ratunkową – czy nastąpi to za godzinę, za kilka dni, a może za parę miesięcy. Nie wiedziała nawet, czy może na nim polegać, musiała więc zacząć działać według własnego planu.

Mimo obaw oraz pewności, że gdy zostanie złapana, będą ją czekać srogie konsekwencje, Thessa zdała się na dziecinne umiejętności, których nabyła w hucie szkła w Grecie. Skoro

potrafiła ukraść niskorezonansowe szkło boże, by wymienić je w mieście na piwo, albo przeszmulgować starszych chłopców i dziewczęta do swojej koi, aby oddawać się z nimi niewinnym igraszkom, i to na tyle skutecznie, że Kastora o niczym się nigdy nie dowiedział, to z pewnością mogła też przechytryć znudzonych egzekutorów Magny i ich małostkowego nadzorcę.

A rzemieślnik Magna był w rzeczy samej człowiekiem małostkowym. Znała ten typ, a co więcej, widziała, jak sprawnie Demir owinął go sobie wokół palca. Filur Magna był łatwy do zmanipulowania. I zamierzała to wykorzystać.

Pierwszym punktem jej planu była ponowna praca do późna. Nie musiała tego robić, ale gdy reszta więźniów wywiązała się ze swych przydziałów i udała się do dormitorium, nadarzyła się świetna okazja, żeby przejść się po wypalarni i sprawdzić, czy nie ma gdzieś luźnych kostek brukowych. Znalazła jedną tuż pod stanowiskiem numer siedem. Podważyła ją paznokciem i przy użyciu ciężkich nożyc wykopała pod nią dołek, na tyle duży, by zmieściły się w nim pergaminowe schematy. Ziemię z dziury wrzuciła do paleniska, a do skrytki włożyła szkło brzytwy od Demira. Potem upewniła się, że kostka pasuje i się nie chybocze. Następnie wyszła z warsztatu i ruszyła swobodnie główną drogą kompleksu.

Spacer był krótki, ale niezwykle istotny. Było już późno, a noc rozświetlały nieliczne lampy gazowe. Powóz rzemieślnika Magny zaparkowano tuż przy wjeździe do huty, zaś w dużym oknie wychodzącym na dziedziniec migotało światło lampionu. Z miejsca, w którym stała, Thessa nie mogła dostrzec siedzącego w gabinecie męczczyzny, była jednak przekonana, że tam jest. Obok powozu czekał woźnica oraz stąpające niecierpliwie konie.

Minęła budynek administracyjny i skręciła za róg, udając się na sam koniec mało uczęszczanej alejki. Z łatwością można ją było dostrzec z dziedzińca, w świetle rzucanym przez najbliższą lampę, więc uklękła i wyjęła z kieszeni trzy gładkie kamienie. Ułożyła je jeden na drugim i przez kilka chwil przyglądała się im w zamyśleniu, po czym pochyliła głowę.

Religia była osobliwym tworem kulturowym w tej części świata. Z jednej strony nieistotna, z drugiej widoczna praktycznie

wszędzie. Miliony ludzi w Imperium Ossańskim oraz w sąsiednich państwach praktykowało dziesiątki systemów wierzeń i setki różnych odłamów. Samo Imperium nie miało oficjalnej religii, ale tolerowało niemal wszystkie, o ile nie zagrażały one nieoficjalnemu kultowi szkła bożego i pieniądza. Rodzice Thessa byli wszechduchownymi, pewnym rodzajem kapłanów specjalizujących się w wielu różnych religiach i służących radą, ablucją, błogosławieństwem lub przeprowadzaniem obrzędów zarówno dla miejscowych, jak i przejezdnych. Thessa od dekady nie wracała do swego religijnego dziedzictwa. W hucie szkła w Grecie nie było na to czasu. Ale jej wiedza na temat wierzeń nie wyparowała i dziewczyna cały dzień zastanawiała się, jak mogłaby wykorzystać ją do odzyskania schematów.

Usłyszała zatraskujące się w pobliżu drzwi i głos wykrzykujący coś po drugiej stronie dziedzińca. Słyszając to, pochyliła się jeszcze bardziej i zaczęła kołysać, skupiając się na trzech gładkich kamieniach ustawionych tuż przed nią. Aby jej plan się powiódł, musiała zachowywać się wiarygodnie zarówno w oczach postronnego obserwatora, jak i innego czciciela.

Dziedziniec wypełnił się echem kroków. Wymieniono kolejne zdania. Woźnica coś powiedział, a potem rozległo się kliknięcie otwieranych drzwi. Thessa zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie została przeoczona albo czy jej przypuszczenia okazały się błędne, i zaczęła szczerze modlić się do Renn, nasuudzkiej bogini handlu, której ołtarzem była piramida. Nie sądziła, że została w niej choćby odrobina wiary, ale nic nie stało na przeszkodzie, by spróbować.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, którą przerwał dźwięk zbliżających się kroków. Thessa przełknęła gulę tkwiącą w gardle, lecz nie przerwała kołysania.

– Co ty tu robisz?

Niemal się zadławiła. Za nią stał rzemieślnik Magna we własnej osobie. Dziewczyna pochyliła się, przyciskając czoło do bruku tuż przed trzema gładkimi kamieniami, po czym spojrzała w górę. Udała, że się zamyśliła, chwyciła za kamienie, schowała je do kieszeni, wstała i odwróciła się w kierunku nadzorca.

– Bardzo pana przepraszam. Nie sądziłam, że będę tu komuś przeszkadzać.

Rzemieślnik Magna zmrużył oczy.

– Co masz w ręku? Pokaż mi to. Szybko!

Powoli, jakby z wielkim wahaniem, Thessa wyjęła z kieszeni kamienie i pokazała mu je na wyciągniętej dłoni.

– Co to jest?

– To jest... ołtarz, panie. Modliłam się.

Zmarszczka na czole Magny jeszcze bardziej się pogłębiła.

– To nie wygląda jak ołtarz.

Thessa ułożyła kamienie na dłoni, jeden na drugim, z największym na dole.

– To piramida, panie. Niezbyt dobra, ale tylko taką potrafiłam zrobić. To dla bogini Renn. Jest nasuudzką...

– Wiem, kim jest Renn – przerwał jej. W tym momencie Thessa mogłaby przysiąc, że spojrzenie nadzorca złagodniało. – Jesteś rennitką?

– Tak, panie. Moi rodzice, zanim zginęli w wypadku, byli rennickimi kapłanami.

– Dlaczego się tu modlisz?

– Nie mogłam znaleźć żadnej wszechświątyni, panie. A ta uliczka wydawała się zaciszna. Nikt nie wozi tędy drewna. – Starła się nie odrywać wzroku od ziemi, odważyła się tylko na kilka szybkich spojrzeń na nadzorcę. Wydawał się pogrążony w myślach, z twarzą wykrzywioną w grymasie.

– Obrażasz Renn, stawiając tak prymitywny ołtarz. Nie masz też dla niej nic do ofiarowania! – prychnął i się odwrócił. – Postaraj się nie plątać nikomu pod nogami.

Gdy mężczyzna ruszył w kierunku powozu, Thessa przeklęła pod nosem. Sądziła, że nie będzie mógł się oprzeć, by nie złapać się na taką przynętę. Pod wpływem impulsu zawołała za nim.

– Proszę pana!

Zatrzymał się i odwrócił, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Czego chcesz?

– Rozumiem swą niską pozycję, panie, ale czy jest gdzieś w pobliżu jakaś wszechświątynia, którą mogłabym odwiedzić?

Chociaż raz? To – uniosła mały kamienny ołtarzyk – niestety nie przybliżyła mnie do bogini Renn tak bardzo, jak bym tego chciała.

– Ha! A o co się modlisz, mała rennitko?

– O zakończenie wojny, panie. O to, by handel wrócił na dawne tory.

– I pewnie też o swoje uwolnienie, tak?

– Tylko jeśli zadowoliliby to Renn.

Odpowiedź zdawała się satysfakcjonować rzemieślnika Magnę.

– Minie wiele miesięcy, zanim uda ci się uzyskać przepustkę do miasta – odparł. – Musisz uzbroić się w cierpliwość... – Thessa uniosła ciut wyżej swój mały, prowizoryczny ołtarz, aż naczelnik ponownie zwrócił na niego uwagę. Wzdrygnął się. – No dobra! Chodź ze mną. – Odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku budynku administracyjnego. Thessa wrzuciła kamienie do kieszeni i pospieszyła za mężczyzną. Musiała zmusić się do równomiernego oddechu, zastanawiając się, czy jej szczęście, lub błogosławieństwo Renn, cokolwiek to było, utrzyma się wystarczająco długo.

Weszli do środka głównym wejściem, minęli kilku ciekawskich strażników Magny i udali się w głąb długim korytarzem. Wspięli się po rozklekotanych schodach, przeszli kolejny korytarz i weszli do zaskakująco uporządkowanego gabinetu. Nie różnił się on zbyt od tego, jaki miał mistrz Kastora: pośrodku stało biurko, krzesła do przyjmowania gości, ciężki purnijski dywan, a przy ścianie dwa stoły kreślarskie.

Thessa nie miała zbyt dużo czasu na dokładne rozejrzenie się po pokoju, bo rzemieślnik Magna szybko wskazał ręką kapliczkę schowaną w rogu. Wyglądała jak mała, otwarta szafa, wyłożona błyszczącym papierem. Na niej leżała podstawka na kadzidełko – dość często używana, wnioskując po zapachu unoszącym się w pokoju. Wewnątrz kapliczki znajdowała się złota piramida, zbyt duża, aby mogła zmieścić się w dłoni Thessy.

– Módl się – rozkazał nadzorca. Mowa jego ciała wskazywała na zniecierpliwienie, zaś wyraz twarzy świadczył zarówno o długotrwałym cierpieniu, jak i strachu. Nie należał do ludzi, którzy wystawialiby swego boga na próbę, odrzucając współwyznawcę.

– Och, dziękuję ci, panie! – Thessa padła na kolana przed kapliczką. – Czy mogłabym zapalić kadzidło?

Machnął dłonią, wyrażając zgodę na prośbę dziewczyny. Thessa znalazła zapalną i zapaliła kadzidło, potem ukloniła się przed kapliczką. Przez chwilę zastanawiała się, czy Renn naprawdę istnieje. Czy bogini właśnie się nad nią litowała? A może odbije się to na niej później, gdy bogini zemści się na fałszywej czcicielce? Ponownie się ukloniła. Tak na wszelki wypadek, pomyślała Thessa.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję, bardzo dziękuję. – Kątem oka dostrzegła, jak rzemieślnik Magna wykonuje wielkoduszne gesty, jakby te słowa były skierowane do niego.

Udawiała, że modli się tak długo, jak długo paliło się kadzidło – przypuszczała, że zajęło to około dziesięciu minut. Wystarczająco, aby wyglądało przekonująco, ale nie na tyle długo, by wystawić cierpliwość nadzorcy na próbę. Klęcząc, lustrowała pomieszczenie i analizowała zachowanie mężczyzny. Gdzie ukrył te schematy? Czy były one w jego biurku? W sejfie? A może w jakimś schowku pod dywanem?

Skończyła, wstała i otrzepała kolana z kurzu. Odważnie chwyciła nadzorcę za rękę i ucałowała ją. Mężczyzna wybałuszył oczy.

– Jest pan taki dobry – wybełkotała szybko. – Wyczuwam w tym pokoju silną obecność ducha Renn.

Rzemieślnik Magna wyrwał rękę z uścisku i wytarł ją o tunikę.

– Tak, dobrze. Nie myśl sobie, że to się powtórzy.

– Wiem, panie. Bardzo, bardzo dziękuję. – Thessa poczekała, aż nadzorca zamknie gabinet, i pozwoliła odprowadzić się na dół, po czym wyszła z budynku, gdzie ci sami strażnicy rzucili w jej kierunku zdumione spojrzenia. – Wróć teraz do dormitorium, panie – powiedziała.

– Zaczekaj!

Thessa zamarła.

– Tak, panie?

Rzemieślnik Magna przybrał minę kogoś, kto uważa się za niezwykle wspaniałomyślnego.

– Jeśli wywiążesz się z limitów i będziesz się trzymała z dala od kłopotów, to rozważę dopuszczenie cię do kapliczki. Tylko

w weekendy.

Thessa podziękowała mu niezwykle wylewnie i ruszyła do dormitorium, by zatrzymać się w cieniu jego drzwi, obserwując, jak mężczyzna wsiada do powozu i wyjeżdża przez główną bramę kompleksu. Wchodząc do wspólnej sypialni, usłyszała stłumione głosy. Zdała sobie sprawę, że jeden z nich należał do Trójki – kobiety, która poleciła jej, aby robiła więcej przerw. Thessa przystała na kilka minut, nasłuchując. Wyglądało na to, że Trójka weszła w posiadanie jakiejś gazety i czytała właśnie jej treść innym więźniom. W artykule opisano serię makabrycznych morderstw w Szklanym Mieście; znaleziono zwłoki hutników rozciętych od brody do pachwiny i wrzuconych do rzeki Tien. Thessa poczuła, jakby miała déjà vu, aż uświadomiła sobie, że czytała ten sam tekst w noc przed atakiem Ossańczyków.

Nie czekała jednak na to, jak zakończy się ta historia. Czekala na to, jak zareagują strażnicy, gdy rzemieślnik Magna znajdzie się poza terenem kompleksu. Tak jak przypuszczała, sytuacja w hucie zmieniła się niemalże natychmiastowo. Było tam tak samo jak w Grecie, gdy mistrz Kastora opuszczał hutę, wybierając się na jedną ze swoich wypraw. Kilku pozostałych na miejscu robotników zatrzymało się, żeby zapalić. Strażnicy zebrali się w grupki na murach, aby poplotkować. Środki bezpieczeństwa nie zmieniły się zbyt wiele – bramy nadal pozostawały zamknięte, a przy wyjściach stali egzekutorzy – ale można było wyczuć, że atmosfera znacząco się rozluźniła.

Thessa dołączyła do reszty więźniów, kładąc się na pryczy i słuchając, jak Trójka kończy czytać. Wkrótce dormitorium wypełniło się chrapaniem, przerywanym od czasu do czasu przez kogoś wychodzącego do wychodka znajdującego się w odległym rogu kompleksu. To było długie i wyczerpujące czuwanie, podczas którego Thessa wpatrywała się w sufit, starając się nie myśleć o tym, co może pójść nie tak.

Około północy zdecydowała, że nadszedł czas, by działać.

Poszła po szkło brzytwy otrzymane od Demira i użyła go do przecięcia zamka w budynku administracyjnym. Minęła posterunek strażników, gdzie zgodnie z tym, co twierdziła jej informatorka, pełniący wartę egzekutorzy zajmowali się sobą w dość dosłowny

sposób. Nie tracąc ani chwili, pospieszyła do gabinetu nadzorcy. Miało to wyglądać – jak określił to kiedyś pewien podejrzany asystent – niczym „szybciutki wpad i wypad”. Wykorzystała szkło brzytwy, aby ostrożnie otworzyć sejf rzemieślnika Magny, a następnie dostać się do jego biurka. Schematy leżały w szufladzie z podwójnym dnem, obok jakichś dokumentów wyglądających na nielegalne księgi rachunkowe.

Chwyciła wszystko, co mogła unieść, i zabrała ze sobą.

Droga do wypalarni była przerażająca, i aby uniknąć patroli, ukryła się na chwilę w innym dormitorium, a następnie w kilku przybudówkach na terenie kompleksu. Nikt nie podniósł alarmu. Nikt jej nie zatrzymywał ani o nic nie wypytywał. Wślizgnęła się do wypalarni przez małe wejście dla personelu i w świetle paleniska zapoznała się z papierami Magny. Dotyczyły one nielegalnych transportów szkła bożego, potajemnych sprzedaży i niedozwolonego handlu. Było w nich wystarczająco dużo informacji, aby zniszczyć karierę rzemieślnika Magny, o ile udałoby się przesznułować je poza mury kompleksu.

Żałując, że nie ma zbyt dużego wyboru, spaliła wszystko oprócz schematów portalu feniksa. Zależało jej, by naczelnik uwierzył, że dokumenty ukradł szpieg konkurencyjnej gildii. Jeśli zwątpi, że opuściły hutę, może się to dla niej źle skończyć.

Niespodziewany dźwięk przywrócił ją do rzeczywistości i szybko upewniła się, czy wszystkie dowody zostały zniszczone, zanim wsunęła schematy pod tunikę i zabezpieczyła je paskiem. Ktoś wszedł do warsztatu. Trzymając nisko głowę, zerknęła zza pieca, aby sprawdzić, kto to. Okazało się, że był to jeden z najemnych pomocników, który zwijał papierosa na jednym ze stołów. Następnie, ku niezadowoleniu Thessa, zapalił latarnię, wyciągnął z kieszeni książkę i zaczął ją czytać.

A niech to szkło. Z tym nieznanym w pomieszczeniu nie mogła dostać się do swej kryjówki.

Odczekała tak długo, jak tylko mogła, ale chłopak nigdzie się nie wybierał. W końcu Thessa wymknęła się przez wejście dla służby. Wciąż miała przy sobie zarówno schematy, jak i szkło brzytwy. Odkrycie przez strażników któregośkolwiek z tych przedmiotów mogło ją wiele kosztować. Nie miała jednak wyboru.

Musiała zerwać się szybciej z łóżka z nadzieją, że gdy dotrze rano do warsztatu, nikogo tam nie zastanie.

Wślizgując się z powrotem do dormitorium, położyła się do łóżka. Nie było sensu dłużej walczyć ze zmęczeniem. Zrobiła, co mogła. Wyczerpana i obolała, pozwoliła sobie na odpoczynek.

Obudziła się z niespokojnego snu. W pomieszczeniu panowała cisza, nie licząc porannej krzątaniny pracowników zwożących drewno na opał. Za oknami słabe promienie słońca muskały niebo. Było koło szóstej, a ona nie miała zbyt wiele czasu, nim rozlegnie się gwizdek i wszyscy zwleką się z łóżek. Niektórzy z więźniów już zaczęli się kręcić.

Thessa wstała po cichu, włożyła tunikę i hutniczy fartuch, a następnie zasznurowała buty. Miała zaledwie kilka minut, aby schować nielegalnie zdobyte dobra i... Rozkojarzyła się na moment. Prycza stojąca trzy rzędy dalej była pusta. Powinien na niej spać Axio. Koc był rozrzucony, brakowało butów, za to nadal leżał tam jego fartuch. Poszedł do wychodka? A może ćwiczy to, czego go nauczyła? Miała nadzieję, że robi to drugie.

Przechyliła głowę, nasłuchując, czy nie słyhać alarmu. Nadzorca bez wątpienia wkrótce wróci do huty, a kiedy odkryje kradzież, polecą głowy. Musiała się ruszyć.

Była w połowie drogi do drzwi dormitorium, kiedy te otworzyły się przed nią. Już chciała pozdrowić Axia, gdy słowa zamarły jej w ustach na widok dwóch egzekutorów Magny. Obaj mieli przy sobie pałki i patrzyli wprost na nią.

– Och, jak dobrze się składa – powiedział jeden z nich, podnosząc pałkę. – Nadzorca chce cię zobaczyć.



Demir i Montego dotarli do huty szkła w Lesie Kości Słoniowej tuż po świcie, a ich powóz obładowany był kolejnymi podarkami – srebrnymi zegarkami kieszonkowymi dla nadzorcy i kapitana, grubymi zimowymi tunikami dla egzekutorów, cynowymi flaszками dla najemników. Tego ranka ich przybyciu towarzyszył dużo większy entuzjizm i Demir ucieszył się, gdy pomachano im przez bramę

wejściową i skierowano na mały placzyk wewnątrz huty, gdzie otoczyli ich egzekutorzy.

Grappo wyskoczył z powozu, ścisnął dłonie i rozdawał tuniki, zwracając się do każdego z egzekutorów po imieniu i obdarzając ich ciepłym uśmiechem.

– Mroźny poranek, co nie? – powiedział. – Dobrze się opatulcie. Ojej, ależ masz zniszczone buty, Ostisie. Wygląda na to, że przydałyby ci się nowe. Prześlij rozmiar stopy do mojego hotelu. Fedio, słyszałem, że jesteś wielką fanką Małego Montega. Specjalnie dla ciebie przywiózł dziś podpisaną pałkę.

Nie ściągał rękawiczki z lewej ręki, aby nie odsłaniać tatuażu ze znakiem tancerzy szkła, co zdecydowanie działało na jego korzyść. Ci egzekutorzy z pewnością wiedzieli, że nim jest – takie plotki trudno było utrzymać w ryzach – ale bez przypominania o tym fakcie nie było w ich oczach ani krzty strachu. Opowiadali mu dowcipy i śmiali się z tych, które opowiadał on. Cały ten przekłęty garnizon dosłownie jadł mu z ręki. Demir zauważył biegnącego w jego kierunku kapitana, ze szlafmnicą na głowie, zakładającego mundur i machającego do niego na powitanie.

– Dzień dobry, kapitanie – przywitał go Demir.

– Panie Grappo! Sądziłem, że nie będzie mógł nas pan odwiedzić w najbliższym czasie.

– Też tak myślałem – odparł z lekkim uśmiechem Demir. – Ale byłem pod takim wrażeniem tej całej operacji, że uznałem, iż warto zadbać, aby wszyscy byli pod dobrą opieką. – Objął ramieniem kapitana, odciągając go na bok, i powiedział cicho: – Domyślam się, że Magna nie jest zbyt zadowolony z tego, że posiadam teraz udział w tej hucie. Pomyślałem więc, że może uda mi się jakoś udowodnić mu, że mam poważne intencje i a nuż on również potraktuje mnie poważnie.

Kapitan obejrzał się przez ramię, po czym odpowiedział szeptem:

– Ma pan rację. Wczoraj potwierdziliśmy prawdziwość pana udziałów, ale dostaliśmy też wiadomość od samego Supiego Magny. No i... cóż, powiedzieć, że jest niezadowolony, to jakby nic nie powiedzieć.

– Jak już mówiłem, zamierzam mu udowodnić, a także tobie i nadzorcy, rzecz jasna, że nie jestem tu, by was oszukać. A teraz, gdzie znajdę Filura? Mam kilka przemyśleń, którymi chciałbym się z nim podzielić.

– Nie jestem pewien – odrzekł kapitan, pocierając podbródek.

– Zwykle przyjeżdża dopiero za jakąś godzinę, ale tam stoi jego powóz. Ej, Fedia! O której godzinie przyjechał nadzorca?

– Jakoś około trzeciej nad ranem – padła odpowiedź. – Pół nocy spędził przy piecu numer dziewięć.

– Piec numer dziewięć, mówisz – odpowiedział wolno Demir.

– To jeden z tych tajnych, prawda? Jeden z tych, których nie chciałem wczoraj pokazać.

Kapitan zbladł lekko.

– To... trochę skomplikowane. Jestem pewien, że w odpowiednim czasie wszystko panu wyjaśni.

– Oczywiście! W końcu to bardzo zajęty człowiek. Jest tu mesa oficerska? Przywiozłem dla was na śniadanie wyśmienity kawior i bułeczki.

– Kawior? – Kapitan zakasłał ze zdziwieniem. – A niech to szkło. Ja... pozwoli pan, że dopilnuję, aby wszystko przygotowali!

Demir poklepał kapitana po plecach i rozejrzał się dookoła. Egzekutorzy skupili się wokół wozu, podczas gdy Montego nadal rozdawał bochenki drogiego, jeszcze ciepłego chleba z lokalnej piekarni. Kilkudziesięciu najemników kręciło się w pobliżu, wyraźnie licząc na jakieś ochłapy, ale egzekutorzy skutecznie ich odpędzili. Demir zastanawiał się, czy któryś z nich był kiedykolwiek tak dobrze traktowany. Prawdopodobnie nie.

W pewnym momencie coś przykuło jego uwagę. Z pobliskiego dormitorium wyłoniła się para egzekutorów. Pomiedzy nimi szła Thessa Foleer. Przeszli szybko, rzucając tylko przelotnie okiem na gwar panujący przy bramie wejściowej. Demir zaklął pod nosem. Znał ten specyficzny chód. Widział go w więzieniach i obozach pracy w całej prowincji, zarówno jako gubernator, jak i oszust. Oznaczał on, że więźnia czeka ciężka przeprawa.

Poczuł, jak żołądek ściska mu się na samą myśl o nadciągających konsekwencjach. Gdyby odkryli, kim jest Thessa, wszystkie jego plany poszłyby na marne. Filur Magna dowiedziałaby

się o jej misji i umiejętnościach. A co gorsza, jak by się to skończyło, gdyby przesłuchał ją, używając szkła dyscypliny, i wyszłoby na jaw, że Demir jest w to zamieszany? Musiał działać, szybko i dyskretnie.

Podszedł do Montega, przepychając się przez tłum egzekutorów, i szepnęła mu do ucha:

– Może się okazać, że mamy problem. Zamierzam trochę tu namieszać i gdzieś się wymknąć. Przygotuj się, by mnie wesprzeć.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, było krótkie skinienie głową. Demir przykleił do twarzy szeroki uśmiech i natrafił na jedną z najemnych robotnic, kręcącą się w pobliżu w nadziei na jakiś подарок. Była to wysoka, pokryta bliznami kobieta, wpatrująca się gniewnie w egzekutorów, którzy skupiali na sobie całą uwagę Montega.

Demir podszedł do niej i wyciągnął plik banknotów.

– Dobrze ci płacą? – zapytał.

Kobieta rzuciła okiem na symbol jego rodzinnej gildii i odwróciła wzrok.

– Bardzo dobrze, proszę pana. Dziękuję, że pan pyta.

– Zapłacę ci, jeśli powiesz mi prawdę.

Kobieta spojrzała w lewo, potem w prawo, wahając się przez dłuższy moment, po czym wyszeptała:

– Tutejsi robotnicy nie są ani dobrze opłacani, ani dobrze traktowani.

– W takim razie dam ci tysiąc ozzo, jeśli sprowokujesz bójkę. Tylko ma ona wyglądać na prawdziwą. – Ostentacyjnie odliczył banknoty.

– Zgoda.

Wsunął pieniądze do jej kieszeni, cofnął się o krok i przyglądał, jak kobieta zaczerpuje głęboko powietrza i zaczyna torować sobie łokciami drogę pośród egzekutorów. Stała na kilku stopach, obila parę żeber i w ciągu minuty zwróciła na siebie uwagę grupy groźnie wyglądających mężczyzn. Natychmiast wybuchł chaos, a Demir wymknął się, podążając za Thessą i jej strażnikami.



Thessa była na wpół niesiona, na wpół wleczone przez główną ulicę kompleksu. Próbowwała zebrać myśli, próbowała coś zaplanować, lecz nic poza paniką nie chciało zrodzić się w jej głowie. Ktoś musiał zauważyć, jak wkradała się do budynku administracyjnego. Znajdą przy niej schematy i podzieli los innych nieszczęśników, którzy zaszli za skórę rzemieślnikowi Magny. W najlepszym wypadku czekają ją chłosta i wysyłka do obozu pracy w tartaku. W najgorszym...

Nawet nie chciała o tym myśleć i zdziwiła się, gdy minęli biura. Wyciągnęła szyję, odwracając głowę, gdyż spodziewała się, że prowadzą ją bezpośrednio do rzemieślnika Magny, lecz niespodziewanie przyszło jej do głowy pewne wytłumaczenie: a może była to część akcji ratunkowej! Przekupiono egzekutorów i zabrano już Axia. Dzięki tej wizji udało jej się trochę uspokoić. A gdy przestała się wreszcie szamotać, egzekutorzy pozwolili jej iść o własnych siłach.

W kącie huty, przy wąskiej uliczce za magazynami, stał odizolowany od reszty kompleksu mały budynek, oznaczony

niewielkimi literami, głoszącymi: PIEC NUMER DZIEWIĘĆ. Thessa widziała go już wcześniej, ale nie zwróciła na niego większej uwagi.

Przed opancerzonymi drzwiami stał jeden z egzekutorów. Otworzył je przed Thessą i eskortującymi ją strażnikami, a następnie zamknął za nimi. Dziewczyna usłyszała, jak zatraskuje się ciężki zamek. Pomieszczenie przypominało warsztat z jednym stołem, piecem i miejscem do pracy, niewiele większym od jej sypialni w hucie szkła w Grecie. Na haczykach wisiały dodatkowe fartuchy, a w jednym z rogów znajdowała się toporna skrzynia. Ściany pokrywały korkowe płyty, zaś całość oświetlały lampy gazowe, bo nie było tam żadnych okien.

Gdy tylko weszła do środka, wszystkie jej nadzieje przysły niczym bańka mydlana. Na skrzyni pod ścianą siedział rzemieślnik Magna. Wylegiwał się radośnie, z nogami wspartymi na mniejszym pudle i dłońmi splecionymi na brzuchu. Przed nim stał Axio.

Chłopak wyglądał, jakby ktoś potraktował go brutalnie pałą. Miał poobijaną twarz, mocno krwawiącą dolną wargę i rozerwaną w kilku miejscach tunikę. Wpatrywał się smętnie w podłogę i nawet nie podniósł wzroku, by spojrzeć na Thessę, gdy ta weszła do warsztatu. Szyję okalała mu obroża wykonana z jasnozielonego szkła bożego, na widok której w żyłach dziewczyny stężała krew.

Szkło dyscypliny.

Oddech ugrzązł jej w gardle, a myśli zawyły z przerażenia. Nie pomyślała nawet o tym, aby ukryć strach, który wystąpił jej na twarzy, na co rzemieślnik Magna uśmiechnął się szeroko.

– O mało mnie wczoraj nie nabrałaś – zaczął miło, grożąc jej palcem niczym dziadek strofujący niesforną wnuczkę. – Rennitka? Młoda wyznawczyni uwięziona w murach kompleksu aż do zakończenia wojny? Dało mi to do myślenia! Może mógłbym zyskać pomocnicę? Informatorkę? Kogoś, komu mógłbym zaufać. Na szczęście niełatwo jest zasłużyć na moje zaufanie, młoda damo, więc porwałem twojego przyjaciela, żeby zadać mu kilka pytań. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy pod wpływem zwykłego szkła dyscypliny wszystko mi wyśpiewał.

W obroży znajdującej się na szyi Axia nie było nic zwykłego. Na pierwszy rzut oka dało się dostrzec, że zrobiono ją z bardzo dobrej jakości materiału, który wzmacniał posłuszeństwo chłopaka

i w konsekwencji zmieniał go w niewolnika, niezdolnego do świadomego kontrolowania ciała i umysłu.

– Nie musiałeś go bić – powiedziała Thessa.

– Oj tam, zapewniłem strażnikom trochę rozrywki. – Rzemieślnik Magna poderwał się ze skrzyni i poklepał Axia po ramieniu. – Ucieliśmy sobie przyjemną pogawędkę. Jak widzisz, była ona bardzo długa i niezwykle owocna.

Thessa próbowała wymyślić jakąś odpowiedź: wymówkę, prośbę, cokolwiek, ale nie mogła wykrztusić z siebie nic poza ochryplym dźwiękiem, na który nadzorca roześmiał się okrutnie.

– A więc! – rzucił. – Nazywasz się Thessa Foleer i byłaś protegowaną mistrza Kastory. Axio był uprzejmy powiedzieć mi o tobie niemalże wszystko. Dowiedziałem się o twoich niezwykłych umiejętnościach, planach na ucieczkę, a nawet o twojej amagiczności. Jesteś wspaniałą zdobyczą. Kto by pomyślał, że cały czas miałem cię tuż pod nosem!

Thessa zmusiła się do zebrania myśli, trzymając się jedynych okruczków nadziei, jakie jej pozostały: Axio nie znał tak naprawdę jej planu na ucieczkę, wiedział tylko, że zamierzała ich jakoś stąd wydostać. Nie miał żadnej wiedzy na temat schematów czy Demira.

Chłopak podniósł nieznacznie wzrok.

– Przepraszam, Thesso – pisnął z trzęsącym się podbródkiem.

– Zamknij się! – warknął nadzorca, odwracając się i uderzając Axia.

Chłopak wpadł na ścianę z prawie niezmienionym wyrazem twarzy. Nie wydał też z siebie żadnego dźwięku wyrażającego protest. Z bliska widać już było pojawiające się na jego szyi i ramionach jasnozielone łuski – załączki szklanego trądu. Thessa zrobiła pół kroku do przodu, by złapać Axia, ale zatrzymały ją silne ręce egzekutorów. Dwaj strażnicy uniemożliwili jej jakiegokolwiek ruch.

Nadzorca spojrział na nią ponownie, przez chwilę marszcząc czoło.

– Na czym to ja skończyłem? Ach tak, wspaniała zdobycz. W tym miejscu, kompleksie więziennym, przebywa wielu różnych hutników. Większość z nich to praktykanci, jest też kilku czeladników, ale bardzo rzadko trafia nam się ktoś naprawdę utalentowany, a jeśli już tak się dzieje, to w pełni to wykorzystujemy.

Mam na przykład skazanego za morderstwo rzemieślnika, który w siódmym piecu wykuwa szkło dyscypliny. Ty jednak możesz się okazać największym talentem, jaki dotychczas mi się trafił. Protegowana mistrza Kastory! – Pisnął i podskoczył radośnie, co wydawało się zupełnie nie na miejscu. – W tym piecu wytwarzamy szkło strachu.

Thessa nie sądziła, że może odczuwać jeszcze większe przerażanie, ale Magnie udało się to osiągnąć. Szkło strachu było dokładnie tym, co oznaczała jego nazwa, czyli rodzajem szkła bożego potęgującego strach. Jego przeznaczenie ograniczało się wyłącznie do tortur, a z tego, co wiedziała, jego wykuwania zakazano w Imperium od czasu odkrycia „łagodniejszej odmiany” w postaci szkła dyscypliny. Mistrz Kastora zwykł mawiać, że nie ma dla szkła strachu miejsca w cywilizowanym społeczeństwie. Jego produkcja była bardzo niebezpieczna, a wielu hutników oszalało podczas prób jego udoskonalania.

Szkło strachu było niebezpieczne. Ale tylko, gdy nie było się amagicznym.

– Nie będę wykuwać szkła strachu – wyszeptała.

– Co?

– Nie będę wykuwać szkła strachu – powtórzyła głośniej, wkładając w te słowa każdą pozostałą w niej resztkę pewności siebie.

– A właśnie że będziesz – zachichotał nadzorca. – Zrobisz wszystko, czego tylko sobie, szklorwa, zażyczę, bo należysz do mnie. Czego nie rozumiesz? Nikt ci nie pomoże, Thesso. Nie masz przyjaciół, nie masz rodziny, jesteś sama. Nikt nie będzie cię szukał. Jesteś całkowicie zdana na moją łaskę i jeśli nie będziesz posłuszna moim rozkazom, uprzykrzę każdą minutę, jaka ci jeszcze pozostała. – W oczach nadzorcy pojawił się błysk, jakby cieszyła go perspektywa jej oporu.

– Nie jestem sama – odpowiedziała. Ciało trzęsło jej się jak liść na wietrze, ale była dumna z tego, że ton jej głosu pozostał niewzruszony. – Wojna kiedyś się zakończy i mistrz Kastora wyruszy, aby mnie odnaleźć. Jest jedną z najważniejszych osób w świecie krzemowej nauki. Nie sądzisz chyba, że...

– Ha! Ty głupia dziewucho, Kastora nie żyje – przerwał jej rzemieślnik Magna. – Zabili go pierwszego dnia walk. Przebili bagnetem na wylot.

Thessa rozdziawiła usta i z przerażeniem wpatrywała się w nadzorcę, a do jej wnętrza wpełzła lodowata rozpacz. To nie mogła być prawda. Kochany, stary mistrz nie mógł zginąć od ossańskiego bagnetu. Próbowwała coś powiedzieć, ale zakrztusiła się własną żołącią. Przełknęła gwałtownie, żeby nie zwymiotować.

Rzemieślnik Magna dosłownie tańczył po warsztacie.

– Ależ się dzięki tobie wzbogacę! A niech mnie szkło, czyż to nie wspaniałe? Na dodatek nic nie powiem Supiemu! A co mi tam! Ach! – Zatrzymał się i odwrócił do Thessy. – Najpierw jednak powiesz mi, co jest na tych schematach, które ci zabrałem, ty mała kłamczucho. Nie ukradłaś ich, Kastora ci je powierzył, a ja chcę wiedzieć, co przedstawiają.

Schematy, które zdążyła mu już ukraść, znajdowały się pod jej tuniką. Thessa zdołała opanować się na tyle, by odpowiedzieć:

– Nie wiem.

– Nie okłamuj mnie! – Nadzorca rzucił się na nią niespodziewanie, chwytając jedną ręką za podbródek i ściskając tak mocno, że do oczu napłynęły jej łzy. Gdy próbowała się wyrwać, przytrzymali ją egzekutorzy. – Nie mogę użyć na tobie szkła dyscypliny, ale z pewnością znajdę inne sposoby, by zmusić cię do współpracy. – Cofnął się, a jego wściekłość w mgnieniu oka zmieniła się w radość. – W sumie pozwól, że powtórzę raz jeszcze: jesteś sama.

Podszedł do pieca i wyciągnął puszczel hutniczą z komory grzewczej. Zanurzył jej koniec w piecu, pokręcił chwilę, a następnie wyciągnął. Końcówka puszczeli pokryła się czarną masą, wielkości pięści, z żarzącym się na rubinowo środkiem.

– Być może wiesz z ksiązek – zaczął – że szkło strachu posiada pewne wyjątkowe właściwości. Na przykład taką, że zawiera magię nawet w stanie ciekłym. Tylko to szkło boże to potrafi. Axio, bądź grzecznym chłopcem i nie krzycz.

Zanim zdążyła zareagować, Magna odwrócił się do Axia i rozsmarował mu na ramieniu iskrzącą się maź, która konsystencją przypominała miód. Rozległ się skwierczący dźwięk, a pomieszczenie wypełniło się swędem spalonego ciała. Chłopak

zareagował momentalnie, próbując ją zeszkrobać, przy okazji paląc sobie palce i wydając z siebie niski, skrzeczący dźwięk. Wybałuszył oczy, a jego ciało zaczęło gwałtownie drżeć. Thessa szarpała się w uścisku egzekutorów, próbując się wyrwać i podbiec do Axia, by jakoś mu pomóc. Nie udało jej się jednak, gdyż mężczyźni trzymali ją zbytnie mocno.

– Ty skur... – próbowała krzyknąć, ale ktoś zasłonił jej usta. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła nic zrobić. Jedyne, co mogła, to patrzeć, jak stan Axia gwałtownie się pogarsza.

Rozdrapywał skórę, której płyty odpadały pod naciskiem paznokci, pozostawiając na ramieniu krwawą miazgę. Wyglądało na to, że udało mu się pozbyć większości roztopionego szkła strachu, lecz nie przyniosło mu to żadnej ulgi. Skomlenie chłopaka stawało się coraz bardziej rozpaczliwe. Dziko przeskakiwał spojrzeniem z Thessy na nadzorcę, jakby błagając o pozwolenie na krzyk.

– Proszę – szlochał. – To tak bardzo boli. Proszę, pomóż mi! Thesso, pomóż!

– Nie odzywaj się – rozkazał nadzorca, a Axio zgrzytał zębami i kontynuował rozdrapywanie ciała. Zaczął wyrwać coraz większe kawałki mięsa, szczerząc zęby w bolesnym uśmiechu. Magna kontynuował miłym głosem, badawczo obserwując Axia. – Kolejną interesującą właściwością tego szkła jest to, że jego działanie jest trwałe. Nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje, ale wydaje się, że podczas procesu wzmacniania strachu rozkładowi ulega również umysł. Czyż to nie fascynujące? Zobacz, pozbył się już wszystkiego, a i tak popadł w obłęd.

Z ust chłopaka sączyła się piana, całe jego ciało wilo się w konwulsjach. Thessa patrzyła na niego z przerażeniem, próbując powiedzieć coś mimo dłoni kneblującej jej usta, próbując zrobić coś – cokolwiek – aby uspokoić tego nieszczęśnika. Nagle, jakby ktoś zdmuchnął świecę, jego oczy zapadły się w czaszce i upadł w bezruchu na posadzkę.

Niczym za sprawą jakiegoś sygnału ręce trzymające Thesse oderwały się o niej, umożliwiając dziewczynie rzucenie się na ziemię obok Axia. Dotknęła jego skóry, brudząc sobie krwią palce, a potem przycisnęła je do jego szyi. Nic. Cisza. Nie żył.

– Jesteś potworem – wyszeptwała.

– Twoim potworem – odparł rzemieślnik Magna, kucając naprzeciwko niej, tuż nad ciałem Axia. Uśmiechnął się nikczemnie, cholernie z siebie zadowolony. – A teraz opowiedz mi o schematach.

– Szklan się!

Widziała, jak w oczach nadzorcy narasta wściekłość. Wciąż trzymał w rękę puszczel hutniczą z masą roztopionego szkła strachu i przysuwał ją niebezpiecznie blisko twarzy dziewczyny. Słyszała, choć bardzo cicho, wydobywającą się ze szkła magię i mimo że była na nią odporna, to i tak odczuwała jej ciepło.

– Złamię cię. Uczynisz mnie bogatym albo umrzesz w bólu. Co wolisz? – wysyczał.

Zakręciło jej się w głowie, o mały włos nie zemdląła z przerażenia i wyczerpania. Spojrzała w dół na zwłoki młodzieńca, potem w górę na nadzorcę, desperacko pragnąc uczcić śmierć Kastory i Axia, plując Magnie w twarz. Nie mogła się jednak do tego zmusić. Obawa o własne życie była zbyt silna. Odsunęła się od roztopionej, śmiertelnej mazi, wciąż tkwiącej zbyt blisko jej twarzy.

Wtem wydarzyło się coś niespodziewanego. Za nadzorcą i jego dwoma zbirami powoli otworzyły się drzwi. Do środka wślizgnęła się dłoń, przylegając na chwilę do ściany i ukazując tatuaż z podwójnymi trójkątami, znak tancerzy szkła. Następnie ukazała się cała reszta i w ciągu kilku sekund w pomieszczeniu pojawił się Demir Grappo, stojąc plecami do wejścia. Wyglądał zupełnie inaczej niż wczoraj – już nie jak wesoły głupek. Miał surowy wyraz twarzy, a mocno zarysowana szczęka uwydatniała liczne blizny. Thessa zastanawiała się, czy nie oszalała. Czy to, co widzi, dzieje się naprawdę?

Demir zachowywał się absolutnie bezgłośnie. Powoli uniósł palec do ust i rozejrzał się po warsztacie, przez dłuższą chwilę nie spuszczać wzroku z Axia. W pewnym momencie Thessa miała wrażenie, że usłyszała ciche pęknięcie.

Jeden z egzekutorów zmarszczył nagle brwi, sięgnął do kieszeni znajdującej się na piersi i wyjął okulary. W oprawkach nie było już szkła. Zakłopotany, otworzył usta, gdy ciemna plama krwi rozlała się po mundurze. Z ciała jakby uleciało powietrze i z hukiem opadł na podłogę. Towarzysząca mu egzekutorka odwróciła się w jego stronę w momencie, gdy coś małego wyrwało się z ust

martwego mężczyzny, godząc kobietę w sam środek czoła. Szarpnęła nią, jakby została postrzelona, a potem również upadała.

Wszystko stało się w ciągu sekundy i Thessa wciąż analizowała to, co zobaczyła, gdy nadzorca odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na egzekutorów. Odskoczył, błędząc wzrokiem między Demirem a zwłokami dwójki podwładnych. Z twarzy odpłynęła mu cała krew, znikła też jego wyniosłość. Thessa może odczułaby jakąś satysfakcję, gdyby nie fakt, że na widok trzech martwych ciał miała ochotę wymiotować.

Nikt nie powiedział jej, że Demir Grappo jest tancerzem szkła.

Magna rzucił się w jej stronę, ale zdążyła odruchowo odskoczyć, wpadając na ścianę małego pomieszczenia, tak że Demir znajdował się po jej lewej, a nadzorca po prawej. Rzemieślnik zaklął i złapał pewniej za piszczel hutniczą, celując jej końcem w Demira, jakby to była włócznia. W warsztacie zapanowała kompletna cisza. Nikt się nie poruszał.

– No co? – mruknęła Thessa, gestykułując w stronę nadzorcy. Przeraziło ją to, że oczekiwała, iż to, co Demir zrobił egzekutorom, zrobi też Magnie.

– Zabicie kogoś takiego jak on jest trochę bardziej skomplikowane – odparł Demir, nie odrywając wzroku od nadzorcy. Był przerażająco opanowany.

– Prawda – wykrztusił z siebie rzemieślnik Magna. Dyszał ciężko i miał rozbiegany ze strachu wzrok. – Ma rację. Nie może mnie zabić. Jestem członkiem rodzinnej gildii. – Opuścił nieznacznie piszczel, ukazując krzemowy symbol. – Czekająby go konsekwencje.

– Dlatego w tej chwili rozpoczniemy negocjacje – rzucił Demir.

– Nie będzie żadnych negocjacji – odpowiedział nadzorca i wskazał na Thesę. – To moja nagroda. Nie wiem, jakie miałeś plany, ale się spóźniłeś. Ona należy do mnie. – Obdarzył Thesę chłodnym i wygłodniałym spojrzeniem. Dla niego była tylko maszyną.

– To jest człowiek – rzekł Demir, zaciskając zęby z niemal namacalną wściekłością. Zrobił krok do przodu, potem kolejny. – To istota ludzka, mająca przyjaciół, wiedzę i nadzieję, a ty traktujesz ją jak zabawkę. W ten czy inny sposób wyrwie się z tego miejsca. Dlatego daję ci dziesięć sekund na złożenie mi oferty, która

okazałaby się łatwiejsza niż zabicie wszystkich egzekutorów obecnych w tym kompleksie, co umożliwiłoby jej odzyskanie należnej wolności.

– Nie odważyłbyś się! – wysyczał rzemieślnik Magna.

– Na zewnątrz czeka Mały Montego. Myślisz, że we dwójkę nie damy rady w godzinę zrównać tego miejsca z ziemią?

Thessa nie spotkała dotychczas żadnego tancerza szkła. Co prawda słyszała opowieści, w których przedstawiano ich jako bezwzględnych zabójców, ale nigdy nie brała tego na poważnie. W tej chwili jednak, gdy wyparowała z niej już wściekłość, zaczęła się bać. Nie miała wątpliwości, że stojący przed nią mężczyzna zrobi dokładnie to, co obiecywał.

– Błefujesz – stwierdził nadzorca.

– Nie błefuje – odparła Thessa, niespodziewanie przytłoczona wizją oglądania kolejnych zwłok. – Złóż mu ofertę!

– Cztery sekundy – oznajmił Demir. Na te słowa nadzorca zadrzał, a jego oczy rozbiegły się po pomieszczeniu, z szaleństwem przypominającym to we wzroku Axia jeszcze kilka chwil temu. – Dwie. Jedna.

Magna cisnął bez ostrzeżenia puszczelą hutniczą w Demira. Nie był to mocny rzut, ale z powodu niewielkiej odległości kompletnie go tym zaskoczył. W momencie gdy metal dotknął ciała Grappa, wydał on z siebie poniżające stęknienie. Zachwiał się, potknął i upadł. Nadzorca rzucił się do ucieczki, lecz widok upadającego Demira rozbudził w Thessie pokłady wściekłości. Oparła się na dłoni i z całej siły kopnęła Magnę. Mężczyzna potknął się o zwłoki Axia i wpadł na otwarte drzwiczki od pieca. Jego ręce zaskwierczały, gdy próbował chwycić się rozgrzanej stali. Wrzasnął.

Thessa wbiła wzrok w Axia. Ten dzielny dzieciak stanął do walki z żołnierzem, by pomóc jej wydostać się z Grentu. Biedaczek chciał kiedyś wyskoczyć z nią na grzane piwo do Ossy. Chwyciła za puszczel hutniczą, skierowała twardejsze szkło strachu w stronę nadzorcy i pchnęła. Z kolejnym krzykiem mężczyzna wpadł przez drzwiczki do pieca, a ona skoczyła do przodu, żeby je za nim zatrzasnąć. Zasunęła zasuwkę, wsłuchując się w huk pięści uderzających od wewnątrz i towarzyszący mu coraz bardziej rozpaczliwy ryk. Następnie odrzuciła puszczel na bok.

– Demirze! Musimy uciekać! Szybko... – Zamarła, wpatrując się, jak Demir próbuje wstać. Miał bladą twarz i drżące kończyny. Thessa dopiero po chwili spostrzegła ostry kawałek szkła strachu nad jego obojczykiem, przepalający się przez ubranie i wystający ze skóry. – Demirze?

Grappem wstrząsnął silny dreszcz, niemal rzucając go z powrotem na ziemię. Jakimś cudem udało mu się stanąć na nogi i włożyć rękę do kieszeni. Thessa natychmiast zrozumiała, co zamierzał, i pomogła mu wyciągnąć kawałek kojącego szkła harmonii, a następnie przewlec go przez dziurkę w płatku ucha. Zataczając się, ruszył w stronę drzwi.

– Montego... ten... wielkolud... na zewnątrz – wykrztusił.

Thessa wybiegła z warsztatu. W połowie wąskiej uliczki, odwrócony do niej plecami, ze splecionymi z tyłu rękami, stał największy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. Po tkwiącym tam kilka minut wcześniej strażniku nie było śladu.

– Ty jesteś Montego? – zawołała. – Demir potrzebuje twojej pomocy!

Zanim skończyła mówić, wielki mężczyzna odwrócił się i pospieszył w jej stronę. Zaprowadziła go z powrotem do wypalarni, gdzie rzucił się natychmiast w kierunku Demira, podnosząc go jednym masywnym ramieniem. Przez chwilę rozglądał się po pomieszczeniu.

– Nie jest dobrze – burknął.

– No... co... ty... – wysapał Demir.

– Co mu się stało? – zapytał Montego.

Thessa westchnęła głęboko i skrzywiła się, napotykając spojrzenie Demira. W jego oczach dostrzegła ogromny ból oraz taki rodzaj przerażającego, dojmującego cierpienia, jakie widywała na twarzach tych, którzy przeżyli straszliwe wojny. Mimo że po założeniu szkła harmonii przestał drżeć, na jego usta wystąpiła piana, a skóra stała się trupio blada.

– Stopione szkło strachu – powiedziała do Montega, wskazując na czarną, szklistą plamę wypaloną w marynarce Demira i ostry kawałek gorącego szkła wystający z jego skóry tuż nad obojczykiem. Z oczywistych powodów nigdy nie wykuwała tego szkła, ale

przeczytała na jego temat kilka książek. Fakt, że Demir mógł jeszcze mówić, był niewiarygodny.

– Słyszałeś krzyki? – zapytała. Do jej uszu wciąż dolatywały stłumione odgłosy z wnętrza pieca.

– Bardzo słabe – odparł Montego. – Wątpię, by ktoś inny je usłyszał.

– Dobrze. Podaj mi te szczypce – rozkazała. Zepchnęła strach, gniew i obrzydzenie w kąt umysłu i zatrzasnęła za nimi drzwi, pozwalając analitycznej części swej głowy przejąć kontrolę nad ciałem. Nie miała ani chwili do stracenia. – W tym wiadrze pod stołem powinno być trochę wody. Zwilż w niej chusteczkę.

Montego wykonał polecenie, a potem podtrzymał Demira, podczas gdy ona stanęła twarzą do Grappa.

– Przepraszam – rzekła do Demira – ale to zaboli. – Nie tracąc ani chwili, przy użyciu szczypiec wyrwała mu z ciała szkło strachu, starając się ignorować jego gwałtowny wdech. Razem ze szkłem odszedł też duży płat upieczonej, białej skóry. Odrzuciła odłamek na bok. – Chusteczka – rozkazała, biorąc mokrą szmatkę od Montega i używając jej do zatamowania krwi.

– I to wystarczy? – zapytał Montego. – Damy mu teraz szkło lecznicze i kojące i z tego wyjdzie, tak? Demir, słyszysz mnie?

Oczy Demira zwróciły się w stronę Montega. Wydawał się bardziej świadomy, choć była to niewielka zmiana.

– Idź. Się. Leczyć.

– Czy to znaczy, że już z nim lepiej? – spytał Montego, załamując ręce w sposób, który wydawał się wyjątkowo niepasujący do jego przerażających rozmiarów.

– Niestety nie – odparła Thessa, delikatnie naciskając na kompres. – Szkło strachu różni się od większości szkieł bożych, dlatego jest tak niebezpieczne. Pozostawia ślad na umyśle, nawet gdy usunie się fizyczny odłamek z ciała. Gorzej byłoby, gdyby zetknął się z całym kawałkiem, ale za dobrze też nie jest.

Wyraz zrozumienia na twarzy Montega przerodził się w przerażanie.

– Tak mu już zostanie?

– Chyba że to odwrócimy. – Thessa zagryzła wewnątrz policzka. W myślach przeglądała wszystkie teksty, które lata temu kazał jej

czytać Kastora, próbując przypomnieć sobie najważniejsze informacje. – Potrzebuję dostępu do wypalarni. – Rozejrzała się dookoła i niemal się roześmiała. – Ale nie tej.

Demir wydał z siebie okropny odgłos zasysania, więc spojrzała na niego i zobaczyła, że stara się coś powiedzieć. Delikatnie przesunęła jego głowę w prawo.

– Prosotsi. Wozownia – wysapał.

– Też o tym pomyślałem – rzekł Montego.

Thessa popatrzyła na nich.

– Nie rozumiem. Prosotsi to nazwisko rodzinnej gildii, tak?

– Tak – wyjaśnił Montego. – Są sojusznikami Grappów.

A Wozownia to mała, ale dobrze wyposażona huta szkła. Należy do kogoś, komu możemy zaufać. Jeśli się pospieszymy, dotrzemy tam za około godzinę.

– Ale jak się stąd wydostaniemy? – zapytała Thessa, zerkając z ukosa na Demira. Znowu zaczął się trząść, tym razem tak gwałtownie, że z trudem utrzymywała go w pionie, dodatkowo z kącika ust sączyła mu się piana. Zdawał się z tym walczyć, zaciskając dłonie w pięści, a od czasu do czasu w jego oczach pojawiały się też chwilowe przebłyski świadomości. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem nadal stał na nogach. Dziwiło ją to, bo Axio przyjął znacznie mniejszą dawkę i po takim czasie już dawno nie żył.

Montego milczał jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową.

– Zajmę się tym, ale musisz mi zaufać.

– Co masz na myśli? – spytała Thessa, cofając się.

Montego zabrał się do działania, ignorując jej pytanie. Szarpnął za drzwiczki od pieca, a do pomieszczenia buchnął dym wraz z intensywnym odorem spalonych włosów i ciała. Thessa zdawało się, że dostrzegła zwęgloną dłoń, i szybko odwróciła wzrok, podczas gdy Montego chwycił za płonącą belkę i zaczął podpalać wszystko, co znajdowało się w warsztacie: korkowe pokrycie ścian, skrzynię, ubrania egzekutorów. W kilka sekund przestrzeń wypełniła się dławiącym dymem.

Thessa chciała już spytać, jak może mu pomóc, gdy wyrwał spod stojącej w rogu skrzyni płócienny brezent i spojrzał z powagą w jej oczy.

– Zachowaj spokój – powiedział.

– Co... – zaczęła, ale zdążył już zarzucić jej płachtę na głowę. Zanim zdołała o czymkolwiek pomyśleć, poczuła, jak ją unosi, zupełnie jakby ważyła tyle co dziecko, i przerzuca sobie przez ramię. Następnie przygniótł ją ciałem Demira, a ona stłumiła jęk, czując jego ciężar. Rozległ się huk i powiało chłodnym powietrzem.

– Zdarzył się straszny wypadek! Pali się, pali! – krzyczał Montego, pędząc z zawrotną prędkością i nie zatrzymując się, nawet gdy mijali zaskoczonego kapitana egzekutorów, który wykrzykiwał w jego kierunku jakieś pytania. W odpowiedzi Montego wrzasnął tylko: – Jeden z twoich przeklętych ludzi oszalał! Zamordował Filura, a Demir jest ciężko ranny. Zgaście ten ogień!

Thessa poczuła, jak ktoś ponownie ją unosi i dosłownie wrzuca na coś twardego, nie odwijając z brezentu. Rozpoznała skrzypiący dźwięk powozu, ale nie odważyła się ruszyć.

– Z drogi, cholerni nikczemnicy! Z drogi, jeśli życie wam miłe! – wrzeszczał Montego. Powóz ruszył niespodziewanie, a Thessa zaczęło gwałtownie bujać. Zebrała się na odwagę i wyswobodziła z plandeki. Leżała na deskach powozu obok Demira, Montego siedział na ławce nad nimi, a w oknach szybko znikwały mury więziennego kompleksu.

Odetchnęła z ulgą, była wolna. Jej radość trwała jednak dość krótko, bo zauważyła, że spojrzenie Demira stało się nieobecne. Usiadła i przyciągnęła go do siebie, kładąc jego głowę na swych kolanach. Nie miała pojęcia, czy wiedział, gdzie się znajduje i kto przy nim jest. Ujęła jego twarz w dłonie i szeptała do niego, mając nadzieję, że w jakiś sposób pomoże mu to ukoić umysł.

Nie myślała już o nim jako o bezwzględnym mordercy, którego widziała z tamtym lodowatym spojrzeniem, ale o osobie, która sprzeciwiła się nadzorcy i potraktowała Thesę jak istotę ludzką, uwalniając ją bez względu na konsekwencje. Spełnił swą obietnicę. Ocalił ją.

A jeśli się nie pospieszą, to straci jedynego przyjaciela, jaki pozostał jej jeszcze na tym świecie.



Thessa trzymała głowę Demira na kolanach, nieprzerwanie szepcząc mu do ucha słowa otuchy i próbując powstrzymać go przed udławieniem się własnym językiem. Dodatkowy kawałek szkła harmonii otrzymany od Montega zdawał się pomagać w spowalnianiu szaleństwa.

Minęła niemal wieczność, nim powóz wreszcie się zatrzymał. Montego otworzył drzwi i ostrożnie wziął Demira na ręce. Byli w niewielkiej wiosce, usytuowanej na wietrznym zboczu, otoczonej kilometrami pól uprawnych. W samym centrum miejscinki stała huta wyglądająca na dość chaotyczną, acz przytulną, z dwoma kominami, z których ulatywał gęsty dym. Montego otworzył kopniakiem drzwi do warsztatu i wydarł się, czym zaskoczył pracujących w środku hutników.

– Wszyscy na zewnątrz! Ty, oczyść stoły! Ty, zadbaj o zapas drewna do utrzymania ognia! Ty, znajdź mi rzemieślnika Prosotsiego!

Thessa podążyła za Montegiem, dziwiąc się, że wszyscy go tam znają. Mimo początkowego zamieszania trzech hutników szybko

wykonało jego polecenia, ściągnając ze stanowisk bieżące projekty, wyciągając z pieca tygle z roztopionym żaropiachem i robiąc miejsce dla nowych. Thessa nie czekała na pozwolenie, od razu rzuciła się w wir pracy. Najpierw omiotła swym hutniczym spojrzeniem wnętrze wypalarni, poznając rozmieszczenie narzędzi i szybko odnajdując składy żaropiachu – wraz z informacją, skąd wydobyto poszczególne worki – oraz rzędy małych słoików z niezbędnymi domieszkami. Otwierała je jeden po drugim, mrużąc pod nosem:

– Złoto, miedź, selen. Och, mangan. Połóż go w jakimś wygodnym miejscu. Czekaj! Powinniśmy nieustannie z nim rozmawiać. Rozłóż koc na tamtym stole, a potem ułóż go na nim. Zagaduj go. To jest jak... – Pstryknęła palcami, próbując przypomnieć sobie fragmenty starych podręczników. – Jak czuwanie na mrozie, z tą różnicą, że ryzykujemy, iż jego umysł pęknie z nadmiaru strachu.

Najszybciej, jak potrafiła, wymieszała żaropiach z niewielką ilością każdego z dodatków, a następnie przy użyciu długich szczypiec ustawiła każdy z tygli we wnętrzu pieca. Gdy tylko to zrobiła, ponownie przeszła przez warsztat, upewniając się, że wie, gdzie znajdują się wszystkie niezbędne narzędzia, i bez ryzyka potknięcia będzie mogła przemieszczać się po nieznanym przestrzeni. Później podeszła do Demira, do którego Montego mówił coś kojącym głosem.

– Rozumiesz, co do ciebie mówimy? – zapytała Thessa, chcąc się upewnić, że nie odpłynął za daleko od ich ostatniej rozmowy.

Spojrzenie Demira oderwało się od Montega i powędrowało w jej kierunku. Na dłuższą chwilę zapanowała cisza, a kąciki jego oczu poruszyły się, jakby wkładał w to ogromny wysiłek umysłowy.

– Proszę... Powiedz... Montegowi... Niech... Nie... Mówi... Do... Mnie... Jak... Do... Dziecka... – Na końcu tego urywanego zdania pojawił się uśmiech, na widok którego Thessa odetchnęła z ulgą.

– Dobrze, już dobrze.

W drzwiach pojawił się jeden z hutników Prosotsiego. Na paluszkach podszedł do Montega i szepnął mu do ucha kilka zdań, choć nie na tyle cicho, by nikt inny nie mógł tego usłyszeć.

– Rzemieślnik Prosotsi wyjechał dziś do Ossy. Wróci dopiero za kilka godzin. Czy jest pan pewien, że to dobry pomysł, aby jakaś

obca osoba zarządzała w tym czasie hutą szkła?

– A wiesz, jak cofnąć działanie szkła strachu? – zapytała Thessa, lekko poirytowana.

Hutnik zerknął na górną część torsu Demira, gdzie zakrwawiona chusteczka nadal zakrywała ranę.

– Ach – rzucił. – Nie, nie wiem. Proszę kontynuować. Rzemieślnik Prosotsi z pewnością oddałby wszystko do dyspozycji pana Demira i pana Montega.

– Przyniesź nam czyste płótno – rozkazał Montego. – I najlepszy kawałek szkła leczniczego, jaki macie pod ręką. Leć!

Gdy hutnik zniknął w drzwiach, Thessa ponownie skupiła uwagę na Demirze. Pochyliła się nad nim, wpatrując się najpierw w jedno, a następnie w drugie oko, nie do końca wiedząc, czego w nich szuka. Wciąż miał w uszach kolczyki ze szkłem harmonii, zarówno swoje, jak i te należące do Montega.

– Jak się czujesz?

– Jakbym... Tonął...

– Ale lepiej czy gorzej niż poprzednio?

Można było odnieść wrażenie, jakby zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, a jego spojrzenie na przemian skupiało się i rozpraszało.

– Woda... Nie jest... Tak bardzo głęboka... Ale boję się... Wszystkiego... Słyszę ich krzyki... Cywile... Widzę twarz tej małej dziewczynki... – Do oczu napłynęły mu łzy, a gdy zamrugał, potoczyły się po policzkach.

Thessa nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

– Uda ci się. Pokonasz strach – odparła, biorąc go za rękę i mocno ściskając. Odwzajemnił uścisk, co bardzo ją uradowało. – Jesteś w gronie przyjaciół. Masz mnie i Montega, który jest tuż obok. Nie pozwól, by strach doprowadził cię do szaleństwa. Pracuję nad tym, by... Pracuję nad sposobem, aby cię z tego wyciągnąć. Nic nie mogę obiecać, ale... – Wzdrygnęła się, żałując, że to powiedziała. – Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Demir zamknął oczy i otworzył je, dopiero gdy Montego lekko nim potrząsnął.

– To... Wyczerpujące... – wyznał niepewnie. – Tak się... Bać... Znów...

Znów? Czy już wcześniej miał do czynienia ze szkłem strachu? Czy to dlatego tak długo udało mu się przetrwać? – zastanawiała się Thessa.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedziała, mocniej ściskając jego dłoń. – Tak działa szkło strachu. Sprawia, że boisz się o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Sprawia, że twoje ciało chce gdzieś uciec, ale nie wie dokąd. Dzieje się tak do czasu, aż pęknie serce lub umysł. Jeśli uda nam się temu zapobiec, to... Co cię tak śmieszy?

Demir zaczął się trząść, wydając z siebie lekko świszczący śmiech. Przez dłuższą chwilę patrzył na Montega, a potem spojrział z powrotem na Thesę. Gdy złapała już jego wzrok, zbliżyła się.

– Co cię tak śmieszy? – powtórzyła.

– Nadal nie jest tak... Żle... Jak... – Urwał, a jego oczy odpłynęły gdzieś na moment. Wzdrygnął się. – Dobra... Może ciut... Gorzej...

– Nie mów, jeżeli sprawia ci to ból, ale skup się na jednym z nas. – Thessa odeszła od niego na tyle długo, by sprawdzić tygł rozgrzewające się w piecu. Ich zawartość była już niemal roztopiona. Pomieszała w nich czystym prętem i wróciła do Demira. Odetchnęła głęboko, starając się zachować spokój i przygotować na to, co miało nastąpić. Podniosła wzrok i dostrzegła, że Montego przygląda jej się badawczo.

– Robiłaś to już kiedyś? – zapytał cicho.

Pokręciła przecząco głową.

– Znam to tylko z teorii. Zamierzam wykuć poczwórny splot w piecu, przy którym nigdy wcześniej nie pracowałam, używając drewna i żaropiachu, którego pochodzenia nie mogę w żaden sposób zweryfikować. To zadanie wymaga mistrzowskich umiejętności, a stawką jest życie człowieka, który właśnie uratował mnie przed losem gorszym niż śmierć. Czy on... czy on znów się śmieje?

Demir leżał na znajdującym się między nimi stole, wydając z siebie ochrypły, świszczący chichot.

– Ma grobowe poczucie humoru – odparł Montego.

– Mam nadzieję, że utrzyma go ono z dala od śmierci i postradania zmysłów, do czasu aż nie uda nam się odwrócić działania tego szkła. Jeśli – dodała cicho – w ogóle nam się to uda. – Niespodziewanie zdała sobie sprawę, że nie wszystko zostało

wyjaśnione. Nachyliła się w stronę Montega. – Przepraszam, ale to wszystko potoczyło się tak strasznie szybko. Czy nie jesteś przypadkiem Małym Montegiem?

– Poznajesz mnie?

– Wnioskuje na podstawie twojego imienia. Nie śledzę rozgrywek cudgelingu, ale mój mistrz nieustannie o tobie opowiadał. Był bardzo dumny, że udało mu się zobaczyć twoją ostatnią walkę.

Montego poprawił stójkę marynarki. Wyglądał na ukontentowanego.

– Demir, słyszałeś to? Kojarzy mnie – powiedział, niezbyt delikatnie klepiąc przyjaciela w nogę.

Demir jęknął z bólu.

– Jebany... Atencjusz...

Thessa sprawdziła ponownie tygłe, po czym odwróciła się do Montega i Demira.

– Już czas – stwierdziła.

Przygotowywała się jeszcze przez chwilę, a potem zabrała się do pracy. Zaczęła od stworzenia szkła leczniczego z roztopionego żaropiachu, wałkując zakrzywiony kawałek o długości około dwóch i pół centymetra i grubości zbliżonej do stalowego drutu. Rezonans ciągle jej umykał, więc powtarzała tę czynność, aż maleńki odłamek szkła stał się zbyt sztywny, by mogła z niego skorzystać. Pozbyła się go i zaczęła od nowa. Dopiero po trzech próbach udało jej się uzyskać taki, z którego była zadowolona; dała mu kilka minut na stwardnienie, podczas których skupiła się na wykuwaniu szkła artystycznego, owijając je następnie wokół tego o wartościach leczniczych. Cudem udało jej się to za pierwszym razem, ale rezonans zgubił się gdzieś, gdy próbowała dodać do nich szkło dyscypliny. Wyrzuciła wszystko i zaczęła od nowa. W trakcie pracy wyjaśniała każdy krok, pozwalając na to, by głos koił jej nerwy.

– Już kiedyś to zrobiono, choć sama nigdy jeszcze tego nie próbowałam – tłumaczyła im. – Szkło lecznicze służy jako rdzeń, próbujemy go w końcu uleczyć, a wokół niego owija się szkło artystyczne oraz szkło rozumu i dyscypliny. Szkło artystyczne i szkło dyscypliny uplastyczniają umysł, aby zaakceptował leczenie, które próbujemy na nim zastosować, zaś szkło rozumu pomaga magii do niego dotrzeć. – Skrzywiła się, bo popełniła błąd i musiała ponownie

zacząć od nowa. – To wszystko to oczywiście teoria. Podobno to działa, ale mogę tylko przypuszczać jak i dlaczego. Hutnicy różnie do tego podchodzą. Niektórzy twierdzą, że wykuwanie to czysta nauka. Inni, że sztuka. Sądzę, że obie strony mają swoje racje. Widziałam, jak kompletnie szaleni hutnicy tworzyli fantastyczne, wysokorezonansowe szkła boże, używając najbardziej podłych składników. Nie uważam się za artystkę, ale jeśli powiesz mi, z czym pracuję i co dokładnie mam z tym zrobić, to w końcu to zrobię.

Przy użyciu hutniczego miecha próbowała rozgrzać lejek, raz po raz podgrzewając kawałki szkła. W końcu zdrętwiała jej noga. Zmieniła ją na drugą, a ostatecznie poleciała jednemu z praktykantów, by jej w tym pomógł.

Nieustannie zaczynała od nowa, niemalże nie dostrzegając hutników przynoszących szkło lecznicze dla Demira. Zignorowała też przybycie właściciela huty. Montego wziął go na bok, aby nie przeszkadzać Thessie w pracy. Mijały minuty, a potem godziny. Pochylona wsłuchiwała się w rezonans magii, próbując połączyć cztery kawałki szkła bożego w jeden. W chwili nadzwyczajnej jasności umysłu zdała sobie sprawę, że to, co robi, można przyrównać do pracy kompozytora, który próbuje połączyć nuty, poszukując właściwych dźwięków.

Zapadł zmrok. Warsztat oświetlały latarnie gazowe i piece, w których bez słowa sprzeciwu hutnicy Prosotsiego podtrzymywali płomienie. W pewnym momencie właściciel huty przystanął i przez prawie godzinę obserwował, jak pracowała. Nie odezwał się do niej słowem.

Mieszała kolejne kawałki szkła leczniczego, wyrzucając dziesiątki z nich z powodu wad.

Nie miała pojęcia, która wybiła godzina, kiedy rezonanse wreszcie się zgrały. W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie popełniła jakiś błąd; że udało jej się jedynie spleść trzy rodzaje szkła bożego bez uszczerbku na ich magii. Ale trzymając w wyciągniętej dłoni zakrzywiony, jeszcze ciepły kawałek szkła, zauważyła, że połączyły się wszystkie cztery i szumiały potężnie, wibrując w opuszkach jej palców. Pospiesznie podeszła do Demira.

Montego oparł głowę na stole, tuż przy ramieniu Demira, jego ciało opadało ze zmęczenia, choć wciąż szeptał coś przyjacielowi

łagodnym tonem. Grappo miał przymknięte oczy, ale jego oddech był ciężki i przyspieszony. Thessa zapaliła latarnię wiszącą nad ich głowami i zdjęła z Demira niedawno zmieniony, wilgotny kompres. Średniorezonansowe szkło lecznicze zapewnione przez hutników Prosotsiego wykonało niesamowitą robotę – oparzenie nadal nie wyglądało najlepiej, lecz sprawiało wrażenie, jakby goiło się już przeszło tydzień.

Gdy Thessa stanęła nad nimi, Demir przez krótką chwilę skupił na niej uwagę. Wydał z siebie nieokreślony dźwięk, zakończony czymś w rodzaju zapytania.

– Oto najwyższej jakości wysokorezonansowe, plecione szkło boże – powiedziała. – Nie wiem, czy zadziała tak, jak tego oczekujemy, ale... – Nie dokończyła. Zamiast tego wsunęła je w uchylone wargi Demira i za pomocą drugiej ręki przytrzymała jego szczękę tak, aby utrzymał je między zębami. – Staraj się trzymać je w jednym miejscu, nie zagryzaj. Nie chcę wygrzebywać później potłuczonego szkła bożego z twoich ust.

Demir zrobił tak, jak mu poleciła. W tym czasie Thessa przeszukała warsztatowe stoły, aż znalazła kieszonkowy zegarek pozostawiony przez jednego z hutników. Sprawdziła godzinę. Była prawie szósta rano. Bez odpoczynku, jedzenia czy picia pracowała przy piecu niemal dwadzieścia godzin non stop. Wyrzuciła tę myśl z głowy i skupiła się na wskazówce odliczającej upływające sekundy. Przeskakiwała co jakiś czas wzrokiem z zegarka na ranę Demira i z powrotem. Przez chwilę wydawało jej się, że nic się nie dzieje. A potem bardzo powoli, lecz zdecydowanie, oparzenie zaczęło się zasklepiać. Tkanka odbudowywała się tam, gdzie odeszła wraz z wyrwanym z ciała szkłem strachu. Nowa skóra, różowawa i pomarszczona, wolno zrastała się, zamykając ranę.

Wraz z działaniem magii dostrzegła też rozrastające się na piersi mężczyzny łuski szklanego trądu. Mieniły się w świetle lamp, z każdą sekundą stając się coraz bardziej wyraziste. Starła je dłonią, ale po chwili odrosły na nowo. Minęła minuta. Półtorej. Dwie. Gdy zegarek wskazał upływ dwóch i pół minuty, Thessa wyjęła szkło boże spomiędzy zębów Demira i znalazła wyłożone korkiem pudełko, do którego je włożyła. Wróciła do Grappa i musnęła palcami różowawą bliznę, która jeszcze kilka minut temu była

paskudnym poparzeniem. Demir miał zamknięte oczy, lecz jego oddech się uspokoił. Sprawdziła mu puls. Był w normie. Jego usta poruszyły się nieznacznie, a Thessa pochyliła się, żeby usłyszeć, co chce jej powiedzieć.

– Jestem ocalony – wyszeptał.

Thessa miała wrażenie, że z jej ciała ulatuje całe napięcie. Gdyby nie opierała się o stół, mogłaby upaść na podłogę. Wsparła na chwilę głowę o nagi tors Demira i zdała sobie sprawę, że czuje ból w każdej tkance ciała. Nie zważając na ciężkie buty i fartuch, które miała na sobie, położyła się na stole tuż obok Grappa, zamknęła oczy i zasnęła.



Idrian dostał ośmiogodzinną przepustkę – co w sytuacji, gdy cała Legia Cudzoziemska wycofywała się z Grentu, nie było niczym trudnym – aby udać się do Ossy i dostarczyć szkło błysku do hotelu Hiacynt. Konsjerż poinformował go, że spotkanie z Demirem nie jest w tej chwili możliwe, ale pozwolił mu zanieść skradziony okaz do gabinetu Grappa i obiecał, że hotelowa oficerka osobiście zadba o jego bezpieczeństwo. Idrian opuścił hotel, odczuwając niepokój i żalując, że nie mógł przekazać zdobyczy w ręce Demira. Nic jednak nie mógł z tym zrobić. Musiało mu to wystarczyć. Gdy za szklanym okiem pojawiło się śwędzenie, wiedział już, że nadchodząca bitwa rozegra się szybciej, niż by sobie tego życzył.

Do obozu Legii Cudzoziemskiej, znajdującego się za zachodnimi przedmieściami Ossy, dotarł późnym popołudniem. Były tam też trzy inne brygady, które otrzymały rozkaz przeniesienia swoich wojsk na Miedziane Wzgórza. Miejsce to charakteryzowało się pofałdowanymi polami uprawnymi, jałowymi podczas zimy, z mnóstwem udogodnień dla pozycji obronnych i pagórków dla baterii artyleryjskich.

To właśnie na jednym z takich pagórków na prawej flance Idrian znalazł Stalowe Tarany. Żołnierze i inżynierowie, wyposażeni w krótkie wojskowe łopaty, kopali rowy i stawiali palisady w celu ochrony siedmiu wielkich dział i czterech moździerzy, podczas gdy artylerzyści odbywali ostatnie ćwiczenia, aby upewnić się, że zarówno oni, jak i ich broń sprawują się jak najlepiej. W całej okolicy roilo się od wojska i personelu pomocniczego – były tam nawet ossańskie kompanie rezerwowe Gwardii Narodowej. Tancerze szkla wędrowali po zboczach, zapoznając się z terenem i występującymi tu podmuchami wiatru.

Chociaż Idrian wolał znaleźć się w samym środku walk, widział ulgę na twarzach swoich kompanów. Podczas oblężenia Grentu stali w pierwszej linii frontu, zdobywali mosty, wznosili barykady i rzucali granaty. Tutaj, na otwartym polu, inżynierowie nie byli już tak potrzebni. Mogli zadowolić się jedynie pracą fizyczną pod fachowym okiem Miki, z czego większość z nich nawet się cieszyła. To była miła odmiana. Regularna piechota ruszy na front, a Idrian wraz ze Stalowymi zajmie się ochroną artylerii.

– Jak to wygląda? – zapytał Idrian, wkraczając do obozu, gdzie Tadeas i Mika prowadzili ożywioną dyskusję w płóciennym pawilonie.

Tadeas spojrzał w jego stronę, dając Mice okazję do wykonania obraźliwego gestu nad jego ramieniem.

– Widziałem to – rzucił do niej i odpowiedział Idrianowi: – Większość wycofała się już z Grentu. Mamy tu solidną pozycję obronną; jeśli Kerite spróbuje nas obejść, straci na to co najmniej tydzień.

– Stavri nie chce przejść do ofensywy?

– Nie widzi takiej potrzeby i tym razem wyjątkowo się z nim zgadzam. Niech Kerite sama do nas przyjdzie.

– Ile mamy czasu?

– Jeśli zaatakuje nas z marszu, to pewnie ze dwa dni. Jeśli postanowi trochę z nas zadrwić, może to potrwać nieco dłużej.

– Założę się, że nastąpi to raczej wcześniej niż później.

– Znowu swędzi cię oko?

Idrian skinął głową.

– Szkłorwa – odparł Tadeas. – Nie jest to może typowy szósty zmysł, ale jeszcze nigdy nas nie zawiódł. Chyba byłoby lepiej, gdyby twoi saperzy podziałali jeszcze przez noc, Mika.

Mika przewróciła oczami.

– A niech to szkło. Dobra, niech ci będzie, ale uprzedzam, że zamierzam zaprząć kilku żołnierzy Gwardii Narodowej do pomocy. Policjanci, którym kazano bawić się w żołnierzy, ubrudzą sobie trochę czyściutki rączki.

– Wyślę w tej sprawie posłańca do najbliższego pułku – odrzekł jej Tadeas.

Idrian wspiął się na wzgórze kilka metrów dalej, aby rozejrzeć się po okolicy i dostrzec najdogodniejsze miejsca dla wroga próbującego zdobyć baterię artyleryjską. Kiedy tylko rozpocznie się walka, będzie musiał skupić się właśnie na tych obszarach. Gromiciel najlepiej radził sobie w ofensywie, ale nie oznaczało to, że nie poradzi sobie z łataniem dziur w obronie, gdy tylko pojawi się taka potrzeba.

Wrócił do namiotu, w którym Tadeas wznowił już uprzednio przerwana kłótnię z Miką.

– Chcę, żebyś rozłożyła miny tu, tu i tu – nalegał Tadeas, wskazując na częściowo ukończoną siatkę obrony.

– Ale przecież tłumaczę ci, że to bez sensu – zaproponowała gwałtownie Mika. – Jeśli umieścimy je tu, to każda z nich zapewni nam co najmniej dwie dodatkowe ofiary we wrogich wojskach, a od tego zależy moja reputacja.

– Masz w ogóle jakąś reputację poza tą uznającą cię za szaloną kobietę od materiałów wybuchowych? – zapytał Idrian. Gdy obróciła się gniewnie w jego stronę, zbył ją żartobliwym machnięciem ręki. – Tadeasie, wiesz dobrze, że spór z Miką jest bezcelowy. Miny to jej działka.

Tadeas prychnął i odwrócił głowę, by splunąć.

– Dobra. Idź i upewnij się, że wykopali wystarczająco głębokie rowy. – Udał, że chce ją kopnąć w tyłek, kiedy czmychnęła z namiotu, ciesząc się ze swojego zwycięstwa.

Idrian opadł na obozowe krzesło Tadeasa i nacisnął palcami na wykonane ze szkła bożego oko. Skądś, jakby zza kolejnego wzgórza, docierał do niego dziecięcy śmiech. Zaczynał się już do

niego przyzwyczajając, ale świadomość, że nie działa się to naprawdę, niczego nie ułatwiała.

– Myślisz, że Kerite ma szansę nas pokonać?

Tadeas zassał powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Nie przegrała żadnej bitwy, a przynajmniej takie krążą plotki. Od zawsze wiedziała, jak zapewnić sobie dobry rozgłos. – Wykonał lekceważący gest. – Generał Stavri twierdzi, że uda nam się odeprzeć każdy z jej ataków.

– A z czym będziemy musieli się zmierzyć?

– Ze Smokami Kerite, czyli armią składającą się z około dziesięciu tysięcy żołnierzy piechoty, Gromicieli i tancerzy szkła, jak również z tym, co książę Grentu użyczył jej ze swojego wojska. Myślę, że... Myślę, że damy sobie radę.

Idrian znał Tadeasa wystarczająco długo, by dostrzec tłącą się w nim niepewność. Wiedział też, że nie ma sensu go naciskać. Zmuszanie Tadeasa do opowiadania o obawach w niczym by im nie pomogło. Gdy przyglądał się, jak przyjaciel przechadza się tam i z powrotem, z dołu wzgórza przybył Braileer. Płatnerz niósł tarczę Idriana i z dumą mu ją wręczył.

– Miałem wreszcie okazję popracować przez kilka godzin w kuźni, panie – oznajmił. – Wymieniłem płytki ze szkła bożego i wybiłem te głębokie wyłobienia tu i tam. Zastąpiłem też zużyte szkło mocy, dzięki czemu nie lata już tak bardzo jak przedtem.

Idrian przyjrzał się naniesionym poprawkom. Nie były one wykonane jakoś nadzwyczaj dobrze, ale wyglądały o niebo lepiej niż to, co Braileer zrobił poprzednio.

– Ależ mi to ich latanie działało na nerwy. Dobra robota.

Braileer się rozpromienił.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym wyciągnąć dziś wieczorem moje skrzypce, panie. Jest taka możliwość?

– Tad, mamy jakieś rozkazy nakazujące zachowanie ciszy nocnej?

Tadeas pokręcił głową, a Idrian skinął do Braileera.

– No to działaj. Może podniesie to nasze morale.

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie – rzekł Braileer. – Pojawiły się tu dziś dwie kobiety. Żołnierka z inżynierką.

– Squeaks i Fenny? – zasugerował Idrian.

– Tak, to one. Przyniosły panu to. W podziękowaniu za uratowanie Squeaks spod gruzów.

Idrian wyciągnął rękę i chwycił za parę rękawiczek wykonanych z cielej skóry. Ku jego zdziwieniu były wyśmienitej jakości, podobne można było znaleźć w kieszeniach oficerów z bogatych rodzinnych gildii.

– Nie mogę ich przyjąć – stwierdził. – Musiały wydać na nie dwutygodniową pensję. Poza tym tamtej nocy wiele osób pomagało przy kopaniu, w tym również i ty. – Próbował zwrócić je Braileerowi.

– Ta wyższa, zakładam, że była to Squeaks, powiedziała, że tak właśnie pan zareaguje. Z całym szacunkiem, panie, ale pozwolę sobie zacytować jej słowa, w których to oznajmiła, że jeśli spróbuje pan odmówić ich przyjęcia, ma pan sobie je wcisnąć w dupę, bo sama je zrobiła.

Idrian potarł skórę, z której zostały wykonane, i zdał sobie sprawę, że nie słyszy już odległego śmiechu. Objawy jego szaleństwa zwykły znikać w takich właśnie momentach. Wsunął jedną z rękawiczek na rękę. Pasowała jak ulał.

– Nie przejmuj się przygotowaniem dla mnie dzisiejszej kolacji, Braileer, i leć po skrzypce. Stalowym przyda się trochę rozrywki przed bitwą.

– Tak jest, panie!

Idrian obserwował, jak Braileer pędzi z powrotem w dół wzgórza, po czym odwrócił się i ujrzał wpatrującego się w niego Tadeasa.

– Od dziesięcioleci tkwię w tym krwawym biznesie, a ludzie i tak potrafią mnie czymś zaskoczyć – oświadczył Idrian.

– Pewnie dlatego nadal to robisz – skwitował Tadeas.

Idrian spuścił wzrok na rękawice z cielej skóry.

– Robię to, bo zaprzedałem duszę Legii Cudzoziemskiej, aby wydostać się z wyżyn w Marn. I dlatego, że Legia Cudzoziemska sfinansowała pracę Kastory nad moim okiem – odpowiedział, dotykając go delikatnie.

– Bzdura. Może i był to powód, dla którego się w to wplątałeś, ale nie wierzę, żebyś to porzucił, gdy nadejdzie czas oddania nieśmiertelnika. Zostało ci zaledwie kilka tygodni, co nie?

– Dziewiętnaście dni – odparł Idrian. – I możesz w to nie wierzyć, ale odejdę w siną dal. – Mógł niemal poczuć tę wolność, zupełnie jakby dzieliło go od niej zaledwie kilka kroków. – Odbiorę premię i wyjadę na prowincję, gdzie ziemia jest tania jak barszcz, a wino nie kosztuje praktycznie nic, i będę gapił się na krzewy w mojej winnicy, aż się zestarzeję i umrę z uśmiechem na ustach. – Taki w każdym razie był jego plan, ale sprawa z okiem dość mocno wszystko komplikowała.

– I zamierzasz pracować na tej winnicy? – zapytał Tadeas. Idrian podrapał się po policzku.

– Wydaje mi się, że zaproponowałeś mi kiedyś sfinansowanie grupy pracowników, jeśli zdecyduję się na zakup ziemi.

– Liczyłem, że o tym zapomnisz.

– Nie zamierzasz przejść na emeryturę? – zagadnął Idrian.

– E tam, po prostu jestem skąpy. Może poproszę mojego siostrzeńca o pożyczkę. Wiem, że zajmował się jakimiś lewymi interesami na prowincji i dorobił się cholerniej fortuny. – Tadeas dopiero teraz zauważył, że Idrian zajął jego krzesło. Westchnął. – Jak się w ogóle czujesz?

– Wciąż dość obolały po tej morderczej ucieczce z pałacu – przyznał Idrian.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że udało ci się wydostać przez komin.

– Ja też w to nie dowierzam. Chyba nigdy w życiu nie używałem tyłu mięśni. – Pochylił się, by pomasażować golenie. – Gdy byłem w Ossie, powinienem udać się na jakiś masaż.

– Dostarczyłeś paczkę?

– Breenen kazał mi zostawić ją w gabinecie Demira. Nie do końca mi się to podobało, ale nie miałem większego wyboru.

– Breenen to dobry człowiek. Zadba o to, żeby była bezpieczna. Natknąłeś się może na hotelową oficerkę Hiacynta? Bardzo atrakcyjna kobieta.

– Już mi o niej wspominałeś. To wnuczka Kirkovika, tak? – Idrian pokręcił przecząco głową. – Jest dla mnie zdecydowanie za młoda. – Zmrużył oczy, spoglądając na zamyślonego Tadeasa. – Dla ciebie też.

– Jak możesz? – odpowiedział Tadeas. – Młodsze kobiety uważają mnie za fantastycznego towarzysza.

– Tak, do momentu, aż skończy ci się miesięczna wypłata. Kiedy po raz ostatni spotykałeś się z kimś w swoim wieku?

– Podczas ostatnich prób Adriany, by mnie zeswatać – odparł tęsknie. – To było pewnie jakoś... sześć lat temu? Nazywała się Plagni. Miała głos jak sierżant musztry i nogi wielkie niczym pień. – Spojrzał w niebo na snujące się po nim chmury. – Będzie mi brakowało Adriany i jej starań, aby mnie z kimś ożenić – dodał cicho, lecz na tyle głośno, żeby Idrian mógł to usłyszeć.

Idrian przytaknął. Od czasu ich poznania Tadeas był już trzykrotnie żonaty i żadne z tych małżeństw nie skończyło się najlepiej. Gromiciel spotkał na swej drodze wiele kobiet, nigdy jednak nie zdecydował się na ślub. Małżeństwo to nie domena zawodowych żołnierzy. Ich życie było zbyt niebezpieczne, a miejsce pracy zbyt odległe. Dla Tadeasa jedynym stałym związkiem, poza tym z wojskiem, pozostawała relacja z Adrianą, jego siostrą. Jak będzie sobie teraz radził, skoro jej już nie ma?

To było pytanie na inny dzień. Tadeas, podobnie jak Idrian, odkładał żałobę na koniec wojny. Może i było to niezdrowe, ale konieczne. W przeciwnym razie przeszkodziłoby mu to we właściwym wywiązywaniu się z obowiązków dowódcy kompanii.

– Może Demir przejmie po niej pałeczkę – zasugerował Idrian. – I zaczniesz szukać dobrej partii.

– Ha, kto wie! W końcu to on jest teraz patriarchą rodzinnej gildii. Muszę mieć oczy szeroko otwarte, bo mimo że Adriana starała się ciągle mnie z kimś zeswatać, robiła to dość jawnie, Demir zaś może posunąć się do podstępu. Zapamiętaj sobie moje słowa. Pewnego dnia pójdę na imprezę i obudzę się zaślubiony z kimś z Vorcienów. – Westchnął i odwrócił się do Idriana. – Zapomniałem ci o czymś powiedzieć – rzucił z kwaśną miną.

Idrian uniósł brew. Wiedział, że ten wyraz twarzy Tadeasa oznaczał nic innego jak tylko złe wieści.

– Jeden z członków sztabu generała Stavriego pojawił się tu zaraz po naszym przybyciu – kontynuował major Grappo. – Zadał mi kilka bardzo szczegółowych pytań na temat tego, do kogo zeszłej nocy strzelaliśmy i gdzie wtedy byłeś. Wygląda na to, że jeden

z naszych szpiegów dowiedział się, że przyłapano cię na kradzieży w książęcym pałacu.

Idrian zeszywniał.

– Wie, co ukradłem?

– Nikt tego nie wie – zapewnił Tadeas, kręcąc głową. – Zdaje się, że wzniesiony przez ciebie pożar zniszczył znaczną część pałacu, w tym wiele dzieł sztuki ukrytych w podziemiach.

– Ach. – Idrian się skrzywił. Nie czuł się z tym najlepiej. Jak nazywała się nadzorczyńni, z którą pracował w ossańskim muzeum? Zupełnie tego nie pamiętał, mógł sobie jednak wyobrazić, jak by się wściekła, gdyby dowiedziała się, co zrobił ubiegłej nocy. Zniszczył w końcu dzieła sztuki warte wiele milionów. – Nie zrobiłem tego celowo. W sumie to chciałem podłożyć ogień, byłem w końcu w nie najlepszej sytuacji, ale nie zamierzałem zniszczyć tych eksponatów.

– E tam. Stworzą sobie nową sztukę – odparł Tadeas, wzruszając ramionami. – Nie da się jednak ukryć, że generał Stavri skądś się dowiedział, że coś jest na rzeczy, i uważa, że bawisz się w złodzieja książęcych skarbów. Ten wysłannik zasugerował, jakoby jego przełożony rościł sobie prawo do części zysków z kradzieży.

Idrian prychnął. No jasne, oczywiście, że chciał otrzymać dolę. Cholerny skorumpowany Ossańczyk.

– Zysk z niczego?

– Nie sądzę, żeby w to uwierzył.

– A co mu powiedziałaś?

– Że nie mam pojęcia, o czym mówi, i że do nikogo nie strzelaliśmy, a Idrian Sepulki przebywał w tamtym czasie z wizytą u ojca, korzystając z dwudniowej przepustki, której osobiście mu udzieliłem. Mika pomogła mi w podrobieniu dokumentów. Poinstruowałem też twojego płatnerza, co ma mówić i robić, gdy ktoś zacznie zadawać mu dziwne pytania.

– Dobrze wiesz, jak bardzo nienawidzę swojego ojca i że byłby on ostatnią osobą w całej Ossie, którą odwiedziłbym w ramach dwudniowej przepustki.

– Ale Stavri nie musi o tym wiedzieć. Niezależnie od tego wszystkiego może warto byłoby zapytać Demira o wysłanie łapówki generałowi, żeby się od nas odczepił, co?

Idrian zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie chcę, by imię Demira łączono z tą sprawą. Jeśli cokolwiek z tej akcji doprowadzi do niego zainteresowane osoby, zaczną mu zadawać pytania ludzie znacznie ważniejsi niż Stavri. Pozostajmy przy twojej wersji zdarzeń i sukcesywnie wszystkiemu zaprzeczajmy.

– Jesteś pewien? – Tadeas rzucił mu spojrzenie świadczące o tym, że i on jest ciekawy, dlaczego kawałek szkła błysku może wzbudzić aż tak wielkie zainteresowanie.

– Tak – stwierdził Idrian. – Nie ma potrzeby angażować w to Demira, chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

– Jak sobie chcesz.

– Dzięki. Doceniam to, że mnie kryjesz.

– Nie ma sprawy. Aha, Mika powiedziała, że jesteś jej winien butelkę dwudziestoletniego fletchlinga.

Idrian poprawił się na krześle i spojrzał w kierunku, z którego mógł dostrzec Mikę nadzorującą rozmieszczenie min.

– Za co?

– Moje milczenie wobec Stavriego jest bezinteresowne. Jej nie.

– Cholerna donosicielka. Gdy przy najbliższej okazji spotkasz się ze swoim siostrzeńcem, powiedz mu, że jest mi winien dwudziestoletniego fletchlinga. Nie chcę wplątywać go w tę akcję, ale nie zamierzam też spłacać jego długów.

– W porządku.

Ich rozmowę przerwał odgłos galopujących kopyt. Idrian poderwał się na równe nogi, momentalnie przypominając sobie o zakwasach, i próbował wyłapać, skąd dobiega ów dźwięk. Nie mogąc zidentyfikować jego źródła, nachylił się, by ponownie wymasować golenie, a gdy się podnosił, w ich stronę zmierzał już posłaniec. Młodzieniec zbliżył się do namiotu i zasalutował z końskiego grzbietu.

– Major Grappo? – zapytał.

– To ja – odrzekł Tadeas.

– Wiadomość od generała Stavriego. Smoki Kerite wraz z posiłkami z Grentu są już w drodze i zmierzają prosto na nas.

Macie mniej niż dwadzieścia cztery godziny na zabezpieczenie tego wzgórza.

– Tylko dwadzieścia cztery godziny? – krzyknął Idrian, czując nieprzyjemny ucisk w klace piersiowej. Było to zdecydowanie za mało czasu, żeby przygotować się do bitwy.

– Zgadza się. Generalł Stavri odmówił dostarczenia dodatkowych posiłków. Musicie poradzić sobie z tym, co macie. Zróbcie z tego dobry użytek! – Posłaniec wykrzyknął ostatnie zdanie przez ramię, zjeżdżając już ze wzgórza w kierunku batalionu piechoty stacjonującego kilkaset metrów niżej.

Idrian odprowadził go wzrokiem, potem wymienił z Tadeasem spojrzenia pełne obawy.

– Zdążymy na czas? – spytał.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Valient! Zarządź podwójne racje żywnościowe na kolację i każ zebrać stertę pochodni. To będzie pracowita noc!

W odpowiedzi dotarła do nich litania przekleństw wychodząca od Valienta, Miki i kilkudziesięciu inżynierów znajdujących się w zasięgu słuchu.

Idrian nacisnął szklane oko. Liczył na to, że najbliższe dwa dni spędzi, leżąc płasko na plecach, z nosem w książce, spokojnie regenerując ciało, aby było w jak najlepszej formie do obrony Stalowych Taranów. Niestety, nic z tego.

– Przynieś mi łopatę – powiedział do Tadeasa – i trochę dobrego szkła mocy. Będą potrzebowali pomocy, żeby ukończyć te fortyfikacje na czas.



Demir stał w wypalarni huty szkła Wozownia i wpatrywał się w otwarte, wyściełane korkiem pudełeczko. Znajdujący się wewnątrz kawałek szkła bożego wielkości kciuka był czymś zupełnie mu nieznanym. Nigdy nie widział okazu, którego rdzeń z czerwonego szkła leczniczego byłby ciasno owinięty brzoskwiniowym szkłem artystycznym, a wszystko wieńczyłyby misterny, przypominający węzeł wzór z fioletowego szkła rozumu i jasnozielonego szkła dyscypliny. Był to piękny przedmiot, o tak silnym rezonansie, że mógł go usłyszeć z odległości niemalże metra.

Demirovi towarzyszył rzemieślnik, Jona Prosotsi, drobny mężczyzna po pięćdziesiątce, z dużą łysiną pośrodku siwiejących włosów i małymi rączkami wiecznie zaciśniętymi nad wystającym brzuchem. Był dalekim kuzynem i dobrym przyjacielem Grappa. Demir będzie musiał się zastanowić, jak odwdzięczy mu się za dochowanie tajemnicy i możliwość skorzystania z jego huty.

Jona odchrząknął i wyciągnął dłoń, by delikatnie zamknąć pudełeczko. Szum magii momentalnie ustał, a Demir zrobił głęboki, oczyszczający wdech.

– To dzieło na poziomie mistrzowskim, czyż nie? – zapytał Demir.

Jona się zawahał.

– A istnieje jakiś poziom nadmistrzowski? – Demir zerknął na niego badawczo, a rzemieślnik tylko pokręcił głową z uśmiechem. – Żartuję. Tak jakby...

– Jest aż tak dobra?

– Dowód na jej umiejętności masz przed oczami. W ciągu dwudziestu godzin prób i błędów dokonała czegoś, co większości mistrzów zajęłoby tygodnie. Taki talent zdarza się niezwykle rzadko. Oczywiście nie da się pracować tak intensywnie przez długi czas, boby ją to zabiło. Ale sam fakt, że zdołała tego dokonać... Nic dziwnego, że Kastora wziął ją na swoją protegowaną.

– A niech mnie szkło – westchnął Demir, wyciągając rękę, by ponownie dotknąć pudełka i przyjrzeć się tkwiącemu w nim kawałkowi. W połowie drogi pozwolił jej jednak opaść. Nie było sensu narażać się na ryzyko poważniejszego trądu.

– Ocaliła ci życie – zauważył Jona. – Jak się z tym czujesz?

Demir otrząsnął się z zamyślenia i rozejrzał po warsztacie. Piec palił się, ale komory grzewcze już zgasły, bo pomocnicy otrzymali dzień wolny. Montego udał się do Ossy, aby sprawdzić, czy będą ich czekać jakieś konsekwencje z powodu wydarzeń w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej. Demir nie spał już od godziny i większość tego czasu spędził, próbując zebrać myśli. Był wczesny ranek. Od momentu, gdy trafił go odłamek szkła strachu, minęły prawie dwa dni.

– Przyniosłeś mi lustro? – zapytał Demir, ignorując pytanie Jony.

Jona wyciągnął z kieszeni małe lusterko do makijażu. Grappo sięgnął po nie i odsunął tunikę, żeby przyjrzeć się bliźnie pozostawionej przez szkło strachu. Miał na skórze purpurowe przebarwienie wielkości palca. Wyglądało jak zwykłe znamię. Sam widok tego miejsca wywoływał w nim niepokój i ukłucie przeszywającego lęku. Zmusił się jednak, aby patrzeć na nie do momentu, aż to nieprzyjemne wrażenie minęło. Spoglądając w lustro, zdał sobie sprawę, że drży mu dłoń.

Zwrócił lusterko.

Był człowiekiem noszącym wiele blizn, zarówno tych psychicznych, jak i fizycznych. To doświadczenie bez wątpienia pozostawiło w nim ślad – fizyczny miał przed oczami, psychiczny zaś trudno mu było w tej chwili określić. Ostatnim razem, gdy przeżył coś równie bolesnego, udał się na dziewięcioletnią banicję. Od godziny czekał, aż w jego umyśle ujawnią się nowe pęknięcia – aż utraci swe zdolności lub załamie się jego pewność siebie. Spodziewał się, że upadnie na ziemię, płacząc i zawodząc jak zranione dziecko. Lecz zamiast tego czuł się o wiele lepiej niż wcześniej. Wrócił myślami do Thessy i żałował, że tak się to wszystko potoczyło. Chciał wydostać ją z tamtego miejsca bez użycia siły. Nie chciał, żeby widziała w nim przede wszystkim tancerza szkła. Stało się jednak inaczej.

– Sprawdź, jak się ma nasza gościni – powiedział do Jony.



Thessa klęczała w rogu wszechświątyni Wozowni, otoczona kapliczkami poświęconymi dziesiątkom różnych bogów, duchów i przodków. Takie wszechświątynie były dość powszechne zarówno w Ossie, jak i w Grecie. Nie skupiały się na żadnej z setek religii wyznawanych przez Ossańczyków czy mieszkańców prowincji, lecz stanowiły zaciszne miejsca przeznaczone dla kultu indywidualnego. Biorąc pod uwagę profesję rodziców Thessy, spędzała w podobnych miejscach dość dużo czasu. Wydawało się ono właściwe, by oddać cześć Axiowi i mistrzowi Kastorze, a Jona Prosotsi był na tyle uprzejmy, by użyczyć jej kilku drobniaków na świece.

Patrzyła, jak dwie z nich płoną przed kapliczką na cześć Kloora, purnijskiego boga zmarłych. Skierowanie do niego modlitw zdawało się czymś naturalnym, tym bardziej że jego ołtarzyk sąsiedował z tym przeznaczonym dla Renn, przy którym dziewczyna zapaliła trzecią świeczkę. Nie miała pojęcia, czy Renn była prawdziwa, czy nie, ale miała wrażenie, że jest jej coś winna. Nie wiedziała, jak powinna się modlić. Zamiast tego skupiła się na wspomnieniach: na Kastorze uczącym ją wykuwać szkło lecznicze,

na Axiu próbującym skraść jej całusa podczas zajęć. Głupie, ale szczęśliwe chwile.

Z zamyślenia wyrwał ją ruch przy wejściu do kapliczki. Odwróciła się i zobaczyła Demira stojącego w drzwiach, z rękami splecionymi za plecami. Był dobrze ubrany, miał uczesane włosy i świeżo ogoloną twarz. Jego oficjalny wygląd przyprawił ją o dreszcz. Uratował ją, ale nic o nim nie wiedziała. Podczas pracy nad szkłem bożym skupiła się wyłącznie na ratowaniu życia mężczyźnie, który ją ocalił, teraz jednak nie mogła przestać myśleć, kim tak naprawdę był. Jako członek rodzinnej gildii był pewnie bogaty, wpływowy i arogancki. Był też tancerzem szkła, co tylko potęgowało te trzy cechy.

A jednak w ferworze akcji ratunkowej zaprzeczył, jakoby traktował ją jak jakiś rodzaj nagrody. Widział w niej żyjącą istotę, a nie rzecz, i to wydawało się niezwykle ważne. Chowała w sercu tak wiele nienawiści do mieszkańców Ossy; zamordowali Kastorę, Axia, a nawet Ekhięgo. Zabijali, kradli i chcieli ją zniewolić. Czy mogła zmusić się, aby dostrzec w nim człowieka, a nie tylko przedłużenie systemu, który właśnie zniszczył jej życie?

Musiała spróbować.

– Stoisz na własnych nogach – stwierdziła z nieudawaną ulgą.
– I chodzisz! – Nawet po zakończeniu wczorajszej pracy nie miała pewności, że uda jej się w pełni odwrócić działanie szkła strachu.

– To wszystko dzięki tobie – odpowiedział cicho.

Thessa uniosła brwi.

– Dzięki mnie? No cóż, pewnie tak, choć to przeze mnie też znalazłeś się w tej sytuacji. Przynajmniej tyle mogłam dla ciebie zrobić.

Demir wydawał się lekko zakłopotany, ale w jego oczach nadal tliło się zmęczenie. Jego skóra była blada, a uśmiech naznaczony bólem.

– Jesteś religijna? – zapytał.

– Ja? Nie, ja... – Wydało jej się to dziwnym pytaniem, dopóki nie przypomniała sobie, gdzie jest. – No tak. Świece. Mistrz Kastora nie był religijny, ale jego zmarła żona już tak. Doszłam do wniosku, że powinnam zapalić im świece, jedną dla Kastory, drugą dla Axia.

– Tak nazywał się ten młodzieniec, którego zabił nadzorca?

Thessa przytaknęła, spuszczać wzrok na palące się świece. Demir podszedł i dołączył do niej. Jako protegowana Kastory, Thessa poznała wielu członków rodzinnych gildii, a on zachowywał się tak samo jak inni: ze swoją surowością i uniesionym podbródkiem. Nie patrzył na nią jednak z góry, tylko jak na równą sobie. Interesujące. Były też inne różnice, które od razu rzuciły jej się w oczy. Miał popękaną od słońca skórę i liczne blizny na ramionach. Widział świat, a nie tylko wewnątrz posiadłości i wygodnego powozu. Jak to o nim świadczyło? Nie dowie się tego, dopóki nie pozna go bliżej.

Zdawał się mieć wiele zalet, ale wszystko to skrywała mroczna zasłona jego profesji, był w końcu tancerzem szkła. Bez wahania zabiłby, kogo trzeba, a nawet kilka osób więcej, aby ją uwolnić. Ciężko było to przetrwać, gdy patrzyło mu się w oczy. Co ciekawe, w tej chwili nie miała wrażenia, że patrzy na tancerza szkła. Rękawiczka na jego lewej dłoni zakrywała krzemowy tatuaż, a twarz odznaczała się łagodnością.

Bardzo dotkliwie odczuwała swe położenie. Kastory nie było już na tym świecie. Nie mogła wrócić do domu, do swego kraju. Była hutniczką bez huty, w której mogłaby pracować. Ta sytuacja przypominała jej pewną naukę Kastory: „Nieustannie poszukuj patrona. Przyjaciela, a może i kochanka, kogoś, na kim będziesz mogła polegać. Oni będą potrzebować twoich umiejętności. Ty zaś będziesz potrzebowała ich pieniędzy. Nie pozwól, aby to drugie sprawiło, że zapomnisz o pierwszym”.

Zastanawiała się, dlaczego Demir ją uratował. Potrzebował jej umiejętności? Wiedział coś o portalu feniksa i ukrytych w jej bucie schematach? Zamierzał zaoferować jej patronat? Mogła trafić dużo gorzej niż na równie młodego jak on patriarchę rodzinnej gildii. Demir był głową rodzinnej gildii i tancerzem szkła. Niebezpieczne połączenie, ale też cholernie imponujące.

– Mogę? – Thessa zbliżyła rękę do jego obojczyka.

– Śmiało.

Odsunęła stójkę jego tuniki i skrupulatnie obejrzała bliznę, potem spojrzała mu głęboko w oczy. Bez wątpienia miał w sobie jeszcze mnóstwo bólu. Czy było to coś nowego? A może tkwiło w nim od zawsze? Sprawiał wrażenie człowieka prześladowanego przez... coś. Ale może tylko to sobie dopowiadała.

Próbowała przypomnieć sobie studia i listę objawów, które należało odhaczyć, by stwierdzić, że magia szkła strachu została zdjeta.

– Jesteś bardzo blady – skomentowała. – Blizna jest niewielka. Twoje źrenice wydają się normalnej wielkości. – Przyłożyła dwa palce do jego szyi. – Puls w normie. – Odetchnęła z ulgą. Uznała, że chyba będzie lepiej, jeśli nie przyzna się do tego, jak mało wiary pokładała w działanie stworzonego przez siebie szkła bożego. Jedno było pewne: mogła być z siebie dumna.

Demir odwzajemnił jej spojrzenie.

– Oglądaliśmy z Joną twoje dzieło. Stwierdził, że jest ono na mistrzowskim poziomie. I podobno o wiele lepsze, niż on sam potrafiłby zrobić.

Thessa się zarumieniła.

– To bardzo miłe z jego strony. – Dobrze wiedziała, że wykonała świetną robotę. Kastora bez wątpienia byłby z niej dumny. – Właściwie nie mieliśmy okazji się poznać – powiedziała, wyciągając rękę. – Nazywam się Thessa Foleer.

– Demir Grappo – odparł. Miał szorstką dłoń, pasującą bardziej do robotnika niż patriarchy rodzinnej gildii. Kolejny znak, że był kimś innym, niż początkowo zakładała. Mistrz Kastora nauczył ją, jak lawirować pośród wpływowych rodzin, tych królewskich i stowarzyszonych. Demir był jednak inny. Reprezentował sfery, wśród których nie wiedziała, jak się poruszać. Stojący przed nią mężczyzna był miły i łagodny. Wyglądało to tak, jakby spotkała trzech różnych Demirów w trzech różnych sytuacjach. Kastora twierdził, że głowy rodzinnych gildii zawsze noszą maski, by nie ujawniać prawdziwych emocji. Zakładała, że tancerze szkła też tak robili. W takim razie jak wiele masek miał w zanadrzu i która z nich przedstawia jego prawdziwe ja? Nie mogła bagatelizować tego pytania, jeżeli zamierzała traktować go jak potencjalnego patrona.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, że po mnie przyjechałeś.

– Nie będę ukrywać, nie było to zupełnie bezinteresowne – odrzekł Demir, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiech. – Potrzebuję twojej pomocy.

Thessa przytaknęła. Zgodnie z oczekiwaniami. Woląa jednak nie ujawniać wszystkich informacji.

– W związku z czym?

Demir strzepnął paproch z tuniki.

– Z tego, co wiem, powierzono ci schematy portalu feniksa stworzone przez Kastorę i moją zmarłą matkę. Prototyp Kastory uległ zniszczeniu podczas ataku na hutę szkła w Grecie. Odzyskałem go, ale wątpię, czy ktokolwiek poniżej mistrzowskiego poziomu potrafiłby zbudować nowy. – Zamilkł na dłuższą chwilę, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w jakiś punkt nad głową Thesy. – Działający portal feniksa zmieni nie tylko świat, ale i przyszłość rodzinnej gildii, która go stworzy. Zasoby żaropiachu tak szybko się kończą...

Thessa wybałuszyła oczy i poczuła, jak przyspiesza jej puls.

– Co? – wyrwało jej się z gardła, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Och. – Na twarzy Demira od razu pojawił się cień niezadowolenia, zupełnie jakby nieumyślnie wyjawiał rodzinny sekret. – Nie powiedział ci.

Wpatrywała się w niego z lekko rozdziawionymi ustami.

– Powiedział ci, że kończą się zasoby żaropiachu?

– Tak, tuż przed śmiercią. Przybyłem do huty wieczorem, po inwazji, zabrałem ze sobą Gromiciela, licząc na to, że uda mi się sprowadzić Kastorę w bezpieczne miejsce. Niestety, zastałem go na łożu śmierci. Od niego dowiedziałem się o tym wszystkim, bo moja matka zmarła, zanim wróciłem do Ossy.

Przez umysł Thesy przetoczyły się możliwe następstwa związane z brakiem żaropiachu, najpierw dla hutników, potem dla całej cywilizacji. Zaczęła chodzić od jednego końca wszechświatni do drugiego, nie zważając na stojące pod jej stopami świece. W głowie zaczęły układać jej się kawałki układanki, które poprzednio do siebie nie pasowały: przez ostatnie kilka lat Kastora z nową energią angażował się w prowadzenie księgowości; przerywał rozmowę z innymi mistrzami, gdy tylko wchodziła do pokoju; upierał się nad samodzielnym wysyłaniem swej korespondencji.

Zalała ją fala emocji, głównie zazdrość, że Demir poznał ów sekret wcześniej niż ona. Zmusiła się do skupienia, do myślenia. To było wyznanie na łożu śmierci – Kastora chciał przed odejściem zapewnić jej obrońcę. Do ostatniej chwili miał na uwadze jej dobro i już sama ta myśl sprawiła, że zakłuło ją serce.

Fakt, że w ogóle powiedział jej o portalu feniksa, świadczył o zaufaniu, którym ją darzył. Wysłał ją przecież w drogę z jedynymi schematami, jakie miał. Zadrżała na wspomnienie, jak niewiele brakowało, aby utraciła je na zawsze. Rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiegoś krzesła, ale nic nie znalazła, więc wcisnęła ręce w kieszenie tuniki, ukrywając ich drżenie.

Wszystko to przeleciało jej przez głowę w ciągu zaledwie kilku chwil. Zauważyła, że Demir uważnie się jej przygląda.

– Jak już mówiłem – kontynuował – rodzinna gildia, która jako pierwsza stworzy działający portal feniksa, stanie się potęgą. Pozostałe familie walczą między sobą, prowadząc tajną wojnę. W normalnych okolicznościach moja rodzina nie miałaby szans, by z nimi konkurować.

– Ale – podchwyciła wątek – ze mną i schematami moglibyśmy ukończyć pracę nad portalem feniksa, zanim ktokolwiek dowiedziałby się, że Grappowie w ogóle biorą w niej udział. – Wiedziała wystarczająco dużo o polityce Ossy, by zrozumieć, o co mu chodzi, i wyciągnąć z tego wnioski. Pomysł ten był piękny w swej prostocie i najwyraźniej Kastora wraz z Adrianą do tego właśnie się przygotowywali. – Wydaje się, że odziedziczyliśmy role po naszych poprzednikach.

– Na to wygląda – odpowiedział Demir. – Myślę, że powinniśmy kontynuować ich dzieło, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Co proponujesz? – zapytała. Przyszła pora na interesy, więc odpowiednio się do tego przygotowała.

Demir wzruszył ramionami.

– Taki sam układ, jaki moja matka zawarła z Kastorą. Przejmiemy ich role, z tą różnicą, że otoczę cię bezpośrednią ochroną. Mam zapis ich umowy. Nie zawarto w niej wiele szczegółów, pewnie z obawy przed szpiegami, ale spisano

najważniejsze punkty. Pokażę ci ją, gdy tylko wrócimy do mojego hotelu.

Ciężko było odmówić ochrony oferowanej przez tancerza szkła, nawet jeśli należał on do tak małej rodzinnej gildii, jaką stanowiła familia Grappów.

– A na jakich warunkach?

– Partnerskich. Podział pół na pół.

Thessa poczuła, że oddech grzęźnie jej w gardle. Standardowa umowa między rodzinnymi gildiami a hutnikami opierała się na patronacie, z czego lwia część decyzji i zysków należała do członka rodziny. Prawdziwe partnerstwo zdarzało się niezwykle rzadko i nawet jeśli Demir pozwoliłby jej po prostu odejść ze schematami, żadna inna rodzinna gildia nie złożyłaby jej podobnej oferty.

Jakby czytając jej w myślach, Demir pociągnął za palce rękawiczki i zdjął ją, ukazując lewą dłoń z tatuażem tancerza szkła.

– Chciałbym jeszcze coś wyjaśnić. Ten znak mnie nie definiuje. Nie zamierzam ci grozić ani cię do niczego namawiać. Pragnę jedynie twojej pomocy, w związku z czym złożyłem ci ofertę. Ale to od ciebie zależy, czy z niej skorzystasz, czy nie. Chcę też, abyś wiedziała, że jestem gotów zapewnić ci bezpieczeństwo niezależne od twojej decyzji.

Coś w głębi jej umysłu nie chciało mu wierzyć. Wiedziała wystarczająco dużo o rodzinnych gildiach i ich niecznych sztuczkach. Poza tym widziała, jak zachowywał się w obozie pracy w Lesie Kości Słoniowej. Zdawała sobie sprawę, do czego jest zdolny. A jednak... uwierzyła mu. Świadczyło to o jej młodzieńczej naiwności? A może naprawdę był taki, za jakiego się podawał? Maską w masce. Czy mogła mu zaufać? W końcu uratował jej życie, ryzykując przy tym własnym. Wydawało się to warte kredytu zaufania.

Przyjrzała mu się uważniej. Był przystojny, choć trochę niski. Dobrze wychowany. Prawdopodobnie z sześć lub siedem lat od niej starszy, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. Ponownie przeszła z jednej strony wszechświętyni na drugą, przystając, aby spojrzeć w dwie wypalone świece stojące przed kapliczką poświęconą Kloorowi. Jej wzrok powędrował ku trzeciej świecy i piramidalnej kapliczce Renn. Bogini handlu. Cóż za odpowiednie miejsce na zapalenie świecy. Thessa odwróciła się z powrotem do

Demira. Uświadomiła sobie, że jej umysł próbuje przeanalizować każdy możliwy szczegół i zaczęło ją to przytłaczać. Tego rodzaju transakcje zajmowały zazwyczaj miesiące, a nawet lata. Oni nie mieli tyle czasu. Jeśli sytuacja była na tyle poważna, że Kastora zdradził Demirovi tajemnicę na temat gwałtownie kończących się zasobów żaropiachu, to portal feniksa powinien powstać jak najszybciej. Musiała podjąć decyzję.

Po raz kolejny na niego spojrziała, tym razem jeszcze bardziej przenikliwie.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zapytała. – Chciałabym poznać prawdziwy powód; twoją motywację.

Demir przez jakiś czas zastanawiał się nad tym pytaniem, zanim odpowiedział.

– Mam pieniądze. Mógłbym w każdej chwili udać się na prowincję i żyć w luksusach do końca swych dni. Ale już tak żyłem i było to bardzo egoistyczne. Zostałem głową rodzinnej gildii i mam setki klientów, poczynając od zwykłych portierów w moim hotelu, przez biznesmenów, po bliskich przyjaciół, a wszyscy oni na mnie polegają. Portal feniksa wpłynie na zmianę ich świata o wiele bardziej niż mojego. Dzięki niemu mógłbym zapewnić im lepszą przyszłość, ale też przyszłość samej magii. Świat nie pogrążyłby się w kompletnym chaosie i nie pochłonąłby milionów ludzkich istnień. Sądziłem, że przegapiłem swą szansę na zmianę świata, ale jak widać los dał mi kolejną.

Korciło ją, aby nazwać go kłamcą, lecz się powstrzymała. Nie dość, że byłoby to bardzo nieuprzejme, to jeszcze jego ton był tak szczery, niemal jakby błagał ją o pomoc. Zdała sobie sprawę, że nie rozmawia z Demirem, tancerzem szkła. Czy ta szczerość była jego prawdziwą twarzą? To wszystko wydawało się niezwykle skomplikowane.

– Dam ci trochę czasu do namysłu – rzucił niespodziewanie i wyszedł, zostawiając Thesę samą. Znowu zaczęła przechadzać się po wszechświątyni, a jej myśli błądziły w wielu różnych kierunkach. Żałowała, że nie ma przy niej mistrza Kastory. Z pewnością pomógłby jej w podjęciu właściwej decyzji. Dostrzegała pewne niuanse, zarówno w całej sytuacji, jak i w samym Demirze, na które nie była przygotowana. Przypomniało jej się kolejne powiedzenie

mistrza Kastory: „Poznaj swe wady tak samo dobrze, jak znasz swe zalety”.

Po raz kolejny zatrzymała się przed kapliczką Renn i pożałowała, że nie ma drugiej świecy, którą mogłaby jej zapalić.

– W taki sposób kierujesz mnie na właściwą ścieżkę? – zapytała. – Czy ty w ogóle istniejesz?

Gdyby kilka dni temu ktoś poprosił ją o wyobrażenie sobie bogini Renn, wyśmiałaby go. Teraz nie było jej do śmiechu.

Nachyliła się i wyjęła z buta ukryte schematy. Zapamiętała je już jakiś czas temu, jadąc w wozie na północ od Grentu, a ostatnie kilka godzin spędziła na ich ponownym przeglądaniu. W głowie zaczęła już pracować nad udoskonaleniem projektu Kastory. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to miejsca, gdzie mogłaby wypróbować swoje teorie.

Wyszła na chłodne, późnoporanne powietrze, które przyprawiło ją o gęsią skórkę na odkrytych ramionach. Demir stał na środku ulicy, z twarzą zwróconą ku słońcu. Z powrotem włożył rękawiczkę, zakrywając symbol tancerza szkła, i nie otworzył oczu, dopóki nie zatrzymała się tuż obok niego. Dostrzegł, co trzymała w dłoni, i zaczerpnął gwałtownie powietrza.

– To one? – spytał.

Bez słowa podała mu je, a on chwycił schematy w dłoń. Przejrzał je uważnie, strona po stronie.

– Niesamowite – rzekł w końcu. – Próbowałem zrozumieć ten zniszczony prototyp, ale dopiero dzięki rysunkom wszystko nabrało sensu.

– Zanim zapomnę, muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć – zaczęła. – Rzemieślnik Magna prowadził szczegółowe księgi dotyczące nielegalnych transakcji w hucie w Lesie Kości Słoniowej. Był w to zamieszany również Supi Magna. Musiałam niestety spalić dowody, ale nikt o tym nie wie. Wydaje mi się, że sama ta informacja może okazać się cenna.

– Może – zgodził się Demir. Trzymał przed sobą schematy, jakby były czymś w rodzaju świętego artefaktu, powoli je kartkując. W końcu się odezwał: – Jeśli to, co zamierzamy zrobić, wyjdzie na jaw, czeka nas walka. Jestem niebezpieczny. Montego jest niebezpieczny. Ale jest nas zaledwie dwóch, a wielkie rodzinne gildie

mają do swojej dyspozycji całe armie egzekutorów. Jeśli podejmiesz się tego zadania, twoje życie może być zagrożone.

Thessie zaschło w ustach i oblizwała wargi.

– Kastora zwykł mawiać, że niebezpieczeństwo kryje się w postępie. Zawsze pojawi się ktoś, kto będzie próbował cię okraść, pokrzyżować ci szyki albo cię zranić. Nie inaczej będzie w tym przypadku. – Zdała sobie sprawę, że Demir daje jej ostatnią szansę na wycofanie się z tego przedsięwzięcia. Pokręciła głową. To było zbyt ważne. Żaden zdrowo myślący i ambitny hutnik nie zrezygnowałby z takiej okazji. Zdaniem Thessy posiadała obie te cechy. – Podejmę to ryzyko.

Przez twarz Demira przemknął błysk uśmiechu i zastanawiała się, czy nie oznaczał on zdania jakiegoś testu. Ponownie spojrzął na schematy.

– W takim razie zaczniemy bez zbędnej zwłoki. A raczej ty zaczniesz. Nie przydam ci się zbyt wiele podczas wykuvania.

– Będziemy potrzebować kilku elementów.

– Szkła potęgi i błysku, tak? Już nad tym pracujemy.

Thessa ze zdziwienia uniosła brwi. Oba składniki były trudne do zdobycia, zwłaszcza tak duże szkło błysku, jak to przedstawione na schematach.

– Zaimponowałeś mi.

– Zawarłem umowę ze starym przyjacielem – powiedział, mrugając okiem. I znów to samo: pojawiła się w nim jakaś figlarność, jakby na krótką chwilę przywdział inną maskę. Było to bardzo dziwaczne. Thessa spuściła wzrok na swoje pożyczone ubranie, czując nagłą niepewność. Uświadomiła sobie, że pozostała sama na tym świecie. Drugi raz w życiu zaczynała wszystko do nowa.

W sumie nie tak znów od nowa. Tym razem dysponowała umiejętnościami, schematami niemożliwego do zrealizowania marzenia i kimś, kto chciał sfinansować wykorzystanie obu tych rzeczy. Demir oddał jej szkice. Wzięła je i niemal odruchowo chciała ponownie schować do buta, nim sobie przypomniała, że już nie musi tego robić. Zamiast tego chwyciła je w jedną rękę i pod wpływem impulsu wyciągnęła drugą.

– Partnerzy?

Ku jej uldze Demir uśmiechnął się i ponownie ujął jej dłoń.
– Partnerzy.



Po dwóch dniach bezskutecznych prób skontaktowania się z Demirem Breenen w końcu pozwolił Kizzie wejść do gabinetu Grappa, usytuowanego na drugim piętrze hotelu Hiacynt. Pokój był urządzony skromnie, a półki świeciły pustkami, jakby Demir dopiero co się wprowadził i nie zdążył się jeszcze rozpakować. Wchodząc, zastała go wpatrującego się z grymasem niezadowolenia na twarzy w jedno z okien wykonanych ze szkła młota. Był bardzo blady, jakby dopiero co wyleczył się z jakiejś choroby.

W gabinecie była też młoda kobieta. Ładna, średniego wzrostu, o ciemnych blond włosach i jasnej prowincjonalnej karnacji. Kizzie mogłaby wziąć ją za kochankę Demira, gdyby nie jej ramiona pokryte starymi bliznami po oparzeniach. Zdecydowanie nie była w typie Demira. A może była? Wszak Grappo zmienił się znacznie w ciągu ostatnich kilku lat.

– Thesso, mogłabyś nas na chwilę zostawić? – poprosił młodą kobietę. – Idź, proszę, do Breenena na recepcję i poleć mu, żeby

przygotował dla ciebie pokój. – Począł, aż wyjdzie, po czym zwrócił się do Kizzie: – Przepraszam, dopiero co przyjechaliśmy.

Kizzie uniosła pytająco brew, na co Demir tylko pokręcił głową.

– Jest urocza, ale nie. To moja nowa partnerka biznesowa. Jakies postępy w sprawie morderców?

– Można tak powiedzieć. – Usiadła na sofie naprzeciwko Demira i przejechała dłonią po twarzy. W ciągu ostatnich dwóch dni udało jej się trochę odpocząć, lecz nadal czuła się nieswojo. Wydarzenia ubiegłego tygodnia mocno dawały jej się we znaki. – Odnalazłam dwoje z nich.

To zwróciło uwagę Demira. Ożywił się i z wyrazem podekscytowania na twarzy zasiadł wyprostowany na fotelu.

– Znam ich? Dla kogo pracują? Dlaczego... – Urwał i, opanowawszy się, skinął, aby kontynuowała.

Kizzie od razu przeszła do konkretów.

– Pierwszym był Churian Dorlani. Rozpoznał go sprzedawca, gdy podczas ucieczki z miejsca zbrodni zsunęła mu się maska. Dopadłam go i przesłuchałam, korzystając ze szkła dyscypliny.

– I? – zapytał Demir, choć jego zapal zszedł się ulatniać, jakby nałożył na twarz starannie przygotowaną maskę.

– I do wszystkiego się przyznał. Rozkaz pochodził od jego babki.

– Aelii Dorlani?

– Zgadza się. Nie miał pojęcia, dlaczego chciała śmierci twojej matki, lecz wskazał mi kolejnego zabójcę. Glissandi Magna. Ona również przyznała się do morderstwa, ale kiedy próbowałam zmusić ją do wyjawienia, dlaczego to zrobiła, popełniła samobójstwo, nabijając się na mój sztylet.

– A niech to szkło – rzucił cicho Demir, zakrywając usta ręką i wpatrując się w przestrzeń nad głową Kizzie. – Masz kolejny trop?

– Jeszcze nie, ale pracuję nad tym.

– Co zrobiłaś z Churianem?

– Powiedziałam mu, że jeśli nie zwieje z kraju, to powiem Montegowi, że zabił Adrianę.

– I zwiął?

– Bez ozzo w kieszeni.

Demir postukał palcem w podbródek.

– Niezbyt agresywnie, ale jest w tym jakiś urok. Co robimy z Aelią?

– Jest poza moim zasięgiem – odpowiedziała szczerze. – To matka rodzinnej gildii i członkini Wewnętrznego Zgromadzenia. Sam będziesz musiał się z nią skonfrontować.

– Rozumiem. Póki co będzie się zastanawiała, dlaczego jej wnuk porzucił dom i rodzinę. Pozwolę, aby trochę się z tą myślą pomęczyła. – Przez twarz przebiegł mu nikczemny uśmiech, który Kizzie odwzajemniła. Musiała przyznać, że dużo bardziej zaangażowała się w tę sprawę, niż się tego spodziewała. Czuła, że gdzieś pod tym wszystkim kryje się jakaś głębsza tajemnica. Kilka rodzinnych gildii, książkę Grentu, ten wysoki mężczyzna na Abażurowej Promenadzie. Ta zagadka aż prosiła się o rozwiązanie.

– Myślę, że ktoś śledził Glissandi – stwierdziła. Demir uniósł pytająco brew, więc wyjaśniła: – Chwilę przed tym, jak popełniła samobójstwo, zobaczyła kogoś na promenadzie. Ponieważ było dość ciemno, nie mogłam się mu dobrze przyjrzeć, ale Magna wpatrywała się w niego, gdy wydawała ostatnie tchnienie.

– Uważasz, że ma on jakiś związek z całą tą akcją?

– Być może. Nazajutrz rozpytywałam tu i tam i nie jest on żadnym ze stałych bywalców Abażurowej Promenady. Może to jakiś wynajęty profesjonalista, mający za zadanie zadbać, by nikt nie puścił pary z ust? Słyszałam kiedyś o takich ludziach. Miał jasną karnację, prawdopodobnie purnijską, i szkółerne dwa metry wzrostu.

– W takim razie na czyje zlecenie działa?

Kizzie tylko pokręciła głową.

– Ktoś o takim wzroście nie powinien być trudny do zidentyfikowania – uznał Demir.

– Od dwóch dni staram się go odnaleźć. Wygląda na to, że nikt go nigdy nie spotkał.

– Poproszę Breenena, żeby i on trochę popytał – rzucił.

Kizzie przytaknęła. Każda pomoc mogła okazać się cenna. Jej kontakty były niezłe, ale konsjerż z Hiacynta mógł zdecydowanie swobodniej zadawać pytania, i to osobom z wyższego szczebla.

Demir nadal bębnił palcami o podbródek. W końcu ponownie się odezwał:

– Magna, Dorlani i Grent. Dziwne towarzystwo jak na spisek przeciwko jednej polityczce.

– Może ma to jakiś związek z jej reformami podatkowymi czy majątkowymi? – zasugerowała Kizzie, wzruszając ramionami. Dość długo się już nad tym zastanawiała i nadal nie mogła tego rozgryźć. – Istnieje precedens związany z publicznym zabójstwem reformatorów.

– Tak, zdarzyło się to już kilkakrotnie – przyznał Demir – ale ostatni raz jakieś sto lat temu. Chyba wolałbym sądzić, że Ossa zdążyła się przez ten czas choć trochę rozwinąć. A może jestem zbyt wielkim optymistą. Wydaje mi się to jednak takie... ryzykowne. Dlaczego nie pokusić się o zabójstwo pod osłoną nocy? Mogli ją zabić, dolewając jej trucizny do napoju lub dżgając ją nożem w plecy, lub na tysiąc innych sposobów. Nie pojmuję, po co robić to publicznie.

– Ja też nie – oświadczyła Kizzie.

– Być może całe Zgromadzenie działało przeciwko niej – zadumał się. – Jeśli masz rację i to z powodu jej reform...

– Co w takim razie robił w tym wszystkim grencki agent?

– Dał im pretekst do wojny?

– Wątpię, by księżę użyczył im swego agenta w zamian za wszczęcie wojny – odparła Kizzie. – A może Capric cię okłamał, albo ktoś okłamał jego, a cała ta sprawa z grenckim agentem została sfabrykowana.

Demir zmarszczył czoło.

– Kontaktowałem się z kilkoma zaufanymi ludźmi mojej matki ze Zgromadzenia i Gwardii Zgromadzenia. Wszyscy twierdzą, że grencki zabójca naprawdę był w to zamieszany.

– W takim razie chodzi tu o coś innego – oznajmiła Kizzie, zastanawiając się, czy Demir świadomie zdradził jej tę informację. Znalezienie szpiegów wśród członków Gwardii Zgromadzenia nie było łatwym zadaniem, no chyba że należało się do Wewnętrznego Zgromadzenia. Fakt, że jego matka miała tam kontakty, świadczył o jej niezwykłych umiejętnościach. Kizzie nie chciała zaprzętać sobie tym głowy. – Ostatnie kilka dni spędziłam na próbach poskładania

tych elementów w całość, starając się ułożyć jakoś wszystkie możliwe połączenia między trojgiem spiskowców, ale udało mi się znaleźć zaledwie jeden łączący ich wątek.

– Jaki?

Zawahalała się. Były to niepewne informacje, oparte na pogłoskach, plotkach i wskazówkach otrzymanych od Veterixi z Elitarnego Klubu Vorcienów.

– Aelia Dorlani, Glissandi Magna i Favian Grent, brat księcia, należą do tego samego Stowarzyszenia Fulgurytów.

– Och – powiedział cicho Demir. – Interesujące. Którego?

– Są członkami Szklanego Ostrza. To ekskluzywny klub pojedynkowy i nic więcej nie zdołałam na ich temat znaleźć. Nie publikują informacji o członkostwie ani godzinach spotkań. Nie mają żadnych broszur. Wiem, że niektóre stowarzyszenia lubią otaczać się aurą tajemniczości, ale Szklane Ostrze wydaje się szczególnie zamknięte dla osób postronnych.

Demir zaklął pod nosem.

– Dobrze. Jeżeli to jedyna nitka łącząca ich wszystkich, to za nią pociągnij.

– Rozumiem – odrzekła Kizzie. W ciągu tych kilku dni od samobójstwa Glissandi zastanawiała się między innymi nad tym, czy chce kontynuować pracę nad tym zleceniem. Przemyślała za i przeciw i ostatecznie doszła do wniosku, że się nie wycofa. Była cholernie ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi, i jeśli miała być ze sobą absolutnie szczerą, musiała przyznać, że ponowne spotkanie z Demirem wywołało w niej głębokie uczucie pokrewieństwa, więzi z dzieciństwa, której nie czuła od lat. Potrzebował jej nie tylko jako egzekutorki czy wynajętej detektywki, ale również jako przyjaciółki, której mógłby zaufać. Bycie tą osobą sprawiało jej przyjemność. Ale tylko do pewnego stopnia. – Jeśli zaprowadzi mnie to do innych przedstawicieli rodzinnych gildii, to...

– To wtedy przejmę pałeczkę i nie będziesz musiała się już tym zajmować – zapewnił Demir. – To niebezpieczne i wiem, że dałabyś sobie radę, ale jeżeli masz narażać życie, to wolę, byś się z tego wycofała.

Kizzie zacisnęła wargi, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ktoś tak bardzo dbał o jej bezpieczeństwo. Nikt nie przejmował się

egzekutorami, nawet tymi cenionymi i doświadczonymi. Takie były realia tej profesji. Rozmyślała, jak odmienne wiodłaby życie, gdyby urodziła się jako Grappo. Nawet nie jako członkini głównej rodziny, ale jako bękarca czy daleka kuzynka. W dzieciństwie często o tym fantazjowała, bawiąc się z Demirem i Montegiem w parku. Westchnęła. Nie mogła nic zrobić w kwestii swoich rodziców, mogła jednak być dla Demira przyjaciółką, jakiej najwyraźniej potrzebował.

– Będę cię informowała na bieżąco – obiecała. – Przy okazji, Glissandi Magna próbowała mnie przekupić czterdziestoma tysiącami ozzo. Zatrzymam te pieniądze, uznając, że splacają one uzgodnione między nami honorarium.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony – odparł Demir.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi, zatrzymując się, by spojrzeć przez ramię.

– Co tam u Montega? – zapytała cicho.

– Wszystko dobrze.

– Wie, nad czym pracuję?

– Tak, i to aprobeuje.

Ta odpowiedź wywołała w niej wiele skomplikowanych uczuć. Zarumieniła się, gdyby leżało to w jej naturze.

– Cieszę się, że wrócił.

– Mogłabyś poczekać i się z nim przywitać – zaproponował Demir. – Wróci pewnie za jakąś godzinę. Pojechał na spotkanie z twoim bratem Capricem, aby się upewnić, że pewne niedawne nieprzyjemności zostaną... załagodzone.

Kizzie wpatrywała się przez chwilę w podłogę, rozważając tę propozycję. Na samą myśl o ponownym spotkaniu z Montegiem ogarniało ją zarówno podniecenie, jak i strach.

– Może innym razem – rzuciła i zanim zdążył coś wtrącić, kontynuowała: – Mam nadzieję, że niedługo ustawisz coś na tych półkach. Nie byłam tu od dwudziestu lat, ale pamiętam, jak twoja mama dawała mi cukierki ze stojącego na nich słoika.

Ku jej zdziwieniu Demir przeszedł przez pokój i otworzył lewą szufladę biurka. Rzucił jej coś, a ona złapała to jedną ręką. Była to kostka toffi zawinięta w woskowany papier, identyczna jak te, którymi Adriana częstowała przyjaciół Demira, gdy byli dziećmi.

– Draż dalej – polecił.

Wychodząc z hotelu, Kizzie muskała toffi palcami, uważając, żeby nie natknąć się na Montega. Gdy była już na zewnątrz, włożyła cukierek do ust. Wraz z jego smakiem powróciły tysiące wspomnień i rozkoszowała się nimi, idąc wzdłuż ulicy w poszukiwaniu powozu. Przeszła niecałą przecnicę, nim zorientowała się, że ktoś za nią podąża.

– Cześć, Kizzie – zawołał ktoś, przechodzący tuż obok niej. Był niskim, czterdziestoletnim mężczyzną o żabiej twarzy, ubranym w szary, dopasowany mundur Gwardii Narodowej, z różowymi guzikami wykonanymi ze szkła aury. Paznokciec małego palca u lewej ręki miał pomalowany na niebiesko, co świadczyło o jego lojalności wobec Vorcienów. Trzymał zapalonego papierosa w dłoni, którą przytknął do wąskiego runda kapelusza z niedźwiedziej skóry w czymś na kształt pozdrowienia.

– Gorian – odpowiedziała Kizzie. Był jednym z jej ulubionych członków Gwardii Narodowej; skorumpowanym małym draniem z cudownym poczuciem humoru i życzliwą rodziną. W przeciwieństwie do większości gwardzistów znajdujących się na liście płac jej rodzinnej gildii, był naprawdę użyteczny i za odpowiednią sumę mógł uzyskać wszelkiego rodzaju plotki, informacje, a nawet zaopatrzenie. – Co robisz w Dzielnicy Zgromadzenia?

– Szukam cię.

Przyjemność ze spotkania przyjaciela natychmiast wyparowała.

– Ach tak? – zapytała z obawą. – Po co?

– Twój ojciec chce się z tobą zobaczyć

Jej nastrój jeszcze bardziej się pogorszył.

– No świetnie. A czego chce ode mnie mój staruszek i dlaczego nie wysłał po mnie kóregoś z egzekutorów?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Gorian, rozkładając ręce. – Chciał, żebym cię wezwał w... hm... ostrożny sposób.

Nie była więc chyba w tarapatach, choć momentalnie zaczęła się stresować. Wezwanie od patriarchy rodzinnej gildii Vorcienów mogło oznaczać wiele rzeczy. A dla tak nieznaczącej egzekutorki jak

ona – mimo że była jego córką – niewiele z nich wiązało się z czymś dobrym.

– Ale teraz? – spytała.

– Tak, teraz – potwierdził Gorian.

Nie było sensu się buntować. Gorian, tak samo jak ona, nie miał zbyt dużego wyboru.

– Dobra, zaraz tam pojedę. A mógłbyś coś dla mnie zrobić? Chciałabym, żebyś nadstawił uszu. Tylko dyskretnie.

– O co chodzi?

– Próbuję kogoś zidentyfikować. Niewiarygodnie wysoki, prawie dwa metry wzrostu, o jasnej karnacji. Łysy.

– Nie brzmi znajomo.

– Sprawdź, czy uda ci się znaleźć kogoś, komu ten opis wydaje się znajomy.

– Załatwione.

– Dzięki. A, jeszcze jedno. – Przystanęła, odwracając się w stronę Goriana, a następnie rozglądając dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. – Potrzebuję listy członków ekskluzywnego Stowarzyszenia Fulgurytów. Jak trudno jest zdobyć taką listę?

– Zależy od stowarzyszenia – odparł Gorian, unosząc brwi. – Ale to wykonalne. Gwardia Narodowa ma ich wszystkich na oku. Łatwiej wykorzenić dysydentów, gdy wiesz, z kim spędzają wolny czas.

– To stowarzyszenie nazywa się Szklane Ostrze.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– No to sprawdź, czy uda ci się coś znaleźć na ich temat.

– Rozumiem. Wysoki Mężczyzna i Szklane Ostrze. – Udał, że tworzy w powietrzu niewidzialną listę. – Przyjęte. Wpadnij do stróżówki po rozmowie z ojcem.

– Dobra.

Gorian ponownie dotknął runda kapelusza z niedźwiedziej skóry, aby wyrazić swój szacunek.

– Życzę powodzenia. Wiem, że ostatnio nie było zbyt kolorowo.

Kizzie pomachała Gorianowi i wsiadła do powozu, który zabrał ją prosto do Dzielnicy Rodzinnej – otoczonej murem części

miasta wypełnionej kamienicami członków rodzinnych gildii. Ulice były tu szerokie, a budynki zaprojektowane niczym małe osiedla z ozdobnymi ogrodzeniami, kosztownymi ogrodami i górującymi nad okolicą ceglany rezydencjami. Podczas gdy cudzoziemcy i zwykle pospólstwo twierdziło, że potęga Imperium Ossańskiego mieści się w Dzielnicy Zgromadzenia, wysoko postawieni obywatele wiedzieli, że prawdziwa władza znajduje się właśnie w Dzielnicy Rodzinnej.

Vorcienowie należeli do największych i najbogatszych rodzinnych gildii, a ich miejska posiadłość odpowiadała ich potędze. Zlokalizowana była niemal na samym szczycie Wzgórza Rodzinnego, ukryta w lesie, do którego prowadziła długa, kręta droga, gdzie wiecznie coś się działo, ponieważ klienci, pracownicy i sojusznicy Vorcienów przybywali tłumnie, aby złożyć cotygodniowe wyrazy szacunku.

Przeszła przez podjazd i weszła do rezydencji głównym wejściem, gdzie przed ogromnym gabinetem Ojca Vorciena czekała garstka kupieckich klientów z kapeluszami w dłoniach. Drzwi były zamknięte, co oznaczało, że staruszek miał właśnie spotkanie. Kizzie sprawdziła godzinę na kieszonkowym zegarku i spacerowała po foyer, jednym okiem obserwując wejście do gabinetu, a drugim klientów ostentacyjnie ignorujących jej obecność. Czymś niestosownym dla egzekutora rodzinnych gildii było tak kręcić się w publicznym miejscu. Ale Kizzie zamierzała do ostatnich dni trzymać się kurczowo swoich niewielkich, bękartich przywilejów.

O wiele bardziej od zachowania klientów interesowało ją to, czego tak naprawdę chciał jej ojciec. Czy już trafiły do niego wieści o jej sprzeczce z Sibrialem? Czekala ją kolejna kara? A może skreśli ją z listy płac Grappa i każe jej zrobić coś nikczemnego?

Drzwi do gabinetu Ojca Vorciena się uchylily. Diaguni, rodzinny majordomus, otworzył je przed starszą kobietą, która pospiesznie przeszła przez foyer i, nie patrząc na nikogo, wyszła z rezydencji. Diaguni był wysokim, szczupłym i łysym mężczyzną o jasnooliwkowej karnacji, wskazującej, że pochodził z Balkanii. Z kpiącym wyrazem twarzy obserwował odchodzącą staruszkę, po czym uniósł podbródek w stronę Kizzie.

– Kissandro, ojciec chciałby cię teraz widzieć.

Żadnego ustalania terminów? Żadnego czekania, aż wszyscy ważni klienci opuszczą budynek? Bardzo dziwne. Kizzie zdjęła kapelusz i weszła za Diagunim do gabinetu. Było to okazałe pomieszczenie, całe wyłożone białym marmurem i, co zaskakujące, całkowicie pozbawione szkła bożego. Ponadto oszczędne pod względem dekoracji, gdyż znajdowało się tam tylko kilka złotych ozdób, dwa wysokie okna i ogromny, pusty kominek, przez który można by wjechać powozem. Obok niego stał wielki fotel, zwrócony w kierunku drzwi, a na nim zasiadał mężczyzna po siedemdziesiątce, opasy i zgarbiony, z ciałem zdeformowanym przez dziesięciolecia siedzenia.

Naprawdę nazywał się Stutd, ale od lat nikt nie mówił do niego inaczej niż Ojciec Vorcien. Podobno był kiedyś przystojnym, szczupłym, wysportowanym młodzieńcem, częściej noszącym szkło mocy niż szkło rozumu. Kizzie nie знаła tamtego człowieka, pamiętała go wyłącznie takiego, jakim jawił się obecnie, czyli siedzącego przed nią grubego, starego drania. Mimo to nie należało go lekceważyć. Ojciec Vorcien był zasłużonym członkiem Wewnętrznego Zgromadzenia, a także jednym z najmądrzejszych i najpotężniejszych ludzi w Ossie.

Odczekała, aż Diaguni zamknie za nią drzwi, i podeszła do ojca, pochylając się, by ucałować duży krzemowy symbol wytatuowany na jego dłoni. Z powodu rozległego szklanego trądu większość jego skóry pokrywały łuski. Magia szkła bożego zwykła zabijać tych, którzy jej nadużywali. Nierzadko też pozostawiała deformacje na ich ciele, tak jak to było w przypadku Ojca Vorciena.

– Dzień dobry, moja bękarcia córko.

– Ojciec – odpowiedziała Kizzie, wciąż z pochyloną głową, przełykając żółć wywołaną jego wyraźnym zaakcentowaniem słowa „bękarcia”. Wiedziała, że używał go celowo, aby ją zranić. I udawało mu się to. – Chciałeś mnie widzieć?

– Dotarła do mnie informacja, że Capric wypożyczył cię Demirowi Grappowi.

Nie pytał o zdrowie. Żadnych uprzejmości. Od razu przeszedł do rzeczy. Kizzie bardzo to sobie ceniła. Nie nienawidziła swego ojca, ale nie miała też ochoty spędzać z nim zbyt wiele czasu.

– To prawda.

– I co dla niego robisz?

– Poprosił, żebym pomogła mu w wytropieniu zabójców Adriany – odrzekła bez wahania. Nie miała oporów przed okłamywaniem lub wprowadzaniem w błąd egzekutorów, pracowników czy klientów Vorcienów, a nawet przyrodniego rodzeństwa, nie okłamałaby jednak Ojca Vorciena. Czekać na odpowiedź, czuła, jak szczeka zaciska się jej coraz mocniej. Czy on też był w to zamieszany? Każę jej przestać drążyć? Zaryzykowała i uniosła wzrok, by przyjrzeć się jego twarzy, ale usta Ojca Vorciena pozostawały zaciśnięte, a twarz nieodgadniona.

– Capric powiedział, że chodzi o ochronę hotelu.

– Demir chciał, żeby tak właśnie myślał.

– Mądry chłopak z tego Demira. Nie ufa przyjacielowi z dzieciństwa. Ale tobie zaufa.

– Capric i Demir są przyjaciółmi z przypadku – stwierdziła Kizzie. – Ja i Demir jesteśmy... – zawahała się, żałując doboru słów, ale i tak to z siebie wydusiła – ...prawdziwymi przyjaciółmi.

– Ach, racja. Ty, Demir i Montego przez wiele lat byliście nierozłączni. Nadal nie mogę się nadziwić, że Adriana pozwoliła swemu synowi przyjaźnić się z osobami tak bardzo odbiegającymi od jego statusu. Przypuszczam jednak, że nie było to najdziwniejszą rzeczą w tej rodzinie. – Ojciec Vorcien westchnął beztrzesko. – Powiedz w takim razie, co udało ci się już odkryć?

– Wciąż nad tym pracuję. – Kizzie uchyliła się od odpowiedzi, mając nadzieję, że Ojciec Vorcien nie będzie naciskał. Nadal była bardzo spięta, czekając na nieuchronny cios. Spodziewała się, że odsunie ją od tego zadania, a tym samym potwierdzi swój udział w całym spisku. Ku jej zaskoczeniu po prostu głośno odchrząknęła.

– Jestem ciekaw, do czego się dokopiesz. Zastanawiałem się, kto był w to zamieszany, ale pozostali członkowie Wewnętrznego Zgromadzenia zgodnie stwierdzili, że nie ma sensu drążyć tego tematu.

Kizzie jakoś to nie dziwiło. Aelii Dorlani było to na rękę, i może nie tylko jej. Co ciekawe, wydawało się, że Ojciec Vorcien nie był w to zamieszany.

– Czyli... nie zamierzasz mnie powstrzymywać?

Ojciec Vorcien zachichotał.

– Oczywiście, że nie. Powiedziałem im, że nie będę się wtrącał, ale Demir Grappo nie złożył takich obietnic. Poza tym mam coś ważniejszego na głowie. – Zamilkł na chwilę, a jego uśmiech ustąpił miejsca lekkiemu grymasowi niezadowolenia. – Wiesz może, co to jest portal feniksa?

– Nie. – Kizzie spojrzała na ojca, ściągając brwi.

– To takie krzemowe urządzenie. Szczegóły nie są tu istotne. Ważny za to jest fakt, że przed śmiercią Adriana Grappo pracowała nad portalem feniksa.

– Przecież nie była hutniczką.

– Nie, ale w tajemnicy współpracowała z hutnikiem.

– Skąd to wiesz? – rzuciła Kizzie, zdając sobie sprawę, że jej pytanie zabrzmiało nieco ostrzej, niż zamierzała.

– Ponieważ kazałem moim agentom wykraść wszystkie notatki, które Gwardia Zgromadzenia skonfiskowała z jej biura. – Ojciec Vorcien obejrzał od niechcienia swoje paznokcie i ziewnął, jakby taki chwyt mu nie ubliżał. – Udało jej się dobrze zacierać ślady, ale jeśli przeanalizuje się jej prywatne notatki, zwracając uwagę na to, co pominęła, nietrudno ustalić, co knuła. Nie jestem pewien, kto był jej współnikiem, lecz mam pewne podejrzenia, a Demir może próbować kontynuować rozpoczętą przez nią pracę.

Kizzie poczuła, jak ścisną ją ręce; zaczęła pojmować, co za chwilę nastąpi.

– Chcesz, żebym szpiegowała Demira – powiedziała bez ogródek.

– Tak – odparł Ojciec Vorcien, oblizując wargi i uśmiechając się do niej. – Bardzo ci ufa i niczego nie będzie podejrzewał.

– Ja nie... Nie sądzę, że... – Kizzie szukała w sobie odwagi, by mu odmówić. Była już w niezłych tarapatkach przez tę bzdurę z Sibrialem i sędzią. Czy mogła sobie pozwolić na popadnięcie w jeszcze większą niełaszkę? Zakłęła pod nosem. Nie mogła się tego podjąć, to nie było w jej stylu. Nie mogłaby szpiegować własnych przyjaciół. Przyjemne uczucie dziecięcej przyjaźni, którego doświadczyła w hotelu Demira, ulotniło się i poczuła się nagle bardzo wystraszona.

– Zanim zanudzisz mnie swoją uczciwością – odezwał się Ojciec Vorcien, machając lekceważąco ręką – pozwól, że złożę ci

propozycję: jeśli Demirovi uda się stworzyć portal feniksa, a ty mnie o tym poinformujesz, to cię legitymizuję.

Przez ułamek sekundy Kizzie miała wrażenie, że ktoś ją postrzelił. Jej ciało napięło się, a wszystkie racjonalne myśli uleciały z umysłu. Zastygła w kompletnym niedowierzaniu.

– Zrobiłbyś to? – pytanie przerodziło się w zawstydzający pisk. Ojciec Vorcien uśmiechnął się szeroko. Ten stary drań wiedział doskonale, jak ją podejść.

– Tak, zrobię to.

– A w zamian mam tylko dać ci znać, czy Demir stworzył ten portal, tak?

– Zgadza się. Mam świadomość, że to pewnego rodzaju zdrada, ale z pewnością nie jest ona zbyt duża. Nie mam zamiaru kazać ci podnosić na niego ręki.

Ojcu Vorcienowi można było wiele zarzucić, ale zawsze dotrzymywał słowa. Kizzie zadrżała, sama myśl o tym była dla niej nie do pojęcia. Jeszcze kilka minut temu sprawa legitymizacji pozostawała w sferze zakazanych marzeń. Teraz stała się realna. Nie byłyby dłużej bękarcicą, podrzędną egzekutorką z ograniczonymi przywilejami; byłyby prawowitą członkinią rodziny. Miałyby pieniądze, władzę, luksusy. Sibrial nie miałby prawa jej tknąć, nawet gdyby odziedziczył rolę patriarchy rodu.

– Nie będę traciła czasu na przeszukiwanie jego dokumentów – oświadczyła drżącym głosem, starając się zachować pozory uczciwości.

– Zrobisz to, co uznasz za stosowne. – Ton Ojca Vorciena był leniwy i pewny siebie. Właśnie zawiesił przed nią najbardziej kuszącą z nagród. Nie musiał nic więcej mówić ani robić. Wiedział, że jeśli Demir Grappo stworzy portal feniksa, a Kizzie się o tym dowie, bez wahania mu o wszystkim doniesie. – Chciałbym też, żebyś dała mi znać, jeśli odkryjesz zabójców Adrianę. To może być bardzo cenna informacja, i nawet jeśli Demirovi nie uda się stworzyć portalu... wieść o tym, kto zabił jego matkę, przywróci cię do łask. Nie zawsze zgadzałem się z Adrianą, ale lubiłem ją. Wyjaśnienie sprawy jej śmierci byłoby satysfakcjonujące zarówno z zawodowego, jak i osobistego punktu widzenia.

– Rozumiem – wykrztusiła Kizzie. Ojciec Vorcien zadzwonił leżącym na stoliczku dzwonkiem, a Diaguni otworzył drzwi gabinetu. Kizzie zrozumiała ten znak i wyszła z pomieszczenia. Odnalazła pusty pokój i spacerowała po nim przez jakiś czas, by się uspokoić.

Z jednej strony nie chciała zdradzać Demira. Był jej przyjacielem i nawet przez ten krótki czas od powrotu z prowincji okazał jej więcej dobroci niż ktokolwiek z jej rodziny. Z drugiej jednak strony rozwiązałyby to wszystkie jej problemy. Jedna zdrada w zamian za gwarancję przyszłości? Jak powiedział Ojciec Vorcien: nie była to zbyt duża zdrada. Nikt by się o tym nie dowiedział. Mogła się przecież trochę poświęcić, aby zabezpieczyć swą przyszłość. Nie tyle mogła, co musiała.

Nagle zdała sobie z czegoś sprawę: Demir miał spotkanie z młodą hutniczką, którą nazwał partnerką biznesową. Czy to ona pracowała nad portalem feniksa? Wydawała się zbyt młoda na tak ważny projekt, coś w tym jednak było. Kizzie niemal zawróciła do foyer, żeby przerwać ojcu kolejne spotkanie. Ale się powstrzymała. Nie było sensu wyciągać pochopnych wniosków ani zachłannie karmić Ojca Vorciena informacjami w nadziei, że zaskarbi sobie jego życzliwość. Umowa dotyczyła jednej informacji w zamian za legitymizację. Nie zamierzała dać mu nic poza tym.

Przyglądziła włosy, odepchnęła na bok wszystkie wątpliwości i wróciła myślami do spraw bieżących. Nadszedł czas, by znaleźć kolejnego zabójcę.



Ważnym elementem edukacji Thessy było przygotowywanie umów. Od siedemnastego roku życia pracowała jako główna weryfikatorka kontraktów Kastory i stało się to jedną z jej najważniejszych umiejętności – przewyższającą nawet samo hutnictwo – gwarantującą, że pewnego dnia samodzielnie poprowadzi własną hutę szkła. Wiedziała, jak je czytać, jak je pisać i jak je rozumieć. Wiedziała, jak wypatrywać podstępnych sformułowań i jak wprowadzać własne. W mgnieniu oka potrafiła rozpoznać niekorzystną umowę.

Dlatego też dość dużym szokiem było dla niej odkrycie, że w oryginalnej umowie między Kastorą a Adrianą Grappo nie było żadnych kruczków. Język był prosty, warunki jasne i zrozumiałe. Adriana dostarczyła projekt i środki finansowe. Kastora dostarczył krzemową wiedzę. Byli równymi partnerami w przedsięwzięciu związanym z portalem feniksa. Zdziwienie Thessy nie wynikało z faktu, że Kastora podpisał dobry kontrakt, ale raczej z tego, że nie umieścił w nim niczego, co mogłoby zapewnić mu przewagę nad

Grappo. Jedyne wnioski, jakie mogła z tego wyciągnąć, był taki, że za bardzo szanował Adrianę, by próbować ją podejść.

Thessa wpatrywała się w umowę, czytając ją po raz dwudziesty w ciągu ostatnich dwóch godzin. Demir zaproponował podpisanie identycznego kontraktu, bez żadnych zmian. Było to, delikatnie mówiąc, bardzo wspaniałomyślne. Prawdziwe partnerstwo. Nie mogła znaleźć w tej umowie absolutnie nic, do czego mogłaby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia, nawet na poziomie interpunkcji. W trakcie szkolenia i pracy u Kastory przeczytała tysiące umów i nigdy nie spotkała się z czymś podobnym. Ta odmienność sprawiła, że poczuła się trochę niepewnie. Kastora powtarzał jej nieustannie, że w naturze partnerów biznesowych leży walka o pozycję i przewagę. W takim razie jakim cudem okazało się to tak proste? Czy mogła zaufać Demirowi w kwestii wywiązania się z warunków umowy? Z drugiej strony dlaczego aż tak bardzo w to wątpiła? W końcu ossańskie rodzinne gildie traktowały umowy niezwykle poważnie. Biznes był dla nich praktycznie religią.

Rzuciła kontrakt na bok, przetarła oczy i spojrzała przez okno na popołudniowe słońce. Zaledwie trzy dni temu była więźniarką z fałszywym imieniem, próbującą znaleźć sposób na ocalenie życia. Teraz siedziała w narożnym apartamencie najlepszego ossańskiego hotelu, patrząc na umowę, która – jeśli uda jej się stworzyć działający portal feniksa – mogła uczynić ją jedną z najbogatszych hutniczek na świecie. Umówiono ją już na wizytę u krawców, szewców i masażystów. To, jak odmienił się jej los, wydawało się wręcz niemożliwe, zakrawało na jakiś rodzaj fantazji. Gdzie w tym wszystkim tkwił haczyk?

Zachichotała, podchodząc do okna, aby spojrzeć na zatłoczoną ulicę i park znajdujący się na ukos od hotelu. Domyślała się, gdzie tkwił haczyk. Prawda była taka, że nie miała pewności, czy zdoła odbudować i udoskonalić projekt Kastory. A samo podjęcie się takiego zadania uczyniło z niej jednego z graczy niebezpiecznej gry, w której udział brali też szpiedzy i zabójcy. Grappowie byli maleńką rodzinną gildią, posiadającą zaledwie ułamek bogactwa i prestiżu, jakimi mogłyby się pochwalić rody takie jak Magna, Vorcien czy Dorlani. Przypomniła sobie o artykule z gazety sprzed kilku

tygodni, gdzie napisano o brutalnie zamordowanych ossańskich hutnikach, których zwłoki wyłowiono z Tieniu.

Haczyk tkwił w tym, że i ona mogła skończyć podobnie.

Uwagę Thessy przykuła alejka po drugiej stronie parku, gdzie zaczął gromadzić się jakiś tłum. Zmarszczyła czoło, spoglądając w tamtym kierunku, i dostrzegła, że ruch uliczny pod jej oknem bardzo szybko maleje. Usłyszała czyjś krzyk. Po nim nastąpił kolejny, i jeszcze jeden. Jakaś kobieta wrzasnęła i zaczęła uciekać.

– Co jest, do cho... – mruknęła do siebie.

Znajdowała się na drugim piętrze hotelowego budynku, a i tak tkwiący w niej zwierzęcy instynkt nakazywał ucieczkę na wyższe poziomy. Chwyciła za parapet, obserwując, co dzieje się na sąsiedniej ulicy. Młoda kobieta ubrana w strój roboczy wbiegła na sam środek drogi, zatrzymała się, żeby krzyknąć coś do podążających za nią osób, po czym odwróciła się i rzuciła cegłą w witrynę ekskluzywnego sklepu. W jej ślady poszedł inny robotnik, a potem kolejny. W ciągu kilku minut ulica zapełniła się podobnymi ludźmi, którzy bombardowali kamieniami sklepy i ganiili dobrze ubranych przechodniów, wrzucając ich do rowu.

Thessa podbiegła do drzwi i wyszła na korytarz, gdzie zastała młodą kobietę ubraną w hotelowy uniform. Podobnie jak u innych pracujących tam osób paznokciec jej małego palca był pomalowany na fioletowo, co świadczyło o lojalności wobec rodzinnej gildii Grappów. W odróżnieniu jednak od innych pracowników nosiła za pasem miecz i pistolet. Miała ponad dwadzieścia lat, ciemnooliwkową karnację rodowitej mieszkanki Ossy i krótko przystrzyżone czarne włosy. Jej stanowcze spojrzenie i ładną, delikatną twarz podkreślała blizna biegnąca od prawej kości policzkowej aż do linii szczęki.

Po kilku dniach spędzonych w obozie pracy i obserwowaniu strażników Magny wałęsających się po murach kompleksu sam widok egzekutorki rodzinnej gildii wywoływał u Thessy skręt kiszek. Mimo to się przełamała.

– Na zewnątrz dzieje się coś dziwnego – oznajmiła.

Kobieta odetchnęła głęboko i spojrzała na nią gniewnie.

– Wiem.

– Czy ja... co mam robić? – zapytała Thessa, zaskoczona nonszalancją, z jaką odpowiedziała jej egzekutorka.

Kobieta podrapała się po czole i pokręciła głową.

– Panna Foleer, jak mniemam?

– Tak.

– Nazywam się Tirana Kirkovik, jestem hotelową oficerką. – Gestem poprosiła Thesę, by podążyła za nią i udały się do kolejnego pokoju, a potem na balkon. Krzyki i wrzaski były tam o wiele głośniejsze, można też było usłyszeć odgłos tłuczonego szkła dobiegający z głębi ulicy. Tirana trzymała się z dala od krawędzi balkonu i wyciągała szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole. – Od rana w Dzielnicy Zgromadzenia trwają zamieszki.

– Kim są ci ludzie? – dociekała Thessa. Opanowany ton głosu Tirany pomógł jej pozbyć się niepokoju, choć chęć ucieczki nie znikła.

– Wczorajszego wieczoru cena niskorezonansowego szkła mocy wzrosła trzykrotnie – powiedziała Tirana – W związku z tym, gdy tylko wieść się rozeszła, trzy główne związki zawodowe rozpoczęły strajk.

– Trzykrotnie? – niedowierzała Thessa, wybałuszając oczy. – Takie rzeczy nie dzieją się z dnia na dzień. To niemożliwe. Istnieją przecież pewne normy, prawa utrzymujące ceny na stałym poziomie.

– Jesteś hutniczką, tak? Nie znam szczegółów, ale podobno zniknęło gdzieś kilka dużych transportów żaropiachu. A jeśli dodamy do tego, że niedawno doszczętnie spłonęła też huta szkła w Lesie Kości Słoniowej, to spekulacje zaczęły sięgać zenitu. Z pewnością zna się pani na tym lepiej niż ja.

– Doszczętnie spłonęła? – powtórzyła Thessa. Poczowała falę wyrzutów sumienia. Poza wdzięcznością z powodu uwolnienia się z tamtego przekłętego miejsca starała się nie myśleć o nim od czasu ucieczki. – Nie wiedziałam. Czy oni... czy hutnikom udało się stamtąd wydostać?

– Było zaledwie kilka ofiar – odparła Tirana. Jeśli wiedziała, że to Montego podłożył ogień, zupełnie nie dała tego po sobie poznać.

Thessa odetchnęła z ulgą. Nie potrzebowała więcej trupów na sumieniu. Nagle popołudniowe powietrze przeciął jakiś dźwięk –

wyraźny skrzek sokoła – i instynktownie nastawiła uszu. Na sekundę skierowała wzrok w stronę nieba, szukając sprawcy tego hałasu, i choć wiedziała, że to niemożliwe, po części pragnęła, aby był to Ekhi. Po chwili znów spojrzała na ulicę.

– Co robimy? Hotel jest zabezpieczony?

Uczestnicy zamieszek byli coraz bliżej. Za ledwie pół przecznicy od nich rozwścieczony tłum zepchnął powóz z drogi, wywłókł jego pasażerów i dotkliwie ich pobił.

– Pan Grappo już się tym zajął.

Thessa początkowo nie rozumiała, co Tirana miała na myśli, ale gdy tylko pojęła znaczenie tych słów, oddech ugrzął jej w gardle.

– Chce ich zabić? – wykrztusiła. Nie otrzymała odpowiedzi. Przeknęła z trudem i zostawiła oficerkę na balkonie, sama spiesząc przez hotelowe korytarze do foyer.

W holu tłoczyli się goście i pracownicy, niespokojnie kręcąc się w kółko, a Thessa musiała przepchnąć się przez kordon stojących przy wejściu egzekutorów, żeby wydostać się na zewnątrz. Na schodach ozdobionych fioletowym dywanem i prowadzących na ulicę siedział wygodnie Demir. Był tam sam, a na schodku obok niego stała butelka wina. Miał rozpiętą marynarkę, tunikę rozchełstaną pod szyją i podwinięte rękawy. Nie miał rękawic i ciężko było nie zauważyć dwóch krzemowych symboli na jego dłoniach. Podobnie zresztą jak zestawu szklanych baniek leżących na niższych schodkach. Były one podstawowym narzędziem tancerzy szkła.

– Lepiej zostać w środku – rzekł, spoglądając na zbliżających się buntowników.

– Nie chcę, żebyś kogokolwiek zabijał – oświadczyła Thessa. Serce waliło jej jak oszalałe i zastanawiała się, czy był kiedyś ktoś równie bezczelny, by odważyć się powiedzieć coś podobnego tancerzowi szkła.

Demir uniósł wzrok, zaskoczony.

– Nie zamierzam.

– Więc po co ci to? – Spojrzała pytająco na szklane bańki.

– To ostrzeżenie. – Gdy wypowiadał te słowa, pierwsza grupa rebeliantów dotarła już na ulicę przed hotelem. Było ich sześciu czy siedmiu i nieśli masywne dłuta, którymi niszczyli kamienny bruk.

Troje z nich podbiegło do pobliskiego powozu i odcięło od niego pasy, uwalniając konie, a następnie przewróciło pojazd. Skończywszy, odwrócili się w stronę Demira i Thessa, zbliżając się ku nim. Nie przeszli jednak nawet połowy dzielącego ich dystansu, gdy jeden z nich złapał towarzyszy za rękawy i coś do nich powiedział. Wszyscy trzej przez chwilę wpatrywali się w Demira, a potem odwrócili się i odeszli.

– No i tak to jest – zaczął Demir, podnosząc lewą dłoń tak, by pokazać Thessie krzemowy symbol tancerza szkła. – Taka korzyść z tego, że wszyscy uważają cię za mordercę.

Podobna sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie. Dziesiątki awanturników wlewały się na ulicę, niektórzy z nich podchodzili aż do powozu u podnóża hotelowych schodów, a następnie spokojnie odchodzili. Wokół rozbijano sklepowe witryny, egzekutorzy rodzinnych gildii walczyli z protestującymi, używając pałek i mieczy, ale przemoc zdawała się pozostawać z dala od Demira, tak jakby roztaczał wokół siebie jakąś magiczną aurę spokoju.

– Zabiłbyś ich, gdyby zignorowali twoje ostrzeżenie? – zapytała Thessa, siadając na schodach. Demir upił łyk wina, nie spuszczać wzroku z rozgrywających się przed nimi scen. Mimo pozornego spokoju Thessa dostrzegła, że jego źrenice są rozszerzone, a mięśnie napięte.

– Mam nadzieję, że nie będziemy mieli okazji, by się o tym przekonać. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Ktoś podłożył ogień. Szklorwa, ci przekłeci głupcy aż się proszą o przybycie Gwardii Zgromadzenia.

– Tirana powiedziała mi, że zamieszki wybuchły, bo w ciągu jednej nocy potroiła się cena szkła mocy.

Demir rzucił jej długie, znaczące spojrzenie.

– Też o tym słyszałem. Jakoś tak szkolernie niespodziewanie, co nie? Wiesz może, czy kiedyś coś podobnego się zdarzyło?

Thessa się skrzywiła.

– Oczywiście, że tak. Już wcześniej następowały podobne wzrosty cen, ale było to bardzo dawno temu, nie we współczesnym świecie. I na pewno nie w mieście wielkości Ossy. Zasoby żaropiachu są bardzo dobrze kontrolowane.

– A niech to szkło – westchnął.

– Takie akcje będą się zdarzać coraz częściej, prawda? – spytała Thessa, choć знаła już odpowiedź. – Jeśli nie uda nam się stworzyć portalu feniksa, będzie jeszcze gorzej.

Mężczyźni i kobiety, ubrani w bure, robotnicze tuniki, zaczęli wypełniać ulice po brzegi. Część z nich miała na sobie marynarki z wyszytymi herbami związku zawodowego, pozostali zaś wyglądali, jakby przyszedli tam wyłącznie dla przemocy i grabieży. Tłum nagle się rozstał i wyłoniła się z niego kobieta w średnim wieku. Bezczelnie podeszła na najniższy stopień schodów prowadzących do Hiacynta. Jej strój był schludniejszy niż reszty protestujących, haft piękny, lecz skromny, a jej pierś dumnie zdobiło godło przedstawiające woła. Thessa rozpoznała jej tunikę – przed nimi stała szefowa związku zawodowego. Kobieta wskazała na Demira pałką.

– Ty tam, Grappo! Jesteś patriarchą rodzinnej gildii, jedynym na tyle odważnym, by pozostać na ulicy. Powiedz nam, dlaczego cena szkła mocy wzrosła aż trzykrotnie.

Thessa i Demir popatrzyli po sobie.

– Nie wiem. Dowiedziałem się o tym, dopiero gdy twoi ludzie wyszli na ulicę i zaczęli wybijać szyby – odpowiedział Demir.

– Jakim cudem możesz tego nie wiedzieć? – zażądała wyjaśnień. – Jesteś przecież członkiem Zgromadzenia!

– Od dziewięciu lat nie uczestniczyłem w zebraniach Zgromadzenia – odparł Demir, rozkładając ręce, by wskazać na czarne żałobne flagi wciąż wiszące w hotelowych oknach. – Lepiej zapytać Magnę albo Vorciena. Czy wyglądam ci na kogoś, kto posiada hutę szkła?

Kobieta wykonała zniesmaczony gest.

– Chcemy odpowiedzi! Oczekujecie, że będziemy harować jak woły, a nawet nie jesteście w stanie zapewnić nam szkła mocy niezbędnego do pracy? Przy tych cenach nie możemy sobie na nie pozwolić! Co mają nam do zaoferowania rodzinne gildie, jeśli te stawki tak szybko rosną? Jaki mamy z nich pożytek?

Thessa spojrzała ostro na Demira. Jego zachowanie nie zmieniło się, ale zdawał się oddychać ciężiej, a po karku spływała mu strużka potu.

– Co się dzieje? – wyszeptała.

– Mam pustkę w głowie – odrzekł szeptem. – Kiedyś wiedziałem dokładnie, co powiedzieć, co zrobić. Potrafiłem owinąć sobie taki tłum wokół palca, i to za pomocą zaledwie kilku słów. Uwielbiali mnie, a teraz jedyne, co mogę, to pogrozić im krzemowym symbolem. – Ku zaskoczeniu Thessa zdrząły mu ręce. Chwyliła za jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

– Nie musisz tu być – powiedziała.

– Jeśli mnie tu nie będzie, będą tu moi egzekutorzy. Ludziom stanie się krzywda. Kilkoro może nawet stracić życie. – Odchrząknął i machnął lekceważąco na szefową związków. – Kierujcie swoje skargi do Zgromadzenia. Tu nic nie wskóracie.

– Bzdura! – warknęła kobieta, wykonując obsceniczny gest i wycofując się z powrotem w tłum.

Demir odetchnął głęboko, a Thessa zastanawiała się, czy rzeczywiście istnieje szansa, by obeszło się bez przemocy. Przejechał dłonią po twarzy.

– Widziałem rozruchy na prowincji, dotyczyły chleba, podwyżek, ale nigdy nie doświadczyłem zamieszek w Dzielnicy Zgromadzenia. Gdybym... O szkłorwa.

Thessa odwróciła się, podążając wzrokiem za ostrym ruchem jego głowy. W oddali, niecałą przecznicę od nich, na ulicę wkroczyli żołnierze. Wyglądali wręcz hipnotyzująco, jak ze starych sztuk teatralnych, napływając w swych białych, czerwonych i zielonych mundurach, uzbrojeni w halabardy z główkami wykonanymi ze szkła mocy i ostrzami ze szkła brzytwy, z pistoletami przy pasach i ze stożkowymi kapeluszami. Oddech uwiązał Thessie w gardle. Gwardziści. Wyszkoleni zabójcy Zgromadzenia. Nawet w Grecie cieszyli się reputacją bliską tancerzom szkła, ze swoją arogancją i żądzą krwi. Było ich kilkudziesięciu, a wielu z nich dzierżyło już ociekające krwią halabardy. Ustawili się w szeregu, odgradzając buntowników od placu Zgromadzenia i opuścili broń. Protestujący zawahali się, ale pozostali w miejscu.

– Macie natychmiast się rozejść! – rozkazał jeden z gwardzistów.

Uczestnicy zamieszek ryknęli jak jeden mąż, podnosząc pałki i kamienie.

– Wejź do środka – polecił Demir. Poderwał się i zbiegł po schodach, a jego szklana broń wystrzeliła w powietrze i podążyła za nim jak opętana. – Nie! – krzyknął. – Stać!

Thessa zamarła, patrząc jak szklane bańki pękają na dziesiątki kawałków i unoszą się nad głowami tłumu, a następnie zatrzymują tuż przed gwardzistami, odsuwając o krok zarówno żołnierzy, jak i buntowników. Demir wskoczył na podstawę latarni i pokazał swoje dwa krzemowe symbole w kierunku zgromadzonych.

– Zabiją go. – Thessa odwróciła się i zobaczyła, że z hotelu wyłoniło się pół tuzina egzekutorów, a wraz z nimi Tirana i hotelowy konsjerż Breenen. – A niech to szkło – kontynuował Breenen. – Nawet tancerz szkła nie da sobie z nimi rady w pojedynkę. Tirano, idź i go stamtąd wyciągnij.

– Zaczekaj! – krzyknęła Thessa. Wiedziała, że nie ma żadnej władzy, nie byli to nawet jej ludzie, ale wyciągnęła rękę, aby zatrzymać Tiranę, dokładnie w momencie, gdy Demir odezwał się do zgromadzonych.

– Związkowcy! – zawołał ponad gniewnymi okrzykami. – Budowniczy, przewoźnicy, kopacze, garbarze! Obywatele! Spójrzcie na mnie i posłuchajcie uważnie! To – wskazał na Gwardię Zgromadzenia – przyniesie wam wyłącznie śmierć i rozpacz. Będziecie cierpieć. Nazwą was zwierzętami i wykorzystają to przeciwko wam.

Thessa głośno przełknęła ślinę. Krzyki momentalnie ucichły, a setki oczu zwróciły się w stronę Demira.

– Breenen – wysyczała. – Masz jakiś zapas szkła mocy? Taki dla twoich pracowników?

– Oczywiście, że mam – odpowiedział konsjerż.

– Ile?

– Z kilkaset sztuk.

– Przynieś mi je. Wszystkie.

Konsjerż się wyprostował.

– Młoda damo, może i jesteś naszą gościnią, ale nie...

Odwróciła się i chwyciła go za kłapy marynarki.

– Wykuję ci nowe – wyszeptwała z rozpaczą w głosie. – W ciągu kilku dni wykuję ci ich równowartość. Idź. I. Przynieś. Szkło. Mocy. –

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdała sobie sprawę, jak blisko stali egzekutorzy Grappa, którzy w każdej chwili mogli siłą odciągnąć ją od konsjerża. Puściła go, pokazując wnętrza swoich dłoni. – Zrób to.

W końcu skinął głową, a dwóch egzekutorów wbiegło do środka.

Demir kontynuował, krzycząc do spokojniejszego już tłumu. Jego głos załamywał się momentami, ale nie przestawał mówić do nich hipnotycznym tonem.

– Opuśćcie! Daliście już dowód swego niezadowolenia. Nic więcej nie zyskacie.

– Nie odejdziemy, dopóki nie wysłuchają naszych żądań – wrzasnęła z tłumu szefowa związku.

– Nie zmusisz ich do słuchania, wymachując pałką! – wykrzyknął Demir. – Odpowiedzą ci rozlewem krwi!

– Prawda! – odpowiedziało kilku gwardzistów, wymierzając przed siebie lśniące halabardy i podchodząc parę kroków do Demira. Ich oficer podniósł rękę w kierunku Grappa.

Thessa poczuła, że wepchnięto jej coś do rąk, a gdy spojrzała w dół, zdała sobie sprawę, że trzyma w nich pudełko wypełnione szkłem mocy.

– Teraz ma na karku również gwardzistów! – warknął gniewnie Breenen. – Mam nadzieję, że masz jakiś pomysł.

Nie miała.

– Zbierz ludzi – powiedziała. – I utwórz kordon u podstawy schodów. – W ten sposób, wbrew wszelkiemu instynktowi samozachowawczemu, przedarła się przez tłum i dotarła do Demira akurat w momencie, gdy ten odwrócił się do Gwardii Zgromadzenia.

– Wycofajcie się! – wrzasnęła do nich.

– Nie pan wydaje nam rozkazy – odpowiedział oficer.

Demir się wyprostował.

– Jestem patriarchą rodzinnej gildii Grappów i tancerzem szkła. Jestem członkiem Zgromadzenia. Wycofajcie się, albo przelana dziś krew nie będzie należała do tych ludzi! – Jego głos przerodził się w ryk, a Thessa wpatrywała się w jego plecy, zastanawiając się, czy przypadkiem nie oceniła go zbyt pochopnie. Doszła do wniosku, że w rzeczy samej był zdolny do przemocy. Kawalki szkła nerwowo

drżały w powietrzu, unosząc się kilka metrów nad gwardzistami, a każdy z nich odbijał światło, sprawiając, że błyszcząły niczym gotowe do ataku sztylety.

Wśród zgromadzonych zapanowała całkowita cisza, nie padło ani jedno słowo, a przez tłum przepłynęła fala strachu, rozchodząc się w każdym kierunku, zupełnie jakby ktoś wrzucił kamień w środek stawu.

– Osobiście podniosę ten temat podczas obrad Zgromadzenia! – oświadczył. – Nie możemy traktować ludzi jak bydła, a potem biadolić, kiedy rozproszą się w popłochu. Są naszymi przyjaciółmi. Naszymi towarzyszami. Zasługują na to, byśmy ich wysłuchali bez konieczności grożenia im bronią.

Thessa stała tuż za Demirem i choć nie mogła dostrzec nic ponad głowami tłumu, wyczuła nagłą zmianę atmosfery.

– Gwardziści się wycofują! – krzyknął ktoś.

– Hurra! Hurra!

Thessa poczuła, jak otaczający ją ludzie zaczynają się przemieszczać. Chwyciła się latarni i stanęła obok Demira.

– Co ty tu robisz? – zażądał wyjaśnień.

– Pomagam ci – odpowiedziała, po czym krzyknęła do tłumu: – Grappo podzieli się z wami tym, co ma, choć nie jest tego za wiele! Jeden kawałek dla każdego, kto słyszy mój głos, a potem rozejdziecie się i pozwolicie Demirowi spełnić jego obietnicę! – Pociągnęła Demira za rękaw. – Szybko, zanim znów się rozkręca.

Niemal zawlekła go z powrotem ku schodom prowadzącym do Hiacynta, a protestujący rozstępowali się przed nią jak fale. Uwaga tłumu skupiła się teraz wyłącznie na nich i w ciągu kilku minut uformowała się kolejka, a kilkoro związkowych przedstawicieli precyzyjnie się na przód i entuzjastycznie uściśnięło Demirowi dłoń, doprowadzając następnie swych ludzi do porządku.

Thessa poczuła, jak cała ta akcja pochłonęła ją bez reszty. Rozdając kawałki szkła mocy, była całowana w policzki i obsypywana błogosławieństwami. Czuła euforię, kręciło jej się w głowie i nie stawiała oporu, gdy jakieś przyjazne ręce delikatnie wciągnęły ją z powrotem do hotelu. Znalazła się w holu, oszołomiona, a naprzeciwko niej stał rozgniewany Breenen.

– Mogłaś nas wszystkich pozabijać – skarcił ją konsjerż. – Tłum mógł w gnieniu oka zwrócić się przeciwko tobie.

– Breenen! – upomniał go ostry głos. – Zostaw ją. – Dołączył do nich Demir, który zdjął marynarkę i rzucił ją jednemu z tragarzy. Był pod nią cały przemoknięty potem. Breenen wycofał się, rozgniewany, a Thessa przyglądała się, jak odchodził. – Wybacz mu – powiedział cicho Demir. – To było genialne. Ryzykowne, ale genialne. – Miał zarumienioną twarz, a hutniczka domyślała się, że pewnie sama wygląda podobnie.

– Potrzebowali czegoś innego – stwierdziła. – Zatrzymałeś ich w pędzie, więc potrzebowali czegoś, aby poczuć się jak zwycięzcy. Szkło mocy jest zwycięstwem. I jest tanie.

– Już nie.

– Jeśli dostarczysz mi żaropiachu, uzupełnię rozdane zapasy – obiecała Thessa.

– Trzymam cię za słowo. – Rozejrzał się niepewnie po foyer, jakby zjawiał się tam po raz pierwszy. Potem wrócił spojrzeniem do Thesy. – Wszystkim się zajmę. I byłoby lepiej, gdybyś nie pokazywała się zbyt często publicznie, bo Magnowie mogą zacząć zadawać niewygodne pytania.

Thessa skinęła głową. W ciągu dziesięciu minut zapewniła sobie tyle wrażeń, że wystarczyłoby na miesiąc.

– Lepiej nie będzie. Muszę zacząć działać. Już dziś powinnam rozpocząć pracę – oświadczyła cicho.

Przyglądała się odchodzącemu Demirowi, po czym wróciła do swojego pokoju, gdzie pozwoliła, żeby zeszło z niej ciśnienie. Z okna obserwowała, jak powoli, lecz sukcesywnie rozchodził się tłum. Gwardia Narodowa i egzekutorzy z kilkunastu różnych rodzinnych gildii przeszli ulicami, przepędzając ostatnich maruderów i oceniając zniszczenia. Zamieszki dobiegły końca.

Przynajmniej na razie.

Zebrawszy schematy, Thessa udała się do hotelowego ogrodu, gdzie Demir pokazał jej mały warsztat, w którym miała odbudować portal feniksa. Prototyp – zniszczony przez pożar w hucie szkła w Grecie – już na nią czekał. Chodziła dookoła budynku, zbierając myśli i szykując się do pracy. Musiała to zrobić. Dla siebie. Dla Kastory. Dla stabilności świata.

Zabierając się do pracy, usłyszała gdzieś w górze sokoli skrzek.



Wartownie Gwardii Narodowej były jednymi z najbardziej wszechobecnymi budynkami ossańskiej stolicy. Były ich setki i znajdowały się niemal na każdym rogu, stanowiąc coś na wzór tradycyjnej policji. Wszystkie zbudowano z użytkowej czerwonej cegły, z białymi tabliczkami, na których widniał numer danego posterunku. Przed nimi zaś stała często para gwardzistów w szarych mundurach z guzikami wykonanymi ze szkła aury i w czapkach z niedźwiedziej skóry. Opierając się na własnym doświadczeniu, Kizzie twierdziła, że tak naprawdę Gwardia Narodowa w niewielkim stopniu zajmowała się faktycznym pilnowaniem porządku. Ich głównym zadaniem było egzekwowanie woli Zgromadzenia, czyli tłumienie zamieszek, obrona stolicy i utrzymywanie ludzi w ryzach. Natomiast ich drugorzędne zadanie polegało na pełnieniu funkcji nieoficjalnych egzekutorów na rzecz którejkolwiek z rodzinnych gildii, w zależności od tego, która wypłacała im pensje.

Kizzie wbiegła po schodach do Sto Osiemdziesiątki Siódemki, wartowni znajdującej się przy wąskiej uliczce na skraju Żuźła,

i przywitała stojących na zewnątrz dwóch strażników kiwnięciem głowy. Ta wartownia była niewielkim budynkiem wciśniętym między dwie fabryki, z pomieszczeniem głównym, kilkoma celami i bunkrem na pierwszym piętrze.

– Kizzie! – zawołał na przywitanie Gorian, gdy tylko przekroczyła próg. Siedział przy stoliku karcianym wraz z trzema innymi gwardzistami, którzy powitali ją, wykrzykując jej imię. Kizzie odwzajemniła pozdrowienia i postawiła na ich stoliku butelkę nasuudzkiej whisky. Nie wypłacała im pensji, ale zapewnianie Sto Osiemdziesiątce Siódemce dobrego trunku uczyniło ją niezwykle popularną w tej okolicy. Posypał się grad podziękowań, po których Kizzie skinęła głową na Goriana. – Dajcie mi chwilę – rzucił do towarzyszy, zgasił papierosa i dołączył do niej, gdy ogrzewała ręce przy małym piecyku w rogu.

– O co chodzi z tymi zamieszkami w Dzielnicy Zgromadzenia? – zapytała.

– O coś związanego ze szkłem bożym i nowymi cenami, które wkurzają pracownicze związki zawodowe – odparł Gorian. – Mamy czekać na rozkazy, gdyby się okazało, że trzeba rozwalić kilka czaszek, ale pewnie Gwardia Zgromadzenia ukróci kilkuset niesfornych buntowników o głowę i na tym się skończy. Jak poszło z twoim ojcem?

A więc to była prawda. Zamieszki w Dzielnicy Zgromadzenia wydawały się złowieszcze, nie potrafiła jednak określić dlaczego.

– Nie najgorzej – odpowiedziała Kizzie. Szybko zmieniła temat, nie chcąc rozpamiętywać poczucia winy pojawiającego się na samą myśl o zdradzeniu tajnego projektu Demira w zamian za legitymizację. – A co u ciebie? Udało ci się zdobyć listę członków Szklanego Ostrza?

Gorian zerknął przez ramię na swoich towarzyszy.

– Lepiej porozmawiajmy na zewnątrz.

Kizzie przystała na propozycję przeniesienia rozmowy z powrotem na mróz, a dokładniej na schodki prowadzące do wartowni, gdzie mogli wszystko na spokojnie omówić, nie martwiąc się, że ktoś będzie ich podsłuchiwał. Gdy zostali już sami, Gorian odezwał się cicho.

– Jest kilka spraw – zaczął. – Po pierwsze, mam pewne podejrzenia co do tego Wysokiego Mężczyzny, o którym mi mówiłaś. Kojarzysz tę sprawę z ginącymi hutnikami?

– Masz na myśli tych zamordowanych i wrzuconych do Tienu? – zapytała Kizzie. – Gazety od tygodni się o tym rozpisują.

– Dokładnie. – Gorian ściszył głos niemalże do szeptu. – Krąży plotka, że między rodzinnymi gildiami toczy się jakaś sekretna krzemowa wojna, a ten zabójca pracuje dla jednego z rodów.

Kizzie o niczym takim nie słyszała, co było dość dziwne, bo tego typu pogłoski rozpuszczali na ogół gadatliwi egzekutorzy. Z drugiej strony od kilku miesięcy była w niełasce. Ludzie przestali jej cokolwiek mówić, chyba że sama o coś zapytała.

– Sekretna wojna krzemowa brzmi bardzo groźnie.

– Też tak myślę, ale szczerze mówiąc, nie mam nawet pewności, czy w ogóle istnieje. – Zrobił minę, która zawsze pojawiała się na jego twarzy, gdy miał jej do przekazania jeszcze mniej prawdopodobne wieści. – Tuż po naszej rozmowie przeglądałem kilka raportów, starając się coś sobie przypomnieć, i natrafiłem na trzech różnych naocznych świadków, zeznających, że widzieli bardzo wysokiego, łysego Purnijczyka w pobliżu miejsca ataków. Nie ma na to jednoznacznych dowodów, a strażnikom wyznaczonym do zbadania tej sprawy dotychczas nie udało się go znaleźć.

Dreszcz przebiegł Kizzie po plecach. To nie mógł być przypadek. To musiał być jakiś agent rodzinnej gildii. Tylko której? Dorlanich? Magnów? W sumie nie ruszył na pomoc Glissandi. Myśli Kizzie rozproszyły się nagle we wszystkich kierunkach, zmuszając ją do połączenia kropek między śmiercią Adriany, rzekomą wojną krzemową a portalem feniksa, o którym dopiero co dowiedziała się od ojca. Coś w tym było, prawda? Jeśli Adriana brała udział w tej sekretnej wojnie, do której Grappowie nie byli w rzeczywistości przygotowani, to musiała przez to zginąć. Ale kto ostatecznie wydał ów rozkaz?

– To, co mi powiedziałaś, jest cenniejsze, niż ci się wydaje – oznajmiła Gorianowi. – Będę musiała kupić ci kolejną butelkę whisky.

– Wstrzymaj się jeszcze na chwilę z tymi obietnicami, bo nie zdążyłem nawet dojść do Szklanego Ostrza.

– No to dawaj. – Gorian ponownie rozejrzył się dookoła. Zazwyczaj mówił i działał dość nonszalancko, więc fakt, iż oglądał się teraz przez ramię, sprawił, że Kizzie zmarszczyła brwi. – Wyrzuć to z siebie – ponagliła. Co mogło go aż tak przerażać w liście członków Stowarzyszenia Fulgurytów?

Gorian zdawał się bardzo starannie dobierać słowa.

– Zdarza ci się od czasu do czasu słyszeć jakieś plotki o Stowarzyszeniu Fulgurytów? No wiesz, takie wieści jak ze szmatławca, sensacje i tym podobne?

– Jasne – prychnęła Kizzie. – Takie totalne bzdury, że niby jakiś członek stowarzyszenia zabija kochankę na terenie klubu albo eksperymentuje z wysokorezonansowym szkłem otępiającym i później lata nago po ulicy. Wszystkie naprawdę dobre ploteczki okazują się wysane z palca.

– Może tak, a może nie.

– Co masz na myśli? Co takiego robią członkowie Szklanego Ostrza, o czym jeszcze nie słyszałam?

– Takie tam standardowe głupotki – odrzekł niechętnie Gorian. – Pakty z demonami, mieszanie szkła strachu ze szkłem dyscypliny, zjadanie ludzi, składanie ofiar z żyjących istot.

Kizzie spojrzała na Goriana, prezentując swój najdobitniejszy wyraz zwątpienia.

– I mam uwierzyć, że to wszystko prawda? – Nie miała zbyt wysokiego mniemania o wpływowych członkach rodzinnych gildii. Pomimo wielkich chęci, żeby stać się jedną z nich, dobrze wiedziała, jak żyją, i prawie każdy z nich był rozpieszczonym, niezaspokojonym seksualnie i uzależnionym od magii głupcem. Glissandi Magna zdawała się nieco pomyłona, ale Kizzie nie chciało się wierzyć, że mogła zaangażować się w jakiś kult śmierci. Chociaż w sumie odgryzła sobie język i popełniła samobójstwo, aby uniknąć wydania swoich przełożonych.

Gorian podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Naturalnie nic z tego nie jest prawdą. Plotki zazwyczaj nie żyją zbyt długo. Trafiają do gazet, ludzie o nich gadają, a potem świat idzie dalej. Ale informacje na temat Szklanego Ostrza... Związane z nimi poufne raporty pełne są tajemniczych zniknięć i cudaczych

oskarżeń. Mnóstwo tuszowania spraw i powracających dziwactw. Na samą myśl dostają gęsiej skórki.

– Daj spokój – rzuciła Kizzie, tracąc w końcu cierpliwość. – Pokaż mi tę listę.

W oku Goriana pojawił się niewielki błysk.

– Będzie cię to kosztować o wiele więcej niż butelka whisky.

Kizzie sięgnęła do kieszeni po gruby zwitek banknotów. Cokolwiek to było, Demir mógł sobie na to pozwolić.

– Ile?

– Obiecuj, że się nie wkurzysz – poprosił Gorian.

– Dlaczego miałabym się wkurzyć? Wiem, jak to działa. Przyjaźnimy się od lat. – Wbiła wzrok w Goriana, marszcząc brwi. Jego zachowanie było dość niecodzienne i zdecydowanie jej się to nie podobało.

– Nie chcę pieniędzy – odparł. – Chcę opowieści.

– Jakiej znowu opowieści? – zapytała Kizzie, zdumiona.

Gorian zatarł dłonie i rzucił jej długie, pełne namysłu spojrzenie.

– Słyszałem, że Mały Montego wrócił do miasta, a ty pracujesz w Hiacyncie.

Uśmiech znikł z twarzy Kizzie. Uniosła też ostrzegawczo palec.

– Uważaj.

– Słuchaj, Kizzie, ludzie może i zapomnieli, że zanim Montego stał się sławny, byliście kochankami. Ale ja nie zapomniałem. Jeśli mam nadstawić karku i zaangażować się w sprawę Szklanego Ostrza, chciałbym otrzymać od ciebie coś bardziej osobistego niż pieniądze. Chcę wiedzieć, co zaszło między wami. Dlaczego się rozstaliście? Dlaczego polujesz na zabójców zamiast nazywać się Kissandrą Vorcien-Montego?

– Sama zdobędę tę listę – oświadczyła Kizzie, odwracając się, by odejść. Wściekła się na samą wzmiankę o Montegu. Szybko udała się w kierunku ulicy i była już kilkadziesiąt kroków od wartowni, gdy dogonił ją Gorian.

– Ej no – powiedział cicho. – Przepraszam, nie chciałem. Po prostu ta sprawa z Montegiem od lat nie daje mi spokoju. Rozstałaś

się z kimś, kto stał się jednym z najsłynniejszych ludzi na świecie. To nie jest dla mnie tylko opowieść, to jest coś więcej.

– Mam z tobą plotkować na własny temat? – Odwróciła się do Goriana.

– To nie plotkowanie. Chcę się dowiedzieć, co się stało. Nikomu nie powiem. Przysięgam. Jestem najzwyczajniej w świecie ciekaw. Spójrz, w kieszeni mam listę członków Szklanego Ostrza. Dam ci ją, jak tylko mi o tym opowiesz.

Kizzie zastanowiła się przez chwilę. Zdobycie tej listy mogło pomóc jej w znalezieniu kolejnego zabójcy Adriany, mogło też okazać się całkowitą stratą czasu. Nie miała obecnie zbyt dużo poszlak, a ta lista zaoszczędziłaby jej wiele dni pracy. Nie dało się ukryć, że Gorian był godny zaufania. Może i był skorumpowany, ale tak jak w przypadku Madame spod Magny jego korupcja miała charakter czysto biznesowy. Jeśli obiecał, że nikomu tego nie powtórzy, to miała pewność, że dotrzyma słowa.

– No dobra! – krzyknęła i wskazała głową, aby zeszli na pobocze. Potem przez kilka minut wpatrywała się w ziemię, układając myśli i wyszukując wspomnienia, które od tak dawna starała się wymazać z pamięci. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłam – wyznała cicho.

– A ja nikomu tego nie powtórzę – przyrzekł Gorian, kładąc rękę na sercu.

Kizzie nie miała ochoty o tym rozmawiać, lecz wizja zaoszczędzenia kilku dni pracy była niezwykle kusząca. Nie tylko będzie bliżej wykrycia morderców, a co za tym idzie pomocy Demirowi, ale wierząc obietnicom Ojca Vorciena, będzie miała też większą szansę na powrót do łask. Ostatecznie była to tylko opowieść, prawda? W sumie Gorian był pierwszą osobą, która ją o to zapytała.

– Dobra. Kojarzysz ten wielki skrzypiący dąb na Wzgórzu Rodzinnym?

– Jasne.

– No to pewnego dnia Sibrial nakrył mnie tam z Montegiem. Byliśmy dziećmi. Sibrial wyciągnął mnie stamtąd za włosy, krzycząc, że nawet jak na bękartcę zeszmaciłam się, leżąc obok takiego prowincjonalnego, nisko urodzonego typu jak Montego. –

Kizzie szybko wypływała z siebie słowa, czując przypływ adrenaliny z powodu wypowiedzenia tego po raz pierwszy na głos. – Montego stanął w mojej obronie, a Sibrial uderzył go swoją laską na tyle mocno, że powaliłoby konia. – Postukała nasadę nosa. – Prosto między oczy. Podobno wciąż widać tę bliznę.

Gorian wybałuszyl oczy.

– I co było dalej?

– To tylko rozwścieczyło Montega. Sibrial, dorosły mężczyzna z laską w ręku i wieloma latami lekcji boksu oraz szermierki na karku, dostał od nagiego czternastolatka konkretny łomot.

Ku jej zadowoleniu Gorian zaczerpnął gwałtownie powietrza.

– Montego złamał Sibrialowi obie ręce. Roztrzaskał trzy żebra i połamał kolejne cztery. Musiałam go błagać, żeby darował mu życie. A Montego nie chciał przestać. Pomyśl sobie, że było to, zanim dorobił się przydomku Mały. Gdyby ktokolwiek się dowiedział, że zaatakował dziedzica rodzinnej gildii, zostałby stracony. Ale gdyby go zabił, dowiedzieliby się też o nas. – Kizzie odtworzyła to wspomnienie w pamięci, wciąż tak wyraźne, jakby wydarzyło się zaledwie wczoraj. – Na wpół niosłam, na wpół wlokłam Sibriala do domu, gdzie wymyśliliśmy historyjkę o tym, że napadł na niego uliczny gang z Żużla.

– A niech to szkło, pamiętam to!

– Ciszej – fuknęła na niego.

Gorian wyglądał na szczerze zszokowanego i Kizzie miała nadzieję, że utrzyma swój cholerny język za zębami.

– Pamiętam to. Gwardia Narodowa szukała tego gangu przez kilka tygodni – szepnęła.

– No właśnie. A tak naprawdę nie chodziło o dwudziestu członków gangu, których dzielnie odpierał na odległość miecza. Tylko o Montega, nagiego i samotnego.

– To dlatego Sibrial tak bardzo cię nienawidzi – stwierdził cicho Gorian.

– Dokładnie. Byłam jedynym świadkiem jego największego upokorzenia.

– A Sibrial nigdy nie wspomniał nic o Montegu?

– Jeśliby to zrobił, to wszystko wyszłoby na jaw – wyjaśniła Kizzie. – Doprowadzając do egzekucji Montega, jedynie by się

zblądził, przyznając, że dziecko niemal zatłukło go na śmierć. Co to za zemsta? Myślę, że gdyby Montego nie stał się sławny, Sibrial jakoś by się na nim zemścił. Ale wyszło, jak wyszło. Montego stał się Małym Montegiem, najskuteczniejszym zabójcą w Imperium Ossańskim. A teraz daj mi tę listę.

– A niech to szkło – powtórzył Gorian, kręcąc głową. – To dopiero coś. Tak, oczywiście. Proszę. – Pogrzebał w kieszeni, wyjął kartkę papieru i wcisnął jej do ręki. Znajdowało się na niej kilkadziesiąt nazwisk, zapisanych jego niechlujnym pismem. Kilka z nich ją zszokowało, kilka rozbawiło, a pozostałe nie zdziwiły.

– Tylko tyle? – zapytała.

Gorian się skrzywił.

– Może tak, może nie. Te listy rzadko bywają kompletne. Są pisane raczej na podstawie plotek i obserwacji niż przez samo stowarzyszenie.

– Mogłeś mnie o tym uprzedzić – mruknęła Kizzie. Po opowiedzeniu mu tej historii poczuła się naga, a w brzuchu zaczęły jej się wić wyrzuty sumienia. – Pamiętaj, że nie możesz tego nikomu powiedzieć, bo jeśli to zrobisz...

– Wiem, wiem. Dałem ci przecież słowo. Szanuję cię, Kizzie, a nawet gdybym nie szanował, to jak sobie wyobrażasz plotkowanie o Sibrialu czy Montegu? Każdy z nich mógłby mnie zjeść na śniadanie. – Wytrzeszczył oczy. – Montego wręcz dosłownie.

– Tylko o tym nie zapomnij – powiedziała Kizzie. – Jeszcze raz dziękuję za listę. Wkrótce się odezwę.



B było późne popołudnie, gdy Idrian wpatrywał się w Miedziane Wzgórza na zachód od Ossy, prowadząc ze sobą osobliwą grę. Zgadywał, które cienie przemykające po ugorze powstały dzięki chmurom, a które przez szaleństwo zamknięte w odmętach jego umysłu. Wyczuwał, jak obłęd napiera na powstrzymującą go magię ukrytą w szklanym oku niczym więzień sondujący kraty celi. Zastanawiał się też, ile pozostało mu czasu, nim oko przestanie działać. Czy poradzi sobie z tym szaleństwem w pojedynkę? Czy powinien powiedzieć o tym Tadeasowi lub komuś z Ministerstwa Legionów, przyznając się, jak szybko jego umysł ulega degradacji?

A może to wszystko było jedynie owocem jego chorej wyobraźni? Oko nadal miało w sobie dużo magii, powinno więc wytrzymać jeszcze kilka lat. Może Tadeas miał rację, a to, co się działo, było po prostu sposobem, w jaki jego umysł radził sobie po stracie Kastory. Jeśli uda mu się to przetrwać – dotrzeć do końca wojny i spłacić dług – będzie mógł użyć portalu feniksa, by naładować szkło boże.

– Panie?

Idrian wyrwał się z zamyślenia i odwrócił, dostrzegając stojącego obok Braileera.

– Hm?

– Miał pan dziwny wyraz twarzy. Coś się stało?

– Wspominam przyjaciół, których od dawna nie ma już wśród nas.

Nagminnie używał tego kłamstwa.

– Aha. Często ich pan wspomina?

– Częściej, niż chciałbym przyznać.

Braileer usiadł na kamieniu obok Idriana i przez jakiś czas trwali w kojącej ciszy, nim płatnerz odezwał się ponownie.

– Czy ja też będę wspominał utraconych przyjaciół, panie?

Było to zaskakująco przejmujące pytanie. Idrian przywykł do młodych rekrutów, którym zdawało się, że są niezwyciężeni; że wraz z przyjaciółmi doczekają końca wojny bez strat większych niż kilka seksownych blizn. Zawsze brutalnie obalano to przekonanie, a niektórzy nawet się z tego powodu załamywali.

– Jak długo tu z nami jesteś?

– Zaledwie sześć dni, panie.

– Poznałeś już cały batalion?

– Na tyle, na ile dałem radę, panie. Myślę, że lepiej rozumiem inżynierów niż żołnierzy. Oni, tak samo jak ja, pracują rękoma. Rozbieramy coś na części, tworzymy i naprawiamy. – Zamilkł. – Choć Mika mnie przeraża.

– I dobrze – stwierdził z uśmiechem Idrian. – Jest tak samo szalona jak reszta weteranów, a do tego ma dostęp do materiałów wybuchowych. Wpadł ci ktoś w oko? Ktoś, z kim jesz śniadania, obok kogo kładziesz się spać?

Braileer spuścił wzrok na dłonie.

– Kojarzy pan Steph i Haliona?

Steph i Halion byli rodzeństwem; inżynierami pod dowództwem Miki, oboje w stopniu kaprała.

– Steph wzięła cię pod swoje skrzydła, co? – zapytał Idrian.

– Raczej Halion – odpowiedział cicho Braileer, rumieniąc się. – Myślę, że mnie lubi. Steph chichocze i szturcha go łokciem za każdym razem, gdy jestem gdzieś w pobliżu.

Idrian wypuścił powietrze nosem. Dobrze wiedział, jak szybko dzieją się takie rzeczy, gdy jest się młodym. Bitewny terror, samotność związana z opuszczeniem domu, potrzeba wytchnienia od krwi i cierpienia. Zastanawiał się nad kolejnymi słowami, pragnąc, by nie zabrzmiały zbyt ponuro.

– Najlepsze, co mogę ci poradzić, to abys pamiętał, że ludzie nie są nieśmiertelni. Utracisz przyjaciół. Jednego, a może i wszystkich. Od tego nie ma ucieczki. Jakoś do tego przywykniesz, lecz prawda jest taka, że za każdym razem będzie cię to bolało. Pomimo tego baw się, szklorwa, każdy potrzebuje zabawy, ale pamiętaj o śmierci. – Pochylił się i klepnął Braileera w klatkę piersiową, tuż nad sercem. Chłopak przełknął ciężko ślinę.

– Postaram się, panie.

– Dobrze. – Idrian podrapał się po sztucznym oku, czując swędzenie w głębi oczodołu. – A teraz sprawdź, czy moja zbroja jest wypolerowana. Nadchodzi bitwa. Niestety pojawi się tu wcześniej, niż ktokolwiek z nas by sobie tego życzył. – Wstał i udał się do pawilonu, gdzie Tadeas rozłożył jedną ze swoich fasolowych map, przedstawiającą szyk obronny ossańskiej Legii Cudzoziemskiej. Idrian dołączył do Tadeasa, wpatrując się w jej rozmieszczenie. Przyjaciel wskazał na nią gestem i powiedział:

– To wszystko jest jakieś takie... – pstryknął palcami w zamyśleniu – ...zbyt podręcznikowe.

– Myślisz, że Kerite może nas podejść?

– Tego nie wiem – odparł Tadeas. – Ale wiem, że przeczytała wszystkie podręczniki i uznała, że są w nich braki. Generał Stavri sądzi, że uda mu się ją zwabić i zmiażdżyć w bezpośredniej walce. Zdziwię się, jeśli wszystko pójdzie aż tak gładko.

– Jakie są najnowsze wieści? – zapytał Idrian. Swędzenie za okiem boleśnie się nasiliło. Nie miał pewności, czy posiada szósty zmysł, czy może robił to już tak długo, że podświadomie wyczuwa wojenne wiatry.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, Kerite jest jakieś sześć i pół kilometra na zachód od nas. Szeregi Smoków zasilili żołnierze z Grentu. Jeśli dotrą do nas posiłki z Gwardii Narodowej, liczby będą mniej więcej takie same. Zamierza stoczyć z nami bitwę, ale nie

wiemy jeszcze kiedy. Dziś wieczorem? Jutro? Kerite zawsze była nieprzewidywalna.

Idrian oderwał wzrok od fasolowej mapy i spojrzał na przyjaciela. Tadeas wyglądał na wyczerpanego, był przygarbiony i od dwudziestu czterech godzin marszczył czoło. Podobnie jak Idrian był ubrudzony ziemią, bo przez całe rano i popołudnie pomagał w kopaniu rowów.

Pomimo zapewnień Miki, że wzniesienie fortyfikacji zajmie trzy dni, już prawie ukończyli pracę. Stworzyli między innymi sieć barykad oraz rowów wypełnionych drewnianymi kolcami, chroniących baterię artyleryjską. Saperzy rozstawili na wzgórzach miny, robiąc to tak sprytnie, że ich żołnierze wiedzieli, gdzie mogą się ich spodziewać, zaś wojska przeciwnika nie zdołają tak łatwo ich zauważyć, ponieważ darń umieszczono dokładnie w tych samych miejscach, z których ją wyrwano. Przy dokładnych oględzinach można było dostrzec wijący się wśród gęstej trawy przewód detonujący, pnący się ku „wybuchowemu kołu”, jak nazywała je Mika. Były to zdecydowanie najbardziej zaawansowane fortyfikacje na całej linii obronnej i Idrian obawiał się, że reszta armii nie traktuje zagrożenia ze strony Kerite zbyt poważnie.

– Tad! – zawołał ktoś. Była to szczupła kobieta, średniego wzrostu, grubo po czterdziestce. Nazywała się Forsel Pergos, ale wszyscy mówili na nią Skrzydłowa. Idrian nie miał pojęcia dłaczego. Miała na sobie czarny ossański mundur z żółtą naszywką na ramieniu, przypominającą stos kul armatnich. – Chodź tu!

Tadeas westchnął.

– Ani chwili spokoju.

– Nie marudź, wygląda na zdenerwowaną – rzekł Idrian, ciągnąc Tadeasa za ramię. Wspięli się na wierzchołek wzgórza, wyrównanego kilka dni temu przez artylerzystów i wypełnionego licznymi działami oraz moździerzami. Obok każdej z broni leżały schludne stosy amunicji, ułożone na kształt piramid. Załogi udały się na wcześniejszy obiad, ale ich dowódczyni stała samotnie pośród wielkich dział i machała z przejęciem do zbliżających się współtowarzyszy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Gromiciel.

Skrzydłowa przechadzała się wokół stosu kul armatnich ze szkłem zmysłów w uchu i szkłem powiększającym w rękę. Zatrzymała się, odwróciła na północ i wskazała na zagajnik oddalony o około półtora kilometra.

– Jestem pewna, że przed chwilą widziałam między tamtymi drzewami grenckich dragonów.

Idrian wziął od kobiety szkło powiększające, przyłożył je do oka i patrzył przez nie do czasu, aż znalazł wspomniany zagajnik. Był bardzo gęsty, pełen cierni i zapomnianych od stuleci, wyrosniętych drzew oliwnych. Nie było tam zbyt wiele do oglądania – człowiek mógłby się tam ukryć, ale człowiek i koń już niekoniecznie.

– Tam powinni być nasi zwiadowcy – powiedział Tadeas. Idrian podał mu szkło powiększające. Grappo spojrział w tamtym kierunku, a potem przecesał wzrokiem okoliczne wzgórza. – W sumie to powinno ich tam być o wiele więcej.

Idrian rzucił okiem w stronę słońca. Dochodziła osiemnasta, z oddali zbliżał się zimowy mrok, a wieczór stawał się coraz chłodniejszy. Poczul, jak z niepokoju zaciska mu się żołądek.

– Myślisz, że Kerite ruszyła do ataku?

– Szkołolernie trudno to ocenić – rzucił Tadeas. – A nawet jeśli, to nie naszą rolą jest się nad tym zastanawiać. Setki zwiadowców wysłanych przez Stavriego powinno przeczesywać te wzgórza i na bieżąco nas o wszystkim informować. Nie wyobrażam sobie, by Kerite dostała się do obozu bez naszej wiedzy.

– A o czym była mowa w ostatnim raporcie? – spytała Skrzydłowa, nerwowo wyłamując sobie palce. Oficerowie artyleryjscy byli dla Idriana ludźmi dość dziwnymi, takimi, do których ciężko było mu się przyzwyczaić, pewnie z tego powodu, że zupełnie nie przejmowali się potężnymi eksplozjami i kawałkami żelaza poruszającymi się z zastraszającą prędkością, ale gdy tylko pojawiała się jakakolwiek zmiana planów, gotowi byli uciec gdzie pieprz rośnie. Biorąc pod uwagę, jak wiele pracy wymagało przygotowanie pojedynczej baterii artyleryjskiej, nie winił ich za to drugie.

– Ostatni raport donosi – podjął Tadeas, nadal obserwując odległy horyzont przez szkło powiększające Skrzydłowej – że Kerite

rozbiła obóz i przeprowadza ćwiczenia praktyczne. Nic więcej. Żadnej informacji o jej planach. A było to około południa.

Nasiliło się swędzenie za szklanym okiem Idriana. Może Skrzydłowa tylko wyobraziła sobie tych dragonów albo dostrzegła jednego z grenckich zwiadowców ukrywających się w tamtym zagajniku. Może Kerite wciąż znajdowała się kilka kilometrów od nich, przygotowując swe wojsko do porannej bitwy. Tak z pewnością postąpiłby każdy zwykły dowódca. Ale Kerite nie była zwykłą dowódczynią.

– Podaj mi szkło – polecił Idrian, odbierając je od Tadeasa. Ponownie przyjrzał się zagajnikowi, a następnie powoli przebiegł wzrokiem zbocze wzgórza. To, co dostrzegł, zmroziło mu krew w żyłach. W wysokiej trawie, niemal niedostrzegalnie, czołgała się kobieta ubrana w czarny ossański mundur. Gdy tylko ją zauważył, rzuciło mu się w oczy również pasmo połamanej i zakrwawionej trawy. Nie dało się tego z niczym pomylić.

– Skrzydłowa, zbierz swoich ludzi na stanowiska.

– Co się dzieje? – zapytał Tadeas.

Idrian zwrócił mu szkło powiększające.

– Spójrz w bok od tamtego zagajnika, na zbocze wzgórza. Szklolerna Kerite zabija naszych zwiadowców. – Zanim skończył zdanie, już był w biegu. – Braileer! – krzyknął. – Przygotuj zbroję! Ja... – Przerwał, dostrzegając coś kątem oka. Odwrócił się i zobaczył, jak zza drzew wyłania się niespodziewanie cała kompania dragonów, wjeżdżając na wzgórze i zmierzając wprost na nich.

– Zbierać się! – darł się Tadeas ile sił w płucach. – Kerite się zbliża! Wszyscy na pozycje!



Dragoni rozlali się po skraju wzgórza, przejeżdżając poprzedzającą je dolinę i docierając do baterii artyleryjskiej, zanim oddziały Tadeasa zdążyły zająć pozycje. Idrian miał na sobie część zbroi, a Braileer zapinał ostatnie sprzączki, gdy usłyszeli pierwszy wybuch. W krótkim odstępie czasu Gromiciel naliczył kolejne cztery, aż ich huk zaczął zlewać się z przerażającym odgłosem rżenia koni, po

którym nastąpiła nieregularna wymiana ognia. Gdy wrócił do Tadeasa, dołączając do niego w wykopie dowódcy tuż pod stanowiskiem artylerii, zbocze usłane było co najmniej pięćdziesięcioma martwymi lub rannymi dragonami. Reszta zdążyła już zawrócić, wycofując się z pola rażenia muszkietów Stalowych Taranów.

Wojska nieprzyjaciela ubrane były w grenckie, pomarańczowo-białe uniformy. Wyglądało na to, że Kerite wysłała swoich grenckich zleceniodawców, aby odwalili za nią brudną robotę.

Idrian poczuł gorycz tego niewielkiego zwycięstwa, gdy zdał sobie sprawę, że bez ładunków wybuchowych Miki dragoni prawdopodobnie zajęliby wzgórze, nim ossańskie wojska zdołałyby się zorganizować. To był mistrzowski manewr taktyczny. Być może zwróciłby uwagę Tadeasa na to, jak dobrze Mika rozstawiła miny, gdyby nie fakt, że z zachodu na wzgórze wlewała się właśnie piechota przeciwnika. Ci, którzy znajdowali się dokładnie naprzeciwko Stalowych Taranów, nosili pomarańczowo-białe barwy Grentu, natomiast atakujący ich przeciwległą flankę dzierżyli niebiesko-zieloną flagę najemników wchodzących w skład Smoków Kerite.

Idrian odszukał wzrokiem Braileera. Młody płatnerz biegł ku niemu z puklerzem i rapierem wykonanym ze szkła mocy.

– Nie brałeś jeszcze udziału w otwartej walce – zwrócił się do młodzieńca. – Miej mnie cały czas na oku, ale nie podążaj za mną, jeśli wyrwę się z szeregu. To nie jest walka uliczna. Nie ma sensu, żebyś deptał mi po piętach, osłaniając tyły. Zostań w pobliżu Tadeasa. I miej pod ręką bandażę oraz dodatkowe szkło lecznicze, na wypadek gdyby się okazało, że muszę się wycofać.

– Tak jest, panie!

– Dobrze. I nie umieraj, bo zaczęłam cię lubić. – Idrian wygrzebał z kieszeni bryłkę wosku i wręczył połowę Braileerowi. Ossańskie wojska znajdujące się poniżej Stalowych Taranów były na alarm, żołnierze biegli na osłep, zajmując pozycje, a wozy ze szkłem przetransportowano tuż za linię frontu, gdzie tancerze przygotowywali się do bitwy.

– A niech to szkło, powinniśmy to przewidzieć – zaklął Tadeas.
– Atak o zmierzchu. Przekłeta Kerite wzięła nas z zaskoczenia.
Będzie krwawo jak cholera.

Było to ostatnie zdanie, jakie Idrian usłyszał, zanim wcisnął do uszu woskowe kulki na chwilę przed tym, jak nad jego głowę wystrzeliło pierwsze działo. Podmuch wstrząsnął nim gwałtownie, powodując ból mięśni, a mieszająca się w jego hełmie magia pozwoliła na śledzenie toru kuli armatniej, przelatującej łukiem przez dolinę i uderzającej w sam środek grenckiej formacji. Pocisk nie upadł jednak tam, gdzie powinien, wbijając się w zbocze wzgórza. Gromiciela dobiegł stłumiony okrzyk Skrzydłowej, nakazującej korektę wystrzału. W ciągu kilku sekund cała bateria artylerii zagrzała.

Chwilę później do walki przyłączyli się tancerze szkła. Tafle szkła, kwadraty wysokości człowieka, wystrzeliły ze zbocza i niczym latawce popychane niewidzialną magią wzbily się wysoko w powietrze, gdzie roztrzaskały się na odłamki wielkości mieczy, opadając na grencką piechotę. Każda z tafli mogłaby zabić cały pluton, gdyby nic jej nie zatrzymało, ale kiedy odłamki zbliżyły się na odległość kilkunastu metrów od głów piechoty, zostały odrzucone przez tancerzy z Grentu.

Grencka piechota poruszała się z zadziwiającą szybkością, nie zważając na ataki tancerzy szkła ani artylerii. Żaden z wrogich żołnierzy nawet się nie zachwiał, co bardzo zaniepokoiło Idriana.

Wojska przeciwnika zbliżyły się do ossańskiej linii frontu na odległość wystrzału, po czym gwałtownie się wycofały i rozpoczęły ostrzał wciąż nieprzygotowanych żołnierzy z Ossy. Z obu stron uniósł się czarny dym. Rozległ się dźwięk trąbki i z grenckiej formacji niespodziewanie wyskoczyło kilkudziesięciu Gromicieli. Idrian wybałuszyl oczy ze zdziwienia, doliczając się dziesięciu... dwudziestu... Po trzydziestu stracił rachubę, a mogło ich być nawet cztery razy tyle. W zastraszającym tempie, którego mogłyby pozazdrościć im konie wyścigowe, pokonali prawie sto metrów dzielących obie armie. W mgnieniu oka znaleźli się wśród ossańskiej piechoty, stając do bezpośredniej walki z towarzyszami Idriana, Gromicielami z Ossy.

Idrian z całej siły chciał zbiec ze wzgórza i dołączyć do bitwy, ale nie taka była jego rola. Ktoś krzyknął do niego, więc wyjął wosk zatykający uszy, by usłyszeć Skrzydłową.

– Nie słyszysz południowej baterii! Nie mam z nią łączności!

Idrian przełknął kulę w gardle, wymienił spojrzenia z Tadeasem i wyskoczył z okopu. Pobiegł na tyły, oddalając się od własnej artylerii. Tysiąc żołnierzy z Gwardii Narodowej czekało już u zbrocza, stojąc w luźnym szyku i prawdopodobnie modląc się, by nie musieć stawać do walki. Idrian widział z tego miejsca cztery szczyty kolejnych wzgórz, tworzących trzon ossańskiej obrony. Na każdym z nich znajdowała się bateria artyleryjska, a na centralnym powiewała duża flaga Legii Cudzoziemskiej oraz mniejsza z krzemowym symbolem rodzinnej gildii generała Stavriego.

Nie to go jednak martwiło. To, co wzbudzało w nim niepokój, rozgrywało się na najdalszym wzgórzu, południowej falandze ossańskiej obrony, oddalonej o prawie półtora kilometra od niego. Roilo się tam od kirasjerów i dragonów w niebiesko-zielonych barwach kompanii najemników Kerite. Opadły flagi, a bateria artyleryjska została unieszkodliwiona, mimo że bitwa dopiero się rozpoczęła. Nie było wątpliwości, że i na nich zastosowano ten sam manewr co na Stalowych Taranach, byli jednak dużo gorzej przygotowani.

Żołądek podskoczył mu do gardła. Odwrócił się, by biegiem wrócić do Tadeasa, ale nie zdążył. Wokół zagajnika, uprzednio osłaniającego dragonów, pojawili się kirasjerzy z Grentu, a tętent ich kopyt ginął w odgłosach artylerii Stalowych. Ostro napierających wrogich żołnierzy było co najmniej sześciuset i nacierali nie na szlaki uprzednio przetarte przez kawalerię, ale prosto na słabo wyszkolone i źle przygotowane rezerwy Gwardii Narodowej. Jeśli stchórzą, nie będzie komu osłaniać tyłów, czyli miejsc, w których Mika nie rozmieściła żadnych min i gdzie ziemne fortyfikacje były raczej niewielkie.

– Tadeas! – wrzasnął Idrian między armatnimi wybuchami. – Spójrz na tyły!

Nie czekał na rozkazy, kierował się czystym instynktem, wiedząc, że nawet chwila zawahania kosztowałyby go utratę odwagi. Widział, jak oficerowie Gwardii Narodowej starają się przygotować

oddziały na szarżę kawalerii, chociaż połowa z ich żołnierzy nie miała nawet przymocowanych bagnetów. Gwardia Narodowa się zachwiała.

Stopy Idriana ledwie dotykały ziemi, a on pokonywał kolejne metry, biegnąc coraz szybciej i szybciej, w razie gdyby rezerwowa armia nie wytrzymała, nim zdąży do niej dotrzeć.

– Gwardziści, za mną! – ryknął, a słowa rozdarły mu gardło. Był już bardzo blisko i ustawił się tak, aby bezpośrednio zmierzyć się z kirasjerami. Ziemia zadrżała od ich szarży, a wojsko przeciwnika wydawało się tworzyć istną ścianę z koni, ludzi i lśniących napierśników, ozdobionych błękitnymi szklami mocy i pomarańczowymi wstęgami księżęcego rodu Grent.

W jaki sposób jeden Gromiciel miałby zatrzymać taką armię? To pytanie nie powstrzymało Idriana. Nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości. Był Taranem i gdyby ustąpił, zginęłoby wielu dobrych żołnierzy.

Przeskoczył linię frontu, na pół sekundy zrównując się z wrogimi jeźdźcami, tarczą zahaczając o kirasjerkę po lewej i ściągając ją z konia, jednocześnie zanurzając miecz w mężczyźnię i jego koniu po prawej. Wylądował na ziemi, przekoziołkował przed szarżującymi kopytami, a następnie dźgnął ostrzem niczym kijem przez szprychy od koła u wozu. Lawirując między pędzącymi zwierzętami, poruszał się jak w chaotycznym, krwawym tańcu. Robił uniki przed końmi, uchylał się przed mieczami i odskakiwał od lanc. Przez cały czas zanurzał i wyciągał miecz, który przecinał wszystko, co tylko znalazło się w jego zasięgu – od ludzkich ramion przez nogi w strzemionach po końskie kopyta. Mnóstwo członków odrywało się od ciał przy niewielkim nacisku szkła brzytwy.

Rżenie koni będzie mu towarzyszyć jeszcze przez wiele tygodni. Zawsze tak miał.

Tak szybko jak szarża przeciwnika się pojawiła, równie nagle znikła, zostawiając go w centrum krwawej jatki pełnej umarłych i umierających. Ze wszystkich stron otaczały go dziesiątki poległych kawalerzystów. Czy to oznaczało zwycięstwo? Odwrócił się i zobaczył, że kirasjerzy zgodnie z planem uderzyli w Gwardię Narodową. Armia nieprzyjaciela zawahała się jednak, w końcu wyrwał jej serce, i mimo że gwardziści nadal byli w rozsypce, udało

im się nie dopuścić, by kirasjerzy całkowicie ich rozbili. Gdy obserwował poczynania wrogów, zauważył, że kirasjerzy zwalniają, zatrzymują się, a następnie wycofują.

Czekał na ich powrót i odwdziaczył się im za flankową zagrywkę. Do czasu całkowitego odwrotu pozostało ich mniej niż połowa i ponieśli jeszcze większe straty, gdyż ponad setka Stalowych Taranów przyszła Idrianowi z pomocą. Stalowi maszerowali w zwartym szyku, a wymieniający się muszkietery ostrzeliwali wycofującą się kawalerię.

Idrian znalazł Valienta w samym środku formacji, ale ten tylko machnął do niego i krzyknął:

– Dopilnuję, żeby Gwardia Narodowa się utrzymała! Wracaj do Tadeasa!

Idrian posłusznie wykonał polecenie i gdy dołączył do Tadeasa w okopie, wystarczyło mu jedno spojrzenie, by pojąć, że nic nie poszło po ich myśli. Ossańska linia walk... praktycznie nie istniała. Grenckie wojska i ich piechota przetoczyli się przez nią, a także przez drugą i trzecią linię obrony. Ossańscy żołnierze uciekali w popłochu, biegnąc w górę wzgórza w kierunku Stalowych lub przez dolinę ku flance, gdzie tych głupców ścigali pozostali na polu bitwy kirasjerzy. Idrian nie mógł dostrzec choćby jednego jaskrawo haftowanego, czarnego munduru ossańskich tancerzy.

Tadeas wpatrywał się bez słowa w przesiąkniętą krwią zbroję Gromiciela.

– Otrzymałem właśnie wiadomość od generała Stavriego – oznajmił chłodno. – Padły obie południowe baterie. Napierają na niego. Rozkazał, abyśmy zaprzęgli artylerię i zaczęli się natychmiast wycofywać.

– Już? – Idrian odetchnął ciężko, słysząc nadzwyczajną rozpacz we własnym głosie. Legia Cudzoziemska nie była jakąś tam podrzędną prowincjonalną armią. Należeli do niej najlepsi na świecie żołnierze, którzy zostali właśnie całkowicie zmiażdżeni przez kilka grenckich brygad i taką samą liczbę zagranicznych najemników. Nawet w najbardziej pesymistycznych wizjach nie wyobrażał sobie, że to może skończyć się aż tak źle. – Jeśli się teraz wycofamy – powiedział, wskazując mieczem na wzgórze – to do

północy zginie tam każdy mężczyzna i każda kobieta, którzy pozostaną na miejscu.

– Musimy dołożyć wszelkich starań, żeby ocalić działa artyleryjskie – odrzekł Tadeas.

– W dupie mam te działa. A co ze szkolnymi żołnierzami?

– Masz rację. – Tadeas obrócił się, aby wydać rozkazy. – Kess, leć wznieść nasz sztandar na samym szczycie wzgórza, najwyżej jak się da! I machaj nim, jakby od tego zależało twoje cholerne życie! Skrzydłowa, przestaw się na kartacze i celuj tuż nad naszymi głowami. Dokładnie nad nami, rozumiesz? Chcę, by nasi towarzysze poczuli powiew wiatru we włosach. Dristus, przekaż Valientowi, żeby zwłókł tu swoją dupę i zabrał ze sobą rezerwy Gwardii Narodowej!

Idrian przyglądał się, jak żołnierze wykonują powierzone im zadania, a potem skierował wzrok na Tadeasa. Grappo zacisnął zęby, oddychając gwałtownie i wpatrując się w szybko załamującą się linię obrony.

– Formujemy wojsko w klin wokół artylerii i wciągamy w niego tyłu, ilu zdołamy, a później się wycofujemy. Zrozumiano? – rzucił.

– Tak – powiedział Idrian, zaczerpując niepewnie powietrza i spoglądając w dół na grenckich Gromicieli wspinających się na wzgórze, po kolana brodzących w morzu zwłok uciekającej ossańskiej piechoty. – Idę ukraść dla nas trochę czasu.

– Panie! – zawołał Braileer. – Ale jeśli pan tam zejdzie, może pan już nie wrócić.

– Na tym polega moja praca, zbrojmistrzu – odparł Idrian. – Rogi gotowe, kopyta stalowe! Zróbcie hałas!

– Stalowe Tarany! – krzyknął Tadeas. – Mamy Tarana!

– Mamy Tarana! – powtórzyła stojąca pośród saperów Mika.

– Mamy Tarana! – zakrzyknął ktoś inny. Wrzask roznosił się w górę i w dół, przeradzając się w skandowanie: – Os-sa! Os-sa! Os-sa!

Artyleria ucichła, gdy Skrzydłowa i jej załoga zmienili pociski na kartacze. Idrian wyskoczył z oficerskiego okopu na frontową fortyfikację i zaczął uderzać mieczem o tarczę w rytm

skandowanych słów. Ryknął trzykrotnie, dopóki nie upewnił się, że każdy żołnierz w promieniu trzystu metrów patrzy wprost na niego.

– Za nas! – wrzasnął. – Za Stalowe Tarany!

– Za Stalowe Tarany! Os-sa! Za Stalowe Tarany! – Okrzyk spłynął po zboczach niczym lawina, wzmacniając morale uciekających żołnierzy z Ossy, zupełnie jak szkło mocy. Idrian wystawił się na widok, dopóki nie usłyszał, jak Skrzydłowa krzyczy do Tadeasa:

– Artyleria gotowa!

Ruszył pędem w dół zbocza, a ossańscy żołnierze uskakiwali mu z drogi, dopingując, gdy uderzył w pierwszego z grenckich Gromicieli z siłą rozpędzonego powozu, a ich tarcze zwały się w odbijającym się szerokim echem huku. Idrian zorał drania i zatopił w nim miecz, aby dokończyć dzieła, prawie nie zwalniając biegu.

Z kolejną przeciwniczką nie poszło mu już tak łatwo. Unikała ciosów i zmusiła do go pojedynku. Był on krótki i brutalny, a Idrian zakończył go, zahaczając mieczem o broń Gromicielki i wbijając ją na kilka centymetrów w tarczę, a następnie podcinając kobiecie nogi.

Przebił się niemal niezauważony przez całą kompanię grenckiej piechoty, zajętej wbijaniem bagnatów w plecy ossańskich żołnierzy. Ich Gromiciel zbyt późno zorientował się, co się dzieje, a potem, próbując zdobyć przewagę nad Idrianem, odwrócił się tyłem do Stalowych Taranów, co okupił kulką w tył głowy, wystrzeloną przez jednego ze snajperów Valienta. Idrian dostrzegł grenckiego tancerza, wyróżniającego się w tłumie dzięki pomarańczowym pagonom na mundurze. Mężczyzna wpatrywał się prosto w niego, więc Gromiciel rzucił się na ziemię.

Odłamek szkła wielkości dłoni przeciął powietrze w miejscu, w którym Idrian stał jeszcze chwilę wcześniej. Ossański Gromiciel zwabił przeciwnika na odległość kilku metrów i uniósł tarczę. Szkło uderzyło w nią z zaskakująco niewielką siłą, roztrzaskując się na tysiąc małych kawałków, nad którymi nawet najlepszemu tancerzowi trudno byłoby zapanować. Idrian uchylił się, wiedząc, że lada moment może czekać go kolejny atak, i popędził przed siebie. Najlepsza obrona przed tancerzem szkła nie różniła się zbyt od

obrony przed strzelcem wyborowym: wystarczyło być w ciągłym ruchu, zirytować przeciwnika i liczyć na spadek jego koncentracji.

Tak też się stało i ostatnią rzeczą, jaką Idrian zobaczył, zanim odciął mężczyźnie głowę, był nerwowy pot spływający po czole wroga.

Walki trwały do zmroku, aż grenckie wojska zaczęły powoli zwalniać, a następnie wycofywać się pod ostrzałem pocisków Skrzydłowej. Samotna flara nagle rozświetliła noc i Idrian mógł zobaczyć, że został niemal sam na polu bitwy. Każdy żołnierz zdolny do biegu dotarł już do linii walk Stalowych Taranów. Zbocze wzgórza było pokryte krwią i usiane trupami. Pod nimi, tuż poza zasięgiem strzału Skrzydłowej, formowała się grencka piechota. Zamierzali jeszcze raz zaatakować wzgórze i tym razem nikt nie stał między nimi a Stalowymi.

Idrian wrócił biegiem na wzgórze, gdzie zastał Tadeasa z Braileerem w okopie. Artyleria ponownie ucichła i choć działa nie zniknęły, nie było już przy nich załogi. Wyglądało na to, że wszyscy zdążyli się wycofać lub właśnie to robili, a ranni i udręczeni uciekali bezpiecznym korytarzem utworzonym przez Gwardię Narodową. Braileer odebrał od Idriana tarczę i sięgnął, aby włożyć mu do ucha dodatkowy kawałek szkła leczniczego. Gromiciel nie protestował.

– Nadchodzą, szefie – krzyknęła Mika, kucając za swym wybuchowym kołem.

– Nie mamy już amunicji? – zapytał Idrian Tadeasa.

– Nie. W szkło z generałem Stavrim, w szkło ze Zgromadzeniem i w szkło z Grentem. Właśnie uratowaliśmy co najmniej tysiąc legionistów, a kosztowało nas to kilka sztuk artylerii, więc sumienie mam czyste.

Mika zapaliła zapalną i przyłożyła ją do czegoś, co zaczęło się palić i wściekle trzeszczeć.

– Wolno palący się lont – wyjaśniła Braileerowi, osłaniając oczy przed światłem i spoglądając w dół doliny. – Jeśli utrzymają marsz, wszystkie moje miny wybuchną, gdy tylko dotrą do tego okopu.

Idrian popatrzył na kilka beczek z prochem leżących u stóp Miki. Były ze sobą połączone i stykały się z jej wolno palącym się lontem.

– To nie są miny.

– Nie możemy zostawić naszych dział wrogim wojskom, czyż nie? – odpowiedział Tadeas, poklepując Idriana po ramieniu. – Spełniłeś swoje zadanie. Chodźmy.

Idrian zatrzymał się, by spojrzeć w ciemność. Zbocze wzgórza zdawało się usiane rannymi; wielu z nich nie dożyje poranka. Widział też świeżo przegrupowane szeregi grenckiej piechoty, maszerujące ku nim od zachodu. Smoki Kerite posuwały się naprzód od południowego zachodu. Wśród nich Gromiciele i tancerze szkła. Było ich zbyt wielu, by stanąć z nimi do walki. Kolejne wzgórze było już niemal przejęte przez wojska nieprzyjaciela, ostatni ossański batalion utrzymał się na tyle długo, że Stalowe Tarany nie zdążyły go wesprzeć.

Idrian pomachał im w podziękowaniu, wiedząc, że i tak tego nie widzą, potem ruszył za Tadeasem i Miką, gdy w biegu opuszczali baterię artyleryjską. Był tak zmęczony, że nawet się nie obejrzał, gdy tuż za nim wybuchło całe wzgórze.



ROZDZIAŁ 31

Kizzie spędziła resztę dnia, analizując listę członków Szklanego Ostrza. Dla każdej z osób stworzyła teczkę zawierającą informację o łatwości weryfikacji alibi oraz poziomie lojalności potencjalnych kozłów ofiarnych. Nie dało się ukryć, że w tym niewielkim Stowarzyszeniu Fulgurytów znajdowało się bardzo dużo władzy; była tam matka rodu, dwóch sukcesorów, siedmioro prawowitych dziedziców i pięcioro kuzynów, a także, rzecz jasna, brat księcia Grentu. Swoje reprezentacje miały w nim najważniejsze rodzinne gildie, takie jak Dorlani, Magna, Kirkovik czy Stavri. Pod wieloma względami była to niezwykle zróżnicowana grupa, a na samą myśl, że wszyscy oni mogliby połączyć siły w ramach jakiegoś spisku, Kizzie poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Instykt podpowiadał jej, że powinna poprosić Caprica o pomoc. Był w końcu przyjacielem jednego ze Stavrich i mógłby ją z nim zapoznać. Ale coś ją przed tym powstrzymywało. Nie mogła pojąć, dlaczego w Szklanym Ostrzu brakowało jakiegokolwiek przedstawiciela Vorcienów. Czy było to zamierzone? A może ten klub

stanowił jakiś rodzaj tajnej kontroli wpływów Ojca Vorciena w Zgromadzeniu? Możliwe, że był to czysty zbieg okoliczności, albo byli jeszcze jacyś inni członkowie, niewidniejący w dokumentach. Ktoś z Vorcienów mógł być jedną z takich osób.

Niezależnie od wszystkiego musiała zachować ostrożność i uważać, komu przekazuje zdobyte informacje. Jeśli członkowie Szklanego Ostrza mieli już krew na rękach, nie zawahają się przed unicestwieniem egzekutorki, która za bardzo wścibia nos w ich sprawy.

Musiała jednak od czegoś zacząć, a nietrudno było połączyć trzech mężczyzn z listy z grupą bokerską, do której należeli, zwaną Klubem Binghamskich Awanturników, z siedzibą na zachodnich przedmieściach Ossy. Słyszała o tym miejscu, choć nigdy go nie odwiedziła. Udanie się tam, wmieszanie w tłum, zadanie kilku pytań i zostanie na noc lub powrót stamtąd do domu nie wydawało się niczym skomplikowanym. Przynajmniej mogłaby zebrać alibi od jednego czy kilku z nich. Ale szkopał tkwił w tym, że Legia Cudzoziemska znajdowała się obecnie dość blisko tamtego miejsca, szykując się do stawienia czoła nowej grenckiej armii, a bitwa mogła rozegrać się już kolejnego ranka.

Pojechała dorożką na obrzeża Ossy, lecz na wieść, że doszło już do starcia, dorożkarz nalegał na powrót do miasta. Kizzie wysiadła z powozu i dalej ruszyła pieszo. Spacer był długi, ale dość przyjemny. Wraz z zapadającym zmrokiem coraz bardziej oddalała się od stolicy, a w jej ciało wkradał się złowrogi chłód. Dwukrotnie zatrzymała się w małych kafejkach na gorącą kawę, podczas gdy budynki zaczęły stopniowo się od siebie oddalać, w miarę jak kamienice ustępowały miejsca blokom mieszkalnym, a następnie małym, niższym gospodarstwom rolnym, zapewniającym Ossie większość świeżych produktów. W końcu latarnie gazowe przestały oświetlać drogę i musiała podążać w ciemnościach.

Od celu dzieliły ją niespełna dwa kilometry, kiedy usłyszała stukot kopyt na bruku. Mimo panującego mroku koń poruszał się kłusem. Szybko włożyła splecione kolczyki ze szkła bożego i udało jej się dostrzec zbliżającą się sylwetkę posłańca wojskowego ubranego w czarny mundur Legii Cudzoziemskiej.

Kizzie przywołała go okrzykiem i machnięciem ręki, którą uniosła grzbietem w jego stronę, aby mógł zobaczyć jej krzemowy symbol. Chłopak zwolnił, dopiero gdy znalazł się tuż przy niej. Zmrużył oczy, by dostrzec znak na jej dłoni, a następnie uklonił się z szacunkiem.

– Dobry wieczór, pani Vorcien – powiedział.

Nie poprawiła go. Bawiło ją, gdy ludzie mylnie uznawali ją za kuzynkę Vorcien, a nie bękarcię.

– Jakież wieści z frontu? – zapytała. – Mój dorożkarz twierdził, że bitwa już się odbyła. – Dopiero przyglądając się posłańcowi z bliska, dostrzegła, że wyglądał na udręczonego; jego płaszcz był przekrzywiony, a koń opuszczał głowę ze zmęczenia.

– Rano będą się o tym rozpisywały wszystkie gazety – odrzekł wyczerpany chłopak. – Ponieśliśmy sromotną porażkę.

Kizzie zachwiała się, zszokowana tą wiadomością. Porażki nie były czymś, co przytrafiało się Legii Cudzoziemskiej, a jeśli już, to miało to miejsce na odległym kontynencie i pisano o tym z miesięcznymi opóźnieniami.

– Zmierzam do Bingham – oświadczyła. – Czy coś może mi grozić?

– Dzisiejszej nocy wszystko powinno być w porządku, ale na pani miejscu nie oddalałbym się za bardzo na zachód. Grenckie wojska i ich ulubieni najemnicy zajęli Miedziane Wzgórza. Spiesz się, aby przekazać te wieści Zgromadzeniu. Ma pani jeszcze jakies pytania?

– Nie, nie – odparła Kizzie, a jej myśli nagle wypełniły się maszerującymi armiami i wędrującymi żołnierzami. W sytuacji, gdy zbliża się wróg, tradycyjne zasady przestają obowiązywać; teren nie podlegał już zawitym sojuszom egzekutorów rodzinnych gildii i Gwardii Narodowej, lecz dużym grupom piechoty. Mimo zapewnień posłańca miała ochotę zawrócić. – Powodzenia.

– Dziękuję, pani Vorcien. Aha, jeśli mogę, to radziłbym unikać Klubu Binghamskich Awanturników.

Oddech ugrzązł jej w gardle.

– A czemuż to?

– Właśnie stamtąd przybywam. Zatrzymał się tam generał Stavri wraz ze swoimi oficerami, aby, ekhem, napić się, zanim będą

musieli złożyć Zgromadzeniu raport o dzisiejszej porażce. Jest tam pełno wściekłych wojskowych.

– Dzięki za ostrzeżenie – rzuciła Kizzie, gestem nakazując, aby ruszył już w drogę. Zadrżała, wsłuchując się w odgłos oddalających się w ciemność kopyt. Porażka w starciu z grencką armią, i to tak blisko stolicy, była z pewnością ważniejsza niż jej misja, ale było w tym coś, co bezpośrednio się z nią wiązało. Jeśli Klub Binghamskich Awanturników pękał w szwach od oficerów próbujących jak najszybciej się upodlić, to nie był to najlepszy moment na szukanie alibi.

Chociaż... Młodszy brat generała Stavriego, Agrippa Stavri, widniał nie tylko na liście członków Szklanego Ostrza, ale należał też do załogi generała. Oznaczało to, że czterech z piętnastu podejrzanych mogło znajdować się pod jednym dachem. Ryzykowne, choć jednocześnie bardzo kuszące.

Postanowiła iść dalej, przebijając się przez chłodny mrok, aż w końcu ulice ponownie zalało światło z przydrożnych lamp. Wkrótce znalazła się w Bingham, pośród zabudowań mieszkalnych, gdzie panował zwyczajny, wieczorny ruch. Nie wyczuła żadnego poruszenia wśród mieszkańców. Najwyraźniej wieści o niedawnej porażce nie rozeszły się jeszcze po okolicy. W pewnym sensie współczuła tym ludziom, bo jeśli nic nie zatrzyma grenckiej armii, lada dzień zajmie ona te ziemie.

Myśl ta spowodowała, że Kizzie przyspieszyła kroku i pognała przez miasto, aż dotarła do bocznej uliczki ze starą, przerobioną kamienicą, której elewację na poziomie pierwszego piętra zdobił podświetlony napis: „Klub Binghamskich Awanturników”. Była to spokojna okolica, ale podchodząc do drzwi budynku, zdziwiła się, nie dosłyszawszy zza nich żadnego odgłosu biesiadowania lub gniewnych okrzyków. Nie było również odzwiernego. Zatrzymała się przed wejściem, rozglądając się dookoła. Kluby zazwyczaj miały własnych portierów, często palących fajkę i rozmawiających z mieszkańcami. Tam nie było nikogo: ani odzwiernego, ani miejscowych, ani członków rodzinnych gildii raczących się cygarami w rześkim, nocnym powietrzu.

Dreszcz przebiegł Kizzie po plecach. Nie chodziło tylko o to, że nie słyszała odgłosów libacji, ale też o to, że nie słyszała praktycznie

nic. Panowała taka cisza, jakby klub był zamknięty. Podeszła do oświetlonego wejścia, wsunęła rękę pod marynarkę, by chwycić za sztylet, a drugą pchnęła drzwi. Były otwarte.

– Co jest, do cholery? – szepnęła. Przedpokój był pusty, a w klubie panowała śmiertelna cisza. Zatrzymała się przy szatni, rozglądając się w poszukiwaniu obsługi. Nikogo tam nie było, choć szatnia tonęła pod stertą marynarek od mundurów, wytwornych peleryn i prochowców. Trzymała sztylet w gotowości i starała się znaleźć jakieś wytłumaczenie. Może wszyscy goście bawili się w jakąś durną grę? Może wybiegli na ulicę, chcąc ostrzec mieszkańców Bingham przed zbliżającymi się wojskami nieprzyjaciela? Może gdzieś zwiali? Gdyby tak było, pewnie minęłyby ich po drodze lub chociaż usłyszała. To wszystko nie trzymało się kupy.

A może udali się na ostatnie piętro klubu, by obejrzeć jakąś wyjątkowo emocjonującą walkę bokserską?

Okazało się jednak, że nie musiała wspinać się na samą górę, by uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Nie musiała nawet robić zbyt wielu kroków. Skręciła za róg, gdzie wąski hol otwierał się na dużą jadalnię otaczającą ring bokserski, i zamarła.

Salę po brzegi wypełniały zwłoki. Były ich dziesiątki, porzucane jak konfetti; rozłożone na stołach, zwalone w przejściu, oparte o ściany. Na pierwszy rzut oka nie mogła stwierdzić, co ich zabiło, ale ilość krwi była zatrważająca. Panowała absolutna cisza, nie słyhać było nawet jęków. Pomieszczenie było nieruchome niczym żywy obraz.

Szok, jakiego doznała, sparaliżował ją, uniemożliwiając ucieczkę. Podeszła do najbliższego ciała – należało do młodego mężczyzny w eleganckiej marynarce, z poderżniętym gardłem. Nadal ciepłe. Bardzo ciepłe, a krew zbierała się dopiero wokół zwłok. Wszyscy ci ludzie zginęli bardzo niedawno. Gdy rozejrzała się dokładnie po sali, zdała sobie sprawę, że każdy odłamek zwykłego szkła znajdujący się w pomieszczeniu był roztrzaskany i tkwił w trupach albo w ich pobliżu. Tego mógł dokonać wyłącznie tancerz szkła. I to bardzo, ale to bardzo dobry.

Mimo wszystko wydawało się to niemożliwe. Kizzie widziała już dzieła najlepszych i nic nie przypominało tego, co miała właśnie

przed oczami. Żadna z ofiar nie zdążyła nawet krzyknąć. Nikt nie zbudził okolicznych mieszkańców. Zmroziło to krew w jej żyłach i po raz drugi w życiu zdała sobie sprawę ze swojego przerażania. Stopy przywarły jej do posadzki i z trudem zmusiła się do podjęcia jakiejś decyzji. Trzęsącymi się palcami wyciągnęła z kieszeni kawałek szkła harmonii, niemal go upuszczając, i przewlekła przez jedną z dziurek w uchu.

Magia natychmiast ukoila jej nerwy, uspokoiła drżenie dłoni i pozwoliła na trzeźwe myślenie. Przechyliła głowę, uważnie nasłuchując. Z wyższych pięter nie dochodziły żadne dźwięki. Jej zmysł nie wykrywał żadnych innych tancerzy szkła obecnych w budynku. Zabójca – albo zabójcy – musiał wymknąć się tuż przed jej przybyciem. Cała ta sytuacja była przerażająca, ale dała jej wyjątkową okazję.

Kizzie założyła kolejne kolczyki, tym razem łączące trzy rodzaje szkła bożego, i pozwoliła, aby magia wsiąkła w jej ciało i popchnęła do działania. Pospiesznie ruszyła przez salę, ostrożnie stąpając po posadzce, tak żeby nie pozostawiać odcisków butów w plamach krwi, i przyglądając się twarzom mijanych trupów. Ponad połowa z nich miała na sobie mundury – byli to oficerowie przegranej bitwy – i to właśnie na nich się skupiła.

Rozpoznała dwóch dalekich kuzynów z rodzinnej gildii Vorcienów i szkolnego kolegę z dzieciństwa. Żadnemu z nich nie poświęciła większej uwagi. Z łatwością dostrzegła generała Stavriego – leżał na stole, z kawałkiem kieliszka do shotów wbitym w tył czaszki. Przy tym samym stole znajdował się też jego młodszy brat. Pułkownik Agrippa Stavri siedział, wpatrując się w nią niewidzącym wzrokiem, z otwartymi ustami i ozdobnym kawałkiem żyrandola, przypominającym dzwonki wietrzne, sterczącym tuż nad mostkiem. Kizzie przeszukała kieszenie munduru Agrippa. Znalazła w nich zegarek kieszonkowy, książeczkę czekową, portfel oraz przesiąknięty krwią plik listów. Zostawiła zegarek i książeczkę czekową, przeszukała portfel, a listy zawinęła w serwetkę i włożyła do kieszeni.

Dalej przeczesywała trupy, ale zidentyfikowała tylko jednego z czterech podejrzanych, których pierwotnie zamierzała znaleźć. Była nią Fioda Jaque, która zmierzała pewnie w kierunku schodów,

kiedy kieliszek do wina pozbawił ją głowy. Kizzie przeszukała kobietę, lecz nie znalazła nic poza zegarkiem i portfelem. Zostawiła obie rzeczy.

Poszukiwania przyprawiły Kizzie o mdłości i sprawiły, że czuła się roztrzęsiona mimo szkła harmonii w uchu. Nic nie mogło zmusić jej do wspięcia się po schodach na drugie piętro, niezależnie od tego, jakie wskazówki mogłaby tam znaleźć. Po raz ostatni rozejrzała się po pomieszczeniu i uznała, że musiało się tam rozegrać coś o charakterze militarnym. Nic innego nie wchodziło w grę. To musiał być jakiś tancerz szkła, zabójca wysłany przez grenckie władze za przegranymi oficerami Ossy.

Zdrowy rozsądek przedostał się w końcu przez zaporę z szoku i magii i uświadomił jej, że jest jedyną żywą osobą w budynku pełnym bardzo ważnych trupów. Musiała podnieść alarm i zrobić to tak, aby pozostać nierozpoznaną.

Już prawie dotarła do przedsionka, gdy dobiegł ją jakiś dźwięk. Zatrzymała się i odwróciła, zastanawiając się, czy nie przeoczyła jakiegoś ocalałego. Stała przed nagłym dylematem, czy powinna go ratować, czy szybko stamtąd wiać. Dźwięk się powtórzył. Łup. Łup. Łup. Żołądek podskoczył jej do gardła. To były kroki. Ktoś schodził po schodach po drugiej stronie pomieszczenia.

Kizzie poderwała się do biegu i pognąła w stronę drzwi, nie dbając już o to, by poruszać się bezszelestnie. Wbiegając za róg prowadzący do wąskiego korytarza, zauważyła kogoś wchodzącego do sali z ringiem bokserkim. Był to niebotycznie wysoki mężczyzna o białej skórze i łysej głowie. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

Nie była pewna, czy za nią biegnie. Dosłownie leciała, wykorzystując całą moc, jaka tkwiła w jej splecionych magią kolczykach. Mijając szatnię, chwyciła leżący na ladzie szal i owinęła go sobie wokół szyi, zakrywając również część twarzy. Sprintem wybiegła na ulicę, wrzeszcząc wniebogłosy:

– Morderstwo! Wezwijcie Gwardię Narodową! Bijcie na alarm!

Zanim dotarła na skraj alejki, dostrzegła zaciekawione twarze wychylające się przez okna pobliskich kamienic. Przy kolejnej ulicy znalazła budkę strażniczą i tak długo waliła w drzwi, dopóki nie

pojawił się w nich gwardzista, któremu wskazała na Klub Binghamskich Awanturników.

Gdy mijali ją uzbrojeni funkcjonariusze Gwardii Narodowej, jej uwagę przykuł Wysoki Mężczyzna. Stał po drugiej stronie ulicy, z ciemną plamą na piersi szarej tuniki. Nie trzymał żadnej broni.

Patrzył wprost na nią.

Kizzie wpatrywała się w niego z uczuciem obezwładniającego strachu, skręcającym jej wnętrzności niczym pnącza winorośli. Inni zdawali się go nie zauważać lub nie zwracać na niego uwagi, a ona nie mogła przywołać gwardzistów, by spojrzeli w jego kierunku. Próbowała wyczuć jego obecność zmysłami, szukając jakichkolwiek oznak magii, ale nic nie znalazła. Tancerze szkła nie mogli ukrywać swej obecności. Nie potrafiła też wyczuć zbliżającego się ataku.

Wysoki Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. Napięła się z przerażenia. Nie był tancerzem szkła. Co powiedział jej Gorian? Że ktoś o jego rysopisie mógł być powiązany z seryjnymi morderstwami hutników? Może był jednym ze szpiegów Stavriego i przybył, aby złożyć mu raport, ale zjawił się tam chwilę przed nią, zastając tę makabryczną scenerię? Dlaczego w takim razie miał na tunice czyjaś krew? Kizzie nie miała ochoty na konfrontację. Zmusiła się do rozluźnienia ciała i do porwania przez napływający zewsząd tłum. Pozwoliła, aby wciągnął ją z powrotem w stronę klubu, i przedzierając się poprzez wrzaski oraz zawodzenia, wydostała się przez wzbierający potok gapiów w przeciwnym kierunku.

Wynajęła powóz i odetchnęła dopiero około północy, gdy ponownie znalazła się w Ossie, siedząc pod jasnym światłem nocnej kawiarni. Już po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni była świadkiem, jak Wysoki Mężczyzna znalazł się w pobliżu ciał ważnych osób. To nie mógł być zbieg okoliczności. W tamtym klubie roilo się jednak od oficerów, a nie samotnych hutników czy szantażowanej członkini rodzinnej gildii Magnów.

Drżąca i wyczerpana zamówiła kawę i wyjęła z kieszeni plik zakrwawionych listów, chowając je przed kelnerem w karcie dań. Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o Wysokim Mężczyźnie.

Pierwszy z listów był od jednej z kochanek Agrippa i był bardzo sprośny. Kizzie uznała, że go zatrzyma. Drugi, ledwo czytelny, wyglądał na korespondencję z bankierem. Trzeci i czwarty były zbyt

prześląknięte krwią, by mogła odczytać więcej niż kilka słów. Piąty jednak okazał się czymś zupełnie innym. Zwykła biała koperta, poplamiona krwią Agrippa, skrywała prostą notatkę. Było w niej napisane: „Co się stało, to się nie odstanie. Nie godzę się już więcej na szantaż. Wywiąż się z umowy albo spotka cię mój gniew. Proszę niech cholera weźmie”. Kizzie wpatrywała się w ten tekst przez jakiś czas, zanim podniosła kopertę. Ostemplowano ją w dniu zabójstwa Adriany Grappo.

Na chwilę zapomniała o Wysokim Mężczyźnie i sali pełnej trupów. Znalazła coś ważnego. Wyglądało na to, że Agrippa nie był czwartym z zabójców Adriany, ale czy to znaczyło, że szantażował kogoś, by tego dokonał? Coś w tym liście ją jednak zaniepokoiło. Znała to pismo. Tylko skąd? Z wizytówki? Z jakiegoś listu?

Gdy kelner przyniósł jej kawę, ponownie schowała plik korespondencji pod menu, podziękowała i skupiła się, aby po raz kolejny zebrać siły. Wojna z Grentem, śmierć Adriany, sekretna wojna krzemowa, Szklane Ostrze. To wszystko było ze sobą jakoś powiązane. Ale jak? I dlaczego? Agrippa mógłby udzielić jej odpowiedzi na kilka pytań, tylko że już nie żył. Osoba, którą szantażował, prawdopodobnie nie zdoła jej nic powiedzieć, lecz Kizzie mogłaby przynajmniej wymierzyć sprawiedliwość. Musiała się tylko dowiedzieć, kim był autor tej notki.



Demir przesiedział w milczeniu pozostałą część dnia, czuwając na schodach prowadzących do Hiacynta, choć wszystko wskazywało na to, że najgorsze już minęło. Egzekutorzy oczyścili ulice, Gwardia Zgromadzenia i Gwardia Narodowa patrolowały okolicę i ostatecznie późną nocą w dzielnicy znów zapanował spokój. Stojąc przed budynkiem i przyglądając się wyrwanym z zawiasów drzwiom od hotelowej stajni, doszedł do wniosku, że spokój ten mógł być dość kruchy. Ceny szkła bożego nadal będą rosnąć, a zamieszki z pewnością się wzmożą. Czy będzie na miejscu podczas kolejnych rozrób? A może Tirana będzie zmuszona wysłać egzekutorów do obrony hotelu, co doprowadzi do eskalacji przemocy, a w konsekwencji do śmierci wielu osób?

Zadręczał się tymi pytaniami, wchodząc do budynku i przechodząc przez puste lobby, w którym paliło się zaledwie kilka lamp, a przy stanowisku konsjerża dyżurował jeden z portierów. Zatrzymał się przy jego biurku.

– Mahren, tak? – zapytał.

– Tak, panie – odpowiedział z uśmiechem Mahren. – W czym mogę pomóc?

– Dowiedz się, jak ma na nazwisko kapitan Gwardii Zgromadzenia, któremu się dziś postawiłem. Chciałbym wysłać mu skrzynkę ereptijskiego wina.

– Słucham?

– Lepiej pozostać w dobrych stosunkach z Gwardią Zgromadzenia – wyjaśnił Demir. Układał już w głowie treść przeprosin, wplatając w nie żarliwe wyjaśnienia, jakoby miał na względzie wyłącznie bezpieczeństwo samych gwardzistów i nieświadomie przekroczył swoje kompetencje. Była to kompletna bzdura, ale Gwardia Zgromadzenia nie słyneła z subtelności, więc skrzynka wina i kilka słów skruchy na pewno nie zaszkodzą.

– Wyślę ją z samego rana.

– Doskonale.

– Dobranoc, panie.

W odpowiedzi Demir uniósł jedynie dłoń, minął schody, przemierzył korytarz i wyszedł na ciemny, cichy ogród. Od śmierci jego matki minęły trzy tygodnie, a przed rodzinnym mauzoleum nadal stało kilka świec. Świadczyło to o tym, jak bardzo kochali ją pracownicy hotelu. Zatrzymał się, aby popatrzeć na migoczące płomienie i odnaleźć w pamięci wspomnienie, kiedy po raz ostatni był z nią w tym miejscu. Było to prawdopodobnie podczas niewielkiego spotkania upamiętniającego rocznicę śmierci jego ojca, jakieś trzynaście albo czternaście lat temu. Niemalże połowę jego życia. Poczł się dziwnie ze świadomością, że wydarzyło się to tak dawno.

W małym warsztacie po drugiej stronie ogrodu wciąż paliły się lampy, ale kiedy do niego dotarł, Thessy w nim nie było. Musiała wyjść chwilę wcześniej, bo na stołach nadal leżały kartki z notatkami, a w piecu wciąż płonął ogień. Demir usiadł na jej krześle i przejrzał pozostawione papiery. Na jednej ze stron hutniczka szczegółowo opisała każdy z aspektów warsztatu, od pieca po niezbędne narzędzia. „W kwestii napraw – zapisano szybkim, zgrabnym pismem – należy zwrócić uwagę na pęknięcie z tyłu pieca”. Obok znajdowała się również lista zakupów. „Lepsza piszczel hutnicza. Osiem uncji wszechpiachu. Większe wiadro na wodę”.

Były tam też notatki wykraczające poza prozaiczne sprawy, dzięki którym dowiedział się między innymi, że Thessa dokładnie przeanalizowała zarówno zniszczony prototyp portalu feniksa, jak i jego oryginalne schematy. Znalazł też kilkanaście rysunków przedstawiających możliwe usprawnienia oraz obszernie rozważania na temat alternatywnych źródeł zasilania.

Ile czasu minęło od zamieszek? Dziewięć godzin? A ona poczyniła już tak ogromne postępy. Demir wertował kartki, z których rozumiał zaledwie niewielką część, był jednak pod coraz większym wrażeniem jej pracy. Nie była zwykłą hutniczką, potrafiącą dzięki dobremu słuchowi wyłapać właściwy rezonans. Była prawdziwą inżynierką – kimś, kto znał się nie tylko na teorii, ale również na praktyce, i to na najwyższym poziomie. Znalazł kartkę, na której widniał krótki traktat o izolacji i o tym, jak można ją zastosować w portalu feniksa, zwiększając moc energii wytwarzającej magię. Usiadł ponownie, odsuwając od siebie papiery i pogrążając się w myślach.

– Demir?

Wyciągnął szyję i zobaczył stojącego w drzwiach Montega.

– Jak poszło? – zapytał Demir.

Montego wyglądał na zmęczonego, a przez czoło przechodziła mu gruba zmarszczka. Od świtu przebywał poza hotelem, upewniając się, że nie czekają ich żadne konsekwencje związane z wydarzeniami w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej.

– Powiedziałbym, że dość dobrze – odparł. – Co prawda Magna chce nas przesłuchać, ale cały dzień skupiał się na zamieszkach. Nikt nie śledził nas do Wozowni, więc póki co Prosotsi są bezpieczni. Nie natrafiłem też na żadną wzmiankę o Thessie ani o jej przybranym imieniu. Prawdopodobnie sądzą, że zginęła w pożarze, ale może się to zmienić, gdy tylko doliczą się dokładnej liczby więźniów i zwłok. – Przerwał. – Słyszałem, że sprzeciwiłeś się Gwardii Zgromadzenia, stając po stronie protestujących robotników.

Demir skrzywił się, czekając na nadchodzącą reprimendę.

– Nie chciałem, by ludzie ginęli na moich oczach – oznajmił.

– I dobrze.

Spojrzał na Montega, ze zdziwieniem unosząc brew.

– Dobrze?

- No, tak postąpiłby Demir, którego znam. Ten dawny Demir.
- Tamten Demir nigdy nie postąpiłby tak lekkomyślnie.
- Brednie. Dawny Demir miałby w dupie, co myślą inni.

Używał swej mocy, aby pomagać ludziom.

– Serio? – zapytał niepewnie, próbując przypomnieć sobie siebie sprzed lat. – Zupełnie tego nie pamiętam. Całą moją przeszłość zasnuwa mgła pełna seksu, władzy i arogancji.

– Byłeś dzieciakiem – zauważył łagodnie Montego. – Może i miałeś swoje wybryki, ale nigdy nie wątpiłem w to, że masz serce na właściwym miejscu. Pamiętasz ten sierociniec za Bravectią? Uwiodłeś kobietę trzykrotnie starszą od siebie, by zapewnić tym maluchom bezterminowe finansowanie.

Demir uśmiechnął się lekko na to wspomnienie.

– Zrobiłem to z myślą o tych dzieciach czy dla hecy?

– Poznałem tę kobietę, stary. Zdecydowanie zrobiłeś to dla dzieci. – Montego klasnął w dłonie. – Padam z nóg od tego całodniowego udawania, że zależy mi na dobru Magny. Lecę do wyrka.

Demir odwrócił się, żeby popatrzeć przez chwilę na ogień skrzący się w hutniczym piecu. Czy tak właśnie zachowałby się dawny Demir? Czy cień jego starej osobowości wydostał się z głębi mentalnego więzienia? Zupełnie tego nie czuł. Wciąż brakowało mu dawnej pewności siebie. Obawiał się odwetu ze strony Gwardii Zgromadzenia i odrzucenia przez pozostałe rodzinne gildie. Jawne opowiedzenie się po stronie tłumu z pewnością pociągnie za sobą jakieś konsekwencje.

Zmęczony gonitwą myśli, udał się na poszukiwania Thessa. Ze zdziwieniem odnalazł ją na dachu. Siedziała obok klatki, sięgając ręką przez kraty, aby delikatnie głaskać tkwiącego w środku rannego sokoła. Głośno zamknął za sobą drzwi, dbając, żeby jego obecność nie umknęła niczyjej uwadze. Dach oświetlała jedynie odrobina księżycowego blasku, więc wyciągnął z kieszeni kawałek szkła zmysłów, poprawiając sobie w ten sposób widoczność.

– Należy do ciebie? – zapytał.

Zaskoczyło go, że Thessa pociągnęła nosem, otarła twarz rękawem i dopiero wtedy odwróciła się w jego stronę. Miała zaczerwienione oczy i wilgotne policzki.

– Nie wiedziałeś?

Demir podszedł i usiadł obok niej, spoglądając przez kraty na sokoła. Miał zabandażowane lewe skrzydło, ale wydawał się dużo spokojniejszy niż w momencie, gdy po raz pierwszy pojawił się w hotelu. Z niezwykłą cierpliwością znosił głaskanie Thessa, tuląc się do niej.

– Nie miałem pewności. Kastora powiedział, że jesteś znakomitą sokolniczką, więc gdy tylko zobaczyłem rannego sokoła siedzącego na pustej klatce, złapałem go.

– Sprowadziłeś go aż ze strefy wojny?

Demir się uśmiechnął.

– Muszę przyznać, że było to dość karkołomne zadanie. Rękawiczka posłużyła mi za prowizoryczny karnal, dopóki nie pożyczyłem jakiegoś od pewnego oficera. Twój koleżka nie był z tego powodu zbytnio zadowolony. – Zamilkł, stukając palcem w dach, aby zwrócić na siebie uwagę ptaka. – Za dzieciaka odziedziczyłem sokoła po ojcu. Zdechł mniej więcej w czasie, gdy moja kariera polityczna zaczęła nabierać tempa, a później nie miałem okazji wrócić do sokolnictwa. Pewnie dlatego mam do sokołów jakiś sentyment.

– Wabi się Ekhi – rzekła Thessa. – Tylko on pozostał mi po rodzicach. Myślałam, że go straciłam. Ogromnie mnie to męczyło i oto niespodziewanie się tu znalazł.

Demir przyjrzał się jej uważnie. Zaskoczył go widok jej bezbronności i to, jak bardzo była poruszona z powodu tego ptaka.

– Chciałem ci o nim powiedzieć, ale dzisiejsze zamieszki pochłonęły mnie bez reszty.

Thessa zsunęła rękę z sokoła i wyciągnęła ją spomiędzy wąskich krat. Wzdrygnęła się lekko, a wszelkie oznaki słabości szybko znikły z jej twarzy.

– Jeżeli już o tym mowa, to... przepraszam za tę akcję ze szkłem mocy. Zadziałałam instynktownie. Nie miałam do tego prawa. Kontrolowałeś sytuację. Nie powinnam się wtrącać.

– Nie jestem tego taki pewien. – Rozum podpowiadał mu, że powinien udzielić jej reprimendy. Tak postąpiłby patriarcha rodzinnej gildii, gdyby ktoś na zbyt wiele sobie pozwolił. Nie tylko miał do tego prawo, było to też jego obowiązkiem. W głowie huczało mu od rad matki. Musiał dbać o swój autorytet, inaczej nikt nie

będzie go szanował. Ale zamiast tego jedynie pokręcił głową. – Nie wiemy, do czego byli gotowi posunąć się ci ludzie. Może moje durne przemówienie by wystarczyło. Może to by wystarczyło. – Dotknął krzemowego symbolu tancerzy szkła. – Mogli nawet zwrócić się przeciwko nam tylko po to, żeby zdobyć darmowe szkło mocy. Tak się jednak nie stało. Ród Grappów bardzo dużo dziś zyskał i jestem ci za to wdzięczny.

– Jesteś mi wdzięczny? – zapytała zdziwiona. – To ty stanąłeś przed Gwardią Zgromadzenia w obronie zwykłych ludzi. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wydarzyło się coś podobnego.

– Stracę przez to pewnie kilku sojuszników – odparł zamyślony. – Przypuszczam, że kilku też zyskam. Wieczorem przyszedł do mnie szef jednego ze związków pracowniczych, prosząc o możliwość zastania moim klientem. Tylko on i jego rodzina, nie cały związek, ale ma to dla mnie ogromne znaczenie. Porzuca Stavrich dla nas.

– I niech będzie to pierwszy z wielu, którzy podejmą taką decyzję. – Przetarła oczy i obdarzyła go uśmiechem, smutnym, ale ładnym, zaskakując tym Demira. Ta chwila przywiodła mu na myśl jego pierwszą sympatię. Z nią też siedział na dachu hotelu, pod niebem pełnym gwiazd, pijąc butelkę skradzionego wina, podczas gdy ojciec dziewczyny szukał jej w całym budynku. Próbował przypomnieć sobie jej imię, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Zastanawiał się, co się z nią stało. Jej ojciec był wędrownym kupcem i po tamtej nocy Demir już nigdy więcej jej nie spotkał.

Odsunął się od klatki i usiadł naprzeciwko Thessy, opierając się o komin. Wyprostowała nogi, szturchając go stopą. Dopiero wtedy zauważył, że trzyma w ręku plik kartek.

– Znalazłeś czas, żeby przejrzeć umowę? – spytał, domyślając się, czego dotyczą te dokumenty.

– Ach, tak – powiedziała, podając mu je. – Poprosiłam Breenena o sporządzenie kopii. Wszystko podpisane.

– Bez zmian?

– Bez. Umowa jest świetnie skonstruowana. I nie da się ukryć, że jest dla mnie bardzo korzystna.

Demir wpatrywał się przez jakiś czas w podpis Thessy, a następnie w miejsce, gdzie przed pójściem spać złożył też swój.

Niby uściśniły już sobie wcześniej ręce na znak zgody, ale i tak miał obawy, że hutniczka wycofa się w ostatniej chwili.

– Partnerstwo to nie to samo co relacja klient–patron, ale mimo wszystko: witamy w rodzinnej gildii Grappów.

Ku jego zaskoczeniu Thessa zadrżała lekko z radości.

– Ależ to dziwne uczucie! Wiedziałam, że ten dzień w końcu nadejdzie, lecz nie spodziewałam się go tak szybko.

Demir przyglądał się jej przez kilka sekund. Może to przez emocje towarzyszące stawianiu czoła rozjuszonemu tłumowi, a może przez fakt, że Thessa miała na sobie elegancką, dopasowaną tunikę, miał jednak wrażenie, że patrzy na nią jakoś inaczej. Wyglądała jak dziewczynka, a zachowywała się jak kobieta. Przejawiało się to w jej opanowaniu, pewności siebie i profesjonalizmie. Miała nie tylko umiejętności doświadczonej hutniczki, lecz także jej mowę ciała. Nie chciał tego przed sobą przyznać, ale było to szalenie pociągające.

– Nie chcę wścibiać nosa w nie swoje sprawy – zaczęła nieśmiało – ale widziałam w ogrodzie mauzoleum. Gdy pracowałam, kilka osób z hotelowego personelu zapalało tam świece. Czy to tam... spoczywa twoja matka?

– Tak, są tam pochowani wszyscy ojcowie i matki rodzinnej gildii Grappów – odpowiedział. Spojrzał w niebo, wpatrując się w migoczące gwiazdy i odpływając myślami w kierunku fioletowo-białego marmuru. – Pewnie będę ostatnim. – Gwałtownie skierował wzrok na Thesę, natychmiast żałując wypowiedzianych słów z obawy, że nazbyt się przed nią odkrył, ale ona patrzyła tylko w czarne sklepienie nad ich głowami.

– Wątpisz, że będziesz miał dzieci? – zapytała.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat. Gdyby w przyszłym roku urodziło mi się jakieś dziecko, to i tak spóźniłbym się o dziesięć lat, aby stworzyć podwaliny dla nowego pokolenia Grappów. Tak przynajmniej twierdzi większość członków rodzinnych gildii. – Poczul napływ gniewu spowodowany ilością oczekiwań i obowiązków, jakie spoczęły na jego barkach. Postarał się jednak go stłumić. – A ty?

– Ha, ha! – wybuchnęła Thessa. – Większość hutniczek dopiero po trzydziestce zaczyna myśleć o dzieciach. Przypuszczam,

że to kompletne przeciwieństwo zasad panujących w rodzinnych gildiach. Jeszcze tydzień temu planowałam zakończyć naukę u Kastory i założyć własną hutę szkła. Może nawet odziedziczyć jego. Później pomyślałabym o rodzinie. – Na jej twarzy pojawił się półuśmiech. – Mimo że wolę mężczyzn, w sumie myślałam, że i tak skończę u boku jakiejś kobiety. Tak byłoby łatwiej. Uczciwiej. Po prostu adoptowałybyśmy dziecko i nie musiałabym się przejmować ciężką.

– Sprytnie – skomentował Demir, obserwując ją uważnie. Rozmowa zбочyła na tematy aż nazbyt osobiste. Zupełnie tego nie planował. Zrobiła to przypadkowo? Czy szukała jakichś odpowiedzi? – A łączy się to jakoś z interesami?

– Wszystko łączy się z interesami – odparła Thessa. – Z pewnością wiesz o tym lepiej niż ja.

Demir parsknął.

– Tego się od nas oczekuje. – Zamilkł, gryząc się w język. Wiedział, że powinien uważać na słowa. Ledwo ją znał, a była już jego nową partnerką biznesową. Musiał zachować pewne granice. – Prawda jest taka, że nie chcę zawierać małżeństwa poprzez jakiś układ z rodzinną gildią. Wszyscy tak robią i to mnie brzydzi. Zyskałbym prestiż jej rodziny, a ona moje pieniądze. Zdradzałibyśmy się na każdym kroku i wzajemnie się nienawidzili, wspólnie spożywając zimne posiłki w pustych jadalniach. – Przełknął gorycz napływającą do ust. – Jeśli miałoby do tego dojść, wolałbym znów gdzieś wyjechać.

– Mimo że wszyscy tak robią?

– Właśnie dlatego, że wszyscy tak robią. – Szturchnął nogą jej buta. – Chodzi o to, że mam świadomość, jak wiele jest dobrych ludzi pośród członków rodzinnych gildii. Ciekawych ludzi. Inteligentnych ludzi. Gdybyś dała mi tydzień, pewnie znalazłbym w Ossie z tuzin kobiet, z którymi mógłbym żyć i nawet czerpać z tego przyjemność. Nienawidzę jednak wszystkiego, co się z tym wiąże. Tych oczekiwań. Chłodu formalnych umów.

– Nigdy bym nie zgadła, że jesteś romantykiem – stwierdziła, uśmiechając się szeroko, co wywołało uśmiech również na twarzy Demira.

– Może i jestem romantykiem. Od zawsze chciałem wierzyć, że świat jest o wiele lepszy, niż go malują. To chyba wynika z tego, że nie dane mi było zaznać prawdziwego dzieciństwa. Pewnie nie wyrosłem jeszcze z dziecięcych marzeń.

Thessa posmutniała i Demir zastanawiał się, czy to przez to, że powiedział coś niewłaściwego. Na kilka minut zapadła cisza.

– Ja też nie miałam prawdziwego dzieciństwa – przerwała milczenie. Demir czekał, aż powie coś więcej, ale tylko wpatrywała się w swoje dłonie. – Nie wiem nawet, gdzie pochowali Kastorę.

To było dziwne stwierdzenie, zupełnie niezwiązane z ich wcześniejszą rozmową.

– Możemy się tego dowiedzieć. Choć pewnie będziemy musieli poczekać do zakończenia wojny.

Zdawało się, jakby te słowa przyniosły jej ulgę.

– Bardzo bym tego chciała. Do tej pory nie wiem, gdzie pochowano moich rodziców. Przed ich śmiercią wysłano mnie na nauki do Kastory, a potem... już nigdy tam nie wróciłam. – Demir spojrział na nią. A jednak kwestia pochówku nie była tylko dziwnym stwierdzeniem. Thessa zamilkła, pogrążając się w myślach i przez jakiś czas wpatrując się w punkt nad ramieniem Demira. – Nie było mnie tam, gdy to się stało, i długo się o to obwiniałam. To zabawne, ale miewam koszmary dotyczące ich śmierci, mimo że nie widziałam tego na własne oczy. Czasami zastanawiam się, czy wyobrażenia nie podsuwa mi gorszych obrazów niż te, które w rzeczywistości się wydarzyły.

– A jak zginęli? – zapytał Demir, pozwalając swojej ciekawości wziąć górę. Thessa tylko pokręciła głową, ale Grappo odniósł wrażenie, że pewnie ktoś ich zabił. Wsunął ręce do kieszeni, ponownie skupiając całą uwagę na dziewczynie. – W takim razie dlaczego się o to obwiniasz?

– Bo... – Wzruszyła ramionami. – W sumie to nie jestem pewna. Może dlatego, że powinnam coś zrobić. Tak czułam. Ale miałam wtedy zaledwie trzynaście lat. Dziwne, prawda?

– Ja za to mogłem ochronić swoją matkę – odparł z żalem. Wyparowała z niego cała wesołość i już mu jej brakowało. – Jestem tancerzem szkła. Tych sześciu zbirów w mgnieniu oka stałoby się kupą mięcha, nim zdążyliby podnieść na nią pałki.

– Tylko jeśliś tam był – zauważyła Thessa.

– Pewnie byłbym w pobliżu. Jeśli mieszkałbym wtedy w stolicy, zapewne odprowadzałbym ją do domu po spotkaniach Zgromadzenia. Byłem kiedyś członkiem Zgromadzenia. Ja... – Urwał.
– W sumie to nadal nim jestem. Od kiedy dowiedziałem się, co zaszło, nie ma dnia, bym nie myślał o jej śmierci. O tym, co mógłbym zrobić. O bólu, jaki zadałbym ludziom, którzy pragnęli jej krzywdy.

– Ci ludzie – powiedziała łagodnie Thessa – nie byli głupcami. Jesteś, kim jesteś, i na pewno nie zrobiliby tego w momencie, w którym zdołałbyś ją obronić.

Demir wołał, żeby nie miała racji. Łatwiej było się na siebie wściekać, poddawać się wyrzutom sumienia i złości, niż stawić czoła rzeczywistości. Wiedział o tym, bo od lat to robił.

– Jesteś za mądra jak na swój wiek – stwierdził.

– A ty zbyt udręczony jak na swój – odrzekła. Przełknęła ciężko, lekko wybałuszając oczy, bo zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie po raz kolejny posunęła się za daleko.

Demir miał świadomość, że powinno go to poirytować. Przekroczyła granicę i każdy znany mu patriarcha rodzinnej gildii ustawiłby ją do pionu. Podobnie jednak jak za pierwszym razem nie mógł się do tego zmusić.

– Naprawdę? I co to ma niby znaczyć?

Thessa się zawahała.

– To znaczy, że pewnie uważasz się za jakiegoś potwora, jak wtedy gdy zdjąłeś rękawiczkę we wszechświętyni. Ale nim nie jesteś. Widziałam, jak chroniłeś swój hotel, a potem tamtych protestujących ludzi, którym nie byłeś przecież nic winien. – Thessa roześmiała się zakłopotana. – Przepraszam, filozofuję o czymś, o czym nie mam bladego pojęcia. Wybacz mi, proszę.

Demir wpatrywał się w nią, czując jednocześnie wzruszenie i zdumienie.

– Wyjątkowa z ciebie kobieta – powiedział.

– Przepraszam, naprawdę nie powinnam.

– Nie przepraszaj. Odkąd pamiętam, tylko Montego tak szczerze ze mną rozmawiał. Nie jestem pewien, czy się z tobą zgadzam, ale doceniam twoją szczerość. – Parsknął, spuszczać wzrok na kontrakt tkwiący w jego dłoniach. Miał wrażenie, że dużo

lepiej wyjdzie na tej współpracy niż ona. – Jesteś niezwykle sympatyczną osobą, Thesso Foleer. Wykorzystaj to na swoją korzyść.

Lekko zmrużyła oczy i uniosła podbródek w jego stronę.

– Zmęczony? – zapytała. Jakby wiedziona instynktem wyciągnęła rękę za siebie, aby pogłaskać siedzącego w klatce Ekhięgo.

– Słucham?

– Tak pytam, bo wiesz... zawarliśmy umowę partnerską. – Uśmiechnęła się, zaciskając wargi. – Pomyślałam, że może poszlibyśmy do mojego apartamentu i uczcili to butelką wina, co? Tylko ty stawiasz, bo chyba zostawiłam portfel w Grecie.

Demir poczuł przyjemny skurcz w żołądku. Ciemność, która jeszcze chwilę wcześniej zdawała się kłębić w jego wnętrzu, znikła. Gonitwa myśli ustała, ciało się rozluźniło, a on odwzajemnił uśmiech. Co mu szkodzi? Zaczął przeszukiwać kieszenie, rozglądając się dookoła z udawanym przerażeniem.

– Nie jestem pewien, czy mnie na to stać. Może wybrałabyś coś taniego? Bo ja... Jasne, że stawiam! Chodźmy zaszaleć w piwniczce z winami. – Poderwał się na równe nogi i wyciągnął rękę do Thessy. Chwyciła za nią i pozwoliła, aby podciągnął ją do góry. Stając tuż przed nim, owinęła ręce wokół jego pasa w półobjęciu. Demir odwrócił ich w stronę drzwi prowadzących na dach i spleceni podążyli ku wyjściu. Było cicho i spokojnie, podobała mu się ta przyjacielska bliskość.

Dotarwszy na główne piętro, szli pod rękę w kierunku schodów do piwniczki, gdy zza rogu wyłonił się Breenen. W momencie kiedy dostrzegł zatroskaną twarz majordomusa, poczuł, jak opuszcza go dobry nastrój.

– Demirze! – zawołał Breenen, zbliżając się ku nim i oglądając się za siebie.

Demir wysunął się z objęć Thessy.

– Co się stało?

– Gwardia Zgromadzenia – wyszeptał Breenen. – Są w foyer i chcą się z tobą widzieć. Twierdzą, że mają rozkaz zabrania cię przed Wewnętrzne Zgromadzenie.

– Szklanic to! Przecież jest już po północy – wtrąciła Thessa. – Czego mogą chcieć o tej porze?

Breenen był wyraźnie wstrząśnięty. Demir wolał nie ujawniać się ze swoimi obawami. Elitarni zabójcy Zgromadzenia nie słynęli z cierpliwości ani przyjemnych rozmów.

– Aresztują mnie? – zapytał. – Szklorwa, czyżbym złamał dziś jakiś nieoczywisty przepis?

– Nic takiego nie powiedzieli.

Demir zaklął pod nosem, rozważając swoje opcje.

– W takim razie nie budź Montega. Najlepiej będzie, jeśli udam się tam po cichu i dowiem się, czego chce ode mnie Wewnętrzne Zgromadzenie. Prawdopodobnie chodzi im o zamieszki.

– Jesteś pewien? – spytał Breenen. – Nie widziałem jeszcze, by w taki sposób kogoś wzywali. Ludzie, którzy idą gdzieś z Gwardią Zgromadzenia, na ogół znikają bez śladu.

Demir położył rękę na ramieniu Breenena i odezwał się do niego zdecydowanym głosem.

– Zabierają mnie przed Wewnętrzne Zgromadzenie. Dobrze wiesz, że jeśli te dupki chcą ze mną porozmawiać, zrobią to w ten czy inny sposób. Poza tym potrafię o siebie zadbać. Wybacz mi, Thesso. Pozwól, że przełożymy nasze plany na inny dzień.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, choć na jej twarzy widać było zaniepokojenie. Demir poprawił tunikę i ruszył do foyer, zatrzymując się tylko raz, by spojrzeć na Breenena i Thesę.

– Jeśli nie wrócę za kilka godzin, możesz obudzić Montega – rzucił do majordomusa.



Gwardziści wyprowadzający Demira z Hiacynta nie odezwali się do niego ani słowem. Nie kojarzył ich też z twarzy, więc najwyraźniej nie byli to ci sami, których upomniał podczas zamieszek.

Uprowadzenia i egzekucje nie były już tak powszechne jak niegdyś, nie oznaczało to jednak, że się nie zdarzały, dlatego gdy wrzucili go do powozu i wieźli przez Dzielnicę Zgromadzenia, Demir pozostawał skupiony, wyteżając zmysły. Żaden z ośmiu gwardzistów otaczających powóz nie był tancerzem szkła, co było albo ogromnym niedopatrzeniem ze strony Wewnętrznego Zgromadzenia, albo oznaczało, że po prostu chcieli z nim porozmawiać. Tylko dlaczego posłali po niego Gwardię Zgromadzenia, a nie zwykłego posłańca? Co było tak cholernie ważne, że nie mogli poczekać do rana?

Miał ochotę złapać najbliższego gwardzistę, potrząsnąć nim i wrzasnąć: „Zaprosiła mnie do swojego apartamentu na kieliszek wina, bęcwale”. Oczywiście nie skończyłoby się to dla niego zbyt dobrze. W końcu wezwanie Wewnętrznego Zgromadzenia było ważniejsze niż szybki numer, a fakt, że w ogóle porównywał te

dwie rzeczy, oznaczał, iż najwyraźniej pozostało w nim więcej z dawnego, aroganckiego Demira, niż początkowo przypuszczał.

Zaczynał się już zastanawiać, czy nie popełnił błędu, ignorując możliwość obudzenia Montega, gdy wtem jego krótka podróż niespodziewanie się zakończyła, otwarły się drzwi i Demir znalazł się w cieniu Maerhornu – pękatej fortecy zlokalizowanej w samym środku Dzielnicy Zgromadzenia. Masywne, pozbawione zdobień mury Maerhornu wyróżniały się pośród wspaniałych amfiteatrów i marmurowych posągów niczym czyrak na twarzy kurtyzany. Gwardziści w mgnieniu oka otoczyli Demira i poprowadzili go przez kryty mostek łączący pierwsze piętro Maerhornu z ulicą. Grappo nie stawiał oporu, próbując zrozumieć, o co im właściwie chodzi. Kawalek szkła harmonii pomógł mu ukoić nerwy, a żaden z żołnierzy Gwardii Zgromadzenia nawet nie mrugnął, kiedy wsuwał go sobie do ucha.

Przekroczyli masywny, budzący grozę próg z wiekowymi pułapkami fortyfikacyjnymi i kilkoma rzędami spuszcanych krat, a następnie skierowali się na prawo przez wąskie pomieszczenie przeznaczone do egzekucji, podążyli do góry po niestabilnych schodach i w dół, gdzie, przechodząc przez kolejny most, dotarli wreszcie do wewnętrznej twierdzy Maerhornu. Byli tam sami gwardziści, ustawieni wzdłuż ścian korytarzy, z wyprostowanymi plecami i oczami skierowanymi przed siebie. Demir rozmyślał, czy aby go zabić, potrzebują w ogóle tancerza szkła, a może jakiś czekał już na niego w ukryciu. Jego wyostrzone zmysły niczego jednak nie wyczuwały.

Otoczająca go grupa zatrzymała się tak gwałtownie, że omal nie wpadł na jednego z nich. Gwardzistka stojąca na czele obróciła się na pięcie, zapukała w drewniane drzwi, pchnęła je i gestem zaprosiła go do środka. Demir po raz ostatni przyjrzał się eskortującym go żołnierzom i zanim wszedł do pomieszczenia, rozpostarł wokół siebie szeroką sieć magii.

Wkroczył do dużego, długiego holu, jasno oświetlonego przez dziesiątki lamp gazowych zwisających z sufitu w ozdobnych żyrandolach. Zimne kamienne ściany pokrywały grube gobeliny, podłogę zaścielały zniszczone karmazynowe dywany, a naprzeciw

drzwi stało pięć foteli z wysokim oparciem ustawionych w półkole. Wszystkie były zajęte.

W samym środku siedział stary, spękany, przypominający żabę Ojciec Vorcien, z podbródkiem pokrytym łuskami szklanego trądu. Po jego prawej znajdowała się Aelia Dorlani, młodsza od niego o zaledwie dwa lata, ale starająca się ukryć wiek pod toną makijażu. Na prawo od niej siedział Gregori Kirkovik, niedźwiedziowaty patriarcha z północy. Po lewej od Ojca Vorciena był Supi Magna, wpatrujący się groźnie w Demira, od kiedy tylko ten przekroczył próg sali, zaś obok niego zasiadała Sammi Stavri. Wewnętrzne Zgromadzenie – pięć najpotężniejszych osób w Ossie, a może i na całym świecie.

Demir przybrał swobodną postawę i udawał, że ignoruje złowrogie spojrzenia Supiego Magny. Po co go wezwano? Chodziło im o zamieszki? A może chcieli go przesłuchać w sprawie huty szkła w Lesie Kości Słoniowej? A może – na samą tę myśl żołądek podszedł mu do gardła – chodziło o portal feniksa?

– Cóż za ekskluzywne spotkanie – stwierdził Demir.

– Tylko na niego popatrzcie – warknął Supi Magna. – Spalony od słońca niczym prowincjonalny rolnik, i to ze zrogowaciałą skórą na rękach. Zupełnie nie przypomina elitarnego przedstawiciela Ossy, jakiego szukamy.

– Przecież nie planujemy zapraszać go na bal – burknął Gregori ze swoim mocnym, prowincjonalnym akcentem. – Daj już spokój. Gównu mnie obchodzą wasze huty szkła i durne projekty. Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Równie ważne jak to, że patriarcha rodzinnej gildii grozi Gwardii Zgromadzenia na oczach motłochu? – zażądał wyjaśnień Supi.

– Co do tego, to... – Gregori chrząknął. – Uważam, że gwardziści tak samo jak wszyscy inni powinni być czasem postawieni do pionu.

Ta niespodziewana wymiana zdań zaskoczyła Demira, ale starał się tego nie okazywać. Wewnętrzne Zgromadzenie zdecydowanie nie zgadzało się w jakiejś kwestii... czegokolwiek ona dotyczyła.

– Może wytłumaczycie mi, o co chodzi? – zapytał.

– I nie ma za grosz szacunku! Patrzcie, jaki z niego impertynent. Patrzcie, jaki...

– Supi – ucięła Aelia. – Zamknij się.

Demir zerknął na Aelię, a gdy ich spojrzenia się spotkały, zastanawiał się, czy ma ona świadomość, że wie o jej udziale w zabójstwie jego matki. Wpatrując się w jej chłodny, nieco roztargniony wzrok, stwierdził, że pewnie nie. Następnie jego spojrzenie powędrowało w kierunku Sammi Stavri, najmłodszej z całej grupy, choć była już po sześćdziesiątce. Siedziała w wielkim fotelu z wyrazem przygnębienia na twarzy i z głową kiwającą się we wszystkie strony, zupełnie jakby była pijana lub niedołączna. Ale z tego, co wiedział, nie zmagala się ani z jednym, ani z drugim. Działo się tam coś, czego nie rozumiał.

Zanim zdążył zapytać ich ponownie, Ojciec Vorcien w końcu się ożywił i odchrząknął.

– Dobrze cię znowu widzieć, Demirze.

– I ciebie, Ojczy Vee.

Ojciec Vorcien prychnął.

– Przepraszam za gwardzistów i za tę późną godzinę. – Oczy Ojca Vorciena błędziły przez chwilę po sali, po czym wróciły do Demira. U człowieka, który potrafił zmylić gargulca, była to ewidentna oznaka, że coś go trapi. – Kilka godzin temu nadeszły wieści z Miedzianych Wzgórz, jakoby Legia Cudzoziemska poniosła sromotną klęskę w bitwie z grencką armią pod dowództwem Devii Kerite.

Demir zachwiał się, zaskoczony, a żołądek podskoczył mu do gardła. Nic dziwnego, że nie zrugali go w kwestii zamieszek. Przegrana bitwa była o wiele ważniejsza. Jakim cudem Legia Cudzoziemska poniosła porażkę? Nie mógł w to uwierzyć.

– Myślałem, że Kerite i jej Smoki przebywają obecnie w Purnii i mordują tam tubylców na zlecenie Nasuudów.

– Zimowała na Szklanych Wyspach – odezwała się Aelia. – Wynegocjowaliśmy z nią warunki przystąpienia do wojny przeciwko Grentowi, ale Grent sprzątnął nam ją sprzed nosa. Nawet nie dała nam możliwości złożenia kontroferty!

– I od tamtej pory nie przestajemy się na siebie wydzierać – mruknął Gregori. – A kogo należy za to winić? – Rzucił okiem

w stronę Sammi Stavri.

– Gregori! – wrzasnęła Aelia.

– No co? – Gregori spiorunował Aelię wzrokiem. – Przecież to Demir Grappo. Nawet jeśli podupadł na umyśle przez Holikan, nie zmienia to faktu, że nadal jest synem Adriany! Naprawdę sądzisz, iż nie wie, że jedyne, co nam tu wychodzi, to klótnie? Albo że dał się nabrać na nasze zjednoczenie uknute pod publiczność? Bzdura!

– Porusza mnie twoja szczerość, Gregori – odpowiedział Demir. Zachował jednak niewzruszony wyraz twarzy i obojętny ton głosu, choć w środku jego myśli kotłowały się jak oszalałe. Było coś niezwykle kojącego w obserwowaniu słabości tych potężnych intrygantów, lecz zastanawiał się, czy przypadkiem nie oznacza to, że są już tak bardzo rozdarci, iż nie starają się nawet tego przed nim ukrywać. Nie dało się nie zauważyć, że stojąca u progu armia pod dowództwem Devii Kerite mogłaby nadszarpnąć nerwy każdego przywódcy. Zaczynał przypuszczać, o co może im chodzić... ale czy miał rację?

Gregori uśmiechnął się do niego szeroko.

– Masz pozdrowienia od mojego młodszego brata. Słyszałem, że jego wnuczka wspaniale się czuje w twoim hotelu.

– Tirana idealnie tam pasuje.

– Bardzo mnie to cieszy. Piękna z niej kobieta, nieprawdaż?

Wszyscy pozostali członkowie Wewnętrzznego Zgromadzenia przewrócili oczami, a Ojciec Vorcien westchnął ciężko, po czym zabrał głos.

– Chyba nie jest to najlepszy moment, by swatać swych dalekich krewnych, Gregori. Posłuchaj mnie, Demirze. To, co powiedziała Aelia, to nie wszystko. Dowiedzieliśmy się też, że podczas próby przegrupowania cała kadra zarządzająca Legią Cudzoziemską została zamordowana.

Demirowi zaschło w gardle. Trudno było w to uwierzyć. Wiedział już jednak, dlaczego go wezwali, i było to o wiele bardziej przerażające niż perspektywa śmierci z rąk Gwardii Zgromadzenia.

– Jak do tego doszło?

– Wpadli w zasadzkę i padli ofiarą licznej grupy tancerzy szkła z Grentu.

– Szkłorwa – rzucił Demir.

– Szklorwa mać, w rzeczy samej. – Sammi Stavri nagle jakby się ożywiła i odwróciła, aby wbić zaczerwienione oczy w Demira. – I to nie koniec! Było tam dwóch moich młodszych braci. Dwóch kuzynów. Dwóch kuzynów z rodu Vorcienów, jeden z Magnów i trzech Dorlanich. Spośród członków największych rodzinnych gildii tylko ród Kirkovików wyszedł bez szwanku. – Spojrzała na Gregoriego, jakby obwiniając go za to, że jej brat nie zatrudnił nikogo z jego rodziny.

Demir zdał sobie sprawę, że to wyjaśnia obecny stan Sammi. Utrata dwójki rodzeństwa była nie tylko osobistym, ale i zawodowym ciosem dla tak potężnej rodziny, jaką byli Stavri, do tego strata dwóch kuzynów tylko pogłębiała tę zniwagę.

– Wyrazy współczucia – powiedział cicho Demir. Sammi jakby skurczyła się w sobie na te słowa, zdając się fizycznie urażona współczuciem okazanym przez kogoś tak młodego i pozbawionego władzy jak Demir. Grappo odwrócił się w kierunku Ojca Vorciena, przy okazji zauważając, że Supi Magna przestał piorunować go wzrokiem i wpatrywał się pośepnie w ciemność rozpościerającą się za pobliskim oknem. – Po co mnie wezwaliście? – spytał Demir, choć odpowiedź wydawała się już dość oczywista.

– Ponieważ grencka armia zmiotła właśnie z powierzchni ziemi wszystkich najlepszych oficerów w stolicy – odparł wprost Ojciec Vorcien. – Pozostali albo stacjonują na prowincji, albo wyjechali na ferie zimowe. Przez ostatnie dwie godziny szukaliśmy w mieście kogoś, kto ma doświadczenie w dowodzeniu jednostką większą niż batalion. Znaleźliśmy trzy takie osoby, z których dwie nie wygrały żadnej bitwy.

– Potrzebujemy Księcia Błyskawic – wtrącił Gregori.

Demir zaczerpnął gwałtownie powietrza, wydymając przy tym policzki, potem powoli je wypuścił. Cóż za osobliwy tytuł dla mężczyzny, który nie doświadczył porażki, a mimo to zdołał wyjść ze swej jedynej kampanii owiany złą sławą. Rozejrzał się dookoła, aż dostrzegł stos drewnianych krzeseł porzuconych w odległym kącie sali. Podszedł do nich, chwycił za jedno i przywłókł je przed Wewnętrzne Zgromadzenie. Nogi szurały o kamienną posadzkę, sunęły po dywanach. Ustawił siedzisko dokładnie tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał, i opadł na nie.

– Musicie być szkolernie zdesperowani – stwierdził.

– Stawką jest bezpieczeństwo stolicy – odrzekła Aelia.

O mały włos – malusieńki – nie wygarnąłby jej, co o niej myśli. Jakże miło byłoby zobaczyć jej minę, gdyby oskarżył jej wnuka o zabicie jego matki. Nic by tym jednak nie wskórał. Miała rację. Stolica była w ogromnym niebezpieczeństwie.

– I wydaje wam się, że dam radę powstrzymać Kerite, tak? A nie dysponujemy przypadkiem kordonem obronnym przeznaczonym do takich właśnie sytuacji? Jaki jest zatem cel tych wszystkich potężnych fortów rozmieszczonych poza miastem, jeśli nie taki, by zatrzymać nieprzyjacielskie wojska?

– Wiesz w ogóle cokolwiek o Devii Kerite? – zapytała Aelia.

– Wiem tyle, ile mogłem znaleźć na jej temat – przyznał Demir. – Na podstawie jej wojny błyskawicznej w Purnii oparłem taktykę kampanii w Holikanie. Kerite nie publikuje swoich listów ani wspomnień, nie udziela też wywiadów. W żaden sposób nie ujawniła publicznie swego toku myślenia, co czyni ją najbardziej skrytą generałką we współczesnej historii. – Zastanowił się nad tym, co wie o Kerite, i założył, co mogą zaraz powiedzieć. – Jesteście przekonani, że nasze fortyfikacje obronne jej nie powstrzymają, prawda?

– Biorąc pod uwagę to, co wraz z grencką armią zrobiła Legii Cudzoziemskiej, nie sądzę, by nawet ją spowołniły – mruknął Ojciec Vorcien. – Nasze forty są dość przestarzałe, a ich stan techniczny pozostawia wiele do życzenia, nie wspominając już o poważnych brakach kadrowych. Nie są przygotowane do zwykłego oblężenia, a co dopiero do przeciwstawiania się atakowi tak wykwalifikowanej dowódczyni.

Co ciekawe, informacja ta zupełnie go nie zaskoczyła. Był to kolejny przykład ossańskiej arogancji.

– Co za szkoda, że żaden bogaty i wpływowy członek Zgromadzenia nie mógł przeznaczyć wystarczających funduszy na ich utrzymanie.

Dostrzegł, jak Supi Magna zaciska zęby, ale nikt nie odpowiedział na jego zniewagę. Zaśmiał się w duchu, a ponure echo tego śmiechu huczało mu w głowie. A propos arogancji, co on w ogóle wygadywał? W taki właśnie sposób Demir sprzed lat zwracał się do Zgromadzenia. Czy naprawdę nic się nie zmienił?

– Grent ma w tej chwili nad nami ogromną przewagę – odezwał się Gregori. – Kerite może z łatwością przedrzeć się przez nasze fortyfikacje i uderzyć w sam środek Ossy albo bez ograniczeń hulać po okolicy, niszcząc nasz przemysł, zalewając nasze państwo przybyszami i odcinając nas od wsparcia i zaopatrzenia. Zerwała już nasze połączenie komunikacyjne z Nowym Portem, a jej flota zablokowała nam do niego dostęp.

Nowy Port był oficjalną dzielnicą Ossy i znajdował się ponad piętnaście kilometrów na północny zachód od wybrzeża, łącząc się ze stolicą za pomocą sieci kanałów, dzięki którym Ossa nie była zależna od Grentu w kwestii dostępu do oceanu.

– Nie musimy jej od razu zatrzymywać – oświadczył Supi Magna, a ton jego głosu ociekał irytacją. – Wystarczy, że ją trochę spowolnimy. Wezwaliśmy już posiłki z prowincji. Jeśli zyskamy miesiąc, albo chociaż kilka tygodni, uda nam się zebrać wystarczająco dużo wojska, aby ją pokonać. Kto jak kto, ale przecież Księżę Błyskawic nie powinien mieć większych trudności ze spowolnieniem jakiejś tam generałki najemnej armii, czyż nie?

– Och, Supi, sarkazm zupełnie nie pasuje do twoich dostojny kości policzkowych – odparł Demir. Żart nie był zbyt wyszukany, ale jego myśli skupiały się już na niemożliwym zadaniu, które go czekało. Zadanie to było dosłownie niemożliwe, bo jak niby miał spowolnić Dwie Kerite, najgenialniejszą strategię współczesnej wojskowości? Gdyby odzyskał wszystkie umiejętności, jakimi dysponował w młodości, mógłby najwyżej zaoszczędzić im tydzień.

– Ha, ha! – zaśmiał się Gregori, klepiąc się w kolano. – Ależ mi ciebie brakowało, Demirze. Wszyscy traktują nas zbyt poważnie.

– Masz na myśli to, że inni traktują nas z szacunkiem, tak? – odcięła się Sammi.

Wyszło na jaw, którzy spośród członków Wewnętrznego Zgromadzenia rzeczywiście chcieli pomocy Demira. Interesujące wydało mu się to, że najwyraźniej Aelia opowiedziała się po jego stronie, co było dość nieoczekiwane, zważywszy, co zrobiła. Nie zamierzał jednak ujawniać się ze swoimi wątpliwościami. A co do Zgromadzenia, to może i byli tak zmęczeni, rozdarci, że ukazali przed nim swą słabość, ale on za żadne skarby nie mógł sobie na to pozwolić. Wiedział, że nie ma zbyt wielkiego wyboru. Mógł albo

przejąć dowództwo nad tym, co pozostało z Legii Cudzoziemskiej, i dać z siebie wszystko, albo uciec z tego przeklętego kraju, nim Kerite zdąży zrównać Ossę z ziemią.

– Co miałbym do dyspozycji? – zapytał Demir, ignorując Sammi.

Ojciec Vorcien ponownie zabrał głos.

– Legia Cudzoziemska została dość mocno poturbowana, ale jak mocno, dowiemy się dopiero rano. Zakładamy jednak, że pozostało około ośmiu tysięcy żołnierzy. Dysponujemy też kilkoma batalionami kawalerii, które przybyły dzisiejszej nocy. Dodatkowo możemy zebrać sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy Gwardii Narodowej.

– W prawdziwej bitwie Gwardia Narodowa jest równie bezużyteczna, co okoliczni chłopcy – stwierdził Demir.

– Prawda.

– Jak to wygląda u Kerite?

– Ma dziesięć tysięcy najemników i dwadzieścia tysięcy żołnierzy z Grentu; świeżo po zwycięstwie z minimalnymi stratami. Wieści o zamachu na naszych dowódców i przegranej naszych wojsk już się rozeszły, więc jutro na ulicach Ossy zapanuje panika. Musisz powstrzymać Kerite przed zajęciem Nowego Portu lub przed zniszczeniem fortyfikacji obronnych. Jeśli uda jej się przynajmniej jedna z tych rzeczy, nie zdołamy zapanować nad tłumem.

Demir zapragnął dobyć szkła rozumu, które w ciągu zaledwie kilku minut umożliwiłoby mu przebrnięcie przez tysiące możliwości i przeanalizowanie hipotetycznych bitew niczym maszyna myśląca. Włożył rękę do kieszeni i musnął palcami znajdujące się w niej szkła boże. Natrafił na szkło rozumu, ale go nie chwycił.

– Pchacie mnie w objęcia porażki – rzekł.

– Inni doprowadziliby do jeszcze większej katastrofy – oświadczył spokojnie Ojciec Vorcien.

Nie brzmiało to jak żarliwe poparcie, choć nie było też bez znaczenia, skoro pochodziło od Ojca Vorciena. Stary ropuch od zawsze wydawał się darzyć Demira sympatią, i choć nigdy nie był dla niego prawdziwym mentorem, w trakcie swej kariery politycznej Grappo myślał o sobie jako o następcy Ojca Vorciena w ramach Wewnętrznego Zgromadzenia. Aktualnie to marzenie było jedynie mrzonką, ale sama świadomość, iż może liczyć na jego poparcie

w kwestii obrony Ossy, sprawiła, że całe to zadanie było... no cóż, nie tyle możliwe do zrealizowania, ile możliwe do zaakceptowania.

Demir trawił obecną sytuację i zdał sobie sprawę, że świadomość nieuchronnej porażki doprowadziła do tego, iż przestało go to już tak bardzo przerażać. Dowodzenie oddziałami, wydawanie rozkazów – to wszystko było dość przerażające. Ale co najgorszego mogło się stać w przypadku, gdy załame się jak w Holikanie? Stolica i tak by spłonęła. Może i brzmiało to niezwykle cynicznie, lecz w pewien pokrętny sposób również pocieszająco.

Ktoś rozsądny pokazałby im pewnie środkowy palec, wrócił do domu, spakował cały hotel i uciekł z miasta. Demir chciałby być tak rozsądny.

– Jeśli podejmę się tego zadania, to chcę mieć pewność, że podczas mojej nieobecności Zgromadzenie nie będzie knuło za moimi plecami. Odrzucicie krytykę dotyczącą dzisiejszych zamieszek związanych z cenami szkła mocy i publicznie ogłosicie mnie bohaterem za pokojowe rozproszenie protestujących. Ma to się pojawić jutro na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Supi prychnął głośno.

– Coś jeszcze? – zapytał sarkastycznie.

– Biorąc pod uwagę, czego ode mnie oczekujecie, nie proszę o zbyt wiele – rzucił Demir. – Jeśli nie spróbuję spowolnić Kerite, zginą dziesiątki tysięcy obywatele Ossy. Widziałem, co działo się na ulicach Grentu, i jeżeli uda mi się choćby zminimalizować skutki takich walk w Ossie, uznam to za sukces.

– Zniszczenia nieruchomości... – zaczęła Aelia.

– Nic dla mnie nie znaczą – przerwał jej Demir. – Ocalę ludzi, a nie wasze młyny, kamienice czy huty szkła. Weźcie to pod uwagę. Nie będę tolerował wtrącania się Zgromadzenia w moje decyzje. Nie przekieruję wojska, aby uratować cenne domostwo rodzinnej gildii, nie przeprowadzę batalionu przez dzielnicę, w której powiewać będą flagi z krzemowymi symbolami, aby dodać wam prestiżu. Albo się na to godzicie, albo idźcie precz.

Gregori i Aelia zmarszczyli brwi, prawdopodobnie żałując swego wcześniejszego poparcia. Sammi zdawała się nie słuchać.

– Zgoda – oznajmił Ojciec Vorcien bez chwili wahania.

– Znacie moje metody – kontynuował Demir. – Potrzebuję wszystkiego.

– Czyli czego? – zapytała Aelia, przeciągając samogłoski.

– Analizuję informacje – wyjaśnił Demir. – Dlatego będę potrzebował każdego świstka. Każdego raportu szpiegowskiego, każdego rejestru, każdej notatki dotyczącej naszych i ich wojsk. Chcę wiedzieć wszystko: kiedy grencka piechota otrzymała nowe buty i co Kerite lubi jeść na śniadania. Nie chodzi mi tylko o oficjalne raporty, ale również o wieści zebrane przez waszych osobistych szpiegów.

– Nie udostępnię takich informacji – oświadczył stanowczo Supi Magna.

– Nonsens! – odparł Ojciec Vorcien. – To niewielka cena w zamian za możliwość zwycięstwa.

– Ale nasze raporty szpiegowskie są własnością rodzinnych gildii – zaprotestowała Aelia.

Ojciec Vorcien uderzył pięścią w podłokietnik swego krzesła.

– Dostarczymy mu wszystko, co mamy; wszyscy, bez wyjątku. A jeśli odniosę wrażenie, że któreś z was chce coś zataić, to osobiście przeprowadzę audyt. – Pozostała czwórka, łącznie z Gregorim, marudziła coś pod nosem, ale żadne z nich nie odważyło się przeciwstawić Ojcu Vorcienowi.

– Dobrze – oznajmił Demir. – W takim razie przejmę dowództwo. Będę potrzebował bezpośredniej linii łączności z tymi nowo przybyłymi batalionami kawalerii. Za godzinę dostarczę wam resztę moich żądań. Supi, mogę cię prosić na chwilę?

Patriarcha Magny obrzucił towarzyszy zdziwionym spojrzeniem, po czym podniósł z krzesła swe szczupłe ciało i podążył za Demirem w najdalszy kąt sali. Gdy Demir odwrócił się do niego, Supi miał sztywne ramiona i uniesiony podbródek.

– Jak mniemam, masz jakieś wieści dotyczące dochodzenia w sprawie incydentu w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej, tak? – zapytał cicho Demir.

Wyglądało, jakby to pytanie zaskoczyło Supiego.

– Dochodzenie? Minęły zaledwie dwa dni, a jeden z nich poświęciłem na walkę z tymi przekłętymi zamieszkałymi. Spłonęła połowa huty. Nadal nie odnaleziono więźniów, którzy uciekli do lasu! Chcę... – Spojrzał w stronę współtowarzyszy i zniżył głos. – Chcę

przeprowadzić pełne dochodzenie, z użyciem szkła dyscypliny, i uzyskać od was jakieś odpowiedzi.

Demir wiedział, że nie może poddać się przesłuchaniu, ale dobra wiadomość była taka, że Supi podsunął mu właśnie doskonały pomysł tłumaczący zniknięcie Thessy, mogła przecież zbiec wraz z pozostałymi więźniami. Wiedział również o dokumentach przechowywanych przez Filura Magnę. Nie miał ich fizycznie, ale sama wiedza o nich dawała mu niezłe pole do manewru. Zbliżył się o pół kroku do Supiego i przytknął mu palec pod brodę.

– Posłuchaj mnie uważnie – wyszeptał. – Wiem, co wyprawiałeś w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej. Wiem o szkle strachu i o twoich przekrętach podatkowych. Od chwili, gdy twoja wnuczka oddała mi swoje udziały, zacząłem zadawać pytania. Gdy skonfrontowałem się z Filurem, zaatakował mnie, więc musiałem się bronić. To jego durni strażnicy wzniecili pożar. Co prawda przypadkowo, ale nie ja jestem za niego odpowiedzialny. Jeśli chcesz, żebym powtórzył to wszystko na przesłuchaniu z użyciem szkła dyscypliny, to z chęcią to zrobię.

W oczach Supiego pojawił się błysk, prawdopodobnie strachu, i mężczyzna jeszcze bardziej zeszywniał. Gdyby pozostali członkowie Wewnętrznego Zgromadzenia dowiedzieli się, jak bezczelnie zdeprawował kontrakt rządowy, odebraliby jego rodzinnej gildii wszystkie pozostałe. Demir nie czekał na odpowiedź Supiego, kontynuował, wiedząc, że musi wykorzystać przewagę, aby umiejętnie go zmylić.

– Jeśli więc chcesz, aby tajne księgi Filura pozostały tajne, jestem gotów puścić to w niepamięć. Nie chcę mieć nic wspólnego ze szkłem strachu, więc odsprzedam ci udziały Uliny..

– Jesteś niezwykle wspaniałomyślny – pisnął Supi.

– ...za dwieście procent – zakończył Demir.

Supi wybałuszył oczy, a jego pięści zaciskały się i rozwierały. W końcu skinął głową.

– I już nigdy nie wspomnisz o tym ani słowem?

– Nic a nic – obiecał Demir. – Przyjaciele? – Pozwolił sobie na niewielki uśmiech, ale sekundę później zastanowił się, czy nie posunął się za daleko. Supi zignorował jego wyciągniętą dłoń i wrócił do pozostałych. Demir odprowadził go wzrokiem, a potem

skierował się w stronę drzwi. – W ciągu godziny dostarczę wam kolejne żądania – rzucił.

W korytarzu nie było już żadnych gwardzistów, rozplynęli się niczym duchy. Ucieszył się na tę chwilę samotności i przetarł dłonią twarz, próbując pogodzić się z własną śmiertelnością i wyobrażając sobie, jak po raz kolejny poprowadzi wojsko do walki. To nie mogło się skończyć tak samo jak ostatnio. Nie mógł do tego dopuścić. Musiał zebrać się w sobie i starać się wytrwać, aż uda mu się wywiązać z powierzonego mu zadania. Jeśli tego nie zrobi, zarówno żołnierze, jak i cywile będą ginąć w tysiącach.

– Szklanić to! Idę się odstresować – powiedział w głąb pustego korytarza. – A potem przejmę dowództwo nad Legią Cudzoziemską i zmierzę się z najlepszą strategką na świecie. Szykuje się niezła impreza.



Thessa wpatrywała się w ciemny sufit hotelowego apartamentu, próbując oswoić się z wydarzeniami ostatniego tygodnia i nagłymi zmianami, jakie zaszły w jej życiu. Od ataku na Grent po współpracę z patriarchą ossańskiej rodzinnej gildii – wszystko to przyprawiało ją o zawrót głowy. Smutek mieszał się z radością. Raz ścisnął się jej żołądek, gdy odtwarzała w myślach śmierć Axia lub próbowała pogodzić się z niespodziewanym brakiem Kastory, a po chwili chichotała, czując, jak jedwabna pościel przyjemnie ociera się o jej nogi.

Z całych sił starała się skupić na tym ostatnim. Mogła przywyknąć do hotelowego apartamentu, świetnej restauracji na parterze oraz małej, ale dobrze wyposażonej huty szkła w ogrodzie. Tuż po wyjeździe Demira udała się do kuchni po filiżankę herbaty, lecz została uprzejmie odprawiona przez portiera, który poinformował ją, że za piętnaście minut przyniesie jej gorący napor do pokoju. Tak też zrobił, nakrywając do stołu w jej saloniku, rozkładając porcelanową zastawę do herbaty wraz z kanapkami i ciasteczkami, mimo że było już po pierwszej w nocy.

Taki poziom luksusu sprawiał, że czuła się trochę nieswojo, ale mając świadomość, iż podobne zasady panowały również w domu mistrza Kastory, wiedziała, że szybko się do tego przyzwyczai, a może nawet od tego uzależni. Była to kolejna niepokojąca myśl. Kastora stwierdził kiedyś, że prawdą jest, jakoby luksus zmiękczał ludzki charakter, po co jednak ma tracić czas na samodzielne parzenie herbaty, skoro dziesięć minut pracy jego rąk przy hutniczym piecu może zapewnić mu zakup całego statku herbacianych liści.

Wspomnienie o nieżyjącym już mistrzu sprawiło, że do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je pościelą i zrobiła głęboki, niepewny wdech. Jak dużo czasu minie, nim oswoi się z jego stratą? Nadal miewała koszmary związane ze śmiercią rodziców, choć nie była jej świadkiem. Widziała za to agonię Axia. Czy już do końca swych dni, zamykając oczy, będzie prześladowana przez ten widok? Nie wspominając o sposobie, w jaki Demir zabił dwójkę egzekutorów, ani wepchnięciu rzemieślnika Magny do pieca.

Próbowała odsunąć od siebie te wspomnienia, wierząc się w łóżku z prawej na lewo. Która mogła być godzina? Druga? Trzecia? W hotelu panowała cisza, a miasto wydawało się spokojne. Przez moment rozważała pójście na spacer, ale czające się widmo wysłanników Magny skutecznie ją od tego odwiodło. Co by jej groziło, gdyby odkryli, gdzie się znajdowała? Co by się stało, gdyby przed hotelem czekali na nią egzekutorzy?

Podniosła się w końcu i przeszła przez pokój do biurka, zabierając z niego notatki dotyczące schematów portalu feniksa. Zapaliła lampę gazową nad łóżkiem, przeglądając je powoli i analizując po raz setny.

Był to niezwykle wymagający projekt, nie tylko ze względu na towarzyszącą mu presję związaną z kończącymi się zasobami żaropiachu. Dysponowała zaledwie jednym kawałkiem szkła błysku, co oznaczało wyłącznie jedną próbę. Musiała nie tylko naprawić prototyp, ale i go ulepszyć. Sprawić, że projekt Kastory i Adrianie nie będzie wymagał kilku wozów z drewnem do naładowania zużytego kawałka szkła.

Sięgnęła po ołówek przyniesiony z huty i zapisała parę słów na hotelowej papeterii: energia, węgiel, gaz, drewno, ropa. Uderzała

nim delikatnie o policzek, starając się oczyścić umysł z nagromadzonego chaosu i skupiając się w pełni na zadaniu. Źródło energii nie było ważniejsze od samego portalu, ale i tak wymagało rozważań. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w papier z pięcioma słowami, zanim odłożyła go na bok i oparła czystą kartkę o kolano.

Z zadumy wyrwało ją ciche pukanie do drzwi. Thessa odczekała jakiś czas, zastanawiając się, czy sobie go nie wyobraziła, aż dźwięk się powtórzył. Włożyła szlafrok i podeszła do wizjera. Ku jej zaskoczeniu stał tam Demir, ubrany dokładnie tak samo jak kilka godzin temu, kiedy opuszczał hotel w towarzystwie Gwardii Zgromadzenia. Wyglądał na skupionego, choć wyczerpanego.

– Wejść, proszę – powiedziała, otwierając mu drzwi.

– Podpisałem umowę. Breenen przekaże ci rano jej kopię – rzekł, gdy tylko przestąpił próg. Widać było, że myślami jest gdzieś daleko.

– Och! Dziękuję.

Stali przez moment w milczeniu, po czym Demir odezwał się ponownie.

– Jest trochę... niezręcznie.

Thessa poprawiła szlafrok, aby nie odsłaniać zbyt wiele ciała.

– Uważasz, że przesadziłam, proponując wspólne wypicie butelki wina? – szepnęła. – Nie miałam na myśli seksu, tylko... To znaczy... – Zdała sobie sprawę, że bełkocze, więc przełknęła głośno, przypominając sobie, jak mało spała w ciągu ostatniego tygodnia. Wnioskując po zdziwionej twarzy Demira, chodziło mu o coś zupełnie innego.

– Hm – zaczął, a jego początkowe zaskoczenie zmieniło się w zdystansowanie. – Nie o to mi chodziło. Seks bywa niezręczny tylko wtedy, gdy do tego dopuścimy. Właśnie chciałem ci powiedzieć, co jest niezręczne.

Thessa otuliła się rękoma, starając się przyjąć swobodną postawę.

– W takim razie zamknę się i pozwolę ci mówić.

Zrobił kilka kroków w głąb apartamentu, a następnie jakby się rozmyślił i wrócił na próg.

– Grenckie wojska odwróciły bieg wojny, odnosząc kilka godzin temu potężne zwycięstwo, a następnie dokonując zamachu

na najważniejszych oficerów Legii Cudzoziemskiej. Wewnętrzne Zgromadzenie jest wstrząśnięte, a ogromna armia zmierza teraz na praktycznie niechronioną Osseę.

Thessa zakryła usta dłonią. Nie pomyślałaby nawet, że Imperium mogłoby przegrać wojnę z Grentem. Mimo że grenckie miasto-państwo nie było zupełnie bezbronne, posiadało w końcu bogactwo, władzę i rozsiane po świecie kolonie, stanowiło zaledwie cień Imperium Ossańskiego. Zdała sobie wtedy sprawę, że coś się w niej zmieniło: przestawiła się z grenckiej hutniczki na ossańską prowincjuszkę i zaczęła postrzegać wojnę w kategoriach „my” i „oni”, przy czym „my” odnosiło się do obywateli Ossy. Natychmiast zalała ją fala wstydu. Jak mogła z taką łatwością odrzucić swoich przybranych rodaków?

– Będziemy musieli się ewakuować? – zapytała.

– Nie to mam na myśli, mówiąc, że jest niezręcznie. – Demir wpatrywał się w jej nagie nogi, a ona nie mogła stwierdzić, czy je podziwia, czy może jest aż tak pochłonięty myślami, że nie zdaje sobie sprawy, gdzie patrzy. – Niezręcznie jest to, że Wewnętrzne Zgromadzenie powierzyło mi dowództwo nad tym, co pozostało z Legii Cudzoziemskiej. Muszę natychmiast udać się na front i za wszelką cenę spowolnić natarcie grenckich wojsk. To oznacza, że będę walczył i zabijał twoich rodaków. Uznałem, że może to stanowić pewien problem w kwestii naszego nowego partnerstwa.

Thessa podeszła do znajdującego się w salonie stołu, na którym stały zimna już herbata i resztki czerstwych kanapek. Opadła na krzesło.

– Naprawdę się tym przejmujesz?

– Oczywiście, że tak – odparł Demir, wyraźnie zaskoczony. – Zaprosiłem cię do mojego domu, podpisałem z tobą umowę biznesową. Nie było między nami nic, realnego czy domniemanego, co obejmowałoby zabijanie twych pobratymców.

– Rozumiem. – Sięgnęła po ciasteczko leżące na tacce i ugryzła je bezwiednie. Ulżyło jej, że niezręczność, o której mówił, nie dotyczyła tamtych spraw, ale Demir miał rację, twierdząc, że nowa sytuacja wprowadza jakiś niesmak do ich partnerstwa. Przyjrzała mu się badawczo. – Jesteś prawdziwym generałem?

Demir zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał w kąt, wbijając w niego odległy wzrok.

– Wiele lat temu, gdy aktywnie uczestniczyłem w ossańskiej polityce, przeprowadziłem bardzo udaną kampanię. Stawia mnie to w dość niefortunnej sytuacji, bo jestem obecnie najbardziej kompetentną osobą do obrony Ossy.

– Co byś zrobił, gdybym uznała, że mi to przeszkadza? – spytała z czystej ciekawości Thessa. W rzeczywistości przeszkadzało jej to dużo mniej, niż mogłaby się tego spodziewać.

– Nie wiem – odrzekł Demir. – Portal feniksa jest częścią dziedzictwa mojej matki i sposobem na przywrócenie dawnej chwały rodzinnej gildii Grappów. Z drugiej strony dysponuję pewnymi umiejętnościami, które mógłbym zaoferować moim rodakom. Nie wiem, czy potrafiłbym biernie przyglądać się ginącym Ossańczykom.

Thessa przyjrzała się jego twarzy. Rozpaczliwie chciała pomagać innym. Chronić ich. Była to niezwykła cecha jak na patriarchę rodzinnej gildii i tancerza szkła.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała pod wpływem impulsu.

– Tak?

– Nie jestem z Grentu.

Kompletnie zbiło go to z tropu, choć dobrze to ukrywał.

– Naprawdę?

– Jestem ossańską prowincjuską. W wieku trzynastu lat zostałam sierotą, a Kastora wziął mnie pod swoje skrzydła, więc w pewnym sensie stałam się obywatelką Grentu. Ale się tam nie urodziłam.

– Eee... W sumie, jak się teraz nad tym zastanowię, to nie masz zbyt mocnego grenckiego akcentu.

– Pewnie z tego powodu. – Rozłożyła ręce. – Grent to moja przybrana ojczyzna i świadomość, że wyruszasz tam, by zabijać ludzi, trochę mnie niepokoi, lecz portal feniksa jest dla mnie ważniejszy. Nie pozwolę, aby wojna stanęła pomiędzy nami.

Demir westchnął głośno.

– To dobrze – oświadczył z wyraźną ulgą. – Dobrze. Dobrze. Dobrze wiedzieć, bo ja... Powinnaś się trochę zakryć.

Thessa owinęła się ciaśniej i przewiązała jedwabnym paskiem, by szlafrok zbyt nie się rozchyłał.

– Przepraszam – wyszeptła.

– Niezręcznie może być tylko wtedy, gdy do tego dopuścisz – przypomniał jej.

Wybuchnęli śmiechem, a Thessa pokręciła głową.

– Ostatnie kilka dni obfitowało we wzloty i upadki.

– Dobrze to ujęłaś – stwierdził z uśmiechem Demir. – Cieszę się, wiedząc, że ta sytuacja nie stanie pomiędzy nami. A tak na poważnie, to zmierzę się z najlepszą generałką na świecie i chcę, byś wiedziała, że zadbałem o twoje bezpieczeństwo. Montego jest moim następcą i poleciłem mu, aby chronił cię podczas mej nieobecności, a gdybym nie wrócił, ma dopilnować, żebyś ukończyła pracę nad portalem feniksa.

Thessa poczuła, jak opuszcza ją radosny nastrój.

– Och – rzuciła. – Możesz zginąć?

– Tak to już bywa na wojnach.

– To bardzo nieprzyjemna wizja.

– Dla mnie również.

Thessa przełknęła głośno. Powinna czuć ulgę, wiedząc, że zadbał o jej przyszłość, ale był obecnie jedną z najbliższych jej osób. Sama myślała, że może to być ostatni raz, kiedy go widzi, ogromnie ją przytłaczała. Zastanawiała się przez chwilę, jak to jest możliwe, że ktoś, kogo dopiero co poznała, może mieć na nią tak duży wpływ. Stała pogrążona w rozważaniach, gdy niespodziewanie Demir przeszedł przez pokój, pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta. Zrobił to niezwykle subtelnie i szybko, potem powiedział:

– Na szczęście.

– Na szczęście? – powtórzyła zdziwiona. Spoglądał na nią ze spokojem, ale gdy oderwała wzrok od jego oczu, dostrzegła drżenie jego ręki. Chwyciła za nią, przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Pozwoliła pocałunkowi trwać, a i on się przed tym nie wzbraniał. Jego usta smakowały chłodem nocnego powietrza, a tors kusił ciepłem, gdy do siebie przylgnęli. Kiedy w końcu się rozłączyli, powtórzyła: – Na szczęście. Dbaj o siebie, Demirze. Wróć cały i zdrow, byśmy mogli uczcić to butelką wina.

– Obiecujesz? – zapytał, uśmiechając się do niej.

– Obiecuję.

Demir z wyczuwalną nutką radości wrócił na próg, a Thessa czuła, jakby miała w tym swój udział. Cóż za przyjemna myśl.

– A, jeszcze jedno – dodał. – Gdybyś potrzebowała czegoś do swojego projektu, Breenen zapewni ci niezbędne fundusze.

– Dziękuję.

Obserwowała, jak wychodzi na korytarz, po czym odwraca się, żeby zamknąć drzwi. Zatrzymał się na chwilę, zmarszczył brwi i spytał:

– Może to dziwnie zabrzmie, ale jak zginęli twoi rodzice?

Po raz kolejny poczuła, jak ulatuje z niej radość.

– Czy to ważne?

– Być może nie.

Spuściła wzrok na dłonie, zastanawiając się nad tym pytaniem, zanim na nie odpowiedziała.

– Prawie dziesięć lat temu wybuchło na prowincji powstanie. Stłumili je, więc pewnie nigdy o tym nie słyszałaś. Moi rodzice przebywali w Holikanie, gdy miasto zostało splądrowane przez Legię Cudzoziemską. Zginęli wraz z większością mieszkańców.

Coś w twarzy Demira się zmieniło. Nie było to nic wyrazistego, więc Thessa uznała, że pewnie to sobie ubzdurzyła, ale wyglądało to, jakby wszystkie mięśnie momentalnie zwiotczały, a oczy straciły dawny blask. Skinął gwałtownie głową.

– Muszę już iść – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Thessa sięgnęła do tacy po kolejne ciastko, odsuwając od siebie tę dziwną myśl i wsłuchując się w oddalające się kroki. Zaczęła nucić pod nosem, starając się powstrzymać odurzającą radość. Demir wybierał się właśnie na wojnę, na której mógł zginąć. Nie dało się jednak ukryć, że coś się między nimi rodziło. Oboje o tym wiedzieli. I jeśli – nie, kiedy – wróci, Thessa zamierzała oddać się temu uczuciu. Kastora mówił, że w życiu można mieć „miłość, pieniądze lub władzę”. A co, jeśli jest szansa na wszystkie trzy?

Uśmiechnęła się do siebie i wróciła do przeglądania nadal leżących na jej łóżku notatek. Była zbyt podekscytowana, by zasnąć. Musiała się podszkolić, aby jak najlepiej przygotować się do porannej pracy nad portalem feniksa.



ROZDZIAŁ 35

Idrrian wsparł się o tarczę i, zarzuciwszy miecz na ramię, przyglądał się, jak ostatni ze Stalowych Taranów mozolnie przekraczają bramę miasta. Wśród nowo przybyłych nie toczyły się żadne rozmowy, nosili jednak na twarzach ślady ponurej determinacji, przełamanej gdzieś przez nerwowe spojrzenia, poszukujące oznak nieuchronnego nadejścia wroga. Braileer stał za Gromicielem, taszcząc dwa plecaki i niemalże zasypiając na stojąco.

Słońce zawisło nisko nad wschodnim horyzontem, a od ich miazdzącej kłęski minęło niespełna piętnaście godzin. Ubiegłą noc wypełniały katastrofalne błędy w logistyce i komunikacji oraz towarzyszący temu brak właściwych struktur dowodzenia i niezgranie wśród oddziałów, którym udało się uciec przed napaścią grenckich wojsk. Świt nie przyniósł ukojenia, a jedynie grenckich dragonów i najemnych harcówników Kerite, nękających ariergardę i spychających Ossańczyków z Miedzianych Wzgórz ku równinom okalającym stolicę.

Mieli się zebrać w Forcie Bryce, jednej z potężnych fortec stanowiących pierścień obronny wokół Ossy, ułożonej po

przeciwnej stronie od Bingham. Idrian mógł wychwycić w podmuchach wiatru niosące się odgłosy przerywanych wystrzałów z muszkietów, świadectwo grenckiej ofensywy, i zastanawiał się, gdzie podziewają się żołnierze stacjonujący w forcie. Dlaczego nie wysłano jeszcze garnizonu?

Odczekał, aż wszyscy wejdą do miasta, i rozejrzał się w poszukiwaniu Tadeasa. Pierwszą dostrzegł Mikę. Siedziała w ciszy, z załzawionymi oczami i wolno poruszała ustami, licząc swych inżynierów wśród żołnierzy piechoty.

– Kiedy po raz ostatni widziałeś Tada? – zapytał.

– Kilka godzin temu. Powinien być gdzieś na przedzie wraz z Valientem.

Idrian podziękował skinieniem głowy i opadł tuż obok niej. Oparł się chęci ponownego założenia hełmu, wiedząc, że przyprawi go to jedynie o ból głowy. Jego ciało zaczynało już odczuwać nadmiar rezonującej w nim magii, co objawiało się żółtymi łuskami na jego dłoniach. Nawet Odporny nie powinien tak długo wystawiać się na działanie tak dużej ilości szkła bożego. Musiał zrzucić z siebie zbroję chociaż na kilka godzin. Zastanawiał się, co ich ostatecznie wykończy: wyczerpanie czy zniszczone morale. W swej wieloletniej karierze wojskowej nie doświadczył gorszej porażki. Przeciwnik w ciągu zaledwie kilku godzin rozgromił na otwartym pobojowisku trzy najlepsze ossańskie brygady i osławioną Legię Cudzoziemską. Czy Kerite była aż tak dobra? A jej żołnierze aż tak świetnie wyszkoleni?

Unióśł głowę, dostrzegając stojącego nieopodal Tadeasa, który wykrzykiwał ochryplym głosem rozkazy do dziesiątek żołnierzy, żołnierzy i cywili. Tutaj, bliżej centrum miasta, ulice wypełniali mieszkańcy Ossy, próbujący przewieźć cały swój dobytek w jakieś bezpieczne miejsce. Wyglądało to tak, jakby wszyscy się o coś sprzeczali, a na lewo od Idriana wybuchła bójka. Zignorował ją, czując się zbyt zmęczonym, żeby przemówić tym idiotom do rozsądku.

Mika przepchnęła się przez tłum w poszukiwaniu męża, a Gromiciel czekał na obrzeżach, aż dostrzegł go Tadeas i przywołał gestem do siebie. Grappo wyglądał na równie wykończonego co Idrian. Miał rozdarty mundur, którego zakrwawione brzegi

ukazywały ranę odniesioną minionej nocy, a czerwono-białe łuski szklanego trądu na policzkach świadczyły o tym, że przeżył jedynie dzięki magii.

– Dowiedziałem się, dlaczego komunikacja nawaliła – przywitał go Tadeas, odsuwając od siebie rozwścieczonego autochtona. Tubylec zaczerpnął głęboko powietrza, gotów wyrzucić się na Grappa, ale na widok zbliżającego się Idriana popuścił w portki, wydając przy tym dźwięk przypominający pierdnięcie woła, po czym szybko się oddalił.

– Co się stało? – zagadnął Idrian.

Tadeas wskazał na skraj ulicy.

– Po porażce Stavri wraz z całym sztabem, czyli urzędnikami wysokiego szczebla, wycofał się do Klubu Binghamskich Awanturników, znajdującego się właśnie tam. Uznali, że to dobre miejsce do przeczekania, aż ich żołnierze przedrą się do punktu zbornego...

– Cholerni tchórze.

– ...i zarznął ich wszystkich tancerz szkła z Grentu.

Idrian opuścił głowę i zaklął pod nosem. Momentalnie wrócił mu ból głowy, a cienie przemykające na skraju pola widzenia przybrały wyraźniejsze kształty. Śmiech dziecka odbił się echem od okna kamienicy tuż nad jego głową.

– Wszystkich? – szepnął.

– Nikt nie ocalał. Ani jednego świadka. – Tadeas rozejrzał się dookoła. – W mieście panuje przerażenie, a nasze wojska napływają tu od wczorajszego wieczoru. Dodatkowo nie wyglądamy zbyt radośnie, a to nie pomaga.

– Mają świadomość, że grencka armia depcze nam po piętach? – zapytał cicho Idrian.

– Pewnie coś przypuszczają. W końcu słychać tu wystrzały, a niecałe dwa kilometry stąd zauważono formacje kawaleryjskie. Plotki rozprzestrzeniają się niczym niekontrolowany ogień. Jedynym powodem, dla którego sytuacja nie przedstawia się jeszcze gorzej, jest to, że setki ludzi uciekły w nocy, dowiedziawszy się o naszej porażce. To, co się tu stało, może kosztować Sammi Stavri miejsce w Wewnętrznym Zgromadzeniu.

– Szklanić Sammi Stavri! Bardziej ciekawi mnie, gdzie jest garnizon z Fortu Bryce. Dlaczego wsparcie nie nadchodzi?

– Nie mam pojęcia. Wysłałem już ludzi, by to zbadali.

Idrian spojrzął w stronę Klubu Binghamskich Awanturników. Przed wejściem do budynku stała garstka gwardzistów, nerwowo obserwujących wypełnione tłumem ulice, bez wątpienia zastanawiając się, jak, do cholery, wydostaną się z miasta przed przybyciem grenckiej armii. Jego błędzący wzrok przykuła siedząca na koniu żołnierka, przedzierająca się przez rozgardiasz i okładająca lufą muszkietu każdego, kto się do niej zbliżył. Gdy dotarła do Idriana i Tadeasa, zapodziała już gdzieś kapelusze i była cała spocona. Jej koń tańczył nerwowo, przewracając oczami. Kobieta zsiadła z niego i zbliżyła się do nich, mocno trzymając za uszę.

– Jesteś najwyższym rangą oficerem w Bingham? – zapytała.

– Tak mi się wydaje – odpowiedział Tadeas. – Z tego, co wiem, kilku oficerów rozproszyło się na północ i południe, ale tu jestem tylko ja. Jeśli chcesz pogadać z kimś ważniejszym, musisz udać się do Fortu Bryce.

– Jestem z Fortu Bryce – oznajmiła żołnierka. – Pułkownik Wessen rozkazał, żebyście wycofali się w głąb fortu, gdzie będziecie mogli się bezpiecznie przegrupować.

– Od kiedy to pułkownik garnizonu wydaje rozkazy Legii Cudzoziemskiej? – zażądał wyjaśnień Idrian, gestem wskazując na otaczające ich zakorkowane drogi. – Ci ludzie potrzebują kogoś, kto nimi pokieruje, a jeśli my tego nie zrobimy, to będziemy mieć na rękach krew tysiąca osób, nawet jeśli jedyne, co robią grenckie wojska, to podsycanie paniki.

– Pułkownik Wessen... – zaczęła posłańczyni.

Idrian przerwał jej.

– To wasz obowiązek. Dlaczego nie ma tu garnizonu organizującego całe to cholerne zamieszanie i zapewniającego nam jakieś wsparcie? Dlaczego nie...

Idrian poczuł szarpnięcie i spojrzął w dół, dostrzegając Tadeasa trzymającego go za napierśnik.

– Uspokój się – wysyczał Tadeas. – Nasze struktury dowodzenia nie działają, kończy nam się amunicja, Mika

wykorzystała już prawie wszystkie granaty. Jedyne, co możemy zrobić, to się, szklorwa, wycofać, albo Grent nas zmiażdży.

– Nie zostawię tych ludzi na pewną śmierć.

– Kerite nie słynie z brutalności.

– Powiedz to purnijskim rewolucjonistom – burknął Idrian.

– Nie jesteśmy w Purnii, nie jesteśmy jakąś tam powstańczą kolonią. Z pewnością grencka piechota złupi cały dobytek tych ludzi, ale Kerite zyska o wiele więcej, zapędzając wojska z Grentu do Ossy, aby wywołały chaos, a nie by zabijać. Jeśli rozkazują nam wycofać się, tak właśnie musimy zrobić.

Idrian wyrwał się z uścisku Tadeasa, starając się zapanować nad wściekłością. Był wyczerpany, kręciło mu się w głowie i ledwo co trzymał się na nogach, a jakiś dowódca fortu próbował wydawać mu rozkazy? Jak ci dranie w czystych butach śmieli mu cokolwiek rozkazywać? Odszedł na kilka metrów, żeby się uspokoić. Rozkazy powinny nadejść z Ministerstwa Legionów. Kto tym wszystkim dowodził? Z tego, co kojarzył, Maj Madoloc z okazji święta przesilenia na cały miesiąc wyjechał z kraju. Idrian ponownie pokręcił głową, starając się ją oczyścić. Gdy wrócił, Tadeas zdążył już odprawić posłańczynię.

– Nie mamy wyboru, Idrianie – stwierdził. Jego również nie cieszyła ta wizja i Idrian wiedział, że wydanie tego rozkazu sprawi mu ogromny ból. – Nie damy rady stawić czoła Kerite, dopóki się nie przegrupujemy.

Gromiciel wziął głęboki oddech. Tad miał rację. Jak zawsze. Niech go szkło trafi.

– W takim razie powinniśmy jak najszybciej się stąd ulotnić, nim wybuchnie prawdziwa panika – odezwał się Idrian, gdy zebrał już siły. – Gdzie jest Valient?

– Jest tuż za rogiem. Ja... – Wypowiedź Tadeasa przerwały dobiegające z zachodu krzyki. Dokładnie z tej samej strony, z której wcześniej przybył Idrian. Rozległa się seria wystrzałów z muszkietów, co ponownie podniosło Gromicielowi ciśnienie, gdyż poczuł, jak przez ulice przepływa fala paniki.

– Szklorwa mać! Nadciągają harcownicy – zaklął Idrian. – Starają się wpędzić wszystkich w popłoch, a jak widać, nie ma tu garnizonu gotowego nam pomóc. Teraz to się dopiero wkurwiłem! –

Wcisnął hełm na głowę. Posypał się grad pocisków, padały teraz jeszcze szybciej i wścieklej. Wydawało mu się, że usłyszał też grzmot zbliżającej się kawalerii. Dragoni. Jeszcze lepiej. – Zabierz wszystkich z Bingham – powiedział do Tadeasa. – Zrobię, co w mojej mocy, by ich powstrzymać. A potem spotkamy się na wschodzie.

– Szklanic to! – huknął Tadeas. – Będziemy osłaniać ci tyły. Valient! Mika!

Idrian się nie sprzeciwiał. Uniósł miecz w stronę setek wpatrzonych w niego, przerażonych oczu i przemówił z całą stanowczością, na jaką było go stać.

– Z drogi, gnojki! Taran musi zabić kilku najemników.

Odpowiedzią tłumowi na jego wrzask był mało przekonujący wiwat, ale ludzie rozstąpili się, torując mu drogę, gdy pędził na zachód. Wyciągnął szyję, zatrzymując się na moment, aby zorientować się w panującej sytuacji i ocenić, z jak dużą grupą będzie musiał się zmierzyć. Strzały stały się jakieś gorączkowe, a następnie ucichły. Nie słyszał już stukotu kopyt.

Kilka przecznic dalej zakorkowane ulice powoli się oczyszczały, aż w końcu ruch uliczny praktycznie zanikł, gdy Idrian dotarł do porzuconych wozów i bagaży osób, które uciekły przed odgłosami zbliżającej się walki. Choć droga była pusta, uważnie stawiał kroki. Jeśli miał zginąć w starciu z kompanią wroga, chciał zabrać kilku z nich ze sobą do grobu.

Ku jego zaskoczeniu pierwszy mundur, jaki zauważył, nie należał do nikogo z Grentu ani żadnego najemnika. Była to ossańska kirasjerka dosiadająca wspaniałego, wojennego konia, ubrana w czarny, nieco zakurzony, choć schludny mundur, stojąca w strzemionach i spoglądająca w dal. Idrian szybko do niej dołączył i zwrócił wzrok w tym samym kierunku, nie łudząc się już, że nadejdzie jakaś pomoc, kiedy dostrzegł dwa szwadrony kirasjerów szarżujące w ich stronę przez oddalone o dwie przecznice skrzyżowanie. Ich srebrne, wykonane ze szkła młota napierśniki połyskiwały intensywnie w porannym słońcu.

Stojąca obok niego kobieta nosiła złotą stójkę majorki. Opadła na siodło i przywitała go skinieniem głowy.

– Miło cię widzieć, Taranie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział z uśmiechem Idrian. – Ten widok raduje me serce. Ilu was jest?

– Batalion. Wystarczająco, by zdjąć wam z pleców harcowników. Stalowe Tarany są gdzieś w pobliżu?

– Tuż za mną – odparł Idrian. – Myśleliśmy, że tylko my oddzielamy cywili od grenckiej armii.

– Nie, bez obaw – zapewniła go. – Wydaje mi się, że będziecie chcieli spotkać się z moim dowódcą.

Idrian zamrugał ze zdumieniem.

– Myślałem, że wszyscy powyżej stopnia majora nie żyją.

Obdarzyła go uśmiechem.

– Zabrali oddział moich kirasjerów na pieszą wycieczkę do tamtej kamienicy – poinformowała, wskazując na sąsiednią przecnicę. – Ścigają kilku wrogich harcowników.

– Potrzebuje pomocy?

– Wątpię.

W odpowiedzi Idrian zmarszczył czoło i ruszył we wskazanym kierunku. Dopiero po kilku krokach zauważył, że podąża za nim Braileer, dźwigając ich plecaki. Idrian polecił mu, aby poszedł odszukać Tadeasa. A gdy młodzieniec się wycofał, rozległ się wystrzał z pistoletu, a następnie odgłos tłuczonego szkła. Idrian uniósł wzrok i dostrzegł, jak szyba w oknie na pierwszym piętrze niespodziewanie znika, zupełnie jakby jakaś tajemnicza siła wessała ją do wnętrza pomieszczenia. Tancerz szkła. Przyjaciel czy wróg? Nie musiał zbyt długo czekać na odpowiedź, gdyż nadeszła ona w postaci ciała najemnej harcowniczki wylatującego przez okienną framugę i lądującego na ziemi kilka metrów od Idriana. Miała martwe spojrzenie i duży odłamek szkła wbity w pierś.

Chwilę później ponownie rozległa się salwa wystrzałów i jakieś krzyki. Kolejna roztrzaskana, wessana do wnętrza budynku szyba. Potem nastąpiła cisza. Idrian odwrócił się do majorki kirasjerów.

– Kim jest ten tancerz szkła? – zawołał.

Wskazała na kogoś stojącego za nim, a kiedy Idrian ponownie zwrócił się twarzą do kamienicy, zobaczył, jak z budynku wybiega gromadka małych dzieci, a za nimi pieszo podążają kirasjerzy. Widok męczyzny wyłaniającego się zza tłumu zszokował go

bardziej niż wczorajsza przegrana, gdyż mógłby założyć się o własne życie, że już nigdy nie zobaczy Demira Grappa w ossańskim mundurze. Uniform był nadgryziony przez mole i zwisał z młodego Grappa, jakby skroił go w pośpiechu jakiś kiepski krawiec.

– Idrian! – zawołał Demir. – Jak dobrze cię widzieć.

– Demir?

– Dla ciebie „Generał Grappo”, Taranie – odrzekł z uśmiechem Demir.

Idrian wpatrywał się w niego, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Nagle coś do niego dotarło i zanim zdążył się powstrzymać, palnął:

– O szklorwa! Jesteś najbardziej wykwalifikowanym oficerem, jaki pozostał w Ossie, co nie?

– Tak, dopóki Hammish Kirkovik albo Maj Madoloc nie wrócą z prowincji – rzucił Demir. Wskazał na kirasjerów, którzy przyprowadzili już konie i zaczęli eskortować grupę dzieci do centrum miasta. Grappo skinął na nich głową. – W kamienicy znajdował się prowizoryczny sierociniec. Ich opiekun, cholerny tchórz, uciekł w środku nocy, a ci najemnicy próbowali użyć maluchów jako żywych tarcz.

– Rozumiem, że nie skończyło się to dla nich zbyt dobrze.

– A żebyś wiedział. – Pomimo niemal żartobliwego tonu w oczach Demira widać było złość.

Idrian zbliżył się do niego o krok. Według zasad Gromiciel nie powinien pozwalać sobie na taką poufałość w stosunku do generała, ale szklanić to, Demir był dla niego prawie jak przybrany bratanek.

– Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiedział Demir. – Nic nie jest w porządku. Już prawie zginąłem w tym tygodniu, a teraz muszę dołożyć wszelkich starań, aby zebrać to, co pozostało z Legii Cudzoziemskiej, i stawić czoła szkłolernej Devii Kerite. Zamierzam... – Przerwał, wbijając wzrok w punkt nad głową Idriana. Gromiciel odwrócił się i dostrzegł niebiesko-zielony mundur wrogiego żołnierza na dachu sąsiedniej kamienicy. Harcownik uniósł strzelbę dokładnie w momencie, gdy w oknie na poniższym piętrze roztrzaskała się szyba. Szarpnęło nim, gdy przygwoździł go gruby i długi na ponad dwa metry kawał szkła.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zamrożonego w czasie, potem upadł, roztrzaskując szklany kolec ciężarem swego ciała.

Idrian odwrócił się z powrotem do Demira. Żyła na czole młodego Grappa pulsowała gwałtownie. Demir przytknął do niej palec i kontynuował.

– Zamierzam zebrać Legię Cudzoziemską w Forcie Bryce, a potem zastanowić się, co, szklorwa, zrobić z Kerite. Przyrowadź do mnie Tadeasa.

– Stalowe Tarany były tuż za mną – oświadczył Idrian. – Powinni zjawić się tu lada chwila.

– Doskonale.

– Otrzymałeś moją przesyłkę? – spytał Idrian, rozglądając się dookoła, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. Nie mieli ze sobą żadnego kontaktu, od czasu gdy zostawił szkło błysku w Hiacyncie.

Demir skinął gwałtownie głową.

– Tak. Protegowana Kastory zabrała się już do pracy i używa go do odtworzenia jego dzieła.

Idrian odetchnął z ulgą. Przynajmniej coś poszło zgodnie z planem. Jeśli przeżyje tę wojnę, może będzie na niego czekać przyszłość pozbawiona szaleństwa. Przyjrzał się Demirowi, po czym spuścił wzrok, dostrzegając drżące opuszki palców mężczyzny. Gromiciel zajrzał badawczo w oczy Grappa i zauważył rozszerzone źrenice oraz przekrwione białka. Zdał sobie sprawę, że Demir nie był zły, był przerażony i chciał to ukryć pod osłoną wściekłości. Złamie go to?

Idrian usłyszał Tadeasa wykrzykującego rozkazy gdzieś na pobliskiej ulicy i skierował uwagę Demira w tamtym kierunku. Grappo skinął głową, zacisnął zęby i w ułamku sekundy zupełnie zmienił wyraz twarzy, jakby nakładając niewidzialną maskę. Z jego oczu znikło przerażenie, palce przestały drżeć. Idrian po raz kolejny przyjrzał mu się z uwagą, próbując pojąć, co może siedzieć w głowie Demira. Czy był na tyle silny, by poradzić sobie z tym, co nieubłagalnie nadchodziło? Kto siedział w jego głowie? Demir, który załamał się w Holikanie, czy Książę Błyskawic?



Stwierdzenie, że Fort Bryce był ruiną, było zarówno niesprawiedliwością, jak i niedopowiedzeniem.

Demir stał w gabinecie dowódcy fortu, spoglądając przez okno w kierunku Miedzianych Wzgórz, gdzie przez zakorkowane drogi przedzierały się tłumy rolników i mieszczan, desperacko starających się uciec od grenckiej armii i ich najemników prosto w opiekuńcze objęcia Ossy. Zastanawiał się, co zrobiliby ci biedni ludzie, gdyby powiedział im, że te opiekuńcze objęcia są w rzeczywistości iluzją; że z Legii Cudzoziemskiej pozostały jedynie strzępy; że obronnym fortom brakuje amunicji i właściwej konserwacji; że Wewnętrzne Zgromadzenie ma świadomość, iż trwająca już od tygodnia wojna jest niczym więcej niż katastrofalną pomyłką.

Oczywiście nie mógł tego nikomu zdradzić. Nie mógł w żaden sposób wyjawić swych wątpliwości, aby przez jego zachowanie lub plotki nie wpłynęły one na zwykłych żołnierzy. Z pewnością mieli już dość własnych, tym bardziej po tym, jak Legia Cudzoziemska doświadczyła jednej z największych porażek stulecia. Zadaniem

Demira było przywdzianie maski pewności siebie, ukrywającej wszelkie zwątpienie dotyczące nowej roli jako dowódcy oraz prywatnych rozterek czających się niebezpiecznie w jego głowie. *Thessa była holikańską sierotą*. Wybawicielka rodzinnej gildii Grappów; nowa partnerka biznesowa; kobieta, z którą flirtował – okazała się ofiarą jego życiowej kłęski. Gdy tylko wszystko wyjdzie na jaw, wszelkie jego poczynania legną w gruzach.

Wyrzucił te myśli z głowy i odwrócił się do pułkownika Wessena, dowódcy fortu. Wessen był pięćdziesięcioletnim mężczyzną przypominającym mysz. Ścisnął nerwowo dłonie i nieustannie poprawiał zsuwające mu się z nosa okulary. Miał pociągłą twarz i garbił się tak bardzo, że zdawało się, iż jego ciało pozbawione jest ramion i podbródka. Mimo niepozornego wyglądu nie był tchórzem. Był po prostu... nieodpowiednio przygotowany.

– Wszystkie forty są w takim stanie? – zapytał Demir.

– Tak, panie – odparł cicho pułkownik Wessen.

Zakończyli właśnie półgodzinną inspekcję potężnej twierdzy wchodzącej w skład fortu obronnego, zbudowanego na planie gwiazdy, i Demir stwierdził, że Ojciec Vorcien miał absolutną rację: mury kruszyły się, broń była przestarzała, załoga otyła i źle wyposażona. Nawet potężne ziemne wały, stanowiące pierwszą osłonę przed artylerią wroga, były zarośnięte i skorodowane, a głównej fosy nikt nie pogłębiał od dziesięcioleci.

– Bardzo mi przykro, panie – kontynuował pułkownik Wessen. – Od kiedy pamiętam, musieliśmy ograniczać wydatki i na wszystkim oszczędzać, starając się jedynie zapewnić naszym ludziom coś do jedzenia. Technicznie jesteśmy częścią Legii Cudzoziemskiej, ale nikt nie traktuje nas jak prawdziwych legionistów. Dostawy gdzieś giną, pensje nie przychodzą na czas, a ja...

– Czy pogłębienie fosy też wymaga funduszy? – spytał Demir.

– A może wykwalifikowanej siły roboczej, co?

– Nie, panie.

Demir przechadzał się z jednego końca gabinetu do drugiego. Gdyby Wessen żył na wysokim poziomie – miał udekorowane i wyperfumowane biuro oraz duży dom na pobliskim wzgórzu – Demir mógłby zakładać, że dopuścił się korupcji, i nie zawahałby się

rozerwać go na strzępy. Ale mundur pułkownika był jeszcze bardziej nadgryziony przez mole niż jego własny, pokój, w którym się znajdowali, był zakurzony, a gablotka na trunki pusta. Nie wyglądał na człowieka pławiącego się w luksusach i korzystającego w najlepsze z rządowej pensji, jak czyniła to większość ossańskich oficerów wyższego szczebla.

– Nie mam zamiaru pouczać cię w kwestii konserwacji fortu – stwierdził Demir, odwracając się twarzą do pułkownika. – Dobrze wiesz, na czym stoimy. Poprosiłem o kilka przysług. Capric Vorcien ma zorganizować ekipy rzemieślników i robotników gotowych pomóc ci w najróżniejszych pracach. Pierwsze posiłki dotrą już wieczorem i z marszu zabiorą się do działania, aby dokonać wszystkich niezbędnych napraw bastionu.

Pułkownik Wessen zamrugał z niedowierzaniem.

– Ale, panie, niektóre z tych napraw potrważą miesiące. I... i... czy nie powinniśmy się wycofać? Ten fort nie ma szans w starciu z grencką i najemną armią.

Demir splótł dłonie na brzuchu, eksponując dwa krzemowe tatuaże. Nie umknęło to uwadze pułkownika, który głośno przełknął.

– Wszystkie naprawy, które da się zrobić w krótkim czasie, zostaną wykonane. Jutro nadejdzie dostawa zapasów i nowych muszkietów. Będziecie działać, podczas gdy ja i to, co pozostało z Legii Cudzoziemskiej, pójdziemy na front i oddamy życie, aby spowolnić Kerite i jej grenckich zleceniodawców. Nie wycofamy się, Wessen. Nie mamy gdzie się wycofać. Rozumiesz? – powiedział Demir.

Pułkownik po raz kolejny głośno przełknął, a jego krtań podskakiwała komicznie w górę i w dół.

– Tak, panie.

– Tymczasem wraz ze swoimi oficerami będziesz musztrował garnizon do upadłego. Ćwiczenia artyleryjskie, muszkietowe, bagnetowe. Doprowadzisz swych żołnierzy do ładu. A ja dopilnuję, abyście otrzymali podwójne racje żywnościowe i właściwe wyposażenie. – Opuścił dłonie. Nie wiedział, czy to cokolwiek pomoże, ale musiał spróbować. – A teraz pozwól, że skorzystam z twojego gabinetu. Przyślij do mnie majora Grappa, a po upływie dziewięciu sekund pułkowniczkę Jorfax.

Na wzmiankę o Jorfax Wessen z przerażeniem wybałuszył oczy.

– Tak jest, panie. – Pułkownik Wessen podbiegł do drzwi, zrobił głęboki wdech i odwrócił się w stronę Demira. – Ubolewam, że nie pojawił się pan u nas lata temu.

– Wolałbym, żeby wszyscy nadal uprzejmie was ignorowali i by nikt tak naprawdę nie potrzebował pomocy ani od ciebie, ani od twojego garnizonu – odrzekł Demir, uśmiechając się cierpko. – Idź już.

Wessen zniknął na chwilę, a następnie do gabinetu wszedł Tadeas. Miał podarty mundur i kawałek szkła kojącego w uchu, lecz jego rany wydawały się już zagojone. Rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu, po czym kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

– Wiedziałem, że forty przypominają wysypiska śmieci, ale tu jest gorzej, niż myślałem.

– A niech ich szkło! Banda głupców zaniedbujących naszą ostatnią linię obrony – odpowiedział Demir.

Zapadła chwilowa cisza, a Tadeas skwitował ją wzruszeniem ramion.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę cię w jednym z tych mundurów.

– Ja też nie – odparł ze smutkiem Demir. Na moment pozwolił sobie na słabość, do oczu napłynęły mu łzy, twarz się rozgrzała, a gardło ścisnęło. – Cieszę się, że jesteś tu ze mną, wujku Tadie.

– Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej.

Demir przejechał dłonią po twarzy, starając się wziąć w garść.

– Kiedy Idrian zobaczył mnie w tym mundurze, myślałem, że ten wielki skurczybyk zaraz padnie.

Tadeas się zaśmiał.

– To była długa noc, a ty nieźle nas zaskoczyłeś, choć było to bardzo miłe zaskoczenie.

– Miłym zaskoczeniem z pewnością byli moi kirasjerzy.

– Bzdura – zaprzeczył Tadeas, kręcąc głową. – Szklani mnie to, co myślą i mówią inni. Byłbym cholernym głupcem, twierdząc, że jest ktoś, kto poradziłby sobie w starciu z Kerite lepiej niż ty. Stavri niemal wpędził mnie i Stalowe Tarany do grobu.

– I myślisz, że ja was tam nie zaprowadzę?

– Przynajmniej zrobisz to z większą finezją.

Demir starał się znaleźć w oczach wuja jakiegokolwiek oznaki fałszu, ale ich tam nie było. Tadeas naprawdę chciał, żeby Demir tu był. Biedny, zagubiony idiota. Demir uśmiechnął się do niego szeroko, czując, jak jego maska wraca na swoje miejsce.

– Popraw mundur, zaraz będzie tu pułkowniczka Jorfax.

Tadeas skrzywił się, słysząc to nazwisko.

– Dlaczego?

– Ponieważ odpowiada za tancerzy i jeśli chcę cokolwiek wskórać, będę potrzebował jej pomocy. – Rozległo się pukanie do drzwi. – Wejść! – zawołał.

Do pomieszczenia weszła kobieta stanowiąca zupełne przeciwieństwo pułkownika Wessena. Była wysoka i piękna, miała krótkie blond włosy, kanciastą i wyrazistą twarz oraz minę mogącą zabić. Demir widział kiedyś, jak w plotkarskim felietonie określono ją mianem starożytnej piękności wykutej z granitu. Felietonista zniknął następnego dnia, a jego ciała nigdy nie odnaleziono. Jorfax zatrzymała się pośrodku pokoju, przybrała wojskową pozę, zwracając się twarzą do biurka, mimo że Demir stał przy oknie. Ręce spłotła przed sobą, eksponując zarówno krzemowy symbol tancerki szkła na lewej dłoni, jak i znacznie mniejszy znak adoptowanej córki rodzinnej gildii Vorcienów na prawej.

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytała, zwracając się do pustego biurka.

Demir zmrużył oczy. Wiedział, jacy są tancerze szkła. Poznał setki z nich; szkolili go i tak bardzo lekceważyli wszelkie autorytety, jak bardzo budzili postrach wśród swych podwładnych. Nagle zdał sobie sprawę, że byli równie aroganccy jak on. Na samą myśl przeszedł go dreszcz. Pstryknął palcami.

– Tutaj, Jorfax.

Odwróciła się w jego stronę, przesywając go przenikliwymi, niebieskimi oczami. Odwzajemnił spojrzenie.

– Ilu tancerzy straciłaś na Miedzianych Wzgórzach? – zapytał.

– Nie udało nam się jeszcze określić dokładnej liczby, panie. – Słowo „panie” wymówiła z nutą czegoś, co aż za bardzo przypominało jawną pogardę.

– Ilu?

– Właśnie powiedziałam, że...

– Jorfax – przerwał jej łagodnie Demir. – Jeśli masz ochotę na głupie gierki, to może spotkamy się o brzasku za jakieś osiem tygodni, by zmierzyć się w pojedynku na rapiery, co ty na to? Teraz jednak mam tę szklolerną wojnę do wygrania, więc powiedz mi, ilu ludzi ci zostało.

Mina Jorfax nie zmieniła się ani trochę, lecz zanim udzieliła odpowiedzi na jego pytanie, lekko poruszyła szczęką.

– Trzydziestu czterech.

– Z?

– Sześćdziesięciu.

– Auć! – Demir zerknął na wujka Tadeasa, który stał przy ścianie i wyglądał na człowieka spokojnie obserwującego szczucie niedźwiedzia w cyrku. Nie obawiał się zwierzęcia, ale gotów był w każdej chwili zerwać się do ucieczki, gdyby ten uwolnił się z uwięzi.

– Nie wygrasz z Kerite – stwierdziła Jorfax.

– Może nie – przyznał Demir. – Ale z pewnością pójdzie mi o wiele lepiej niż Stavriemu czy tobie i twoim ludziom. Ponadto śmiem twierdzić, że co najmniej dziesięciu z twoich tancerzy przeżyło tylko dlatego, że Tadeas umożliwił im ucieczkę.

– Dziękuję, majorze Grappo – rzuciła beznamiętnie Jorfax, nie spuszczać wzroku z Demira. – Bez obrazy, ale uważam, że nie dożyje pan końca tygodnia.

– Masz na myśli tego zabójcę z Grentu, który rozgromił ekipę Stavriego? Uważam, że jestem nieco lepiej przygotowany na wypadek takiego zagrożenia.

– Nie. Mam na myśli twoje starcie z Kerite na polu bitwy. Zmiażdży cię niezależnie od tego, co zrobisz.

– Jest aż tak dobra?

– Walczyłam z nią podczas kampanii w Purnii. W jednej z tych przeklętych kolonialnych wojen zastępczych. Jest bez wątpienia najlepszą generałką na świecie, a może nawet w historii.

– Wszyscy to wiedzą.

– Ale niewielu przeżyło, żeby móc później o tym opowiedzieć – oświadczyła Jorfax, a w jej głosie wreszcie słychać było emocje. – Jej żołnierze są świetnie wyposażeni, świetnie opłacani i świetnie

wyszkoleni. Są lepsi niż Legia Cudzoziemska, a do tego całkowicie oddani sprawie. Stavri wykazał się niezwykłą głupotą, próbując zmierzyć się z Kerite i grenckimi wojskami na otwartym polu bitwy.

– Powiedziałś mu o tym?

Jorfax się wzdygnęła.

– Nie.

– Dobrze, że się mnie nie boisz ani nie darzysz szacunkiem, bo inaczej nie zawracałabyś sobie głowy ostrzeganiem mnie. – Demir uważnie przyjrzał się kobiecie. Nie budziła w nim strachu, a już na pewno nie była dla niego żadną przeciwniczką, ale Tadeas miał rację, twierdząc, że przypomina niedźwiedzia w kagańcu. Jeden niewłaściwy ruch i mogła wpaść w szal. – Mam dla ciebie i twoich tancerzy pewne zadanie. Kerite oskrzydliła Stavriego, oślepiając jego zwiadowców. Zamierzam odwdziżyć jej się tym samym. Naszą nową grupę zwiadowczą będą tworzyły zespoły złożone z dwunastu żołnierzy lekkiej piechoty i jednego tancerza szkła.

– Oszalałeś? – wypaliła Jorfax, w końcu odwracając się do Demira całym ciałem i gubiąc gdzieś po drodze profesjonalizm.

– Wybiją po cichu zwiadowców Kerite, a eskorta będzie tam tylko na wypadek jakiegoś niepowodzenia, z którym samotny tancerz nie mógłby sobie poradzić – kontynuował Demir, nie zważając na słowa Jorfax.

– Nie – rzuciła. – Nie ma mowy, bym wydała taki rozkaz; co więcej, nikt by go nie wykonał! Nie jesteśmy jakimiś tam podrzędnymi zwiadowcami, jesteśmy tancerzami szkła i...

– Tchórzami? – zapytał ostro Demir.

Ręka Jorfax zsunęła się na tkwiący za pasem rapier, a jej twarz stężała jeszcze bardziej.

– Jak śmiesz?

– Masz ochotę na pojedynek przy użyciu magii? Żaden problem, możemy go stoczyć. Powiedz tylko słowo – odparł Demir. – Możesz też przestać zachowywać się jak rozpieszczona maskotka wojsk artyleryjskich i wysłać swoich ludzi w teren. Co ty na to?

– Ja...

Demir kontynuował, wchodząc jej w słowo.

– Podczas jednej bitwy straciłaś dwudziestu sześciu tancerzy, ponieważ Stavri uznał, że da radę pokonać o wiele lepszą armię, a ty

mu się nie sprzeciwiłaś. Nie zamierzam popełniać tego samego błędu i wysyłać ludzi na rzeź. Planuję przy pomocy twoich tancerzy oślepić Kerite. Wykorzystać zabójczą cichość szkła. Zwiadowcy nie będą wiedzieć, co ich zabija. A kiedy pozbawię Kerite informatorów, będę mógł działać wokół niej.

Jorfax wpatrywała się w Demira, chcąc wyczytać coś z jego twarzy, i poruszała szczęką, jakby żuła tytoń.

– Ale to wbrew zasadom – odezwała się w końcu.

– Wiem i dlatego to musi się udać. Nawet Kerite miałyby problem z przekonaniem swoich tancerzy do pobrudzenia ich delikatnych dłoni.

– Doskonale wiesz, jak ciężko jest jednocześnie manipulować szkłem i prowadzić konia. Przecież to równie wymagające jak strzelanie w pełnym galopie. Do tego potrzebne są umiejętności, skupienie i doświadczenie. Żaden z moich ludzi tego nie potrafi.

– Zgodziłbym się z tobą, jeżeli chodziłoby o dużą, chaotyczną bitwę. Ale nie planuję wysyłać ich do walki z batalionami. Ich zadaniem byłoby mordowanie pojedynczych zwiadowców, małych oddziałów, i śmiem twierdzić, że każdy wyszkolony bojowo tancerz szkła powinien sobie z tym poradzić. Pytanie brzmi, czy wydasz ten rozkaz, czy będę musiał pozbawić cię dowództwa i znaleźć kogoś, kto to zrobi?

O ile dotychczas ukrywała złość, o tyle teraz pozwoliła sobie na jawną wściekłość. Demir zauważył to w napięciu każdego ścięgnięcia na jej twarzy, zupełnie jakby coś, co więziła wewnątrz siebie, chciało się wydostać na zewnątrz.

– Nie masz takiej władzy – wyszczała.

– Spytajmy o to Ojca Vorciena, w końcu ma w rodzinie wielu tancerzy szkła. Ossa jednak nie ma tak wielu kompetentnych generałów.

– Kompetentnych generałów? – parsknęła Jorfax. – Może porozmawiamy o tym, co wydarzyło się po...

– Lepiej się zamknij – odezwał się niespodziewanie Tadeas, kończąc zdanie łagodnym uśmiechem i zwrotem „moja droga”. – Zanim zaczniesz mówić o rzeczach, o których nic nie wiesz, i powiesz coś, czego później będziesz żałować.

Jakimś cudem Tadeasowi udało się przedrzeć przez stalową osłonę Jorfax w sposób, w jaki Demir nie dał rady. Spojrzała na Tadeasa, pozwalając, by kąciki jej ust opadły.

– Popiera go pan, majorze Grappo?

– Tak.

– Ze względu na rodzinę czy przekonania?

– A jak myślisz? – zapytał Tadeas.

Wydarzyło się między nimi coś nieopisanego, potem Jorfax stanowczo skinęła głową.

– Wydam ten rozkaz. Przygotuj oddziały zwiadowcze do drogi. Za godzinę wyruszamy. Mam nadzieję, że nie będziesz się ociągał, bo gdy Kerite zorientuje się, co robisz, bez zwłoki ruszy do akcji.

Obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

Demir zaczerpnął głęboko powietrza i spuścił wzrok, uświadamiając sobie, że przez cały czas ścisnął w dłoni kawałek szkła harmonii. Nie wiedział nawet, kiedy wyciągnął go z kieszeni.

– Co to było? – spytał.

– Uratowałem wczoraj jej ludzi i nie był to pierwszy raz – odparł Tadeas. – Ani drugi czy trzeci. Nie bez powodu nazywamy ich szklanymi armatkami. W mig tracą orientację pod ostrzałem i padają równie szybko jak wszyscy inni. – Zaciśnięła wargi. – Poza tym wydaje mi się, że ma słabość do Idriana.

Demir parsknął.

– Poznałem Idriana i uważam, że każda kobieta oraz niektórzy z mężczyzn z Legii Cudzoziemskiej powinni mieć do niego słabość.

– Ha! Coś w tym jest. A co do Jorfax, to ona ma rację. Musisz przygotować się na szybką akcję. Oślepienie Kerite nic nie da, muszą iść za tym jakieś działania.

– Daj spokój – odpowiedział Demir z pewnością siebie, której tak naprawdę mu brakowało. – Mówisz, jakbyś mnie nie znał.

– To co planujesz?

Demir wyjrzał przez okno, z którego rozpościerał się widok na główny dziedziniec fortu. Dostrzegł zwiadowczynię pędzącą galopem w ich stronę. Przejechała fosę, machając na strażników.

Wjechała na dziedziniec i zeskoczyła z konia. Słyszał, jak wykrzykuje pytanie o drogę do dowódcy.

– Podejrzewam – rzucił przez ramię do Tadeasa – że wkrótce się tego dowiemy. Zanim podejmę jakieś działania, muszę wiedzieć, dokąd zmierza Kerite. Na tym etapie może robić milion rzeczy, ale tak naprawdę ma zaledwie siedem opcji na kolejny atak. Trzy najbardziej prawdopodobne to: zaatakowanie Nowego Portu w celu odebrania nam dostępu do oceanu; przybycie prosto do Fortu Bryce, zanim zdążymy się przegrupować; albo udanie się na południe, by zaatakować Fort Alameda i uzyskać dostęp do rzeki. Kerite jest świetną strateżką, lecz każde posunięcie da się przewidzieć. Jako nastolatek zaczytywałem się w jej nieautoryzowanych biografiach. Zapamiętałem każdy manewr, jaki wykonała w kilkunastu ze swych kampanii, nie po to, by stanąć z nią do walki, ale dlatego, że chciałem nauczyć się naśladować jej styl. Nie zatrzymuje się, nie zwalnia. Jej pęd to połowa sukcesu i klucz do opanowania pola bitwy.

Tadeas się roześmiał.

– I z tego powodu ryzykowałeś wkurzeniem Jorfax, czyż nie? Jeśli oślepisz Kerite, uda ci się wstrzymać jej pęd, zmuszając ją do przegrupowania albo kontynuowania działań bez informacji zwiadowczych.

– Dokładnie tak.

– To niebezpieczne, Demirze. Bo co, jeśli złapie nas w otwartej bitwie, a my nie będziemy dysponować żadnymi tancerzami?

– Wtedy polegniemy – odrzekł Demir. – Ale co to za różnica, skoro i tak czeka nas ten los?

Ich rozmowę przerwało rozpaczliwe pukanie do drzwi, po czym, nie czekając na pozwolenie, do pomieszczenia wparowała zwiadowczyni. Jej twarz i mundur pokrywała warstwa pyłu z drogi, a czarne włosy były wilgotne od potu. Zasalutowała zmęczona.

– Wracam właśnie z grenckiego obozu na Miedzianych Wzgórzach, panie.

– I nie ma tam nikogo, tak? – domyślił się Demir.

– Tak, panie. Obóz opuszczono.

– W którą stronę się udali?

– Na południowy-wschód, panie.

Demir przeczesał biurko Wessena, szukając standardowych map oficerskich, a gdy znalazł kilka z nich, przeglądał je do czasu, aż udało mu się wybrać tę przedstawiającą okolicę wokół stolicy. Mentalnie porzucił już pozostałe warianty ataku Kerite i skupił się na jej nowym celu – Forcie Alameda i zamiarach opanowania rzeki Tien. Gestem nakazał zwiadowczyńi zaczekać, a następnie pokazał mapę Tadeasowi.

– Tu zmierza Kerite – powiedział wujowi, wskazując miejsce, gdzie niewielki dopływ Tieniu wpadał do głównej rzeki. Punkt ten znajdował się dokładnie na granicy Ossy i Grentu, a nad skrawkiem lądu między dwiema rzekami górował kolejny fort, stanowiący odnogę gwiazdnej fortyfikacji obronnej. – Książę wesprze ją statkami rzecznyymi, nadal pozostającymi w mieście, i z całą mocą naprze na Fort Alameda. A gdy ten upadnie, ruszy w górę rzeki, zdobywając Szklane Miasto, by potem udać się prosto do Dzielnicy Zgromadzenia.

Tadeas sprawiał wrażenie wykończonego.

– Przesuniemy się w stronę fortu, tuż przy tym dopływie, i przeszkodzimy jej w przeprawie, tak? – zapytał. – Jeśli natychmiast przekażemy rozkazy, Stalowe Tarany zdążą dotrzeć tam jako pierwsi i wysadzić kilka mostów.

Stanowiło to oczywiste kontrposunięcie, ale Demir miał pewne wątpliwości. Kerite nie miewała problemów z przekraczaniem rzek. Jej oddziały były zbyt dobrze zorganizowane i wyszkolone, by dać się zabić podczas jakichś głupich manewrów. To samo tyczyło się żołnierzy z Grentu, którzy nieustannie ćwiczyli na delcie.

Nie, Kerite zaatakuje twierdzę, uderzając w nią z północnej flanki, z okrętów desantowych, mostów i oczywiście ze swej świetnej artylerii. Demir wsunął rękę do kieszeni i przesunął palcami po znajdujących się w niej szklach bożych. Każdy z odłamków rezonował mu delikatnie pod opuszkami, ale gdy natrafił na szkło rozumu, instynktownie cofnął dłoń.

Zmusił się jednak, by ponownie je odnaleźć. Nie mógł przewlec go sobie przez ucho, gdyż jego magia była zbyt silna, zbyt przytłaczająca. Ale mógł... Ścisnął go mocno palcami, czując na skórze magiczne działanie. Nie minęła sekunda, gdy przeszył go ból

za lewym uchem, wwiercający się uparcie w umysł. Działo się tak za każdym razem, gdy próbował go użyć. Od dziewięciu lat nie mógł korzystać z magii tego szkła.

Mimo to nie wypuścił go, zmuszając się do myślenia pomimo odrętwiającego bólu głowy. Ignorował cierpienie, a jego myśli nabrały pędu, reagując na magię czymś więcej niż udręką. Nie pozwolił sobie na słabość, skupiając się wytrwale na nadchodzącym ataku Kerite na Fort Alameda. Nadal ściskając szkło rozumu między dwoma palcami, rozłożył wszystkie mapy Wessena i przedzierał się przez nie do czasu, aż natrafił na dokładniejszy obraz fortu. Studiował go przez kilka minut, myśli pędziły mu jak oszalałe, a głowa pękała od nadmiernego wysiłku. W końcu puścił szkło. Dopiero gdy usłyszał wydobywające się z własnych ust sapnięcie, zdał sobie sprawę, jak wielką torturę sobie zadał.

Nie znał Fortu Alameda, znał jednak dopływ rzeki, który Kerite musiałyby przekroczyć, aby ustawić się na właściwej pozycji. Znał tereny na północ od tego punktu, a co najważniejsze, znał również jego topografię.

– Tadeasie – odezwał się w końcu. – Znajdź mi wypoczęty pluton piechoty. Po tej stronie Szklanego Miasta znajduje się magazyn Magnów. Niech się tam udadzą i skonfiskują tysiąc kawałków szkła zmysłów.

– Zamierzasz rozpocząć rządy od skonfiskowania szkła bożego Magnum? To... interesujące posunięcie.

– Supi nie będzie ostatnim z członków Wewnętrznego Zgromadzenia, którego wkurzę w ciągu najbliższych kilku dni. Daj Stalowym Taranom jeszcze dwie godziny na odpoczynek. Pozwólmy Jorfax i jej tancerzom szkła nas wyprzedzić, niech wyeliminują zwiadowców, a potem zabierzemy ze sobą tyle beczek prochu, ile uda nam się unieść, i ruszymy na południe.

Tadeas spojrział na Demira z powątpiewaniem.

– Powiedziałeś Stalowe Tarany, tak?

– Tak.

– A co z resztą?

– Chcę, aby reszta armii miała jeszcze jeden dzień na regenerację sił – odparł Demir. – Sprowadzę jednak świeżą kawalerię.

– Chcesz wziąć trzy bataliony, to znaczy tysiąc kawalerzystów i pięciuset inżynierów bojowych, by stawić czoła trzydziestu tysiącom żołnierzy wroga?

– Nie będziemy nikomu stawiać czoła – rzucił Demir. W jego głowie ukształtował się zarys pewnego planu, śmiałego, niebezpiecznego, a może i głupiego. Pozostałe elementy dopracuje po drodze. – Zaatakujemy ją.



Thessa spędziła poranek, przygotowując warsztat do stworzenia wzmacniającego rezonans szkła potęgi, a następnie wczesne popołudnie na spotkaniach przy narożnym stoliku w hotelowej restauracji Hiacynta. Czynności te były dla niej znajome, gdyż nie różniły się zbyt od siedzenia w kawiarni obok huty szkła w Grecie i załatwiania wszelakich spraw administracyjnych, na które Kastora nie miał czasu, z tą różnicą, że zamiast kupować herbatę miejscowym kupcom podczas przeglądania rachunków, spotykała się z rzemieślnikami Demira.

Dla każdego z nich przygotowała rysunki techniczne; proste szkice szczegółowo objaśniające wszystkie informacje, jakich dany rzemieślnik potrzebował, aby wykonać powierzone mu zadanie, nic poza tym. U blacharza zamówiła podwójną komorę na portal feniksa. U kowala wewnętrzną żelazną ramę, mogącą udźwignąć jego ciężar. Stolarz miał zbudować dla niej zewnętrzną ramę, a także pociąć grube arkusze korka według jej specyfikacji. Murarz zaś miał dostarczyć zwoje azbestu.

Spotkanie ze stolarzem było ostatnim, jakie zaplanowała na ten dzień. Był on mężczyzną w średnim wieku i mrużył oczy, przyglądając się jej rysunkom z każdej strony, wyraźnie próbując zrozumieć, do czego dany przedmiot będzie służył. Nie miała zamiaru mu tego wyjaśniać.

– Dwa dni, tak? – zapytał.

– Tak, dwa dni – potwierdziła Thessa.

– Polecę mojemu praktykantowi, by się tym zajął – mruknął.

– Nie, sam masz to zrobić – zaproponowała Thessa. – Nie chcę żadnych opóźnień. – Uniosła wzrok i dostrzegła zbliżającego się od holu Breenena, idącego z dłońmi splecionymi za plecami. Kiedy stolarz skrzywił się i spojrzał w jego stronę, ten tylko skinął głową.

– Już się za to zabieram, proszę pani – zapewnił ją, odchodząc.

Thessa odczekała, aż się oddali, po czym nacisnęła palcami kąciki oczu.

– To było moje ostatnie spotkanie – oznajmiła Breenenowi. – Dziękuję, że je zorganizowałaś. Każdy element, którego nie muszę nadzorować, daje mi więcej czasu na poświęcenie się sednu projektu.

– Przyjemność po mojej stronie, panno Foleer – odparł Breenen, skłaniając głowę. – Ale dwa dni? Czy konieczny jest aż taki pośpiech?

Thessa spuściła wzrok na notatki, które sporządzała pomiędzy spotkaniami. Bezwiednie je przetasowała, a następnie odwróciła do góry nogami, aby przechodzący kelnerzy nie mogli odczytać ich treści. Czy konieczny jest aż taki pośpiech? Kastora nieustannie powtarzał, że pośpiech prowadzi do pomyłek i paradoksalnie sprawia, iż dany projekt zajmuje więcej czasu, niż początkowo miał zająć. Mimo to, odkąd zbudziła się tego ranka, czuła nieprzyjemny ucisk, presję, by jak najszybciej zrekonstruować portal feniksa.

Po części wiązało się to z chęcią zaimponowania Demirowi, gdy ten wróci z wojny, główny powód był jednak nieco inny. Bardzo zaniepokoiły ją wczorajsze zamieszki, a każdy dzień bez portalu feniksa był kolejnym dniem pełnym potencjalnej przemocy, spowodowanej przez coraz większe problemy z uzyskaniem szkła bożego przez zwykłych ludzi.

– Tak – odrzekła w końcu Breenenowi. – Pośpiech jest niezbędny. Na ten projekt wpływa o wiele więcej czynników niż na zwykłe szkło boże. Jeśli już go zbuduję, będę musiała przeprowadzić wiele testów i eksperymentów, które mogą ciągnąć się miesiącami. Nie mam czasu do stracenia.

– Dobrze, w takim razie dopilnuję, aby rzemieślnicy wywiązali się ze swych zadań – obiecał Breenen, skinął głową i się odwrócił.

– Myślisz czasem o swojej spuściźnie? – spytała, a słowa wydobyły się z jej ust pod wpływem niekontrolowanego impulsu.

Majordomus zatrzymał się, spojrzął na nią przez ramię i zawrócił.

– Jestem majordomusem rodzinnej gildii i hotelowym konsjerżem – odparł z półuśmiechem. – Jakąkolwiek spuściznę po sobie zostawię, będzie ona niewielka i dość szybko popadnie w zapomnienie.

Thessa położyła dłoń na notatkach. Szukała odpowiednich słów, czuła ucisk w piersi i wiedziała, że chodzi o coś więcej niż tylko chęć uniknięcia przemocy.

– Tylko to pozostało mi po Kastorze. To jego najznamienitsze dzieło. Nie miał niestety okazji go udoskonalić ani podzielić się nim ze światem. Ta odpowiedzialność spoczywa teraz na moich barkach. To równie ekscytujące, co przerażające.

Breenen milczał przez chwilę.

– Kontynuowanie czyjegoś dzieła jest niezwykle wymagającym zadaniem. Tym bardziej, jeśli tej osoby nie ma już wśród nas. – Spuścił wzrok, a Thessa zdała sobie sprawę, że Breenen stracił Adrianę zaledwie tydzień lub dwa, zanim ona utraciła Kastorę. – Aczkolwiek – kontynuował – dbanie o czyjeś dziedzictwo jest spuścizną samą w sobie. Czymś, co mnie, ciebie czy kogokolwiek innego, żyjącego w cieniu wielkiej osoby, powinno napawać dumą. To właśnie będzie moją schedą jako klienta Grappów.

– O co konkretnie chciałbyś zadbać? – zapytała Thessa.

– Żyjemy w Ossie i jesteście niewielką rodzinną gildią – odpowiedział Breenen, marszcząc brwi. – Pragnę tylko, by Grappowie przetrwali.

– Ale czy przetrwanie wystarczy? Czy nie powinniśmy zostawić światu czegoś więcej?

– Czasami przetrwanie to jedyne, z czym możemy sobie poradzić. Czy mogę jeszcze w czymś panience pomóc?

Thessa wbiła wzrok w odległy punkt, zastanawiając się przez chwilę nad słowami Breenena, zanim zdała sobie sprawę, że nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Muszę iść na zakupy. Mógłbyś zorganizować mi powóz za dwadzieścia minut?

– Jak najbardziej.



Niecałą godzinę później Thessa dotarła na Abażurową Promenadę. Całkiem dobrze знаła to miejsce ze swoich wcześniejszych wypadów do Ossy, tych na własną rękę, jak i tych w imieniu Kastory. Było to również jedno z niewielu miejsc, w których czuła się bezpiecznie – zbyt gwarne, by w biały dzień ktoś odważył się popełnić tam jakieś wykroczenie, oraz niezłe strzeżone przez ossańską Gwardię Narodową. Poleciała woźnicy, aby wysadził ją na jednym końcu i czekał na nią na drugim za około godzinę. Wojna wybuchła zaledwie osiem dni temu, a mimo to miała poczucie wolności – i lekkomyślności – spacerując po otwartej przestrzeni, wpadając na nieznanym i przeglądając towary dostawców z hut szkła.

W ciągu zaledwie kilku minut nabyła o wiele lepsze narzędzia niż te, które zapewnił jej Demir. Trudniej było ze znalezieniem oczyszczonego żaropiachu, niezbędnego do stworzenia szkła potęgi. Zlokalizowanie pół kilograma tego surowca zajęło jej niemal godzinę, a kiedy już jej się to udało, sprzedawca nie chciał nawet słyszeć o obniżeniu ceny. Thessa zapłaciła tyle, ile zażądał. Miała świadomość, że ceny będą rosły w zastraszającym tempie, i doskonale wiedziała dlaczego.

Ostatnim punktem zakupów była wizyta w księgarni, gdzie odczekała, aż sprzedawca znajdzie wolną chwilę i do niej podejdzie. Mężczyzna miał mysią twarz i przyklejony do niej grzeczny uśmiech.

– Witam panią serdecznie. W czym mogę pomóc?

– Szukam rozprawy naukowej – odparła.
– Ach, uczona szlachcianka, jak miemam?
– Tak, w pewnym sensie. Kilka miesięcy temu przeczytałam artykuł marnijskiej inżynierki dotyczący możliwości wykorzystania ropy naftowej jako źródła ciepła. Czytał ją pan?
– Autorstwa profesorki Volos, tak? – zapytał księgarz.
– Tak, dokładnie. Chciałabym zobaczyć wszystko, co ma pan o tej tematyce.
– Oczywiście, profesorka Volos jest nadzwyczajna. Aktualnie najpopularniejsza jest jej publikacja dotycząca piorunochronu.
– O tym nie słyszałam.
– Z pewnością pani usłyszy! – Sprzedawca wszedł za ladę i zaczął czegoś pod nią szukać. Następnie wykladał książki na blat, nie przerywając monologu. – Wymyśliła niezwykle proste urządzenie służące do przekierowania piorunów ze szczytu budynku przez... jak ona to nazwała... przewód uziemiający do ziemi. Cóż za genialny pomysł! Architekci w całym Imperium zaczęli już wprowadzać to rozwiązanie do swoich projektów. Jej nowa książka sprzedaje się jak świeże bułeczki, nie nadążam z dostawą, ale chyba zostało mi kilka egzemplarzy na zapleczu. Chciałaby pani jeden?

Thessa spojrzała na tytuły, które dla niej przygotował. *Era węgla. Tysiąc zastosowań dla oleju wielorybiego. Oświetlanie miasta: Historia ossańskiego gazu.* Było tam trzynaście książek. Przeglądała je z uwagą, odkładając publikacje historyczne na bok i skupiając się na tych zawierających bardziej techniczne elementy.

– Tak, poproszę.

– Dobrze, zaraz przyniosę.

Thessa wzięła do ręki jedną z książek, które umieściła na kupce, i ją przejrzała. Nie do końca wiedziała, czego szuka. Inspiracji? Twardych danych? Największym wyzwaniem będzie znalezienie źródła energii, więc uznała, że najlepiej podejść do tego z kilku stron. Po wstępnej selekcji będzie mogła skupić się na najbardziej obiecujących pomysłach. Jak powiedziała Breenenowi, portal feniksa może wymagać wielu miesięcy żmudnych eksperymentów, zanim zacznie prawidłowo funkcjonować.

– Został mi tylko jeden egzemplarz! – zawołał sprzedawca, wychodząc z zaplecza. – Zamierza pani kupić te wszystkie?

– Tak, dziękuję. – Thessa zapłaciła księgarzowi i sprawdziła kieszonkowy zegarek. Zostało jej jeszcze dziesięć minut do przyjazdu woźnicy. – Miałby pan coś przeciwko, gdybym poczytała tu przez chwilę? Muszę poczekać na powóz.

– Bardzo proszę.

Thessa usiadła w kącie księgarni i wzięła do ręki pierwszą książkę ze stosu. *Oswajanie natury: Przyszłość nowoczesnej architektury*. Była to praca o piorunochronach. Otworzyła ją, spodziewając się, że zwróci ją przed wyjściem ze sklepu.

Na pierwszej stronie zamieszczono techniczny schemat piorunochronu i szczegółowe wyjaśnienie jego działania. Autorka twierdziła, że nie zamierza wzbogacać się na swym nowym wynalazku, pragnie jedynie przyczynić się do przyspieszenia postępu cywilizacyjnego. Thessa wpatrywała się w rysunek urządzania. Było tak bardzo... proste. Głowica, gruby przewód i pręt uziemiający. Urządzenie miało przechwytywać pioruny, które w innym wypadku uderzyłyby w szczyt budynku, i kierować je do ziemi.

Thessa rozdziawiła usta ze zdumienia. Będąc dzieckiem, była świadkiem uderzenia pioruna. Zdmuchnął on iglicę i jedną ze ścian kościoła, dodatkowo podpalając cztery okoliczne budynki. To była potężna moc. Czy naprawdę można ją tak łatwo okiełznać? Ta myśl zrodziła kolejną. Czy Thessa mogłaby ją okiełznać? Pożyczyła od sprzedawcy ołówek i zaczęła bazgrać po marginesach, balansując książką na nodze i przyciskając ją do uda, a jednocześnie rozrysowując diagramy.

Gdy po raz kolejny sprawdziła zegarek, okazało się, że minęło już prawie pół godziny. Spóźniła się na spotkanie z woźnicą. Otrząsnęła się, odkładając dalsze przemyślenia na później, i podziękowała sprzedawcy. W głowie rodził jej się obiecujący pomysł. Przez umysł przelewały się liczne możliwości – elegancko proste i najzwyczajniej szalone – związane z ukierunkowaniem piorunów bezpośrednio do portalu feniksa.

Już prawie dotarła do końca promenady, tłum się przerzedzał, gdy niespodziewanie poczuła, że ktoś złapał ją za ramię.

– Ała! Co jest, szklorwa...

– Nie zatrzymuj się. Jeśli krzykniesz, dźgnę.

Thessa zaczerpnęła głęboko powietrza i spojrzała w dół. Napastnik trzymał w dłoni nóż, przyciśnięty delikatnie do jej boku, tuż nad biodrem. Momentalnie przypomniała sobie artykuł z gazety o zamordowanych hutnikach, a na samą myśl, że ktoś mógłby rozciąć ją od pachwiny do gardła, miała ochotę wrzeszczeć wniebogłosy. Zanim jednak zdążyła zareagować, mężczyzna skierował ją stanowczo w boczną uliczkę.

– Czego chcesz? – zażądała odpowiedzi, próbując przyjrzeć się jego twarzy. Był młodym mężczyzną, ubranym w roboczą tunikę i buty. Nigdy przedtem go nie widziała. Prawdopodobnie był zwykłym złodziejem. – Chcesz pieniędzy? Bierz.

– Nie od ciebie – odparł, nie przestając jej popychać. Przy kolejnym zakręcie Thessa z przerażaniem zdała sobie sprawę, że zostali całkiem sami. Ulica znajdowała się dość blisko i gdyby krzyknęła, ludzie usłyszeliby jej wołanie, ale nikt nie wiedziałby, co się dzieje w tym małym zaułku. Jej pewność co do bezpieczeństwa na Abażurowej Promenadzie legła w gruzach.

Odwróciła się, by stanąć twarzą do napastnika, potem odskoczyła, starając się wyrwać rękę z uścisku.

– O nie, nie – powiedział, zacieśniając chwyt. Machnął nożem tuż przed jej nosem, co sprawiło, że przestała się szamotać. Skupiła się na ostrzu, zastanawiając się, czy stos trzymany przez nią książek jest wystarczająco ciężki, by wytrącić mu go z ręki. Powinna zaryzykować? Uznała, że jeśli jej zagrozi, nie będzie miała wyjścia. – Znam cię – oświadczył.

– Nie znasz – rzuciła. Natychmiast przeszył ją strach.

– A właśnie, że znam. Jesteś tą dziewczyną z huty szkła w Lesie Kości Słoniowej. Zaginioną więźniarką. Tealą.

– Nigdy w życiu nie słyszałam tego imienia. – Zaszło jej w ustach. A niech to szkło, jakie mogły być szanse, że ze wszystkich miejsc w Ossie ktoś rozpozna ją właśnie tu?

– Naprawdę? – Podciągnął niespodziewanie rękaw jej marynarki, odsłaniając ręce pokryte bliznami. – Hutniczka, co nie? I to z lekkim grenckim akcentem, wyglądająca dokładnie tak samo jak zaginiona więźniarka? Ten drań Grappo cię stamtąd wyciągnął?

Ach, szklanic to! W sumie mam to gdzieś. Supi Magna da mi za ciebie niezłą sumkę.

Thessa ponownie chciała się wyrwać, ale gdy się cofnęła, przyłożył jej nóż do gardła.

– Jeśli o pieniądze tu chodzi, to mogę ci zapłacić – powiedziała cicho Thessa.

– Może tak. Może nie. Nie zamierzam ryzykować. A teraz idziemy...

Thessa usłyszała czyjeś ciche kroki, a potem zobaczyła cień, który przesunął się na skraju pobliskiej uliczki. Nad ramieniem młodego mężczyzny pojawiła się twarz, a następnie wokół jego szyi zacisnął się sznur. Wybałuszył oczy i skierował nóż ku stojącej za nim osobie. Thessa uwolniła się nagle z uścisku i chwyciła go za nadgarstek, by powstrzymać atak.

Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że za napastnikiem stoi Pari – kobieta, której pomogła uwolnić dłoń spod wózka i którą wypytała o sejf w gabinecie Filura Magny. Thessa rzuciła książki na bok i przy użyciu obu rąk powstrzymała młodzieńca przed walką, podczas gdy Pari powoli i nieubłaganie go dusiła. Chłopak zachłannie chwycił powietrze, uderzając Pari w twarz, a jednocześnie starając się wyrwać rękę z uścisku Thessy. Żadna z nich nie ustąpiła. Zdawało się, jakby minęły wieki, nim przestał się szamotać, a następnie całkowicie zamarł. Pari jeszcze długo po tym, jak stracił przytomność, trzymała sznur owinięty wokół jego szyi, po czym upuściła zwłoki na ziemię.

Thessa wbiła wzrok w ciało mężczyzny. Serce waliło jej jak oszalałe, a umysł był lekki, zupełnie jakby śniła.

– Nie żyje?

– Z pewnością – odparła Pari.

– To już drugi raz w tym tygodniu, kiedy ktoś musiał zabić, żeby mnie chronić.

Thessa z powrotem zwróciła wzrok na Pari. Młoda kobieta odwzajemniła się jej chłodnym spojrzeniem, sprawiając wrażenie, jakby człowiek, którego właśnie zabiła, był od niej pod każdym względem gorszy.

– Dlaczego... Jak się tu znalazłaś? Dlaczego to zrobiłaś?

– Później – wyszczała Pari. – Musimy się stąd zabierać, zanim ktoś nas zauważy.

Thessa skinęła szybko głową, zebrała książki i pospiesznie wyszła na ulicę. Pari podążyła tuż za nią. Przedarły się przez gęstniejący tłum, kierując się na skraj promenady, do miejsca, gdzie Thessa zauważyła czekający na nią powóz z purpurowymi zasłonami ozdobionymi wyszywanym symbolem rodzinnej gildii Grappów. Woźnica powitał ją uprzejmie, otwierając drzwi, a Thessa dała mu gestem znać, że życzy sobie, by Pari jej towarzyszyła.

Przez kilka minut siedziały w milczeniu w chłodnym i ciemnym wnętrzu powozu. Thessa czuła ogromny ucisk w żołądku i wpatrywała się w robotnicę. Jeśli Pari miała świadomość, jak bardzo przerażała hutniczkę, zupełnie tego nie okazała. Jednym palcem delikatnie przesunęła zasłonę, obserwując.

– Znaleźli już ciało – oświadczyła. – Zaraz wezwą Gwardię Narodową, ale nikt nie będzie zaglądał do powozu rodzinnej gildii. – Puściła zasłonę i oparła się na siedzeniu, zamykając oczy.

Thessa nie odrywała od niej wzroku. Kobieta była wysoka i szczupła, o jasnej, choć pociemniałej od słońca skórze, pokrytej licznymi bliznami kogoś pracującego fizycznie. W danej chwili była najstraszniejszą osobą, jaką Thessa kiedykolwiek spotkała.

– Czego ode mnie chcesz?

Pari otworzyła szeroko oczy, sprawiając wrażenie szczerze zaskoczonej.

– Ja? Niczego.

– To dlaczego mi pomogłaś? I skąd w ogóle wiedziałaś, że jestem w niebezpieczeństwie?

– Huta szkła w Lesie Kości Słoniowej doszczętnie spłonęła – rzekła Pari, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. Kiedy Thessa nic nie odpowiedziała, kobieta dodała: – Wszyscy pracujący tam robotnicy są teraz tutaj i próbują znaleźć jakieś zatrudnienie. Abazur to jedno z najlepszych miejsc do znalezienia niezłej pracy, a ty miałaś cholernego pecha. Temmen zauważył cię w tym samym momencie co ja. Szybko zrozumiałam, co mu chodzi po głowie, więc udałam się za nim.

Thessa wypuściła z siebie długi, niepewny wydech, nie zdając sobie sprawy z tego, że przez chwilę wstrzymywała oddech.

– I nic ode mnie nie chcesz?

– Nie. – Pari odwróciła wzrok. – Posłuchaj mnie. Jakoś udało ci się wydostać z huty i wygląda na to, że zaprzyjaźniłaś się z Grappem. Masz do tego niezłą obstawę w osobach Demira, który jest tancerzem szkła, i Małego Montega. Wiem, jak to jest tkwić w obozie pracy i, niech to szkło, nie mogłam pozwolić, żeby Temmen wpakował cię tam z powrotem. Niezły był z niego gnój, a ty byłaś dla mnie miła. I tyle. Nie zamierzam cię szantażować. Po prostu zapomnijmy, że to się w ogóle wydarzyło. – Po tych słowach sięgnęła do klamki u drzwi.

– Zaczekaj! – Thessa rzuciła okiem na dłoń Pari. Była nadal zabezpieczona prowizoryczną szyną, a skóra wokół niej była czerwona i opuchnięta. Hutniczka zauważyła, że paznokiec u małego palca kobiety nie był pomalowany żadnym kolorem klienta rodzinnej gildii. Serce wciąż waliło jej w piersi, ale już się nie bała. Była bezpieczna i pozostanie tak długo, jak długo zachowa ostrożność. – Mogę ci się jakoś odwdzięczyć? Właśnie zabiłaś człowieka, aby mnie ocalić.

– Wychowałam się na Żuźlu, moja ty mała uciekiniarce. Robiłam w życiu gorsze rzeczy z mniej istotnych powodów. – Uniosła zranioną rękę. – Jeśli chcesz mi się jakoś odwdzięczyć, to daj mi trochę pieniędzy, bym mogła spędzić dzień w Szklarni. W tym stanie nikt mnie nie zatrudni.

– Zrobię coś więcej – powiedziała Thessa pod wpływem impulsu. Była to szalona i być może lekkomyślna decyzja, ale potrzebowała ludzi, którym mogła zaufać. Tak naprawdę nie знаła żadnego z pracowników Grappa. Nie znała też Pari, lecz mogła jej się przydać kobieta, która gotowa była zabić z czystej dobroci.

– Co masz na myśli? – zapytała Pari.

– Wyciągnij rękę.

Wyraźnie zaskoczona Pari zrobiła, co jej polecono. Pomimo urazu rękę miała pewne, zrogowaciałe i silne.

– Od jak dawna pracujesz w hucie szkła? – spytała Thessa.

– Od kiedy byłam wystarczająco duża, by wozić drewno na opał.

– Pracowałaś kiedyś jako asystentka?

– Ja? – prychnęła Pari. – Jak już wspominałam, jestem z Żuźla. Nikomu z Żuźla nie udało się nic osiągnąć.

– W takim razie będziesz pierwsza – odparła Thessa. Nie miała na to czasu. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, musiała wrócić do hotelu. Pochłonąć tę książkę. Dokończyć swój projekt. – Chcesz coś osiągnąć? Zaczynij dla mnie pracować. Potrzebuję asystentki. Kogoś, komu będę mogła zaufać. Kogoś, kto potrafi trzymać głowę na kłódce i ciężko pracować.

– To akurat umiem – odpowiedziała z wahaniem Pari. – Ale nie mam żadnego doświadczenia.

– Szklanic to. W ciągu kilku godzin dam radę wyszkolić inteligentną osobę na to stanowisko. Chcesz tę pracę czy nie?

– Myślę, że tak.

– Dobrze. – Thessa wyciągnęła zwitek pieniędzy i wysunęła z niego kilka banknotów. – Nie mam zbyt dużo czasu. Leć do Szklarni, a potem spotkamy się w hotelu Hiacynt. Jak tylko będziesz gotowa, będę miała dla ciebie coś do załatwienia.

Pari wzięła pieniądze. Wyglądała zarówno na zaintrygowaną, jak i skrzępowaną. Thessa jednak była pewna co do tego, że jej nie zdradzi.

– Przyjdę jutro z rana – obiecała Pari i wysiadła z powozu.

Thessa nawet nie odprowadziła jej wzrokiem.

– Wracamy do hotelu! – krzyknęła do woźnicy, po czym otworzyła książkę o piorunochronach i, uważając na podskakujący powóz, skupiła się na szkicowaniu.



ROZDZIAŁ 38

Stalowe Tarany opuściły Fort Bryce po zaledwie kilkugodzinnym odpoczynku. Żołnierze mieli przekrwione oczy, byli wyczerpani, a w uszach niektórych tkwiły kolczyki ze szkłem leczniczym, gdyż ich rany nie zdążyły się jeszcze w pełni zabliznić. Maszerowali na południe, podążając za dwoma batalionami nowo przybyłych kirasjerów, których Demir przywiózł ze sobą z Ossy. Pochód poruszał się z brutalną szybkością, prowadzony wąskimi drogami wijącymi się przez surowy krajobraz na północ od rzeki Tien. Widoczność była praktycznie zerowa, a gęste lasy dawnych imperialnych terenów łowieckich podzielono przed laty pomiędzy rodzinne gildie i wykorzystywano do dokładnie tych samych celów. Zalesienia ustępowały gdzieś tam winnicom rozciągającym się na łagodnym zboczu. W zimowym mroku czaiły się potężne posiadłości, należało jednak wiedzieć, gdzie ich wypatrywać.

Na pewien sygnał, o którym nikt Idriana nie poinformował, na rozwidleniu dróg kirasjerzy skręcili w prawo i ruszyli na zachód w kierunku, który można było uznać za terytorium wroga. Idrian

zatrzymał się pośrodku, racząc się rozwodnionym winem z manierki przytwierdzonej do pasa i obserwując mijającą go kawalerię. Miał wilgotne od potu włosy, brudny mundur, a zbroję, miecz i tarczę taszczył mu prowadzony przez Braileera jakiś pięćdziesiąt metrów za nim. Ściemniało się, a on bawił się szkłem zmysłów tkwiącym w jego kieszeni i zastanawiał się, czy Demir nie ma przypadkiem w planach jakiegoś nocnego ataku.

– Będzie mi ich brakowało – powiedziała Mika, przystając obok. – Nie da się ukryć, że jest coś kojącego w tysiącosobowym oddziale ciężkiej kawalerii podążającym na przdzie.

Idrian jedynie chrząknął, zgadzając się z jej słowami, bo umysł zaczynał mu się już sypać z braku wystarczającej ilości czasu na odpoczynek. Przez ostatnie kilka kilometrów nieustannie towarzyszył mu śmiech dziecka dobiegający gdzieś z lasu. Miał świadomość, że dzieje się to tylko w jego głowie, ale mimo wszystko włosy jeżyły mu się na karku.

– Jak myślisz, co zamierza Demir? – zagadnęła Mika. – Mamy w tych wozach wystarczająco prochu, by wysadzić w powietrze cały fort. – Zatrzymała się, wybałuszając oczy. – O cholera, nie będzie nam kazał wysadzać Fortu Alameda, co nie?

– Na jakie szkło miałyby to robić?

– Skąd mam to wiedzieć?! Może po to, żeby Kerite nie mogła go zdobyć?

Idrian posłał jej spojrzenie, które, jak miał nadzieję, mówiło samo za siebie. Jej pomysł był absurdalny.

– Poważnie?

– No, daj spokój. Wszyscy szeptają coś o Holikanie. Wszyscy... – Urwała i, rozejrzawszy się, czy żaden z mijających ich żołnierzy nie podsłuchuje, dodała już ciszej: – Wszyscy twierdzą, że jest obląkany. Powiedział Tadeasowi, że zamierza przejść do ofensywy, i to wyłącznie z nami i grupą kirasjerów.

– Wiem – odparł Idrian. Tadeas nabrał wody w usta i nie zdradził mu nic na temat faktycznego planu, co oznaczało, że prawdopodobnie był on nieco szalony, a Idrian nie był jego integralną częścią. – O wilku mowa... – Skinął głową w dół kolumny, gdzie dostrzegł Demira i Tadeasa zmierzających konno w ich

kierunku. Zatrzymali się obok Idriana i Miki, a Demir stanął w strzemionach i zawołał do przejeżdżającej kolumny.

– Rozbijmy tu obóz! Mamy dziś podwójne racje żywnościowe, co prawda bez piwa, ale porcje mięsa są potrójne. Postawię wam wino po ataku!

Setki zmęczonych oczu skierowały się na Demira. Na wzmiankę o potrójnej porcji mięsa nie rozległy się żadne radosne okrzyki, na co Idrian wzdrygnął się w duchu. Słyszał, jak stojący w pobliżu inżynierowie szepczą między sobą, zastanawiając się, co dokładnie miał na myśli Demir, mówiąc o „ataku”. Idrian mógł dostrzec w ich oczach obawę, że pierwsze, co spotka ich z rana, to śmierć. Jeśli Demir również to zauważył, nie dał tego po sobie poznać, zsiadł z konia i podszedł do Idriana.

– Tad – zawołał przez ramię. – Ustal potrójną wartość wypadku, gdyby Kerite dowiedziała się o naszej obecności; tancerze szkła powinni zająć się jej zwiadowcami, ale nigdy nic nie wiadomo. Pozostali muszą odpocząć, zasłużyli na to. Dzisiejszej nocy wstrzymajcie się od śpiewu. Ograniczcie hałas do minimum. Mika, mogę cię prosić na chwilę?

Demir przekazał lejce swego konia jednemu z piechurów Valienta, a następnie podszedł i objął Mikę ramieniem. Oddalając się, kobieta wybałuszyła oczy na Idriana; Demir szeptał jej coś do ucha, a Gromiciel zwrócił się do Tadeasa.

– Zamierzasz mi powiedzieć, co tu się, do cholery, dzieje? – zapytał.

Tadeas prychnął.

– Demir zrobi to we właściwym momencie. Po prostu musimy mu zaufać.

– Po co tak pędziliśmy, skoro teraz mamy rozbić obóz? Myślałem, że gdzieś się spieszymy, by po dotarciu na miejsce podjąć jakieś działania. – Idrian mógł usłyszeć irytację w swym głosie. Jemu również doskwierało wyczerpanie, mimo szkła mocy tkwiącego w uchu. Zacisnął pięści i odwrócił się lekko w stronę Demira, ten jednak zniknął już z Miką za zakrętem.

Tadeas poklepał go po ramieniu.

– Idź do obozu. Wydałem już rozkaz, by twój namiot rozłożono w pierwszej kolejności. Chcę, byś się zdrzemnął, więc

w razie potrzeby skorzystaj ze szkła otępiającego. Demir pragnie, żebyś o dwudziestą drugą wskoczył w zbroję.

– Czyli będziemy atakować nocą, tak? – spytał Idrian. – Tad. Tad! Nie odchodź, jak do ciebie mówię. A niech cię szkło!

– Idź spać! – zawołał Tadeas przez ramię, kierując się w dół kolumny. Idrian zaklął pod nosem. Nie miał zbyt dużego wyboru, równie dobrze mógł zrobić to, co mu kazano. W końcu nie wiedział, co będzie na niego czekać w nocy.



Idrian spał zaledwie przez kilka godzin – były nerwowe i nie przyniosły ukojenia, a ostatnie trzydzieści minut przed planowanym spotkaniem z Demirem spędził na zdrapywaniu brzytwą żółtych łusek szklanego trądu z ramion i nóg. Proces ten był stosunkowo bezbolesny i tym razem nie wyrządził sobie większych szkód. Omiótł wzrokiem kilka miejsc trwałego trądu na łydkach i biodrach oraz jedno na lewym ramieniu. Były łuskowate w dotyku i mimo że dałoby się je usunąć brzytwą, byłoby to cholernie bolesne, a w to miejsce i tak odrosłyby nowe.

Ludzie zakładali, że Odporni nie mogli nabawić się szklanego trądu, że byli wytrzymali na jego działanie. Chciał, żeby tak było. Wytrzymałość to coś innego niż odporność, a trąd mógł być równie bolesny dla Odpornego, jak i dla każdego innego człowieka.

Z namiotu wywabił go odgłos przepychanki, więc udał się na skraj obozu, gdzie Valient i kilku jego żołnierzy otaczało Squeaks. Widział ją po raz pierwszy od wydarzeń z Grentu, kiedy to pomagał wyciągnąć ją spod gruzów zawałonej kamienicy, i podchodząc do grupki, czuł się rozdrażniony.

– Dręczą cię, Squeaks? – zapytał.

Kobieta siedziała na pieńku pośrodku zgromadzonych, a Valient trzymał lampion tuż przy jej twarzy, przyglądając się jej oczom. Odwróciła się w kierunku Idriana.

– Na szkło! Dobrze, że jesteś, Idrianie. Mógłbyś im powiedzieć, że nie jestem szalona?

– Ona nie jest szalona – rzekł Idrian do Valienta.

– Hm – odparł Valient, chwytając Squeaks za podbródek i unosząc go, by spojrzeć w jej oczy. – Ale może być.

– Ma zwidy – wyjaśnił jeden z żołnierzy.

– Nie mam zwidów – upierała się Squeaks. Trzęsła się jak liść na wietrze, miała szeroko otwarte oczy i rozszerzone źrenice. – W lesie jest jakiś szkłolerny potwór.

Idrian zmarszczył brwi. Doskonale wiedział, jak to jest widzieć coś, czego w rzeczywistości nie było, i przez całą swoją wojskową karierę dokładnie analizował to zjawisko, tak aby nie miało ono wpływu na jego pracę. Czy Squeaks również popadała w obłąd? Może powinien zabrać ją na bok i porozmawiać o tym z dala od innych? Zamachnął się butem w jednego z piechurów.

– Dobra, przedstawienie skończone. Wyoście się stąd i zostawcie ją w spokoju. – Odczekał, aż zostaną tylko we trójkę, Valient, Squeaks i on, by zadać jej pytanie: – Jak wyglądał ten potwór?

Kobieta zadrżała.

– Jak... Szkłorwa, nie wiem! Jak potwór! Miał może z metr pięćdziesiąt wzrostu, był chudy i wąty, z długą szyją i świdrującymi małymi oczami. – Rozejrzała się dookoła, jakby szukając odpowiednich słów, po czym wskazała na swoją szczękę. – Miał długie, ostre zębiska, takie wystające...

– Coś jak przodozgryz? – zapytał Valient.

– Tak, coś takiego!

Idrian się skrzywił. Nie brzmiało to jak cienie, które sam widywał. Może uderzyła się w głowę w gruzach tamtej kamienicy albo podczas potyczki na Miedzianych Wzgórzach. Miał nadzieję, że nie. Ministerstwo Legionów zrobiło wyjątek w kwestii jego stanu psychicznego tylko dlatego, że był Odpornym i cholernie dobrym Gromicielem. Dla Squeaks tego nie zrobią. Wyrzucą ją bez względu na sprzeciw innych, a Fenny zostanie sama.

– Pewnie to był jakiś zdeformowany pies – zasugerował Valient.

Squeaks łypnęła na niego.

– To nie był pies. Byłam kiedyś w cyrku i wiem, jak wyglądają zniekształcone zwierzęta.

– A co się potem stało z tym potworem? – spytał łagodnie Idrian.

– To coś mnie zobaczyło, odwróciło się w moją stronę, popatrzyło tymi małymi czarnymi oczami i bach! Znikło.

– Dobra – powiedział Valient, wstając. Wymienił spojrzenia z Idrianem ponad Squeaks i pokręcił zirytowany głową. – Idź do Chwalebego po kawałek szkła otępiającego, a później się zdrzemnij. Zwalniam cię dziś z nocnej warty.

– Ale ja nie chcę się wymigiwać od obowiązków! – zaprotestowała. – Ja naprawdę...

– Nic nie widziałas – zapewnił ją Valient. – Daj sobie z tym spokój.

Squeaks wyglądała, jakby nie chciała dać za wygraną, ale po chwili opuściła ramiona.

– Tak, panie – odpowiedziała i wymknęła się, aby odszukać głównego chirurga batalionu.

Idrian odczekał, aż zniknie z pola widzenia, i zwrócił się do Valienta, który wpatrywał się w nią z grymasem niezadowolenia.

– Wszystko w porządku?

– Jakoś tak... nie najlepiej sobie radzimy – odparł Valient. – Przegrana z Kerite dała nam w kość.

– Ktoś jeszcze widział tego potwora?

– Nie. Nie ma tam żadnego szkolernego potwora, ale Squeaks nie jest jedyną osobą, która się dziś załamała. Morale są niskie, a wyczerpanie ogromne. – Westchnął. – Mam nadzieję, że Demir naprawdę ma jakiś plan.

„Albo wszyscy zginiemy w nieprzyjemny sposób”, brzmiała cicha aluzja.

Idrian skinął głową. Ze wszystkich sił chciał wierzyć w Księcia Błyskawic, ale wciąż nie mógł określić, która wersja Demira sprowadziła ich w tamto miejsce, tuż obok czających się w pobliżu wojsk nieprzyjaciela.

– Wiesz w ogóle, gdzie jesteśmy?

– Nie bardzo – odrzekł Valient. – Myślę, że Tad zna nasze dokładne położenie, ale wyruszył z Miką jakąś godzinę temu, razem z całym tym prochem, który przywiózł ze sobą Demir.

Na szkło im tyle prochu? Co zamierzali z tym zrobić? Mimo że znajdowali się gdzieś na zachód od Ossy, byli w dziczy stanowiącej teren łowiecki elit rodzinnych gildii. Nie było tam dosłownie nic do wysadzenia, no chyba że wielki plan Demira zakładał zniszczenie kilku domków myśliwskich. Nie trzymało się to kupy. Idrian ugryzł się jednak w język, zanim zdążył wypowiedzieć myśli na głos.

I dobrze się stało, bo chwilę później z ciemności wyłonił się Demir. Miał za pasem mały pistolet i rapier, a w lewym uchu kolczyk ze szkłem zmysłów. Na ramieniu zawisała mu szklana bańka, tkwiąca tam w ten osobliwy, niepokojący sposób, w jaki wielu tancerzy lubiło je trzymać w pogotowiu.

– Doszły mnie słuchy, że coś się tu dzieje. O co chodzi? – zapytał Valienta.

– Jedna z żołnerek trochę się zestresowała, panie. Już się tym zająłem.

– To dobrze. Idrian, zakładaj zbroję.

– Daj mi pięć minut – rzucił Idrian i wrócił do namiotu.

Znalazł Braileera, który pomógł mu ubrać zbroję, potem powiedział chłopakowi, żeby odpoczął przez noc, jeśli nie otrzyma innych rozkazów. Po powrocie zastał Demira stojącego samotnie na skraju obozu i wpatrującego się w las. Dzięki szkłu zmysłów umieszczonemu w zbroi otaczający go świat był jasny jak o poranku, co zapewniało Idrianowi dobrą widoczność w panującym mroku. Niecałe sto metrów dalej dostrzegł lisa; zwierzę zatrzymało się, aby spojrzeć w stronę obozu, po czym pognało przed siebie. Nieopodal przeleciała sowa, sfrunęła ku ziemi, a następnie wróciła na korony drzew.

– Jestem gotowy, panie – zameldował Demirowi.

Młodszy Grappo pozostał jeszcze moment w bezruchu, a później skinął głową i westchnął cicho. Wydawał się bardziej odprężony niż w Bingham, ale nie byli przecież w strefie czynnej wojny. Przynajmniej na razie.

– Chodźmy.

Idrian podążył za Demirem. Opuścili obóz i ruszyli wąską ścieżką przeznaczoną dla myśliwych, przez co Gromiciel musiał iść tuż za Grappem. Pomimo magicznych kolczyków Demir zdawał się poruszać zbyt pewnie; szedł szybko, skręcając na rozwidleniu, a po

kilkuset metrach ponownie, bez zastanowienia wybierał właściwą drogę. Przeszli przez wzgórze, zeszli przez wąwóz, a potem znów się wspięli, aby znaleźć się nad brzegiem niewielkiego jeziora.

– Za dzieciaka spędzałem tu wakacje – powiedział nagle Demir, odzywając się po raz pierwszy od momentu opuszczenia obozu.

– Och?

– To sztuczne jezioro – wyjaśnił, wskazując na spokojną wodę.

– Jeśli dobrze się przyjrzyysz, zauważysz chatkę leśniczego za tymi gęstymi trzcinami, a dalej w dole rzeki znajduje się rodowy domek myśliwski Kirkovików. Co jest cholernie głupią nazwą, bo w rzeczywistości jest on niemal tak wielki jak ich miejska posiadłość. Wraz z matką spędzaliśmy tu wiele letnich dni. Hammish Kirkovik zabierał mnie do lasu i tworzyliśmy na ziemi scenariusze bitewne przy użyciu patyków i liści. To on zasugerował mojej matce, żeby zorganizowała mi lekcje z prawdziwym taktykiem. Miałem wtedy zaledwie sześć lat.

Idrian nigdy nie był w domku myśliwskim Kirkovików, ani w żadnym tego rodzaju domostwie, ale widział je na mapie.

– To dobre miejsce na zasadzkę, tak? – zapytał.

– Nie tylko – rzucił Demir. Niczego więcej nie wytłumaczył.

Przez jakiś czas wędrowali wzdłuż jeziora. W pewnym momencie Idrian miał wrażenie, że widzi kogoś po drugiej stronie, ale gdy zwrócił na to uwagę Demira, ten tylko wzruszył ramionami. Może był to Tadeas z Miką i jej inżynierami? Co oni, szkłorwa, kombinowali? Jedyne, co przychodziło Idrianowi do głowy, to stwierdzenie, że pewnie zastawiali tam jakąś pułapkę. W sumie nie był to zły pomysł, zwłaszcza jeśli Demir naprawdę tak dobrze znał te lasy. Mogliby odciągnąć Kerite od rzeki wprost na te wzgórza i przysporzyć jej porządnych problemów. Tylko gdzie podziewała się cała kawaleria? W tych lasach była praktycznie bezużyteczna.

Demir zatrzymał się, nakazując Idrianowi gestem, by się zbliżył.

– Bądź w gotowości.

Idrian trzymał miecz i tarczę w pogotowiu, wyostrając zmysły i nasłuchując jakichkolwiek ruchów w zaroślach. Oddalili się od jeziora i zaczęli szybko wspinać się na grzbiet dość stromego

wzgórza. To była długa i wyczerpująca wędrówka, podczas której Idrian żałował, że nie udało mu się skraść kilku dodatkowych godzin snu. Szum magii podtrzymywał go na duchu, ale wkrótce poczuł lekkie mdłości wywołane przez szklany trąd i usłyszał szepty w zakamarkach umysłu. Wyglądało na to, że jego ciało nie odpoczęło wystarczająco od magii.

Po jakimś czasie Demir nakazał gestem niespodziewany postój i ukląkł w zaroślach. Idrian zrobił to samo. Minęło kilka minut, zanim Idrian usłyszał jakieś odległe głosy. Rzucił Demirowi pytające spojrzenie.

– Jesteśmy na szczycie Skały Kirkovika – wyjaśnił mu szeptem.
– Uznałem, że Kerite wysła tu zwiadowców. – Wykonał kolejny gest i zaczął się skradać. Idrian podążył za nim, uważnie obserwując flanki, gotów w każdym momencie skoczyć przed Demira z tarczą, gdyby ktoś ich zauważył.

Skała Kirkovika była masywnym, kamiennym wzgórzem, widocznym z niemal całej doliny rzeki Tien, dzielącej terytorium Ossy i Grentu. Znajdowała się półtora kilometra od rzeki i służyła za spektakularnego punktu widokowego. Skradali się jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, na sam szczyt szlaku, gdzie teren wyrównał się niespodziewanie. Znaleźli się na wierzchołku skały. Idrian dostrzegł przed sobą cztery skulone postacie, od których unosił się zapach dymu z papierosów i fajki. Mieli na sobie niebiesko-zielone mundury najemników i mówili po nasuudzku. Nie zachowywali się głośno, nie rozpalili ogniska, ale też nie starali się jakoś specjalnie pozostawać w ukryciu. W sumie dlaczego mieliby to robić? Stąd do rzeki nie powinno być żadnej żywej duszy.

Idrian wyciągnął rękę, żeby zatrzymać Demira.

– Ktoś siedzi pod drzewem, jakieś piętnaście metrów na lewo od nas – szepnął. – Wartownik.

– Nie żyje od trzydziestu sekund – odpowiedział Demir.

Po plecach Idriana przeszły ciarki. Od czasu do czasu dobrze było przypomnieć sobie, jak przerażający potrafią być tancerze szkła. Jakby dla podkreślenia tego faktu, jego wzrok przykuł niewielki odłamek, który niczym sokół zanurkował po swą ofiarę. Wystartował znad ramienia Demira, a sekundę później znajdujące

się przed nimi osoby jęknęły i upadły, jakby od poddmuchu niewidzialnego wiatru.

– Szklorwa mać – zaklął cicho Idrian. – Po co mnie tu sprowadziłeś?

– Sprawdź perymetr – polecił Demir.

– Zabieramy ich?

– Nie dzisiaj. I ani słowa o tym, co się tu wydarzyło. Chcę, by Kerite miała o czym rozmyślać.

Idrian zrobił to, co mu kazano. Znalazł dwóch kolejnych wartowników. Pierwszego udało mu się zaskoczyć – zabił kobietę, zanim zdążyła wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Kolejny zażądał podania jakiegoś hasła w języku Nasuudów, więc w odpowiedzi otrzymał dźgnięcie mieczem Idriana. Kilka minut później Idrian dołączył do Demira na szczycie wzgórza, gdzie Grappo przeniósł już zwłoki i zrzucił je w krzaki u dołu zbocza.

– Sprowadziłem cię tu – zaczął Demir, w końcu odpowiadając na pytanie Idriana – na wypadek gdyby Kerite mnie uprzedziła i ze swymi zwiadowcami wysłała jakiegoś Gromiciela.

Idrian skinął głową i przeszedł na przeciwną stronę wzgórza, gdzie kończyła się linia drzew, a zaczynała goła skała, z której rozpościerał się niezwykle widok. Po prawej błyszcząły światła delty Grentu, ciągnącej się w nieskończoność, a miasto wypływało od zachodu w ocean, zaś od południa wbijało się w odległe wzgórza. Po lewej znajdował się zakręt rzeki Tien i szereg wzgórz uniemożliwiający dobry wgląd w Ossę. Niespodziewanie uświadomił sobie, że z tego miejsca można było zobaczyć Fort Alameda. Bastion w większości osnuwał mrok, z wyjątkiem kilku światła w wartowniach. Twierdza była masywna i przerażająca, a jej gwiazdne fortyfikacje zdawały się niemożliwe do sforsowania. Idrian byłby pod ich wrażeniem, gdyby nie usłyszał raportu o ich faktycznym stanie.

– Nigdy nie sądziłem, że rozpościera się stąd aż tak piękny widok – rzekł do Demira. – Dlaczego nie ma tu wieży widokowej?

– Bo Kirkovik by na to nie pozwolił. A poza tym bliżej rzeki znajdują się lepsze wieże obserwacyjne. – Demir wskazał na trudne do zdefiniowania punkty, które jedynie połowicznie przypominały wieże strażnicze. Grappo poprowadził go wzdłuż wzgórza, aż

zaczęło ono opadać w stronę rzeki, po czym przechadzał się przez chwilę w kółko, zanim wybrał i usadowił się w odpowiednim miejscu. Wyglądał na całkowicie rozluźnionego, a towarzysząca mu podczas wędrówki milcząca ostrożność wyparowała. – Wystarczy już tego czuwania.

Idrian rozejrzył się dookoła. Nie było żadnych oznak zagrożenia, niczego, co uzasadniałoby konieczność noszenia przez niego zbroi.

– Mogę zdjąć hełm, panie?

– Nie krępuj się.

Czując się trochę niepewnie, Idrian ściągnął hełm, odłożył miecz i tarczę, a następnie usiadł na ziemi tuż obok Demira. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, aż w końcu jego irytacja wzięła górę.

– Panie – zaczął Idrian – jeśli to wszystko na dziś, to powinienem wrócić do Stalowych Taranów. Na tych wzgórzach może czaić się więcej zwiadowców Kerite, a nie chciałbym, aby niespodziewanie wpadł na nich jakiś Gromiciel.

Demir położył szklane bańki między kolanami i turlał je po ziemi.

– Zostań ze mną jeszcze przez chwilę – poprosił. – Jeśli spojrzysz na prawo od nas, zobaczysz brzeg jeziora, które mijaliśmy. Światło księżyca ładnie się od niego odbija. Jeśli zaś spojrzysz na wprost, a potem w dół... widzisz tamte światła?

Idrian zmrużył oczy, próbując zorientować się, gdzie patrzeć. Światła, o których mówił Demir, znajdowały się po północnej stronie rzeki i z pewnością nie było to oświetlone miasto. Gdy przyjrzał się uważniej, zdał sobie sprawę, że były to rozległe tereny zalewowe, uprawiane latem i jesienią, a pozostawiane samopas podczas wiosennych deszczów. W ostatnich latach leżały odłogiem, zaś uprawy ucierpiały z powodu nieczystości wrzucanych do Tieniu przez ossańskie Szklane Miasto leżące kilka kilometrów w górę rzeki.

Idrian wstrzymał na moment oddech.

– Czy to armia Grentu? – spytał.

– Tak. Są to zarówno żołnierze księcia, jak i najemnicy Kerite, wraz z setkami posiłków przybywającymi co godzinę z góry rzeki. Tuż przy północnym brzegu leży wyspa stanowiąca martwy punkt

w obronie Fortu Alameda. Kerite może ustawić tam artylerię i prowadzić ostrzał, nie narażając się na kontratak. Podejrzewam, że już to zrobiła i z samego rana rozpocznie bombardowanie. Ta pozycja ma wiele zalet: graniczy z rzeką, dzięki której można szybko uzyskać zaopatrzenie z Grentu, i znajduje się na miękkim gruncie, na który bardzo trudno byłoby nam uderzyć kawalerią. Nie mamy obecnie wystarczających sił, aby przeprowadzić frontalny atak, więc rozbije Fort Alameda w drobny mak, a następnie, w wolnym czasie, uderzy na niego z kilku stron.

Idrian wbił wzrok w Demira.

– Skąd ty to, szkłorwa, wszystko wiesz?

– Przez ostatnie kilka godzin koordynowałem działania z naszymi zwiadowcami i mam dostęp do wszystkich raportów szpiegowskich Wewnętrzznego Zgromadzenia. Jeśli chodzi o martwy punkt, to zauważyłem go podczas jednej z lekcji architektury wojskowej, kiedy miałem jedenaście lat. Powiedziałem o tym nauczycielowi, a on stwierdził, że gadam głupoty, więc jeszcze raz wszystko sprawdziłem, a gdy upewniłem się o swej racji, matka go zwolniła. – Przerwał na chwilę i zachichotał. – Wysłałem nawet list do Ministerstwa Legionów, aby wskazać na tę wadę, ale nigdy nie otrzymałem odpowiedzi, a oni nie podjęli żadnych starań, by to naprawić.

– I myślisz, że Kerite też o tym wie?

– Gdy tylko zobaczyłem ją obozującą na tym terenie, od razu wiedziałem, co zamierza.

– Wygląda na to, że aby ją stąd wyplenić, potrzebowalibyśmy dwukrotnie przebić liczebność jej armii.

– Co najmniej – przyznał Demir.

– Więc musimy to rozegrać defensywnie, tak? Nie mamy przecież innego wyboru, racja? – Demir zerknął na niego z ukosa, rzucając mu nieodgadnione spojrzenie. Nie odpowiedział. Ośmielony brakiem nagany, kontynuował: – Dlaczego w takim razie powiedziałeś Tadeasowi, że przechodzimy do ofensywy?

– Bo tak też zrobimy.

– Kiedy?

– Dziś w nocy.

Słowo „bzdura” niemalże wymknęło się Idrianowi z ust. Wypowiadając je, przekroczyłyby pewną granicę, więc cieszył się, że udało mu się powstrzymać. Ale o co, do cholery, chodziło Demirowi? Wspomniał wcześniej, że miękki grunt, na którym obozowała Kerite, nie nadaje się dla kawalerii. Gdzie w takim razie wysłał ten tysiąc kirasjerów? To wszystko nie miało sensu, a Idrian zauważył, że staje się przez to niespokojny.

Zapadła noc. Minęła godzina, potem kolejna. Idrian odmierzał czas na podstawie ruchu księżyca i starał się zmusić do czerpania radości z panującej wokół ciszy. Towarzystwo Demira było przyjemne: opowiedział trochę o pobycie na prowincji, przytaczając anegdoty o okradaniu prowincjonalnych bukmacherów, w co Idrian niekoniecznie wierzył, ale uważał je za całkiem zabawne. Gromiciel odwzajemnił się tym samym, wspominając kampanię w odległym Marn, podczas której zaprzyjaźnili się z Tadeasem. Już prawie zapomniał, po co tu przybyli – a raczej niewielki skrawek tego, co zdradził mu Demir – gdy zauważył światła majaczące wśród niższych wzgórz. Szturchnął Demira w ramię i wskazał na te punkty. Demir wpatrywał się w nie przez chwilę, potem się odezwał.

– Po ich szybkości wnioskuje, że to dragoni. Jest ich z pięćdziesięciu. Pewnie wysłano ich, aby splądrowali domki myśliwskie członków rodzinnych gildii. Jakoś przecież trzeba zapłacić za wojnę, co nie?

Idrian sięgnął po hełm.

– Nie powinniśmy ich zatrzymać? Biorąc pod uwagę element zaskoczenia, myślę, że damy im radę.

– Hmm... – Demir sprawdził kieszonkowy zegarek. – Gdyby przyjechali pół godziny temu, przystałbym na twoją propozycję. Ale teraz nie ma już takiej potrzeby. Droga, którą podążają, prowadzi w górę dopływu, wprost do terenów łowieckich Kirkovika.

Idrian spoglądał na przesuwający się ciąg pochodni. Na sam ich widok swędziało go całe ciało.

– Powinniśmy ostrzec Tadeasa – powiedział w końcu.

– Nie.

– Panie!

Demir się uśmiechnął.

– Tad ma tam wartowników. Zobacz, że się zbliżają. Ale nie będą stanowić żadnego zagrożenia.

Mijały kolejne minuty. Dragoni podjechali niebezpiecznie blisko brzegu jeziora, które Idrian mógł obserwować ponad koronami drzew. Nie słyszał, żeby podniósł się jakiś alarm, nie widział żadnego ruchu Stalowych Taranów pośród drzew. Pięćdziesięciu dragonów mogło wydawać się niewielką grupą w porównaniu z batalionem inżynierów, ale obie grupy natknęłyby się na siebie w ciemności, co spowodowałoby straty w ludziach, a dodatkowo dragoni wróciliby szybko do Kerite i zdradzili jej pozycje ossańskich wojsk. Idrian zerwał się na równe nogi.

– Panie, nie mogę...

– Zaczekaj! – rzucił Demir, przerywając mu w pół słowa i stając obok. Trzymał w ręku kieszonkowy zegarek i skupiał się na dragonach. – Czeekaj! – powtórzył, przeciągając to słowo. Pomimo ciemności jego spojrzenie błyszczało intensywnością. – Teraz! – wyszeptał po kilku sekundach.

Nic się nie stało. Idrian spojrzał na Demira, potem na dragonów, a następnie z powrotem na Demira. Otworzył usta, lecz słowa, które chciał wypowiedzieć, uleciały pod wpływem głębokiego uderzenia, przeszywającego skalistą ziemię i jego kości. Dźwięk dobiegał z pozycji stacjonowania Stalowych Taranów. W dole pod nimi zatrzymała się kompania dragonów, a ich pochodnie migotały niepewnie w mroku.

– Co się stało? – szepnął Idrian do Demira.

– Słuchaj!

Idrian odwrócił się, wyęzając wszystkie zmysły. Cały świat zamarł. Nie docierał do nich żaden dźwięk. Z wyjątkiem... Przekręcił głowę. Miał wrażenie, jakby szum krwi przepływającej mu przez uszy stawał się coraz głośniejszy. To nie miało sensu. Idrian wpatrywał się w ciemność, żałując, że jakość jego szkła zmysłów nie była lepsza, gdy nagle pochodnie kompanii dragonów zaczęły po prostu... gasnąć. Nie wszystkie naraz. Światła znikwały jedno po drugim, w dość szybkim tempie, a Idrian z przerażeniem pomieszanim z fascynacją wpatrywał się, jak ziemia zdaje się ich pochłaniać. Usłyszał chyba kilka krzyków, ale trudno mu było je wychwycić przez szum w uszach. Powoli zaczęło do niego docierać,

co właściwie się stało, i szukał odpowiednich słów, zanim w końcu zwrócił się do Demira.

– To sztuczne jezioro... Czy ty właśnie wysadziłeś tamę?

Demir nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Stał zastygły, trzymając przed sobą kieszonkowy zegarek, niczym konduktor pilnujący czasu przyjazdu. Mijały sekundy, a potem minuty, aż w końcu szum w uszach Idriana zaczął stopniowo cichnąć.

– Jeśli – odezwał się w końcu Demir – prawidłowo to obliczyłem, to lada moment powinna się tu pojawić woda.

Idrian spojrzał w kierunku obozu Kerite. Jedne po drugim, w równie szybkim tempie co pochodnie dragonów, zaczęły gasnąć palące się tam ogniska. Proces ten był cichy, a zarazem upiorny, jakby jakiś olbrzym nakrył kocem całe zbiorowisko. Atramentowa czerń rozlała się wzdłuż powodziowych równin, a z oddali dobiegły stłumione okrzyki.

– Czy ty właśnie zalałeś cały Grent? – zapytał Idrian, drętwiejąc z przerażenia.

– Oczywiście, że nie. Nie jestem potworem. Zresztą system przeciwpowodziowy Grentu jest zbyt dobry, a to jezioro, wysadzone właśnie przez Mikę, zbyt małe. Ale tereny zalewowe, na których stacjonuje obecnie Kerite, są specjalnie przeznaczone właśnie do zalania.

– A co z naszą kawalerią? – dociekał Idrian. I jakby w odpowiedzi na swe pytanie usłyszał nagle odległe trzaski muszkietów, karabinów i pistoletów. Zdawało mu się, że dostrzegł błysk wylotowy na północno-zachodnim krańcu rozlewisk. Nie, to nie było złudzenie, to na pewno był błysk wylotowy. Rozpoczęła się jakaś bitwa.

– Żołnierze Kerite, których nie zmyło z powierzchni, będą próbowali przedrzeć się ku wyżej położonym terenom na drodze między Grentem a Ossą. A nasze dwa bataliony już tam na nich czekają.

– Atak kawalerii? I to w nocy?

– Miałem dziś możliwość skonfiskowania dość dużego ładunku bardzo cennego szkła zmysłów z magazynu Magnów i rozdania go naszym kirasjerom.

Idrian nie mógł oderwać wzroku od rozgrywającej się na jego oczach sceny. Co prawda trudno było coś dojrzeć w ciemności, nawet z pomocą magii, ale mógł chociaż częściowo pojąć, co się tam działo. Było to niszczycielskie i brutalne, i z jakiegoś powodu przyprawiało go o zawroty głowy. Demir nie mógł stanąć do walki z Kerite na polu bitwy, więc wyzwolił przeciwko niej siły natury.

– Chciałeś, żebym to zobaczył, prawda? – zapytał jednym tchem Idrian.

Demir milczał przez chwilę, wpatrując się w dal. Po czym się odezwał:

– Wiem, co o mnie mówią żołnierze, nawet ci spośród Stalowych Taranów. Wiem, że uważają mnie za szaleńca, za przegranego, za kogoś, komu nie można ufać, a tym bardziej powierzyć swego życia. Chciałem, żebyś to zobaczył. Ponieważ Tadeas może i jest głową Stalowych, ale to ty jesteś ich bijącym sercem i chęc, byś zrozumiał, że może i mają co do mnie rację, lecz nadal jest we mnie trochę z Księcia Błyskawic. – Demir odwrócił się nagle, schował zegarek i ruszył w kierunku, z którego przyszli. Zatrzymał się jednak po kilku krokach i dodał: – A przede wszystkim chciałem, żebyś na własne oczy zobaczył, że Kerite nie jest niezniszczalna. Można ją pokonać, i to też zrobię. Chodź, wracajmy do obozu.

Idrian oderwał wzrok od horyzontu i skierował go na odchodzącą sylwetkę młodego Grappa. Nadal miał w sobie wszystkie wątpliwości i obawy z ostatnich tygodni, kłębiły się w jego głowie i sercu, ale słowa Demira zdołały jakoś je uciszyć. Księżę Błyskawic powrócił i zrobi wszystko, by ocalić Oszę.



Kizzie mknęła przez dziedziniec niewielkiej posiadłości na obrzeżach Ossy. Dochodziła pierwsza w nocy i świat wydawał się niezwykle spokojny. Cisza dobiegająca z Grentu, gdzie od ponad tygodnia trwała wymiana ognia, była ogluszająca. Dwa dni od klęski ossańskich wojsk gazety starały się przedstawić wojnę w jak najlepszym świetle, ale nad stolicą i tak unosiła się gęsta atmosfera grozy. Mieszkańcy mieli świadomość, że prawdziwe straty utajniono, a plotki rozchodzące się po każdym zakamarku Ossy głosiły, iż posiłki nadejdą najszybciej dopiero za kilka tygodni. Każdy chciał wiedzieć, kto przejmie dowództwo nad Legią Cudzoziemską po śmierci Stavriego. A tysiące mieszkańców uciekło w popłochu na prowincję.

Kizzie nie zawracała sobie głowy następcą Stavriego. Dużo bardziej interesował ją jego młodszy brat – członek Szklanego Ostrza i szantażysta. W chaotycznym gąszczu zdarzeń rodzina Agrippa Stavriego wydawała się zapomniana. W ich domu panowały półmrok i bezruch, większość domowników wysłano za miasto, a służbę zwolniono. Nie było ochroniarzy ani egzekutorów, tylko

kilku gwardzistów, przechadzających się powoli wokół zewnętrznych granic ogrodu. Z łatwością można było ich ominąć. Kizzie dotarła na patio i na chwilę przykucnęła pod oknem znajdującego się na parterze gabinetu. Szyby w tym pomieszczeniu wykonano ze szkła młota, co uniemożliwiało zastosowanie magii. Wyciągnięty z buta wojskowy nóż ze szkła brzytwy okazał się jednak niezwykle skuteczny. Za jego pomocą przecięła zamek i pchnęła okno, szybko wślizgując się do środka.

Już w pomieszczeniu zatrzymała się na moment, aby założyć parę silnie rezonujących kolczyków ze szkłem zmysłów, pożyczonych ze zbrojowni egzekutorów rodzinnej gildii Vorcienów. Dzięki nim widziała gabinet Agrippa wyraźnie jak za dnia, słyszała nawet najcichsze popiskiwanie myszy w piwnicy, a jej nozdrza wypełniły się tysiącem niemal uspionych zapachów. Była to genialna, szalenie droga magia. Wyostrzył się u niej również zmysł dotyku i to do tego stopnia, że delikatne stuknięcie w palec powodowało istną agonię.

Kizzie zamarła, nasłuchując uważnie i próbując oddzielić odgłosy otaczającego ją świata od bicia własnego serca. Żadnych kroków, żadnych rozmów. Gdzieś daleko, w odległej części posiadłości, ktoś cicho płakał. Prawdopodobnie wdowa.

Upewniwszy się, że nikt jej nie przeszkodzi, Kizzie zrobiła pierwszy krok. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać obezwładniającą moc zmysłów, między innymi mijając pachnące perfumami rzeczy czy skrzypiące stare deski. Gabinet wyglądał dokładnie tak samo jak wszystkie tego typu pomieszczenia członków rodzinnych gildii: był to duży pokój ozdobiony wbudowanymi półkami na książki, barkiem i przeszkloną gablotką na broń. Stoły były pokryte najprzeróżniejszymi przedmiotami, a na wielkim biurku stał globus – mogłaby przysiąc, że identyczny ma każdy cholerny członek ossańskiej elity.

Kizzie przyglądała się dosłownie wszystkiemu. Podnosiła ozdobne popiersia, grzebała w szufladach, sprawdzała, czy za gobelinami i obrazami nie ma ukrytych sejfów. Szukała jakichkolwiek materiałów stanowiących potencjalny dowód szantażu, co do których natury nie miała pewności. Mogły to być obciążające kogoś księgi rachunkowe lub listy, cokolwiek, co mogło

znajdować się niemal wszędzie w tym ogromnym pokoju. Nie miała w sobie zbyt dużo optymizmu, ale musiała się skupić i liczyć na to, że Agrippa nie był na tyle przewrażliwiony, by ukryć podejrzane dokumenty u przyjaciela lub w skrytce bankowej.

Nie znalazła nic w biurku, podobnie jak pod ściennymi dekoracjami. Skradając się na czworakach, szukała śladów osobliwych zadrapań na drewnianej podłodze lub odbarwień wskazujących na częste przesuwanie dywanu. Znowu nic.

Mijały godziny, a jej frustracja rosła. Dobiegający z odległego pokoju płacz już dawno ucichł. Ktoś przeszedł obok gabinetu, nie zatrzymując się, a następnie wrócił tą samą drogą. Zaczęła się denerwować. Ile czasu minie, nim nadejdzie świt, a do pokoju wejdzie niespokojna wdowa po Agrippie czy grupa egzekutorów sprawdzi dom?

Dopiero półki z książkami nagrodziły jej wytrwałość. Kizzie wyjmowała jedną po drugiej, przeglądając każdą z nich do momentu, aż egzemplarz *Safickiego kompendium Turia* zdradził swego zmarłego właściciela. W środku znajdowała się garść listów oraz coś, co przypominało zestaw rozkazów wojskowych. Porównała listy z tym, który wykradła ze zwłok Agrippa. Pismo było identyczne. Odwróciła korespondencję w poszukiwaniu informacji o nadawcy. Tylko jeden z nich – ten pierwszy, zanim ofiara szantażu poszła po rozum do głowy – miał adres zwrotny. Kizzie odczytała adres i niemal wybuchła śmiechem pod wpływem szoku. Następnie przeczytała go ponownie. Czowała, jak uginają się pod nią kolana. Opadła na podłogę, odłożyła list na bok i sięgnęła po pismo wojskowe. Jego treść brzmiała następująco:

Pilne. Do wiadomości wszystkich oficerów: Demir Grappo wydał rozkaz splądrowania Holikanu. Należy działać bezzwłocznie.

Capric Vorcien

Kizzie przecesała dłonią włosy. Niewiele mówiło się o wydarzeniach z Holikanu. Nic w zasadzie z nich nie wynikło. Miasto splądrowano, Demir się załamał, a potem Adriana wraz ze

Zgromadzeniem zatuszowali całą sprawę. Zwykli mieszkańcy niewiele mogli znaleźć na ten temat w książkach historycznych, a wszelkie informacje przekazywano ustnie. Była to jedna z największych prób ukrycia prawdy od stuleci. Wśród plotkujących panowało przekonanie, że Książę Błyskawic odurzony władzą wydał rozkaz splądrowania miasta, a następnego ranka dopadły go wyrzuty sumienia.

Kizzie starała się za wiele o tym nie myśleć. Trudno było jej uwierzyć, że przyjaciel z dzieciństwa okazał się szaleńcem. A oto w jej dłoniach znajdował się dowód potwierdzający to przekonanie. Capric, jej przyrodni brat, wydał ten rozkaz. Nie Demir. Kizzie próbowała przełknąć ślinę, ale jej język był suchy jak piasek. Rozejrzała się w poszukiwaniu szklanki z wodą, nim przypomniała sobie, gdzie tak naprawdę się znajduje.

Opuściła posiadłość, trzymając w rękach dowody podwójnej winy Caprica, i nie mogła zebrać myśli, dopóki nie odjechała stamtąd w bezpiecznym wnętrzu wynajętego powozu. Pocierała palcem pismo wojskowe, zastanawiając się, ile mogło być warte. Ile zapłaciłby Capric, żeby je odzyskać? Ile dałoby Ministerstwo Legionów, by dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się w Holikanie? A Demir... Co z Demirem?

Otwierała listy jeden po drugim, uważnie czytając całą korespondencję między Capricem a jego szantażystą. Były w niej groźby, pretensje, błagania i odmowy. W końcu Capric się poddał, zgadzając się na każde żądanie. Ostatni list, datowany na dzień zabójstwa Adriany, zawierał tylko jedno słowo: „Załatwione”.

Co miała zrobić z tymi informacjami? Sprzedać je? Przekazać Demirowi? A może Capricowi? Kizzie poczuła głód własnej chciwości. Dzięki tym dwóm informacjom mogła z powrotem wkupić się w łaski Ojca Vorciena. Mógł być w to zamieszany, a może i nie, z pewnością jednak chciałby, żeby cała sprawa została na dobre pogrzebana. Pewnie jej powie, że Demir nigdy nie może się dowiedzieć o żadnej ze zdrad, że trzeba chronić Caprica i nazwisko rodzinnej gildii Vorcienów.

Oparła się o siedzenie, walcząc ze sobą. Wsunęła rękę do kieszeni i coś w niej znalazła. Był to kawałeczek woskowanego papieru pachnącego delikatnie toffi. Wraz z zapachem nadeszła fala

wspomnień. Przypomniało jej się, jak bawiła się z Demirem i Montegiem na podłodze w gabinecie Adriany, i dziesiątki sytuacji, w których Adriana okazywała jej życzliwość w sposób, w jaki jej własna rodzina nigdy by tego nie zrobiła: kolacja przy uroczystym stole, prezenty na urodziny, mycie włosów po upadku w błoto.

– Sprawiedliwości nie stanie się zadość – wyszeptła Kizzie. – Nie tym razem. Bardzo mi przykro, Adriano. – Spuściła wzrok na trzymane w jednej dłoni listy, a następnie na pismo wojskowe w drugiej. – Może jednak uda mi się jakoś zamknąć sprawę Demira. – Uniosła rękę i uderzyła w dach powozu. – Do posiadłości Vorcienów – rozkazała.



Kizzie siedziała przed gabinetem Ojca Vorciena, stukając palcami w kolano. Na szczęście o tej wczesnej porze w foyer wiało pustką, a jej jedynym towarzyszem był młody mężczyzna pachnący węglowym miałem. Czekala tam już od godziny, starając się usunąć z twarzy jakikolwiek ślad emocji poza znudzeniem i odrobiną zniecierpliwienia. Wsłuchując się w tykanie stojącego zegara, uświadomiła sobie boleśnie swą niepewną pozycję w rodzinnej gildii.

Drzwi w końcu się otworzyły i Diaguni skinął głową, dając Kizzie przyzwolenie na spotkanie się z ojcem. Kizzie weszła do środka, zatrzymała się przed jego fotelem i uklękła, aby ucałować krzemowy symbol. Mężczyzna wpatrywał się w nią lekko zdezorientowany.

– Czy Demirowi udało się już stworzyć działający portal feniksa? – spytał Ojciec Vorcien.

– Nie.

– Skąd w takim razie ta nagła prośba o audiencję? Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, moja bękartia córko, i nie lubię, gdy ktoś marnuje mój czas.

Kizzie puściła mimo uszu groźbę ukrytą w jego słowach. Wiedziała, że na to, co mu zaraz pokaże, znajdzie czas. Wyjęła z kieszeni stos listów i rzuciła je na stolik obok fotela Ojca Vorciena.

– Co to jest? – zapytał, stukając w nie palcem.

– To korespondencja między Agrippem Stavrim a człowiekiem, którego szantażem zmusił do pomocy w morderstwie Adriany Grappo.

– A kim niby jest ta nieszczęsna duszyczka?

– Twoim czwartym dzieckiem, Capricem.

Kizzie nigdy wcześniej nie widziała zaskoczenia na twarzy ojca. Wybałuszył lekko oczy, a palce zawisły mu tuż nad stosem listów. Przeskakiwał wzrokiem z korespondencji na Kizzie i z powrotem, trwając w milczeniu przez niezręcznie długą chwilę, zanim ponownie się odezwał.

– Jesteś pewna?

– Pierwszy list opatrzony jest adresem zwrotnym – oznajmiła Kizzie. – Ponadto cała korespondencja odpowiada jego charakterowi pisma.

– Diaguni! – zawołał Ojciec Vorcien. – Przesuń, proszę, moje kolejne spotkanie o dwadzieścia minut. – Potem przeczytał każdy z listów, dokładnie tak samo, jak zrobiła to wcześniej Kizzie w powozie. Dziewczyna czekała w milczeniu, nie zwracając uwagi na krople potu spływające jej po plecach. Skończywszy czytać, chwycił w ręce cały stos i dokładnie go ułożył, wyrównując wszystkie krawędzie, a jednocześnie wpatrując się gdzieś w dal. Następnie zapytał bardzo ostrożnie, ważąc każde kolejne słowo. – Powiedziałaś o tym Demirowi?

– Oczywiście, że nie – prychnęła Kizzie. – Od razu tu przyjechałam.

– A gdzie są te kompromitujące materiały?

Kizzie wzruszyła ramionami, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Nie mam pojęcia. Listy odnoszą się do jakiegoś ważnego pisma wojskowego. Capric był oficerem przez ile lat? Siedem? Może chodzić dosłownie o wszystko. – Przechyliła głowę, przyglądając się ojcu, serce biło jej nierównomiernie ze stresu. Czy już kiedyś zdarzyło jej się okłamać go prosto w oczy? Czy kiedykolwiek wcześniej się na to odważyła? – Może jest gdzieś w skrytce bankowej albo nigdy nie był w posiadaniu Stavriego.

– Co masz na myśli?

– Odkryłam czterech z sześciu zabójców Adriany. Grencki agent, Churian Dorlani, Glissandi Magna, no i Capric. Churian otrzymał rozkaz od swojej babki. Grenckiego agenta wysłał brat księcia. Glissandi wolała popełnić samobójstwo, zamiast wyznać prawdę przy użyciu szkła dyscypliny. A Capric był szantażowany przez Agrippa Stavriego. Osoby wydające polecenia łączy jedno: przynależność do tego samego Stowarzyszenia Fulgurytów.

– Którego?

– Szklanego Ostrza.

– Nigdy o nim nie słyszałem – prychnął Ojciec Vorcien.

– Zdaje się, że jest ono w samym centrum wydarzeń – stwierdziła Kizzie. – I jeśli ktoś miałby posiadać materiały na Caprica, to pewnie byłby to jeden z jego członków. – Pogrzebała w kieszeniach i znalazła listę od Goriana. – Oto ich spis. Nie sądzę, żeby ta lista była kompletna, ale pomogła mi nadać pewien kierunek śledztwu.

Ojciec Vorcien rzucił okiem na kartkę; nie wyglądał na zadowolonego.

– Na tej liście jest zbyt wiele ważnych osób, bym nie znał nazwy tego stowarzyszenia.

– Sprawiają wrażenie dość skrytych, ale Gwardia Narodowa ma ich na oku.

– Gwardia Narodowa ma na oku każde stowarzyszenie. Sporządź dla mnie kopię tej listy i zostaw ją u Diagoniego.

– Dobrze.

Ojciec Vorcien oparł czubki palców o brodę, wpatrując się najpierw w jedną, a następnie w drugą stronę pokoju. Jeśli podejrzewał, że coś przed nim ukrywa, nie dał tego po sobie poznać. Przez chwilę wyglądał, jakby medytował, po czym się ocknął.

– Nikt nie może się dowiedzieć o udziale Caprica w zabójstwie Adriany.

– Rozumiem.

Zmierzył ją surowo wzrokiem.

– Nie powiesz o tym Demirowi?

– Że mój przyrodni brat zabił jego matkę? Absolutnie nie. – Nie kłamała. Odegrała w myślach podobną scenkę, oczekując na

rozmowę z ojcem. Nawet jej wewnętrzny dialog był wyjątkowo nieprzyjemny.

– A co z twoimi osobistymi przekonaniami?

– Adriana zawsze była dla mnie bardzo miła. Wiem, że jako bękarca nie mam zbyt dużo do powiedzenia, ale... nie zdołam już spojrzeć Capricowi w oczy. – Kolejna prawda.

– Wiesz, że nie poniesie żadnych konsekwencji swego czynu.

Kizzie się wzdrygnęła. Domyślała się tego.

– Wiem.

Ojciec Vorcien pochylił się i przez jakiś czas przyglądał się jej twarzy, aż w końcu umościł się wygodnie w fotelu.

– Bardzo chciałabyś powiedzieć o tym Demirovi – stwierdził.

– Widzę to w twoich oczach. A jednak zamiast udać się bezpośrednio do niego, przyszedłaś do mnie. Dokonałaś właściwego wyboru, Kissandro. – Oparł dłoń na stosie korespondencji, dając jej do zrozumienia, że są od teraz w jego posiadaniu. – Chciałabyś coś jeszcze dodać w temacie twego śledztwa?

– Pozostało mi dwóch morderców do zidentyfikowania. Aelia Dorlani i brat księcia są poza moim zasięgiem, ale może ktoś z pozostałej dwójki udzieli mi jakichś sensownych odpowiedzi. Ktoś musiał to wszystko zaplanować. Mam zamiar dowiedzieć się, kto za tym stoi, i zebrać przeciwko tej osobie jakieś dowody.

Ojciec Vorcien miał nieobecne spojrzenie i zaciśnięte usta, a jego twarz przybrała wyraz, który za młodu Kizzie zwykła nazywać „miną decyzyjną”. W końcu się odezwał.

– Znajdź pozostałych dwóch zabójców i dowiedz się, dlaczego to zrobili. A kiedy to zrobisz, oczekuję, że to mnie poinformujesz o tym pierwszego. Nie mogę dopuścić, aby Demir rozpętał wojnę między rodzinnymi gildiami, ale to, co mamy na Aelię Dorlani, pozwoli nam w pewnym sensie wymierzyć sprawiedliwość i wzbogacić ród Vorcienów.

Kizzie przełknęła.

– Dobrze, ojczu.

– Cała ta sprawa ma o wiele głębszy sens niż samo zabicie Adriany i może wpłynąć na dalsze losy Imperium. Przyjdź ponownie wieczorem. Zbiorę od moich szpiegów informacje o tym stowarzyszeniu i ci je udostępnię.

– To bardzo wspaniałomyślne, ojczu.

– To nie jest wspaniałomyślne, córko. To leży w moim interesie. A teraz idź już.

Córko. Nie bękarcia córko. Po prostu córko. Docenił ją i nienawidziła siebie za radość, jaką jej to sprawiło. Gdy wychodziła z gabinetu, serce waliło jej jak oszalałe. Przemierzając żwirową ścieżkę otaczającą posiadłość Vorcienów, podświadomie spodziewała się, że zaraz ktoś się na nią rzuci i ją przeszuka. Ale nic takiego nie nastąpiło. Na końcu drogi wezwała powóz. Wyjeżdżając z Dzielnicy Rodzinnej i wracając do centrum miasta, zastanawiała się nad pismem wojskowym tkwiącym w jej kieszeni.

Dość dobrze znała Demira. Bez względu na konsekwencje zamierzał pomścić śmierć matki, ale sprawa z Holikanu była już odległą historią. Dowiedziawszy się o udziale Caprica w tamtej masakrze, zareaguje na chłodno, kalkulując, jak na prawdziwego ossańskiego polityka przystało. Ojciec Vorcien nie miał racji. Sprawiedliwość zostanie wymierzona. Ale ani on, ani Capric nie będą jej świadkami.

Kizzie trzykrotnie zmieniała powozy, aby upewnić się, że nikt jej nie śledzi, a następnie przeszła kilka ostatnich przecznic, by w końcu znaleźć się przy biurku urzędnika pocztowego na skraju Żużła.

– To nie wymaga adresu zwrotnego – powiedziała urzędnikowi, wsuwając wojskowe pismo do koperty. – Wyślij to do Breenena Alvariego z hotelu Hiacynt.



Pot łał się Thessie po czole, gdy ostrożnie dociskała i obracała masywne ręczne wiertło, przewiercając się bezpośrednio przez środek szkła błysku. Było ono unieruchomione prostopadle do podłoża, więc dla równowagi stała nad nim na drabinie. Wiertło pochodziło z pozamiejskiego kamieniołomu. Stworzono je dla kamieniarzy i murarzy, a ona używała go, aby skutecznie przekształcić długi kawałek szkła błysku w coś na kształt rurki, którą mogłaby poprowadzić miedziany przewód. Praca ta zajęła jej niemal cały dzień. Otarła czoło skrawkiem ciężkiego fartucha, sprawdzając wszystkie zaciski, potem jeszcze raz wwierciała się w otwór. Za nią buchał piec, nieprzyjemnie ogrzewając cały warsztat.

– Czyli tak wygląda szkło błysku? – zapytała Pari, pojawiając się w drzwiach małej huty i wyglądając na wyraźnie skrępowaną swą fioletową szatą pracownika Grappów. Jej sylwetkę okalała panująca na zewnątrz ciemność i Thessa po raz kolejny zdała sobie sprawę, że straciła rachubę czasu. Nie zauważyła nawet, kiedy

zaszło słońce ani kiedy hotelowy personel zapalił lampy w środku i wokół warsztatu.

– Szybko! – poleciła jej Thessa. – Podejdź tu i dociśnij tamten zacisk. Tylko odrobinę!

Pari posłusznie wykonała to, o co ją proszono, a Thessa wierciła jeszcze chwilę.

– Nigdy nie widziałaś szkła błysku? – spytała Thessa.

– Raz za dzieciaka, w muzeum. Ale tamto było o wiele mniejsze.

– Złap je jedną ręką tu, a drugą tam. Trzymaj pewnie i daj znać, kiedy zobaczysz piasek wydobywający się z dołu.

Hutniczka wykonała powolny obrót wiertła.

– Piasek! – krzyknęła Pari. – To zdecydowanie piasek.

– Świetnie. Już prawie koniec. – Thessa chwyciła mocno wiertło, utrzymując jego ciężar drżącymi rękami, aby nie wpadło do środka, kiedy przewierci się na wylot. Wykonała kolejny obrót i poczuła, że magiczne szkło ustępuje. Pociągnęła wtedy ostrożnie za wiertło, wyciągając je przez wywiercony otwór i podając narzędzie Pari. Patrząc z góry, mogła dostrzec podłogę. – Doskonale – westchnęła i zeszła z drabiny. – Skończyłaś spotkanie z Breenenem?

Pari przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę i pociągnęła za purpurową tunikę.

– Nigdy wcześniej nie musiałam zobowiązywać się do zachowania tajemnicy i to przy użyciu szkła dyscypliny. On chyba mnie nie lubi.

– Breenen dba o bezpieczeństwo hotelu i projektów Demira. Pamiętaj tylko, że nie pracujesz dla niego, a dla mnie.

– Myślałam, że to twój projekt.

– To nasz projekt. – Thessa usiadła na krześle i potarła kark. Zesztywniała i zdrętwiała od dźwigania wiertła i cieszyła się, że Pari mogła wreszcie jej pomóc. Dodatkowa para rąk była nieoceniona.

Pari kręciła się, spoglądając na szkło błysku, a następnie na dużą obręcz ze szkła potęgi, którą Thessa wykonała poprzedniego dnia.

– W niczym nie przypomina to tworów ze szkła bożego, jakie do tej pory widziałam.

– Bo nie jest to zwykły twór. – Thessa długo zastanawiała się nad tym, co właściwie powinna zdradzić Pari. Z tego, co wiedziała, tylko Demir i Montego mieli świadomość, nad czym pracuje. Reszta personelu, w tym Breenen i Tirana, wiedzieli tylko tyle, że jej praca jest ważna i nic poza tym. Ale jeśli Thessa miała ukończyć portal feniksa tak szybko, jak tego chciała, potrzebowała asystentki i to takiej, której nie będzie trzymać w niewiedzy. – To urządzenie zmieniające energię w magię, dzięki któremu będzie można ponownie naładować szkła boże.

Zajęło to kilka sekund, ale twarz Pari powoli zmieniła się z pełnej wątpliwości w pełną zdziwienia.

– Och. Och! To dlatego musiałam zobowiązać się do zachowania tajemnicy.

Thessa zachichotała i odwróciła się, dostrzegając przez okno portiera przechodzącego przez ogród. Młodzieniec zatrzymał się przy drzwiach tuż za Pari.

– Panno Foleer, dostarczono dla panny przesyłkę od... – Urwał, aby sprawdzić nazwę firmy zapisanej na trzymanej w dłoni karteczce. – Ossańskiego dystrybutora spółki Volos.

– Ach! Mój piorunochron. Zabierz go na dach. Niedługo przyjdę go zobaczyć. – Thessa krążyła po wnętrzu niewielkiej huty szkła, robiąc notatki i werbalizując myśli. Pokrótce wprowadziła Pari w temat piorunochronu, udzielając tych samych informacji, które przekazał jej sprzedawca w księgarni, a następnie pokazała dziewczynie szkice swego projektu. – Jeśli piorun trafi w dach, uderzy w tę głowicę, przejdzie po miedzianym przewodzie przez zaizolowany portal feniksa, a potem bez jakiegokolwiek szkody do ziemi.

Pari wpatrywała się w nią z przerażeniem.

– Chcesz ściągnąć na siebie pioruny? To szaleństwo!

– To całkiem bezpieczne, jeśli podejdziesz się do tego we właściwy sposób. W tej książce wszystko dokładnie wyjaśniono. W sumie to powinnaś ją w wolnej chwili przeczytać.

– Eee... – Pari spuściła wzrok na podłogę. – Ale ja nie umiem czytać.

Thessa zamarła, trzymając w dłoni stos papierów. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Pari może nie umieć czytać. Niestety miało

to sens. Osoby dorastające na Żużlu rzadko zdobywały jakiegokolwiek wykształcenie. Thessa pożałowała, że wprowadziła Pari w swój projekt. Nie dała się jednak zwieść temu uczuciu. Wiedziała, że Pari zasłużyła na jej cierpliwość i dobrą wolę.

– Będziemy musiały to zmienić. Przypomnij mi, żebym zatrudniła ci nauczyciela. Ale póki co musimy z tym chwilę poczekać, bo mamy obecnie bardzo dużo do zrobienia. A teraz... O co chodzi?

Pari zamrugnęła gwałtownie.

– Nauczyłabyś mnie czytać? Mnie?

– A czemu nie? Jesteś moją asystentką. A asystenci muszą odpowiadać na korespondencję, liczyć... Umiesz liczyć?

– Trochę. Proste równania.

– Dobrze, w takim razie zatrudnimy ci też nauczyciela od rachunków.

– Naprawdę?

– Nie masz chyba nic przeciwko, co? Możemy się tak umówić?

Pari sprawiała wrażenie przygaszonej, a wręcz przyłoczzonej, ale skinęła głową.

– Myślę, że tak.

– Dobrze. A teraz leć pomóc tragarzom wnieść piorunochron na dach. Nie rozpakowuj go, dopóki nie będę miała pewności, gdzie chcę go umieścić.

– Oczywiście.

Thessa cmokała językiem, w zamyśleniu przeglądając notatki, zastanawiając się nad swymi poczynaniami i tym, czy przypadkiem nie zwariowała. Jeszcze tydzień temu wyśmiałaby plan okiełznania pioruna, a nawet próbę zrobienia czegoś równie głupiego, ale książka profesorki Volos przekonała ją, że to może się udać. Zapewniłoby to darmową energię, bez gazu, drewna, węgla czy brudnego, dymiącego pieca.

Jeśli jej plan się powiedzie.

Sprawdziła w końcu kieszonkowy zegarek i ruszyła po schodach na dach hotelu, przeciskając się obok Pari i tragarzy, próbujących wnieść kilka dużych, nieporęcznych skrzyń na klatkę schodową. Dochodziła północ, a to sprawiło, że zachciało jej się śmiać. Rzeczywiście, nie miała poczucia czasu. Nic dziwnego, że tak

bardzo bolały ją plecy, skoro niemal cały dzień spędziła na wierceniu.

Pierwszym, co zrobiła po dotarciu na dach, było sprawdzenie, czy ktoś nakarmił Ekhiego. Pogłaskała delikatnie jego zdrowe skrzydło i odetchnęła głęboko, wykorzystując ten moment na odreagowanie nadmiaru emocji. Powinna się położyć. Pracowała od świtu i potrzebowała odpoczynku, żeby bez jakiegokolwiek pomyłki ukończyć portal feniksa. Mimo to szumiało jej w głowie, a ciało tryskało energią. Jak niby miała zasnąć, skoro była tak blisko osiągnięcia celu?

– Będę musiała przenieść cię w bezpieczne miejsce – powiedziała do Ekhiego. – Nie chcę, żebyś tu był, kiedy zacznę ściągać pioruny. – Te słowa dały jej do myślenia i rozejrzała się po hotelowym dachu. Dostrzegła kilka miejsc, w których mogłaby umieścić pręt. Najodpowiedniejszy wydawał się jeden z kominów, do którego mogłaby przytwierdzić przewód i poprowadzić go przez środek do pieca, a następnie uziemić w ogrodzie. Zaczął ją jednak ogarniać niepokój. A jeśli coś pójdzie nie tak? Co w sytuacji, gdy ściągnie piorun i uszkodzi część hotelu? Mogłaby kogoś w ten sposób zranić, a nawet zabić. Dodatkowo posiadłość warta miliony ozzo mogłaby ulec zniszczeniu.

Pojawił się też inny problem, o którym wolała nie myśleć, a mianowicie nie miała szklanego pojęcia, kiedy uderzy piorun. Mogło się to wydarzyć w przyszłym tygodniu, ale równie dobrze za kilka miesięcy. Czy naprawdę mogła sobie pozwolić na bierne czekanie, aż coś się stanie? Czy takie rozwiązanie by ją satysfakcjonowało? Rozejrzała się po dachu, rozmyślając, czy przypadkiem nie powinna ustawić piorunochronu w taki sposób, aby można go było przymocować do portalu feniksa wyłącznie w trakcie burzy. Dzięki temu w międzyczasie mogłaby eksperymentować z innymi metodami pozyskiwania energii.

Po drugiej stronie dachu z klatki schodowej wyłonili się tragarze ze skrzyniami, a Pari wskazała im wolną, płaską powierzchnię. Thessa patrzyła, jak rozkładają skrzynie i zapalają lampy gazowe, a następnie wracają do hotelu. Na dachu została z nią jedynie Pari, kręcąca się wokół piorunochronu i czekająca, aż Thessa podejdzie i go obejrzy.

Hutniczka zapaliła pobliską lampę, żeby sprawdzić zranione skrzydło Ekhego, potem udała się w kierunku asystentki. W połowie drogi coś ją jednak zatrzymało. Znikła gdzieś ekscytacja, którą odczuwała jeszcze chwilę wcześniej, ustępując miejsca niepewności. A co, jeśli się myliła? Co, jeśli to nie zadziała? Czy naraża cały hotel na niebezpieczeństwo? Przejechała dłonią po twarzy. Musiała trochę odpocząć, inaczej nie da rady logicznie myśleć.

– Mam je otworzyć? – krzyknęła Pari, unosząc łom.

Thessa westchnęła sfrustrowana.

– Nie wiem.

– Masz wątpliwości?

– W pewnym sensie. – Czy aby nie działała zbyt pochopnie? Zbyt dużo się działo: od zamówienia piorunochronu po zatrudnienie Pari. Poczowała ucisk w piersi. Sama myśl, że z powodu kończących się złóż żaropiachu świat z dnia na dzień będzie popadał w coraz większy chaos, doprowadzała ją do szału. Ale przecież nie była to jej wina. Nawet mistrzowie hutnictwa robili wszystko powoli, uważnie próbując i popełniając błędy. Tylko że ona nie mogła pozwolić sobie na próby i błędy. Dysponowała zaledwie jednym kawałkiem szkła błysku i ograniczoną ilością oczyszczonego żaropiachu do stworzenia szkła potęgi. Miała tylko jedną szansę. Może powinna się zatrzymać, zrobić krok w tył i spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. Tylko czy mogła sobie na to pozwolić?

Spoglądając z dachu na miasto, podziwiała widoki. Latarnie gazowe połyskiwały jasno w promieniu wielu kilometrów, oświetlając najbogatsze kamienice i posiadłości. W oddali słychać było szczekanie psa, a od północy ponownie nadciągał cichy odgłos artylerii.

– Znowu to robią – powiedziała do Pari.

– Co?

– Strzelają do siebie. Grenccy i ossańscy żołnierze.

Pari przechyliła na chwilę głowę.

– To nie artyleria. To Kuźnia.

– Tak? – zapytała Thessa, wsłuchując się. – No tak. Racja! Kiedy zaczęła się wojna, pomyliłam artylerię z Kuźnią, a teraz na odwrót. Jak widać, potrafię rozróżnić rezonans każdego z magicznych szkieł, ale nie jestem w stanie odróżnić grzmotu od

artylerii. – Usiadła przy kominie, rozwiązała sznurowadła i zdjęła buty, poruszając palcami, aby pozbyć się bólu. – Potrzebuję – powiedziała na głos, po części do siebie, a po części do Pari – ogromnych pokładów energii, którą można by zamienić w magię. W oryginalnym projekcie energia pochodziła od zwykłego pieca, przechodziła przez portal feniksa i docierała do zużytego szkła bożego. Niestety, proces ten był niedoskonały. Do naładowania jednego kawałka potrzeba było trzech wozów drewna opałowego.

Pari usiadła obok niej.

– To nieopłacalne nawet jak dla rodzinnej gildii.

– W tym właśnie tkwi problem. Przez ostatni tydzień, nawet podczas pobytu w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej, cały czas myślałam o tym, jak udoskonalić ten proces. Udało mi się już dodać większą ilość szkła potęgi, aby zwiększyć rezonans, oraz grubszą izolację, by zmniejszyć stratę ciepła. Zafiksowałam się na tym – wskazała na piorunochron – ponieważ wydawało mi się to zgrabnym rozwiązaniem. Nowy projekt powinien łądować całe kosze zużytego szkła bożego. Piorun zapewniłby mu wystarczającą moc. Nabrałam jednak pewnych wątpliwości. Bo tak naprawdę to niebezpieczne i zawodne. Ile czasu będę musiała czekać, zanim w hotel uderzy piorun? Miesiące? Lata?

– A co robisz, gdy masz jakiś problem do rozwiązania? – zapytała Pari.

Thessa spojrzała na nią z ukosa.

– Co masz na myśli?

– Jak pobudzasz umysł do działania? Mój dziadek był filozofem, przynajmniej na tyle, na ile emerytowany hodowca bydła mieszkający w Żużlu mógł zajmować się filozofią. I on twierdził, że ludzki umysł działa według pewnych cykli i czasami trzeba poczekać do następnego cyklu, by pojawiło się rozwiązanie.

– Ciekawe... Mój mistrz zwykł mawiać podobne rzeczy. Gdy byłam jeszcze w Grecji, nabrałam zwyczaju zabierania Ekhięgo na wieś. Robiłam to co dwa tygodnie i dzięki temu odświeżałam umysł, pobudzając go do twórczego myślenia.

– No to zrób tak – zaproponowała Pari, wzruszając ramionami.

Thessa poczuła, jak wszelkie wątpliwości, które odczuwała względem Pari, rozwiewają się niczym poranna mgła. Może nie umiała czytać, ale była cholernie przenikliwa.

– Na pewno nie chodziłaś do szkoły?

– Och, na pewno.

– W takim razie jakąś ci zorganizujemy. A teraz chodźmy odpocząć. Muszę się z tym przespać.

Gdy wróciły na parter, w hotelu panowała cisza; korytarze były opustoszałe, a lampy zgaszone. Udały się więc do warsztatu, by trochę posprzątać: pozbierać notatki i schematy, pozamiatać podłogę i rozpalic piec, żeby rano był jeszcze gorący. Kiedy Thessa wróciła do swego apartamentu, dochodziła pierwsza w nocy. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, głowa opadała ze zmęczenia i miała nadzieję, że nie spędzi całej nocy, leżąc w łóżku i rozmyślając o potencjalnych pomysłach na rozwiązanie problemu z energią. Pari miała rację. Musiała oczyścić umysł, aby podejść do tego wszystkiego z większą pewnością siebie.

Gdy tylko jednak otworzyła drzwi apartamentu, wszystkie te myśli momentalnie uleciały jej z głowy. Salonik był doszczętnie zniszczony; stół i krzesła przewrócone, kanapa pocięta na kawałki. Pobiegła do sypialni i łazienki, gdzie zastała ten sam widok. Wszystkie nowe ubrania walały się po podłodze, a materac leżał pod ścianą, przecięty w kilku miejscach. Thessa poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, i ruszyła biegiem przez korytarz do kanciapy portiera.

Chłopak znajdujący się w środku – ten sam, który pierwszej nocy przyniósł jej herbatę – leżał na otwartej książce z nożem wbitym w kark. Thessa zwymiotowała na podłogę, a oczy zaszyły jej mroczkami. Wybiegła z pomieszczenia i, potykając się o własne nogi, popędziła przez korytarz. Udała się prosto do apartamentu Montega i zaczęła walić w drzwi.

– Montego! – krzyczała. – Montego!

Chwyliła za klamkę i zdała sobie sprawę, że drzwi nie są zamknięte, więc weszła do środka. To, co zastała, sprawiło, że niemal ponownie zwymiotowała. Montego leżał w piżamie na podłodze, a na nim znajdował się przewrócony stół z całą zastawą do herbaty.

Nie poruszył się, gdy Thessa rzuciła się na kolana obok niego. Z całej siły przewróciła go na bok i uderzyła w twarz.

– No dalej, obudź się! Szkołera, nie możesz być martwy!

W głowie pojawiła jej się pewna myśl, która spowodowała, że zadrżały jej dłonie. Zostawiła Montega i podbiegła do okna wychodzącego na hotelowy ogród. Światła, które chwilę wcześniej zgasła z Pari, znów się paliły. Mogła też dostrzec kilka postaci w fioletowych szatach Grappów kręcących się po warsztacie. Nie rozpoznała żadnej z tych osób, ale była niemal pewna, że pakowali jej notatki i szkło błysku.

Musiała podnieść alarm. I to szybko. Jeszcze raz spróbowała ocucić Montega, uderzając w jego pyzate policzki, a gdy chciała już pobiec do drzwi, niespodziewanie drgnęła mu ręka i chwycił ją za nadgarstek. Uścisk był niewiarygodnie mocny i zwałił ją z nóg. Upadła obok niego i spojrzała w jego zamglone oczy.

– Montego, to boli.

Mijały sekundy, a jego chwyt stawał się coraz mocniejszy, aż w końcu otworzył szeroko oczy i wydał z siebie głośnie westchnięcie. Puścił Thesę i podniósł się do pozycji siedzącej.

– Szkołorwa mać – wymamrotał. – Przepraszam, nie wiem... – Urwał, dostrzegając przewrócony stół. – Dosypali mi coś do herbaty – stwierdził.

– Zabili portiera i splądrowali mój pokój – wyjaśniła szybko Thessa. – A w tej chwili są w hucie szkła i próbują ukraść wszystkie moje materiały dotyczące portalu feniksa.

Z wnętrza klatki piersiowej Montega wydobył się niezwykle donośny dźwięk. Mężczyzna poderwał się na nogi i, chwycąc się na wszystkie strony, wyjął z szafy masywną pałkę.

– Nie wiem, co mi dosypali – zaczął, a jego słowa stawały się coraz bardziej zrozumiałe – ale najwyraźniej użyli tego za miarę. Nie wychodź stąd i nie patrz przez okno.

Thessa położyła się na podłodze tuż obok rozlanej herbaty i, patrząc na drżące ręce, próbowała wyrzucić z głowy widok tego biednego, martwego portiera. Po chwili usłyszała spanikowane krzyki, a następnie głośnie wrzaski. Objęła się ciasno rękoma. Mijały minuty. Wrzaski ucichły, ustępując miejsca bardziej zorganizowanemu okrzykom kogoś, kto wszczął alarm. Słyszała ludzi

biegnących po korytarzu, a po jakimś czasie ktoś otworzył drzwi apartamentu Montega. To była Pari. Stała tam, blada i przestraszona. Podeszła do Thessa i położyła jej rękę na ramieniu.

– Powinnyśmy stąd iść – powiedziała. – Chodź, Breenen przygotowuje ci nowy pokój, a personel już sprząta twój stary.

Thessa pozwoliła Pari się podnieść, po czym strząsnęła z siebie jej rękę.

– Nic mi nie jest – rzuciła, oddychając głęboko. – Ja tylko... Zabili tego nocnego portiera i myślałam, że Montego też nie żyje i że zabiorą całą moją pracę. – Spojrzała na swoje dłonie. Przynajmniej przestały już drżeć.

– Nic nie zabrali – zapewniła ponuro Pari.

– Czy Montego...

Pari pokręciła głową.

– Widziałam w życiu wiele aktów przemocy – stwierdziła niepewnie – ale czegoś takiego nigdy. Myślę, że lepiej, jeśli nie będziesz wyglądać przez okno, dopóki tego nie posprzątają.

– Zniszczyli coś?

– Nie. Ale na niektórych notatkach jest trochę krwi.

Thessa odwróciła wzrok, aby nie patrzeć w kierunku kanciapy nocnego portiera, w której zgromadziło się kilku egzekutorów. Na końcu korytarza stała Tirana w piżamie, z mieczem w jednej dłoni i pistoletem w drugiej, kierując rojącym się wokół tłumem egzekutorów. Portierzy chodzili od pokoju do pokoju, cicho prosząc gości o pozostanie w apartamentach do rana. Tirana wyglądała na wściekłą.

– To nie powinno się wydarzyć. Bardzo mi przykro, panno Foleer – rzekła, spoglądając na Thesę.

– Nic mi nie jest. Bardziej martwi mnie to, co spotkało nocnego portiera.

– Umarł szybko i bezboleśnie. Zajmiemy się jego rodziną. – Tirana zerknęła na Pari. – Breenen chce cię natychmiast przesłuchać.

– Nie miała z tym nic wspólnego – oznajmiła Thessa, stając przed Pari. – Ostatnią godzinę spędziła ze mną, a wcześniej była u niego.

– To tylko formalność. Zamierza przesłuchać cały personel. Gdyby to od niego zależało, przesłuchałby też wszystkich gości. Wysłaliśmy już posłańca, by przekazał Demirowi, że zaatakowano hotel.

Mając wokół siebie egzekutorów Grappa, Thessa poczuła się bezpieczniej i powróciła jej pewność siebie.

– Wiemy, kto tego dokonał? – Zaczerpnęła głęboko powietrza. Musiała sprawiać wrażenie silnej, miała zadanie do wykonania. Była teraz klientką i partnerką Grappów, a pracownicy traktowali ją jak jedną z nich.

Tirana pokręciła głową, a wtem pojawił się Montego. Wyglądał przerażająco, jego spodnie od piżamy były całe przesiąknięte krwią, która kapłała też z jego palki, nie miał butów ani koszuli. Thessa poczuła, jak skręca jej się żołądek. Podszedł do nich zadziwiająco cicho jak na swoje rozmiary.

– Jednego zostawiłem przy życiu. Nada się na przesłuchanie. To byli Dorlani. Sześciu drani. Jeden z nich zakradł się w czasie obiadu. Zabił Horphela i Faille, dosypał mi coś do herbaty i wpuścił pozostałych. Szkłorwa, powinienem kapnąć się, że nie rozpoznaję tego dupka, który mi ją przyniósł.

– Cholera – westchnęła Tirana. – Lubiłam Horphela. Faille też. Była niezwykle pracowita.

– Czy oni wiedzą o... – Udało jej się urwać we właściwym momencie, bo już chciała powiedzieć „portalu feniksa”, na szczęście zdała sobie sprawę, ilu egzekutorów i portierów przebywa wokół nich. – Tej rzeczy? – dokończyła Thessa.

– Nie bardzo. – odpowiedział Montego. – Mieli rozkaz przeszukania pokoju hutniczki i zabrania wszystkiego, nad czym pracujesz. Pakowali właśnie twoje szkło błysku, kiedy wparowałem do huty. Staralem się niczego nie uszkodzić.

– Z wyjątkiem ich – wyszeptwała Pari. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że powiedziała to na głos, a gdy to pojęła, wybałuszyła oczy.

Montego obdarzał ją szerokim, wymuszonym uśmiechem.

– Z wyjątkiem ich – potwierdził.

Thessa wróciła do apartamentu, gdzie pracownicy zajęli się już sprzątaniami bałaganu. Wzięła kilka ciuchów i książkę – rozprawę profesorki Volos o piorunochronach – i udała się wraz

z Pari korytarzem do pustego, pospiesznie przygotowanego dla niej pokoju. Położyła się na skraju łóżka, podczas gdy Pari nerwowo spacerowała po pomieszczeniu.

– Nic ci nie jest? – zapytała Thessa.

– Mnie? Zdążyłam się przebrać, zanim to się zaczęło. A gdy dotarłam do ogrodu, było już po wszystkim. – Stała, odwracając się najpierw w stronę drzwi, a potem z powrotem twarzą do Thesy. – O takich rzeczach słyszałam tylko z opowieści i nigdy nie chciało mi się wierzyć, że członkom rodzinnych gildii zdarzają się tak brutalne akcje, jakie widywałam w Żużu. Ale kiedy zobaczyłam, co Montego zrobił z intruzami, to po prostu... Nawet nie wiem, jak to opisać. – Wzdrygnęła się. – Muszę się zgłosić do Breenena. Jeśli każą mi trzymać jakieś cholerne szkło dyscypliny, zrobię to bez słowa sprzeciwu, niech tylko mnie o nic nie podejrzewają.

– Ale nie zamierzasz odejść, prawda?

– Odejść? Pracuję dla ciebie zaledwie jeden dzień i jesteś najlepszą szefową, jaką kiedykolwiek miałam. Dopóki Montego się na mnie nie rzuci, dam sobie radę. – Przerwała. – A ty?

– Ja też – odpowiedziała Thessa z uśmiechem, który, jak miała nadzieję, wyrażał pewność siebie. – Byłam tylko trochę roztrzęsiona.

– Przyniosę ci herbaty – zaproponowała Pari.

Thessa skinęła głową w podziękowaniu. Nie uroniła ani łzy do czasu, aż Pari wyszła z pokoju. Potem pozwoliła im spłynąć po policzkach, cicho i ciepło, nim nie zebrała wystarczająco sił, by nad sobą zapanować. Jeszcze tydzień temu nie widziała ludzkich zwłok. Całe swoje doświadczenie z przemocą mogłaby zamknąć w dwóch wydarzeniach: kiedyś napadł ją ktoś z nożem w rękę i otrzymała wiadomość o śmierci bliskich. Od tamtej pory dużo się zmieniło. W ciągu ostatniego tygodnia widziała już siedem ciał. I pewnie mogłaby podwoić tę liczbę, gdyby tylko wyjrzała przez okno. Szklorwa, zabiła przecież Filura Magnę. Była świadkiem morderstw popełnianych zarówno przez przyjaciół, jak i wrogów. Dodatkowo sama mogła zginąć. Demir ostrzegwał ją, że projekt, którego się podejmuje, będzie niebezpieczny, ale nie spodziewała się, że aż tak.

Aby się uspokoić, wzięła do ręki książkę profesorki Volos i zaczęła ją przeglądać. Czytała zarówno tekst, jak i swoje notatki na marginesach, studiując niezrozumiałe szkice wykonane w drodze

powrotnej z Abażurowej Promenady. Gdy wyschły jej łzy, poczuła się pewniej. Musiała skupić się na pracy. Niech inni zajmą się przemocą. W końcu to ich zadanie.

Pari wróciła z dzbankiem herbaty, postawiła go na stole i przyniosła jej filiżankę z cukrem oraz śmietanką. Thessa piła powoli, czując, jak uchodzi z niej całe napięcie.

– Profesorka Volos – zaczęła, wskazując na książkę – opisuje miejsce, w którym testowała swój piorunochron, jako dość szczególne. Był to geograficzny fenomen, w którym ciepłe powietrze wędrowało znad morza i stykało się z górami, powodując częste burze z piorunami, dzięki czemu mogła osiągnąć dobre i w miarę stałe postępy w pracy nad piorunochronem. Potrzebowałabym takiego miejsca.

Pari wpatrywała się w nią ze zdziwieniem.

– O czym ty mówisz?

– Zjawisko geograficzne to... – zaczęła wyjaśniać Thessa.

Pari przerwała jej delikatnie.

– Rozumiem, co do mnie mówisz, ale przecież mamy coś takiego. Mamy Kuźnię. Ten opis idealnie oddaje to miejsce. Przez całe życie usypiał mnie odległy dźwięk jej grzmotów. Założę się, że ciebie też.

Thessa otworzyła szeroko oczy.

– A niech to szkło! Masz rację – westchnęła. – Masz całkowitą rację. Stałe wyładowania atmosferyczne. Odosobniona lokalizacja, zmniejszająca ryzyko niebezpieczeństwa i tak odległa, że żadni egzekutorzy Dorlanich nie powinni nas tam szukać. – Zerwała się z łóżka, odstawiła filiżankę i przytuliła Pari. Znalazły idealnie miejsce. Miejsce na pierwszy test portalu feniksa znajdowało się nieco ponad trzydzieści kilometrów od nich.



Demir rozgościł się w Forcie Alameda, tworząc z niego tymczasową kwaterę, i z zapartym tchem śledził setki raportów zwiadowczych, które napływały przez kolejne półtora dnia. Z tej korzystnej lokalizacji mógł obserwować część z podmytych przez powódź resztek obozu Kerite. Sceneria przypominała wybrzeże po sztormie, błotniste i zaśmiecone. Tysiące żołnierzy przeczesało teren, usuwając ciała i odzyskując sprzęt.

– Jak myślisz, co zrobi teraz Kerite? – zapytał Tadeas, siedząc na krześle dowódcy fortu ze stopami opartymi o biurko. Pomieszczenie wypełniały mapy, wiadomości i raporty Demira, walające się niemal na każdej dostępnej powierzchni, włącznie z większą częścią podłogi, ułożone tak, aby w każdej chwili mógł je zobaczyć, rzucając okiem w ich stronę. Teraz jednak nie patrzył na nie. Obserwował opustoszałe tereny zalewowe z okna gabinetu dowódcy fortu.

– Wygląda na to – zaczął ostrożnie – że wraz z grenckimi wojskami jest teraz w defensywie. Rzeka zmyła ponad połowę jej armii i choć wydaje się, że większość jej żołnierzy przeżyło, to

przywrócenie ich do stanu bojowego zajmie kilka tygodni. Straciła tak dużo sprzętu, że mogłaby stanąć do walki co najwyżej z jedną w pełni uzbrojoną brygadą.

– Wewnętrzne Zgromadzenie będzie chciało, żebyś nie zwlekał z atakiem – stwierdził Tadeas, stukając butem o blat w rytm rozbrzmiewającej mu w głowie melodii przypominającej marsz pogrzebowy.

– Byłbym głupcem, gdybym ich posłuchał – prychnął Demir. – Co prawda Legia Cudzoziemska otrzymała kilka dni na odpoczynek po porażce na Miedzianych Wzgórzach, ale wciąż brakuje nam szkła leczniczego, a morale nadal są zatrważająco niskie. Nasi przeciwnicy mają więcej tancerzy szkła, lepszych żołnierzy i wycofali się na wybrzeże, gdzie na przedmieściach Grentu z łatwością uzupełnią zapasy. Jakakolwiek próba ataku byłaby w tym momencie czystą głupotą.

Niestety brakowało im nie tylko szkła leczniczego. Demir z trudem znajdował wystarczającą ilość szkła mocy dla żołnierzy i szkła rozumu dla oficerów. To samo dotyczyło szkła ukojenia, którego przynoszące ogromną ulgę w bólu właściwości stawały się towarem deficytowym. Nie wspomniał o tym ani słowem Tadeasowi, gdyż mogłoby to doprowadzić do o wiele trudniejszej rozmowy. Nie czuł się po prostu na siłach, aby wspominać komukolwiek o kończących się zasobach żaropiachu.

– To dlatego ignorujesz żądania Ojca Vorciena w kwestii informacji o obecnej sytuacji? – zapytał Tad, wskazując na nieduży stos wiadomości oznaczonych krzemowym symbolem rodzinnej gildii Vorcienów.

– Ignoruję je, bo zamierzam mu o tym powiedzieć osobiście – odparł Demir, odrywając się w końcu od okna i podchodząc do biurka, by zepchnąć nogi wujka na podłogę. Podniósł stos listów i włożył je do kieszeni marynarki. – Wydałem rozkaz podwojenia wysiłków zwiadowczych, zabezpieczenia linii komunikacyjnych z Nowym Portem i przyspieszenia prac konserwacyjnych cytadel we wszystkich punktach gwiazdnej fortyfikacji.

– Wybierasz się do Ossy? – spytał z wyrzutem Tadeas. – Myślisz, że to rozsądne?

– Nie będzie mnie z dwanaście godzin – obiecał Demir. – Jeśli Kerite lub wojska z Grentu ruszą się choćby o metr ze swych aktualnych pozycji, wrócę tu z prędkością błyskawicy. – Przechylił głowę w stronę wuja wyglądającego na jeszcze bardziej niepokieszonego. – Uważasz, że powinienem poczekać na kolejne zwycięstwo, tak?

– To umocniłoby twoją przewagę. Manewr z powodzią był cholernie dobry, a kirasjerzy dali Kerite niezłe popalić, ale żadna z tych akcji nie miała w sobie splendoru, a Ossa potrzebuje czegoś, co może napawać dumą.

– Z tego, co pamiętam, nigdy nie zależało ci na splendorze.

– I nadal nie zależy, ale moim zadaniem jest jedynie utrzymanie przy życiu batalionu inżynierów bojowych. Ty zaś musisz jednocześnie żonglować armią, politykami i opinią publiczną. – Wyszczrzył się do siostrzeńca. – Nie bez powodu lata temu odstąpiłem ci miejsce w Zgromadzeniu.

Demir spojrział na stosy wiadomości, raportów szpiegowskich i map. Dręczyło go tysiąc drobnych wątpliwości, objających się o ścianki jego czaszki niczym zderzające się pociski, a na to wszystko kładła się cieniem jego największa porażka. Nie chciał wracać do Ossy. Nie chciał stawiać czoła Zgromadzeniu. Nie chciał nawet spotykać się ponownie z Thessą ani nosić na barkach odpowiedzialności za bezpieczeństwo Imperium. Chciał uciec. Mimo wszystko jednak wydawało mu się, że powracają przebłyski jego dawnej osobowości. Mógł dostrzec drogę do zwycięstwa. Co prawda była ona wąska jak ostrze noża i zależna od wielu czynników, na które nie miał wpływu, ale była tam. Mógł pokonać Kerite i w ten sposób zapisać się na kartach historii. Lecz towarzyszące temu konsekwencje byłyby wielkie. Zbyt wielkie.

– Nie zamierzam toczyć kolejnej bitwy – powiedział cicho Tadeasowi. – Wracam do Ossy z zamiarem przekonania Ojca Vorciena o złożeniu propozycji pokoju, zanim Grent zdąży się otrząsnąć.



Demir powinien udać się bezpośrednio do Zgromadzenia, gdzie wysłano już informację do Ojca Vorciena i jego popleczników z Wewnętrznego Zgromadzenia, by czekali na raport z frontu, ale jego podróż do Ossy była czymś więcej niż tylko generalskim obowiązkiem. Jak trafnie ujął to Tadeas, pozycja Demira jako generała i patriarchy rodzinnej gildii oznaczała, że musiał jednocześnie żonglować sprawami wojskowymi, politycznymi i społecznymi. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ktoś inny odbijał piłeczkę.

– Zaraz wróćę – zakomunikował dorożkarzowi i wbiegł po schodach do Hiacynta. Zatrzymał się na moment, obserwując ciche lobby i niewielki ruch w hotelowej restauracji, potem pospiesznie wkroczył do gabinetu Breenena. Zamknął za sobą drzwi, a hotelowy konsjerż spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Pan Demir! Nie wiedziałem, że już pan wrócił.

– Przyjechałem tylko, aby złożyć raport – rzucił Demir. – Mam dla ciebie specjalne zadanie. – Wyciągnął z kieszeni kilka kartek i wręczył je Breenenowi. – Odniosłem wielkie zwycięstwo i nie poinformowałem o tym jeszcze Zgromadzenia. Chcę, by ten komunikat prasowy znalazł się w każdym wydaniu wieczornej gazety, a ten w porannym.

Breenen zerknął na oba z nich, a na jego twarzy pojawił się półuśmiech.

– Ach! Zawsze o krok przed Zgromadzeniem. Zupełnie jak pańska matka.

– Kształtowanie rzeczywistości to umiejętność jak każda inna – odrzekł Demir. – Przewagę zawsze zdobywa jednak ten, kto pierwszy ofiaruje społeczeństwu to, czego ono żąda. Zgromadzenie chce kontrolować przepływ informacji, społeczeństwo zaś pragnie tego przyjemnego, ciepłego poczucia, że wszystko będzie dobrze.

– Jest pan pewien, że Zgromadzenie nie spróbuje umniejszyć tego zwycięstwa? – spytał Breenen.

– Nie wiem, ale wolę nie ryzykować. Mam co najmniej dwóch wrogów pośród członków Wewnętrznego Zgromadzenia. Muszę być od nich szybszy. Ja... – Urwał, po raz pierwszy naprawdę przyglądając się Breenenowi. Mimo półuśmiechu wyglądał na zmartwionego, marszczył brwi, a mowa jego ciała wskazywała na to,

że skrywał jakieś złe wieści. – Co się dzieje? – zapytał Demir. – Chodzi o Thesse? Coś nie tak z jej projektem?

Breenen przesunął kilka dokumentów po biurku, nie patrząc Demirowi w oczy.

– Wydarzyło się kilka rzeczy, panie.

– No dalej! – Demir sprawdził kieszonkowy zegarek. Wyglądało na to, że spóźni się na spotkanie z Wewnętrznym Zgromadzeniem. – Załatwmy to raz-dwa.

– W sumie to może lepiej z tym poczekać.

Demir zacisnął zęby. Prawdopodobnie powinien z tym poczekać, ale jeśli wydarzyło się coś złego, to musi wziąć to pod uwagę, żeby nie pogorszyć sytuacji.

– Wyrzucić to z siebie.

– Podczas pana nieobecności do hotelu włamali się wysłannicy Dorlanich. Posłałem do pana gońca z tą informacją, ale możliwe, że nie udało mu się przedrzeć przez wojskowe blokady.

Po plecach Demira spłynęła lodowata strużka potu. Przestał nagle myśleć o silnych argumentach i politycznych manewrach, skupiając całą uwagę na Breenenie.

– Chodziło o projekt Thessy, tak?

– Tak, on był ich celem – potwierdził Breenen. – Próbowali wykraść notatki, książki, a nawet sam projekt. Wlali truciznę do herbaty Montega, zabili kucharkę i portiera. O mały włos uszłoby im to na sucho, gdyby nie panna Foleer. Pracowała do późna i udało jej się ocucić Montega. Intruzi... zajęto się nimi.

– Szklorwa! – zaklął Demir, krążąc po niewielkim gabinecie. Ich największą przewagą w wyścigu o portal feniksa był fakt, że nikt nie wiedział, iż w ogóle biorą w nim udział. A teraz to wszystko przepało. – W hotelu musi być jakiś szpieg.

– Ja... – Breenen się skrzywił. – Nie jestem tego taki pewien, panie. Całą noc przesłuchiwałem personel z użyciem szkła dyscypliny. Sam nie do końca wiem, nad czym ona pracuje, tak samo jak reszta zatrudnionych w hotelu osób.

– To jakim cudem dowiedzieli się o tym Dorlani? – zażądał odpowiedzi Demir. Poczł, jak w jego wnętrzu narasta uczucie paniki, i próbował je stłumić. Nie mógł jednocześnie bronić Imperium i swej rodzinnej gildii.

– Udało nam się przesłuchać jednego z ocalałych intruzów. Twierdzi, że rozkazy pochodziły bezpośrednio od Aelii Dorlani. To oznacza, że musi wiedzieć, nad czym pracuje panna Foleer.

– Ale skąd? – dociekał Demir. Jego chód stawał się coraz bardziej rozgorączkowany, aż w końcu zmusił się, by zrobić głęboki, uspokajający wdech i usiąść na małym krześle naprzeciwko biurka Breenena. – Szkłorwa mać. Przynajmniej miałem świadomość, że w ramach Wewnętrznego Zgromadzenia jest ona jednym z naszych wrogów. Wie, że włamanie zostało udaremnione?

– Pewnie już się tego domyśliła – odparł Breenen. – My nikogo o niczym nie informowaliśmy. Nie dowie się jednak, że wyciągnęliśmy informacje od jej sługusów, ani tego, że wszyscy zginęli. Ich ciała nadal znajdują się w naszej lodówce, w piwnicy. Montego chce je zachować na specjalną okazję.

– Nawet nie chcę wiedzieć jaką, choć pewnie powinienem dowiedzieć się, co mu chodzi po głowie. – Rozważał udanie się do apartamentu Montega i polecenie mu, żeby wstrzymał się ze swymi planami. Nie mogli sobie w tej chwili pozwolić na eskalację wrogości. Ponownie sprawdził godzinę na kieszonkowym zegarku. Nie miał wątpliwości, że spóźni się na spotkanie. – Gdzie jest Thessa?

– W ogrodzie, pracuje nad projektem. Chce się pan z nią zobaczyć?

– Nie w tej chwili. – Demir otworzył drzwi, aby upewnić się, że nikt nie stoi przy hotelowej recepcji, znajdującej się tuż obok gabinetu, po czym zamknął je ponownie i zwrócił się do Breenena.

– Thessa jest holikańską sierotą – oświadczył cicho, a Breenenowi zrzędała mina.

– Chyba pan żartuje.

– Nie. Bardzo się zbliżyliśmy tamtej nocy, gdy przysłała po mnie Gwardia Zgromadzenia. O mały włos nie wylądowaliśmy w łóżku, ale przeszkodziło nam pojawienie się tamtych gwardzistów. Spotkałem się z nią na chwilę przed wyjazdem na front i wtedy mi o tym powiedziała.

– Czy ona wie, że...?

– Nie. Nie wydaje mi się. Była dzieckiem, kiedy to się stało, a dodatkowo przebywała wtedy poza miastem. Przypuszczam, że mistrz Kastora chronił ją przed większością informacji, ale w końcu

się zorientuje. W tych komunikatach prasowych, które ci przekazałem, widnieje mój stary pseudonim. Kolejne zwycięstwo Księcia Błyskawic. Jeśli nie połączy faktów, to pewnie dowie się tego z gazet, które nie omieszkają pogrzebać trochę w mojej przeszłości. Wszystko, co matka chciała zamieść pod dywan, wyjdzie na jaw.

– W takim razie dlaczego chce pan, bym wysyłał te informacje do prasy?

– Dlatego, że nazwisko Grappów jest ważniejsze niż mój związek z Thessą – odpowiedział bez ogródek. Rozmyślał nad tym od kilku dni, tocząc ze sobą wewnętrzny spór. Nie miał wyjścia. – Powiem jej o tym po powrocie i zobaczymy, jak zareaguje. Ja... Czemu znów tak na mnie patrzysz?

– Jak, panie?

– Jakbyś miał do przekazania złe wieści, o których nie chcesz mówić.

Breenen westchnął z frustracją.

– Bardzo dobrze zna się pan na ludziach.

Demir po raz ostatni sprawdził godzinę i schował w końcu kieszonkowy zegarek do kieszeni. Powinien posłuchać rady Breenena i odłożyć to wszystko na później. Trwała przecież wojna.

– O co chodzi, mów – rozkazał.

– Panie – powiedział Breenen, wyjmując coś z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Przyszedł dziś do pana list. W środku było tylko to.

Demir wziął od Breenena poślódką kartkę papieru. Po jej kształcie i wadze od razu domyślił się, że jest to stare pismo wojskowe. List był złożony na pół, a gdy go otworzył, jego oczom ukazała się bardzo krótka wiadomość: „Pilne. Do wiadomości wszystkich oficerów: Demir Grappo wydał rozkaz splądrowania Holikanu. Należy działać bezzwłocznie”. Poniżej widniał podpis Caprica Vorciena i data odpowiadająca nocy, kiedy splądrowano Holikan.

Przez dłuższą chwilę nie czuł praktycznie nic. Stał obok biurka Breenena i wpatrywał się w kartkę, nie do końca świadom rozlegających się wokół odgłosów hotelu. W końcu oblizał wargi, zdając sobie sprawę, że zarówno jego język, jak i usta są suche niczym piasek.

– Kto to przysłał? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, panie. Ale ktokolwiek to był, nie chciał, żeby go namierzono. Koperta, zanim tu dotarła, przeszła przez co najmniej dwa urzędy pocztowe.

– Czy to pismo jest autentyczne?

Breenen, nim skinął głową, zawahał się o sekundę za długo.

– Myślę, że tak, panie.

Demir zamarł. Nic nie czuł. W jego głowie nie kołatały się żadne myśli, jakby nie mógł pojąć zbrodni, zdrady, która się przed nim dokonała. Przeczytał list jeszcze kilka razy. Jego oddech stawał się coraz krótszy, a oczy nie mogły złapać ostrości. Przez chwilę wydawało mu się, że czuje delikatne łaskotanie zwyczajnej peleryny ocierającej się o jego szyję. Gdy widział ją po raz ostatni, owijała ciało tego biednego, martwego dziecka z Holikanu.

– Bardzo mi przykro, panie – powiedział szybko Breenen. – To moja wina. Powinienem być poczekać z przekazaniem panu tego listu...

– Zleciłeś obserwację Caprica?

– Jak tylko przeczytałem to pismo.

– Gdzie on jest?

– Panie, nie sądzę, aby był to odpowiedni moment.

– Gdzie on jest?! – Demir nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz podniósł głos na Breenena. Te słowa wytrysnęły z niego w formie szalonego, rozwścieczonego wrzasku i wtem, jakby korek wystrzelił z butelki od wina, wszystkie jego emocje wypłynęły na zewnątrz bez jakiegokolwiek logiki czy spójności. Poczul, jak w umyśle tworzą mu się pęknięcia, targane niepowstrzymanym zamętem wściekłości. – Gdzie on, do cholery, jest?

Breenen się wzdrygnął.

– W Elitarnym Klubie Vorcienów, panie.

– Daj mi szkło dyscypliny, które trzymasz w biurku. – Breenen zawahał się tylko przez moment, potem sięgnął po szkło boże i podał Demirowi. Grappo wsunął je go do kieszeni wyłożonej korkiem, wyszedł z gabinetu i zmierzał już do wyjścia z Hiacynta, zanim zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego planu ani celu, do którego mógłby zmierzać. Próbował się powstrzymać, zatrzymać ten bezmyślny pęd, ale nogi same niosły go przed siebie.

– A co z Wewnętrznym Zgromadzeniem, panie? – wykrztusił Breenen, doganiając go i łapiąc za rękaw.

– Szklanić ich! Poczekają. – Odwrócił się w stronę Breenena i złapał konsjerża za ramiona. – Był moim przyjacielem – powiedział cicho. – Był moim przyjacielem i zamordował tysiące ludzi, przy okazji niszcząc mi życie. Chcę odpowiedzi i zemsty. I nie zamierzam na to czekać ani sekundy dłużej.



Zablokuj drogę – rzucił do woźnicy, wyskakując z jadącego powozu. Pojazd zatrzymał się tuż za nim, stając w poprzek i skutecznie blokując dostęp do Elitarnego Klubu Vorcienów. Natychmiast rozległy się gniewne okrzyki i obelgi, te pierwsze pochodziły od dorożkarza nadjeżdżającego z naprzeciwka. Demir skrzyżował ramiona, eksponując grzbiety dłoni, na których widniały dwa krzemowe symbole. Usta fiakra momentalnie się zamknęły, pociągnął za lejce i zaparkował powóz przy ulicy, pozostawiając Grappowi prawie dziesięć metrów wolnej przestrzeni.

Przechodnie zatrzymywali się, aby popatrzeć, a woźnice wysiadali z pojazdów. Z początku kierowali się czystą ciekawością, wyciągali szyje, wykrzykiwali pytania, zarówno do Demira, jak i współtowarzyszy, aż w końcu przetoczyła się przez nich fala przerażającej ciszy, pozostawiając po sobie bezradną konsternację. Jeśli tancerz szkła chciał zablokować drogę, to nikt nie zamierzał mu w tym przeszkadzać. Demir wiedział jednak, że za kilka minut ktoś wyśle tu Gwardię Zgromadzenia.

– Powiedzcie Capricowi Vorcienowi, żeby do mnie wyszedł – polecił zdenerwowanym bramkarzom stojącym przed wejściem do klubu. – Przekażcie mu też, żeby wziął ze sobą miecz. Jeśli wymknie się tyłem, przyjdę do jego domu i nie będę już tak uprzejmy. – Aby podkreślić znaczenie swych słów, wyciągnął z kieszeni szklaną bańkę, podrzucił ją, po czym złapał jakby od niechcenia. Jeden z ochroniarzy ruszył biegiem w głąb klubu.

Minuty dłużyły się, a Demir czekał cierpliwie, przechadzając się od jednego powozu do drugiego, w jednej ręce trzymając miecz, a w drugiej szklaną bańkę. Zdążył już trochę ochłonąć i próbował wmówić sobie, że lepiej byłoby, gdyby wrócił do powozu i odłożył tę sprawę na później. Wiedział, że tak należało postąpić, ale za każdym razem, gdy już chciał się wycofać, przeszywał go dojmujący ból głowy, osłepiając żalem i wściekłością.

Czekając, rozmyślał o Capricu. Przyjaźnili się od dzieciństwa. Co prawda nie byli najbliższymi przyjaciółmi, nie tak jak on, Montego i Kizzie, ale mimo to uważał go za przyjaciela. Razem się uczyli, razem jeździli na wakacje, razem też odbyli oficerskie szkolenie. Demir zabrał Caprica na kampanię do Holikanu, ponieważ potrzebował oficera, któremu mógłby zaufać. Okazało się, że był to największy błąd jego życia.

Wyczuwał na sobie setki spojrzeń, a tłum narastał, w miarę jak blokował się uliczny ruch. Coraz więcej przechodniów zatrzymywało się, aby popatrzeć. Miasto żyło dramatami z udziałem rodzinnych gildii i każdy, od najbiedniejszego sprzedawcy gazet po najbogatszego kupca, potrafił wyczuć, że szykuje się jakieś soczyste przedstawienie. Co jakiś czas machał mieczem w powietrzu, pogrążony w rozgorączkowanych myślach, zachowując jednak spokojny wyraz twarzy, choć w jego wnętrzu toczyła się zaciekle walka.

– Demirze! – usłyszał w końcu znajomy głos dobiegający od strony klubu. Odwrócił się i zobaczył stojącego na zewnątrz Caprica; był nieuzbrojony i z przerażeniem wpatrywał się w Demira. W tym samym czasie z klubu wynurzyły się dziesiątki klientów, rozproszywszy się po ulicy. Afery przyciągały równie skutecznie ossańską elitę, co zwykłych obywateli. Demir rozejrzał się po

zgrupowanych, rozpoznając wielu, po czym wrócił spojrzeniem do Caprica.

Ten otworzył usta, chcąc ponownie się odezwać, ale został zepchnięty na bok przez starszego brata. Demir nigdy nie przepadał za Sibrialem Vorcieniem. Był chamski, głośny, władczy, uzależniony od tuzina zachcianek i, nawet jak na standardy potomków rodzinnych gildii, uważany za tyrana. Czymś, co przez ostatnie dwadzieścia lat nie przestawało nikogo zadziwiać, było to, że Ojciec Vorcien nie zdecydował się na zaaranżowanie jakiegoś cichego wypadku, którego ofiarą padłby właśnie Sibrial, tak aby któreś z jego pozostałych, zdolniejszych dzieci mogło przejąć po nim schedę.

– Co ty wyprawiasz? – zażądał wyjaśnień Sibrial. Trzymał w dłoni miecz i machał nim gwałtownie w stronę Demira. – Wznówcie ruch! Rozgońcie tłum!

– Szklan się, Sibrial – odparł spokojnie Demir. – To nie dotyczy ciebie.

– Ale to jest mój klub! Jestem sukcesorem Vorcienów! Nie obchodzi mnie twoje układziki z Wewnętrznym Zgromadzeniem. Nie pozwolę, aby jakiś pomniejszy patriarcha rodzinnej gildii przerywał mi...

Demir zaczął tracić cierpliwość. Nie na tyle, by nad sobą nie panować, ale wystarczająco, by dać temu wyraz. Cisnął szklaną bańkę w stronę Sibrialia i napał na nią mocą umysłu. Gdy była już w połowie drogi, roztrzaskała się na sześć odłamków wielkości małego palca, ustawiając się w coś na kształt wachlarza z ostrzami skierowanymi bezpośrednio w Sibrialia. Vorcien momentalnie zamilkł, wybałuszył oczy i poczerwieniał na twarzy. Demir wszedł między kawałki szkła, a one potulnie zawisły nad jego ramionami niczym pełna śrutu armata czekająca na wystrzał.

– Nie pozwalam nikomu z Wewnętrznego Zgromadzenia traktować mnie z góry, tak samo jak nie pozwalała na to moja matka – oświadczył Sibrialowi. – Dlaczego zatem wydaje ci się, że tobie na to pozwolę? – Pokręcił głową, z trudem utrzymując nerwy na wodzy i miarowy ton głosu. – Nie z tobą chcę rozmawiać. Capricu, jeśli nie masz własnego miecza, sugeruję, byś pożyczył go od brata.

Niespodziewanie ktoś inny przepchał się przez tłum i wyszedł na przód. Tą osobą była Veterixi, marnijska konsjerżka klubu.

Wpatrywała się przez chwilę w Demira, potem wyszeptła coś Sibrialowi do ucha, a następnie odezwała się głośno:

– Niezależnie od tego, o co chodzi, z pewnością da się to załatwić przy cygarze i szklaneczce koniaku. Panie Grappo, zapraszam serdecznie do środka.

Demir podziwiał Veterixi. Tak samo jak Breenen wywodziła się z grona zwykłych obywateli i zapracowała na wysokie stanowisko, władzę i szacunek, którym darzono ją w mieście. Jej interwencja niemal doprowadziła go do utraty panowania nad sobą. Cichy głos z tyłu głowy przypominał mu, że może to być jego ostatnia szansa. Mógł dać sobie z tym spokój. Odpuścić. Przecież nie było to ważniejsze niż trwająca wojna. Mógł zająć się tym później. Podjął już jednak decyzję, od której nie było odwrotu, a palący go od środka gniew był zbyt rozbudzony, by dało się go ugasić cygarem czy koniakiem, nawet jeśli ta propozycja wychodziła od Veterixi.

– Wybacz, Vet – odrzekł, uśmiechając się do niej sztucznie i kierując miecz w stronę Caprica. – Tu chodzi o mojego przyjaciela, Caprica. – Odwrócił się do niego, czwartego w kolei spadkobiercy Vorcienów, zaczerpnął głęboko powietrza, licząc, że pomoże mu to zachować spokojny ton głosu, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej szkło dyscypliny. – Masz. – Rzucił je Capricowi, a ten złapał. – Załóż to.

– Nie rób tego – wysyczał Sibrial. – Nie masz prawa! – krzyknął do Demira. Veterixi cofnęła się o pół kroku. Capric uniósł magiczne szkło, oglądając je beznamiętnie w świetle popołudniowego słońca. Jego twarz przybrała upiornie blady kolor.

– Załóż to – rozkazał Demir. – Albo z miejsca zabiję ciebie i Sibrialą.

– Ty... – zaczął Sibrial.

– Powiedz jeszcze słowo, a przybiję ci stopy szkłem do ziemi, a potem będę się śmiał, gdy będziesz się darł wniebogłosy! – Demir poczuł, jak rozchodzą się szwy jego zdrowego rozsądku. Krzyk rozdarł mu gardło i sprawił, że do oczu napłynęły piekące łzy. Całe życie przemknęło mu przed oczami, ukazując wszystko, co zyskał w młodości, a następnie wszystko, co stracił w Holikanie i w latach, które nadeszły po nim. Nigdy nie czuł niczego podobnego, ani w najgorszym, ani w najlepszym momencie swego życia, a jedyne, co

mógł zrobić, to dać się temu porwać. – Załóż to, Capricu – powtórzył łagodniejszym głosem.

Cały tłum – od klubowej elity przez obserwujących ich przechodniów po zamarły ruch uliczny – wstrzymał oddech. Zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy zastanawiali się, czy wydarzył się kiedyś podobny precedens, by samotny tancerz szkła sprzeciwił się publicznie tak potężnej rodzinnej gildii, i jak mogło się to skończyć. Demir sam był tego ciekaw.

Capric przewlekle powoli haczykowały koniec szkła dyscypliny przez dziurkę w uchu.

– Mam w kieszeni – zaczął głośno Demir, niemal krzycząc, by mieć pewność, że każdy zdoła go usłyszeć – pismo wojskowe wysłane do mojego prywatnego sekretarza, datowane na noc, kiedy splądrowano Holikan. Widnieje na nim podpis Caprica Vorciena, a treść odnosi się do rozkazu splądrowania miasta. Było to krwawe wydarzenie, zatajone przez dziewięć ostatnich lat, którego konsekwencje, nie tyleż prawne, co moralne, w całości spadły na mnie. Dlatego pytam cię teraz, Capricu: czy to ty podpisałeś ten rozkaz?

Capric wbił wzrok w Demira. Jego twarz pozostała bez wyrazu, nie wydał też żadnego dźwięku. Ręce zwisały mu swobodnie u boków, a koniuszki palców lekko drżały.

– Jeśli okaże się, że to pomyłka – kontynuował Demir – jeśli pismo okaże się podrobione, wtedy obejmę cię jak przyjaciela i ucałuję twoje stopy, błagając o wybaczenie. Liczę na to, że tak właśnie się stanie. Modlę się o to. Powiedz mi więc, Capricu, czy to ty nakazałeś splądrowanie Holikanu i niesłusznie zrzuciłeś całą odpowiedzialność na mnie?

Nikt się nie odezwał. Nikt nie odważył się nawet zaczerpnąć powietrza. Demir zastanawiał się, ilu ze zgromadzonych tu ludzi ma w ogóle pojęcie, o czym on mówi. Większość z nich zapewne słyszała o splądrowaniu Holikanu. Nie łączyli go jednak z tym wydarzeniem. A co z elitą, która wylała się z klubu tuż za Capricem i Sibrialem? Oni pewnie wiedzieli i tak jak Veterixi odsunęli się o krok od Caprica. U jego boku pozostał tylko brat, wpatrując się w Demira z taką arogancją, na jaką w konfrontacji z tancerzem mógł sobie pozwolić wyłącznie sukcesor rodzinnej gildii.

Capric uniósł dłoń, żeby dotknąć tkwiącego w uchu szkła. Wyglądał... jakby mu ulżyło?

– Tak. Tak, zrobiłem to – powiedział.

– Głośniej – zażądał Demir. Mimo że spodziewał się takiej odpowiedzi, poczuł, jak zaciska mu się szczęka, a oczy zachodzą mgłą.

– Tak! – oświadczył Capric. – Zrobiłem to. A niech cię szkło. Zrobiłem to! – Wysunął szkło dyscypliny z ucha i rzucił nim w Demira.

Demir złapał je jedną ręką i schował do kieszeni. Swój na wpół uniesiony miecz skierował ku ziemi tuż przed Capricem.

– Pożycz miecz od brata, Capricu. Staniemy do walki. Tu i teraz. – Po czym dodał głośniej: – Nazywam się Demir Grappo i dwa dni temu odniosłem wielkie zwycięstwo nad grenckimi najemnikami i rzekomo niezwyciężoną Devią Kerite. Kto zostanie moim sekundantem?

Nie zgłosił się nikt z Elitarnego Klubu Vorcienów. W sumie dlaczego mieliby to robić? Konsekwencją wzięcia na siebie tej roli byłyby dożywotni zakaz wstępu do klubu oraz wrogość Vorcienów. Chwilę później zgłosiło się kilku gapiów, a potem z tłumu wyszła dobrze ubrana, młoda kobieta z mieczem przy biodrze i drogimi guzikami ze szkła mocy przy podróżnym płaszczu. Przedstawiła się jako Lazza i złożyła krótką przysięgę, że będzie jego sekundantką. Sibrial, rzecz jasna, zgłosił się, by asystować młodszemu bratu.

Formalności przebiegły szybko i chłodno. Sekundanci przeszukali przeciwników pod kątem ukrytych szkieł bożych, sprawdzili też ich miecze.

– Jeśli dożyjesz jutra – wysyczał mu do ucha Sibrial, sprawdzając Demira pod pachami i w pachwinach – to srogo tego pożałujesz.

– Od dziewięciu lat żałuję, że żyję. Dlaczego niby jutro miałyby się to zmienić? – Demir odsunął się od Sibrialia i na próbę zamachnął się mieczem. Pojedyńki były w zasadzie nielegalne w całym Imperium, ale ludzie i tak je organizowali. Zasady były proste: dwóch chętnych uczestników, żadnego szkła bożego, żadnej magii tancerzy, żadnych ingerencji osób trzecich. Capric z pewnością nie wyglądał na chętnego do pojedynku, lecz mimo to chwycił za

miecz brata. Klubowi bramkarze utworzyli wokół nich formalny kordon, utrzymujący gapiów na dystans.

Demir sprawdził, czy nie będzie się zbyt ślizgał na bruku, i chociaż zwykła ziemia byłaby lepsza, czuł się dość pewnie. Capric zrobił to samo. Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, dopóki nie dołączyli do nich sekundanci. Sibrial spojrział gniewnie, najpierw na Demira, potem na Lazzę. Młoda kobieta zdawała się tego nie zauważać. Demir zakładał, że była ulepiona z tej samej gliny co Tirana: żołnierka lub najemniczka, niedająca się łatwo stłamsić przez rodzinne gildie. Prawdopodobnie do jutra opuści już Oszę.

– Na jakich zasadach chcesz się pojedynkować? – zapytał Demira Sibrial.

– Co proponujesz, stary przyjacielu? – Demir skinął głową na Caprica.

– Na śmierć i życie – odparł monotonnym tonem Capric. – Jaki sens ma pojedynek do pierwszej krwi? – prychnął.

– Zgadzasz się? – zapytała Lazza.

– Tak – odpowiedział Demir. Trochę go to zaskoczyło. Spodziewał się, że Capric wybierze lżejszą opcję, przeleje pierwszą krew i dalej będzie wiódł wygodne życie. Nawet na to liczył. Nie czuł potrzeby zabijania dawnego kompana. Wolałby raczej stopniowo mieć go na pył przez wiele lat. Być może tego właśnie chciał uniknąć Capric. Miało to być ostateczne zakończenie tej kwestii. Gdyby Capric wygrał, nikt nie odważyłby się wspomnieć słowem o Holikanie. Jeśli zaś wygrałby Demir... cóż, nie miałyby to już żadnego znaczenia.

– Zatem pojedynek rozpocznie się, gdy walczący zgłoszą gotowość! – ogłosił Sibrial.

– Pomódl się do boga, jeżeli w jakiegoś wierzysz – powiedziała cicho Lazza i przeszła za Sibrialem na drugą stronę kordonu.

Demir i Capric stanęli naprzeciwko siebie na odległość miecza i unieśli rapiery. Demir wejrzał w głąb siebie, próbując coś poczuć. Żal. Złość. Nie było w nim nic poza lodowatą, martwą furią.

– Sprowadziłeś śmierć na dziesiątki tysięcy ludzi – rzekł Demir. Capric wzruszył ramionami. – Zniszczyłeś mnie.

– Jeśli choć trochę cię to pocieszy, to wiedz, że nie miałem takiego zamiaru – odpowiedział Capric. – Chodziło tylko o politykę.

Chciałem pokazać ci, gdzie twoje miejsce.

– Chciałeś pokazać mi, gdzie moje miejsce, kosztem tak wielu istnień? – spytał Demir, uderzając czubkiem miecza o rapier Caprica.

Capric ponownie wzruszył ramionami, a Demir poczuł nagle, jakby patrzył na kogoś zupełnie mu obcego. Znali się od dziecka, więc jakim cudem nie dostrzegł w nim wcześniej tej typowej dla członków rodzinnych gildii bezduszości? Wyglądało na to, że Capric może i żałował doprowadzenia Demira na skraj. Nie żałował jednak wymordowania całego miasta.

– Zjadłem ciężki obiad – oznajmił, oddając uderzenie czubkiem swego miecza.

– Ja zaś nie jadłem od kilku dni – odparł Demir.

– W takim razie może być bardzo ciekawie.

Capric odwrócił się tyłem do Demira i uniósł rapier równoległe do ziemi. Grappo zrobił to samo, podnosząc swój nieco wyżej, by sekundę później odeprzeć gwałtowny atak Vorciena. Pojedynek się rozpoczął, a miecze poruszały się raz w górę, raz w dół, na długość ostrza. Dzięki temu mogli wyczuć zamiary drugiej strony i przez chwilę pozostali w takiej pozycji, przesuając się nieznacznie w przód i w tył, aż Demir poczuł, że Capric zaczyna lekko napierać na jego miecz z zamiarem pchnięcia.

Grappo szybkim ruchem odepchnął ostrze przeciwnika i w odpowiedzi naparł na niego, celując w serce. Vorcien odskoczył w bok, a jego tunika zahaczyła o ostrze Grappa, raniąc Caprica w szyję i plamiąc rapier Demira krwią. Capric wyrwał się gwałtownie i obaj ponownie stanęli naprzeciw siebie. Grappo przyglądał się uważnie przeciwnikowi, starając się utrzymać nerwy na wodzy. Chciał wykazać się brawurą. Chciał zaatakować z całą mocą. Lecz oficjalnych pojedynków nie wygrywało się wściekłością. Capric nie był może najlepszym szermierzem w Imperium, był za to zbyt dobrze wyszkolony, aby dać się pokonać w ten sposób.

– Wyrobiłeś się – pochwalił Capric. – Tego się nie spodziewałem. Nauczyłeś się tego na prowincji?

Demir nic nie odrzekł. Swoje powiedział już wcześniej. Nie pozostało nic poza rozlewem krwi, do którego doprowadził jeszcze trzykrotnie, zanim Capric zdołał się zrewanżować, przecinając boleśnie zewnętrzną stronę prawego uda Grappa. Potem Demir

przyjął kolejne cięcie, tym razem w lewe ramię, a następnie w prawe. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że Capric coś oblicza i na nowo przymierza się do ataku. Demir musiał się wycofać.

Słyszał tylko własny, urywany oddech, serce biło mu jak oszalałe i zastanawiał się, czy za kilka sekund nie zginie. Nie mógł wykluczyć takiej ewentualności.

Ponownie stanęli naprzeciw siebie i ich miecze skrzyżowały się sześciokrotnie, zanim Capric zdecydował się na niski zamach. Użył do niego całego ciała, wykonując długie, potężne pchnięcie, jeszcze bardziej zabójcze dzięki wysokiemu wzrostowi i zasięgowi rąk. Demir poczuł ostrze przecinające mu skórę na brzuchu i chwycił wolną dłoń za gardę miecza Caprica. Płynnie przeprowadził broń, wbijając się pod kątem w odsłonięty obojczyk Vorciena. Capric przekręcił się lekko, a rapier Demira zanurzył się w jego ramieniu. Grappo wyrwał go z frustracją, gotowy do kolejnego ataku. Obrócił ostrze, podczas gdy Capric upadł na bruk.

– Jest ranny – warknął Sibrial. – Zbyt ranny, by kontynuować walkę. Będziecie musieli dokończyć ją kiedy indziej!

Demir pokręcił głową i zrobił krok do przodu. To była walka na śmierć i życie, przyzwoitość nie odgrywała tu żadnej roli. Jeśli zdecyduje się na odroczenie pojedynku, Ojciec Vorcien już nigdy do niego nie dopuści. Albo zdecyduje się wymierzyć sprawiedliwość, albo już na zawsze będzie patrzył, jak cała rodzinna gildia Vorcienów otacza Caprica opieką, chroniąc go przed osobistymi i prawnymi represjami.

– Masz dziesięć sekund, by wstać – rzucił do Caprica.

Chwilę później tego pożałował, kiedy gniewne okrzyki nagle przerwały ciszę, a tłum rozpierzchł się i odziani w jaskrawe mundury gwardziści otoczyli ich ze wszystkich stron. Demir potrzebował zaledwie szczypty magii, aby wyczuć, że pośród Gwardii Zgromadzenia jest wielu tancerzy szkła. W ułamku sekundy znalazł się przed różowym ostrzem halabardy jednego z gwardzistów. Pozwolił ramionom opaść, a rapierowi zawisnąć na palcu wskazującym. Wszystkie zmysły uderzyły w niego, jakby nagle uwolnił je z pudełka, w którym trzymał je podczas pojedynku. Gwardzista wyrwał mu miecz z dłoni, a on poczuł, jak jakaś magia

wyciąga mu z kieszeni szklane bańki. Jeden z członków Gwardii Zgromadzenia – oficer z masywnymi, spływającymi purpurą pagonami – przepchnął się przed swych towarzyszy i splunął na ziemię pomiędzy Demirem a Capricem.

– Na mocy władzy Wewnętrzznego Zgromadzenia jesteście aresztowani!

– Ten człowiek to członek rodu Vorcienów! – oświadczył Sibrial.

– Szkło mnie obchodzi, kim on jest – odparł gwardzista. – Obaj są aresztowani.

Demir poczuł, jak za kark łapie go jakaś silna ręka. Odwrócono go i zaciśnięto mu na nadgarstkach ciężkie kajdany. Obserwował, jak jego woźnica porzuca pojazd i ucieka pieszo z powrotem do Hiacynta, by przekazać Breenenowi i Montegowi, co się stało. Wszystkie uczucia, które Demir starał się poczuć przed pojedynkiem, wróciły i uciskały go w piersi – gniew, żal, upokorzenie. Wrócił do Ossy, aby ogłosić swe zwycięstwo, a teraz będzie musiał to zrobić, siedząc w celi w Maerhornie.

Okazał się głupcem. Cholernym głupcem.



Każde okoliczne dziecko mogło godzinami opowiadać o Kuźni. Miejsce to miało długą i bogatą tradycję duchowej siedziby. Jedni uważali je za nawiedzone, inni uznawali za schronienie pradawnych bogów, byli też tacy, którzy wierzyli, że było po prostu wyjątkowo pechowe. Mówiło się, że w Kuźni deszcz pada niemal co drugi dzień, a gwałtowne burze z piorunami zdarzają się co tydzień. W całym regionie mogło być jasno i słonecznie, ale chmury przytulały się do klifów niczym małe wydry do matki. Według legendy wielu szlachciców próbowało zbudować na tych skalistych szczytach posiadłości, forty, a nawet latarnię morską, lecz każdy z projektów był niweczony przez niszczycielską moc piorunów.

Mimo że słyszała odległe grzmoty niemal przez połowę życia, Thessa nigdy tak naprawdę nie była w Kuźni. Przepływała kiedyś obok niej podczas jednej z podróży z mistrzem Kastorą. Dostrzegła wtedy jej potężne rozmiary, ale widok ten nie mógł się równać ze wspinaczką na tę przeklętą górę. Stojąc na szczycie i rozglądając się po porzrzucanych wszędzie starych ruinach, podczas gdy wiatr

targał jej włosy, mogła się przekonać, że opowieści o tym miejscu były przynajmniej częściowo prawdziwe. Ludzie próbowali tam coś budować. Niestety jedyną ukończoną budowlą, choć od czasu ukończenia została już częściowo zniszczona, była latarnia morska. Górna kondygnacja, ta z płomieniem i lustrami, nie istniała od dawna, natomiast główna część mieszkalna pozostała nienaruszona, choć zdążyła już trochę zbutwieć. Reszta niezwykłych historii o tym miejscu była oczywiście kompletną bzdurą. Kuźnia nie była niczym więcej niż naturalną formacją, wbijającą się w głąb oceanu i górującą nad okolicą. W ciągu ostatniej dekady naukowcy rozpisywali się na jej temat, opisując zjawiska podobne do tych, które w swej książce przedstawiła profesorka Volos. Kształt i wysokość Kuźni powodowały, że ciepłe powietrze unosiło się nad oceanu i mieszało z zimnym nacierającym z pobliskich gór Halifax. I w taki właśnie sposób tworzyły się burze z piorunami.

Thessa spacerowała po wierzchołku Kuźni, zaglądając do zakamarków formacji skalnych i badając poczerwiałe ślady na kamieniach, świadczące o częstych wyładowaniach atmosferycznych. Wspięła się na najwyższe skały, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół z książki profesorki Volos. Pari i Tirana czekały na nią poniżej, drżąc na zimnym wietrze i wciąż nie mogąc złapać oddechu po długiej, niebezpiecznej wędrówce na szczyt. Na dole, wiele metrów pod nimi, czekał powóz załadowany skrzyniami z piorunochronem.

Będąc tak wysoko, ze słońcem świecącym jej prosto w twarz, czuła, jakby mroczne wydarzenia ostatnich kilku tygodni były jedynie złym snem. Z trudem mogła przywołać w pamięci młodego portiera leżącego twarzą na książce czy zwęglone zwłoki Filura Magny w jego własnym, nielegalnym piecu. Tamte wspomnienia wydawały jej się odległą przeszłością. To majestatyczne miejsce było przyszłością. Uznała, że to właśnie tu dokona się historia, która na zawsze zmieni świat.

Zastanawiała się, czy również Ekhiemu to miejsce przypadłoby do gustu, czy może dzikie wiatry uniemożliwiłyby mu latanie. Ostatecznie, dopóki nie zagoi mu się skrzydło, nie było sensu go tu zabierać.

– Tutaj będzie dobrze! – krzyknęła do Pari i Tirany. Obie pokręciły głowami, zmuszając Thesę do powrotu do punktu, w którym na nią czekały. – Tutaj będzie dobrze! – powtórzyła, krzycząc, by usłyszały ją pomimo szalejącego wiatru. – Chodźcie, tędy.

Poprowadziła je aż na sam wierzchołek Kuźni – płaski kawałek skały o szerokości niecałych dwudziestu metrów. Na jednym krańcu znajdowały się fundamenty starej ruiny, wysokiej na kilka metrów i tkwiącej tam prawdopodobnie od setek lat. Tuż nad oceanem, na niebezpiecznym uskoku, sterczały szczątki latarni morskiej. Zwróciła się do towarzyszek.

– Według profesorki Volos nie da się zaplanować, gdzie uderzy piorun, choć na ogół uderza on w najwyższy punkt. Możemy wykorzystać tę formację skalną albo latarnię morską. – Postukała brodę w zamyśleniu. – Niech będzie latarnia. Przykryjemy częściowo zadaszony dach brezentem i zyskamy osłonięte od wiatru miejsce do pracy, a piorunochron ochroni nas przed wyładowaniami.

Pari rozejrzała się wokół; była wyraźnie zdezorientowana, ale i tak skinęła głową.

– Dobra, zabieram się do pracy – odparła.

– Dasz radę ustawić wszystko zgodnie z rysunkami? – zapytała Thessa.

– Tak.

– Świetnie. Zostawię ci dwóch egzekutorów do pomocy. Powinam skończyć pracę nad projektem w ciągu kilku dni, wtedy tu wrócę.

Thessa po raz ostatni okrążyła latarnię, po czym z aprobatą kiwnęła głową.

– Pamiętaj tylko, że to jedynie test – powiedziała, bardziej do siebie niż do Pari. – Coś może pójść nie tak. Może będziemy musiały zacząć wszystko od nowa. Ale nie dowiemy się tego, dopóki nie spróbujemy.

– Z całym szacunkiem, panno Foleer – krzyknęła Tirana pośród podmuchów wiatru – ale to, co pani robi, to absolutne szaleństwo.

– Wolisz, żebym przymocowała piorunochron do gmachu hotelu? Bo taki jest mój plan awaryjny.

– Nie krytykuję pani pomysłu. Tak tylko stwierdzam. Pracuję dla Grappów dopiero od kilku lat, ale przez ten czas dużo się o nich dowiedziałam i wiem, że szalone idee mają długą i chwalebną tradycję w tej rodzinnej gildii. Uważam, że doskonale pani do nich pasuje.

Thessa uśmiechnęła się i przypomniała sobie o pocałunku z Demirem kilka nocy wcześniej. Miała pewną dzieciinną fantazję, choć dość praktyczną. Czy czeka ją w przyszłości rola matki rodu?

– To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam – stwierdziła.

Tirana pokręciła głową i roześmiała się, potem poklepała Pari po ramieniu.

– Wrócimy za kilka dni. Nie pozwól, by moi egzekutorzy weszli ci na głowę. Są tu, aby ci pomagać. – Odwróciła się i podążyła ścieżką w kierunku powozu.

Thessa stała przez chwilę obok Pari, nie mogąc zmusić się do powrotu.

– Przeraza cię to? – zapytała, gdy hotelowa oficerka zniknęła już z pola widzenia.

Pari zeszywniała, uniosła głowę, jakby sama sugestia stanowiła obrazę jej honoru, po czym niemal natychmiast spochmurniała.

– Trochę. Nikt nigdy nie prosił mnie, żebym machała prętem podczas burzy z piorunami. Dotychczas woziłam drewno na opał. Ale płaca jest o niebo lepsza... – Spojrzała na swoją rękę. Nie było śladu po zranieniu. – No i świadczenia też niczego sobie. Przynajmniej nie muszę lizać butów Magnie.

Thessa uśmiechnęła się szeroko. Były o krok od ukończenia projektu. Jeszcze tylko trochę pracy nad budową portalu i będą go mogły przetestować.

– Niedługo wrócę. Uważaj na siebie. A jeśli przed moim powrotem rozpęta się burza z piorunami, to nie radzę nikomu dotykać piorunochronu.



Następne dwa dni Kizzie spędziła na czytaniu raportów sporządzonych przez szpiegów Vorcienów. Dotyczyły one Szklanego Ostrza.

Tego typu dokumenty nie były, jak można by przypuszczać, spójnymi opowieściami o konkretnej osobie lub miejscu, tylko raczej czymś w rodzaju zbioru luźnych informacji, które mogły, ale nie musiały mieć związku z danym tematem. Przekazane Kizzie papiery nie były wyjątkiem. Wypełniały trzy drewniane skrzynie i zawierały wszystko: od wycinków z gazet, przez drukowane broszury, po liczne odręczne notatki z kilkudziesięciu różnych źródeł. Ponieważ Kizzie nie mogła zabrać tych zbiorów z posiadłości, zaszła się w jednym z wolnych pokoi gościnnych i czytała je, aż zamglili jej się wzrok.

Poświęciła zbyt dużo czasu na rozmyślanie, jak to Demir zwykł przyswajać informacje. Już w dzieciństwie wystarczyło, że wsunął do ucha kawałek szkła rozumu, a jego oczy przelatywały przez kartki, chłonąc ogromne ilości wiedzy naraz i – co najważniejsze – w pełni je rozumiejąc. Kizzie bardzo mu tego zazdrościła, w szczególności tego ostatniego, gdyż większość czasu spędziła, próbując pojąć, jak to wszystko się ze sobą łączy.

Po dwukrotnym zapoznaniu się ze wszystkimi aktami rzuciła się na goły materac w pokoju, który okupowała. Te raporty tworzyły cholernie skomplikowaną sieć połączeń. Gorian podał jej tylko kilka nazwisk. Dokumenty zebrane przez szpiegów Vorcienów rozszerzyły tę listę, wzbogacając ją o wszelkie ruchy i ambicje członków Szklanego Ostrza. W skład tego stowarzyszenia wchodził potężni ludzie, pochodzący z kilkunastu różnych rodzinnych gildii i zajmujący przeróżne stanowiska w ossańskim rządzie.

Zastanawiała ją, jakim cudem Ojciec Vorcien nigdy o nich nie słyszał, skoro jego szpiedzy prowadzili tak dokładne rejestry. Potem jednak przypomniała sobie, że prawdopodobnie dysponował podobnymi aktami większości działających w mieście Stowarzyszeń Fulgurytów. Mimo to przecucia Gorianego co do Szklanego Ostrza były słuszne. Wśród przeglądanych przez Kizzie dokumentów znajdowały się dziesiątki spraw sądowych przeciwko członkom lub samemu stowarzyszeniu: o korupcję, przekupstwa, napaści, morderstwa, tajemnicze zniknięcia. Każda z tych spraw została

w jakiś sposób zatuszowana, a następnie zapomniana. Przyglądanie się tak ewidentnym dowodom napawało ją przerażeniem.

A jak wielu innych informacji nie udało się nikomu zebrać? Ilu jeszcze członków stowarzyszenia działało rozproszonych po ossańskich rodzinnych gildiach, oddziałach wojskowych czy aparacie rządzącym całym światem? Czy to oni stali za mnóstwem nierozwiązanych zbrodni? A jeśli tak, to jak udało im się to tak skutecznie zatuszować?

I najważniejsze pytanie: jaki to wszystko miało związek z Adrianą Grappo? Dlaczego ją zabili? Po co wykorzystali do tego sześć osób i zrobili to publicznie? Kizzie miała wrażenie, że zna już odpowiedź na jedno z pytań. Adriana musiała coś odkryć, coś, czego Szklane Ostrze nie chciało, żeby odkryła, coś, do czego nie udało się dotrzeć innym szpiegom. Spisek? Kolejne głośne morderstwo? A może po prostu kopała trochę za głęboko, zaczęła zadawać niewygodne pytania? Czy jej publiczna śmierć miała być ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy za bardzo interesowali się członkami stowarzyszenia? Być może Szklane Ostrze nie było na tyle odważne, aby zaatakować jedną z najpotężniejszych rodzinnych gildii, lecz wystarczająco, by zabrać się za pomniejszą.

Kizzie czuła, że czegoś jej w tym wszystkim brakuje. Albo chodziło o informację, do której jeszcze nie dotarła, albo o coś, co niewłaściwie zinterpretowała. Jej przypuszczenia wydawały się słuszne, ale nadal brakowało jej pewności, by przekazać je Demirowi. A niech to szkło! Wiedziała, że nie zdoła zgłosić się do Demira, dopóki nie znajdzie i nie przesłucha dwóch ostatnich zabójców. Dopiero wtedy będzie mogła przedstawić dowody przeciwko Szklanemu Ostrzu, a Demir zdecyduje, czy chce wypowiedzieć im wojnę, czy nie. Oczywiście, jeżeli Ojciec Vorcien uprzednio wyrazi zgodę, żeby w ogóle cokolwiek Demirowi powiedziała.

Z rozmyślań wyrwało ją delikatne pukanie do drzwi, po czym, nie czekając na jej odpowiedź, wszedł przez nie Diagoni. Majordomus rodzinnej gildii Vorcienów skinął na Kizzie głową i rozejrzał się po pokoju, przyglądając się trzem dużym skrzyniom oraz wszystkim dokumentom rozrzuconym na stołach, komodach

i podłodze. Miał zmarszczone brwi i ściągniętą twarz, jakby wstrzymywał oddech.

Kizzie momentalnie się wyprostowała.

– Coś się stało? – zapytała.

– Kissandro – przywitał ją, zamykając za sobą drzwi. – Jak idą poszukiwania?

Zbył jej pytanie.

– Wiedziałeś o tym wszystkim? – spytała, wskazując gestem w stronę skrzyń. Oczywiście, że wiedział. Diaguni wiedział pewnie o wiele więcej niż sam Ojciec Vorcien.

– Rozmawiałem wczoraj wieczorem z twoim ojcem na temat Szklanego Ostrza – odpowiedział. – Ich działania nie różnią się zbytnio od tych praktykowanych przez inne potężne Stowarzyszenia Fulgurytów, ale jeśli naprawdę zabili Adrianę, to posunęli się o krok za daleko. – Miał łagodny, uspokajający głos, choć jego brwi pozostawały ściągnięte.

– Jestem tego prawie pewna – odparła Kizzie. – Zbyt wielu ich członków było w to zaangażowanych. To nie może być przypadek. Nadal jednak nie wiem, dlaczego to zrobili. Muszę wytropić ostatnich dwóch zabójców i liczę, że jeden z nich coś mi na ten temat powie.

– Dobrze, bardzo dobrze. – Diaguni usiadł na brzegu łóżka, wyglądając na jeszcze bardziej niezadowolonego.

– Diaguni, co się dzieje? – zagadnęła Kizzie.

– Te listy, które przyniosłaś ojcu tamtego dnia...

– Te, którymi szantażowali Caprica, tak? – Kizzie poczuła, jak zaciska jej się żołądek. Dowiedzieli się, że wysłała list do Hiacynta? Jak? Mają szpiega w hotelu? A może Ojciec Vorcien zdołał przeciągnąć Breenena na swoją stronę? Nawet jeśli, to zachowała ostrożność, tej koperty nie dało się namierzyć. W głowie krążyło jej mnóstwo myśli, ale starała się zachować neutralną minę.

– Dokładnie tak – potwierdził Diaguni. – Pismo wojskowe, którym szantażowano Caprica, było dowodem na to, że zrobił Demira w spłodowanie Holikanu.

Kizzie wybałuszyła oczy. Nie musiała udawać zaskoczenia. Mimo iż widziała treść tego pisma, to i tak była w szoku, że Diaguni jej o tym mówi.

– A niech to szkło – wyszeptwała.

– Ktoś, najprawdopodobniej członek Szklanego Ostrza, wysłał Demirovi to pismo, a ten wyzwiał Caprica na pojedynek, publicznie. Obaj zostali ranni, ale na miejsce przybyła Gwardia Zgromadzenia i ich aresztowała, nim walka zdążyła się formalnie zakończyć.

– Och. – Kizzie poczuła, jak przewraca jej się coś w środku. Te dwa zdania wydawały się przerażającym niedopowiedzeniem. Spodziewała się, że Demir dowie się o tym, dopiero gdy wróci z frontu, czyli za kilka tygodni. Nie od razu. Oczekiwała, że przyjmie to wszystko na spokojnie, że skupi się na powolnym wyniszczaniu Caprica przez kolejne dziesięć lat, a nie że wyzwie go na szklolerny pojedynek. Bardzo źle go oceniła. Chcąc pomóc przyjacielowi zamknąć pewien etap życia, możliwe, że przyczyniła się do rozpętania wojny między rodzinnymi gildiami. Na szczęście dla niej Ojciec Vorcien najprawdopodobniej obwiniał już za to Szklane Ostrze. Przynajmniej coś jej się upiekło.

– Co mam robić? – zapytała Kizzie. Rozejrzała się po pokoju, pogrążając się w nagłym poczuciu bezradności. Nie mogła dopuścić do tego, by Diaguni żywił choćby cień podejrzenia, że miała coś wspólnego z tym pismem. – Jesteśmy w stanie wojny? Mam przerwać śledztwo?

– Twój ojciec chce, żebyś pozostała przy swoim zadaniu. Jak na razie tylko Capric został wyzwany na pojedynek i obwiniony o tamte wydarzenia, więc będziemy udawać, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Działaj w dobrej wierze. Odpowiedzi, których chce Demir, są również odpowiedziami, których chce twój ojciec. Poza dodatkowym zadaniem, które zlecił ci Ojciec Vorcien, masz pozostać nieskazitelna w oczach Demira.

Uniosła brew. Jak po czymś takim Demir miał jej zaufać? Jeśli Demir uważał Caprica za wroga, to i wszystkich Vorcienów będzie postrzegał w ten sam sposób.

– Jak, do cholery, mam to zrobić? – zapytała.

– Jak już mówiłem: działaj w dobrej wierze. Rób wszystko, co możesz, aby utrzymać zaufanie Demira. Pamiętaj, co ci obiecano. – Diaguni wstał nagle i obdarzył ją niemal ojcowskim uśmiechem. – Szklane Ostrze próbuje zasiać niezgodę wśród największych rodzinnych gildii. Tym ważniejsze jest, by ich wszystkich wyplenić.

Uzyskaj odpowiedzi i przekazaj ojcu dowody na ich udział w morderstwie Adriany. – Diaguni wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kizzie odczekała chwilę, upewniwszy się, że Diaguni już nie wróci, potem odetchnęła głęboko.

– A niech cię szkło, Demirze – wyszeptała. – Nie miałeś się konfrontować z Capricem. Przeklęty Capric, przeklęty Demir, przeklęta ja.

Krążyła po pokoju. Wyszło na to, że rzeczywiście miała niezgodę. Zrobiła dokładnie to, czego chcieli ich wrogowie.

Coś zakolatało jej w głowie i ponownie skupiła się na szpiegowskich raportach. Coś w wypowiedzi Diaguniego przykuło jej uwagę, ale nie mogła określić, co dokładnie. Uważnie przeanalizowała ich rozmowę, zastanawiając się nad każdym słowem, aż w końcu zrozumiała, że chodziło o niezgodę.

W całej tej sprawie chodziło o zorganizowany chaos. Grencki agent był kozłem ofiarnym, który miał zostać złapany, aby wina za morderstwo spadła na Grent. Następnie wypowiedziano wojnę, destabilizując cały region. Tylko w jakim celu? Wojna była niekorzystna dla handlu, niekorzystna dla Grentu, niekorzystna dla Ossy. Jeśli śmierć Adriany miała przyczynić się do tego wszystkiego, to jaki był prawdziwy powód?

Kizzie chodziła po niewielkiej sypialni, pogrążając się w gorączce myśli. Nie było wątpliwości, że Szklane Ostrze przewidziało powrót Demira i to, iż zapragnie on przeprowadzić własne śledztwo. Nie przewidzieli jednak Kizzie. I to był ich błąd. Błąd, który w pewnym momencie będą chcieli naprawić. Wiedziała, że Wysoki Mężczyzna widział jej twarz. Nie chodziło już o rozwikłanie spisku, by udobruchać Ojca Vorciena i dowieść niewinności Demira. Musiała to zrobić, żeby ocalić własną skórę, zanim potężne ossańskie Stowarzyszenie Fulgurytów wbije jej ostrze w plecy.

Pukanie do drzwi sprawiło, że niemal wyskoczyła z butów. Rzuciła się do wejścia i wyciągnęła sztylet, zanim zdążyła pojąć, co tak naprawdę robi. Szybko schowała go za siebie i modliła się, aby Diaguni nie wrócił, by doszukiwać się podstępów w jej wcześniejszej wymówce.

– Wejdz!

Ku jej uldze była to jedna z pokojówek Vorcienów. Ukłoniła się Kizzie i przekazał jej kopertę.

– To dla pani.

Kizzie poczekała chwilę, aż kobieta odejdzie, następnie otworzyła list. Natychmiast rozpoznała kanciaste pismo Goriana.

„Znalazłem twojego Wysokiego Mężczyznę – napisał. – Spotkajmy się w wartowni o dziesiątej”.

Kizzie zwycięsko uniosła zaciśniętą pięść. Coś zaczynało się klarować. Udało jej się znaleźć Wysokiego Mężczyznę, teraz będzie musiała potwierdzić, czy on albo jego pan pracują dla Szklanego Ostrza, a potem ich wszystkich załatwić. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się wyjść z tego cało.



Idrarian stał nad umywalką, polewając twarz zimną wodą i patrząc na swe odbicie w płomieniu migoczącej lampy gazowej kwatery gościnnej oficerów Fortu Alameda. Widział siwiznę we włosach i drobne, opalizujące plamki fioletu oraz żółci na policzkach i szyi, widoczne tylko pod odpowiednim kątem. Światło odbijało się od jego sztucznego oka jak od świątecznej ozdoby, ukazując niedoskonałą głębię szkła. Zdarzało mu się fantazjować, jak by to było zajrzeć przez to oko do wnętrza umysłu i zobaczyć rozrastającą się w nim zgniliznę wywołującą obłęd. Skończył się golić i chlusnął lodowatą wodą na kark i brodę, a potem wytarł się szmatką.

Na dziedzińcu fortu ktoś śpiewał przy akompaniamencie skrzypiec Braileera. Zaczynała się noc pełna relaksu, na który ciężko zapracowali. Demir pojechał do Ossy. Kerite nie stanowiła obecnie bezpośredniego zagrożenia. A wozami przywieziono im jedzenie i picie, aby wynagrodzić Stalowym Taranom oraz ich współtowarzyszom, kirasjerom, manewr okrzyknięty mianem Potoku Grappa.

Potok Grappa. Idrian uśmiechnął się w duchu na myśl, ilu dowódców w ciągu najbliższych stuleci będzie chciało bezrefleksyjnie odwzorować tę akcję, wysadzając tamy i zmieniając bieg rzek w kierunku swych wrogów, nie poświęcając wystarczającej uwagi obliczeniom, które tak starannie wykonał Demir.

Włożył marynarkę od wyjściowego munduru, a przy lustrze poprawił stójkę. Starzał się. Szklany trąd sprawiał, że pod skórę, aż do kości, wkradała się sztywność. Był o włos od przejścia na emeryturę, i chociaż tęsknił za spokojem, to po części obawiał się, że resztę życia spędzi samotnie, czekając, aż zabije go szklany rak. Niczego nie pragnął bardziej, niż wyjść z innymi żołnierzami na dziedziniec i przez całą noc pić piwo. Może nawet zasnąć w ramionach jakiejś kirasjerki. Zamiast tego musiał wziąć udział w uroczystej kolacji z dowódcą garnizonu, którego nazwiska nawet nie pamiętał.

– Szklórwa mać – zaklął, wpatrując się w lustro i delikatnie naciskając na oko ze szkła bożego. – Mógłbym stwierdzić, że starzenie się jest do bani, ale dla takiego Gromiciela jak ja każdy rok to dar.

Po chwili uświadomił sobie, że słyszy odgłos stóp biegnących po korytarzu. Zatrzymały się tuż przed drzwiami; rozległo się pukanie, a potem, nie czekając na pozwolenie, Squeaks weszła do środka i spojrziała na Idriana.

– Wiem, wiem. Spóźniłem się na kolację, ale...

– Panie! – przerwała mu szeptem. – Nie chodzi o kolację.

– Więc o co chodzi? – zapytał, odwracając się do niej ze zmarszczonymi brwiami.

– Jest pewien problem.

– Mów, szybko!

– Mam niewielki talent tancerki szkła.

Idrian zerknął na Squeaks.

– I to jest ten problem?

– Oczywiście, że nie! To tajemnica, a nie problem. Wie tylko major Grappo, który od lat powtarza, że bym nikomu o tym nie wspominała. Mówi, że kiedyś może się to przydać.

Takich rzeczy na ogół nie trzymano w tajemnicy. Co prawda mniejsze talenty mogły okazać się przydatne w kilku różnych

miejskach pracy, ale wojsko nie było jednym z nich. Gdyby ktoś na górze wiedział, że posiada ten talent, może udałoby jej się dostać kilka dodatkowych ozzó do comiesięcznej wypłaty, ale w zasadzie nie robiło to większej różnicy.

– Więc dlaczego mówisz mi to teraz?

– Ponieważ generał Grappo odciągnął mnie na bok i dał mi pewne zadanie. Poleciał, abym była cały czas w pogotowiu. Nie chciał, żeby to, co przydarzyło się generałowi Stavriemu, spotkało również jego.

Idrian nie mógł przestać myśleć o tym, że będzie musiał nosić przez całą noc ten niewygodny uniform ze sztywną stójką.

– Generał udał się do Ossy. Wróci pewnie bardzo późno, a zabójcy nie zaatakują nas przecież w środku przekłętego fortu. Spocznij, żołnierko.

– Ale, panie... Myślę, że zabójca już tu jest.

Gromiciel wpatrywał się w lustro, ponownie poprawiając stójkę. Musiało minąć kilka sekund, zanim dotarło do niego, co przed chwilą powiedziała Squeaks. Odwrócił się do niej, a włosy na karku stanęły mu dęba. Spojrzał na nią – naprawdę się jej przyjrzał – i dostrzegł strach w jej oczach. Nie żartowała. Po minucie pędził już pustym korytarzem, przewlekając przez dziurki w uszach wszystkie kolczyki ze szkieł bożych, jakie miał pod ręką. Squeaks biegła za nim, starając się dotrzymać mu kroku i mówiąc przyciszonym głosem.

– Jest tylko jeden – wyjaśniła. – Siedzi na krawędzi dachu, przy gabinecie dowódcy. – Tam właśnie spotykali się wszyscy oficerowie na kolację. To nie mógł być przypadek. Squeaks kontynuowała: – Sprawdziłam i nie ma w pobliżu żadnego z naszych tancerzy, a on na pewno nie jest jednym z nich. Nie wiem nawet, jak się tam dostał. Nie wyczułam go wcześniej, zupełnie jakby pojawił się znikąd.

Idrian zerknął na nią z ukosa.

– Jesteś pewna, że jest sam?

– Tak, panie.

Wszystkie raporty, które przeczytał na temat zabójstwa Stavriego, twierdziły, że dokonał tego oddział złożony z co najmniej sześciu tancerzy szkła. Jeżeli byłoby ich mniej, nie udałoby im się

przeprowadzić tak precyzyjnej i natychmiastowej rzezi. Ale w Klubie Binghamskich Awanturników było o wiele więcej oficerów i kelnerów niż tutaj.

– Wie, że go zauważyłaś?

– Mój talent jest tak niewielki, że trudno go wyczuć. Dlatego tak długo udawało mi się utrzymać go w tajemnicy. A on albo nie wie, że tu jestem, albo uważa, że nie zwracam na niego uwagi. Zmysły tancerzy działają tak samo jak inne. Trzeba być otwartym na magię, aby coś wychwycić. – Zatrzymała się i popatrzyła na Idriana, zamartwiona. – Powinnam wcześniej wszcząć alarm?

– Nie, to by go tylko spłoszyło. Dobrze zrobiłaś, przychodząc do mnie. Silny jest?

– Bardzo. Wyróżnia się na tle tej ciemnej nocy niczym latarnia morska. Gdyby byli teraz w formie jacyś wojskowi tancerze, wyczuliby go z zamkniętymi oczami.

Idrian nie mógł się zdecydować, czy podnieść alarm, czy nie. Samotny tancerz szkła z trudem uszedłby z życiem podczas ucieczki z fortu, ale jeśli była to misja samobójcza, mógłby z łatwością zabić Tadeasa, Mikę, Valienta oraz wszystkich innych oficerów garnizonu i kirasjerów, zanim ktoś zdążyłby właściwie zareagować. Idrian musiał odwrócić sytuację – zastawić na niego zasadzkę – ale to oznaczało, że nie może dać mu do zrozumienia, iż ktoś go odkrył. Spojrzał ostro na Squeaks.

– Wszyscy wiedzą, że Demir pojechał do Ossy?

– Nie, panie. W sumie to mało kto o tym wie. Chciał zachować to w tajemnicy na wypadek szpiegów. Wydaje mi się, że dowódca garnizonu nadal wierzy, że generał Grappo pojawi się na kolacji.

Wszystko jasne. Ten tancerz wykonywał prawdopodobnie samobójczą misję i przybył nie po to, aby zabić kilku średniej rangi oficerów, tylko samego Demira. Możliwe, że zakradł się do fortu wiele godzin temu i nie mógł wyczuć nieobecności Demira, dopóki nie ustawił się na pozycji. A to oznaczało, że albo zaatakuje bez względu na wszystko, albo pozostanie w ukryciu do czasu, aż będzie mógł się wycofać. Idrian nie miał zamiaru dopuścić do żadnej z tych rzeczy. Wszedł do pokoju Braileera, gdzie płatnerz przygotował już jego broję do polerowania, i podniósł miecz oraz tarczę.

– Dobrze, zajmę się nim. Leć ostrzec Tadeasa, ale zrób to subtelnie. Nie chcę, żeby wszczynał alarm. Uwięziony i zestresowany tancerz szkła może wyrządzić o wiele więcej szkód niż taki, który żyje w błędnym przeświadczeniu o swej przewadze.

Squeaks opuściła barak głównym wyjściem, podczas gdy Idrian wymknął się bocznym, trzymając się z dala od krawędzi dachu kwatery dowódców. Szedł ze spuszczoną głową i podnosił palec do ust za każdym razem, gdy ktoś rzucał mu zaciekawione spojrzenie, a tych było całkiem sporo. W forcie roilo się od piechoty i kawalerzystów, przybyłych na miejsce w poszukiwaniu dobrej wojskowej zabawy zorganizowanej z błogosławieństwem generała. Gdyby tancerz niespodziewanie spanikował, mógłby zabić wielu ludzi, zanim zdołałby go dopaść.

Idrian przeszedł na drugą stronę mesy i znalazł zardzewiałą drabinę prowadzącą na dach. Wspiął się po niej, z tarczą i mieczem na plecach, po czym przykucnął na chwilę w ciemności, upewniając się, że nikt go nie zauważył, a następnie szybko przebiegł po łupkowych dachówkach. Wszedł na kolejne dwa piętra, poruszając się bezszelestnie na palcach i trzymając głowę nisko, aby nikt nie wpadł na pomysł, by krzyknąć do niego ze znajdującego się poniżej placu zebrań.

Skradał się już po zadaszeniu garnizonowego magazynu z zaopatrzeniem, gdy dostrzegł cień jakiejś postaci. Tancerz szkła siedział kilka metrów od krawędzi dachu, tuż nad patio prowadzącym do kwatery dowódcy garnizonu. Jeśli ktoś zamierzał wpaść w środku kolacji, by pozabijać wszystkich jej uczestników, to czekałby dokładnie w tamtym miejscu. Idrian znajdował się po jego prawej, nieco z tyłu, i jeśli nieprzyjaciel zdawał sobie sprawę z jego obecności, nie dał tego po sobie poznać. Powoli, uważając, by ani miecz, ani tarcza nie zadrapały dachówek, Idrian zaszedł go od tyłu.

Zsunął miecz oraz tarczę z pleców i pozostał w bezruchu. Tancerz znajdował się niecałe trzydzieści kroków od niego. Był większy, niż Idrian się spodziewał, może nawet większy niż on sam, miał skulone ramiona i pochyloną głowę, jakby w skupieniu nasłuchiwał wszelkich dźwięków dobiegającym z otwartych drzwi prowadzących na patio.

Idrian wpatrywał się w intruza przez jakiś czas, nie mogąc odpędzić od siebie uczucia niepokoju, które zakradło się do jego wnętrza. Było to coś dziwnego. Bardzo dziwnego. Tancerze działający jako zabójcy nie byli niczym nadzwyczajnym, ale ponieważ nawet małe talenty mogły ich wyczuć, rzadko powierzano im tego typu zadania. Gdy jednak uświadomił sobie, że ten na coś czeka, po plecach przebiegł mu dreszcz. Prawdopodobnie oczekiwał na przybycie wszystkich oficerów. Idrian również powinien być w tamtym gronie. A może liczył na rychły powrót Demira.

Szkoda czasu na zamartwianie się. Nadszedł czas na działanie. Idrian obrócił w dłoni rękojeść miecza tak, by skierować tępą krawędź do przodu. Wystarczyło zadać tancerzowi szkła trochę bólu, aby stał się równie bezbronny jak każdy inny żołnierz. Nie mógł też zapomnieć, że informacje, które może od niego uzyskać, mogą się okazać bardzo cenne. Może powinien złamać mu rękę? Nie, lepiej nogę. Albo w sumie obie za jednym uderzeniem.

Idrian ruszył pędem po łupkowych dachówkach, nie dbając już o ukrywanie odgłosów swej obecności. Miał na sobie wystarczającą ilość szkła mocy, żeby pokonać dzielącą ich niewielką odległość w ułamku sekundy. Tak też zrobił. Zamachnął się mieczem, wykonując szeroki, niski ruch, a w drugiej ręce trzymając przed sobą tarczę. Tancerz zaczął się odwracać, zanim Idrian zdążył do niego dobiec, ale nie był wystarczająco szybki, by uniknąć zderzenia się z mieczem. Gromiciel zrobił niski i poprzeczny ruch tępą krawędzią broni, trafiając w nogi wroga.

Idrian robił ten manewr już wiele razy i doskonale wiedział, ile siły powinien w niego włożyć. Koniec miecza uderzył dokładnie na wysokości goleni, ale zamiast je przeciąć, Gromiciel poczuł, jakby właśnie wałnął w kowadło. Uderzenie niemal wyrwało mu ramię ze stawu. Zarówno on, jak i tancerz szkła chrząknęli z zaskoczenia. Nieprzyjaciel upadł, choć nie tak mocno, jak powinien, a Idrian stracił równowagę i przechylił się w kierunku krawędzi dachu. Następnie odskoczył na bok i przetoczył się po tarczy, głośno objając się o łupkowe dachówki. Podczas obrotu odzyskał równowagę i sprawnie wrócił na nogi, ustawił się z mieczem i tarczą naprzeciwko intruza, spinając każdy mięsień w gotowości do skoku naprzód.

Tancerz był ogromny, miał prawie dwa metry wzrostu i obwód odpowiadający dwóm roslým mężczyznom. Większość jego ciała skrywała się pod płaszczem, ale Idrian mógł dostrzec masywne ramiona powleczone matową zbroją i szeroki hełm ozdobiony fantazyjnymi wypustkami, przypominającymi kolce na krawędziach krabich skorup. Przyglądali się sobie przez pół sekundy, potem odgłos krzyków dobiegających z dołu wyrwał Idriana z krótkiej zadumy. Nie minęła nawet chwila, nim szkło w oknach pod nimi roztrzaskało się z hukiem i Gromiciel usłyszał, jak tłukące się o siebie kawałki zbierają się wokół tancerza. Idrian machnął mieczem, ustawiając go ostrzem przed siebie, i rzucił się do ataku.

Mimo potężnych rozmiarów nieprzyjaciel był zaskakująco zwinny. Jego buty ze stalowymi podeszwami stukały o dachówki, gdy unikał pchnięć i uchylał się od ciosów Idriana, a potem przekoziółkował, chroniąc się przed kolejnym atakiem. Gromiciel zalał się potem, czuł strach, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył, przyprawiający go o drżenie rąk. Nie miał na sobie zbroi, miał za to wystarczająco dużo szkła mocy, aby poruszać się tak szybko, jak to tylko możliwe, a i tak jakimś dziwnym trafem tancerzowi szkła udawało się uniknąć wszelkich wymierzonych w niego ciosów. Idrian poczuł, jak coś muska go po karku, i uświadomił sobie, że wróg nie tylko jest w ciągłym ruchu, ale też działa w ofensywie, co wymagało nie lada umiejętności i praktyki.

Gromiciel dostrzegł kątem oka coś błyszczącego i rzucił się na dach, przetaczając się po tarczy, by sekundę później usłyszeć dźwięk dziesiątków odłamków szkła roztrzaskujących się o dachówki dokładnie w miejscu, w którym stał chwilę wcześniej. Uniósł tarczę, osłaniając nią oczy, a tysiąc małych odłamków przecięło mu kostki, strzępiąc spodnie od munduru i znajdującą się pod nim skórę. Wbrew jakimkolwiek instynktom samozachowawczym Idrian rzucił się do przodu, spychając tancerza na krawędź dachu, aż znaleźli się na tyle blisko, że mógł poczuć na policzkach kwaśny oddech intruza.

Po raz pierwszy dobrze przyjrzał się twarzy wroga, a to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Było coś dziwnego w tym hełmie z karbowanymi krawędziami. Oczy usytuowane były zbyt daleko od siebie, a usta zbyt nisko. To wcale nie był hełm. To była twarz. Ten tancerz szkła – to coś – nie był człowiekiem.

Na moment pozostali w bezruchu, masywny wróg po jednej stronie tarczy, Gromiciel po drugiej, zanim Idrian zdał sobie sprawę z rozlegającego się wokół nich alarmu. Intruz otworzył szeroko paszczę, rozwierając ją przeraźliwie i wyciągając długą szyję ponad tarczą Idriana. Ten prawie nie zareagował. To nie mogło się dziać naprawdę. Czy była to kolejna manifestacja jego chorego umysłu? W ostatniej chwili opuścił ramię i pchnął, słysząc kłapanięcie zamykanej szczęki tuż nad swoją głową. Stwór zachwiał się i rozpląnął w powietrzu.

To, co początkowo uznał za pelerynę, rozwinęło się w ogromne skrzydła, bijące z taką siłą, że niemal wgniotły Idriana w dach. Światło księżyca uchwyciło bestię na kilka sekund, ukazując Gromicielowi, że zbroja była w rzeczywistości twardą skorupą, a stalowe buty okazały się szponiastymi stopami. Tancerz wystrzelił w mroczne powietrze z niesamowitą prędkością, szybko znikając z pola widzenia. Idrian odsunął się od krawędzi dachu, wpatrując się w niebo i czekając na powrót stwora. Noc wypełniła się odgłosami garnizonu i żołnierzami szykującymi się do walki. Jeśli wróg chciał mu coś powiedzieć, Idrian nie mógł tego usłyszeć ponad dobiegającym z dołu harmidrem.

Nadal wpatrywał się w niebo, gdy dołączyli do niego Tadeas z mieczem i pistoletem w ręku oraz depcząca mu po piętach Mika z parą granatów. Mieli na sobie ciężkie peleryny, zakrywające wszystko oprócz oczu – najlepsza obrona przed tancerzami szkła. Idrian spojrzał na nich, potem w niebo, a następnie znów na swych towarzyszy.

– Tadeasie – powiedział, słysząc desperację w swoim głosie. – Stało się. Oszalałem. Ja tylko... Ja tylko... Ja walczyłem z... – Nie mógł wydobyć z siebie słów. Nawet teraz, chwilę po tym, jak nieprzyjaciel rozpląnął się w mroku, miał problem z opisaniem go w jakiś sensowny sposób. Musiał kompletnie postradać zmysły.

– Nie oszalałeś – odparł ponuro Tadeas. – Widziałem to z dachu baraku. Mika też. Nie wiem, kto jeszcze to widział, ale to coś odleciało.

Fala ulgi obmyła Idriana, a z jego ust wydobyło się rozluźniające westchnienie, że to, co zobaczył, było prawdziwe. Odprężenie nie trwało jednak długo, gdyż zaraz po tym ogarnęło go

przerażenie. Ten tancerz szkła nie był człowiekiem. Był na tyle silny, żeby znieść obezwładniający cios, i na tyle szybki, aby uniknąć kolejnych. Czym była ta kreatura? Czy przy użyciu szkła bożego można było stworzyć coś takiego? Czy był to jakiś grencki potwór? A może było to coś zupełnie innego?

– Postaw wszystkich w stan podwyższonej gotowości na wypadek, gdyby to coś wróciło – rozkazał Mice Tadeas. – A ty, Idrianie, zostałeś cholernie poszatkwany. Schowaj się gdzieś i weź ze sobą garść szkła leczniczego. Wydlubanie z ciebie tej tony błyskotek zajmie całą noc.

Idrian czuł liźnięcia chłodnego powietrza w tysiącu małych skaleczeń na nogach i prawym ramieniu. Wolał nie wiedzieć, jak wygląda. Prawdopodobnie mocno krwawił, a gdyby nie miał w uszach szkła ukojenia, pewnie doskwierałby mu silny ból. Patrzył w niebo, miecz i tarczę nadal trzymał w gotowości. Czym było to coś? I co ważniejsze, jak miał przygotować się do walki, na wypadek gdyby ten stwór powrócił?



Znajdująca się w czeluściach Maerhornu cela Demira była niewielkim, kamiennym pomieszczeniem z luksusami, takimi jak kominek i biurko. Oświetlały ją lampy gazowe, a ponieważ jedyną wentylację stanowił szereg małych otworów wywierconych w górnej części grubych kamiennych ścian, śmierdziało nocnikiem stojącym w odległym kącie. Demir siedział na zniszczonym łóżku, z udami przyciśniętymi do piersi, w mundurze, w którym dzień wcześniej przybył do Ossy. Spał trochę, głównie za sprawą ogromnego wyczerpania, i towarzyszył temu wściekły, deliryczny sen nieprzynoszący ukojenia.

Każda próba podtrzymania pewności siebie kończyła się klęską. Popelniał poważny błąd, pozwolił sobie na potknięcie, a teraz osiągną go konsekwencje jego działań i arogancji. Była to bardzo nieprzyjemna myśl, krążąca mu po głowie niczym kula armatnia po pokładzie statku. Jak mógł to powstrzymać? Czy w ogóle mógł coś zrobić? A może zapędził się zbyt daleko i nic już nie powstrzyma kolejnego rozpadu?

Nie czuł jednak, że się rozpada. Dobrze znał tamto uczucie, a jedyną rzeczą w pewien sposób do niego podobną było działanie szkła strachu. Popełnił błąd. Nic więcej. Mógł z tego wyjść, a może i coś na tym zyskać. Tylko jak? Znajdował się w lochach Maerhornu. Zaatakował syna jednego z najpotężniejszych ludzi w Ossie. Zrobił też kilka innych rzeczy, licząc na to, że będzie miał wystarczająco dużo czasu i uznania, by zamieść je pod dywan.

Westchnął i oparł głowę o zimną, kamienną ścianę, ale odgłos otwieranych drzwi przywrócił go do poprzedniej pozycji. Docierały do niego jakieś głosy, lecz nie mógł zrozumieć z nich ani słowa. Otworzyły się kolejne drzwi, tym razem bliżej, a potem zamknęły i spojrział poprzez migoczące światło lampy na drzwi swojej celi. Były ciężkie, dębowe, z małym zakratowanym okienkiem. Tuż za nimi rozległo się echo czyichś kroków i dostrzegł przechodzące przed nimi postacie. Parę gwardzistów oraz ostry profil twarzy Caprica i jego długie, czarne włosy. Vorcien rzucił okiem w jego kierunku i ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

Demir wsłuchiwał się w odgłos oddalających się kroków. Powinien lepiej to wszystko rozegrać. Pozwolił niestabilnej części swego umysłu przejąć kontrolę nad emocjami, podczas gdy właściwe byłoby dokładne przeanalizowanie zdrady z użyciem szkła harmonii i rozumu przed podjęciem jakichkolwiek działań. Wystarczyłoby zaledwie kilka minut na zebranie myśli i uspokojenie wewnętrznej burzy, a dostrzegłby, o ile lepiej smakowałaby zemsta wymierzana powoli i precyzyjnie na przestrzeni wielu lat. Capric nie miały nawet świadomości, że są wrogami.

Falę samooskarżeń przerwał odgłos kroków oraz wyraźny stukot drewnianych kół przecinających kamienną posadzkę. Zatrzymały się przed celą Demira. Odblokowano drzwi i samotna gwardzistka wtoczyła do małego pokoju wózek inwalidzki Ojca Vorciena, ustawiając go obok łóżka Grappa. Demir zerknął na nieodgadnioną twarz Vorciena, pokrytą łuskami szklanego trądu, oraz na jego oczy taksujące Grappa, jakby chciały zedrzyć z niego szaty i odgadnąć wszystkie sekrety.

Drzwi pozostały otwarte, a gwardzistka stała tuż za Ojcem Vorcieniem. Była starszą kobietą, tancerką szkła – mimo że Demir nie

wyczuwał w pobliżu żadnego szkła, którego mogłaby użyć – i trzymała dłoń na wysadzonej szkłem mocy rękojeści rapiera.

– Nie spodziewałem się towarzystwa – powiedział Demir, śliniąc dłonie i unosząc je nad głowę, aby ulizać włosy. – Posprzątałbym trochę, gdybym wiedział. Usiądź, proszę.

Ku jego zaskoczeniu kącik ust Ojca Vorciena lekko się uniósł. Patriarcha odchrząknął głośno, przesuwając się lekko na wózku.

– Cokolwiek by się nie działo, Demirze, powinieneś wiedzieć, że zawsze cię lubiłem – rzekł.

Był to dość niecodzienny komplement wobec kogoś, kogo życie trzymał w garści. Grappo przechylił głowę na bok, starając się odczytać intencje Ojca Vorciena. Nie potrafił. Ojciec Vee mimo starości i kalectwa pozostawał niewzruszonym mężem stanu.

– Dlaczego w takim razie kazałeś Capricowi wydać rozkaz spłodowania Holikanu i wrobienia mnie w to wszystko?

– A więc od razu do rzeczy, tak? – zapytał Ojciec Vorcien. – Chciałbym, żeby wszyscy w tym szkolernym mieście byli tacy bezpośredni. Tylko że ty... nie boisz się mnie tak jak inni. Myślę, że jest to jeden z powodów, dla których cię lubię. – Westchnął. – Nie kazałem Capricowi robić tego, co zrobił.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł Demir. Może i nie był nawet w jednej piątej tak doświadczony jak Ojciec Vorcien, ale nie był też głupcem. Stary patriarcha powiedziałaby i zrobiłby wszystko, aby dowieść tego, co uznał za prawdę.

– Wierz albo nie, jakoś niespecjalnie mnie to obchodzi. To taki mój mały ukłon w twoją stronę i możesz z nim zrobić, co tylko zechcesz. Prawda jest taka, że nie wydałem tego rozkazu. Powiedziałem Capricowi, by trochę tobą potrzasał, żebyś doświadczył odrobiny upokorzenia podczas kampanii. Twą arogancją i zarozumiałością można było obdarować tuzin potomków rodzinnych gildii i ktoś musiał cię w końcu postawić do pionu. Niestety, Capric posunął się zdecydowanie za daleko.

Demir wpatrywał się w Ojca Vorciena. Chłód, który poczuł na widok tego starca, zaczynał powoli topnieć. Czuł, jak w jego wnętrzu budzi się wściekłość, i starał się ją stłumić. To wściekłość wpędziła go w tę sytuację. I na pewno go z niej nie wyciągnie.

– Chcesz mi powiedzieć – zaczął Demir bez ogródek – że Capric działał na własną rękę, gdy wydał rozkaz wymordowania tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci?

– Tak.

Demir miał ochotę ponownie stwierdzić, że trudno mu w to uwierzyć, ale jaki byłby tego sens? Zamiast tego zapytał:

– To jakim niby ukłonem w moją stronę jest ta informacja?

– Liczę, że dzięki temu powstrzymam cię przed rozpętanem wojny przeciwko rodzinnej gildii Vorcienów.

– I to ma mi jakoś pomóc? – rzucił z powątpiewaniem Demir.

– Nie wygrasz z nami – odpowiedział prosto z mostu Ojciec Vorcien. – Ale ciężko mi uwierzyć, że zmieniłeś się tak bardzo, że nie mógłbyś wyrządzić mej rodzinie bolesnych szkód, zanim byśmy cię zmiażdżyli. – Oczy Ojca Vorciena po raz pierwszy powędrowały w górę, błędząc po suficie. – Ty i Montego. Ach! Adriana doskonale wiedziała, co robi, wychowując waszą dwójkę. Stworzyła zabójczą kombinację. Wiesz, że Montego czeka właśnie przed Maerhornem? Gwardia Zgromadzenia nigdy się do tego nie przyzna – zerknął przez ramię na gwardzistkę – ale cholernie się go boją. Gwardziści! Boją się emerytowanego pałkarza! Jego powóz obserwuje czterech strzelców wyborowych i dwóch tancerzy szkła.

Demir zmrużył oczy. Zdał sobie sprawę, że Ojciec Vorcien go zaskoczył. Spuścił wzrok i opuszką palca zaczął rysować na nogawce munduru jakieś kształty.

– Jak długo dyskutowałeś z Wewnętrznym Zgromadzeniem, co ze mną zrobić?

– Pół przekłętej nocy – odparł Ojciec Vorcien, ziewając. – Jesteś ogromnym problemem. Nie boisz się żadnego z nas. Nie szanujesz żadnego z nas. Gregori jest wściekły, w końcu swą powodzią zniszczył dom myśliwski jego przodków. Supi chce natychmiastowego zwrotu tych tysięcy sztuk szkła zmysłów. A ja... no cóż, zmusiłeś jednego z moich synów do publicznego przyznania się do zbrodni wojennej.

Demir się wzdrygnął. Nie wierzył, że go zabiją, ale właśnie mignęły mu cienie dwóch innych gwardzistów stojących na korytarzu tuż przed celą. Od tej rozmowy mogło zależeć jego życie. Powinien błagać, prosić, obiecywać. Tak postąpiłby każdy zdrowy na

umyśle człowiek. Ale jeśli on by tak zrobił, Ojciec Vorcien wiedziałby, że to nieszczerze. Demir tak nie działał.

– Co w takim razie pocznjemy? – zapytał, rozkładając ręce.

– Złożę ci ofertę, korzystną dla nas obu, przyjmiesz ją i przejdziemy do innych spraw.

Demir spodziewał się oferty. Nie spodziewał się jednak, żeby przyniosła ona korzyści obu stronom.

– Czyli po ossańsku, tak? – Jego myśli powędrowały ku żołnierzom, którzy niewątpliwie zaczęli się już denerwować jego przedłużającą się nieobecnością w Forcie Alameda. Ile czasu minie, nim Tadeas zacznie o niego wypytywać? Ile czasu minie, nim Kerite i jej grency sprzymierzeńcy zdążą się przegrupować i zaatakować ponownie? Jediną przewagą Demira było to, że Wewnętrzne Zgromadzenie nadal potrzebowało go do dowodzenia Legią Cudzoziemską. – Co to za oferta? – spytał.

Ojciec Vorcien spojrzał na swoje dłonie złożone na kolanach.

– Odłóż na bok chęć krwawych porachunków z Capricem i poślub Kissandrę.

– Kizzie? – wymamrotał Demir. Już wcześniej dał się wziąć z zaskoczenia, teraz jednak miał wrażenie, że prowadzą jakieś oddzielne, zupełnie niezwiązane ze sobą rozmowy. – Chyba sobie żartujesz. Ona jest moją przyjaciółką i bękarcią.

– Moją bękarcią i od lat szukam pretekstu, żeby ją legitymizować, nie wzbudzając gniewu Sibriała.

Demir prychnął, a ten dźwięk przerodził się w zdławiony śmiech.

– Nie sądziłem, że masz serce.

– Uszło od trądu, ale nadal tam jest – odpowiedział Ojciec Vorcien. Miał niewzruszone spojrzenie i wpatrywał się w Demira ze swobodną intensywnością kogoś, kto zawsze dostaje to, czego chce.

Nagle naszła Demira pewna myśl: czy on wiedział o portalu feniksa? Aelia Dorlani mogła uciekać się to prostackich włamań, ale to – ta oferta – było bardziej w stylu Ojca Vorciena, który uznał, że Demir ma coś, czego on pragnął. I była to już druga tego typu sytuacja, jeśli wziąć pod uwagę propozycję patronatu złożoną przez Caprica w dniu, gdy dowiedział się o śmierci matki. Jeśli Ojciec Vorcien rzeczywiście wiedział o portalu feniksa, to jak daleko był

gotów się posunąć w celu jego zdobycia? Czy to była najłatwiejsza droga dla nich obu?

– A co, jeśli odmówię? – zapytał Demir.

Ojciec Vorcien rozłożył ręce.

– Jeśli odmówisz, to uznam, że wasz krwawy spór trwa nadal. I po pierwsze pozostaniesz w tym lochu przez... – wzruszył ramionami – ...bliżej nieokreślony czas. Co prawda nie mogę cię tu trzymać wiecznie, bo nie zabiłeś Caprica, ale wystarczająco długo, by moi ludzie zniszczyli twoją reputację. Po drugie wpiszę twój hotel oraz wszystkich twoich klientów i pracowników na czarną listę. A w konsekwencji nikt już nic im nie sprzeda, nikt nie będzie nic od nich kupował, pracował dla nich ani ich zatrudniał. Po trzecie każę Kizzie kontynuować śledztwo w sprawie śmierci twojej matki, ale nie przekażę ci żadnych wniosków.

To ostatnie było wyłącznie dolewaniem oliwy do ognia i obaj doskonale o tym wiedzieli. Demir się zaśmiał. Ojciec Vorcien nie złożył żadnych gróźb pod jego adresem i w zasadzie nie musiał tego robić. To, co przed chwilą wyliczył, było o wiele bardziej podstępne niż zabicie go, i udowadniało, jak dobrze Vorcien zna Demira: o wiele bardziej bolałoby go, gdyby przyczynił się do zrujnowania życia osób, które były od niego zależne, niż swego własnego.

– Jeśli się zgodzisz – ciągnął dalej Ojciec – Vorcienowie i Grappowie połączą się więzami krwi. Staniesz się najbogatszym patriarchą w historii twego rodu. Ożenisz się z przyjaciółką, a to przywilej, na który większość zwierchników nie może sobie pozwolić. Zostaniesz Vorcieniem we wszystkim poza nazwą, a to prawdziwa władza. Możliwości, jakie daje ci ten układ, są nieograniczone.

– A wszystko to pod butem Vorciena.

– Nie sądzisz, że moglibyśmy dobrze współpracować?

– Zniszczyłeś mnie – odparł gładko Demir. – A z twoim synem łączy mnie krwawy spór. Choć w sumie nie to przeszkadza mi najbardziej. Zdecydowanie bardziej martwi mnie to, co stanie się po twojej śmierci, gdy Sibrial przejmie władzę. Uważasz, że będę kłaniał się i lizał buty temu potworowi? – Na samą myśl skręcało go w żołądku, ale starał się to zignorować. Dawny Demir – ten, którego powinien posłuchać, gdy po raz pierwszy zobaczył to wojskowe

pismo – znów zaczął walczyć o przejęcie kontroli nad jego myślami. Czuł, że z tyłu głowy zaczynają mu już pracować trybiki. Plany tworzyły plany, które tworzyły kolejne plany.

– Wierzę – oświadczył wolno Ojciec Vorcien – że poradzisz sobie z Sibrialem.

– Potrafisz znieść myśl, że po twojej śmierci będę manipulował twoim następcą?

– Będę martwy, a Sibrial będzie potrzebował doradcy spoza grona swego rodzeństwa. Nie jestem głupcem, Demirze. Wiem, jaki jest Sibrial. Zaczynasz odbiegać od tematu. Potrzebuję odpowiedzi.

– Teraz?

– Teraz.

Demir usadowił się wygodnie na zapchlonym łóżku, pograżając się w myślach i wsłuchując w pracę tych trybików. Ojciec Vorcien miał rację co do korzyści płynących z tej oferty, ale sam pomysł poślubienia Kizzie był zbyt skomplikowany. Była dla niego prawie jak siostra, a do tego łączyła ją uczuciowa więź z jego najlepszym przyjacielem. Na samą myśl, że musiałby się z nią przespać chociaż kilka razy w celu poczęcia potomstwa, zbierało mu się na wymioty. Nie miał wątpliwości, że ona czułaby to samo. Co gorsza, to jeszcze bardziej komplikowało jego relację z Thessą. O ile mogła ona skomplikować się jeszcze bardziej.

Demir wyobraził sobie w głowie lustro. Spoglądał w nim na młodszą wersję samego siebie – pulchnego, pewnego siebie, aroganckiego.

– *Rób, co do ciebie należy* – powiedział jego młodszy odpowiednik. – *To jest Ossa. Tu wszystko jest skomplikowane i zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Ożeń się z Kizzie dla formalności i weź Thessę jako kochankę. Zdobądź bogactwo i sławę Vorcienów. A po śmierci Ojca Vorciena zniszczysz Caprica. Sięgnij po wszystko, czego zawsze pragnąłeś.*

– *Nie jestem już tobą.* – Demir splunął na swe dawne ja.

– *A szkoda, bo byłbyś o wiele szczęśliwszy.*

– *Naprawdę? Nie sądzę. Nie jestem już tobą, ale nie mogę też być sobą. Muszę stać się kimś więcej. Kimś, kto weźmie z nas obu to, co najlepsze.*

Przyglądał się planom stworzonym w jego głowie przez dawne ja. Analizował je i rozkładał na czynniki pierwsze. W ciągłym ruchu, niczym tuzin kół wodnych napędzających ogromny młyn, nieustannie też się zmieniały. Niezwykle plastyczne. Przypominał sobie, że jego przyszłość nie jest niezmienna.

– *Masz rację* – powiedział w końcu do siebie. – *Wszystko jest skomplikowane i zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Przyjmę tę ofertę, ale na swoich warunkach, nie twoich.*

– *Jak sobie chcesz* – zaśmiało się jego dawne ja. – *Ja tak naprawdę nie istnieję. Jestem tylko częścią ciebie, z którą nigdy się nie pogodziłeś.*

Lustro znikło, ulatniając się z jego umysłu w teatralnych kłębach dymu. Pokręcił głową, aby oczyścić myśli, i ponownie skupił się na Ojcu Vorcienie.

– A co ty zyskasz na tym układzie? – zapytał. – Poza zakończeniem waśni krwi i zabezpieczeniem przyszłości Kizzie?

Tym razem Ojciec Vorcien rzeczywiście się uśmiechnął.

– Proszę, proszę. Wreszcie zaczynasz zadawać właściwe pytania. – Pochylił się lekko na wózek. – Nie zaprzeczę, że podoba mi się wizja trzymania cię pod kontrolą. Ale wracając do tematu: w zamian za oferowane bogactwo będę mógł wysłać cię z powrotem na front. Kerite znów ruszyła do akcji i potrzebuję generała, który zdoła ją powstrzymać.

A więc miał rację. Nadal go potrzebowali. Demir uniósł brwi.

– Czyli Wewnętrzne Zgromadzenie nie pozbawia mnie dowództwa?

– Zrobią to tylko, jeśli im na to pozwolę. Rwą się do tego. Ale jeśli zapewnię ich, że jesteś pod moją kontrolą, zachowają spokój. Przynajmniej na razie.

– A jeśli wygram, zyskasz dla swej rodzinnej gildii bohatera Imperium w postaci nowego zięcia.

– W rzeczy samej.

Ojciec Vorcien wiedział. Demir nie miał już co do tego wątpliwości. Wiedział o portalu feniksa i to była prawdziwa korzyść, jaką planował uzyskać. Wszystko inne było wyłącznie zasłoną dymną. Demir dotknął skroni, głowa pękała mu od braku

odpoczynku i nadmiaru myśli. Naprawdę nie miał wyboru. Musiał przyjąć tę ofertę, aby chronić siebie, swych klientów i pracowników.

– Czy Kizzie będzie miała tu coś do powiedzenia?

– Pragnie legitymizacji bardziej, niż ci się wydaje – odparł lekceważąco Ojciec Vorcien. – Nie spodoba jej się to, ale się zgodzi.

– Musi się zgodzić – nalegał Demir.

– Zajmę się tym.

To złowieszcze stwierdzenie sprawiło, że żołądek podszedł Demirovi do gardła. Jak wiele ludzkich istnień Ojciec Vorcien mógł brutalnie zmienić tylko po to, by położyć ręce na portalu feniksa? Prawdopodobnie tyle, ile będzie trzeba – przyznał w myślach Demir. Zacerpnął głęboko powietrza i po raz ostatni spojrzął w głąb siebie. Czy mógł to zrobić bez rujnowania czyjegoś życia? Bez krzywdzenia ludzi, których kochał?

– W takim razie umowa stoi.

Pokryte szklanym trądem policzki Ojca Vorciena uniosły się wraz z szerokim uśmiechem.

– Porzucisz swoją krwawą waśń przeciwko Capricowi?

– Tak. *Nie*.

– Poślubisz Kissandrę?

– Tak. *Nie, jeśli uda mi się z tego jakoś wypłatać.*

– Ukłonisz się przed Vorcienami?

– Tak. *Nigdy.*

– Wrócisz na front i zakończysz tę wojnę?

Na to ostatnie pytanie Demir roześmiał się głośno, ale nie był to radosny śmiech.

– Uważam, że powinniśmy zaproponować rozejm. Zakończyć to bez dalszego rozlewu krwi, zanim Grent zdąży się otrząsnąć.

– Niestety nie zależy to od nas – odrzekł Ojciec Vorcien. – Kerite doszła już do siebie. Dotarły jej rezerwy ze Szklanych Wysp i przygotowuje się właśnie do ataku na Nowy Port. Grentczycy wierzą w swą wygraną. Nie wycofają się, dopóki ich armia najemników nie zostanie zniszczona.

– Mogłeś wspomnieć o tym chwilę wcześniej. – Demir poczuł, jak ogarnia go fala strachu. Nie zdecydował się na bezpośrednią walkę, bo wiedział, że nie ma szans na wygraną. Kerite była zbyt dobra, a jej najemnicy wystarczająco liczni, by przy pomocy

grenckich wojsk rozgromić Legię Cudzoziemską. Jak, do cholery, miał pokonać ją na otwartym polu, a do tego po tym, gdy przybyły jej posiłki?

– Czy coś by to zmieniło? – spytał Ojciec Vorcien.

– Pewnie nie.

– To dobrze. – Ojciec Vorcien gestem wskazał na drzwi. – A teraz idź ratować Imperium, synu.

Demir niemalże wybuchnął śmiechem. Niemalże. Co za beczelny stary drań. Dwaj czekający w korytarzu gwardziści w ciszy wyprowadzili go z budynku i kilka minut później siedział już w powozie Montega, zwrócony twarzą do masywnego pałkarza, a jego myśli wirowały wokół własnej osi.

– No i? – zażądał wyjaśnień Montego. – Co się stało? Breenen powiedział mi o piśmie, a całe miasto huczy na temat pojedynku z Capricem. Nic ci nie jest? Mam zabić Vorcienów? Najpierw odpowiedz na to drugie pytanie.

Demir parsknął. Zabić Vorcienów. Nie jednego, ale całą rodzinną gildię. Tylko Montego mógł zadać podobne pytanie.

– Nie, nie musisz zabijać Vorcienów. Zawarłem umowę.

– Chcesz powiedzieć, że Ojciec Vorcien wymusił na tobie umowę, tak? – stwierdził Montego.

– Dokładnie.

Demir postukał palcami o ścianę powozu. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni rozważał okłamanie Montega. Podczas swej dwudziestopięcioletniej przyjaźni nigdy niczego przed sobą nie ukrywali.

– Ojciec Vorcien wie o portalu feniksa.

– Jesteś pewien?

– Nie powiedział tego wprost, ale wyjaśnia to jego działania.

Montego nachylił się, wbijając wzrok w Demira.

– Zaproponował ci małżeństwo, prawda?

– Z Kizzie – przyznał Demir.

Montego westchnął gwałtownie. Grappo mógł dostrzec w jego oczach, że nad czymś się zastanawia, bez wątpienia analizując całą rozmowę, którą Demir odbył z Ojcem Vorcieniem. Montego zaczerpnął kilka płytkich oddechów i rzekł cicho:

– Od zawsze pragnęła legitymizacji bardziej niż czegokolwiek innego. To zabezpieczy jej przyszłość.

– Poradzisz sobie z tym? – zapytał Demir.

– Dobrze wiesz, że nie pozwolę, aby moje uczucia stanęły na drodze ku przyszłości Kizzie i Grappów – odparł z rozmysłem Montego. – Ale jeżeli ożenisz się z Kizzie... nie dam rady pozostać w Ossie. – Żadnych wybuchów gniewu, żadnych żądań, aby Demir odwołał zawartą umowę. Jedynie proste stwierdzenie. Było to zaskakująco łagodne jak na kogoś znanego z tak wielkiej brutalności i zabolalo o wiele bardziej, niż gdyby Montego go uderzył. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z myślą Ojca Vorciena, Demir straci najlepszego przyjaciela.

Próbował się skupić. Miał do wygrania wojnę, a grenckie wojska już ku nim zmierzały. Każda zmarnowana minuta mogła zaprzepaścić niewielką przewagę, jaką posiadał. Nagle poczuł ogromne oburzenie – za siebie, za Kizzie, za Montega. Ojciec Vorcien mógł twierdzić, że wszystko było wyłącznie transakcją, ale nie miał prawa zmuszać nikogo z nich do takiego układu.

– To jest Ossa. Tu wszystko jest skomplikowane i zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie – oznajmił.

– Planujesz przeciwstawić się Ojcowi Vorcienowi? – spytał Montego, marszcząc czoło.

Wiedział, że przyszłość Kizzie spoczywa od teraz w jego rękach. Cokolwiek zrobi, chcąc przechytrzyć Ojca Vorciena, musiał wziąć Kizzie pod uwagę. A to zdecydowanie utrudniało sprawę.

– Do czasu, aż nie wrócę z wojny, nic innego nie ma znaczenia – odpowiedział Demir. – Jeśli w ogóle wrócę. Jedno jest pewne: Ojciec Vorcien jest tak przejęty wojną, że popełnił wielki błąd. – Uśmiechnął się szeroko do Montega. – Nie dostał umowy na piśmie, zanim opuściłem Maerhorn.



Kizzie zdziwiła się, kiedy Gorian przechwycił ją przy wejściu do wartowni. Miał na sobie elegancki mundur Gwardii Narodowej z wypolerowanymi guzikami ze szkła aury i wyszczotkowaną marynarką. Zatrzymała się, aby przyjrzeć mu się z bliska, potem uniosła brew.

– A na co ty się tak wystroiłeś?

– Na tę szklolerną wojnę – odrzekł. – Powołują tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej na front. Mamy dziś jeszcze wizytację urzędników z Ministerstwa Legionów i chcę wyglądać oraz czuć się jak najlepiej.

– Chcesz, żeby wezwano cię na front? – zapytała ze zdziwieniem Kizzie. Było to zupełnie niepodobne do Goriana. – Masz świadomość, że nie jesteś przygotowany do prawdziwej walki, co?

Gorian prychnął, oburzony.

– Co osiem tygodni odbywam obowiązkowe ćwiczenia wojskowe, dziękuję bardzo.

– To nie jest walka.

– Ale przecież nie zamierzam żadnej zobaczyć. – Stuknęła palcem w bok nosa. – Znajomy z ministerstwa dał mi cynk, że podobno na potrzeby tej całej akcji z Grentem i Kerite wysyłają tylko tych żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy mogą posłużyć za mięso armatnie. Każdy, kto wygląda i zachowuje się rozsądnie, zostanie w mieście, aby chronić interesy rodzinnych gildii. – Uśmiechnęła się do niej z satysfakcją.

To brzmiało dużo bardziej w stylu Goriana.

– Ale z ciebie szczwany lis.

– Twój szczwany lis, Kizzie. Dodatkowo bywam bardzo przydatny.

– W takim razie zdradź mi proszę, jak bardzo przydatny jesteś dziś? Gdzie znajdę Wysokiego Mężczyznę?

W jakiś niezwykle sposób Gorian wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego z siebie. Chuchnął teatralnie na paznokcie prawej ręki, przetarł nimi o marynarkę, po czym obejrzał je dokładnie.

– W środku.

– Złapałeś go? – wypaliła ze zdziwieniem.

– Nie, no co ty. Zapłacił mi, abym zorganizował wam spotkanie.

Kizzie nie była z tego dumna, ale właśnie przewróciło jej się wszystko w żołądku.

– Oszalałeś? – wysyczała, łapiąc go za ramię i ciągnąc na pobocze. – Po co, do cholery, umówiłeś mnie z nim na spotkanie?

– Bo o to poprosił – odparł Gorian, wzruszając ramionami. – Daj spokój, Kizzie. Jest w wartowni, w której dziesięciu z moich najlepszych żołnierzy gra właśnie w karty. Chciałaś go znaleźć, a to najbezpieczniejsze miejsce na spotkanie, jakie tylko możesz sobie wyobrazić.

Kizzie weszła na środek ulicy, a po chwili wróciła, starając się rozchodzić trochę nerwy.

– Czyli nie jest w celi?

– Nie.

– Czułabym się o wiele bezpieczniej, gdyby był.

– Dlatego, że posądzasz go o związki z tą tajną krzemową wojną? – Samozadowolenie Goriana zaczęło słabnąć. – Trzeba przyznać, że jest dość wysoki, ale nie ma przy sobie broni. Nie

zauważyłem też żadnego szkła bożego. Jeden z moich ludzi posiada niewielki talent tancerza szkła, a Wysoki Mężczyzna nie jest jednym z nich. To całkowicie bezpieczne.

Kizzie spojrzała w jedną, a potem w drugą stronę, upewniając się, że są sami, i nachyliła się ku Gorianowi.

– Słyszałeś o zamachu na generała Stavriego?

– No pewnie.

– On tam był.

Gorian wybałuszył oczy. Nie wyglądał już na zadowolonego z siebie.

– Ale on nie jest tancerzem szkła.

– Nie powiedziałam, że to zrobił, powiedziałam tylko, że tam był.

– Skąd wiesz?

– Bo też tam byłam. Weszłam do klubu kilka minut po tym, jak to się stało. Szukałam Agrippa Stavriego. Wszczęłam alarm. Nikomu, absolutnie nikomu o tym nie mów.

– Dobra, dobra – rzucił Gorian, kiwając głową. Zerknął niepewnie w stronę drzwi do stróżówki. – Prawdopodobnie chciał złożyć komuś raport i też minął się z zabójcami. Tak samo jak ty.

– W takim razie oboje mamy cholerne szczęście – skwitowała Kizzie. Zakłęła pod nosem. Nie była na to gotowa. Gdyby Gorian wspomniał, że czeka na nią Wysoki Mężczyzna, przyjechałaby z dwudziestoma uzbrojonymi po zęby egzekutorami Vorcienów.

– Chcesz, żebym tam wszedł i go aresztował? – zapytał Gorian.

Kizzie zastanawiała się przez chwilę nad tą propozycją, a potem rozważała, czy nie powinna jednak pójść po tych dwudziestu egzekutorów. Nie mogła jednak ryzykować spłoszenia Wysokiego Mężczyzny. Potrzebowała odpowiedzi. I wszystko wskazywało na to, że on też ich potrzebował. Ta druga kwestia była o wiele bardziej przerażająca. Zatrzymała na moment bieg myśli. Dlaczego aż tak bardzo się go bała? Przecież nie widziała, żeby robił coś złego. Równie dobrze mógł być tylko obserwatorem, szpiegiem lub... kimś innym. Było coś niepokojącego w jego wzroku. W tym, jak przyglądał się śmierci Glissandi i jak patrzył na Kizzie, gdy podniosła alarm po tym, co zobaczyła w klubie bokserskim. Kładąc się spać, nie

mogła wyrzucić z głowy tych spokojnych, mrozących, a zarazem palących oczu. Dlatego była tak przerażona.

– Nie próbuj go aresztować – poradziła Gorianowi. – Wejść tam i z nim porozmawiam, ale chcę, byś w razie czego był gotowy do działania. Jak dla mnie to od tego dupka aż bucha agresją.

– E tam. Tacy duzi faceci nie poruszają się zbyt szybko.

– Widziałeś kiedyś Małego Montega podczas walki? – warknęła Kizzie.

– Aha. Słuszna uwaga. – Gorian zassał głęboko powietrze przez zęby. – Damy radę. Jest dwunastu na jednego. Dopilnuję, żeby podczas waszej rozmowy wszyscy byli w pogotowiu. Jeśli coś pójdzie nie tak, pstryknij palcami, a przygwoździmy drania do gleby.

Kizzie strzepnęła gwałtownie rękoma, po czym włożyła do uszu kolczyki z plecionym szkłem bożym, dając sobie chwilę na oswojenie się z przepływem magii. Poprawiła sztylet, przełożyła metalową pałkę do lewej kieszeni i skinęła na Goriana.

– Dobra, chodźmy z nim pogadać.

Wysoki Mężczyzna siedział spokojnie w kącie wartowni, w ciszy popijając herbatę i czytając poranną gazetę. Zobaczywszy go, Kizzie zamarła na chwilę. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, co po raz kolejny zastanowiło ją, dlaczego aż tak się go boi. Wtem podniósł wzrok i spojrzał na nią tymi swoimi przeszywającymi oczami.

– Dałeś mu herbatę? – szepnęła do Goriana.

– Z uprzejmości – rzucił i udał się do pozostałych gwardzistów grających w karty obok celi. W pomieszczeniu było dość tłoczno: jedenastu członków Gwardii Narodowej, Wysoki Mężczyzna i ona. Gorian i jego towarzysze sięgnęli po pałki i noże, robiąc to bez jakiegokolwiek wyczucia. Kizzie przewróciła oczami i zmusiła się, aby podejść do Wysokiego Mężczyzny, usiąść na krześle plecami do ściany i spojrzeć na niego ponad dzielącym ich stołem.

– Dzień dobry – rzekł, a jego głos był dziwnie łagodny i melodyjny, jakby wyćwiczony i zupełnie niepasujący do jego wzrostu. – Nazywasz się Kissandra Vorcien, tak?

– Tak. A ty?

– Moje imię nie ma tu żadnego znaczenia – stwierdził, spoglądając z uśmiechem na herbatę. – Mam wiadomość dla ciebie i Ojca Vorciena.

Kizzie napięła się i zrobiła długi, powolny wdech. Jak rozegrałby to Ojciec Vorcien? Szklanicę to, jak rozegrałby to Demir? Prawdopodobnie trzeba było pozwolić facetowi mówić, mając nadzieję, że w trakcie udzieli informacji, których szukała.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

– Vorcienowie zaprzestaną wszelkich dochodzeń w sprawie zabójstwa Adriany Grappo, a w zamian utrzymamy panujący między nami pokój.

Kizzie prychnęła. Cóż za przekłeta arogancja.

– To nie brzmi jak wiadomość, tylko jak żądanie.

– Brzmi tak, jak chcesz, żeby brzmiało.

– Vorcienowie nie lubią, gdy stawia się im żądania.

– A mój pan nie lubi, gdy ktoś mu się wtrąca.

Kizzie poczuła, że uśmiech znika jej z twarzy.

– To może twój pan zechciałby spotkać się z Ojcem Vorcieniem osobiście, co? Mogliby wszystko sobie obgadać.

– Co w takim razie tacy biedni słudzy jak my mieliby robić ze swoim życiem, he? Nie. To jednorazowa oferta. Nazwij to ostrzeżeniem, żądaniem, wiadomością, jak sobie chcesz, ważne, byś przekazała to Ojcu Vorcienowi.

– Nie powiedziałaś mi nawet, kim jesteś ani dla kogo pracujesz.

– Prawda.

– Dlaczego więc mam ci ufać? – zapytała. – Może nie jestem pełnokrwistą dziedziczką rodzinnej gildii Vorcienów, niemniej jednak jestem Vorcienką. – Położyła prawą dłoń płasko na stole, eksponując niewielki krzemowy symbol. – Dopóki nie dowiem się, kim naprawdę jesteś, równie dobrze mogę zakładać, że jesteś nikim. Zwykłą płamą na podłodze. Ojciec Vorcien wyśmiałby mnie, gdybym przyszła do niego z takim żądaniem.

– Nie każda władza wiąże się ze znanym nazwiskiem.

– Od dawna jesteś w Ossie?

Wysoki Mężczyzna roześmiał się cicho.

– Jesteś czarującą, Kissandro Vorcien. Stanowisz idealną mieszkankę sprytu i arogancji, odpowiednią dla dobrego egzekutora.

Ale w tej chwili popełniasz ogromny błąd. Po prostu przekaz tę wiadomość swemu ojcu.

Kizzie nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju; czuła swędzenie między łopatkami, jakby na pobliskim dachu czekał strzelec wyborowy trzymający ją na celowniku. Nie było tam jednak żadnego strzelca, a ona nie znajdowała się nawet w pobliżu okna. Pomyślała o tym, co powiedziała wcześniej Gorianowi o Wysokim Mężczyźnie, o tym, że aż bucha od niego agresją. Nagle uświadomiła sobie, że podobnie czuła się w towarzystwie Montega. Obaj mieli tę samą subtelną, zwierzęcą dzikość, czającą się gdzieś pod powierzchnią, gotową w każdej chwili wyskoczyć niczym sprężyna z pułapki.

Instynkt podpowiadał jej, że powinna wstać i wyjść. Tylko jak miałyby to później wytłumaczyć Ojcu Vorcienowi? Bękartica i główna egzekutorka Vorcienów miałyby dać się omotać jakiemś nieznanemu facetowi? Absolutnie wykluczone.

– Nie mam do tego cierpliwości – oświadczyła w końcu, unosząc podbródek. Dała palcami znak Gorianowi i momentalnie ucichły wszystkie rozmowy. Gorian i jego ludzie oderwali się od kart i rozeszli po pomieszczeniu, podchodząc do Kizzie i Wysokiego Mężczyzny z bronią w ręku. – Oczekuję odpowiedzi, dupku. Co robiłeś w Klubie Binghamskich Awanturników?

Wysoki Mężczyzna westchnął ze smutkiem.

– Odpowiadaj – zażądała Kizzie. – Kim jest twój pan? Czy to członek Szklanego Ostrza? No już! – Mijały sekundy, a Wysoki Mężczyzna dokończył spokojnie herbatę, starannie złożył gazetę i zaczął się podnosić. – Gorian, aresztuj tego gnoja – rozkazała.

Gorian zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu nieznanego.

– Nie ruszaj się z miejsca, póki Kizzie nie pozwoli ci wstać – polecił.

Wysoki Mężczyzna westchnął.

– Widzę, że nie traktujesz tego zbyt poważnie – stwierdził.

– Potraktuję, jeśli i ty to zrobisz – odpowiedziała Kizzie, sięgając po sztylet.

Zanim zdążyła złapać za rękojeść broni, Wysoki Mężczyzna złamał Gorianowi rękę. Wydarzyło się to w mgnieniu oka, tak

szybko, że przez pół sekundy myślała, że to sobie wyobraziła. Chwilę później Gorian leżał już na ziemi, krzycząc z bólu, podczas gdy wokół wybuchł chaos. Kizzie wyciągnęła sztylet i wykorzystując magię kolczyków, pchnęła stół na Wysokiego Mężczyznę.

Wyglądało to tak, jakby uderzył w głaz. Wysoki Mężczyzna odepchnął go, niemal nie używając siły, a Kizzie w sekundę znalazła się pod ścianą, oszołomiona ciosem. Z przerażeniem obserwowała, jak Wysoki Mężczyzna wiruje po pomieszczeniu. Złapał jednego z gwardzistów za gardło, drugiemu wbił pięść w klatkę piersiową, wyrwał gwardzistce pałkę, a potem zamachnął się nią od niechcenia, roztrzaskując czaszki kolejnym dwóm. Każdy z gwardzistów miał niskorezonansowe kolczyki ze szkłem mocy, lecz w porównaniu z Wysokim Mężczyzną wyglądali, jakby stali w miejscu.

Kizzie przewyciężyła obezwładniające otępienie, zacisnęła mocnej palce na sztylecie i skoczyła do przodu, chcąc wbić ostrze w plecy Wysokiego Mężczyzny. Na chęciach się skończyło, bo mężczyzna wyczuł jakoś jej ruch i się odsunął. Ostrze ledwie prześlizgnęło się po jego boku, powodując głębokie, lecz niezbyt uciążliwe cięcie, na co odpowiedział uderzeniem łokciem w jej pierś. Cios ponownie odrzucił ją na ścianę, wypychając całe powietrze z płuc.

Zanim doszła do siebie na tyle, by się poruszyć, wszyscy – jedenastu szkolernych żołnierzy Gwardii Narodowej – leżeli już na ziemi. Przeklinając pod nosem, zakradła się i rzuciła na niego. Był szybszy niż wszystko, co kiedykolwiek widziała, ale nie zamierzała poddać się bez walki. Obrócił się w jej stronę, odrzucając na bok sztylet jednym ruchem dłoni. Nie zauważył jednak jej metalowej pałki. Uderzyła go nią z całej siły w podbródek. Na tyle mocno, aby wykręcić sobie nadgarstek.

Mężczyzna nie upadł. Ledwie drgnął. Złapał za pałkę, wyrzucił ją i uderzył Kizzie pięścią w brzuch, tak że zobaczyła gwiazdy, po czym chwycił ją za gardło i uniósł na wysokość swych oczu. Kizzie drapała go po rękach, kopała w kolana i pachwiny, ale wszystko na nic.

– Dałem ci ostatnie ostrzeżenie – powiedział do niej ponad odgłosami jej szamotaniny. – Przekaż je Ojcu Vorcienowi. Kolejnego nie będzie.

W następnej chwili Kizzie leżała już na plecach, wpatrując się w sufit stróżówki. Miała zmacony wzrok i bolała ją każda cholerna część ciała. Czowała się, jakby spadła na płasko z dwupiętrowego budynku. Gardło sprawiało wrażenie zmiądnionego, ale jakoś udawało jej się oddychać i mówić.

– Gorian – wymamrotała, miotając się w poszukiwaniu sztyletu. Uniosła głowę na tyle, by zauważyć, że Wysoki Mężczyzna zniknął. W pomieszczeniu panowała zupełna cisza, co początkowo przyniosło jej ulgę, dopóki nie zdała sobie sprawy, jak bardzo było tam cicho. Nie słychać było żadnych jęków czy przekleństw, nawet odgłosu oddychania. Spanikowana, podniosła się na czworaka i podchodziła do każdego ciała po kolei, patrząc w pozbawione życia twarze osób, którym przez lata wręczała łapówki i stawiała drinki.

Gorian leżał w rogu. Najwidoczniej wstał po złamaniu ręki, bo znajdował się w pewnej odległości od stołu. Miał głowę opartą o ścianę, zdziwioną minę i szkliste oczy, a jego klatka piersiowa się nie unosiła. Kizzie z trudem przełknęła. Delikatnie nim potrząsnęła i nachyliła się, przykładając policzek do jego ust.

– Gorian?

Nic.

Gorian nie żył, a Kizzie zupełnie nic na tej akcji nie zyskała.



Powóz Ojca Vorciena był już w połowie drogi od posiadłości, zmierzając prawdopodobnie w kierunku Dzielnicy Zgromadzenia, kiedy Kizzie zmusiła go do zatrzymania się, stając na środku zwirowego podjazdu. Woźnica przyhamował konie, a ze stopni nadwozia zeskoczyli ochraniarze, sięgając po miecze. Mężczyźni i kobiety, których znała całe życie, wydawali jej się obcy, a świat mroczny i nieczuły. Przez ułamek sekundy myślała, że się na nią rzucą, ale ktoś coś powiedział i przez okno wysunęła się popękana dłoń pokryta łuskowatym trądem, nakazująca Kizzie podejść.

– Co się stało? – zażądał odpowiedzi Ojciec Vorcien, taksując ją wzrokiem z wnętrza powozu. Jego spojrzenie zatrzymało się na jej szyi, a Kizzie zastanawiała się, jak bardzo była czerwona. Bez

wątpienia bolało jak cholera, nawet z kawałkiem szkła kojącego w uchu.

– Ten Wysoki Mężczyzna, o którym ci mówiłam – zaczęła. – Przyparłam go do muru w wartowni, Sto Osiemdziesiątce Siódemce, a on, szklorwa, wszystkich pozabijał. Goriana, Phillia, Stalię, wszystkich!

Ojciec Vorcien milczał przez chwilę.

– Oprócz ciebie.

Kizzie odpowiedziała mu szybkim, przerażonym skinieniem głowy. A niech to szkło, kiedy stała się takim tchórzem? Widziała wiele trupów. Zabiła wiele osób. Wielu z jej przyjaciół umarło. Ale czegoś takiego... nie widziała jeszcze nigdy.

– Kazał mi przekazać wiadomość, że mamy przestać drążyć sprawę śmieci Adrian, bo inaczej nas też dopadnie.

– Kim on jest?

– Nie mam pojęcia. Nie chciał mi tego zdradzić. Może to jakiś sługus Szklanego Ostrza?

– Ach. – Ojciec Vorcien oparł się z powrotem na powozowym siedzeniu i wbił wzrok w ścianę. Mogła dostrzec niewielkie tiki pojawiające się na jego twarzy oraz marszczące się kąciaki oczu. – A więc to tak.

– Wiesz, kim oni są?

Pokręcił głową.

– Ojcie, on ich wszystkich pozabijał.

Zaskoczyło ją, że Ojciec Vorcien nie zganiał jej za ten przejaw słabości. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym się odezwał.

– To bardzo niepokojące. Diaguni!

Kizzie odwróciła się i zobaczyła majordomusa, który wyszedł już z rezydencji, żeby sprawdzić, co się stało. Dołączył do Kizzie przy drzwiach powozu.

– Tak, panie?

– Wyślij kogoś do posprzątania Sto Osiemdziesiątki Siódemki. Byli naszymi klientami niezależnie od tego, na jak niskim szczeblu. Zadbaj o to, aby zaopiekowano się ich bliskimi, i upewnij się, że nic nie wycieknie do gazet.

– Tak, panie.

– Weź od Kissandry szczegółowy rysopis napastnika. Chcę, by wszyscy zaangażowali się w jego poszukiwania. Niech śledzą go z oddali, bez konfrontacji. Chcę wiedzieć, dla kogo pracuje. – Odwrócił się z powrotem do Kizzie. – A ty, córko, umyj się. Masz na sobie jakąś czarną maź. A potem jedź do Hiacynta.

– Ale... ale przecież Demir toczy krwawy spór z Capricem.

– Już nie.

– Jak to? – Zakręciło jej się w głowie. Znała Demira dużo lepiej niż Ojciec Vorcien i nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego powodu, dla którego zdecydowałby się zaprzestać krwawych waśni.

– Wszystko ci później wyjaśnię. A do tego czasu przekonaj do siebie Demira, zbliż się do niego i dokończ śledztwo w sprawie śmierci jego matki.

– A co z Wysokim Mężczyzną?

– Zapomnij o nim.

– Ale on właśnie zabił jedenastu moich przyjaciół. Jak niby mam... – Zakrzuszyła się śliną i tylko to powstrzymało ją przed podniesieniem głosu na ojca.

Ojciec Vorcien zastukał palcami o parapet powozu.

– Wszyscy obecni w mieście egzekutorzy i klienci Vorcienów będą go szukać. Nauczymy go pokory albo zrównamy go z ziemią. Tak czy inaczej, nie będzie cię już nachodził. Może i jesteś bękartem, droga Kissandro, ale moją. I nikt poza mną nie będzie decydował o twoim losie.

Jego słowa brzmiały uspokajająco, choć dość protekcjonalnie. Kizzie przełknęła ciężko i przytaknęła.

– Dobrze. Jedźmy. – Uderzył w dach powozu, który po chwili ruszył.

Kizzie wpatrywała się przez moment w odjeżdżający pojazd, zanim spojrzała na siebie. Ojciec Vorcien miał rację, była cała w czarnej mazi, na marynarce i na spodniach miała plamy przypominające rozpryski krwi. To coś było też na jej rękach. Popatrzyła na teren posiadłości, myśląc o ciałach tych wszystkich mężczyzn i kobiet, których znała od lat. Śmierć Goriana dotknęła ją najbardziej, ale wszyscy oni byli jej przyjaciółmi. Wspólnie pili, grali w karty, szlajali się po burdelach. Byli jej bliżsi niż większość egzekutorów.

– Kissandro – powiedział łagodnie Diaguni. Odwróciła się, zdając sobie sprawę, że majordomus złapał ją za ramię. – Chodźmy do środka. Podasz mi ten rysopis, a ja znajdę dla ciebie jakąś brandy i lepszy kawałek szkła harmonii na ukojenie nerwów.

– Dziękuję, Diaguni – odparła, dając mu znak, żeby szedł pierwszy. Rozpaczliwie próbowała pozostać w swej głowie, gdzie zmagала się ze strachem i bezradnością. Jedną ranę, tylko tyle zdołała zadać temu dupkowi, i to mając wokół siebie jedenastu uzbrojonych towarzyszy. Nie miała pojęcia, czy komuś jeszcze udało się go zranić. Patrzyła, jak Diaguni zmierza w stronę domu, chcąc podążyć za nim, choć bez przekonania.

W ciągu kilku minut poczuła, jak jej przerażenie zmienia się w gniew. Wszystko, co powstrzymywało ją przed działaniem, nagle wydało jej się tak nieistotne. Wysoki Mężczyzna zabił jej przyjaciół. Czym w obliczu czegoś takiego były więzy rodzinne, sekretne historie, a nawet jej własna, przeklęta duma? Była w końcu Kizzie Vorcien, do cholery. Ludzie ją szanowali. Polegali na niej. Jeśli nie mogła ich ochronić, musiała ich przynajmniej pomścić. Ale by tego dokonać, potrzebowała pomocy.

Nadszedł czas, żeby schować dumę do kieszeni i zawrzeć sojusz z jedyną osobą w Ossie, która przerażała ją bardziej niż Wysoki Mężczyzna.



ROZDZIAŁ 47

Thessa zabrała Ekhego do parku w pobliżu hotelu. Nie wyrwała się na długo, zaledwie na godzinę, by – jak to określiła Pari – pozwolić głowie rozpocząć nowy cykl, lecz dopiero gdy stała, trzymając Ekhego na rękawiczce pod starym, sękatym drzewem oliwnym, a słońce przebijało się przez gałęzie, rzucając na nich cień, zdała sobie sprawę, jak bardzo tego potrzebowała. Nieopodal znajdował się jej woźnica wraz z jednym z ochroniarzy Grappów. Nie chciała, żeby powtórzyła się sytuacja z napaścią, jaka miała miejsce na Abażurowej Promenadzie.

Ekhi starał się trzepotać zranionym skrzydłem i wyglądało na to, że będzie potrzebował jeszcze trochę czasu, zanim znów zdoła polecieć, mimo to wydawał się zadowolony ze zmiany otoczenia, z dala od mew. Skrzeczał, kołysząc się na rękawiczce i od czasu do czasu próbując poderwać się do lotu. Thessa przyglądała się uważnie jego poczynaniom i trzymała mocno za pęta, powstrzymując jego wyskoki.

– Ty łobuzie – powiedziała łagodnie, gładząc go palcem po klatce piersiowej. – Musisz się jeszcze trochę podleczyć, zanim znów

ruszysz odkrywać świat.

Skrzeknął na nią i próbował się poderwać.

– Wiem, wiem! Dobrze jest pobyc na otwartej przestrzeni. Obiecuję, że kiedy wrócę z Kuźni, zabiorę cię na wieś. Może jeszcze długo nie będziesz mógł latać, ale niewątpliwie potrzeba ci świeżego powietrza równie mocno jak mnie. – Zastanawiała się, czy rekonwalescencja może wpłynąć negatywnie na jego instynkt łowiecki. Może powinna zorganizować dla niego kilka myszy, na które mógłby polować podczas następnej wycieczki.

Spacerowała po parku, trzymając wysoko rękę w rękawicze, by dać Ekhiemu jak najlepszą pozycję do obserwacji, i ciesząc się z tego, że jego oczy śledzą każdy nawet najmniejszy ruch. Pozwoliła umysłowi błędzić, zastanawiając się, czy wraz z Ekhim nie stanowią już stałego elementu Hiacynta. Czy był to już jej dom? Podpisała kontrakt, była partnerką, ale wyłącznie w sprawie portalu feniksa. Mogła wzbogacić się na portalu, a potem uciec gdzieś i otworzyć własną hutę szkła. Mogłaby stać się zupełnie niezależna. Mogła też nawiązać romans z Demirem i w inny sposób zabezpieczyć swą przyszłość. Była to jedna z decyzji, które w końcu będzie musiała podjąć.

Tylko czy on w ogóle szukał romansu? A ona? Znali się bardzo krótko i może za bardzo wybiegała w przyszłość, myśląc o staniu się panią Grappo. Parsknęła. Nie, nie wybiegała w przyszłość. To była Ossa, miejsce, gdzie romans pozostawał transakcją biznesową. Spędzanie czasu z kimś, kogo naprawdę się lubiło, było luksusem, więc dlaczego na poważnie się nad tym nie zastanowić?

Te rozważania zaprowadziły ją znów do Demira. Czy interesowało go coś więcej niż odrobina zabawy? Czy odrzuciłby jej uczucia? Był w końcu patriarchą rodzinnej gildii i tancerzem szkła. Mógł wybierać spośród spadkobierczyń wielu rodów, jak i zagranicznych księżniczek; spośród kobiet, które w dłuższej perspektywie przyniosłyby mu znacznie większe korzyści. Thessa wahała się, przechylając szalę raz w jedną, raz w drugą stronę. Czuła się zagubiona. Prawda była taka, że nic z tego nie miało najmniejszego znaczenia, dopóki Demir nie wróci z wojny. Może nawet do czasu, aż Thessa ukończy i przetestuje portal feniksa. Uznała, że to byłby najlepszy moment na sprawdzenie, na czym stoi.

W taki sposób mogłaby udowodnić mu, jak bardzo może mu się przydać.

Mimo burzliwych myśli spacer okazał się spokojny i cichy, a gdy wróciła do powozu, żałowała, że nie może spędzić w parku reszty dnia.

Zaledwie kilka godzin później Thessa odkręciła nakrętki dużego drewnianego zacisku, przytrzymującego dwie połówki jednego z pierścieni wykonanych ze szkła potęgi i umieszczonych wokół szkła błysku. Lał się z niej pot, a dłonie przykrywała gruba warstwa piasku, pyłu i popiołu. Mimo uchylonych okien, przez które wpadała niewielka ilość chłodnego zimowego powietrza, w maleńkiej hucie panował ukrop. Zatrzymała się na chwilę, dokonując drobnej korekty jednego z zacisków, po czym kontynuowała obracanie nakrętek. Powoli dwie połówki pierścienia przylgnęły do zewnętrznej strony szkła błysku. Przy każdym obrocie rozlegało się lekkie chrupnięcie i za każdym razem nachylała się do magicznego szkła, upewniając się, że nadal rezonuje.

– Wystarczy – szepnęła do siebie i cofnęła się, aby obejrzeć urządzenie.

Udało jej się starannie usunąć wszystkie nierówności na szkle i, co ciekawe, cały proces zwiększył jego naturalny rezonans. Naprawdę przypominało to armatę, choć dość osobliwą – długi cylinder osadzony w żelaznej ramie, z siedmioma półprzezroczystymi pierścieniami ze szkła potęgi, podtrzymywanymi przez masywne drewniane kłamy. Całe urządzenie dosłownie szumiało i Thessa zabroniła innym przebywać w warsztacie dłużej niż godzinę z obawy, że nabawią się paskudnego szklanego trądu.

– No cóż – powiedziała na głos. – Z pewnością wygląda to bardzo oryginalnie.

Pod jedną ze ścian leżała obudowa portalu feniksa, którą blacharz Demira wykonał według jej wytycznych. Było to coś w rodzaju pancernego pudła, wypchanego korkiem i azbestem. Będzie potrzebowała czyjejs pomocy, żeby włożyć do niego portal, ale kiedy już to zrobi, cały projekt można będzie bez problemu zabrać do Kuźni. Zastanowiła się, od jak dawna nie spała. Może od czasu wczorajszej przejażdżki powozem z Kuźni? Miała świadomość,

że za bardzo się forsowała, ale nic nie mogła na to poradzić. Od tego całego podekscytowania kręciło jej się w głowie.

Portal feniksa był gotowy. Musiała teraz tylko przetestować to przeklęte urządzenie. Jeśli zadziała, będzie mogła wykorzystać Kuźnię do ładowania tysięcy kawałków szkła bożego przy każdym uderzeniu pioruna. Nie było to idealne rozwiązanie problemu związanego z kończącymi się zasobami żaropiachu na świecie, ale był to jakiś początek.

Przeszła przez ogród i weszła do hotelu, gdzie złapała za ramię najbliższego stojącego portiera.

– Czy Demir już wrócił? – spytała Thessa.

– Nie, proszę pani. Nie wiemy też, kiedy możemy się go spodziewać.

Od ataku Dorlanich wszyscy byli lekko zestresowani, ale w międzyczasie wydarzyło się coś jeszcze i Thessa nie mogła dojść do właściwie. Portierzy i kelnerzy szepotali nieustannie, lecz milkli, gdy tylko się do nich zbliżała, Breenen zaś cały czas wchodził i wychodził. Nie mogła też znaleźć Montega. Nawet Tirana gdzieś zniknęła po tym, jak udała się na cichą naradę z Breenenem po powrocie z Kuźni.

– A wiesz może, gdzie on jest? – spytała portiera.

– Nie, proszę pani. – Portier przełknął ciężko i oddalił się, pozostawiając Thesę z grymasem niezadowolenia na twarzy. Czy nie powinien odpowiedzieć, że Demir przebywa nadal na froncie wraz z całą armią? Bardzo dziwne. Wzruszyła ramionami i pożałowała, że nie zabrała ze sobą Pari. Przynajmniej miałyby z kim dzielić się tą doniosłą chwilą. Nie pozostało jej nic innego jak wrócić do warsztatu i wpatrywać się w portal feniksa, wsłuchując się w cichy szum jego magii.

Miał w sobie magię, ani trochę w to nie wątpiła. Pytanie, na które należało odpowiedzieć, brzmiało: czy ta magia w ogóle działa? Nagle poczuła się bardzo samotna, więc zaczęła porządkować warsztat i przygotowywać wszystkie notatki oraz portal feniksa do zawieszenia do Kuźni.



Demir wrócił do Hiacynta, by zmienić mundur i zmyć z siebie brud maerhornskich lochów. W zasadzie nie wiedział, dlaczego się tym przejmuje, przecież i tak wracał zaraz na front, gdzie przesiąknie prochowym dymem i śmiercią. Ze zdziwieniem zastał hotel niemalże pusty, nigdzie nie było też Thessy. Czuł przez to mieszaninę emocji, gdyż od czasu rozmowy z Ojcem Vorcieniem jego nastrój nieustannie się zmieniał: w jednej chwili chciał wyjawić całą prawdę o Holikanie, a w drugiej przeistaczał się w zimnokrwistego manipulatora.

Brakowało mu słów, a to nie zdarzało się zbyt często. Nawet po Holikanie potrafił znaleźć jakieś usprawiedliwienie – czarować i wykręcać się prawie od wszystkiego. Teraz jednak winien był zbyt wielu ludziom zbyt wiele wyjaśnień i miał wrażenie, że pęknie mu od tego głowa. Pomyślał o pocałunku z Thessą i o obietnicy związanej z jego powrotem. Na samą myśl zrobiło mu się słabo. Mimo że dowiedział się o Capricu, nadal czuł się odpowiedzialny za wymordowanie rodziny Thessy. Dodatkowo miał poślubić inną kobietę.

I jeśli zamierzał przechytrzyć Ojca Vorciena, musiał zachowywać się tak, jakby naprawdę zamierzał ją poślubić. Nie mógłby wytłumaczyć się przed Kizzie czy Thessą. Kłamstwo musiało być idealne i przypominać jakąś szalenie skomplikowaną i absurdalną sytuację. Musiałby powiedzieć pracownikom hotelu i wszystkim swym klientom, że wkrótce staną się częścią rodzinnej gildii Vorcienów. Oczywiście nadal byli własną gildią, teoretycznie niezależną, ale wszyscy wiedzieli, co wiązałoby się z takim ożenkiem.

I jak niby miał negocjować z Thessą? Istniało duże prawdopodobieństwo, że zaczyna coś do niej czuć. Czy ona odwzajemniała jego uczucia? A może szukała tylko odrobiny zabawy albo trampoliny do wybicia się w ossańskim społeczeństwie? Ktoś z jej talentem mógłby z łatwością odnaleźć się w jednej z największych rodzinnych gildii lub jako niezależny przedsiębiorca. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Wszystko i tak legnie w gruzach, gdy powie jej o Holikanie. Musiał zabrać się do tego z głową, krok po kroku. Pierwszym krokiem było pokonanie Grentu.

Ubierał się, gdy Breenen zapukał delikatnie do drzwi, po czym wszedł do pokoju.

– Panie Demirze.

– Muszę się zbierać, Breenenie. Oczekują mnie z powrotem na froncie i jeśli wierzyć najnowszym informacjom, spóźnię się na przyjęcie niespodziankę, które Kerite i Grent postanowili dla mnie urządzić.

– Zakładam, że nie chodzi panu o prawdziwe przyjęcie.

– To taka figura retoryczna. Gdzie jest Thessa?

– Pojechała do Kuźni, panie. Wyruszyła niecałą godzinę temu. Nie znam szczegółów tej wyprawy, ale z tego, co zrozumiałem, zamierza użyć piorunów do zasilenia urządzenia, nad którym pracuje.

Demir obejrzał się w lustrze, uświadamiając sobie, że podczas kąpieli zapomniał się ogolić. Teraz nie miał już na to czasu, będzie musiał zrobić to w obozie wojskowym.

– Zaraz, co? – zapytał, rzucając okiem na Breenena. – Co... Zresztą nieważne. Chyba wolę nie wiedzieć. Nie mam już na to miejsca w głowie. A co z Dorlanimi? Odezwali się?

– Nie, ani słowem, panie.

– Nie podoba mi się, że weszli do hotelu – powiedział Demir, myśląc na głos. – A Thessa będzie bezpieczniejsza na wsi? Kuźnia, powiadasz?

– Tak, proszę pana. Z powodu częstotliwości uderzeń piorunów. Liczę, że coś pan z tego rozumie.

– Chyba tak. To szaleństwo, ale coś w tym jest.

– Zabrała ze sobą jeden z tych nowych piorunochronów i sporo miedzianych przewodów.

– To czyni tę wyprawę dużo bardziej zrozumiałą. – Demir chciał się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. Szklorwa, chciał tam pojechać. Jeśli Thessa naprawdę planowała użyć piorunów do zasilenia portalu feniksa, to chciał ją od tego odwieść albo zobaczyć to na własne oczy. Niestety, nie miał chwili do stracenia, ani tym bardziej dnia, który zajęłoby mu dotarcie tam i z powrotem. – Nie chcę, by przebywała tam bez odpowiedniej ochrony.

– Jest z nią Tirana i kilkunastu egzekutorów, panie. – Zamilkł na chwilę. – Ale podzielam pańskie obawy. Gdy włamano się do

hotelu, mogliśmy szybko i sprawnie zareagować. Pan Montego błyskawicznie uporał się z problemem. Tam jednak...

– No właśnie. Przypuszczam, że sprowadzenie jej z powrotem nie wchodzi w rachubę?

– Prawdopodobnie nie. Jest bardzo zdeterminowana, by przeprowadzić ten eksperyment.

– Zbierz dwudziestu ludzi i jedźcie do niej.

– Czy to rozsądne, panie? Zostawiać tak hotel bez ochrony?

– Nie pozostanie w nim nic ważnego. Poza tym nie zostawisz go przecież bez opieki. Mamy jeszcze kilkudziesięciu egzekutorów i Montega. Idź zapewnić Thessie należyłą ochronę. I pamiętaj, że to ona odpowiada za ten projekt. Nie wtrącaj się, tylko pomagaj jej, jak możesz. Ruszaj niezwłocznie.

– Dobrze, panie. – Breenen wyszedł z pokoju, zostawiając Demira, żeby skończył się ubierać. Grappo wpatrywał się w workowaty zapasowy mundur w lustrze, żałując, że tak bardzo schudł od czasu Holikanu.

– Będę musiał stanąć do walki z Kerite – powiedział na głos. – Być może już nigdy nie zobaczę tego apartamentu. – Zaśmiał się ponuro i pokręcił głową. – Z takim nastawieniem na pewno. No dalej, Demirze. Dasz radę.

Mimo świadomości, że goni go czas, zszedł do rodzinnego mauzoleum i na kilka minut stanął w ciszy przed urnami rodziców. Nadal nie ukończono prac nad popiersiem matki, co wywołało w nim błysk irytacji. Jeśli szykował się na śmierć, to wolałby przynajmniej zobaczyć jej skończoną podobiznę, zanim to się stanie. Zastanawiał się, kto zleciłby wykonanie jego popiersia, gdy nadejdzie jego kres, i znalazł ukojenie w fakcie, że Montego z pewnością wszystkim by się zajął. Ród Grappów wymrze, ale przynajmniej hotel i jego pracownicy oraz klienci będą otoczeni opieką do końca życia Montega.

Wrócił do gabinetu, gdzie dostarczono kilka nowych skrzyń z raportami szpiegowskimi. Nie miał czasu na ich dokładną analizę, ani nawet na przeczytanie wszystkiego, co się w nich znajdowało, ale pozwolił sobie na przejrzenie notatek, ksiąg i memorandumów, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc w walce z Kerite. W końcu zdał sobie sprawę, że się ociąga. Strach przed starciem

z Kerite na otwartym polu – strach przed własną śmiercią – przenikał jego umysł, a on starał się myśleć o wszystkim innym.

Otworzył górną szufladę biurka i spojrzał na małe korkowe pudełko, w którym znajdował się nowy kawałek wysokorezonansowego szkła rozumu. Wiedział, że rezonans nie przedostanie się przez korek, ale mimo to wyobrażał sobie, że słyszy jego szumienie, przyprawiające go o potworny ból głowy. Czy naprawdę mógłby zaryzykować i zrobić coś tak lekkomyślnego w środku bitwy? Kilka dni temu, podczas planowania Potoku Grappa, po raz pierwszy od lat założył wysokorezonansowe szkło rozumu. Zaledwie parę minut sprawiło, że głowa bolała go przez całą dzień. Czy oszalałby, gdyby używał go częściej?

Uniósł pudełko i schował je do kieszeni, potem przywołał dwóch tragarzy.

– Załadujcie te skrzynie do mojego powozu – polecił, wskazując na te wypełnione raportami szpiegowskimi. – I przygotujcie konie, niech będą gotowe za piętnaście minut. Breenen już wyjechał?

– Tak, jakieś dziesięć minut temu, panie.

– Dobrze. W takim razie, dopóki nie wróci, Montego przejmie kontrolę nad hotelem do czasu powrotu jednego z nas.

– Oczywiście, panie.

Demir upadł na krzesło za biurkiem, próbując oczyścić głowę, podczas gdy przygotowywano pojazd do drogi, a tragarze wynosili skrzynie z jego biura. To był ostatni moment na ucieczkę – mógł założyć starą tunikę, wymknąć się tyłem, opróżnić konta bankowe i zniknąć na zawsze. Nie musiałyby staczać kolejnej bitwy, konfrontować się z Thessą ani tłumaczyć się Kizzie. Mógłby osiąść w Purnii lub Marn, albo gdzieś jeszcze dalej, gdzie nikt nie wiedziałby o nim nic poza tym, że jest bogaty.

Kusiła go ta wizja, wręcz drżał na samą myśl o niej. Absolutna wolność. Żadnych obowiązków. Nikt by go nie nienawidził ani nie byłby od niego zależny. A jednak... nie mógł tego zrobić. Nie był już chłopcem, jak za czasów Holikanu. Te obowiązki spoczywały na jego barkach i musiał stawić im czoła. Nosił nazwisko Grappo, a jeśli był ostatnim z tego rodu, to będzie je nosił z dumą.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę pana? Pański powóz jest już gotowy.
– Dziękuję.
– Przyszedł też list z Ministerstwa Legionów. Powiedzieli, że to pilne. – Portier przeszedł przez pokój i podał Demirovi kopertę z krzemowym znakiem ministerstwa: przekrzywionym mieczem. Rozdarł ją, wstał i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się pośrodku pokoju.

Generale Grappo,

Kerite już się przegrupowała i rozmieściła wojska tak, aby otoczyć Nowy Port. Obawiamy się, że jeśli nic jej nie powstrzyma, to w ciągu kilku dni przejmie dzielnicę. Prosimy się pospieszyć.

Demir poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Okrążyli Nowy Port. Nie tylko maszerują na niego od południa, ale otaczają go ze wszystkich stron. Może nie byłyby to aż taki problemem, gdyby nie fakt, że z Nowego Portu bardzo dobrze widać Kuźnię. Przekłęci Grenczycy i ich najemnicy mieli zebrać się tuż przy miejscu eksperymentu Thessy.

– Szkłorwa – zaklął Demir i pobiegł do powozu.



ROZDZIAŁ
48

Kizzie dotarła do Hiacynta po zmroku. Zatrzymała się w migoczącym cieniu lamp gazowych, rozglądając się po ulicy w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak podążającego za nią Wysokiego Mężczyzny. Nie było go tam, mimo to nie mogła pozbyć się uporczywego swędzenia pomiędzy łopatkami, jakby ktoś łąpał na nią z mroku. Przypomniała sobie, że nie tylko Wysokiego Mężczyzny powinna się obawiać. Jakich jeszcze agentów miało na swych usługach Szklane Ostrze? Przy tak wielu potężnych członkach rodzinnych gildii podejrzanym mógł być każdy egzekutor, szpieg, a nawet klient.

Ku jej zaskoczeniu przed hotelem stali egzekutorzy Grappów. Było to dziwne, bo ta rodzinna gildia była dość ostrożna w wykorzystywaniu egzekutorów; trzymali ich pod ręką, ale na ogół poza zasięgiem wzroku. Fakt, że wejścia strzegło teraz sześcioro mężczyzn i kobiet ubranych w purpurowe tuniki z pękniętym krzemowym symbolem Grappów na piersiach, świadczył o tym, jak bardzo w ciągu ostatnich kilku godzin eskalowały pewne sprawy. Wszyscy byli uzbrojeni w miecze i pistolety, więc Kizzie wsunęła

prawą rękę do kieszeni, wbiegając po schodach obok nich. Nie musiała się martwić, że należą do Szklanego Ostrza, ale nie wiedziała, jak bardzo byli w tej chwili cięci na członków rodu Vorcienów, niezależnie od tego, co zrobił Ojciec Vorcien, by załagodzić sytuację.

Mimo stojących przed hotelem egzekutorów, w holu panował normalny wieczorny gwar, a goście spokojnie meldowali się pracownikom recepcji, którzy, co ją zaskoczyło, nosili przy pasach rapiery. Działo się coś cholernie poważnego i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wkroczyła na terytorium wroga. Przełknęła strach i przeszła na drugą stronę holu, kierując się do małego gabinetu Breenena, znajdującego się za stanowiskiem konsjerża. Ku jej zdziwieniu Breenena nie było przy biurku. Był tam zaś jeden ze starszych portierów, ktoś, kogo Kizzie nie rozpoznała. Odczekała, aż znajdzie się między gośćmi.

– Zastałam Breenena?

– Przykro mi, ale nie.

– A Demira?

– Pana Grappa nie ma w tej chwili w hotelu.

Kizzie trzymała rękę w kieszeni, starając się ukryć krzemowy tatuaż. Nadal nie wiedziała, czy Demir odciął ją od śledztwa, a może dożywotnio zakazał wejścia do Hiacynta. Upomniała się, że przecież tak naprawdę nie przyszła zobaczyć się ani z Breenenem, ani z Demirem, i zwilżyła wargi.

– A Montego?

– Pan Montego przebywa obecnie w hotelu, ale nie chce, aby mu przeszkadzano. Chciałaby pani zostawić wiadomość?

Kizzie miała ochotę uderzyć mężczyznę w ten jego ujmujący, sztuczny uśmiech. Starła się utrzymać nerwy na wodzy, ale wciąż nie wiedziała, czy podjęła właściwą decyzję. Od lat obawiała się tej chwili – obawiała się konfrontacji z Montegiem. Kiedy byli dziećmi, był przemiły, mimo przemocowej reputacji. Był kochający, wyrozumiały i łagodny. Ale tamten Montego był chłopcem. Nie znała tego słynnego pałkarza o nienasyconym apetycie i niezrównanej gwałtowności. Zdecydowała się na działanie i położyła płasko dłoń na biurku konsjerża, eksponując krzemowy symbol.

– Powiedz mu, że Kizzie chciałyby się z nim zobaczyć.

– Ach. – Portier zmrużył lekko oczy. – Oczywiście, panno Vorcien. Pan Demir poinstruował mnie, żebym panienkę ugościł, jeśli zawita panienka w progi hotelu.

– Naprawdę? – zapytała ze zdziwieniem Kizzie. Więc nie została odsunięta? Ojciec Vorcien rzeczywiście wszystko załagodził?

– Znajdzie panienka pana Montega w hotelowej sali gimnastycznej. Ufam, że zna panienka drogę.

Kizzie omal go nie uderzyła, choć nie sądziła, że miał coś złego na myśli.

– Dzięki – rzuciła i ruszyła w kierunku głównych schodów, czując się trochę dziwnie. Demir zaatakował Caprica na ulicy zaledwie dwa dni temu. Miał wszelkie powody do krwawej waśni, a nawet wojny między rodzinnymi gildiami, a jednak cała ta zła krew zniknęła tak po prostu? Co, do cholery, mogło spowodować, że tak szybko zakopali topór wojenny? Próbowwała o tym nie myśleć. Przecież powinno ją to cieszyć! Nikt nie zginął, nie wybuchła wojna. Nie musiała czuć się winna, że wysłała ten list.

Wspięła się na ostatnie piętro hotelu. Zatrzymawszy się na moment w korytarzu, wpatrywała się w tabliczkę przed drzwiami sali gimnastycznej, informującą, że pomieszczenie jest aktualnie zajęte. Serce waliło jej w piersi, miała spocone dłonie, a chwila, na którą tak długo się przygotowywała i której od lat unikała, miała zaraz nadejść.

– Cokolwiek zrobisz, Mały – szepnęła do siebie – nie odpychaj mnie, proszę.

Sala gimnastyczna w hotelu Hiacynt była ogromnym pomieszczeniem zajmującym jedną czwartą piętra, z wysokim sufitem zwieńczonym masywnymi oknami, dzięki którym przez cały dzień było tam bardzo jasno. W nocy przyciemnioną przestrzeń rozświetlały jedynie latarnie gazowe, rzucające długie cienie na wyściełaną podłogę i gobeliny przedstawiające mężczyzn i kobiety w różnych stadiach negliżu demonstrujących swą siłę.

Kizzie delikatnie zamknęła za sobą drzwi, rozglądając się dookoła, aż jej wzrok padł na masywną postać Małego Montega. Był jeszcze większy, niż go zapamiętała, gruby i zarazem muskularny, a światło odbijało się od mieszaniny potu i olejku wtartego w jego skórę. Miał na sobie jedynie przepaskę. Stała dość blisko, ale zdawał

się nie zauważać jej obecności, skupiony na czymś, co znajdowało się bezpośrednio przed nim. Kizzie uniosła dłoń, chcąc go zawołać, gdy niespodziewanie poderwał się do biegu.

Podskoczył wysoko, chwytając za grubą linę zawieszoną na jednym z wielkich haków przytwierdzonych do sufitu. Zakołysał się na niej, odchylając się raz w przód, raz w tył, używając ciała jako przeciwwagi, by przesunąć się coraz wyżej i wyżej, aż mógł już niemal dotknąć stropu. Nagle wyciągnął prawą rękę, łapiąc za koniec kolejnej liny, specjalnie tam zawieszonej. Zahuścił się nieco niżej, ku następnemu hakowi, i złapał za jeszcze jedną linę. Podobne przeskoki wykonał dwukrotnie, aż dotarł do końca Sali, kołysząc się przez cały czas jak jedna z małp w ossańskim zoo.

Były to prawdziwe akrobacje, takie jakie można zobaczyć w cyrku. Nierealne zdawało się obserwowanie, jak człowiek o tak wielkiej masie wykonuje czynności wymagające tak niebywalej zręczności. Ciężko było jej pojąć ogromną sprawność palców chwytających za liny, prawie dziesięć metrów nad ziemią, oraz siłę potrzebną do utrzymania w powietrzu tak dużego obciążenia. Przy ostatnim bujnięciu Montego rzucił się do przodu, przetoczył się po wyscielanej podłodze, poderwał na nogi i zatrzymał, opierając dłońmi o przeciwną ścianę. Falował w rytm łapanych oddechów, zdyszany od wysiłku.

Kizzie pokręciła głową. Przez ostatnie kilka tygodni czytała w gazetach o tym, jak bardzo sobie odpuścił, roztył się i rozleniwiał. Nie wierzyła w to. Nie pasowało jej to do Montega. Do jej Montega. To, co przed chwilą zobaczyła, tylko ją w tym utwierdziło.

– Brawo – powiedziała, klaszcząc cicho.

Montego wyskoczył na ponad trzydzieści centymetrów, całe jego ciało obróciło się podczas tego manewru, i wylądował z pięściami gotowymi do ataku. Nawet z drugiego krańca sali widziała, że wybałuszył oczy.

– Kizzie? – Jej imię odbiło się echem.

– Cześć, Mały.

Ręce Montega opadły gwałtownie. Powoli zmierzał w jej kierunku, po drodze sięgając po szlafrok, ogromny niczym namiot, i zarzucając go sobie na ramiona. Delikatny mrok panujący w pomieszczeniu sprawił, że mężczyzna wydawał się jeszcze

większy – mistrz świata w zabijaniu, wyrosły z postawnego chłopca, którego przed laty bardzo dobrze znała. Kizzie poczuła mimowolnie, że budzi się w niej coś dawno zapomnianego.

Montego odgarnął długie, brązowe włosy i jednym płynnym ruchem związał je w kok, nadal podążając ku niej w milczeniu. Przekrzywił głowę na bok, zmrużył lekko oczy, a cała jego twarz zdawała się marszczyć, gdy badawczo przyglądał się Kizzie.

– Unikałaś mnie – rzekł.

– Nie byłam pewna, czy jestem gotowa się z tobą spotkać.

– Mimo tylu lat?

Nie potrafiła ocenić, czy jego zmarszczone brwi wynikały z gniewu czy z zakopotania.

– Mimo tylu lat – potwierdziła. – To nadal boli.

– To nie o twój kark Sibrial połamał sobie łaskę. – Montego odchylił lekko szlafrok, ukazując wyraźną bliznę tuż nad miejscem, gdzie ramię styka się z szyją. Chrząknął i ponownie ją ukrył, a do jego oczu zakradło się niespodziewane przygnębienie, jakby wstydził się tej skazy. – Przepraszam za to, co zrobiłem twemu bratu.

Kizzie odwzajemniła spojrzenie Montega. Wpatrywała się w niego intensywnie, podczas gdy jej myśli zagubiły się w chaosie, a ona próbowała ułożyć sobie wszystko na nowo. Czy Montego myślał, że jest na niego zła?

– Mały – odparła – nie to mnie boli. Boli mnie to, że nie umiałam spojrzeć ci w oczy; że nie wróciłam po ciebie, nie pożegnałam się, nie wysłałam ci żadnego listu. Boli mnie to, że tak bardzo bałam się, co pomyśli moja rodzina, jeśli się dowie, że zrobiłam wszystko, czego chciał Sibrial, byle tylko zatuszować sprawę i nigdy cię już nie zobaczyć. To mnie boli.

– Och – bąknął Montego z otwartymi ustami. Zapadła przedłużająca się cisza, a jego twarz marszczyła się i wykrzywiała, jakby starał się znaleźć odpowiednie słowa. W końcu się odezwał: – Nigdy cię za to nie winiłem. Byłem tylko cholernym dzieciakiem, amatorskim pałkarzem. Zrobiłaś, co musiałaś. To dlatego nigdy mnie już nie odwiedziłaś? To znaczy, jak już dorośliśmy. Myślałaś, że jestem na ciebie zły?

Żołądek Kizzie skurczył się tak bardzo, że wydawało jej się, iż zaraz wessie ją całą, zmieniając w małą grudkę. Przytaknęła.

– Nigdy nie byłem na ciebie zły – kontynuował. – Miałem po prostu złamane serce. Ale zły nie byłem. Byłaś moją Kiz. A ja byłem twoim Małym. I wtem, pewnego dnia, na twoich oczach zmiażdżyłem twego brata. Musiałaś doznać szoku.

– Lekkiego – przyznała Kizzie.

– Więc to ja powinienem cię przeprosić. Nie powinienem narażać cię na coś takiego, tym bardziej że przez lata słuchałem plotek o tym, jak traktuje cię Sibrial. Wielokrotnie musiałem się powstrzymywać, by nie rozgnieść go na miazgę. Nigdy tego jednak nie zrobiłem, bo wiedziałem, że nadejdzie chwila, kiedy zrobisz to własnymi rękoma.

Kizzie nie mogła oderwać od niego oczu. Nie tak wyobrażała sobie ich spotkanie. Od tak dawna walczyła z wyrzutami sumienia, wyzwiskami ze strony Sibriala i złudzeniem o cichym, acz przerażającym gniewie Montega. Zupełnie się tego nie spodziewała. Otarła łzy i spokojnie zaczerpnęła powietrza. Po czym z wahaniem uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ale po tym wszystkim ty też nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć.

– Bo byłem tchórzem. Nawet gdy stałem się sławny, nawet gdy cały świat zaczął nazywać mnie Małym, nie mogłem znieść myśli, że mnie odrzucisz. Nie tyle jako kochanka, ale jako przyjaciela. Gdybyś się ode mnie odwróciła, złamałabyś mnie równie mocno, jak Holikan złamał Demira. – Montego uniósł głowę i wyprostował się; wyglądał potężnie, jakby przewyciężył swoje tchórzostwo. W sumie dlaczego nie? Wygrał już wszystko, co się dało, dlaczego nie miałby pokonać także wstydu?

– A niech cię szkło, Mały – powiedziała Kizzie. – Przez wszystkie te lata baliśmy się siebie nawzajem jak jakieś głupie dzieci.

Okrągła twarz Montega nagle rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, podszedł i przyciągnął ją do siebie. Odwzajemniła uścisk, wdychając zapach potu zmieszanego z olejkiem jaśminowym, przywołującym w jej umyśle tysiące wspomnień.

– Wciąż tak samo pachniesz – stwierdziła.

– Tak, z tą różnicą, że teraz stać mnie już na własny olejek jaśminowy i nie muszę podkradać go Adrianie. – Odsunęli się od siebie i Kizzie poczuła, jak strach, wstyd, złość i bezradność, które

czuła tamtego dnia, po prostu z niej ulatują. Chciała mu zadać tysiące pytań, mieli do nadrobienia ponad szesnaście lat. – Nie przyszłaś tylko po to, by przeprosić, prawda? – spytał Montego.

– Potrzebuję pomocy – przyznała. – Ale nie od Demira czy kogoś z mojej rodzinnej gildii, tylko od ciebie.

Montego zmarszczył brwi.

– Wytłumacz mi, o co chodzi.

I tak też zrobiła, opowiadając mu całą historię od momentu zatrudnienia przez Demira do chwili obecnej. Pominęła jedynie kwestię pisma wojskowego i szantażu, uznając, że jej udział w tych sprawach nie powinien nigdy ujrzeć światła dziennego. W trakcie monologu usiadła na ławce w rogu sali. Montego słuchał uważnie, nie przerywając jej, aż do chwili, gdy uniosła ręce, kończąc opowieść.

– I oto jestem, choć strasznie mi wstyd, że dopiero śmierć przyjaciół sprawiła, że odważyłam się z tobą zobaczyć.

– Powinno być ci trochę wstyd – rzucił zaczepnie Montego. – Ale dobrze zrobiłaś. Czyli ten Wysoki Mężczyzna zabił jedenastu uzbrojonych gwardzistów w niecałą minutę, tak?

– Tak.

Montego potarł podbródek.

– Jeśli w ogóle udało ci się go drasnąć, to jesteś dużo szybsza niż kiedyś. Jestem pod wrażeniem. Zabicie tak wielu w tak krótkim czasie, i to gołymi rękami, to nie lada wyzwanie; nie wiem, czy bym podołał.

– Najwyraźniej nie byłam wystarczająco szybka. Tak mocno uderzył Goriana, że jego serce przestało bić. Wyszłam z tego cało tylko dlatego, że chciał, bym przekazała wiadomość ojcu. Potrzebuję pomocy, Mały. To Stowarzyszenie Fulgurystów, to Szklane Ostrze, prawdopodobnie zabiło Adrianę i nadal nie wiem, dlaczego to zrobili. Chciałabym oddać ten temat w ręce Ojca Vorciena, ale jestem jedną z najlepszych wojowniczek, jakie mają, i ledwo co uszłam z życiem w starciu z tym Wysokim Mężczyzną. Zabije każdego ze znanych mi egzekutorów i pewnie nawet się przy tym nie spoci. Żeby się z nim rozprawić, potrzebuję Gromiciela albo...

– Albo mnie – dokończył Montego.

– Nie chcę, byś myślał, że próbuję tobą manipulować. Nie przeprosiłam tylko po to, by skłonić cię do pomocy. Od szesnastu lat nosiłam się z zamiarem, żeby cię przeprosić. – Kizzie próbowała się uśmiechnąć, choć wydawało jej się to wymuszone. – Zrozumiem, jeśli odmówisz.

– Dlaczego miałbym odmówić? – Montego zacisnął pięści i zbliżył się do Kizzie. – Wróciłem do Ossy, bo zamordowano moją przybraną matkę. Demir ma na głowie tysiąc innych spraw, ja nie. Czekałem, aż da mi znak do działania, ale równie chętnie przyjmę go od ciebie. Wystarczy, że powiesz jedno słowo, Kizzie.

– Proszę? – odparła Kizzie. – Czy to właściwe słowo?

Montego znów się uśmiechnął.

– Jesteś pewna, że Aelia Dorlani jest w to zamieszana?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – oświadczyła Kizzie. Na widok błysku w oczach Montega poczuła lekkie poruszenie w brzuchu. Ten błysk pojawiał się wyłącznie w dwóch przypadkach, a jednym z nich była chwila, kiedy ciągnęło go do bójki.

– W takim razie powiedz mi, jak planujesz ją dorwać i przesłuchać?

– Rozwazałam kilka scenariuszy, ale należy pamiętać, że jest członkinią Wewnętrznego Zgromadzenia. Nie mogę jej tknąć. Gdybym to zrobiła, nawet Ojciec Vorcien nie zdołałaby mnie z tego wyciągnąć.

Nozdrza Montega się rozděły.

– Mam w piwnicy dobrze schłodzone zwłoki sześciu egzekutorów Dorlanich. Szklani mnie to, kim ona jest. Nie pozwolę, aby uszło jej to na sucho. Musi ponieść konsekwencje udziału w zabójstwie Adriany i wtargnięcia do hotelu Grappów.

– Wtargnięcia?

– Podczas próby włamania się do hotelu jej egzekutorzy zabili portiera i kucharkę. Chodziło im o projekt Demira. Nawet wlałi truciznę do mojej herbaty, na szczęście przyoszczędzili z dawką.

Kizzie zeszywniała. Czego szukał Ojciec Vorcien? Portalu feniksa? Najwyraźniej Dorlani też go szukali.

– To cholernie odważne, nawet jak na Aelię – stwierdziła.

Montego przytaknął.

Kizzie przebiegła w myślach pół tuzina pomysłów na dotarcie do Aelii. Wszystkie nadal wydawały się samobójstwem, ale jeśli Montego był gotów przyjąć na siebie gniew Dorlanich... to może nie będzie aż tak źle.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Myślę, że mam pewien plan, który mógłby zadowolić każde z nas.



Niewiele rzeczy zdawało się gorszych od oczekiwania na kolejną bitwę, bez wiedzy, kiedy ona nadejdzie.

Oczodół, w którym znajdowało się sztuczne oko Idriana, swędziało tak przeraźliwie, że jedyne, czego pragnął, to wydłubać gałkę oczną i podrapać się za nią widelcem. Od niemal trzech dni nikt nie widział Demira. Tadeas wysłał listy do Ossy, lecz nie otrzymywał na nie odpowiedzi do czasu, aż nadeszła wieść z Hiacynta, że Demir został uwięziony w Maerhornie i starają się go stamtąd wydostać. Tylko Tadeas i Idrian znali prawdę, ale cały obóz, od Stalowych Taranów przez zwykłą piechotę po garnizon fortu, zastanawiał się, czy mają jeszcze dowódcę.

Tancerz szkła – czy cokolwiek to było – który zaatakował go poprzedniej nocy, już nie wrócił, lecz plotki o nim rozprzestrzeniały się po forcie. Widziało go zaledwie kilkanaście osób i było ich zdecydowanie za dużo, aby utrzymać to w tajemnicy. W obozie szeptano, że Potok Grappa był ostatnim manewrem mającym ocalić Ossę i że teraz zostawiono ich na pastwę Kerite, która wróci z nowymi oddziałami i potworami, aby zmielić ich na miazgę.

Ponad tymi wszystkimi wątpliwościami i pytaniami Idrian zmagał się również ze swoim szaleństwem. W ciągu ostatniej doby stwierdził, że to, co go prześladuje, nie ma związku z żalobą po śmierci Kastory. Śmiech dziecka pojawiał się już tak często, że prawie przestał zwracać na niego uwagę, ale zaczęły nawiedzać go gorsze zjawy. Co jakiś czas dostrzegał kątem oka jakiś cień. Większość z nich była niczym więcej niż poruszającymi się ciemnymi plamami, czasami jednak wydawało mu się, że widzi ludzi, co do których miał pewność, iż od dawna nie żyją.

W grę wchodziły dwa wytłumaczenia tej sytuacji: albo szkło boże zdegradowało się szybciej, niż powinno, albo coś zmieniło się w jego umyśle, sprawiając, że oko przestało mu wystarczać. Pierwszą opcję można było rozwiązać za pomocą portalu feniksa. Drugą zaś już niekoniecznie i ta perspektywa napawała go lękiem. Jeśli jego szaleństwo będzie postępować, a on przestanie odróżniać to, co rzeczywiste, od tego, co wyimaginowane, to jak niby ma bronić Stalowych Taranów? Co zrobi, gdy powróci latający tancerz szkła? Czy zdoła ocenić, że dzieje się to naprawdę?

Idrian stał na murze Fortu Alameda, spoglądając na iskrzące się obozowe paleniska. Zgromadzono tam mniej więcej jedną trzecią Legii Cudzoziemskiej. Reszta znajdowała się w Forcie Bryce i żałował, że ich rozdzielono, gdyż do nadchodzącej walki przydałby się każdy żołnierz. Jeśli śwędzenie w oczodole miało cokolwiek zwiastować, oznaczałoby to, że bitwa zbliża się wielkimi krokami.

Położył miecz przed sobą, między krenelażami, aby w razie gdy zobaczy coś dziwnego na niebie, mógł szybko po niego sięgnąć. Wiedział, że to nie ma sensu – Tadeas i dowódca garnizonu zarządzili czterokrotne zwiększenie warty – ale i tak czuł, pozostając na murze, dopóki nie był zbyt zmęczony, żeby utrzymać głowę w pionie. Może był głupcem, a wszystkie te dodatkowe zmartwienia i wysiłki tylko pogłębiały jego szaleństwo. Ale co innego mógł zrobić? Wycofać się i ryzykować, że ktoś inny straci życie?

– Dobry wieczór, panie.

– Dobry wieczór, Braileer. – Idrian zerknął z ukosa na młodego płatnerza, gdy ten wspinał się na mur i stanął obok. – Dzisiejsza kolacja była fantastyczna. Bardzo ci za nią dziękuję.

Naprawdę była, a Braileer gotował o wiele lepiej niż garnizonowy kucharz. Chłopak przyniósł Idrianowi pół kaczki oraz bochenek rozmarynowego chleba nasączonego kaczym tłuszczem i wszystko to przyrządził przy żołnierskim ognisku, a nie w kuchni. Idrian nie przyznał się jednak, że prawie nic nie zjadł.

– Przyjemność po mojej stronie, panie. – Braileer trzymał w dłoniach futerał na skrzypce i położył go u swych stóp. – Liczyłem, że uda mi się zabrać pana miecz do polerowania i kilku napraw. Jest parę rys, które mógłbym usunąć w garnizonowej hucie szkła.

Ponawiał tę prośbę już drugą noc, a Idrian za każdym razem odmawiał. Na samą myśl, że mógłby znaleźć się dalej niż metr od miecza, wpadał w panikę. Przejechał palcem po różowym szkle brzytwy, a następnie położył dłoń na stalowej głowni miecza.

– Tadeas cię tu wysyła, licząc, że zajmiesz czymś moją głowę, racja?

– Major Grappo jest bardzo zaniepokojony pana samopoczuciem.

Idrian prychnął, połykając ostrą ripostę. Braileer sobie na nią nie zasłużył.

– Możesz dziś spać spokojnie. Wkrótce pochłonie nas walka, więc korzystaj z odpoczynku, póki możesz.

– Dziękuję, panie. – Zamiast wrócić do bastionu, Braileer schylił się i sięgnął po futerał na skrzypce, otworzył go i wyciągnął instrument. – Ma pan coś przeciwko?

– Ja... – Idrian chciał powiedzieć, że wolałby zostać sam. Sam ze zjawami latającymi mu nad głową, aby mógł się skupić na odróżnianiu tego, co prawdziwe, od tego, co takim nie jest. Wiedział jednak, że samotność jedynie pogarsza sprawę. Cienie nie pojawiały się tak często, gdy towarzyszyli mu ludzie. – No dawaj.

Braileer ułożył skrzypce na obojczyku i kilkakrotnie szarpnął za struny, po czym przyłożył smyczek. Dokończył strojenie i powoli, prawie niedostrzegalnie zaczął grać. Idrian oparł się na krenelażu obok miecza, wzniósł oczy ku niebu, pogrążając się w myślach. Melodia snuła się gdzieś z tyłu jego głowy, cicha i pełna smutku, zanim nabrała tempa. Słuchał jej przez jakiś czas, aż zdał sobie sprawę, że ją nuci. Odwrócił się gwałtownie do Braileera. Młody

płatnerz tego nie zauważył i grał dalej. Idrian odczekał, aż melodia zabrzmi ponownie, a potem zaśpiewał:

– Pochyl plecy, bij bijakiem, bo nadchodzi zima. Zboża dla ludzi, słoma dla bydła, bo nadchodzi zima. Będzie wiało mocno, będzie wiało mroźnie, bo nadchodzi zima. Jeśli nie wymłócim pola, przyjdzie głodu pora, serca nasze zamarzną i wiosnę przygnają nieurodzajną. I wiosnę przygnają nieurodzajną.

Brailleer powtórzył refren jeszcze cztery razy, później opuścił skrzypce i smyczek.

– To pieśń marnijskiego farmera – oznajmił Idrian, kręcąc głową. – Przygnębiająca jak cholera.

– To jedyna marnijska piosenka, jaką znam – przyznał Brailleer, uśmiechając się niezręcznie. – Pomyślałem, że pana rozweseli. Myliłem się?

– Nie, nie. – Idrian poczuł się nagle przytłoczony, jego umysł przeskoczył czterdzieści lat wstecz i prawie trzysta tysięcy kilometrów w dal. – Nie słyszałem tego od dzieciństwa. – Zadrżał i nacisnął szklane oko. – Kolejny podarek od Tadeasa?

– Nie, panie, tym razem ode mnie.

Idrian spojrzał ponownie w kierunku horyzontu. Na kilka minut zapadła cisza, podczas której Brailleer brzdąkał, jeszcze raz regulując struny, lecz już nie grał. Było coś w tamtej pieśni, co przeszło Idriana na wskroś, aż poczuł zapach rozdrobnionego zboża i górskich kwiatów, a także towarzyszący im szmer górskiego strumienia. Przełknął gulę w gardle.

– Dobry z ciebie chłopak, Brailleer. Idź pograć żołnierzom, oni potrzebują tego bardziej niż ja.

– Dobrze, panie.

Idrian odczekał, aż zbrojmistrz odejdzie, i porzucił czuwanie, udając się do bastionu z mieczem wspartym na ramieniu. Stalowe Tarany obozowały na dziedzińcu fortu, co było nie lada wyróżnieniem, więc znalezienie Squeaks nie zajęło Gromicielowi zbyt dużo czasu. Siedziała wtulona w Fenny tuż za namiotem. Kobiety trzymały się za ręce i chichotały.

– Squeaks – zawołał Idrian. – Mógłbym cię prosić na moment?

Squeaks wyswobodziła się z uścisku żony i zarumieniona podeszła do Idriana.

– Dobry wieczór, panie. Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie zapytałam, czy rękawiczki pasują.

– Jak ułał – odpowiedział Idrian, uśmiechając się. Słyszając swój głos, zdał sobie sprawę, że uleciała z niego cała surowość, wyczuwalna od czasu ataku latającego potwora. Czyżby skrzypce Braileera, przynoszące krótkie wspomnienie dawno zapomnianego domu, były wszystkim, czego potrzebował? A może ten gniew jeszcze powróci? Nie miało to jednak żadnego znaczenia, przynajmniej w tej chwili. – Chciałbym zapytać cię o to coś, z czym walczyłem na dachu – podjął, wskazując na wysokie okno kwatery dowódcy garnizonu. – Zdążyłaś dobrze się temu przyjrzeć?

Squeaks spoważniała, pozostawiając wesołość gdzieś za sobą.

– Pewnie tak samo jak inni. Ale... myślę, że dałabym radę to coś opisać.

– Czy przypominało to stworzenie, które widziałaś w lesie, w noc Potoku Grappa?

Wnioskując po sposobie, w jaki kobieta zeszywniała, mógł stwierdzić, że był pierwszą osobą, która ją o to spytała. Nie dało się też ukryć, że kwestia ta zaprzętała jej myśli.

– Nie. Pod żadnym względem. Oba te stworzenia były tak różne jak ja i pan.

– A czy to coś w lesie było tancerzem szkła?

– Nie wyczułam od niego magii, na pewno nie tak jak od tego czegoś na dachu.

Idrian skierował wzrok ku niebu, rozmyślając.

– Coś jeszcze, panie?

– Nie, to wszystko. Ucałuj ode mnie Fenny.

Słowa te przerwały ponurą atmosferę i Squeaks uśmiechnęła się szeroko.

– Już się robi, panie – rzuciła i wróciła pospiesznie za namiot.

Idrian brał pod uwagę dwie możliwości: albo wszyscy z nich byli trochę szaleni, a Squeaks po prostu coś się przywidziało, albo istniało więcej dziwnych stworzeń. Może były dwa potwory, może trzy, tuzin albo i setka. Nie dało się tego ocenić. Ale czym oni byli? Szpiegami? Zabójcami? A może to jakaś tajna grencka broń? Była też możliwość, że Kerite przywiozła ich ze sobą z odległych krain. Tak

naprawdę nie miało to większego znaczenia. Następnym razem, gdy zobaczy tego latającego stwora, po prostu go zabije.



Thessa nie chciała przyznać, jak wielką poczuła ulgę, gdy Breenen dogonił ją i Tiranę po drodze, wioząc ze sobą kilka wozów pełnych zapasów i kolejne dwa tuziny egzekutorów. Dzięki temu ich liczba wzrosła do czterdziestu. Nie można było nazwać tego armią, ale gdyby Dorlani, Magnowie lub jakakolwiek inna rodzinna gildia wyruszyła za nimi na wieś, nie zdołałaby wykraść im z rąk portalu feniksa.

Konwój dotarł do Kuźni dopiero przed północą. Mżyło i wiało, mimo że kilka kilometrów wcześniej niebo było bezchmurne, a Thessa poczuła ogromną wdzięczność, gdy wspięła się na szczyt Kuźni, zastając nie tylko Pari i jej pomocników, którzy zdołali rozstawić namioty w każdym miejscu osłoniętym od wiatru, ale także zabezpieczoną płótnem latarnię, w której palenisku rozpalono ogień.

– Piorunochron jest już na miejscu – poinformowała Pari, wyraźnie z siebie zadowolona. Thessa stała przez chwilę na zewnątrz, zmrużonymi oczami przyglądając się miedzianej głowicy wznoszącej się kilkanaście metrów ponad ruinami latarni, potem weszła do środka, aby przyjrzeć się pracy Pari.

– Pojawiły się jakieś problemy?

– Kierowałam się twoimi schematami.

Przez dach przechodził gruby miedziany przewód, zwisający luźno nad ziemią. Obok znajdował się kolejny, krótszy, który miał przebiegać przez środek portalu feniksa. Tuż przy nim, w rozwalonej podłodze, zakopany był następny. Wszystkie przewody zakończone zostały złączem umożliwiającym łatwe dopasowanie jednego do drugiego; piorunochron łączył się z portalem feniksa, a ten z elementem uziemiającym. Jeśli teoria Thessy była słuszna, piorun przejdzie przez portal feniksa, dostarczając mu energii, która go wzmocni i przekieruje do niewielkiego koszyka ze zużytym szkłem bożym, a później zniknie bezpiecznie w ziemi.

Jako pierwszą wniesiono skrzynię z portalem feniksa i choć było już bardzo późno, Thessa wiedziała, że nie da rady zasnąć, póki go nie podłączy. Przyłączyła wszystkie przewody, chroniąc ręce grubymi skórzanymi rękawicami, nie miała jednak pojęcia, czy w razie nagłego uderzenia pioruna w ogóle na coś się zdadzą. Miała do pomocy Pari, która krzątała się wokół niej i wносиła przedmioty, wtaszczone na szczyt przez egzekutorów Grappa.

Skończywszy, Thessa odsunęła się trochę i westchnęła, z zadowoleniem przyglądając się efektom swej pracy. Analiza wykresów, snucie teorii czy rysowanie schematów to jedno, ale oglądanie tego wszystkiego na żywo było czymś zgoła innym.

– Naprawdę myślisz, że to się uda? – zapytała Pari.

– Są dwa wyjścia – odpowiedziała Thessa. – Albo zapiszemy się na kartach historii, albo zmarnujemy mnóstwo pieniędzy Demira.

– Albo oba naraz.

– Jak to?

– No wiesz, możemy okryć się sławą z powodu tego, że kilkoro z nas walnie piorun. – Pari uniosła brwi, a Thessa dopiero po chwili zrozumiała, że to miał być żart. W pewnym sensie.

– Nie walnie nas piorun – odparła, licząc, że zabrzmiało to w miarę pewnie. Tirana już uważała ją za wariatkę, więc byłoby lepiej, gdyby nie dowiedzieli się o tym egzekutorzy. – Jeśli te trzy przewody będą ze sobą połączone, a portal feniksa uziemiony, nie powinno się stać nic złego.

– A co, jeśli nie będzie uziemiony? – spytała Pari.

Thessa pokręciła głową.

– Wtedy piorun przeskoczy. Ale tak się nie stanie. Zastosowałyśmy się do wszystkich wskazówek profesorki Volos. Najgorsze, co może się wydarzyć, to że nic się nie wydarzy. – A to może być gorsze niż śmierć, dodała w myślach. Tak ciężko pracowała, tak wiele udało jej się stworzyć i nie chciała, aby skończyło się to tym, że będzie musiała zacząć od nowa. Gdyby się nie udało, zawiodłaby siebie i Demira, a także zniweczyłaby to, co pozostało ze spuścizny Kastory.

– To zabawne – stwierdziła Pari, chichocząc – ale mój tato od lat zbiera wszystkie zużyte kawałki szkła bożego. Składuje je

w małym pudle po kapeluszu trzymanym pod łóżkiem i od kiedy pamiętam, babcia błagała go, żeby się tego pozbył. Ma tam setki niskorezonansowych szkieł mocy i może jeszcze jakieś inne. Jeśli ten eksperyment wypali i uda nam się naładować szkło boże, bez wątpienia będzie o tym wszystkim opowiadał.

– Moja ciotka też tak robiła – przyznała Thessa. Posmutniała trochę, choć starała się tego nie okazywać. Lepiej, żeby nie skupiała się na zmarłych, tylko na tym, jak bardzo cieszyliby się z jej sukcesu, gdyby jeszcze żyli. – Pomyśl tylko, co się stanie, gdy sprzedaż używanych szkieł bożych zyska na popularności. Pierwsze, co wtedy zrobię, to powiem Demirowi, aby kupił ten kawałek ziemi. Mogłybyśmy stworzyć tu stałą placówkę z tuzinem piorunochronów, portali i... – Zaczynała się zapędzzać, więc zmusiła się do przystopowania. – Byłoby wspaniale.

Ich rozmowę przerwał odległy krzyk, po którym nastąpiła seria okrzyków. Thessa i Pari spojrzały na siebie, a następnie wybiegły na zewnątrz. Thessa osłoniła oczy przed mżawką, zmierzając w stronę zapalonych lampionów migoczących na drugim krańcu Kuźni. Gdy do nich dotarła, zastała na miejscu większość egzekutorów Grappa, kręcących się w pobliżu półki skalnej, a wśród nich Tiranę i Breenena.

– Co się stało? Ktoś spadł? – zapytała Thessa.

Tirana zakłęła, przyglądając się swoim egzekutorom.

– Kto to był? Kto zaginął?

– Chyba Justaci – odpowiedział ktoś. Po chwili potwierdzono tę informację i pośród zgromadzonych zapanowała ponura atmosfera. Nie wróżyło to najlepiej. Rozpoczęcie projektu od śmierci, nawet przypadkowej, nie było dobrym znakiem. Thessa zastanawiała się przez moment, czy może ktoś rzucił na nią kłątwe albo bogini Renn w końcu zwróciła się przeciwko niej za to, co zrobiła w hucie szkła w Lesie Kości Słoniowej, ale wyparła te myśli. To przecież czysta bzdura.

– Będziemy go stamtąd wyciągać? – zagadnął ktoś.

Thessa przepchnęła się przez egzekutorów, by dotrzeć do Tirany i Breenena, którzy naradzali się pod parasolem.

– Moglibyśmy opuścić linę – zaproponował Breenen.

– Przecież to sześćdziesięciometrowa przepaść zakończona skalistym wybrzeżem – rzuciła nerwowo Tirana. – Nie miał szans na przeżycie. Nie zamierzam ryzykować i posyłać tam kogoś po ciemku i to przy złej pogodzie.

Thessa spojrzała na nich, a następnie na otaczające ją zatroskane twarze. Wniesiono już niemal wszystkie zapasy i cały sprzęt, a egzekutorzy wyglądali na wyczerpanych.

– Powinniśmy wysłać tam kogoś ze szkłem zmysłów – zasugerowała Thessa. – Istnieje niewielka szansa na to, że przeżył, ale jeśli mu się udało, warto posłać kogoś, by to sprawdził i w razie czego mu pomógł.

– Dobrze. – Tirana i Breenen zgodnie przytaknęli i w ciągu paru minut zebrała się mała grupa ochotników, w tym Pari, którzy ruszyli w dół po śliskim szlaku. Starali się podchodzić jak najbliżej klifów i rozglądali się w ciemności, widząc jak za dnia dzięki magii szkła. Reszta egzekutorów rozeszła się chwilę później, udając się do namiotów i pozostawiając dygoczącą Thesę tuż obok Tirany. Hotelowa oficerka stała blisko urwiska, wyciągając szyję i spoglądając w dół z wyrazem konsternacji na twarzy. Thessa chciała już wrócić do latarni, ale Tirana złapała ją za rękę.

– Thesso, Demir zabronił nam wypytywać o twoją pracę i szanuję to. Wiem, że chodzi o jakiś tajny krzemowy projekt i nikt nie chce ryzykować, by informacje o nim wypłynęły do Dorlanich czy innych, ale muszę zadać ci ważne pytanie... Czy jest on wart ludzkiego życia?

Thessa zerknęła mimowolnie w kierunku skalnej półki. Czy istnieje właściwa odpowiedź na to pytanie?

– Tak – odpowiedziała.

– Oddałabyś za niego życie?

– Wolałabym nie – stwierdziła z półuśmiechem, lecz gdy mina Tirany pozostała niewzruszona, Thessa przełknęła gulę w gardle i dodała: – Tak, oddałabym.

– To dobrze. Bo wydaje mi się, że to nie był wypadek.

– Co? Dlaczego tak twierdzisz? – zapytała Thessa, czując, jak ściska jej się żołądek. – Przecież jest ślisko i ciemno.

– Tylko że nikt nie widział upadku Justaciego – odparła Tirana.

– Nie jest to chyba powód, aby twierdzić, że ktoś zrobił to celowo, czyż nie? – Thessa nie chciała drwić z instynktu Tirany, ale wydawało jej się to trochę naciągane. – Każdy mógłby...

Tirana uniosła palec.

– Gdy tylko tu przyjechaliśmy i stałam przez chwilę sama, Justaci wziął mnie od razu na bok i powiedział, że ktoś celowo zostawił otwarte wejście do piwnicy Hiacynta. Egzekutorzy Dorlanich nie dostali się tam przez przypadek. Ktoś ich wpuścił. Nie wiem, kim była ta osoba. Nie mam nawet żadnych podejrzeń. Ale musimy się mieć na baczności. Prawdopodobnie jest między nami zdrajca, i to taki, który gotów jest zabić.

Tirana oddaliła się szybko, krzyżąc do pobliskich egzekutorów, by stanęli na nocnej warcie, i pozostawiając Thesę mokrą od mżawki, samotną i przerażoną. Spojrzała w czarne jak smoła niebo, krople deszczu smagały ją po twarzy i otuliła się rękoma. To by było na tyle, jeśli chodzi o opuszczenie miasta w celu znalezienia bezpiecznej przystani.



Demir powrócił na stanowisko dowódcy Legii Cudzoziemskiej, jakby nic się nie stało; jakby plotki o jego pojedynku z Capricem nie krążyły po wszystkich zakamarkach stolicy, a każda z mijanych go osób nie paliła się, by zapytać, jakim cudem udało mu się uniknąć furii Ojca Vorciena. Ignorował to wszystko, bo nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie uwagi.

Dbając o utrzymanie stałej łączności ze zwiadowcami, na wypadek gdyby losy tej wojny znów się odmieniły, Demir przegrupował Legię Cudzoziemską zaledwie kilka kilometrów na północny-wschód od Nowego Portu. Nie była to idealna lokalizacja – zbyt miękka ziemia uniemożliwiała swobodne poruszanie się ciężkiej kawalerii, a widoczność utrudniały wiatrołomy znajdujące się między farmami i rozciągające się przez północny skraj Miedzianych Wzgórz – niemniej jednak miejsce to skutecznie blokowało wrogie wojska przed zawróceniem i okrążeniem Ossy. Nieprzyjaciel miał dwa wyjścia: natrzeć na ossańską armię albo wycofać się z powrotem do Grentu i nad rzekę.

Co więcej, można było stamtąd obserwować Kuźnię. Nie była wystarczająco blisko, by Kerite podejrzewała, że znajduje się tam coś cennego, ale na tyle, by zainterweniować, gdyby zdecydowała się ruszyć w tamtym kierunku. Nie dało się ukryć, że w kwestii priorytetów było to szalenie nieodpowiedzialne jak na dowódcę Legii Cudzoziemskiej, ale miał to gdzieś.

Dochodziło południe, chłodne, lecz słoneczne, a obóz tętnił życiem około piętnastu tysięcy żołnierzy i dwukrotnie większej liczby personelu pomocniczego. Demir przybył na miejsce dość niedawno i zastał ciąg maszerujących z Ossy kolumn wojskowych oraz stały strumień zwiadowców regularnie donoszących o pozycjach wroga. Wpatrując się w stosy informacji od szpiegów, plotkarzy i Ministerstwa Legionów, zauważył jednak, że ten strumień zdawał się od rana tracić na sile. Musiał się dowiedzieć dlaczego i musiał się tego dowiedzieć szybko. Choć z drugiej strony musiał dowiedzieć się wielu rzeczy.

Siedział w wielkim namiocie dowódcy na jedynym meblu, składanym taborecie, i wpatrywał się w leżące na kolanie korkowe pudełko. Wyobrażał sobie, że słyszy rezonans znajdującego się w środku potężnego szkła rozumu. Potrzebował jego magii. Potrzebował, żeby jego umysł działał jak dawniej; by stał się ponownie ludzką maszyną do myślenia, by stał się kolejnym najlepszym strategiem na świecie. Otworzył pudełko, w którym spoczywał niewielki kawałek fioletowego szkła – kolorem przypominający jego herb rodzinny – w kształcie półksiężyca, z jednej strony zakończony haczykiem. Zaczerpnął głęboko powietrza, złapał za kolczyk i przewlekł go przez jedną z dziurek w uchu.

Natychmiast pojawił się ból, taki zaczynający się u podstawy czaszki, pełzający w górę po tylnej części głowy i wbijający się do środka niczym rozgrzana lanca, przez mózg do oczodołów. Zaciśnął zęby, znosząc cierpienie i czekając, aż zelżeje na tyle, by mógł zebrać myśli. Ból jednak nie ustępował, tylko nasilał się, rósł z każdą sekundą, doprowadzając go do agonii, niedającej dojść do słowa żadnemu pomysłowi.

Gdy w końcu wyrwał szkło z ucha i wrzucił z powrotem do pudełka, poczuł, jakby ktoś wypalił mu duszę od środka. Zaszło mu

w ustach, a każdy nerw mrowił na samo wspomnienie przeżytych katuszy. Podniósł dłoń i dostrzegł, że cała drży.

– No cóż – powiedział do siebie. – Tak to się nie uda.

A jeśli ta próba się nie powiodła, to jak niby miał wygrać tę wojnę? Wszyscy jego przeciwnicy, dowódcy wrogiej armii, mogli korzystać z mocy szkła rozumu. Dzięki jego magii nawet ci najgorsi mogli myśleć szybciej i sprawniej niż on, a Kerite daleko było przecież do tych najgorszych. Mimo liczebnej przewagi musiał stawić czoła najlepszej generałce na świecie, a nie miał nawet jak tego wszystkiego zaplanować.

– Generale Grappo! – zawołał ktoś z zewnątrz. – Major Grappo i kapitan Sepulki chcieliby się z panem zobaczyć.

Demir rzucił pudełeczko w odległą kąt namiotu i splótł dłonie, by ukryć ich drżenie.

– Wprowadź ich.

Wuj Tadeas i Idrian weszli do środka i od razu zamarli, zauważywszy, że całą podłogę przykrywają niezliczone raporty.

– Brakuje ci miejsca na krzesła, tak? – zapytał Tadeas.

– Jeśli chcesz, mogę zaraz kogoś po nie wysłać.

Idrian burknął na Tadeasa i przyciągnął jedną ze skrzyń do Demira, opadając na nią ciężko i szczękając zębami.

– Nie zachowuj się jak sztywniak, Tad.

– Usiądźcie, proszę – rzucił z sarkazmem Demir. – Jesteśmy w komplecie?

Tadeas uniósł brew.

– A kto jeszcze miał być na tym spotkaniu?

– Chodziło mi o Stalowe Tarany i kirasjerów z Fortu Alameda.

– O, tak – prychnął Tadeas. – Tak, wszyscy tu są. – Zerknął na Demira. – A ty jak się tu znalazłeś? Ostatni komunikat, jaki otrzymałem od Breenena, wskazywał na to, że zamknęli cię w Maerhornie.

– To... udało się jakoś załagodzić – odparł Demir.

– Tylko tyle?

– To długa historia. Kiedyś ci o niej opowiem. Gdzie Mika?

– Pracuje właśnie nad dostawcami z Ossy, kradnąc każdy gram prochu, na jaki jej pozwolą. – Tadeas postukał paznokciem w ząb, sugestywnie wpatrując się w Demira i pragnąc dowiedzieć się

czegoś więcej na temat jego pobytu w Maerhornie. W sumie plotki i tak wkrótce dotrą do obozu. Demir kontynuował, niewzruszony.

– Dobrze. Chcę, żeby jej inżynierowie nieprzerwanie tworzyli nowe granaty od teraz do czasu, gdy znów staniemy do walki. – Odchrząknął i przekręcił się na taborecie, starając się ignorować uczucie rozpacz, jakie wraz z bólem pozostawiło po sobie szkło rozumu.

– A wiemy, kiedy to nastąpi? – zapytał Idrian.

– W ciągu najbliższych trzech dni. Nie później. Chciałem... – Przerwał mu ciąg bardzo twórczych przekleństw rozbrzmiewający na zewnątrz namiotu. Odsłonięto klapę i do środka wkroczyła pułkowniczka Jorfax, obrzucając całą trójkę lodowatym spojrzeniem. Wyglądała tak samo nieskazitelnie jak tydzień temu, miała wyprasowany mundur, idealnie ułożone włosy i splecione za plecami dłonie. Demir wpatrywał się w nią, zdając sobie sprawę, że nie wyczuł nawet jej magii, gdy się zbliżała. Będzie musiał się skupić, bo inaczej zabójcy generała Stavriego dopadną i jego.

– Pani pułkownik – przywitał ją – jak dobrze znów panią widzieć. Mam nadzieję, że nie zamordowała pani ochroniarza stojącego na zewnątrz.

– Zrobię to, jeśli po raz kolejny ktoś będzie próbował uniemożliwić mi spotkanie z tobą – warknęła. – Co zamierzasz z tym zrobić? Jakie działania już podjąłeś?

– Czekaj, czekaj. – Demir zdał sobie sprawę, że pod wpływem instynktu złapał magią za szklaną bańkę znajdującą się w jego kieszeni. Zmusił się do rozluźnienia mięśni. – O czym ty, do cholery, mówisz? Jestem w obozie dopiero od dwudziestu minut.

Jorfax rozejrzała się po namiocie, jakby oglądała salę koncertową pełną wrogów. Jej spojrzenie zatrzymało się na chwilę na Idrianie, po czym wróciło do Demira.

– Tyle powinno wystarczyć, by dowiedzieć się, że moi tancerze szkła – magiczne jednostki, których użyłeś w roli zwiadowców – umierają.

– Szklorwa mać – rzucił Demir, przecierając dłonią twarz. Popatrzył na wuja, który tylko pokręcił głową. Nie mógł mu pomóc. – Myślałem, że system się sprawdza. Oślepiłiśmy grenckie wojska, zmyśliśmy je powodzią. Udało im się już stanąć do kontrataku?

– Mówiłam, że nie powinieneś lekceważyć Kerite.

– Uważam – odezwał się nagle Idrian, odpowiadając na spojrzenie Jorfax swym chłodnym wzrokiem – że byłoby lepiej, gdybyś nam to wyjaśniła.

Wyglądało na to, że Jorfax naprawdę się opanowała, a z kolejnych wypowiedzianych przez nią słów uleciała gdzieś część gniewu.

– Wszystko zaczęło się wczoraj. Najpierw zaginęła jedna, potem druga, a teraz już ósma grupa zwiadowców, którym towarzyszyli moi tancerze. Jedną z ekip znaleźliśmy kilka godzin temu. Kompletnie wypatroszoną, rozerwaną na strzępy, wziętą z zaskoczenia. Bańka jednego z moich ludzi nadal spoczywała w jego kieszeni.

– I myślisz, że to samo przytrafiło się siedmiu pozostałym grupom zwiadowczym? – spytał ostrożnie Demir. Było źle. Bardzo źle. Jeśli Grent, Kerite czy ktokolwiek inny zdążył już odwrócić losy tego niewielkiego manewru, to Legia Cudzoziemska mogła zacząć żegnać się z życiem.

– Tylko to tłumaczy ich niespodziewane zniknięcia. Wysłałam posłańców, aby nawiązali kontakt i ostrzegli pozostałe oddziały, polecając im wzmożoną czujność. Nie chcę, żeby moi tancerze poddawali się bez walki, uważam jednak, że powinieneś niezwłocznie zwołać ich wszystkich do fortu.

Demir zdziwił się, że sama tego nie zrobiła. Było to jej niedopatrzenie, czy po Potoku Grappa uwierzyła w jego umiejętności i szanowała jego rozkazy?

– Niech cztery grupy zwiadowcze kręcą się wokół obozu. To powinno wystarczyć na wypadek, gdy ktoś spróbuje się zbliżyć. A reszcie każ wrócić do obozu.

Przez chwilę myślał, że Jorfax zaprotestuje, ale tylko skinęła stanowczo głową.

– W porządku – rzuciła.

– Powinniśmy im powiedzieć – rzekł nagle Idrian.

Demir odwrócił się w jego stronę.

– O czym?

– Jej też? – zapytał Tadeas.

– Tak. Ma prawo wiedzieć. W końcu to jej ludzie tam giną.

Demir rozejrzał się szybko po towarzyszach, stwierdzając, że Jorfax jest równie zdezorientowana jak on.

– O co chodzi? Tad?

Tadeas odchrząknął i oparł się o skrzynię.

– Nie złożyliśmy jeszcze pełnego raportu; nie ma powodu, aby Ministerstwo Legionów wezwało nas do powrotu, uznając za wariatów, ale niedługo dotrą do was pewne plotki. Chodzi o to, że zaatakowano nas w nocy, kiedy wróciłeś do Ossy.

– Zaatakowano? – spytał Demir. Szkłorwa! Kolejne złe wieści. Był już tak spięty, że ciężko mu było uwierzyć, że może spać się jeszcze bardziej. – Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Bo to był cholerny potwór – wyrzucił z siebie Idrian.

– Jaja sobie robisz? – zadrwiła Jorfax.

– Chciałbym – ciągnął Idrian. – Uratowała nas twoja tajna tancerka szkła, Demirze.

– Squeaks?

– Tak. Ostrzegła mnie, że na dachu kwatery oficerskiej przebywa jakiś intruz. Jestem pewien, że był to ten sam, który zabił generała Stavriego i jego oficerów. Udało mi się go zaskoczyć, ale kiedy się z nim pojedynkowałem, okazało się, że nie jest człowiekiem. Był ode mnie wyższy, zbudowany jak Gromiciel ze skórą twardą niczym skorupa; szybszy i silniejszy niż ja w pełnej zbroi. A gdy przyparłem go do muru, po prostu odleciał. Szkłorwa mać! To coś miało skrzydła, Demirze.

Demir poczuł, jak wszystkie włosy na karku stają mu dęba. W innych okolicznościach, bez Jorfax, uznaliby, że Tadeas i Idrian stroją sobie żarty. Tad mógłby zrobić coś takiego dla śmiechu, ale jedno spojrzenie na ich twarze dało mu jasno do zrozumienia, że to nie był żaden głupi dowcip.

– Kto to widział?

– Ja – odrzekł Tadeas. – Idrian, Mika, Squeaks oraz kilkunastu inżynierów i siedmiu żołnierzy. Cokolwiek to było, było tam naprawdę.

Ku zaskoczeniu Demira Jorfax zbladła i opadła na skrzynię tuż obok Idriana. Po raz pierwszy widział, jak straciła nad sobą panowanie, i było to równie szokujące jak to, co przed chwilą powiedział Idrian.

– Myślałam, że wartownicy zmyślają – oświadczyła.

– Co masz na myśli? – zapytał stanowczo Demir.

– Chodzi o to, że jakieś osiem tygodni temu, na długo przed tą durną wojną, garnizony z dwóch północnych fortów wysłały do Ministerstwa Legionów raporty o zaobserwowaniu na nocnym niebie jakiegoś dużego zwierzęcia. Było to dość dziwne, ale nic z tego nie wynikało, więc zignorowaliśmy sprawę. Przecież to mogło być cokolwiek: albatros, jakieś złudzenie optyczne lub najzwyczajniej w świecie przejaw czyjegoś znużenia.

Demir mógłby ją za to skarcić, tylko że się z nią zgadzał. Sama idea była kompletnie urojona, a ministerstwo słusznie ignorowało takie doniesienia. Aż do tej chwili, kiedy sami musieli w to uwierzyć.

– Więc co to jest? – dociekał. Nie sądził, że poczuje się jeszcze bardziej bezradny, nie po tym, jak jego umysł tak stanowczo odrzucił szkło rozumu. Ale oto znalazł się w sytuacji tak dalece wykraczającej poza to, co było mu znane, że nawet dawny Demir nie mógłby tego przewidzieć. – Jakaś grencka broń? Rezultat szklanych eksperymentów?

– Od trzech dni dyskutuję o tym z Idrianem – odparł Tadeas. – I tylko to przychodzi nam do głowy. Szkło boże sprawiające, że wyrastają ci cholerne skrzydła. Tylko o tym pomyśl.

– No i to nie wszystko – dodał Idrian. – Jest więcej tego czegoś, czymkolwiek to jest. – Zerknął na Tadeasa i kontynuował: – Tuż przed tą akcją z powodzią odwołano Squeaks z warty, ponieważ powiedziała, że widziała w lesie potwora. Twierdziła, że był niski, miał długą szyję i wątlą twarz. Aha, i przodozgryz. Zdecydowanie nie był to człowiek. I zniknął, kiedy zaczęła mu się przyglądać. Razem z Valientem uznaliśmy, że pewnie jest wyczerpana i ma zwidy, ale teraz nie jestem już tego taki pewien. Musimy się przygotować na to, że może ich być więcej.

Demir poczuł na kręgosłupie dotyk lodowatego palca. Opis pasował do oblicza, jakie dostrzegł w oknie gabinetu matki, gdy przed tygodniami wrócił do Ossy. Czy śledziła go jakaś pozaziemska istota? Próbował otrząsnąć się z nagłego ataku dreszczy.

– Czyli mamy latającego tancerza szkła – zaczął Demir. – I znikającego potwora z przodozgryzem, tak? Na boże szkło! Jak, do cholery, mam stworzyć jakiś plan, biorąc pod uwagę nieznanne

potwory? – Westchnął, po części pragnąc ponownie sięgnąć po kawałek magicznego szkła. Może gdyby spróbował jeszcze raz. Może gdyby... Wstał, odwrócił się plecami do trójki gości i wbił wzrok w ścianę namiotu. W jego częściowo ułożonych planach pojawiła się dziura, ogromna dziura. Nie wiedział nawet, jak poradzić sobie z obecnymi problemami, a co dopiero z tym nowym. Po raz kolejny poczuł słodki pociąg do tchórzostwa – do ucieczki na prowincję, gdzie już nikt nigdy by go nie odnalazł.

– Coś mi się wydaje, że to ten skrzydlaty stwór jest tym czymś, co zabiło naszych zwiadowców – odezwał się Idrian. – Mówiłaś, że jeden z twoich ludzi nie zdążył nawet wyciągnąć z kieszeni swojej szklanej bańki, tak?

– Zgadza się – odpowiedziała Jorfax.

– To ma sens. Nikt przecież nie spodziewa się ataku z nieba. Jeśli to skrzydlate coś rzuca się niespodziewanie na naszych zwiadowców, to tłumaczy, dlaczego straciliśmy osiem oddziałów, a nie wszystkie. Najwyraźniej tylko tyle zdążył dopaść. Daje nam to pewne możliwości.

– Jakie możliwości? – zapytała Jorfax.

– Pułapkę. Wyślijcie mnie, Mikę, kilku inżynierów i żołnierzy przebranych za zwiadowców oraz jednego tancerza szkła. Kiedy to coś nas zaatakuje, tancerz wyczuje jego obecność, bo tym razem będzie patrzył w niebo, i wtedy Mika ściągnie to na ziemię za pomocą ładunków wybuchowych, a potem ja to coś zabiję.

– Oooch – wyrwało się Jorfax, a słowo to zabrzmiało niemal zmysłowo. – Podoba mi się ten plan.

Demir się nie odwrócił. Słowo „przebranych” wzbudziło w nim jakieś nie do końca zrozumiałe emocje. Czuł, jak narasta w nim frustracja, niczym u doświadczonego strzelca wyborowego niemogącego trafić do celu. Zmusił się do wzięcia głębokiego wdechu. Do zebrania myśli.

To było do niego niepodobne. Nie mógł tak działać, skoro miał chronić ludzi, których kochał. Co obiecał sobie kilka dni temu? Koniec z arogancją. Koniec z wariactwami. Koniec z paraliżującym wątpieniem w swoje umiejętności. Musiał to z siebie zrzucić, jak wąż zrzucający skórę, i z reszty stworzyć się na nowo. Musiał połączyć najlepsze cechy swego dawnego i nowego ja.

Ale czy w ogóle wiedział, czym jest to jego nowe ja? Oszustem? Kanciarzem? Kimś, kto zadawał się z pałkarzami i ustawiał walki wyłącznie dla pieniędzy i rozrywki? Demir zmarszczył brwi, nagle uświadamiając sobie, że tak wiele czasu spędził, dzieląc życie na przed i po Holikanie, iż nigdy nie zastanowił się nad tym, że być może wcale aż tak bardzo się nie zmienił. Wciąż mamił, przechwalał się i planował. W końcu czymże był polityczny erudyta, jeśli nie sformalizowanym oszustem? Po prostu stracił pewność siebie, by robić to tak jawnie jak kiedyś.

Ten tok myślenia sprawił, że wrócił do słowa wypowiedzianego przez Idriana. „Przebrany”. Dlaczego chodziło mu ono po głowie? Czy dlatego, że wydawało mu się tak znajome? Wszyscy oszuści potrzebowali przebrania, ale nie chodziło o to, jak pomocne było ono dla Demira hochsztaplera. Istotne było, jak mogło się ono przydać Demirowi generałowi?

– Demirze? – zagaił go Tadeas. – Co sądzisz o planie Idriana?

Demir odwrócił się, stając twarzą w twarz z pozostałą trójką.

– Pułapka jest dobrym pomysłem. Zróbcie to. Czymkolwiek jest ten potwór, zwabimy go i zabijemy.

– Ale to tylko jeden mały aspekt tego konfliktu – zauważył Tadeas. – Nie wspomnieliśmy jeszcze ani słowem o Grecie i Kerite. Mam nadzieję, że podczas pobytu w mieście wpadłeś na jakiś genialny plan bitwy.

Demir zignorował wypowiedź wuja, nadal tkwiąc głęboko w swojej głowie. Czuł, jak poszczególne elementy zaczynają układać się w całość; rozrzucone po mózgu skrawki informacji łączyły się w spójną opowieść.

– Jorfax ma rację. Nie uda mi się przechytryć Kerite. Jest najlepszą generałką na świecie. Ale dysponuje zaledwie siedmioma tysiącami najemników, racja? Resztę stanowią grenckie wojska.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Tadeas, prostując się. Wyglądało na to, że zauważył zmianę w Demirze. I dobrze. Oby zacerpnął z tej zmiany odrobinę pewność siebie.

– Przebywając na prowincji, ustawiałem wiele cudgelingowych meczy – zaczął Demir. – Nie zawsze udawało mi się przekupić sędziów, zrozumiałem jednak, że są oni zależni od tłumu. Jeśli sędzia uzna, że doszło do faulu, przerywa walkę i bada sprawę.

Lecz jeśli tłum bezgranicznie wierzy w to, co się dzieje na ringu – jeśli pojedynek jest po prostu świetny – żaden sędzia nie odważy się interweniować. Zawsze kierują się tym, czego chce tłum. Kerite jest sędzią. Jest arbitrem na polu bitwy. Kimś, kto odczyta każdy mój ruch i odpowiednio na niego zareaguje. Nie muszę grać z nią. Muszę zagrać z grenckimi oficerami, jej zlecniodawcami. Ilu gwardzistów mamy pod ręką?

– Sześćdziesiąt tysięcy – odpowiedział rzeczowo Tadeas. Idrian i Jorfax zmarszczyli brwi, ale Demir zauważył, że wuj podejrzewa, do czego zmierzał. Tadeas kontynuował: – Tylko że sam stwierdziłeś, że są praktycznie bezużyteczni. Spanikują w starciu z prawdziwymi żołnierzami, a ich ucieczka może okazać się gorsza niż sam pomysł ich użycia.

– Nie wyślemy ich na bitwę – odparł Demir. Jego myśli wirowały teraz tak szybko, że ledwie mógł za nimi nadążyć. Nie tak szybko jak ze szkłem rozumu w uchu, ale z dużo większą prędkością niż kiedykolwiek wcześniej bez pomocy magii. Zdawało się, jakby różne części jego osobowości: oszust, polityk i generał, wreszcie zaczęły się ze sobą komunikować. – Wyślij szybkich jeźdźców z powrotem do Ossy. Chcę, żeby wygrzebali z magazynów ministerstwa wszystkie zapasowe mundury, jakie tylko wpadną im w ręce. Potrzebuję ich, co najmniej dziesięć tysięcy, a jeśli będzie więcej, to tym lepiej. Ubierzemy w nie gwardzistów, a potem wyślemy ich do Grentu. Przemaszczą ulicami, zdobędą kilka mostów, zajmą parę kamienic. Żadnej walki. Tylko ciała wystawione na pokaz.

Jorfax była kolejną, która zrozumiała, co Demir chciał przez to osiągnąć, a potem Idrian też to pojął, wybałuszając oko.

– Grentczycy wpadną w panikę i wycofają wojska. To, co Kerite zrobi lub powie, nie będzie miało już żadnego znaczenia. Jej zlecniodawcy będą nalegać, by szybko wycofała się z Nowego Portu i pogną, aby chronić Grent – powiedziała.

– A kiedy to zrobi – podchwycił Demir – gdy jej oddziały rozproszą się po drodze i wystawią na cios, zaatakujemy ich mocno i szybko z flanki.

– A niech cię szkło – wyszeptał Tadeas. – To może się udać.

– Na to, szklorwa, liczę – stwierdził Demir. – Na nic lepszego nie wpadłem. Idrianie, zorganizuj pułapkę. Wyruszyście skoro świt. Jorfax, wezwij większość swoich ludzi. Przydadzą nam się w nadchodzącej bitwie. Tad, skoordinuj działania z pozostałymi oficerami Legii Cudzoziemskiej. Chcę, by zrozumieli, że jeśli mamy to wygrać, muszą wykonywać rozkazy swego zhańbionego dowódcy.

Rozeszli się, pozostawiając Demira samego w namiocie pełnym informacji. Odnalazł małe pudełko z wysokorezonansowym szkłem rozumu i położył na jednej ze skrzyń, wpatrując się w nie.

– Jesteś dla mnie kulą u nogi – wyszeptał. – I nie mogę już dłużej pragnąć mocy, którą mi dajesz. Z tobą czy bez ciebie, nadal jestem Grappem. Nadal jestem Księciem Błyskawic.



Przez ostatnie kilka tygodni Kizzie rozważała tuzin różnorodnych scenariuszy, które umożliwiłyby jej przesłuchanie Aelii Dorlani. Musiała jednak wszystkie odrzucić, ponieważ ryzyko było zbyt duże – zginęłaby podczas próby wprowadzenia planu w życie albo naraziłaby się na wrogość jednej z najpotężniejszych kobiet w Ossie. Ale Montego zmienił zasady gry. Być może jego współuczestnictwo sprawiło, że stała się lekkomyślna, a może po prostu wiedziała, że ściągnie on na siebie całą nienawiść i zdoła się przed nią obronić. Tryskał entuzjazmem w kwestii realizacji jej najlepszego planu. Dodał do niego nawet coś od siebie.

Stali przed jednym z ekskluzywnych pubów na obrzeżach Dzielnicy Zgromadzenia. Kizzie miała na sobie marynarkę, szal i pelerynę, chroniącą ją zarówno od ciekawskich spojrzeń, jak i mroźnego zimowego powietrza, podczas gdy Montego ubrany był w bogato haftowaną zielono-fioletową tunikę, kosztującą prawdopodobnie więcej, niż Kizzie zarabiała w ciągu roku. Jego okrągła, blada twarz zaczerwieniła się od chłodu, a sama jego obecność zdawała się działać jak boja świetlna. Przechodnie

zatrzymywali się i wpatrywali w niego, szturchając się i szepcząc do siebie nawzajem. Niektórzy wołali jego imię, ale nikt nie odważył się podejść.

To był pierwszy raz, kiedy Kizzie stała obok kogoś naprawdę sławnego. Nie kogoś znanego w kontekście rodzinnej gildii, otoczonego ochroniarzami gotowymi zrugać każdego, kto podejdzie ciut za blisko, ale tak sławnego, że sama jego obecność budziła większy strach i zainteresowanie niż dowolna obstawa sługusów rodzinnej gildii. To zainteresowanie tłumu sprawiło, że Kizzie czuła się naga i cieszyła się, że może ukryć ręce w rękawiczkach, a twarz pod szalem.

– Ludzie zawsze się tak na ciebie gapią? – zapytała cicho.

– Tak – odpowiedział Montego, popijając piwo i trzymając w dłoni zakończoną figurką srebrnego niedźwiedzia laskę, którą kiwał od czasu do czasu w kierunku mijanych osób, jakby zwracał na nie szczególną uwagę.

– Przecież to straszne.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

– To jak udaje ci się cokolwiek załatwić?

– Cóż, nie chodzę na zakupy, jeżeli o to pytasz.

Kizzie spojrzała na Montega z ukosa i dostrzegła, że ten się do niej uśmiecha.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak niezauważalnie, tak? Rzadko mi się to zdarza, ale moja obecność bardzo dobrze odwraca uwagę.

– Będę o tym pamiętać. – Kizzie nie potrzebowała dziś odwracania uwagi. Potrzebowała wycucia czasu, szczęścia i odrobiny starej dobrej brutalności. – Masz świadomość, że możemy przyczynić się do wywołania wojny między rodzinnymi gildiami? – spytała jeszcze ciszej.

– Jest takie prawdopodobieństwo – odrzekł Montego.

– Nie powinieneś zapytać Demira o zgodę? – Kizzie zaczynały puszczać nerwy. Wystarczyło, że stała obok Montega – swej młodzieńczej miłości, najsłynniejszego zabójcy w Ossie, i rozmawiała z nim po szesnastu latach ciszy. Na dodatek mieli za chwilę spróbować czegoś naprawdę lekkomyślnego. Te dwa czynniki sprawiły, że pozwoliła sobie na zanurzenie drżącej ręki w kieszeni,

wyłowienie z niej szkła harmonii i przewleczenie go przez dziurkę w płątku ucha.

Montego rozglądał się przez moment nad głowami przechodniów, po czym odparł:

– Może i jestem adoptowanym członkiem Grappów, ale jestem też Małym Montegiem. Demir nie mówi mi, co mam robić, tak samo jak ja nie mówię mu, co on ma robić.

Och, cóż za fantastyczna pewność ciebie. Kizzie była o nią trochę zazdrosna, choć wiedziała, że nie powinna. Montego w pełni sobie na nią zasłużył. Kizzie sprawdziła godzinę na kieszonkowym zegarku.

– W takim razie wszystko jasne. Już czas. Spotkamy się w parku, tak?

– Tak. Powodzenia.

Kizzie oddaliła się, pospiesznie ruszając w noc i ukrywając twarz pod szalem, na wypadek gdyby ktoś za bardzo zainteresował się towarzyszką Montega. Skręciła w pobliską uliczkę i poszła labiryntem alejek, korytarzy i tuneli dla służby, łączących dziesiątki budynków w Dzielnicy Zgromadzenia. Wyszła na Plac Zgromadzenia, na prawo od głównego budynku Zgromadzenia, i zatrzymała się, aby się rozejrzeć.

Chłodna noc sprawiła, że plac był niemal opustoszały. Wzdłuż niego zaparkowano powozy czekające na swych ważnych właścicieli w celu odwiezienia ich do domu. Nie minęło wiele czasu, nim Kizzie zauważyła powóz Aelii Dorlani. Istny potwór, którego zazdrościła jej cała Ossa. Wykonano go ze stali, a cały projekt był niezwykle skomplikowany i nadal pisano o nim w gazetach, mimo że Aelia zamówiła go u marnijskiego rzemieślnika ponad rok temu. Udekorowany był zielonymi barwami rodzinnej gildii Dorlanich, a zasłony dumnie zdobił wyszyty krzemowy symbol. Plotkowano, że w środku znajduje się pełnowymiarowe łóżko, zaś Aelia wykorzystuje swe nocne przejażdżki jako przykrywkę dla schadzek z kochankami z całego miasta. Bzdurna historia, niemniej jednak rozbawiła ona Kizzie.

Egzekutorka Vorcien znalazła opuszczony, tłący się piecyk, jeden z kilkudziesięciu specjalnie przeznaczonych dla ochroniarzy i gońców, oczekujących poleceń na mrozie. Ogrzała przy nim dłonie,

uważnie obserwując powóz. Co jakiś czas zerkąca na kieszonkowy zegarek.

Kilka tygodni temu, przed porzuceniem tego planu, przeprowadziła jedynie niewielkie rozeznanie, a gdy pojawiła się okazja jego realizacji, poświęciła cały dzień na uzupełnienie informacyjnych braków. Aelia przebywała w siedzibie Zgromadzenia niemalże codziennie. Zostawała tam do późnych godzin nocnych, a potem wracała do domu, gdzie jadła kolację i udawała się na odpoczynek, pracując lub przyjmując przyjaciół. Jedyнным momentem dnia, gdy nie pilnowała jej Gwardia Zgromadzenia czy cała rodzinna gildia w jej posiadłości, była droga do domu. Zawsze wydłużała tę podróż w nieskończoność, bo dlaczego miałyby tego nie robić? Dysponowała w końcu najbardziej luksusowym powozem na świecie. Grzechem byłoby z tego nie korzystać.

Kizzie czekała prawie godzinę, zanim wystawny powóz Aelii ruszył z placu. Cztery białe konie mknęły po szerokim bruku, aż dotarły do głównej siedziby Zgromadzenia. Powóz zatrzymał się u stóp masywnych, marmurowych schodów, a zaraz potem z budynku wybiegła Aelia Dorlani w asyście sześciu ochroniarzy. Dwóch z nich zniknęło z nią we wnętrzu powozu, natomiast pozostała czwórka wskoczyła na stopnie pojazdu. Po chwili już ich nie było.

Kizzie odczekała kilka sekund i ruszyła biegiem w kierunku jednej z bocznych ulic. Jej trasa prowadziła przez sześć wąskich uliczek i zakrętów, ale była o wiele prostsza niż ta, którą jechała Aelia. Kizzie przekroczyła kamienny most i, spoglądając w lewo, upewniła się, że powóz Aelii jedzie zgodnie z planem, po czym skierowała się w dół szerokich kamiennych schodów, mijając żelazny słup oświetleniowy. Przeskoczyła barierkę, zsunęła się po błotnistym nasypie i przeskoczyła mały strumyk.

Bieg zajął jej około piętnastu minut i z walącym sercem dotarła do gęsto zalesionego parku, zwanego Przybrzeżnym. Na pierwszy rzut oka miejsce to wydawało się opustoszałe; nie było tam nikogo poza kilkoma włóczęgami śpiącymi pod jutowymi workami w zaroślach. Kizzie kontynuowała poszukiwania, bezskutecznie próbując wypatrzeć Montega. Martwiła się, że udał się do niewłaściwego parku albo został w jakiś sposób napadnięty. Było to

do niego zupełnie niepodobne. Zawsze był punktualny, nawet jako dziecko.

Pospiesznie ruszyła, szukając masywnego, starego dębu o splątanych korzeniach, rosnącego tuż przy drodze. W oddali, na lewo od niej, dostrzegła powóz Aelii, ostrożnie zjeżdżający z głównej drogi, którego lampy naftowe migotały, kołysząc się na nierównym bruku. Wolno przemierzał park, ochroniarze wypatrywali potencjalnych zagrożeń, podczas gdy ich pani rozkoszowała się luksusem spoglądania ponad rzeką na oświetlone miasto.

Bicie serca Kizzie odbijało się echem w jej uszach i starała się przewidzieć, co mogłoby pójść nie tak. A co, jeśli Montego się nie pojawi? Co, jeśli nie uda im się zatrzymać powozu? Co, jeśli... co, jeśli... co, jeśli...? Uciszyła pęd myśli, gdy w końcu namierzyła wielki dąb, którego szukała. Podbiegła do niego i zakładając kolczyki ze splecionego szkła bożego, wślizgnęła się za drzewo i wspięła po grubych gałęziach.

Ulżyło jej, gdy około sześciu metrów wyżej ujrzała coś dużego. Nie był to Montego. To było coś lepszego – trzy trupy przywiązane do siebie za nogi, położone ostrożnie na gałęzi w taki sposób, że wystarczyło nią potrząsnąć, by spadły. Tak oto prezentował się diabelnie makabryczny dodatek Montega do planu.

Kizzie wspięła się uważnie na gruby konar, by dosięgnąć zwłok. Znajdowała się bezpośrednio nad drogą i nie pozostało jej nic innego jak czekać, wsłuchując się we własny puls.

Powóz zbliżał się nieubłagalnie i Kizzie rozejrzała się w ciemnościach, wciąż próbując odnaleźć Montega. Ciała były na miejscu, a to oznaczało, że i on powinien tam być. Wątpliwości, czy dałby radę wspiąć się na górę z trzema trupami, rozwiały się, gdy zobaczyła go wczoraj wieczorem na linach w sali gimnastycznej. Ale gdzie on się, do cholery, podziewał? Szkłorwa, przecież zauważenie go nie powinno być aż takie trudne!

Kizzie przyglęła się do grubego konara, obliczając w myślach odległość nadjeżdżającego powozu. Czuła się tam bardzo odosłonięta i po części spodziewała się, że któryś z ochroniarzy zauważy jej kryjówkę i zatrzyma pojazd. Przyglądała się im uważnie, a z kolei oni rozglądali się po otaczającym ich lesie. Jeden z ochroniarzy klepnął drugiego w ramię i wskazał mu coś w ciemności. Przez

chwile obawiała się, że dostrzegli Montega. Ale powóz się nie zatrzymał. Nie mogła nie odnotować, jak grube szyje mieli mężczyźni stojący na stopniach powozu, ani tego, że pod nogami woźnicy leżał garłacz, widoczny jedynie z góry. Stwierdziła, że cały ten plan jest niezwykle durny.

Pchnęła zwłoki. Spadły z gałęzi; potwornie dyndające sztywne kończyny przetoczyły się przez nocne powietrze i wylądowały prosto na powozie Aelii. Jedno z ciał uderzyło woźnicę w tył głowy, prawie zrzucając go z wozu. Drugie strąciło dwóch ochroniarzy z lewej strony, a trzecie przebiło dach i wpadło do środka. Zaskoczony woźnica szarpnął za lejce, zatrzymując konie, zaś z wnętrza rozległa się seria przerażonych krzyków. Osiem osób wrzeszczało jednocześnie. Kizzie napawała się widokiem spanikowanej szóstki najgroźniejszych egzekutorów Ossy. Przypuszczała, że deszcz zwłok na każdym zrobiłby wrażenie.

Czekała. Niezbyt długo jednak, bo ochroniarze, próbując pozbyć się zwłok, nie zdawali sobie sprawy, że są one połączone. Wściekłe okrzyki Aelii jeszcze bardziej potęgowały chaos. Kizzie czekała tylko na to, aby rozpoznali ciała.

– Hej, zaczekaj – krzyknął nagle jeden z nich. – To jest Bridgette. A niech to szkło, to Bridgette. I Koren, i Duff. Pani Dorlani, to są nasi egzekutorzy!

Ani jeden z tych kretyńców nie spojrzał jeszcze w górę, a Kizzie nie zamierzała im tego ułatwiać. Wyciągnęła sztylet, pomodliła się, żeby Montego czaił się gdzieś w pobliżu, i zeskoczyła z gałęzi. Wylądowała na ławce tuż obok woźnicy i wbiła mu ostrze w szyję, zanim zdążył sięgnąć po leżący u stóp garłacz.

Uważała, że dorównuje każdemu z przysadzistych egzekutorów Aelii. Była szybsza, sprytniejsza i korzystała z równie dobrego szkła bożego. Jej atak na woźnicę był błyskawiczny, lecz nie uszedł niczyjej uwadze. Z wozu rozległa się kolejna fala wrzasków, gdy Dorlani zdali sobie sprawę z jej obecności. Jeden z nich rzucił się na woźniczą ławkę, ale Kizzie zdążyła wymierzyć mu zamaszysty kopniak w twarz, nim mężczyzna zdołał zadać jej jakikolwiek cios. Drugi sięgnął po pistolet, Kizzie jednak rzuciła w niego sztylitem, trafiając tuż pod sercem.

To był bardzo dobry początek, w innych okolicznościach pewnie byłaby z niego dumna. Lecz zostało jeszcze pięciu żywych egzekutorów. Nawet korzystając z zaskoczenia, nie dałaby im wszystkim rady. Potrzebowała pomocy. I to natychmiast.

I oto pomoc przybyła.

Widmo wynurzające się spomiędzy drzew poruszało się tak szybko, że niemal ją zmyliło, uderzając jednego z ochroniarzy od tyłu niczym szarżujący byk. Odrzut ciała mężczyzny był tak potężny, że złamał koło powozu, sprawiając, iż cała konstrukcja pękła i gwałtownie się zachwiała. Kizzie złapała się podwozia, aby nie upaść, a w tym czasie laska Montega przetrąciła żuchwę drugiemu ochroniarzowi.

Montego był jak szklolerny akrobata, masywne ciało poruszało się z zadziwiającą gracją, gdy wirował wokół powozu. Jego ramię uniosło się i opadło dwukrotnie, a ciężki srebrny niedźwiedź na końcu laski rozbryzgiwał krew na jasnych ścianach pojazdu. Ostatni egzekutor – ten, którego Kizzie kopnęła w twarz – nadal leżał na plecach. Montego nadepnął mu na czoło, a spod jego obcasa można było usłyszeć chrzęst, jakby rozdeptał karalucha. Drań drgnął dwa razy i opadł bezwładnie.

Kizzie rozdziawiła usta i wpatrywała się przez chwilę w otaczającą ją masakrę, zanim przypomniała sobie, żeby sprawdzić, czy szal nadal zasłania jej twarz. Zeskoczyła z ławki woźnicy, lądując obok Montega, i sięgnęła do drzwi powozu. Montego zatrzymał ją jedną ręką, a drugą wyrwał drzwi z zawiasów.

O Małym Montegu można było powiedzieć wiele, ale nie dało się ukryć, że w głębi serca był prawdziwym showmanem.

W środku siedziała Aelia Dorlani, z wykrzywionymi ustami i pistoletem wycelowanym prosto w Montega.

– Jak śmiesz! – wysyczała. – Wiesz, kim jestem? Czy ty... – Urwała, gdy zdała sobie sprawę z tego, do kogo mówi.

Kizzie wykorzystała moment szoku Aelii i wyrwała jej z rąk pistolet, wrzucając go pod pojazd.

– Aelia Dorlani – zaczęła bez emocji. – Według słów twojego wnuka, Churiana, byłaś pomysłodawczynią morderstwa Adriany Grappo. Przyznasz się do winy czy wolisz, bym wepchnęła ci w gardło kawałek szkła dyscypliny? – Kizzie poczuła, że przechodzi

ją niebezpieczny dreszcz. Od zawsze chciała zagrozić członkowi Wewnętrznego Zgromadzenia. Nigdy jednak nie sądziła, że będzie miała ku temu okazję.

Aelia drżała z wściekłości, ale, tak jak spodziewała się tego Kizzie, kobieta nie patrzyła na nią. Jej wzrok przyklejony był do Montega.

– Ty pospolity zasańcu! – warknęła. – Ty śmieciu z rynsztoka! Nawet tobie nie ujdzie to na sucho! Niedługo zobaczę cię pociętego na wstążki! Rozgniotę Grappów na miazgę!

Montego chwycił rękoma za framugę od drzwi pojazdu i rozciągnął ją, tak że ściany wygięły się na zewnątrz niczym papier.

– Zabiłaś moją przybraną matkę. Kazałaś swym zbirom zatruć moją herbatę i zaatakować hotel będący pod moją ochroną. To już nie jest sprawa Grappów, Aelio. To sprawa Małego Montega i byłbym niczym więcej niż śmieciem z rynsztoka, jak mnie nazwałaś, gdybym nie zareagował w odpowiedni sposób.

Kizzie klepnęła Montega trzykrotnie w ramię, przypominając, że nie mają zbyt wiele czasu na dokończenie tej sprawy. Co prawda nie padł żaden wystrzał z pistoletu, ale ktoś na pewno słyszał odgłosy zamieszania. Gwardia Narodowa powinna niedługo się zjawić, a jeśli nie, to nieobecnością Aelii wkrótce zainteresują się mieszkańcy jej pobliskiej posiadłości na wzgórzu. Montego zdawał się rozumieć obawy Kizzie i odsunął się od powozu.

– Odpowiedz na pytanie – zażądał. – Przyznaj się albo przesłuchamy cię przy użyciu szkła dyscypliny.

Kizzie wyciągnęła do przodu rękę w rękawicze, na której leżał mały, jasnozielony kolczyk. Migotał w blasku nadal palących się lamp powozu. Aelia wpatrywała się z przerażaniem w ten niewielki odłamek magicznego szkła, a przez jej twarz przemknął cień zrozumienia.

– Nie zrobilibyście tego. Jestem członkinią Wewnętrznego Zgromadzenia. Znam wiele tajemnic! Jeśli reszta Zgromadzenia dowie się, że zmusiliście mnie do zeznań pod wpływem szkła dyscypliny, to was zniszczą.

Montego wzruszył ramionami.

– W takim razie będę zmuszony po wszystkim utopić cię w rzece, żeby nie było świadków.

Aelia jeszcze przez chwilę nie odrywała wzroku od kawałka szkła, zanim Kizzie dostrzegła, że z jej oczu uleciała cała wściekłość, jakby coś w niej umarło.

– Tak. Tak, zleciłam zabójstwo Adriany Grappo.

– Kto jeszcze był w to zamieszany? – zapytała ostro Kizzie. – Chcę nazwisk. Kto zorganizował ten spisek?

– Ja. Tylko ja – stwierdziła Aelia, cofając się.

– Nie, nie byłaś w tym sama. Zebrałam już kilka zeznań. Dorlani, Magna, Grent, Vorcien. Podaj mi pozostałe dwa nazwiska.

Wargi Aelii wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

– Nie.

– Wiemy o Szklanym Ostrzu – zagrzmiał Montego. – Zdobęde te odpowiedzi w ten czy inny sposób. Chcę nazwisk twoich współspiskowców i chcę się dowiedzieć, czym pomysłem było zabicie Adriany.

– To twoja ostatnia szansa, Aelio – powiedziała łagodniej Kizzie. – Zrzuc odpowiedzialność na innych. Daj nam kogoś, kogo moglibyśmy zniszczyć zamiast ciebie. Zabierzesz wtedy swoje... – policzyła w myślach, uwzględniając dodatkową trójkę leżącą gdzieś w pobliżu powozu – ...trzyście trupów i wrócisz do domu, zamykając ten rozdział.

– Myślisz, że ten rozdział da się tak łatwo zamknąć? – wyszczała Aelia. – Nie, dopóki nie zginiesz, Montego, a rodzinna gildia Grappów nie obróci się w popiół.

Kizzie przełknęła z trudem. Wierzyła słowom Aelii. Głowa rodzinnej gildii Dorlanich miała wystarczająco władzę i wpływy, by się zemścić. Na szczęście Aelia nadal wpatrywała się prosto w Montega. Nawet nie rzuciła okiem na Kizzie.

– Nie dysponujesz wystarczającą liczbą egzekutorów, żeby mnie zabić – odparł z obrzydzeniem Montego. – I to nie ja jestem najniebezpieczniejszym członkiem mojej rodziny. Myślisz, że Demir uprzejmię zaproponuje ci pojedynek, gdy się dowie, że pomagałaś w zabójstwie jego matki? Przy najbliższej okazji potnie cię na kawałki. Egzekutorzy nie obronią cię przed tancerzem szkła. Moja obecność w tym miejscu jest przejawem życzliwości, za którą powinnaś być wdzięczna.

– Dwa nazwiska – naciskała stanowczo Kizzie. – Kim byli pozostali dwaj mordercy?

Mina Aelii zrzędała, a oczy błędziły po rzezi, jakiej dokonał Montego na zewnątrz powozu.

– Nie znałam ich nazwisk – odpowiedziała. – Zresztą nie byli nikim ważnym. Wiem za to, kto to zaplanował.

– Kto? – dociekała Kizzie.

– Aristanes – odparła Aelia.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz – rzuciła Kizzie.

– Jest purnijskim kapłanem jakiegoś boga, o którym pewnie nigdy nie słyszeliście. Posiada równie wielki majątek jak rodzinne gildie i jest nieporównywalnie okrutniejszy. To on jest prawdziwym zabójcą. To on chciał się pozbyć Adriany.

Montego oparł się groźnie o wykrzywioną konstrukcję powozu.

– Ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Ja tylko... – Słowa zdawały się grzęznąć jej w gardle, wywołując na jej twarzy przeblęski emocji. – Po prostu wykonuję rozkazy.

Kizzie rozdziawiła usta. Wykonuje rozkazy? Aelia należała do Wewnętrznego Zgromadzenia! Była jedną z pięciu najpotężniejszych osób w Ossie. Kto mógłby wydawać jej rozkazy? Jakiś zagraniczny kapłan? Przecież to było jakieś szaleństwo.

– Jeśli chcecie odpowiedzi, to idźcie i sami go o to zapytajcie.

– Gdzie? – domagała się Kizzie.

– W posiadłości Zorlianich, poza miastem.

Kizzie miała jeszcze mnóstwo pytań i martwiła się, że Aelia chce ich przechytryć, posyłając w jakąś zasadzkę, w którą nieświadomie wejdą. Nie mieli już jednak czasu. Każda kolejna minuta zwiększała ryzyko, że ktoś ich nakryje. Gdyby wyszło na jaw, że to Montego stoi za atakiem, Aelia nie mogłaby ukryć swego upokorzenia, tak jak przed laty zrobił to Sibrial. Kizzie jeszcze raz klepnęła Montega w ramię. Mały kiwnął głową.

– Jeśli odkryję, że mnie okłamałaś, nie będę już tak uprzejmy, by zabić garstkę twoich egzekutorów w ciemności, Aelio. Zgładzę całą twoją rodzinę. I zrobię to w biały dzień, a potem z radością

zmierzę się z konsekwencjami, które zgotują mi inne rodzinne gildie, chcące pomścić twoją śmierć. – Odwrócił się i odszedł.

Kizzie wpatrywała się przez moment w przerażoną, starą matkę rodu, ale współczucie, jakie mogła do niej odczuwać, zniszczyła myśl o Adrianie, zatłuczonej na śmierć na schodach prowadzących do siedziby Zgromadzenia, oraz jej durnym bracie, szantażem zmuszonym do udziału w całej tej masakrze. Udała się w ślad za Montegiem i pobiegła, żeby go dogonić.

Po chwili opuścili park, odnajdując powóz Montega z wiernym woźnicą Grappów, i zostawili Aelię daleko za sobą. Kizzie po części spodziewała się, że usłyszy krzyki i bicie na alarm, a może nawet odgłosy pościgu, gdy ktoś odkryje miejsce zdarzenia i podąży za nimi. Nie pojawiło się jednak nic poza ciszą. Jechali przez jakiś czas, oboje pogrążeni w rozmyślaniach, aż w końcu Kizzie się odezwała.

– To jeszcze nie jest koniec. Będzie chciała się na nas zemścić.

– Powinniśmy byli ją zabić – mruknął Montego.

– Śmierć członkini Wewnętrzznego Zgromadzenia sprawiłaby, że całe miasto momentalnie zaczęłoby nas szukać – odparła Kizzie. – Dorlani byli już naszymi wrogami. Przynajmniej nie narobiliśmy sobie kolejnych.

Montego westchnął.

– Wiem. Masz rację. To była słuszna decyzja. Ale nikt mnie nie powstrzyma, gdy po mnie przyjdzie.

– Naprawdę myślisz, że dałbyś radę zmiażdżyć całą rodzinną gildię Dorlanich? Ona ma setki egzekutorów.

Montego zastanowił się nad tym przez chwilę, marszcząc brwi.

– Blefowałem, ale na pewno bym spróbował.

Kizzie pokręciła głową. Nadal czuła buzującą adrenalinę; zrobiła coś cholernie niebezpiecznego i była duża szansa, że ujdzie jej to na sucho. Gniew Aelii był skierowany wyłącznie na Montega. Nie żeby Kizzie chciała, aby tak było, ale Montego przyjął to z radością. Zastanawiała się, czy naprawdę mógłby stanąć samotnie do walki z setkami uzbrojonych członków rodzinnej gildii. W sumie nie musiałyby walczyć ze wszystkimi naraz. Był na to zbyt przebiegły. A może jednak dałby im wszystkim radę.

Montego chwycił ją nagle za dłoń.

– Drżysz.

– Wzięłam właśnie udział w ataku na członkinię Wewnętrznego Zgromadzenia – prychnęła. Chciała zabrać rękę, ale zdała sobie sprawę, że podoba jej się, jak zrogowaciałe palce Montega delikatnie trzymają jej dłoń. – Posiadłość Zorlianich może być pułapką – ostrzegła go.

– Będziemy na to przygotowani.

Kizzie czuła już na końcu języka smak finału całego tego przeklętego spisku. Po tygodniach śledztwa, pobiciach, podstępach i patrzeniu na śmierć przyjaciół miała w końcu stanąć twarzą w twarz z prawdziwym zabójcą Adriany.



B było już późno, gdy Idrianowi udało się w końcu odnaleźć Mikę. Znajdowała się z dala od obozu, towarzysząc personelowi pomocniczemu, który zajął małą wioskę rolniczą prawie pięć kilometrów na wschód od reszty wojska. Dziesiątki jej inżynierów tłoczyły się wokół budynku, a także masywnego stożkowego pieca w ogrodzie tuż za nim. Idrian obejrzał pokryte gliną stanowiska pracy, po czym podszedł do Miki i klepnął ją w ramię.

– Co tam, wielkoludzie? Jestem zajęta.

– Czym?

Wessała głośno powietrze przez zęby.

– Rób cieńsze ścianki – poinstruowała jednego z inżynierów. – Mają być grubsze na dole dla zwiększenia ciężaru. Te cudenka mają same wzlatywać w powietrze, rozumiesz? – Zerknęła na Idriana. – Szkłolerny Demir Grappo kazał mi zaprojektować nowy rodzaj granatu. Chce, by był na tyle mały, żeby można go było używać w naszych granatnikach, na tyle lekki, żeby przeleciał sto metrów, i tak napakowany prochem, żeby rozerwać zbroję Gromiciela.

Idrian zadrwił.

– A kiedy powierzył ci to zadanie?

– Jakież osiem godzin temu.

– I?

– Musiałam użyć nowej mieszanki prochu, z którą od jakiegoś czasu eksperymentowałam, i muszę ci się do czegoś przyznać: jestem genialna, Idrianie. Absolutnie najlepsza w tym, co robię. Chcę, abys o tym pamiętał, kiedy jakieś wrogie wojska skopiują mój projekt i rzucają nim w ciebie.

– Czyli chcesz powiedzieć, że pewnego dnia pośrednio przyczynisz się do mojej śmierci?

– Tak.

– Och, dobrze. I panujesz nad całym tym projektem?

– Myślę, że tak. A co?

– Bo Demir powiedział, że mogę pożyczyć cię na kilka dni.

– Kilka dni? – powtórzyła Mika, zerkając z roztargnieniem na inżynierów. – Squeaks! – krzyknęła. – Nie baw się gliną! Wracaj do pracy! – Po czym wróciła do rozmowy z Idrianem: – Wszyscy twierdzą, że Kerite i Grent niedługo po nas wrócą. Co za diabelstwo każe nam oddalić się od wojska na tak długo?

Idrian skinął głową, dając znak Mice, by poszła za nim na ulicę i oddaliła się od zgiełku panującego w jej prowizorycznym warsztacie.

– Pamiętasz, nasze pierwsze spotkanie w Marn? Wysłano nas na polowanie w poszukiwaniu tancerza szkła, który zabijał nasze bydło, chcąc zniszczyć zapasy mięsa i transportu, prawda?

– No tak. To było straszne. Przysięgam, że do tej pory, gdy tylko widzę tancerzy, boli mnie ta blizna na tyłku.

– Wraz z Tadeasem powiedzieliśmy Demirowi o skrzydlatym potworze, tamtym z dachu Fortu Alameda. Sądzimy, że obiera sobie za cel nasze oddziały zwiadowców. Demir zgodził się, bym wyruszył na polowanie. Przeberzemy się za patrolujących zwiadowców, a kiedy to coś po nas przyjdzie, zabijemy to.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Najlepiej, jaki mam. To coś zabiło cały sztab generała Stavriego. O mały włos zabiłoby nas wszystkich. Nie zamierzam dać temu czemuś kolejnej szansy na skradanie się i mordowanie ludzi.

Chcę to zwabić i uśmiercić. – Przerwał, czekając na jakąś odpowiedź ze strony Miki, ta jednak podgryzała tylko wewnętrzną stronę policzka i wpatrywała się w ciemność. Po chwili ciszy odezwał się ponownie: – Zrozumiem, jeśli będziesz musiała tu zostać i nadzorować pracę swoich podwładnych, ale będę potrzebował kilku inżynierów. Chcę użyć granatów, aby ściągnąć go na ziemię.

– Idrianie – powiedziała cicho Mika. – Od chwili, gdy zobaczyliśmy to coś, nie mogę spokojnie spać. Nie wiem, czym to coś jest: jakimś mistycznym potworem czy rezultatem eksperymentalnego szkła, ale przesładuje mnie w snach. Oczywiście, że chcę skorzystać z szansy wysadzenia tego czegoś w powietrze. Kiedy wyruszamy?

Idrian poczuł ulgę. Przyjąłby każdego inżyniera, ale Mika była lepsza niż trójka innych saperów.

– Przed brzaskiem. Cały dzień będziemy patrolować okolicę, a wieczorem wrócimy do obozu. Będziemy krążyć wystarczająco blisko, by w razie wybuchu bitwy błyskawicznie przyjść z pomocą.

– Będę na czas. – Przechyliła głowę w zamyśleniu. – Wiem już, jakie granaty ze sobą zabrać.

– Weź też Squeaks, dobrze? Poprosiłem Valienta, by pożyczył mi Fenny i kilku z jego najlepszych piechurów. Jorfax przydzieli mi tancerza szkła.

– Załatwione.

– W takim razie do zobaczenia w moim namiocie przed świtem. – Idrian poklepał Mikę po plecach i wyruszył w długi marsz z powrotem do głównego obozu. Był to samotny spacer, mimo ciągłego napływu żołnierzy, personelu pomocniczego i markietanów. Idrian spędził go pogrążony we własnych myślach, po części żałując, że wpadł na ten przekłety pomysł. Wolałby odpocząć przed bitwą – napić się, pograć w karty, a może i podzielić się z kimś kawałkiem pośłania. Zamiast tego miał wyruszyć na łowy, aby zwabić jakąś wielką skrzydlatą gnidę, mogącą zabić zarówno jego, jak i jego towarzyszy. Ta ponura myśl sprawiła, że śmiech dziecka powrócił, oddalony, lecz podążający za nim poprzez ciemność.

Szedł właśnie pod górę w kierunku obozu Stałowych Taranów, mijając rzędy namiotów oznaczonych wilczym łbem, symbolem innego batalionu, gdy ktoś do niego podszedł. Szła

sztywnym krokiem, z idealnie wyprostowanymi plecami i uniesioną głową, jakby nieustannie skanując horyzont w poszukiwaniu zagrożeń. Mimo że było już po dwudziestej drugiej, każdy jej blond włos był idealnie ułożony, a mundur nieskazitelnie czysty.

– Pułkowniczo Jorfax – przywitał ją Idrian.

– Ani się waż, Idrianie.

Idrian rozejrzył się dookoła i głęboko zaczerpnął powietrza.

– Tilly – powiedział. Niewiele osób znało jej imię. Było głupie, nawet jak na standardy wojskowych przydomków, a fakt, że było to jej prawdziwe imię, jeszcze bardziej pogarszał sprawę. Często zastanawiał się, czy jej zachowanie byłoby tak chłodne, a reputacja tak ostra, gdyby rodzice dali jej na imię jakoś mniej zdrobniale. – Jak się masz?

– Jestem cholernie zdenerwowana. Kerite jest jakieś dziewięć kilometrów od nas, grenckie wsparcie tuż za nią, a nasz dowódca to niestabilny psychicznie, częściowo załamany kawał...

– Uważaj – przerwał jej Idrian. – Mówisz o siostrzeńcu Tada.

– No cóż. To moi ludzie giną z powodu jego planu.

– Jesteśmy żołnierzami. Naszym zadaniem jest dać się zabić. I jego plan działał, dopóki wielka skrzydlata bestia nie zaczęła zabijać zwiadowców. – Idrian wziął kolejny głęboki wdech. Obecność Jorfax nie była dla niego niepożądana, tylko trochę... skomplikowana. Była jedną z niewielu osób, które znały go, zanim został Gromicielem, i jedną z jeszcze mniejszej grupy znających jego ojca. To powiązanie z jego dawnym życiem sprawiało, że czuł się skrępowany. Szaleństwo czające się z tyłu jego głowy powodowało, że małe cienie zatańczyły wokół jej ramion. – Potrzebuję tego tancerza szkła do mojego planu.

– Żeby użyć go jako przynęty – stwierdziła bez emocji.

– Cała grupa będzie przynętą, łącznie ze mną. Tancerz sprawi, że oszustwo będzie wiarygodne, i da nam znać, kiedy ten skrzydlaty dupek się do nas zbliży. Nie naciskaj, Tilly. Ludzie zginą. Może będę to ja. Może tancerz szkła. Albo któryś z zaufanych przyjaciół, których ze sobą zabieram. I nie próbuj mi wmawiać, że życie jednego tancerza warte jest życia setki żołnierzy. Zabijałem ich. Są w środku tak samo kleiści jak wszyscy i umierają tak samo jak najbardziej naiwny ossański oficer.

Znali się ponad trzydzieści lat, a Idrian wciąż nie miał pojęcia, dlaczego Jorfax pozwala mu mówić do siebie w taki sposób. Wspólna przeszłość nie grała tu większej roli. W końcu porzuciła najbliższych przyjaciół, aby zabezpieczyć swe miejsce na świecie. Nie chodziło też o to, że był Gromicielem. Przybiła kiedyś jednemu z nich stopy do ziemi, dlatego że obmacywał ją po tyłku. Lecz nigdy nie skarciła Idriana, nie spojrzała też na niego tym chłodnym wzrokiem. Rozłożył ręce, czekając, aż któraś z tych rzeczy się wydarzy. Ona jednak tylko prychnęła.

– Zazdroszczę ci, wiesz?

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie – odparł Idrian. Krew buzowała mu w żyłach i chciał po prostu położyć się na posłaniu. Przycisnął dłoń do sztucznego oka, wsłuchując się w odległy dźwięk dziecięcego śmiechu. Czy to na pewno był śmiech? A może to dziecko coś powiedziało? Próbował zignorować zarówno halucynacje, jak i towarzyszącą im panikę.

Jorfax zatrzymała się, zmuszając Idriana do odwrócenia się i stanięcia z nią twarzą w twarz. Pokręciła głową.

– Nigdy nie potrafiłam oddzielić troski o ludzi od zabijania. Jeśli się troszczę, nie mogę zabijać. Jeśli zabijam, nie mogę się troszczyć. Jesteś doskonałym zabójcą, a mimo to masz setki przyjaciół. Troszczysz się o swój batalion jak ojciec. Szanuję moich ludzi, moich tancerzy szkła, i robię wszystko, co w mojej mocy, aby utrzymać ich przy życiu, ale nie troszczę się o nich. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wydam ich jak rozmokłe banknoty. Ale ty wystawiasz tę swoją potężną tarczę i własne życie na szwank dla ludzi, których nigdy nawet nie spotkałeś.

– I ty to szanujesz? – zapytał z powątpiewaniem Idrian.

– Tak. Uważam to za słabe i poniżające wobec twojej roli zabójcy, ale mimo wszystko szanuję to.

– Mam wrażenie, że ta rozmowa nie świadczy zbyt dobrze o żadnym z nas.

– Chcę wiedzieć, jak ty to robisz. Jak patrzysz na te wszystkie – gestem wskazała na otaczający ich obóz – nic nieznaczące mrówki i troszczysz się o nie? One nie są silne, nie tak jak my. Nie dysponują magią, zbroją ani odpornością na szklany trąd. Mają tylko te skrawki

magicznych szkieł, których trzymają się kurczowo, jakby to czyniło je lepszymi.

Idrian zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Ponieważ nie szukam w nich wad. Jeśli skupiasz się wyłącznie na ich słabościach, to z pewnością mogą wydawać się nic nieznaczącymi mrówkami. Ale jeśli dostrzeżesz w nich przyjaciół i będziesz pielęgnować to czucie, to już na zawsze będziesz czuć, że otaczają cię olbrzymi.

Jorfax przeszła obok Idriana, klepiąc go po ramieniu.

– Jesteś pełnym optymizmu kretynem, Idrianie. Kiedyś przez to zginiesz. I co ciekawe, zginiesz z uśmiechem na twarzy, a to więcej, niż mogę powiedzieć o sobie. Do zobaczenia przed brzaskiem.

– Hej, czekaj! – Odwrócił się, żeby do niej zawołać. – Czy to znaczy, że kogoś wyślesz?

– To znaczy, że zjawię się osobiście. Nie martw się, nie zabiorę ci dowództwa nad tą misją. Ale nikt, nawet jakiś tam potwór, nie będzie decydował o życiu moich ludzi. To moja rola.

Idrian nacisnął mocno na oko ze szkła bożego, obserwując, jak Jorfax odchodzi. Po raz pierwszy od wielu dni pomyślał o wiszącym na szyi nieśmiertelniku długu. Ile czasu jeszcze mu zostało? Dwa tygodnie? Z tyłu głowy odliczał mijające sekundy niczym wahadło w stojącym zegarze. Było to błogosławieństwo czy przekleństwo? Ciekawe, czy kiedykolwiek się tego dowie.



Gdy zjawiła się posłanniczka, Thessa przeklinała w myślach niebo, rozkazując mu, żeby zamiast cholernie przygnębiających mżawek zesłało jej wreszcie prawdziwą burzę z piorunami. Wraz z Pari siedziały wokół niewielkiego ogniska wewnątrz latarni. Były mokre i posępne po krótkiej przemowie upamiętniającej, jaką Tirana wygłosiła dla zmarłego egzekutora, a Thessa przez całą uroczystość przyglądała się każdemu z pozostałych strażników, zastanawiając się, czy któryś z nich nie jest zdrajcą.

Posłanniczką była młoda kobieta w czarnym mundurze Legii Cudzoziemskiej, z żółtym baranem wyszytym na piersi i małymi kolczykami ze szkła mocy, w kształcie baranich rogów, dyndającymi przy jej uszach.

– Szeregowca Fenny, proszę pani! – powiedziała kobieta, salutując. – Wiadomość dla panny Foleer od generała Grappo.

Thessa zerknęła z ukosa na Pari. GENERAL Grappo. PANNA Foleer. Wydawało się to przesadnie formalne jak na parę niedawnych uciekinierów z obozu pracy.

– Kontynuuj, szeregowo.

– Generał Grappo pragnie panią poinformować, że w ciągu najbliższych kilku dni w pobliżu Kuźni dojdzie do bitwy, i prosi, aby przенiosła pani swój projekt za ossańską linię, gdzie będzie pani bezpieczna do czasu zakończenia bitwy.

Żołądek podszedł Thessie do gardła.

– Tutaj? Naprawdę? Myślałam, że wszystkie walki toczą się gdzieś na południu.

– Grenckie wojska okrążyły Nowy Port. Generał Grappo próbuje zwabić ich z powrotem do Grentu, obawia się jednak aktywnej walki.

– Szkłorwa – odezwała się Pari. – Wczorajszej nocy wydawało mi się, że widzę jakieś dziwne światła na północ od Nowego Portu. Jakoś się nad tym nie zastanawiałam.

– To prawdopodobnie Smoki Kerite, najemne wojska – wyjaśniła Fenny. – To o nich martwi się generał Grappo.

Thessa zbliżyła się do ognia, nadal starając się wysuszyć mankiety marynarki. Na zewnątrz wiał wiatr, a deszcz nieustannie bębnił o plandekę zabezpieczającą dziury w dachu latarni.

– Czy to znaczy, że Demir obozuje gdzieś w pobliżu?

– Tak, proszę pani. Jesteśmy jakieś pięć kilometrów stąd.

Thessa odwróciła się, żeby spojrzeć na portal feniksa. Nie wyglądał zbyt imponująco – przez dach przechodził zwykły miedziany przewód, który wchodził z jednej strony izolowanej skrzynki, a wychodził z drugiej i znikał pod ziemią. Wątpiła, czy Fenny w ogóle zwróciła na niego uwagę. W sumie jakie to miało znaczenie? Demir wysłałby wiadomość tylko za pośrednictwem kogoś, komu ufał. Poza tym Thessa знаła ten herb. Należał do Stalowych Taranów, a ich najsłynniejszy żołnierz był wieloletnim klientem Królewskiej Huty Szkła w Grecnie.

– Czy jest tam Idrian Sepulki? – zapytała.

– Taran? Tak, proszę pani, oczywiście. To nasz Gromiciel. Rogi gotowe, kopyta stalowe. – Fenny uderzyła pięścią w mundur w miejscu znaku przedstawiającego głowę barana.

Thessa wpatrywała się przez kilka sekund w płomień małego ogniska, przechylając głowę, aby wsłuchać się w deszczowe krople. Nadal nie było słychać żadnych grzmotów.

– To niedaleko – stwierdziła z namysłem. – Zabierz mnie do Demira.



Droga do ossańskiego obozu była ciemna i przygnębiająca, ale na szczęście niezbyt długa. Thessa odmówiła przyjęcia szkła zmysłów – i tak na niewiele by się zdało – i podążyła tuż za Fenny, trzymając się za jej pasek. Gdy dotarły na miejsce, deszcz przestał już padać i Thessa z przyjemnością zawiesiła marynarkę przy ognisku, zanim weszła do namiotu Demira.

Grappo siedział ze skrzyżowanymi nogami pośrodku pomieszczenia, a w jego masywnym namiocie nie było prawie żadnych mebli. Każdą powierzchnię przykrywały sterty papierów, a przy jednej ze ścian stały skrzynie wypełnione jeszcze większą ilością dokumentów. Demir uniósł wzrok znad notatek i ze zdziwieniem spojrzął na swoją gošcinie.

– Thessa? Cieszę się, że dostałaś moją wiadomość.

Hutniczka zatrzymała się w wejściu.

– Co tak naprawdę grozi nam w Kuźni? – zapytała.

– Nie jestem pewien – odpowiedział, odkładając na bok jakiś raport. Wstał, rozprostował nogi i przez chwilę kręcił się w kółko, zanim zaproponował, aby usiadła na jedynym małym taborecie znajdującym się w namiocie. – Jeśli zauważą was Grentczycy, mogą kogoś do was wysłać. W przeciwnym razie jedyne zagrożenie pojawi się, gdy przegramy bitwę i będziemy musieli uciekać.

– Ale nie zamierzasz przegrać tej bitwy, prawda? – spytała Thessa, unosząc brwi.

Na twarzy Demira pojawił się niewielki uśmiech.

– Nie jestem zwolennikiem brawury. Uważam, że istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo przegranej. Mam co prawda dobry plan, ale Kerite jest niezwykle podstępna. Nie jestem pewien, czy nie obróci mojego planu przeciwko mnie, dlatego wolałbym, żebyście ty i twój zespół byli bezpieczni.

Thessa o mały włos powiedziała mu o śmierci egzekutora Tirany. Powinna mu o tym powiedzieć. Demir miał prawo to

wiedzieć. Ale widziała jego zaczerwienione oczy i opadające ramiona. Był wyczerpany. Dodanie mu kolejnego problemu byłoby okrucieństwem.

– Każesz mi się wycofać z Kuźni? – dociekała.

Demir zmarszczył brwi.

– Nie zamierzam ci niczego kazać. Jesteś moją partnerką, a nie klientką. Myślałem, że to ustaliliśmy.

– W takim razie zostaniemy. Ustawiłam już portal feniksa, obóz też jest na miejscu. Piorun może uderzyć w każdej chwili. Zanim wyruszyłam, by się z tobą zobaczyć, poleciłam, aby zgasili wszystkie światła i do minimum ograniczyli hałas. Nikt nie będzie wiedział, że tam jesteśmy.

– Jesteś pewna, że to dobra decyzja?

Thessa weszła w końcu do środka namiotu i usiadła na taborecie.

– Nie mogę wyrzucić z głowy tamtych zamieszek, Demirze. Mimo twoich starań i tak zginęły dziesiątki osób. Gazety donoszą, że do podobnych incydentów dochodzi na całym świecie, nie tylko w Imperium, i dobrze wiesz, że z czasem to się będzie nasilać. Nie jestem polityczką, ale wiem, jak nietrwałe może być panowanie rządów. Od chaosu dzieli nas zaledwie jeden krok, a portal feniksa może się okazać jedyną nadzieją na powstrzymanie tego wszystkiego. Rozumiem, że nie chcesz narażać życia swoich egzekutorów, ale chciałabym, abyś wiedział, że... jestem gotowa zaryzykować własnym życiem, by zyskać chociaż kilka dni. – Przeczesała ręką włosy. – I może się okazać, że będę potrzebować wielu dni. Pamiętaj, że to jest test, zwykły eksperyment, i może się nie powieść.

– W takim razie – rzekł Demir, rozkładając ręce – szanuję twoją decyzję.

Bez kłótni. Żadnego strofowania. Po prostu jej wysłuchał. Kastora twierdził, że ludzie u władzy nigdy nie słuchają, że wymagają jedynie, by inni stosowali się do ich rozkazów. Thessa zastanawiała się, jakim cudem otrzymała od losu tyle szczęścia. Demir stał nad nią, ponownie skupiając się na porzrzucanych po podłodze papierach, a ona przypomniła sobie uczucie osamotnienia, którego doświadczyła po ukończeniu portalu feniksa.

Żadnego wina, żadnego świętowania. Wstała, stając z nim twarzą w twarz, tak że dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów, i musnęła palcem stójkę jego munduru.

– Wiem, że masz bitwę do zaplanowania, ale czy mógłbyś poświęcić mi godzinę?

Demir przelknął, po czym zrobił gwałtowny, krótki wdech. Denerwował się? Jeśli tak, to było to niezwykle urocze.

– Thesso... – powiedział, cofając się o pół kroku.

Thessa starała się tego nie pokazywać, ale zabolalo ją, że się odsunął. Nawet jeśli nie chciał, żeby tak to wyglądało, w pewien sposób ją odrzucił.

– Pewnie nie masz czasu, co?

– Tu nie chodzi o czas.

Serce Thessa zamarło. Chęć zbliżenia nie była świadomym celem przybycia do ossańskiego obozu, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo tego potrzebowała. Z jego oczu mogła wyczytać, że i on częściowo tego potrzebował. A potem spojrzał na nią zbolalym wzrokiem.

– Dobrze, panie Grappo. – Ten jego wzrok zabił w niej ostatnie pokłady cierpliwości. Wyprostowała się i stanowczo popatrzyła mu w twarz. – O co w takim razie chodzi? Co się dzieje?

Demir zastygł w bezruchu.

– O czym ty mówisz?

– O nas. Widziałam dziesiątki młodych ludzi szalejących z tęsknoty, odrzucenia czy błahych nieporozumień, i za cholerę nie chcę powtarzać ich błędów. Przed pierwszą wyprawą niewiele brakowało, abyśmy skończyli w łóżku. A teraz się wykręcasz. Jeśli nie jest to najlepszy moment, po prostu mi to powiedz. Ale jeśli chodzi o coś innego, to zasługuję, żeby o tym wiedzieć. – Dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. – Co się dzieje? Zakochałeś się w kimś, przebywając na wojnie od, szklorwa, trzech dni? A może zdecydowałaś, że nie jestem wystarczająco dobra, by ze mną pobaraszkować? No chyba że w międzyczasie wykastrowała cię kula z muszkietu, co?

– Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy odłożyli tę rozmowę na później – odparł Demir, cofając się o kolejne pół kroku i błędząc oczami po namiocie, jakby szukał wyjścia.

– Nie – warknęła Thessa. – Jestem wyczerpana, zziębnięta, otoczona przez tych samych żołnierzy, którzy najechali na mój przybrany kraj. A tam w Kuźni siedzę na skale wiszącej nad oceanem i czekam, aż walnie we mnie piorun. Przytulisz mnie czy podasz mi dobry powód, dla którego nie możesz tego zrobić?

Demir zbladł.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak. – Thessa była pod wrażeniem swojego emocjonalnego impetu. Koniec z wymówkami. Od razu do sedna.

– W porządku – rzucił. – Wiesz, że nazywają mnie Księciem Błyskawic?

To ją zaskoczyło. Nie do końca wiedziała, czego się spodziewała, ale to zupełnie zbiło ją z tropu.

– Chyba słyszałam, jak kilku portierów w hotelu szeptało coś na ten temat.

– Czy wiesz dlaczego?

– Nie.

– Ponieważ dziewięć lat temu poprowadziłem jedną z najbardziej spektakularnych kampanii w historii Ossy, tłumiąc powstanie w prowincji w ciągu zaledwie dziewięciu dni. Legia Cudzoziemska pod moim dowództwem rozgromiła wojska Holikanu. Wynikające z tego spłądowanie miasta uznano za istny koszmar, a mój udział wymazano z oficjalnych akt.

Thessa wyłączyła się po słowie „Holikan”. Poczula gotującą się w niej krew, jakby rzuciła się z Kuźni wprost w spienione fale.

– Byłeś tam? – zapytała, nie mogąc powstrzymać drżenia głosu.

– Nie tylko tam byłem – odpowiedział łagodnie. – Dowodziłem tą kampanią.

Nagle zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się i opadła z powrotem na taboret, wpatrując się w Demira.

– To niemożliwe. – Nie odpowiedział, a Thessa próbowała poradzić sobie jakoś z tą informacją. W myślach odtworzyła każdą ich rozmowę, aż do nocy, kiedy wrócił ze spotkania z członkami Wewnętrzznego Zgromadzenia. Doskonale pamiętała strach, jaki pojawił się w jego oczach, gdy wspomniała o Holikanie, i chłód,

z jakim opuścił wtedy jej pokój. Teraz to wszystko nabierało sensu. – Od jak dawna wiesz, że jestem z Holikanu? – zapytała.

– Od chwili, gdy mi o tym powiedziałaś.

Tak też myślała. Złapała się za brzuch, który skręcał się i ścisnął, jakby przebywała na pokładzie statku podczas sztormu.

– Zarzynałeś moją rodzinę – wyszeptała.

Twarz Demira stężała.

– Thesso, posłuchaj. Byłem tam. Przyznaję. Wiedziałem, że będę musiał ci o tym powiedzieć. Tylko że to nie ja wydałem rozkaz splądrowania Holikanu. Zostałem zdradzony i dopiero niedawno dowiedziałem się przez kogo. Nie mogę naprawić krzywd, które wyrządziłem, ale mam nadzieję, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Thessa była roztrzęsiona. Demir – mężczyzna, którego znała zaledwie od kilku tygodni, ale którego uważała za najmilszego, najbardziej troskliwego członka rodzinnych gildii, jakiego kiedykolwiek spotkała – prowadził kampanię w Holikanie. Księżę Błyskawic. W jej ustach słowa te smakowały jak popiół.

– Pozwól mi wyjaśnić... – zaczął.

Przerwała mu.

– Nie. Nie chcę słuchać twoich wyjaśnień. – Wstała, chwytając się masztu namiotu dla utrzymania równowagi. Czuła chłód w swoim głosie i nie zamierzała go łagodzić. – Nie wierzę już w żadne twoje słowo. – Wyszła, chwiejna i oszołomiona, przedzierając się ku mroźnemu, zimowemu powietrzu i czując, jakby ktoś wbił jej sztylet w plecy – tym kimś byli Demir, Ossa, a nawet jej marzenia, które właśnie roztrzaskały się o ziemię.

Zatrzymała się, zbierając się w sobie. Po części miała nadzieję, że Demir wybiegnie za nią, ale gdy zajrzała do namiotu, zastała go stojącego nieruchomo i wpatrującego się w ścianę. Spojrzała na swoje dłonie. Czy zbratanie się z nim sprawiło, że i na jej rękach spoczywa krew Holikańczyków? Oczywiście, że nie. Ale czy na pewno? W jakiś sposób czuła się winna. Co mogła teraz zrobić? Za bardzo wpłatała się w sprawy Grappa. Podpisała kontrakt. Otaczali ją jego egzekutorzy. Jedyną osobą lojalną jej, a nie komuś innemu, była Pari.

Thessa odnalazła posłanniczkę, siedzącą z jakąś młodą kobietą przy ognisku i słuchającą, jak ktoś gra nieopodal na skrzypcach.

– Szeregową Fenny?

– Tak, proszę pani?

– Gdzie jest Idrian Sepulki?

– Jest na misji, proszę pani. Miał się zgłosić pół godziny temu. Pewnie wkrótce się pojawi. Zechciałaby pani na niego zaczekać?

– Jeśli nie jest to zbyt duży problem. – Thessa nie usiadła, stała, ogrzewając ręce przy ognisku i starając się nie dać pochłonąć rozpacz. Nocne powietrze pomogło jej ochłodzić głowę, ale w piersi nadal czuła bezsilność i wściekłość za zbrodnię, która wydarzyła się prawie dekadę temu. Próbowwała przypomnieć sobie twarze rodziców i młodszej siostry, które po raz ostatni widziała, wsiadając do powozu jadącego do Grentu. Ostatnimi czasy przychodziło jej to z coraz większym trudem.

– Thessa?

Podskoczyła, nie wiedząc, jak długo wpatrywała się w ogień, i podniosła wzrok, by zobaczyć Idriana stojącego po drugiej stronie ognia. Wyglądał nieco starszej niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Był zmęczony, zdobył kilka nowych blizn i brakowało mu kawałka ucha. Miał na sobie jaskrawą zbroję, hełm pod pachą i mokre od potu włosy. Obok niego stał młody mężczyzna, trzymający miecz i tarczę Gromiciela. Obecność Idriana zdawała się końć jej umysł.

– Pamiętasz mnie?

– Oczywiście! Przy ostatnich dwóch wizytach pomagałaś Kastorze przy tym czymś. – Postukał w szklane oko. – Jak widzę, Demirowi udało się ciebie ściągnąć.

– To długa historia – odrzekła Thessa, zmuszając się do uśmiechu.

– Taka, której z chęcią bym wysłuchał.

– Kiedyś na pewno. Przepraszam, że tak cię biorę z zaskoczenia, wiem, że nie widzieliśmy się od lat, ale czy mogłabym zamienić z tobą słowo na osobności?

– Oczywiście! – Idrian odprawił asystenta i zaprowadził Thesę do alejki między namiotami, gdzie uśmiechnął się

przepraszająco. – To chyba najbardziej odosobnione miejsce, jakie można znaleźć w obozie wojskowym. Co się dzieje?

– Szukam kogoś, kogokolwiek, kto był w Holikanie – powiedziała. – Liczę, że mi w tym pomożesz.

Spojrzenie Idriana jakby przeniosło się gdzieś daleko i dotknął dłonią szklanego oka.

– Powiedziałaś Holikanie?

– Tak. Muszę porozmawiać z kimś, kto tam był.

Idrian przestąpił z nogi na nogę.

– Stalowe Tarany brały udział w kampanii, ale nie dotarły do Holikanu. Mieliśmy rozkaz wysadzenia mostów jakieś osiemdziesiąt kilometrów od strefy walk.

– Powiedziałaś „mieliśmy”? – dociekała Thessa, czując, jak ponownie ściska jej się żołądek.

– Tak – przyznał. – Ponieważ byłem w Holikanie.

– Jak to? – Jak to możliwe, że mężczyzna, którego Kastora tak bardzo cenił, był w Holikanie? I na dodatek nigdy jej o tym nie wspomniał.

– Walczyłem w bitwie tuż za miastem. Była krwawa, ale szybka. – Opadły mu ramiona, a twarz sposepniała na samo wspomnienie tamtych wydarzeń. – Więc tak, byłem tam.

– Czy to znaczy, że... brałaś w niej udział?

Na twarzy Idriana pojawiło się przerażenie, tak wyraźne, że Thessa natychmiast poczuła, jak napięcie opuszcza jej ciało.

– Czy brałem udział? – zapytał z obrzydzeniem. – W plądrowaniu? Nie. Gdybym mógł, zabiłbym każdego, kto się do tego przyczynił.

Na usta Thessy cisnęło się jeszcze sto różnych pytań, ale nie mogła ich zadać, nie w tej chwili. Wyciągnęła rękę i złapała go za ramię, spoglądając w jego zdrowe oko.

– Idrianie, odpowiedz mi, proszę, co stało się tamtej nocy.

– Chodzi ci o plądrowanie?

– Chodzi mi o Demira. Czy to on wydał rozkaz zniszczenia miasta?

Pewna doza zrozumienia pojawiła się na twarzy Idriana.

– Jednym słowem? Nie. Wygraliśmy bitwę, holikańską armię zmuszono do ucieczki, a miasto stało przed nami otworem. Demir

otrzymał bezpośredni rozkaz od Zgromadzenia, aby zdziesiątkować miasto w ramach starej i brutalnej tradycji karania buntowników. Tylko że Demir odmówił. Oszczędził życie burmistrzynie i rozkazał, aby oszczędzono także Holikan. Lecz gdy wypowiedział tamte słowa, zorientowaliśmy się, że armia maszeruje już na miasto.

Thessa wpatrywała się w niego z rozdziawionymi ustami, a odgłos jej walącego serca prawie zagłuszał słowa Idriana. Nigdy nie słyszała relacji z pierwszej ręki. Wiedziała tylko, że jednego dnia jej rodzina żyła spokojnie i wysyłała listy do huty szkła Kastory, a drugiego nadeszła wiadomość, że miasto sprzeciwiło się Ossie. Mijały miesiące, wieści pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu dotarła informacja, że Holikan został zniszczony. Tak zakończyło się jej dawne życie.

– Demir pędził samotnie przez noc, próbując ich powstrzymać, ale ktoś wydał fałszywy rozkaz spłądowania miasta – kontynuował Idrian. – Kiedy dojdzie do rozlewu krwi, nie da się jej później wlać z powrotem. – Idrian zadrżał, a Thessa zastanawiała się, co tak silny mężczyzna jak on musiał zobaczyć, by przywołanie wspomnień było dla niego aż tak bolesne. – Znalazłem go dopiero następnego ranka, trzymającego w ramionach zwłoki małej dziewczynki, którą próbował uratować. To go złamało. Z największego polityka Imperium, Księcia Błyskawic, w ciągu jednej nocy stał się umysłowym kaleką. Zrezygnował ze stanowiska, zaszył się gdzieś na prowincji i wrócił dopiero kilka tygodni temu, gdy zamordowano jego matkę. – Idrian przejechał dłonią po twarzy. – Zgromadzenie zatuszowało całą sprawę. A jego udział w kampanii usunięto z oficjalnych dokumentów.

– A więc nie jest mordercą.

– Mordercą? – zapytał ze zdziwieniem Idrian. – Nigdy nie spotkałem kogoś tak niebezpiecznego, kto tak bardzo troszczyłby się o innych ludzi. W sumie nie wiem nawet, czy może mówić o Holikanie. Jak się o tym dowiedziałaś?

– Powiedział mi – odparła cicho Thessa, próbując przetrwać opowieść Idriana. Rozejrzała się, a potem ponownie na niego spojrzała. – Gdy to się stało, moja rodzina przebywała w Holikanie.

Idrian wybałuszył oczy.

– Och.

Walczyło w niej tysiące emocji, a wszystkie z nich starały się wydostać na zewnątrz. Była zła, zdezorientowana, smutna, zraniona, odczuwała ulgę, a nawet odrobinę szczęścia. Żadne z tych uczuć nie sprawiło jednak, że czuła się dobrze. Jeśli to, co usłyszała, było prawdą – a nie miała powodu, żeby nie wierzyć Idrianowi – to Demir był taką samą ofiarą wydarzeń w Holikanie jak ona. Ktoś zawiódł jego zaufanie, wydał fałszywy rozkaz i zniszczył mu życie. Przerażenie na jego twarzy, gdy nie pozwoliła mu się wytłumaczyć, wyglądało prawdopodobnie tak samo jak jej, gdy otrzymała wiadomość o spłodowaniu Holikanu.

Czuła, jak umacniają się w niej pewne decyzje. Przez lata zabierano jej różne rzeczy: rodzinę, przyjaciół, mistrza, dom. Nie mogła pozwolić na to, by los odebrał jej to nowe życie. Odwróciła się do Idriana.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczny. Chciałabym ci o wszystkim opowiedzieć, ale... – Ścisnęła go za ramię. – Dziękuję, że mi to wyznałeś. Muszę... kogoś przeprosić.



Demir wpatrywał się przez jakiś czas w ścianę namiotu. Zdał sobie w końcu sprawę, że doznał szoku. Przez lata wiele kobiet się na niego wściekało. Niektóre miały ku temu powody, inne nie. Żadna jednak nie oskarżała go o morderstwo rodziny. Jak niby miał się z tego otrząsnąć? Czy mógłby w ogóle się z tym pogodzić?

– Od teraz już zawsze będzie mnie nienawidzić – powiedział na głos do pustego namiotu.

Świadomość, że tak potoczyły się sprawy, wywoływała w nim ból, czego nie ułatwiał nawet fakt, że gdy tydzień temu z jej ust padło słowo „Holikan”, starał się przygotować na ten moment. Ale zdecydowanie nie był na to gotowy, a jego starania mające na celu odłożenie tej rozmowy na później prawdopodobnie tylko ją rozżłościły.

Usłyszał trzask i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pękła szklana bańka spoczywająca w kieszeni jego marynarki na jednej ze skrzyń. Zupełnie nieświadomie chwycił się magii, jakby przygotowywał się na walkę. Zmusił się do puszczenia magicznej

sieci. Dla tancerza szkła był to dość niebezpieczny przejaw braku kontroli.

Ukląkł pośród raportów i planów, próbując przypomnieć sobie, o czym myślał, zanim Thessa weszła do namiotu. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? W głębi umysłu czuł rodzący się wir rozpaczy, chcący wessać go w przerażającą czerń, jaka ogarnęła go po Holikanie. Walczył z nim, choć przychodziło mu to z trudem, i zastanawiał się, jaki jest w zasadzie sens jego walki. Nawet jeśli Kerite wpadnie w jego pułapkę, to i tak nie wygra tej bitwy. Generałka obróci całą akcję przeciwko niemu, wyrznie jego ludzi, a jeśli uda mu się przeżyć, to wróci do Ossy w niesławie. Thessa go znienawidziła, a przez to projekt portalu feniksa bez wątpienia umrze.

Podszedł do oficerskiego kufra i zaczął w nim grzebać, szukając cywilnych ubrań. Wciąż mógł uciec. Wymknąć się. Zniknąć. Co prawda na zawsze zszargałby nazwisko Grappów, ale przynajmniej uwolniłby się od wszystkich obowiązków. Ścisnął w dłoniach tunikę, wpatrując się w nią i zastanawiając, dlaczego wydaje mu się tak znajoma, gdy nagle zdał sobie sprawę, że miał ją na sobie tuż przed powrotem z prowincji. Nieświadomie zapakował ją wraz z bagażami. Demir – przyjazny hochsztapler. Wędrowiec. Nikt. Ta tunika była wolnością.

I tchórzostwem.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że płacze. Otarł łzy tuniką. Cóż za słabość. Cóż za tchórzostwo. Być może powinien być wdzięczny losowi, że jego matka nie żyje, bo nie musiała oglądać człowieka, jakim się stał. Dała mu namacalną szansę na uratowanie świata, a on nawet tego nie potrafił zrobić dobrze.

– Demirze?

Podderwał się na nogi i odwrócił, wrzucając tunikę z powrotem do kufra, jakby przyłapano go ze skradzionym świecidełkiem. Thessa stała w wejściu do namiotu. Wydawała się jeszcze bardziej posępna. Miała zaciśnięte zęby.

– Mogę wejść?

Chciał jej powiedzieć, żeby spieprzała, że jej martwa rodzina nie jest jego problemem. Miał przecież wojnę do wygrania. Miał obowiązki ważniejsze niż jej uczucia. Mocno ugryzł się w język, aż

minęła mu chęć wypowiedzenia tego wszystkiego na głos. Przecież dopiero co rozważał ucieczkę.

– Tak, proszę – odrzekł. Gdy zasłoniła za sobą wejście do namiotu, kontynuował: – Przepraszam cię, Thesso, powinienem być ci o tym powiedzieć od razu, jak tylko wspomniałaś...

– Nie – rzuciła stanowczo, przerywając mu. Wyprostowała się, przypominając Demirovi, że jest od niego nieco wyższa. Chciała go onieśmielić? – Przepraszam. Nie powinnam była mówić, że zarząnął moją rodzinę. Powinnam pozwolić ci się wytłumaczyć.

Rozdziawił usta, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

– Twój gniew był uzasadniony – udało mu się wydusić.

– Uzasadniony, ale skierowany ku niewłaściwej osobie. Czuję, że nie mogę ci już zaufać, więc zapytałam o to Idriana Sepulkiego. Opowiedział mi, co zaszło w Holikanie. Opowiedział mi całą historię. Wierzę mu. I chcę, żebyś to wiedział.

Demir poczuł, że coś się zmieniło. Jakby jakiś węzeł, o którego istnieniu nie wiedział, znajdujący się u podstawy jego szyi, nagle zniknął. Przez jego ciało przepłynął strumień ulgi, rozluźnił mięśnie i sprawił, że na moment jego nogi zamieniły się w galaretę.

– Cieszę się – odparł.

– Wiesz, kto cię zdradził? Kto doprowadził do splądrowania Holikanu?

– Capric Vorcien – odpowiedział Demir.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

– Próbowałem się z nim pojedynkować. Interweniowała Gwardia Zgromadzenia. Ale nie pozwolę, by uszło mu to na sucho. Przysięgam. – Nie wiedział jeszcze, jak ukarze Caprica, skoro obiecał Ojcu Vorcienowi zaprzestać krwawych waśni.

Thessa wzięła głęboki wdech, powoli go wypuściła, a potem wzięła kolejny. Drżały jej palce, więc pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i ujął je w swoje. Były lodowate. Nie wyrwała ich z uścisku. Spuściła wzrok na ich splecione dłonie, a następnie spojrzała na niego.

– Nie nienawidzę cię, Demirze. Nie obwiniam cię za śmierć ludzi w Holikanie. – Mówiła to tak, jakby każde słowo przychodziło jej z trudem, powodując ból. Demir postanowił to znieść. – Moją nienawiść zachowam dla Caprica Vorciena.

– A co ze mną? – zapytał Demir. Było to samolubne pytanie, ale potrzebował odpowiedzi, bo inaczej nie mógłby spać spokojnie. – Zrozumiem, jeśli zdecydujesz się zrezygnować z realizacji projektu. Podrę nasz kontrakt. Portal feniksa należy do ciebie. Weź go, wróć do hotelu i zabierz Ekhego. Dopilnuję, żeby Breenen dał ci trochę pieniędzy na start, niezależnie od tego, gdzie zdecydujesz się udać. – Mówił szczerze. Jeśli miał to być koniec ich współpracy, chciał, aby nie było w tym żadnego podstępu, żadnych warunków. W jego życiu było tego aż nadto.

– Zamknij się – rzuciła Thessa i objęła go. Od lat nie doświadczył tyle ciepła. Ten uścisk był przyjemny, kojący, a Thessa oparła głowę na jego ramieniu, chowając zimny nos w zagłębieniu jego szyi, wywołując gęsią skórę na jego ramionach. Kiedy w końcu się rozdzielili, jej oczy były czerwone, lecz czyste. Wciąż mógł dostrzec gniew wypisany na jej twarzy, ale nie był on już skierowany w niego.

– Mówiłem poważnie – zapewnił ją.

– Nie mam zamiaru zrywać naszego kontraktu. – Wyprostowała się. – Jestem partnerką Grappów i jestem z tego dumna. A co do reszty... – Popatrzyła niepewnie w dal. – Uporządkowanie tego wszystkiego zajmie mi trochę czasu. Nie jestem teraz gotowa, żeby stać się dla ciebie kimś więcej niż tylko partnerką biznesową.

Zaskoczył go fakt, że była z nim taka szczerą. Roześmiał się z ulgą.

– To całkowicie zrozumiałe.

Mimo swych słów nie odsunęła się od niego. Stali w odległości kilku centymetrów od siebie, trzymając się za ręce, a żadne z nich nie chciało puścić. Czy powinien ją pocałować mimo tego, co właśnie powiedziała? Nie, nie mógł jej pocałować. Wyraziła się dość jasno. Być może wybaczyła mu udział w masakrze, ale bliskość była kompletnie inną, dość skomplikowaną sprawą. Jej partnerstwo – czy też przyjaźń – było cholernym darem.

Wpatrywał się w jej oczy, a otaczającą ich ciszę przerwał odległy huk grzmotu. Thessa odwróciła się, spoglądając przez ramię.

– W Kuźni zanoszą się na nową burzę. Powinam wrócić tam tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Poproszę Fenny, żeby cię odprowadziła – rzekł Demir, z ulgą przyjmując fakt, że coś odciągnęło go od pokusy.

Kilka minut później już jej nie było. Demir poczuł się jednocześnie lżejszy i cięższy. Część – nie całość, lecz część – poczucia winy, które nosił w sobie przez te dziewięć lat, zdawała się znikać. W jej miejsce pojawiło się coś innego. Tęsknota? Czy naprawdę żywił szczere uczucia do tej ledwo poznanej kobiety? Nie miało to znaczenia. Nie mógł się nimi kierować. Wziął kilka głębokich, miarowych wdechów.

– Szklorwa – wyszeptał. – Za bardzo się w to angażuję. – Musiał powiedzieć jej jeszcze o Kizzie i umowie z Vorcieniem. Nie dzisiaj. Wystarczy już dramatów. Zrobi to przy najbliższej okazji.



Znasz może jakieś słowo do opisania okoliczności, przez które nie dochodzi do zbliżenia? – zapytała Thessa.

Choć wróciła do Kuźni i przez całą noc praktycznie nie zmrużyła oka, leżąc do świtu obok portalu feniksa, nie uderzył żaden piorun. Grzmoty przetaczały się gdzieś w pobliżu, a niewielkie błyskawice pojawiały się wysoko na niebie. Ani jedna z nich nie zdecydowała się jednak skoczyć na ziemię i wziąć udziału w eksperymencie. Brzask nadszedł wraz z ciepłym prądem znad oceanu, ochładzającym powietrze i wzmagającym wiatr.

Pari stała obok Thessy, wyglądając na wodę przez małe okienko kamiennej latarni.

– Gdy byłam nastolatką, spędzałam dużo czasu z wozakami rzecznyymi, no wiesz, tymi szalonymi przewoźnikami kłód, transportującymi drewno w dół rzeki. Nazywali to zatorami i mówili tak w sytuacjach, kiedy coś stawało im na drodze do, yyy, rozkoszy.

– Zator – zachichotała Thessa. – Co prawda nie mam kłody, ale podoba mi się to określenie. Spójrz na tamte burzowe chmury. Są niemal czarne. Niedługo powinno lunąć. Miejmy nadzieję, że

przywieje do nas pioruny. – Nerwowo postukała palcami o kamienną ścianę. Naprawdę żałowała, że nie przespała się z Demirem mimo tego, czego dowiedziała się o Holikanie? Sama myśl o tym wydawała się nieźle pokręcona, a jednak... złość gdzieś znikła, a wściekłość została stłumiona. Był kolejną ofiarą, torturowaną przez poczucie winy, na co, jak wszystko wskazuje, niczym sobie nie zasłużył. To, co rodziło się między nimi, nie miało absolutnie żadnego związku z Holikanem.

Całą noc o nim myślała i zastanawiała się, co czeka ich po wojnie oraz po eksperymencie z portalem feniksa. Fakt, że wciąż coś do niego czuła, nawet gdy mówiła, że nie mogą być nikim więcej niż partnerami biznesowymi, bardzo komplikował sprawę. Musiała się trochę zdystansować. Znaleźć czas na zastanowienie. Znali się niecałe dwa tygodnie. Po zakończeniu bitwy i przeprowadzeniu eksperymentu powinna sobie obiecać, że nie będzie się spieszyć, by później niczego nie żałować.

Pari przyglądała się jej z zawadiackim uśmiechem.

– No co?

– Demir Grappo, co nie?

– Nie zaczynaj – ostrzegła asystentkę.

Pari uniosła ręce w pojednawczym geście.

– Dobra, dobra. To co robimy, pani uciekinierko?

– Wszystko. Jeśli nadchodząca burza sprowadzi pioruny, musimy się na to przygotować. – Thessa podeszła do portalu feniksa, przesuwając dłońmi po miedzianym przewodzie. Sprawdziła, czy w żadnym miejscu nie dotyka on osłony i czy izolacja jest tam, gdzie być powinna. Po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny sprawdziła każde złącze. Prawda była taka, że nie miały nic do roboty. Portal feniksa był gotowy, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Miały nawet przygotowany koszyczek ze zużytym szkłem bożym leżący na stołku po wyjściowej stronie portalu.

Zadowolona, że zrobiła wszystko, co mogła, aby przygotować się do eksperymentu, wyszła na zewnątrz, do obozu egzekutorów Grappa. Poza garstką stojących na warcie egzekutorów wszyscy pozostali leżeli skuleni pod plandekami lub w szczelinach skał, próbując ogrzać się bez ognia. Wczorajszego wieczoru zaproponowała im, aby przenieśli się pod latarnię. Mogliby wtedy

ogrząć się przy palenisku, ale nikt nie chciał przebywać w pobliżu piorunochronu ani szumiącej od magii skrzynki, do której był przymocowany.

Pierwszą osobą, którą rozpoznała, gdy wyszła na zewnątrz, była Tirana. Thessa chciała ją przywitać, ale hotelowa oficerka weszła jej w słowo.

– Musimy porozmawiać. Na osobności – rzuciła Tirana.

– Dobrze. W środku? Pari, mogłabyś dać nam chwilę?

Wkrótce znalazły się w latarni, gdzie Tirana stanęła tak blisko drzwi, jak to tylko było możliwe, zerkając podejrzliwie w kierunku portalu feniksa. Wyjęła z kieszeni jakiś przedmiot i podała go Thessie. Był to dziwny zwój zwęglonego papieru.

– Wiesz, co to jest?

– Wygląda jak jakiś rodzaj opakowania używanego przez żołnierzy do pakowania ładunków prochowych – odpowiedziała Thessa, przypominając sobie, jak w młodości obserwowała na dziedzińcu huty szkła inwentaryzację garnizonu.

– To wojskowa flara sygnalizacyjna – oznajmiła cicho Tirana. Odsunęła się o krok od drzwi i wyrzała przez szparę. – Pół godziny temu znalazłam ją zapaloną pod skałą. Ktoś musiał podpalić ją z samego rana.

– Pod skałą? – powtórzyła Thessa.

– Ośloniętą od deszczu i ukrytą przed nami. Ustawioną tak, aby jej światło odbijało się w kierunku południowym. W stronę Nowego Portu.

– Ooooch – wyksztusiła Thessa, przeciągając ten dźwięk. Wyciągnęła rękę i dotknęła wilgotnego zawiniątka, potem podniosła gwałtownie wzrok, by spotkać się spojrzeniem z Tiraną. – Ktoś zostawił ją tam celowo, aby dać sygnał grenckiej armii oblegającej port.

– To jedyne sensowne wytłumaczenie, a co więcej, byłabym gotowa założyć się o swoją karierę, że ta sama osoba dwie noce temu zepchnęła Justaciego z krawędzi urwiska. – Tirana wściekle wepchnęła spalony zwój do kieszeni marynarki. – Wszyscy moi egzekutorzy są w stanie podwyższonej gotowości, śpią po czterech i pilnują się nawzajem, nie mając nawet świadomości, że się wzajemnie obserwują.

– Czy któryś z nich zgłosił coś podejrzanego?

– No właśnie nie.

– A Breenen o tym wie?

Tirana się zawahała.

– Jesteś jedyną osobą, której o tym powiedziałam. Po tym, co wydarzyło się kilka dni temu w Hiacyncie, nie ufam nikomu poza panem Demirem i Montegiem. Jedynym powodem, dla którego ci ufam, bez urazy, jest to, że Demir powiedział, że to ty kierujesz tą operacją.

Kim, do cholery, jest ten sabotażysta? Thessa przełknęła gulę w gardle, rozmyślając o wszystkich egzekutorach. Było tam czterdziestu ludzi, a ona знаła nazwiska zaledwie połowy z nich. Każdy mógł okazać się szpiegiem lub zdrajcą. Nawet Breenen, choć to wydawało się dość absurdalne. A może Pari? Nie mogła też pominąć Tirany. Czy mogłaby próbować zbić Thesę z tropu? Zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, odrzucając propozycję Demira, by przenieść się do pobliskiego schronu i przeczekać tam bitwę. Może nadal mogła to zrobić?

Burza zbliżała się jednak nieubłaganie i mogła nadejść, zanim zdążyliby się spakować. Nie było więc sensu marnować takiej okazji. Poza tym, myśląc logicznie, gdyby przesunęła w czasie ten eksperyment, dałaby zdrajcy dodatkowy czas na działanie.

– Jak działa ta flara? – zapytała.

– To taki cylinder wypełniony specjalną mieszanką wolno palącego się prochu strzelniczego i kilku substancji chemicznych dodających kolor – odpowiedziała Tirana. – Pociągasz za sznurek, a on wywołuje iskrę wewnątrz flary i zaczyna się palić.

– Czy pozostawia resztki prochu na dłoniach? Tak jak w przypadku oddania strzału z muszkietu?

Twarz Tirany się rozpromieniła.

– Tak! Jesteś genialna!

– W takim razie powinnyśmy ich wszystkich sprawdzić – stwierdziła Thessa. – Tylko subtelnie, żeby nikogo nie wystraszyć. – Strach zmieszał jej się ze słusznym oburzeniem. Nie zamierzała pozwolić, aby jakkolwiek zdrajca rodzinnej gildii zepsuł jej ten moment. Zrobi wszystko, by powstrzymać tę osobę. Eksperyment

zakończy się sukcesem lub porażką, ale będzie to wyłącznie jej zasługa. – Ty będziesz sprawdzać – rozkazała. – A ja będę mówić.

– Zgoda.

Wyszły na zewnątrz, gdzie Thessa uważnie obejrzała dłonie Pari. Były co prawda trochę brudne, ale nie od prochu. To zdjęło jej ogromny ciężar z barków. W końcu ta kobieta uratowała jej życie. Cieszyła się, wiedząc, że nie jest szpieżką. Thessa podążyła dalej, dając Tiranie znak, żeby poszła za nią, i razem podeszły do ogniska, zimnego od czasu wizyty posłanniczki Demira.

– Proszę o uwagę! – krzyknęła, by było ją słychać ponad wzmagającym się wiatrem. – Posłuchajcie! Jak wszyscy pewnie wiecie, w ciągu najbliższych kilku dni rozegra się w pobliżu bitwa. Mam jednak nadzieję, że uda nam się stąd wyjechać na długo przed rozpoczęciem walk. W tym celu chciałabym, abyście byli spakowani i w każdej chwili gotowi do wyjazdu. Nadchodząca burza zapowiada się bardzo obiecująco. Wystarczy, że piorun uderzy w tamten pręt, a mój eksperyment się zakończy. Przeczekamy do końca burzy i wyniesiemy się stąd tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Gdy Thessa mówiła, Tirana spacerowała po obozie, rozglądając się ukradkiem i szepcząc coś do ucha swym egzekutorom. Miała przy sobie zwitek banknotów i podsuwała go każdemu z nich, by sprawdzić ich dłonie. Sprytna kobieta.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie – kontynuowała hutniczka. – Wiem, że po prostu wykonujecie rozkazy, ale mimo to dziękuję. Mam nadzieję, że ta chwila okaże się ważna i godna zapamiętania. – Nie było to zbyt długie przemówienie. Jak na okoliczności mogące zmienić losy świata wydawało się mało przekonujące. Poszła zgromadzonym uśmiech pełen pewności siebie i zerknęła na Tiranę, lecz hotelowa oficerka nadal spokojnie przedzierała się między egzekutorami.

Breenen podszedł do Thessy z łagodnym uśmiechem na ustach i uściśnął jej dłoń. Skorzystała z okazji i obejrzała jego ręce – czyste.

– Cieszę się, że dbasz o bezpieczeństwo nas wszystkich. Ten eksperyment, czymkolwiek on jest, bardzo dobrze działa na Demira. Jego zdaniem dzięki twojej pracy uda nam się ocalić rodzinną gildię Grappów. I jestem ci za to niezmiernie wdzięczny – powiedział.

Thessa się zarumieniała.

– Dziękuję. Ja... – Przerwała jej niespodziewana szamotanina i odwróciła się, by zastać Tiranę z wyciągniętym mieczem, przystawionym do szyi egzekutora, którego Thessa nie kojarzyła.

– Thessa! – warknęła Tirana. – Teraz!

Wraz z Breenenem popędziła w kierunku zamieszania, a pośród zgromadzonych egzekutorów zaczęło narastać poczucie niepokoju. Dopiero po kilku minutach udało się na tyle opanować sytuację, że mogli ze sobą porozmawiać, przekrzykując się nad szalejącym wiatrem.

– Co się dzieje? – zażądał odpowiedzi Breenen. – Dlaczego wyciągnęłaś miecz?

– Ponieważ – odparła Tirana – na jego rękach widać ślady wojskowej flary. Zasygnalizował wrogowi, gdzie może nas znaleźć. Wytlumacz się, Kempt!

Egzekutor próbował odsunąć się od ostrza, a jego oczy błędziły szaleńczo we wszystkie strony.

– Nie wiem, o co ci chodzi! To tylko proch z pistoletu.

– Breenen, masz ze sobą szkło dyscypliny? – zapytała Tirana.

– Nie zabrałem go z hotelu – odrzekł z rosnącą konsternacją Breenen. – Chcesz powiedzieć, że Kempt nas zdradził?

– Zabił Justaciego, dlatego że ostrzegł mnie przed zdrajcą, a teraz dał sygnał grenckim wojskom – wyjaśniła Tirana. – Masz coś na swoje usprawiedliwienie? Jeśli nas okłamiesz, to własnoręcznie cię poćwiartuję. Gdy tylko wrócimy do Hiacynta, przesłucham cię z użyciem szkła dyscypliny.

Kempt zacisnął zęby i spojrzał wyzywająco na Tiranę.

– Szklań się!

Tirana uderzyła go w czoło rękojęścią miecza.

– Gell, Yants, zwiążcie go i przypilnujcie.

Podczas rozgrywających się wydarzeń Thessa wołała pozostać z boku. Mimo że odpowiadała za eksperyment, wszelkie tego typu akcje wydawały się wykraczać poza jej kompetencje. Otaczający ją egzekutorzy mamrotali coś i przeklinali, jeden z nich nawet splunął na Kempta, gdy go wyprowadzano. Thessa wróciła do latarni, czując dojmujący niepokój. Zasugerowanie Tiranie, że jest wśród nich

zdrajca, to jedno, ale znalezienie dowodów i oskarżenie jednego z nich to coś zupełnie innego.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Pari, gdy znów zostały same; wpatrywała się w ścianę, jakby mogła przez nią zobaczyć zgromadzonych na zewnątrz egzekutorów. – Szkłorwa. Wiem, że rodzinne gildie nieustannie się szpiegują, ale czy to wszystko jest tego warte? Czy wtedy w nocy naprawdę zepchnął z klifu tego egzekutora?

Thessa zerknęła na portal feniksa, przypominając sobie, co powiedziała Demirowi o tym, że jest gotowa zaryzykować własnym życiem, by zyskać chociaż kilka dni.

– Tak – odparła. – Ten projekt jest tego wart.

– Cóż, nas nie zabiją – oświadczyła Pari, wyciągając nóż i sprawdzając ostrość jego ostrza. – Dzisiejszej nocy będę czuwać przy drzwiach.

Thessa miała nadzieję, że do tego czasu będą już w drodze powrotnej do Ossy. W kwestii burz szalejących nad Kuźnią wiedziała, że są szybkie i intensywne. Zaczęła chodzić w kółko po pomieszczeniu, rozmyślając. Komu Kempt chciał zasygnalizować ich obecność? Czy ktoś dostrzegł tę flarę? Jeśli pracował dla Grentu, to dlaczego zostawił otwarte drzwi w hotelu dla Dorlanich? Nic z tego nie miało sensu, a dodatkowo sprawiało, że Kuźnia wydawała się niezwykle nieprzyjazna i zimna.

– Panno Foleer! – rozległ się nagle krzyk Tirany, potem wbiegła do latarni, z hukiem otwierając drzwi. Zatrzymała się, miała dzikie spojrzenie i miecz w dłoni. – Właśnie zauważyliśmy dragonów w barwach najemnej armii. To cała kompania i zmierza w naszą stronę.

Thessa udała się za nią na południowy skraj Kuźni, spoglądając na zarośla oddzielające ich od Nowego Portu. Nie dostrzegła nic poza niewielkim ruchem w gajach oliwnych.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Zdążymy uciec?

– Na pustej drodze będziemy o wiele bardziej narażeni na niebezpieczeństwo.

Po chwili dołączył do nich Breenen. Stary konsjerż wyłamywał palce, wpatrując się w południe, a Thessa zastanawiała się, czy nie żałuje opuszczenia bezpiecznego hotelu.

– Powinniśmy zabarykadować drogę do Kuźni – zasugerował.

Thessa z całej siły zacisnęła dłoń w pięści, odliczając oddechy do czasu, aż zdała sobie sprawę, że zarówno Tirana, jak i Breenen się w nią wpatrują. A niech to szkło. Odpowiadała za eksperyment z portalem feniksa, a nie za coś takiego. Poczula się tak samo jak podczas ataku na Królewską Hutę Szkła w Grecie, jakby odchodziła od zmysłów. Zbierając resztki pozostałej w niej odwagi, odezwała się:

– Breenen, wyślij konno jednego z egzekutorów do Demira. Jest w pobliżu na wypadek takich sytuacji. Tirano, zabarykaduj drogę.

– Mamy zaledwie dwadzieścia karabinów – powiedziała z przerażeniem Tirana. – Spodziewaliśmy się Dorlanich, a nie prawdziwej kawalerii.

– Dwadzieścia karabinów będzie musiało wystarczyć.

Wiatr nie przestawał się wzmacniać, a Thessa miała wrażenie, że słyszy odległy grzmot.



Ku zaskoczeniu Thessy najemni dragoni nie bardzo wiedzieli, co zrobić z niewielką grupą egzekutorów rodzinnej gildii obozujących na opustoszałej skale, wiele kilometrów od miasta. Zbliżyli się ostrożnie, objeżdżając cały teren, jakby sprawdzali, czy nie ma tam szpiegów lub dodatkowych oddziałów, zanim oficjalnie przejęli kontrolę nad powozami i końmi, zmuszając egzekutorów Grappa do ich porzucenia. Zagonili konie, a następnie ustawili kordon wokół podejścia do Kuźni, skutecznie odcinając Thessie i jej towarzyszom drogę ucieczki.

Było coś przerażającego w powolnym, metodycznym sposobie ich działania. Zdawali się profesjonalnie zorganizowani i nie ułatwiała to Thessie obserwowania ich ze szczytu Kuźni, gdyż czuła się bezradna, wiedząc, że ekspedycja związana z portalem feniksa

jest w potrzasku. Gdy w końcu pojawił się jeden z dragonów – oficer, wnioskując po pagonach – pomaszerował w górę przejścia, aż znalazł się tuż pod skałami i pustymi skrzyniami, ułożonymi przez egzekutorów Tirany jako prowizoryczna barykada.

– Ossańczycy! – zawołał oficer najemników. – Nazywam się Hellonian i jestem kapitanem oddziału Smoków Kerite. Muszę was poinformować, że znajdujecie się w strefie aktywnej wojny. Jeśli oddacie broń i w spokoju opuścicie to miejsce, będziemy mogli was pojmać oraz wyznaczyć za was okup. – Zabrzmiało to niemal po dżentelmeńsku, jakby chodziło tylko o odrobinę biurokracji, przez którą wszyscy muszą przejść, aby wrócić do domu.

Thessa ukłękła za barykadami razem z Tiraną i Breenenem.

– Co o tym sądzicie?

Tirana pokręciła głową.

– Mamy bardzo dobrą pozycję obronną, oni jednak mają nad nami znaczną przewagę liczebną. Może nas zaatakują. A może zabiorą nasze powozy oraz konie i zostawią nas tutaj pod strażą. Ciężko przewidzieć.

– Jeśli wezmą nas do niewoli, to trudno powiedzieć, co z tego wyniknie – odparł Breenen z grymasem. – Jeśli zażądają okupu od Demira, to w ciągu kilku dni powinniśmy być wolni.

– A jeśli nie zażądają od nikogo okupu? – zapytała Thessa.

Breenen się skrzywił.

– Zażądają. Poza okupem na niewiele im się zdamy.

Thessa przygryzła język do krwi. Czy w ogóle potrafiłaby się teraz poddać?

– Ostatnim razem, gdy wzięto mnie do niewoli, wylądowałam w obozie pracy. Nie mam zamiaru trafić tam ponownie. Jeśli dowiedzą się, czego pilnujemy, nie oddadzą tego. Nie oddadzą mnie.

– Nie wiedziała, co zrobić. Biła się z myślami, próbując podjąć właściwą decyzję. Otaczali ją egzekutorzy, nie żołnierze. Ich życie mogło zależeć od tego, co zdecyduje.

– Wysłałeś posłańca z wiadomością do Demira? – spytała Breenena.

– Tak. Powinien dotrzeć już na miejsce.

– Tylko ty masz doświadczenie wojskowe – zwróciła się do Tirany. – Myślisz, że uda nam się przetrwać do przybycia ludzi

Demira?

Tirana zmrużyła oczy i spojrzała na stojącego poniżej oficera, niecierpliwie stukającego nogą.

– To chyba blef. Myślę, że Kerite zauważyła tę flarę dzisiejszego poranka i wysłała kogoś, by to zbadał. Nie wydaje mi się, żeby kapitan Hellonian był gotowy poświęcić życie dla schwytania bandy uwięzionych egzekutorów.

Thessa jeszcze raz rozważyła wszystkie opcje i zanim wstała, zaczerpnęła głęboko powietrza.

– To ekspedycja naukowa – powiedziała do oficera najemników. – Przybyliśmy tu, zanim dowiedzieliśmy się, że to miejsce jest w strefie wojny. Proponuję, żebyście zostawili nas w spokoju, i mogę panu obiecać, że do jutra już nas tu nie będzie.

Kapitan wyglądał na niepokieszonego.

– Nawet ekspedycja naukowa podlega zasadom wojennym. Poddajcie się niezwłocznie, by nie musiało dojść do nieprzyjemnych sytuacji.

– Nie ma czegoś takiego jak zasady wojenne – szepnęła Tirana do Thessa, przewracając oczami, a już głośniej dodała: – Jesteśmy cywilami. Do niczego nie możecie nas zmusić.

– Czyli się nie poddacie, tak? – zapytał kapitan.

Thessa i Tirana wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie – oświadczyła Thessa. – Nie poddamy się.

Kapitan zacisnął wargi i przez kilka minut przyglądał się prowizorycznym barykadom. Westchnął i szarpnął za rękawiczkę, zdejmując ją i unosząc do góry wierzch dłoni. W miejscu, gdzie członkowie rodzinnych gildii mieli krzemowe symbole, on miał wytatuowany niewielki nóż z różowym ostrzem ze szkła brzytwy.

– Czy to coś zmienia?

Thessa rzuciła okiem na Tiranę.

– A dlaczego miałoby? – Gdy tylko wypowiedziała to zdanie, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Kilku egzekutorów Grappa nagle wycelowało pistolety w swych towarzyszy. Zdrajcy. To słowo przemknęło Thessie przez myśl. Nie zdążyła sięgnąć po broń, bo ktoś przyłożył jej pistolet do głowy. Znajdował się on w rękach konsjerża Breenena, którego szczeka wykrzywiła się w grymasie smutnej determinacji.

– Tak – powiedział głośno. – To zmienia wszystko.
I nagle wybuchnął chaos.



Mam dobre i złe wieści.

Demir wyrwał się ze snu, wymachując rękami w poszukiwaniu broni, nim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Leżał na podłodze oficerskiego namiotu, otulony ciepłym mundurem i otoczony stertą listów oraz raportów szpiegowskich. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było wydanie kilku rozkazów zmęczonym posłańcom w środku nocy. Przewrócił się na bok, szukając kieszonkowego zegarka, ale w końcu zrezygnował i spojrzał na wujka Tadeasa siedzącego na skrzyni tuż obok jego głowy.

– Lubię dobre wiadomości – mruknął.

– Dobra wiadomość jest taka, że twój podstęp z użyciem Gwardii Narodowej zadziałał. Wczoraj po południu ruszyli do Grentu i otrzymaliśmy właśnie informację, że pojawił się rozłam w wojskach okrążających Nowy Port. Grencka armia pędem udała się na południe.

Demir usiadł, ocierając sen z oczu.

– Zbudziłeś już obóz? Kawaleria ma być gotowa w ciągu godziny. Jeśli chcemy złapać ich w ruchu, nie mamy chwili do stracenia.

– Wydaje mi się, że powinienes najpierw usłyszeć złe wieści.

– Szkłorwa. – Demir wpatrywał się w wuja przekrwionymi oczami. – O co chodzi?

– Smoki Kerite nie podążyły za grencką armią. Zmierzają prosto na nas.

Sens tych słów trafił do Demira dopiero po jakimś czasie i wtedy Grappo rzucił się po swoje ubrania. Kilka minut później wybiegł z namiotu, krzycząc do ustawionych w szeregu posłańców próbujących za nim nadążyć.

– Ty, przekaż Trójce i Ósemce, że wdrażamy plan C. Ty, zawołaj do mnie Skrzydłową. Jej artyleria ma być gotowa do akcji. Ty, przekaż poruczniczce Prosotsi, żeby wszyscy pracownicy obsługi technicznej oddalili się o co najmniej trzy kilometry. Tad, ile mamy czasu?

Tadeas zepchnął z drogi posłańca, aby dotrzymać kroku Demirowi.

– Jeśli zaatakuje nas tak jak na Miedzianych Wzgórzach, to ze trzy godziny. Ale nikt nie wie, co ona zamierza. Jaki jest plan C?

– Nie czytałeś moich rozkazów?

– Dałeś mi sześćdziesiąt stron rozkazów do przeczytania. I to o czwartej nad ranem. Nie udało mi się przebrnąć nawet przez plan B.

– Mam nadzieję, że reszta oficerów jest bardziej zaangażowana w wygranie tej szkłolonej bitwy. W planie C chodzi o to, że ustawiamy się w szyku bojowym i prezentujemy się dokładnie tak samo jak za rozkazów generała Stavriego na Miedzianych Wzgórzach.

– Liczę, że to pułapka i nie zamierzasz powtórzyć jego cholernego błędu.

– Oczywiście, że to pułapka. – Zatrzymał się i odwrócił, łapiąc Tadeasa za kłapy od munduru. Po raz pierwszy od wielu lat jego umysł działał na pełnych obrotach. Plany planów i plany kolejnych planów klarowały się w jego głowie i to bez konieczności

posiłkowania się szkłem rozumu. – Pamiętasz, co powiedziałem tamtego dnia? O przechytrzeniu Grentu?

– Tak, twierdziłeś, że nie możesz przechytrzyć Kerite, ale Grent i owszem. Pamiętaj tylko, że może i mamy przewagę liczebną, lecz ona zmierza na nas jak taran. Ma lepszych żołnierzy, lepsze szkło boże i nie przegrała żadnej bitwy.

– Tak głosi legenda. Bez wątpienia jest dobra, może nawet najlepsza, ale to legenda ją napędza. Wbija się w głowę. – Wykonał gest palcem, jakby wiercił czymś w czaszce. – Analizowała moje działania. Zna moje osiągnięcia. Wie, że jestem upadłym geniuszem, i oczekuje po mnie cholernie wielkich rzeczy. Jaka jest jedna rzecz, jakiej o mnie nie wie?

– Że ci odbiło? – zapytał cicho Tadeas.

– Nie wie, co robiłem przez ostatnie dziewięć lat. Mogę ją pokonać. Byłem najlepszym oszustem na prowincji. Który generał nie jest też po części hazardzistą ryzykującym, aby wygrać bitwę?

– Ryzykującym ludzkie życie – przypomniał mu Tadeas.

– Tak, wiem. – Demir znów ruszył. – Podejdzie do tamtego wzgórza. – Wskazał na zachód, na miejsce oddalone o kilka kilometrów. – I zobaczy nas w dokładnie takim samym szyku, w jakim walczyła z nami na Miedzianych Wzgórzach.

Na twarzy Tadeasa pojawiło się zrozumienie.

– I pomyśli, że nadal jesteś w rozsypce, że ugiąłeś się pod presją obowiązku ratowania Ossy, a najbardziej kreatywną rzeczą, jaka przyszła ci do głowy, to wykorzystanie przewagi liczebnej, nie zaś rzeczywistej strategii. Pomyśli, że jesteś równie marnym generałem jak Stavri.

Demir przytaknął.

– Nie chcę spędzać kolejnych czterech dni, bawiąc się z nią w kotka i myszkę. Chcę, żeby podeszła prosto do mojego gardła, bym mógł przywalić jej w twarz kastetem. Poinformowałem już korpus oficerski, że mianuję cię moim zastępcą, Tadeasie.

– Jestem tylko majorem.

– Jesteś cholernym Grappem, wujku, który siedem razy odmówił awansu, bo wolał czołgać się po rowach ze Stalowymi Taranami niż dowodzić podczas dużych bitew. A teraz znajdź

Skrzydłową. Artyleria musi być gotowa do strzału. Mamy trzy godziny, by się upewnić, że plan C zadziała na tym terenie.



W oczach Demira formacja Legii Cudzoziemskiej wyglądała jak misternie skonstruowana pułapka na szczury. Siedemnaście batalionów piechoty – prawie dziewięć tysięcy żołnierzy – rozsianych w luźnych rzędach na polach uprawnych. Niewiele było tam wzgórz, które dało się wykorzystać jako osłonę, ale jedyna bateria artyleryjska przycupnęła za drzewami po jego lewej, podczas gdy dwa tysiące dragonów i kirasjerów trzymało się z tyłu za niskim wzniesieniem po prawej. Rozmieszczenie wojsk wydawało się oczywiste, lecz większość pułapek miała to do siebie, że była oczywista dla tego, kto je wymyślił. Liczyło się tylko to, czy dla wroga też takie były.

Cała armia czekała z zapartym tchem. Nikt się nie odzywał. Jedyne ruchy tworzył stały strumień posłańców i zwiadowców zmierzających do i z kopca, na którego szczycie Demir umieścił purpurową flagę z krzemowym symbolem Grappów. U jego stóp Tadeas prowadził stały dialog ze zwiadowcami i posłańcami. Demir obserwował odległe burzowe chmury rozpościerające się nad Kuźnią. Zastanawiał się, czy eksperyment Thessy się powiodł, i miał nadzieję, że burza przejdzie na północ od pola bitwy.

Po drugiej stronie wiejskiej okolicy, ukrytej za wiatrołomami umieszczonymi między gospodarstwami, Demir po raz pierwszy dostrzegł Smoki. Na początku widział tylko flagę z trzema niebieskimi smokami na zielonym tle, lecz w ciągu kilku kolejnych minut zobaczył kolumny piechoty maszerujące w równym szyku, spływające z odległego wzgórza niczym fala leniwie płynąca w jego kierunku. Pstryknął palcami na najbliższego posłańca.

– Kawaleria na pozycję drugą.

Wymieniono sygnały flagowe, a on usłyszał – ale nie zobaczył – dudnienie kawalerii przemieszczającej się z pierwszej kryjówki do drugiej.

Smoki zbliżały się nieubłaganie, zaś Demir uniósł szkło powiększające, aby się im przyjrzeć. Wyglądali imponująco. Ich kroki były idealnie równe, mundury nieskazitelnie czyste, a muszkiety miały już przytwierdzone bagnety. Emanowała z nich pewność siebie. Wzdłuż lewej flanki przesuwiała się pojedyncza linia kawalerii. Demir podliczył ich w myślach, szacując na podstawie tego, co mógł dostrzec.

– Powiadomcie skrzydła, że brakuje około ośmiuset dragonów – rozkazał.

Tadeas skończył rozmawiać z jednym ze zwiadowców i wspiął się na kopiec, by stanąć obok Demira i przyjrzeć się podchodzącej armii.

– Naprawdę myślisz, że pójdzie prosto na nas?

Demir gryzł się z tysiącem małych wątpliwości.

– Jeżeli powiem, że z pewnością, to wyjdę na jeszcze większego geniusza, jeśli mi się uda?

– I na jeszcze większego kretyna, jeśli ci się nie uda – odparł wuj.

– Niby tak, ale wszyscy będziemy już martwi, więc nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Niech ci będzie.

– Wygląda na to, że ma o dwa bataliony więcej, niż donosili nasi zwiadowcy – stwierdził Demir.

– Tysiąc piechurów to duża siła. Powinniśmy z powrotem przesunąć naszych grenadierów?

Demir zerknął na lewo, a potem na prawo. Po obu flankach ustawił batalion grenadierów – ciężkiej piechoty, z napierśnikami zbliżonymi do tych, jakie nosili kirasjerzy, i bagnetami na wzmocnionych muszkietach.

– Nie. W sumie to każ im się trochę bardziej rozproszyć. Chcę, by wszystko wyglądało niedbale. Zbyt niedbale.

Oddziały Demira ustawiły się na sygnał, a po drugiej stronie pola rozległ się odgłos trąbki i najemnicy Kerite powoli się zatrzymywali. Obie armie wpatrywały się w siebie z odległości półtora kilometra. Niespokojne szepty przetoczyły się w górę i w dół wojska. Każdy doświadczony oficer patrzący na linię podziału widział, że Smoki stały w sztywnych kolumnach i, w porównaniu

z luźnymi szeregami ossańskiej Legii Cudzoziemskiej, wyglądały na solidne i nie do pokonania.

– A za chwilę Kerite zorientuje się, że nie korzystam z tradycyjnej ossańskiej księgi sygnałów – powiedział Demir do Tadeasa. – Zastanawia się pewnie, o co w tym wszystkim chodzi i czy powinna się tym przejmować. – Wzdrygnął się. – Nie jestem zadowolony z powodu tych zaginionych kawalerzystów. Mogą być dosłownie wszędzie.

Wszystkie te wątpliwości, o których nie chciał mówić Tadeasowi, latały mu po głowie niczym rój irytujących much. Pluł na nie w duchu, każąc im spieprzać.

– To wszystko jest tylko cholerną grą – rzucił. – Wraz z Kerite siedzimy tu jak para staruszków po obu stronach planszy z kwadratami. Równie dobrze moglibyśmy pić wino przy ognisku. Ha! Może w przyszłości tak właśnie będzie się prowadziło wojny. Wtedy ci wszyscy biedni ludzie nie będą musieli umierać. „Droga Kerite – rzekł, naśladowując pełną pochlebstw mowę polityka. – Jeśli weźmiesz patriarchę z mojej części planszy, otrzymasz Ossę, a jeśli ja zabiorę twojego, to otrzymam Grent. Co ty na to?”. Przecież to brzmi dużo bardziej cywilizowanie.

Paplał od rzeczy i miał tego świadomość. W końcu zamknął się i przecesał umysł w poszukiwaniu kojących wspomnień. Pierwszym, które przyszło mu do głowy, była gra, dokładnie taka, jaką sobie wyobrażał, ale nie przeciwko jakiejś najemnej generałce, a przeciwko matce. Poczul, jak kącik ust wykrzywia mu się w uśmiechu.

– Pamiętasz, jak matka uwielbiała grać w szachy? – zapytał Tadeasa.

Wuj uśmiechnął się szyderczo.

– Nawet mi nie przypominaj.

– Nigdy nie mogłeś jej pokonać, prawda?

– Wygrałem kilka partii, gdy byliśmy młodzi – odparł Tadeas.

– Ale ona grała coraz lepiej, a ja nie. Pokonałeś ją kiedyś?

– Dwa razy – stwierdził z namysłem Demir. – Za pierwszym razem miałem siedemnaście lat. Za drugim... – Urwał. Drugi mecz rozegrali kilka miesięcy temu. To było ich ostatnie spotkanie. Nalegała na grę i założyli się o to, że jeśli ona wygra, on wróci z nią

do Ossy i na nowo rozpocznie karierę. Jeśli on wygra, ona już nigdy więcej nie będzie go o to prosić. – Wolałbym wygrać z nią tylko za pierwszym razem – powiedział cicho.

– Opowiadała ci kiedyś o swoich partiach? – spytał Tadeas.

Demir pokręcił głową.

– Nie lubiła się przechwalać.

– Często grała przeciwko innym członkom Zgromadzenia. Myślę, że wygrywała cztery na pięć partii z Ojcem Vorcieniem i dziewięć na dziesięć z Aelią Dorlani.

– A niech to szkło. Wiedziałem, że jest dobra, ale... cholera. – Demir zadumał się, rozmyślając, gdzie może znajdować się jego stary zestaw, kryształowe figurki i srebrna plansza, którą podarowała mu, gdy wygrał wybory na gubernatora. – Czy był ktoś, kto częściej z nią wygrywał?

– Była tylko jedna taka osoba.

– Kto?

– Twój tata – odparł z uśmiechem Tadeas. – Wygrywali mniej więcej na zmianę. Zanim przyszedłeś na świat, oglądałem ich partie. Nigdy nie widziałem dwóch tak świetnych graczy. Grali godzinami, a pod koniec cała nasza trójka była tak pijana, że pracownicy hotelu musieli nas zanosić do łóżek.

Demir przechylił głowę, wsłuchując się w nerwowe szepty żołnierzy ustawionych przed nim w szeregu.

– Wiesz, nikt nigdy nie mówił mi nic o moim tacie.

– Rozmawianie o nim było... – Tadeas zawahał się – ...bardzo bolesne dla twojej matki, nie lubiła też, gdy inni o nim mówili.

– Chciałbym usłyszeć więcej historii o obojgu z nich – stwierdził Demir.

– Mam kilka dobrych w zanadrzu.

– W takim razie mam na co czekać po tej bitwie. – Nerwowe szepty zdawały się nasilać, a wszystkie rzędy ossańskich żołnierzy zaczęły poruszać się z wyczuwalnym niepokojem. Nic dziwnego. Ostatnim razem, gdy stanęli do walki ze Smokami, polegli w zaledwie kilka minut. – Potrzymaj to – rzucił Demir, podając Tadeasowi szkło powiększające. Zszedł z kopca i przeszedł przez rzędy żołnierzy, klepiąc ich po plecach i ściskając im dłonie.

– Głowa do góry – powiedział jednemu. – Wyprostuj nogi – rzekł do innego. – Dobrze wyglądasz. Cholernie dobrze. Czy to broszka na szczęście? Sam chciałbym taką mieć. – Doszedł do czoła formacji, gdzie przeszedł jeszcze dziesięć metrów i zawrócił.

Tysiące oczu wpatrywało się w niego z wyczekiwaniem. Poczł, że coś w jego wnętrzu marnieje, przewróciło mu się w żołądku. Odepchnął od siebie demony i rozłożył szeroko ramiona.

– Obywatele! Przyjaciele! Towarzysze broni! – krzyknął. – Tylko my oddzielamy nasze piękne, lśniące miasto nad Tienem od bandy najemnych kundli, chcących zetrzeć je w pył za garść banknotów i odrobinę chwały! – Odpowiedział mu jedynie podmuch wiatru, więc kontynuował: – Wszyscy wokół mówią wam, że Smoki są najlepsze. Czytaliście pewnie w gazetach, jak rozgromili nasze wojska na Miedzianych Wzgórzach. I że prawdopodobnie zrobią to ponownie. A ich dowódczyni? Jest zapewne o wiele lepsza niż upadły i niedoświadczony Demir Grappo. – Przerwał. – Tylko że to jedna wielka bzdura! – Splunął. – Jesteście Legią Cudzoziemską. Jesteście najlepszymi z najlepszych. Jesteście Stalowymi Taranami, Pustynnymi Szczurami, Skrzydlatymi Szakalami i Potężnymi Lwami! Ci najemnicy – wskazał ręką na stojącą za nim armię wroga – walczyli na wszystkich kontynentach. Ale wy też! Oni zarobili trochę pieniędzy, ale wy zbudowaliście Imperium! Jesteście armią najlepszych żołnierzy z każdego zakątka świata. Nie dacie się pokonać. – Demir poczuł lzy spływające mu po policzkach, a przed oczami stanął mu obraz płonącego miasta. Nie był pewien, czy to widmo Holikanu, czy strach przed tym, co stanie się z Ossą. A może jedno i drugie. – Każdemu z nas zdarzyło się kiedyś kogoś zawieść, lecz porażka nas nie pokonała. Odbiliśmy się od dna, stając się silniejszymi niż wcześniej. Przyjaciele, udowodnijcie mi swą wartość, a ja przysięgam, że udowodnię wam swoją.

Otoczająca go cisza była tak gęsta, iż myślał, że go zmiażdży. Opuścił ręce i udał się z powrotem w kierunku kopca. Gdy wchodził między kolumny żołnierzy, stopniowo docierał do niego jakiś stukot. Był to niski pomruk, jakby ktoś toczył kamienie po odległym wąwozie. Nie padło żadne słowo, nie podniósł się żaden głos, a jednak znajdujący się wokół niego piechurzy potrząsali workami z amunicją.

– Co oni robią? – zapytał Tadeasa, stając na pozycji dowódcy.

Tadeas uśmiechnął się krzywo.

– Powiedziałeś im, żeby nie wiwatowali i nie wydawali z siebie żadnych zwycięskich dźwięków.

– To co w takim razie robią?

– Odpowiadają na twoje wezwanie. Zawierają z tobą umowę, Demirze. Wszyscy udowodnimy dziś swoją wartość.

Demir nie przejmował się łzami spływającymi mu po policzkach, nawet nie starał się ich wycierać. Płynęły swobodnie, a ciało drżało. Ponownie spojrzął przez szkło powiększające.

– Kerite nas obserwuje – rzekł Tadeasowi. – Waha się, wypatruje pułapki. Być może czeka, aż jej kawaleria ustawi się na pozycjach.

– Ten teren jest inny niż na Miedzianych Wzgórzach. Nie ma pozycji, do której może się ustawić.

Demir nie odpowiedział.

– Przekaż lewej flance, aby się nie ruszała. Użyj tradycyjnego sygnału. – Odczekał kolejne dwie minuty, obserwując lewą flankę. – Jeszcze raz. Niech to wygląda na desperację. – Czekał. – Ostatni raz. – Gdy tylko wysłano sygnał, dostrzegł, że stojący we flance grenadierzy zaczynają się rozpraszać. Złamali szeregi. Cały batalion wydawał się drżeć ze strachu i się wycofał.

– Demirze! – upomniał go Tadeas. – Przełamują szyki.

– I dobrze.

– Grasz w niebezpieczną grę – ostrzegł Tadeas. – Na polu bitwy trudno jest utrzymać rozkazy w ryzach.

– Dadzą radę – zapewnił go Demir, modląc się, żeby miał rację. – Przez ostatni tydzień analizowałem nasze oddziały tak samo jak oddziały wroga. Znam ich możliwości. Wiem, kto wykona rozkazy co do joty, kto się ugnie, a kto zmobilizuje. Wiem, kiedy ich popchnąć, a kiedy przyciągnąć. – Gdy mówił, cała lewa flanką stopniowo się rozpadała. Zaczęło się od grenadierów, a po chwili w ich ślady podążył kolejny batalion, a potem następny. Wrócił myślami do cudgelingowego zakładu zawartego z Uliną Magną, a następnie do wiadomości, którą wysłał do różnych batalionów ustawionych we flankach z prostą instrukcją, by rozkaz pozostania w miejscu interpretowali jako coś dokładnie przeciwnego.

Stojąca po drugiej stronie armia wroga nie ruszyła się z miejsca. Tadeas zaklął.

– Nie łyka przynęty. Machanie jej przed nosem grupką niepewnych żołnierzy nic nie da. Nie zaatakuje, dopóki wszyscy się nie rozproszymy.

– Nie będzie jej się chciało długo czekać – stwierdził Demir. – Kerite może i jest najlepsza, ale jest też niezwykle próżna. Uwielbia, gdy inni myślą o niej, że jest sprytna. Uwielbia chwałę. A pogoń za uciekającym wrogiem nie przyniesie jej żadnej z tych rzeczy. Albo złapie przynętę, albo wyczuje pułapkę i się wycofa. Na to liczę – dodał szeptem. – No dawaj, Kerite. Oto twoja szansa na pokonanie Legii Cudzoziemskiej i Księżca Błyskawic.

Demir odczuwał napięcie wszystkich zmysłów oraz to, jak pieczołowicie ułożony plan balansuje na krawędzi ostrza. Serce waliło mu jak oszalałe. Nie złapie przynęty. Musiała wyczuć pułapkę. Jakoś udało jej się go przechytryć.

– Generale! – ktoś krzyknął. – Od południa nadchodzi szarża kawalerii!

– Doskonale – odetchnął Demir, a po drugiej stronie pola rozległ się odgłos setki trąbek. Gęste kolumny piechoty Kerite ruszyły przed siebie, ciężki stukot ich butów wzburzył powietrze. Demir po raz kolejny zachwycił się precyzją ułożenia wojsk wroga; fala żołnierzy ruszyła naprzód. Czy zdoła ją przełamać?

– Wiesz, że – zwrócił się do Tadeasa, przechylając głowę – dawni procarze potrafili posłać kulki ołowianego śrutu na odległość prawie czterystu metrów? – Tadeas pokręcił głową. – Mika powiedziała, że da radę na dwieście pięćdziesiąt metrów. Granaty są zbyt ciężkie. Bardziej chybotliwe od prochu. Ale dwieście pięćdziesiąt powinno wystarczyć. – Jeszcze raz pstryknął palcami na posłańca. – Lewa flanka, zwarty szyk. – Wykonano rozkaz i w ciągu trzydziestu sekund zdeorganizowana zbieranina uciekających grenadierów zwarła się w zgrabny szyk żołnierzy wracających na swe pozycje. Po części spodziewał się kolejnego dźwięku trąbki, zwiastującego, że Kerite wycofuje oddziały. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zaangażowała się.

– Zamierzasz zrobić coś z tymi kawalerzystami? – zapytał Tadeas. – Nie było o tym słowa w notatkach dotyczących planu C.

– Tak – odpowiedział Demir, przechylając głowę i nasłuchując. Po chwili nagły wybuch armat rozerwał poranne powietrze. – Zamierzam strzelić im kartaczem w twarz z ukrytych za tymi drzewami dział Skrzydłowej. – Jakby dla podkreślenia jego słów, rozległ się wkrótce potworny krzyk ludzi i rżenie koni, brzmiące o wiele bardziej przerażająco niż poprzedzające go wystrzały z armatnich dział. Niespodziewanie zwarty szyk wojsk Kerite rozstał się i ze środka wybiegły dziesiątki Gromicieli z uniesionymi mieczami, szarżując szybciej niż konie.

– Procarze! – krzyknął Demir. Cała jego armia, dwie brygady piechoty, uklękała jak jeden mąż. A jedynymi stojącymi żołnierzami była grupa kilkuset inżynierów, kręcących sznurami od proc nad głowami. – Teraz! – ryknął. Niewielkie granty, wyglądające na małe, kruche i niegroźne, poszybowały wysokim łukiem na przeciwnika. Śledził lot tych czarnych plamek, aż zaczęły opadać. Przez moment nic się nie zadziało, a potem zaczęły się eksplozje, zmieniające większość Gromicieli Kerite w plątaninę mięsa i szkła.

– Os-sa! – wrzasnął ktoś, a ten tenorowy głos rozbrzmiał wyraźnie i pewnie, unosząc się nad echem eksplozji. Piechota pozostała na kolanach, podczas gdy inżynierowie zużyli resztę granatów, celując w pojedynczych Gromicieli.

– Os-sa! – odpowiedzieli pozostali. – Os-sa! Os-sa! Os-sa!

Demir zwrócił się do wuja.

– Teraz – rzekł – czeka nas bitwa.

I wtedy piechota Kerite zaatakowała.



Podczas drugiego dnia poszukiwań drużyna Idriana po raz pierwszy natrafiła na ślad latającego tancerza szkła. Pułkowniczka Jorfax, jadąca nieco z przodu grupy, nagle pociągnęła konia za cugle i uniosła pięść. Idrian zatrzymał się, zwracając oczy ku niebu i szukając wśród nisko zawieszonych chmur jakichkolwiek oznak potwora. Pozostali wyciągnęli broń i podnieśli wzrok. Trzynastu jeźdźców spięło się i obserwowało, próbując udawać, że się nie rozglądają. Byli bandą marnych aktorów i Idrian liczył tylko, że latający stwór tego nie dostrzeże.

– Jest tu? – wysyczała Mika.

Jorfax się nie poruszyła. Przez kilka chwil zdawała się nawet nie oddychać, a potem pokręciła głową.

– Tędy. Niecałe pięćdziesiąt metrów. – Odwróciła się i pognała, zmuszając resztę do dotrzymania jej kroku. Tutejszy krajobraz stanowiły głównie faliste tereny rolne stykające się z nadmorską roślinnością. Wiatrołomy, czyli rzędy stuletnich drzew rosnących wzdłuż wiejskich ścieżek, były powszechne, tak samo jak liczne małe gospodarstwa. Jorfax udała się za jeden z takich wiatrołomów,

przejechała przez rów i skierowała się w górę krótkiej drogi prowadzącej do niewielkiej, wiejskiej willi.

Idrian zacisnął zęby i złapał za rękojeść miecza. Mimo mroźnego zimowego powietrza pocił się obficie pod masywną peleryną skrywającą jego zbroję. Miecz i tarcza zwisały mu z siodła, owinięte w luźne płótno maskujące ich niezwykłość. Zbroja Gromiciela nie była przystosowana do jazdy konnej, więc każda część jego ciała ocierała się boleśnie.

Blefowanie, jak powiedział mu Tadeas, nim wyruszyli w drogę, wymaga cierpliwości i wytrwałości. Nie należy wychodzić z roli, dopóki osoba, którą staramy się oszukać, nie uświadomi nam dobitnie, że odkryła nasz fortel. Do ostatniej chwili trzeba starać się wniknąć w jej umysł. Idrian zastanawiał się, czy to dobra rada, biorąc pod uwagę, jak często Tadeas oszukiwał w karty. Mimo to Idrian jechał dalej, męcząc się pod tą cholerną peleryną.

Nim dotarli do ozdobnego, ceglanego muru otaczającego willę, Idrian usłyszał rój much. Następnie poczuł smród i już przed przybyciem do żelaznej bramy wiedział, co będzie tam na nich czekało. Zerknął na Braileera, dostrzegając przerażenie w oczach młodzieńca, po czym wskazał na niego oraz czterech innych żołnierzy.

– Wasza piątka utworzy perymetr. Patrzcie w niebo. Squeaks, przeszukaj dom.

– Tak jest, panie.

Zsiadł z konia i ruszył przez bramę za Jorfax i Miką. Widok, który zastali, był tym, czego się spodziewał – kolejną przekłętą masakrą. Jedenastu żołnierzy, przewodnik i jeden z tancerzy Jorfax leżeli tam, gdzie upadli, jakby pośrodku nich wybuchła bomba. Byli poszatkowani na kawałki, a ich lepka krew pokrywała praktycznie wszystko wokół. Atak dosięgnął także co najmniej dwóch cywilów. Leżeli w drzwiach, jeden z nich wciąż trzymał w ręku kosz z daktylami, którymi zamierzał pewnie obdarować odpoczywającą grupę zwiadowców.

– Szklorwa – powiedziała Mika.

– Rozpoznajesz ich? – zapytał Idrian. – Czy to jedna z trzech grup pozostawionych przez Demira do rotacyjnego patrolowania okolicy?

– Tak – odrzekła Jorfax. Ukłękła przy tancerzu szkła i uważnie przyjrzała się jego ciału. – Miał na imię Lorstel, ale nazywaliśmy go Szczęściarzem, bo przeżył mnóstwo niebezpiecznych starć. Niestety tym razem mu się nie poszczęściło. – Musnęła palcami powietrze, wytyczając ścieżki biegnące w kilku kierunkach i wychwytyjąc magię tego miejsca. Idrian podszedł i ukląkł naprzeciwko niej, przyglądając się jej twarzy. Wydawało mu się, że na jej nieskazitelnym, stalowym obliczu pojawiają się drobne pęknięcia. Zaniepokojenie? Strach? W końcu odezwała się ponownie: – Ten skrzydlaty tancerz jest cholernie dobry. Szklana bańka Szczęściarza eksplodowała w jego kieszeni. Wszystko wskazuje na to, że pierwszy wybuch... – Wstała i zaczęła przechadzać się wokół zmasakrowanych zwłok, a jej usta poruszały się podczas wytyczania kolejnych ścieżek. – Zabił Szczęściarza i tę czwórkę, potem pociął resztę. Wszyscy zginęli w ciągu dziesięciu czy piętnastu sekund.

– Zaczynasz już żałować? – spytała Mika.

Jorfax gwałtownie obróciła głowę w kierunku saperki.

– A ty? – warknęła.

– Ani trochę – odpowiedziała Mika. Jeśli odstraszyło ją słynne, lodowate spojrzenie Jorfax, nie dała tego po sobie poznać. Trzymała jeden z granatów, podrzucając go raz za razem, i uśmiechnęła się do Jorfax. – Utwierdzam się jedynie w przekonaniu, że ktoś musi dziś zginąć.

– A więc jesteście w tej kwestii zgodne.

Idrian stanął między nimi. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin złośliwa natura Jorfax dawała się wszystkim we znaki. Zdecydowanie nie radziła sobie w kontaktach z innymi. Ale przynajmniej dotrzymała obietnicy i nie wykorzystywała swej rangi, by dowodzić całą akcją.

– Wszyscy jesteście w tej kwestii zgodni – zapewnił je obie, po czym zwrócił się do Jorfax: – Da się coś zrobić, żeby nie spotkał cię podobny los? Chodzi mi o bańkę.

– Nosi w kieszeni granat, którego zapalnik spoczywa w rękach wroga – stwierdziła Mika.

Idrian nakazał jej gestem, by się zamknęła, ale Jorfax zdawała się spokojna.

– Nie, ona ma rację. Dokładnie to się tu wydarzyło. Powiedziałam Szczęściarzowi, aby skupił swą magiczną sieć na niebie. Może tak właśnie zrobił. A może nie. Jeśli będę miała przy sobie szklaną bańkę, a ten latający tancerz okaże się dużo silniejszy ode mnie, będę martwa, zanim ktokolwiek z was w ogóle się zorientuje. A potem szybko pójdziecie w moje ślady.

– Nie powinnaś w takim razie zostawić gdzieś tej bańki? – zapytał Idrian. Miał świadomość, że to tak samo, jakby ktoś kazał mu iść na walkę nago i bez broni, i dostrzegł, jak na czole Jorfax pulsuje żyła.

– Nie – odparła po chwili. – Jestem silniejsza od Szczęściarza. Wyczuję próbę ataku z większej odległości.

Mika stroiła miny za plecami Jorfax, a Idrian tylko pokręcił głową. Nie zamierzał naciskać. Jorfax była profesjonalistką. A jej przerażająca reputacja wynikała w dużej mierze właśnie z tego, że była świetna w tym, co robiła.

– Panie – zawołał Braileer. Idrian odwrócił się i ujrzał płatnerza wchodzącego przez bramę. Gdy Braileer zobaczył, co znajduje się na dziedzińcu, zatrzymał się, a jego ciało zakołysało się, jakby powstrzymywał wymioty. Zzieleniał na twarzy i dopiero po chwili zebrał się w sobie. – Ich konie są z tyłu. Spłoszone, ale nietknięte. – Przełknął ciężko, odwracając wzrok od ciała. – Powinniśmy posłać po kogoś, kto mógłby po nie przyjść.

Z wnętrza willi wyłoniła się Squeaks, kręcąc głową.

– Pod kuchennym stołem leży kilku martwych robotników. Pewnie próbowali się ukryć. To coś, co tego dokonało, było niezwykle skrupulatne w pozbywaniu się świadków.

– I bardzo ostrożne – rozmyślał na głos Idrian. – Ten latający potwór nie chciał się forsować w Forcie Alameda, ale nie miał skrupułów, aby zarżnąć ludzi w odosobnionym gospodarstwie. – Spojrzał na zwłoki, przyglądając się im czysto klinicznie. Nie był chirurgiem, lecz widział wystarczająco wiele bitewnych pól. – Zgaduję, że cała masakra rozegrała się jakieś dwie godziny temu. Myślicie, że nadal jest w pobliżu? Czy już sobie poszedł?

– Przy tak niskich chmurach może być dosłownie wszędzie – orzekła Jorfax. – Wyczuję go, zanim ktokolwiek z nas zdoła go

zobaczyć, ale nie mam pojęcia, jak szybko się porusza. Nie wiem też, czy szybuje jak łabędź, czy nurkuje jak sokół.

– A może robi i jedno, i drugie – dodała Mika.

Z tą przyjemną myślą pozostawioną w ich głowach wsiedli na konie i wrócili na drogę. Idrian nie przejmował się już bolącym tyłkiem ani uwierającą zbroją. Położył hełm na siodle, przykrywając go peleryną, i starał się nie wyglądać tak, jakby wpatrywał się w niebo.

– Niskie zachmurzenie działa w obie strony – rzucił przez ramię. – My go nie widzimy, ale on też nas nie widzi.

– Myśli pan, że to był on? – zapytał Braileer. Płatnerz zrównał się z Idrianem. Chłopak miał wysoko uniesioną głowę, ale Idrian mógł dostrzec zaczerwienienie wokół jego oczu. Zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, zabierając go ze sobą. To nie była misja dla dzieciaka. Prychnął w myślach. A jaka misja wojskowa była?

– Śmierdział jak on – odpowiedział Idrian.

– Czy to coś jest w ogóle człowiekiem? – spytała Mika.

– A czym innym miałoby być? – Jorfax wróciła na miejsce na czele ich niewielkiej kolumny. – Szkło strachu może doprowadzić umysł do szaleństwa. Dlaczego więc inny rodzaj szkła bożego nie mógłby wpłynąć na czyjeś ciało? Wszystkie rodzinne gildie od lat eksperymentują z magią. Grencki rząd nie jest wyjątkiem.

– Tylko że ten latający tancerz pojawił się, dopiero gdy najemnicy Kerite przystąpili do wojny – zauważyła Squeaks.

– Więc ten ktoś jest Purnijczykiem. Albo Marnijczykiem. Albo Nasuudem. Smoki walczą na całym świecie. Kto wie, jakie mroczne huty szkła, pełne niecodziennych eksperymentów, napotkała na swej drodze Kerite.

Idrian skrzywił się na tę myśl. Szkło boże mogące całkowicie zmienić czyjś wygląd? Jak działało ciało tego potwora?

– To coś jest bez wątplenia inteligentne – stwierdził. – Porusza się jednak jak zwierzę. Smukłe i pełne gracji. Mam tylko nadzieję, że nie jest to... – Urwał, usłyszawszy odległy dźwięk, i lekko szarpnął za lejce, zatrzymując konia. – Słyszeliście to?

Wszyscy zamarli, przechylając głowy. Z daleka rozległa się huk, łatwy do pomylenia z odgłosem fajerwerków.

– To moje nowe granaty – rzuciła Mika, ożywiając się.

Idrian zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzął na Jorfax.

– Szkłorwa! Grencka armia musiała ruszyć na Demira zamiast wycofać się z powrotem do miasta. Wygląda na to, że bitwa już się rozpoczęła.

– A my jeździmy tu w kółko zamiast walczyć – warknęła Jorfax.

Idrian nie zamierzał dłużej udawać, że to on tu dowodzi. Jorfax przewyższała go rangą, a na prawdziwym polu bitwy przydałaby się jeszcze bardziej niż on.

– Teraz ty podejmujesz tu decyzje – powiedział do niej.

Zawahała się, zerkając przez ramię w stronę gospodarstwa, w którym rozegrała się masakra. Przez kilka minut wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, a potem zakłęła.

– Wracajmy. Ta bitwa jest ważniejsza niż jakiś tancerz szkła. – Szarpnęła za lejce, odwracając się na południe, po czym nagle zeszywniała.

Idrian zdążył się już obrócić, gdy dostrzegł, że Jorfax wybałuszyła oczy i zacisnęła zęby.

– Tilly?

– On tu jest – wyszczała.

Cała grupa zareagowała jednocześnie, chwytając za broń i kierując wzrok ku niebu. Serce Idriana zabiło szybciej i dał znak, by schylili się nisko w siodle. Znajdująca się obok niego Mika włożyła granat do miseczki w procy.

– Gdzie? – zapytał Idrian.

– Nad nami. Jest wysoko. Krąży.

– Wie, że go zauważyłaś?

– Jestem bardzo ostrożna i staram się nie kierować magicznych zmysłów bezpośrednio na niego. – Dłoń zawisła jej nad kieszenią, w której schowana była szklana bańka.

– Jedziemy dalej – rozkazał Idrian. – Powoli. Trzymajcie broń nisko. Braileer, zostań za mną. Nie wykonuj żadnych ruchów, chyba że zajdzie mnie od tyłu. Zrozumiano?

– Tak, panie.

Idrian uniósł hełm, owinął lejce wokół różka siodła i spojrzął do góry, nie podnosząc głowy. Nie mógł nic zobaczyć przez

szarobiałe chmury i okrutnie go to denerwowało. Każda sekunda zdawała się dłużyć bardziej niż poprzednia.

– Nadal tam jest? – zapytał.

– Krąży. Póki co nie podjął próby wykorzystania mojej szklanej bańki. Ale w każdej chwili może się to zmienić – odpowiedziała Jorfax.

– Jak bardzo będzie musiał się zbliżyć?

– Trudno to ocenić.

– Jeśli tylko wynurzy się spomiędzy chmur, powinniśmy dać radę sprowadzić go na ziemię. – Obejrzał się na towarzyszy. – Nie strzelajcie, dopóki nie zejdzie, aby nas zaatakować. Granaty sprowadzą go na dół, a wtedy ja wykończę go już na ziemi. Zrozumiano? – Odpowiedziała mu seria potaknięć. Rozdzielił uwagę między niebo a Jorfax, wypatrując jakiegokolwiek drgnięcia mogącego wskazywać na to, że przegrała w zawodach na magiczną wolę. Na południu do huku granatów dołączył też odgłos armatnich wystrzałów.

Jorfax rozluźniła się niespodziewanie.

– Wznosi się – poinformowała. – A niech to szkło! Miej oczy szeroko otwarte, on może... – Ponownie zeszywniała, a jej dłonie powędrowała do bańki. Wydała z siebie zduszone: – Nadchodzi!

Idrian nie czekał na kolejne sygnały. Jedną ręką wcisnął hełm na głowę, drugą zrzucił płótno z miecza i tarczy, wyrrywając je z upręży przymocowanej do siodła.

– Czekać na komendę! – krzyknął.

Nie zdążył wydusić z siebie kolejnych słów, kiedy z chmur wystrzeliła czarna strzała – latający tancerz zanurkował niczym drapieżny ptak, ze skrzydłami ułożonymi z tyłu, równoległe do ciała. Jego pierwszym celem była Jorfax: uderzył w jej konia z takim impetem, że wyrzucił ją i zwierzę w powietrze, potem cała trójka runęła na pole. Latający potwór podniósł się i wzbił w niebo.

– Ognia! – wrzasnął Idrian.

Grupa wystrzeliła serię z karabinków, przebijając masywne skrzydła potwora. Stwór zasyczał i zawył, obracając się w powietrzu, a następnie wylądował na nogach. Z ran po kulach sączyła mu się czarna krew. Wyglądał raczej na zirytowanego niż poważnie

rannego i przez jakiś czas wpatrywał się w nich, podczas gdy kilkanaście drżących rąk próbowało przeładować broń.

Idrian zeskoczył z konia, zerkając raz na stwora, a raz na Jorfax, która leżała przygnieciona na wpół martwym koniem, z wyszczerzonymi zębami i oczami pełnymi strachu.

– Zabij to! – ryknęła. – Zanim zabierze moją bańkę! Aaa! – Jej krzyk wzmógł się, a szklana bańka wyrwała się nagle z jej munduru, roztrzaskując się na dziesiątki odłamków, które wystrzeliły prosto w Idriana. Gromiciel uniósł tarczę, wsłuchując się w uderzające o nią kawałki szkła. Tuż za nim rozległy się głosy, najpierw krzyczące z przerażenia, a później z bólu.

Nie miał czasu sprawdzić, kto został ranny. Wystrzelił do przodu, trzymając gardę i zmuszając stwora do uników; liczył na to, że ciągły atak zaburzy wycucie czasu nieprzyjaciela. Skrzydła potwora drgały i poruszały się jak dodatkowe kończyny, rzucając się na tarczę Idriana lub odpierając pchnięcia jego miecza. Idrian napierał, nie chcąc dać przeciwnikowi okazji do zmiany ustawienia i przymuszając go do ciągłego cofania się, aż w pewnym momencie stwór odwrócił się nieoczekiwanie i zaczął biec.

Strzał z karabinka trafił bestię z boku. Przetoczyła się, prześlizgnęła po koleinach ugorowanego pola i ponownie zmieniła kierunek, skacząc na najbliższą żołnierkę. Potwór zaatakował biedną kobietę w chwili, gdy Idrian odwrócił się, by za nim pognać; jego skrzydła uderzyły w nią z mocą wystarczającą do roztrzaskania karabinka i odrzucenia jej na kilkadziesiąt metrów. Idrian podążył za stworzeniem, korygując swoją trasę i próbując go dosięgnąć, zanim zdąży znów wzbić się w powietrze. Wtem Gromiciel wybałuszył oczy z przerażenia.

– Braileer, z drogi!

Było już jednak za późno. Stwór uderzył w kolejnych dwóch żołnierzy, odrzucił Squeaks na bok, a następnie chwycił Braileera za puklerz, unosząc się wraz z chłopcem w powietrze. Idrian gnał dalej, przyglądając się bezradnie, jak latający tancerz ściska Braileera za szyję. Tuż nad potworem eksplodował granat. Podmuchił go trochę w dół, zmuszając do obniżenia lotu. Idrian odrzucił tarczę, uniósł obiema rękami miecz nad głowę i skoczył. Wykonane ze szkła

brzytwy ostrze poszybowało, przecinając kości i ścięgna, zalewając go strugą czarnej krwi.

Kreatura zawyla i odrzuciła Braileera. Płatnerz walnął z impetem w ziemię, potoczył się kilka metrów i zwiotczał. Skrzydlaty tancerz upadł obok, po czym poderwał się i zaczął podskakiwać niczym kamień odbijający się po tafli wody. Idrian zaszarżował, ale to coś wyskoczyło z powrotem w powietrze, próbując odlecieć. Kolejny granat eksplodował obok stwora, lecz ten mocno trzepotał skrzydłami i wzbił się wysoko. W ciągu kilku sekund już go nie było, zniknął w gęstwinie niskich chmur.

Idrian rozglądał się za nim, wstrzymując oddech, z mieczem gotowym do ataku. Sekundy mijały, a on nadal czekał. Następnie usłyszał jakiś dźwięk. To była Jorfax, krzyczała z bólu.

– To cholerstwo zwiąło! – zawołała. – Zabierzcie ze mnie tego konia!

Idrian opuścił miecz i rozejrzał się po towarzyszach. Mika stała nieopodal, z procą w pogotowiu, a Squeaks chwiejnie stawiała na nogi. Połowa żołnierzy była martwa. Oczy Idriana powędrowały w kierunku Braileera. Płatnerz był brudną płataniną; nieruchomą stertę mięsa.

– Mika! – zakrzyknął Idrian. – Pomóż Jorfax! – Sam zaś pospieszył w stronę Braileera, przeklinając niebiosa.



Posiadłość Zorlianich stanowiła jeden z najświetniejszych budynków w Ossie. Służyła niegdyś jako siedziba rodzinnej gildii Zorlianich, potężnej i szanowanej grupy, która w okresie swej świetności władała jedną czwartą miasta. Przez lata każda nowa matka i ojciec rodu dobudowywali kolejne skrzydło, rozbudowując nieruchomość z zamysłem odcisnięcia własnego piętna na bogatej, przesadnie eksponującej władzę, rodzinnej spuściźnie.

Kizzie nie za bardzo orientowała się w historii tej rodziny, ale w pewnym momencie rodzina Zorlianich po prostu się rozpadła i znikła. Dziesiątki jej członków popełniło samobójstwo, a pozostali zmienili nazwiska lub wyjechali z kraju. W ciągu niespełna jednego pokolenia rodzinna gildia Zorlianich przestała istnieć, pozostawiając po sobie wiele podupadłych przedsiębiorstw, tysiące hektarów wolnych terenów i samą posiadłość – potężny dowód ich chciwości i przepychu. Nikt nie chciał tej rezydencji. Nikt nie dbał też o jałowe tereny łowieckie, na których stała.

Kizzie i Montego dotarli na miejsce późnym rankiem, jadąc długą, żwirową drogą, kilka kilometrów na zachód od granic miasta. Dzień był pochmurny, wiatr mroźny i wilgotny, zwiastujący nadchodzącą z północy burzę. Montego prowadził, a Kizzie siedziała w powozie, chroniąc się od zimna i wpatrując w zarośnięty, splątany las okalający posiadłość. Pamiętała, że wybrała się tam za młodu, choć nie pamiętała z kim – być może z przyrodnimi siostrami – lecz nie dojechały dalej niż do połowy drogi i przestraszone zawróciły.

Montego nie zawrócił, a Kizzie obserwowała uważnie, jak przetoczyli się przez wzgórze, przejechali przez wąwóz i wokół masywnej skarpy. Żwir rozsypany na drodze nie był wymieniany od lat i większość porastała już roślinność, choć dało się zauważyć, że ścieżka była używana. W trawie znajdowały się wyraźne koleiny, usunięto powalone gałęzie, a mostek na dnie wąwozu został niedawno naprawiony. Ktoś ewidentnie korzystał z rezydencji.

Minęli skarpe i Kizzie po raz pierwszy dobrze przyjrzała się posiadłości oraz ogromnemu, zarośniętemu polu. Z tego, co pamiętała, ktoś kiedyś powiedział jej, że powierzchnię tego miejsca łatwiej liczyć w hektarach niż metrach kwadratowych. Jeśli miałyby opisać tę posesję jednym słowem, wybrałyby określenie „rozwlekleń”, ale nawet to nie oddawało jej rozmachu i wydawało się nieadekwatne. Rozpadająca się fasada budynku, wysoka na trzy piętra, ciągnęła się w nieskończoność w każdą ze stron i znikiała w gęstym lesie. Była połatana i brzydka, dobudówki wykonano w różnych stylach, co sprawiało, że od samego patrzenia bolały ją oczy, mimo iż nie miała zbyt wyszukanego zmysłu architektonicznego. Okna, w większości wybite, zabezpieczono ciężkimi kratami.

Kizzie odwróciła wzrok od posiadłości i skierowała go na koniec podjazdu. Przed wejściem stał tuzin zaparkowanych powozów. Do niektórych zaprzęgnięto już konie, tak jakby ktoś szykował się do odjazdu. Zwierzętami zajmowała się szóstka robotników ubranych w brudne tuniki. Pracownicy zamarli, gdy dostrzegli zbliżający się powóz, a w żołądku Kizzie narastał niepokój.

Powinni zabrać ze sobą armię – pięćdziesięciu egzekutorów Vorcienów i Grappów – ale Montego nalegał na natychmiastowe działanie, żeby nie dać Aristanesowi szansy na ucieczkę. Obecność

Montega dawała Kizzie poczucie niezwyciężoności, lecz mimo to sprawdziła, czy nadal ma miecz i sztylet przy pasie, a następnie upewniła się, że jej pistolet jest naładowany. Zatrzymali się. Powóz zakołysał się, gdy Montego z niego zeskoczył, otwierając Kizzie drzwi, tyłem do robotników.

Przyjrzała się im ponad jego ramieniem. Czterech mężczyzn. Dwie kobiety. Wyglądali jak zwykli nadzorcy każdej wielkiej posiadłości, choć ich niewidzące spojrzenie trochę ją zaniepokoiło. Żaden z nich nie wyglądał na uzbrojonego, lecz jeden powoli sięgnął po pałkę leżącą obok powozów.

Montego, odwrócony do nich plecami, sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek szkła mocy.

– Weź to – powiedział. – I użyj w razie potrzeby.

Samo dotknięcie tego szkła bożego sprawiło, że serce Kizzie zabiło szybciej z powodu emanującej od niego potężnej magii. Było gorące w dotyku, a jego magia zdawała się szumieć, wystarczyło tylko się w nią wsłuchać.

– Jest wysokorezonansowe – zauważyła, chowając odłamek przed spojrzeniami robotników. – Warte jest dwukrotność mojej rocznej pensji.

– I w ciągu czternastu minut może przyprawić cię o niezły trąd – odparł Montego.

– Nie chcesz zachować go dla siebie?

– Tylko by mnie spowolniło. Zbyt szybko wyzwala moją alergię. – Montego skinął głową, zachęcając, by je przyjęła. Tak też zrobiła i ponownie przeniosła spojrzenie na robotników. Jej wzrok padł na lewą rękę jednego z mężczyzn. Spodziewała się jakiegoś krzemowego symbolu, a może barw klienta na małym paznokciu. Zamiast tego dostrzegła tylko jeden mały tatuaż: nóż z różowym ostrzem, charakterystycznym dla szkła brzytwy.

– Widziałeś ich tatuaże? – zapytała.

Montego przytaknął.

– Szklane Ostrze. Wygląda na to, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

– Hej! – krzyknął mężczyzna, który jakiś czas temu sięgnął po pałkę. Uderzył nią o dłoń, a następnie skierował w ich stronę. – To teren prywatny.

– Nie ma śladu żołnierzy ani egzekutorów – szepnęła Kizzie. – Ale wątpię, by ten drań nie był uzbrojony. Zachowaj czujność. – Po czym zawołała już głośniejszym głosem: – Przybyliśmy zobaczyć się z Aristanese! – Wysiadła z powozu i stanęła obok Montega. Wyobrażała sobie, że tworzą dość osobliwą parę, zważywszy na różnicę we wzroście i ubiorze. Montego przykleił do twarzy taki sam uśmiech, jaki miał poprzedniej nocy, gdy pił w pubie, obserwując przechodzących gapiów. Nie miał ze sobą nic więcej poza trzymaną w dłoni laską. Już wcześniej oznajmił Kizzie, że to wszystko, czego tak naprawdę będzie potrzebował.

Robotnik spojrział niepewnie na swoich towarzyszy.

– Jesteście umówieni?

– Nie.

– W takim razie będziecie musieli odejść i wrócić, gdy uda wam się umówić spotkanie. Nasz mistrz nie lubi anonimowych gości.

– Nazywam się Mały Montego – rzekł Montego, prostując się. – Przedstawiłem się, więc nie jestem już dla ciebie anonimowy. A teraz powiedz mi, gdzie znajdę twojego mistrza. – Montego ruszył w kierunku drzwi. Kizzie zdecydowanie ulżyło, że przejął inicjatywę, i podążyła za nim, uważnie obserwując pozostałych robotników. Nie przyjechali z armią, jakiej pragnęła, ale dysponowali elementem zaskoczenia. Musiało im to wystarczyć.

Na skinienie przywódcy dwóch robotników rzuciło się do biegu. Jeden zniknął we wnętrzu budynku, podczas gdy drugi podążył wzdłuż fasady, co jakiś czas oglądając się przez ramię i pędząc przez zarośnięty kwiatowy ogród. Pozostała czwórka zagroziła Montegowi drogę.

– Musicie poczekać – oświadczył przywódca, rozkładając ręce. Sprawiał wrażenie świadomego swego nieracjonalnego zachowania. Miał szeroko otwarte oczy i bladą twarz. – Powiemy mistrzowi, że tu jesteście. Tylko... zaczekajcie!

Montego nie zwolnił kroku, podobnie jak Kizzie. Gdy już prawie dotarli do drzwi wejściowych, te otworzyły się niespodziewanie i na progu stanęła postać. Był to starszy mężczyzna, prawdopodobnie około pięćdziesiątki, o oliwkowej cerze rdzennego mieszkańca Ossy i krótkich, czarnych włosach. Jego czarna kozia

bródka była równo przystrzyżona, oczy miał brązowe i przesywające, a na ustach gościł niewielki uśmiech.

– Już dobrze, Joss. Zajmę się naszymi gośćmi. Wejdźcie, proszę.

Robotnicy rozeszli się, a Kizzie i Montega zaproszono do foyer. Był to ogromny hol, większy niż wszystkie, jakie widziała w dziesiątkach posiadłości rodzinnych gildii, z wysokim, trzypiętrowym sufitem i masywnymi schodami biegnącymi w górę po lewej i prawej stronie. Ale jedyne, co pozostało z okazałości tego pomieszczenia, to jego wielkość. Marmurowe podłogi były popękane, balustrady połamane, a wspaniały niegdyś żyrandol z przewodami gazowymi i lśniąącymi odłamkami szkła młota wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł runąć na ziemię.

– Jestem majordomusem Aristanesa – przedstawił się mężczyzna. – Mój mistrz zazwyczaj nie przyjmuje gości bez zapowiedzi, ale śmiem sądzić, że zrobi wyjątek dla Małego Montega i Kizzie Vorcien.

Kizzie poczuła, jak napina się każdy mięsień w jej ciele. Miała na dłoniach rękawiczki zakrywające krzemowy symbol, a jej twarz nie była na tyle znana, aby można ją było rozpoznać. To by było na tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia.

– Nie podałam swojego imienia.

Majordomus się uśmiechnął.

– A jednak wiemy, kim jesteś. Chodźcie za mną, proszę. – Ruszył szybkim krokiem, zmuszając ich do podążania za nim lub pozostania w tyle. Kizzie oparła jedną rękę na rękojeści miecza, a drugą położyła na pistolecie.

– Wiemy? – rzucił Montego. – Masz na myśli Szklane Ostrze?

Majordomus odpowiedział mu uprzejmym śmiechem, jakby Montego rozbawił go niesmacznym dowcipem. Kizzie nie wiedziała, jak to interpretować.

– Czyli wiesz, dlaczego tu jesteśmy? – zapytała.

– Myślę, że tak.

Rzuciła okiem na Montega, nie starając się ukryć rosnącego niepokoju. Kim byli ci ludzie? Jeśli wiedzieli, kim jest Montego i z jakiego powodu pojawił się tu z Kizzie, to dlaczego majordomus prowadził ich do swego mistrza? Myliła się co do nich? A może to

była pułapka? Albo majordomus gdzieś ich prowadził, podczas gdy jego mistrz szykował się do ucieczki? Tak czy inaczej, na końcu poleje się krew i wołałaby, żeby nie należała do niej. Powinna z większą stanowczością nalegać na tę armię.

Montego skinął uspokajająco głową, chwytając laskę w jedną rękę, a drugą trzymając z boku, gotów do starcia z każdym, kto mógłby ich zaatakować. Majordomus nadal się uśmiechał, prowadząc ich w głąb rezydencji. Kizzie, mimo że starała się zwracać na wszystko uwagę, po chwili straciła orientację. Zrobili sto kroków, przeszli sześć zakrętów i wyszli na długi, ogromny korytarz, którym podążali przez kolejne sto kroków. Istny labirynt z przejściami wiszącymi im nad głowami, niepołączonymi z żadnymi piętrami, czy schodami wiodącymi donikąd. Minęli przeszkloną salę gimnastyczną oświetloną wielkimi świetlikami. Choć było tam bardzo mało pozostałości po sypiących się ścianach – podłogi wydawały się regularnie zamiatane – wszędzie, gdzie tylko spojrzęła, widać było ślady rozkładu. Kruszyła się cegła, pękał marmur, tynk już dawno pożółkł i przeciekł. Freski wyblakły, a nieliczne dywany się przetarły.

– Powiedziano mi, że Aristanes jest zagranicznym kapłanem – zagaiła Kizzie.

– Jest kapłanem Horuthego – odparł majordomus. – Znanego purnijskiego boga śmierci. Kojarzysz go?

Imię to wydawało jej się znajome, wywoływało pewne wspomnienia, jakby widziała je kiedyś na kapliczce we wszechświętyni, lata temu.

– Nie.

– Horuthe jest dobrym bogiem – stwierdził majordomus. – Hojnym bogiem. Ośmielę się zasugerować, żebyście zapalili mu świecę, kiedy następnym razem będziecie się modlić.

– Jeśli w ciągu najbliższych kilku minut nie znajdziemy Aristanesa – powiedział uprzejmie Montego – osobiście będziesz mógł się dowiedzieć, czy twój bóg jest w rzeczywistości tak wspaniałomyślny, czy nie.

– Och, panie Montego – rzekł majordomus lekkim i przyjaznym tonem. – Już niedługo. Proszę o odrobinę cierpliwości.

Kizzie stopniowo uświadamiała sobie, że nie są sami. Byli śledzeni i obserwowani. Zza uchylonych drzwi wyglądały twarze, a z końców długich korytarzy dobiegał ją od czasu do czasu stukot kroków. Usłyszała też odległy trzask zamykanych wrót. Zaschło jej w ustach, zaś uczucie, że ktoś celowo ich dekoncentruje, jedynie się wzmoгло.

W końcu Kizzie stanęła pośrodku korytarza, łapiąc Montega za rękaw. Zatrzymał się, spoglądając to na nią, to na majordomusa. Ich przewodnik dopiero po kilku krokach zdał sobie sprawę, że już za nim nie idą.

– Ty jesteś Aristanesem – rzuciła oskarżycielsko Kizzie.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej szeroko i otworzył drzwi.

– Zapraszam do mojego biura. Wydaje mi się, że ma pani wiele pytań.

Wszedł do środka, nie odpowiadając na jej oskarżenie. Kizzie wyciągnęła rękę, żeby zatrzymać Montega, i podeszła do drzwi, po czym zajrzała do środka. Ku jej zaskoczeniu pomieszczenie wyglądało jak standardowy gabinet członka rodzinnej gildii. Miało sklepiony sufit, obszerne półki z książkami, masywne dębowe biurko, a za nim jeden z tych wielkich kominków, do którego można było wejść bez schylania. Nie palił się ogień, ale biuro wyglądało na używane i zdawało się odnowione, podczas gdy reszta domu pozostała ruiną. W pokoju nie było nikogo czekającego na nich z zasadzką. Skinęła na Montega i oboje weszli do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

– A więc to ty jesteś Aristanesem, tak?

– Tak.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto obawia się o swoje życie.

Aristanes uśmiechnął się do nich protekcjonalnie i stanął za biurkiem.

– Napilibyście się czegoś? – zapytał.

Kizzie przyjrzała się dokładnie gabinetowi, szukając pułapek, jakie można znaleźć w tanich powieściach grozy – zatrutych strzałek, zapadni skrywających wilcze doły czy podejrzanych świeczników. Nic w tym pokoju nie wydawało się jednak niezwykle. Montego stał pośrodku gabinetu, trzymając w rękach laskę i wpatrując się w Aristanesa bystrymi, przepełnionymi przemocą

oczami. Kizzie zastanawiała się, czy ten sprytny, stary kapłan wie, że Montego jest o krok od furii. Zrezygnowała z poszukiwań i stanęła obok Montega. Jeśli ten drań myślał, że taki z niego spryciarz, to niech mu będzie. Nadszedł czas na przesłuchanie, a wszystkim zajmą się ona i Montego. Włożyła rękę do kieszeni, gotowa w razie potrzeby wyjąć z niej szkło dyscypliny otrzymane od Demira.

– To ty zorganizowałeś zabójstwo Adriany Grappo? – zapytała.

– Tak. – Odpowiedź nadeszła momentalnie, bez chwili zawahania czy złośliwości.

Kizzie zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

– Dlaczego? – Stojącemu obok niej Montegowi pobiełały knykcie u dłoni, w której trzymał laskę.

– Zawarłem z Adrianą pewną umowę – odparł Aristanes, rozkładając ręce. – Złamała ją, więc musiała ponieść konsekwencje. Liczę, iż zdajesz sobie sprawę, że to nic osobistego.

– To, co się zaraz wydarzy, będzie bardzo osobiste – warknął Montego, robiąc krok do przodu.

Aristanes uniósł dłoni.

– Daj spokój. Przejechałeś taki kawał, aby uzyskać odpowiedzi, a teraz nie chcesz nawet na nie poczekać?

Nie trzeba było geniusza, by się zorientować, że Aristanes grał na zwłokę. Tylko po co? Nawet gdyby trzymał w posiadłości setki akolitów – a mógł – to nie uchroniliby go oni przed gniewem Montega. Kizzie pozwoliła ciekawości wziąć nad nią górę.

– Powiedziałeś, że mieliście umowę, tak?

– W rzeczy samej. Nasz układ był prosty: ona nie będzie się wtrącać w działania Szklanego Ostrza, a Szklane Ostrze nie będzie się wtrącać w działania Grappów. Całkiem dobry układ, biorąc pod uwagę, jak wielkie i potężne jest Szklane Ostrze. Podobny do tego, który w tym tygodniu zaproponował ci mój sługa.

Wspomnienie zwłok Goriana i jego towarzyszy z Gwardii Narodowej sprawiło, że w Kizzie zawrzała złość.

– Szklane Ostrze. – Splunęła. – Podejrzana organizacja przestępcza ukrywająca się pośród Stowarzyszeń Fulgurytów.

– Uważam, że nazywanie nas organizacją przestępczą jest nieco poniżające – rzekł Aristanes, sprawiając wrażenie szczerze

urazonego. – Szklane Ostrze to klub towarzyski, taki sam jak każdy inny. Mamy po prostu nieco większe ambicje.

– Ach tak? – dociekała Kizzie. – Niby jakie?

– Podżeganie do wojen. Przyspieszanie upadku gospodarczego. Obalenie imperiów. – Aristanes obdarzył ją czymś, co w innych okolicznościach mogłoby uchodzić za bezczelny uśmiech, w tej chwili jednak wydawało się wyjątkowo złowrogie.

– Zabiłeś Adrianę, żeby rozpętać wojnę z Grentem? – Kizzie z trudem łąpała oddech, a jej klatka piersiowa była niezwykle spięta.

– Och, i tak byśmy ją rozpętali. To przecież najlepszy sposób na zdestabilizowanie sytuacji w danym regionie. Jak już wspominałem, Adriana zginęła, bo złamała umowę. I potem zwyczajnie wykorzystałem jej śmierć do realizacji własnych celów.

– W jaki sposób złamała waszą umowę? – zagrmiał gniewnie Montego.

Aristanes zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem. Nadal miał na twarzy ten bezczelny uśmieszek, jakby w ogóle nie obawiał się nieuchronnej śmierci.

– Obiecała, że nie będzie się wtrącać, a później zaczęła szukać potworów.

– Jakich potworów? – zażądała odpowiedzi Kizzie.

– Potworów takich jak ja – mruknął Aristanes. – I takich jak on. – Wskazał na drzwi.

Kizzie odwróciła się, a tuż za nimi stał Wysoki Mężczyzna. Wyglądał identycznie jak przed kilkoma dniami w wartowni, miał nawet na sobie to samo ubranie, a kiedy wchodził do gabinetu, musiał się schylić. Kizzie nie czekała, aż zrobi kolejny krok. Wyciągnęła pistolet i strzeliła mu w twarz.

Następnie wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie. Huk wystrzału był ogłuszający i momentalnie wypełnił całe pomieszczenie czarnym dymem. Głowa Wysokiego Mężczyzny odskoczyła do tyłu, a nim Kizzie odwróciła się do Aristanesa, kapłan uderzył pięścią w biurko i... zniknął.

– Musiał uciec przez zapadnię! – krzyknęła Kizzie, przeskakując nad biurkiem w momencie, gdy kawałek marmuru wracał na miejsce, zamykając się tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał Aristanes. Mimo że udało jej się dostrzec znikającą pod podłogą

przestrzeń, z trudem mogła odnaleźć właściwy fragment włazu. Uderzyła pięścią w biurko, próbując uruchomić mechanizm, który pozwolił kapłanowi na ucieczkę. Nic się jednak nie stało. Montego podszedł do niej i upadł na kolana, paznokciami chwytając za krawędzie, a następnie trzasnęła laską o marmurową posadzkę.

– A niech to szkło! – zaklął głośno. – Chodź! Musi być gdzieś na terenie posiadłości! Nadal możemy...

Zobaczyli to w tym samym momencie. Wysoki Mężczyzna, którego Kizzie z pewnością postrzeliła w twarz, nie upadł. Stał z rękami opartymi o framugę i odchyloną do tyłu głową. Powoli wracała ona na miejsce, ukazując kulę wbitą w policzek. Strzał wyrwał ogromny kawał skóry, a z rany ciekła czarna jak smoła krew, zabarwiona żółcią sączącą się z szarego ciała.

– Staraliśmy się działać rozsądnie – powiedział Wysoki Mężczyzna. Po czym chwycił płat rozdartej skóry i pociągnął. Odeszła od ciała jak spalona słońcem warstwa, rozciągliwa i przezierna, a spod niej wyłoniła się szara tkanka, wyskakująca z różowego ciała niczym grubas rozpinający gorset. Najpierw wysunęła się prądkowana, wijąca się macka, a następnie odpadła druga połowa twarzy, ukazując tuzin miotających się wypustek, okalających szarą brodę bestii.

Kizzie nie mogła zebrać myśli ani skupić się na grozie sytuacji. Przywarła do ściany i drżącymi palcami próbowała naładować pistolet. Montego zawył i rzucił się przez biurko, wymachując laską z osłepiającą szybkością. Wysokiemu Mężczyźnie udało się ją złapać, lecz lewa pięść Montega trafiła go w brzuch. Wysoki Mężczyzna chrząknął, zataczając się do tyłu, i zdołał odeprzeć kolejny cios. Ich ręce zwarły się z niemożliwą do pokonania mocą, a Montegowi udało się wypchnąć go za drzwi. Kizzie skorzystała z okazji, wybiegając z klaustrofobicznego gabinetu i wydostając się na korytarz, gdzie mogła cokolwiek zrobić. Zrezygnowała z przeładowywania pistoletu i wyciągnęła sztylet.

Montego uderzył głową w mackowatą twarz Wysokiego Mężczyzny. Raz, potem drugi i trzeci, zanim potwór wycofał się, robiąc kilka kroków w tył. Pluł i kłął, a mimo że intencje wypowiedzanych słów były jasne, język, jakim się posługiwał, był zniekształcony i wydawał się Kizzie zupełnie nieznanym. Wysoki

Mężczyzna przypominał chodzące zwłoki, jego głowa była nienaturalnie wielka, rozdęta i zwisała z niej płaty skóry. Wydając z siebie przerażający wrzask, chwycił rękoma za dyndające tkanki i mocno pociągnął. Wylało się z niego więcej szarej tkanki, a potem wyłoniły się jeszcze dwa ramiona, machające i rozciągające się, jakby zbyt długo tkwiły uwiecznione w ludzkim ciele. Kizzie stłumiła wymioty.

Montego odsunął się od potwora, trzymając laskę w górze jak święty symbol. Kizzie odwróciła się w jego stronę i wrzasnęła:

– Uciekaj!



Thessa mogłaby sądzić, że nic już nie jest w stanie jej zaskoczyć. Tak wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni: od ataku na hutę szkła, przez uratowanie z obozu pracy i śmierć Kastory, po morderstwo Axia czy zamieszki. Nawet zbliżenie się do patriarchy rodzinnej gildii, którego ledwo co знаła. Wystarczyłoby wrażeń na całe życie. Powinno ją to też uodpornić na dzikie koleje losu. Tak się jednak nie stało.

Siedziała wewnątrz latarni morskiej obok ogniska i wsłuchiwała się w cichy odgłos grzmotów. Miała skrępowane za plecami ręce, a tuż za nią stał kapitan Hellonian ze Smoków Kerite, ogrzewający dłonie przy płomieniach. Uśmiechając się uprzejmie, rozmawiał z dwoma towarzyszącymi mu dragonami i nie zwracał uwagi na zakładników spoczywających u jego stóp. Pari i Tirana siedziały związane pod ścianą. Z rany na głowie Tirany nadal sączyła się krew – ucierpiała podczas starć przy barykadach – i patrzyła na Helloniana z wściekłością, z której Thessa starała się czerpać siłę.

– Jak udało ci się przekabacić moich egzekutorów? – zażądała wyjaśnień. – Jak udało ci się przekonać tak wielu? Zapłaciłeś im?

Zaszantażowałeś ich? Mów, do cholery!

Od kilku godzin zadawała te same pytania. Nikt jej nie odpowiadał. Zdawali się jej nie słyszeć. Thessa wpatrywała się w swoje kolana, zmagając się z własną wściekłością. Z grupy trzydziestu sześciu towarzyszących im egzekutorów dwunastu odpowiedziało na sygnał Breenena. Zaskoczenie, jakie wywołała ich zdrada, wystarczyło, aby pomóc im wygrać krótką walkę, którą stoczyli. Na zewnątrz leżało co najmniej dwadzieścia ciał, bo każda ze stron konfliktu poniosła straty. Reszta wiernych egzekutorów, w większości ciężko rannych, siedziała przy latarni, bacznie obserwowana.

Wściekłość Thesy nie dotyczyła jednak martwych przyjaciół Tirany. Chodziło o portal feniksa. Leżał uśpiony zaledwie kilka metrów od niej, wciąż podłączony do miedzianych przewodów. Grzmoty zdawały się otaczać ich ze wszystkich stron, ale nadal nic nie uderzyło w piorunochron. Tylko czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Portal feniksa już do niej nie należał. Należał do tych dragonów i ich pani.

I do niego. Thessa zmrużyła oczy, patrząc na Breenena wchodzącego do pomieszczenia. Nie miała nic przeciwko temu, żeby Tirana ganiła swoich żołnierzy. Ona miała za to ochotę zepchnąć Breenena z klifu i z uśmiechem na ustach obserwować jego upadek. Stary konsjerż zatrzymał się tuż obok, rzucił przelotne spojrzenie na zakładników, potem podszedł do kapitana Helloniana.

– A ty! – warknęła Tirana, skupiając się na Breenenie. – Jak mogłeś to zrobić? Zdradziłeś swych pracowników, swego pana, swoich przyjaciół. Ci ludzie na tobie polegali!

Podczas gdy jej tyrada zdawała się służyć po Hellonianie jak po kacze, Breenen się wzdrygnął.

– Ostrzegałem cię, Tirano. Jeśli chcesz wyjść z tego cało, lepiej się zamknij.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Myślisz, że uwierzę w choćby jedno twoje słowo? Jesteś zdrajcą i... – Jeden z dragonów wstał nagle od ognia, przeszedł przez pomieszczenie i kopnął ją mocno w brzuch. Kobieta osunęła się na ziemię, dysząc.

– Nie musiałeś tego robić – rzucił Breenen do dragona.

– Nie ty to zrobiłeś – odpowiedział mu spokojnie mężczyzna.

– Staraj się trzymać swoich żołnierzy na wodzy – zażądał Breenen od kapitana Helloniana.

Kapitan tylko wzruszył ramionami.

– Ten dźwięk stawał się irytujący.

– To jedźmy stąd – rzekł Breenen. – Mamy portal feniksa, mamy hutniczkę. Zabierzmy ich, a resztę zostawimy Demirowi do odkrycia.

– Jak niby ma cokolwiek odkryć, skoro będzie już martwy? – Hellonian rozejrzał się po pomieszczeniu, a następnie przeszukał swe kieszenie. Wyciągnął skręconego wcześniej papierosa, przytknął go do rozżarzonego węgla u podstawy ognia i podpalił. – Generałka Kerite właśnie go atakuje. Zrobi z jego armii mielonkę. Wieczorem zdecyduje, co zrobimy z resztą. – Wskazał od niechcienia na Pari i Tiranę.

– Mam umowę z twoim mistrzem – warknął Breenen. – Przekażę portal feniksa Szklanemu Ostrzu, a w zamian zostawi rodzinną gildię Grappów w spokoju. Kerite jest tak samo związana warunkami tej umowy jak cała reszta waszej przeklętej organizacji.

Hellonian uniósł ręce w uspokajającym geście.

– Nie znam szczegółów. Jeśli Kerite obiecała oszczędzić Demira, to go oszczędzi. Wysłałem już posłańca, aby przekazał jej, że przejęliśmy mechanizm.

Thessa przeknęła głośno. Czego mogła od niej chcieć najemna generałka? Po co jej portal feniksa? I czym było Szklane Ostrze, o którym mówili?

– Nie powinieneś być przypadkiem przy swojej pani, pomagając jej wygrać bitwę? – zapytała.

Hellonian spojrział na nią z góry i obdarzył uśmiechem, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za czarujący.

– Zostaliśmy oddelegowani tutaj – odparł. – Purnijska Smoczyca ma wszystko dokładnie zaplanowane. Jeśli twierdzi, że nie potrzebuje dodatkowych stu dragonów, aby wygrać bitwę, to oznacza, że ich nie potrzebuje.

– I myślisz, że zdoła pokonać Demira?

Hellonian przewrócił oczami.

– Oczywiście. Stawiała czoła potężniejszym przeciwnikom i zawsze wychodziła z tego obronną ręką. A ty, moja droga hutnicza

przyjaciółko, będziesz miała przyjemność poznać ją tuż przed świtem.

– Dlaczego? – dociekała Thessa. – Dlaczego jej na tym zależy?

– Nawet Kerite podlega większemu mistrzowi, a on nie podał mi żadnych szczegółów – oznajmił Hellonian. – Po prostu wykonuję rozkazy mojej pani. – Spojrzał z powrotem na Breenena. – Przed podjęciem jakichkolwiek dalszych kroków Szklane Ostrze chciałoby wiedzieć, czy portal feniksa w ogóle działa. Zostaniemy więc na miejscu, dopóki nie przybędzie Kerite, albo do czasu, aż nie przeprowadzimy testu. Nic więcej nie potrzeba, prawda? Po prostu czekamy na uderzenie pioruna? – Pytanie było skierowane do Thesy. Odwróciła od niego twarz. Po co dawać mu satysfakcję ze współpracy? Po co cokolwiek mówić? Zastanawiała się, jak długo zdoła zachować jakikolwiek upór. Ile czasu minie, nim będzie zbyt zmęczona tymi wszystkimi manewrami i podstępami?

Gdy rozglądała się po pomieszczeniu, jej wzrok padł na portal feniksa. Był zabezpieczony jedynie miedzianymi przewodami – piorunochronem i uziemieniem. Jak trudno byłoby go odczepić, wyciągnąć na zewnątrz i wrzucić w przepaść? Ta myśl zaczęła kiełkować w jej głowie, więc odwróciła się z powrotem do Helloniana.

– Daj mi papierosa – zażądała.

Uniósł brwi.

– Taka jest cena za odrobinę uprzejmości? – zapytał.

– Tak.

– W takim razie z przyjemnością ją zapłacę. – Wyciągnął z kieszeni kolejnego papierosa, odpalił go od pierwszego, a następnie przyłożył do kącika jej ust.

Thessa zaciągnęła się, czując na języku smak smoły. Wypuszczała dym nosem.

– Tak – rzuciła. – Nic więcej nie trzeba robić.

– Nic mu nie mów – wydusiła Tirana przez zaciśnięte zęby.

– Och, daj spokój. My wygraliśmy, ty przegrałaś. Czas się z tym pogodzić. – Hellonian uśmiechnął się do trójki zakładniczek. – Szklane Ostrze jest litościwe. Nie będę udawał, że znam umysły moich przełożonych, ale przypuszczam, że do końca tygodnia będziecie już dla nich pracować. Tak będzie dla was po prostu

łatwiej. – Poklepał protekcyjnie Thessę po głowie. – Życzę pani smacznego papierosa, pani hutniczko. – Thessa oparła się chęci ugryzienia go w rękę.

Drzwi do latarni otworzyły się, a przemoczony dragon w płaszczu przeciwdeszczowym wsunął głowę do środka.

– Kapitanie! Na południowym wschodzie pojawił się prześwit w chmurach. Jeśli weźmie pan ze sobą szkło powiększające, zobaczy pan bitwę!

– Jak się prezentuje?

– Ciężko cokolwiek powiedzieć.

Hellonian zgasił papierosa w ogniu.

– Mieście na nich oko – rzucił do pozostałych dwóch dragonów i wyszedł za podwładnym. Thessa oparła się, uważając, aby nie zgasł jej papieros. Pozostali dwaj dragoni podeszli do drzwi, otworzyli je i opierając się o futrynę, obstawiali, ile ofiar pochłonie pobliska bitwa. Breenen siedział przy małym okienku z widokiem na ocean i wpatrywał się w dal.

Thessa uchwyciła spojrzenie Pari, kiwając lekko głową w stronę Tirany. Pari zmrużyła oczy. Szturchnęła łokciem hotelową oficerkę. Tirana uniosła głowę. Thessa zerknęła na Pari, potem na Tiranę, a następnie znacząco popatrzyła na dwóch dragonów. Miała nadzieję, że zrozumiały jej wiadomość.

– Breenen – zawołała Thessa, przesuwając się tak, by usiąść na zgiętych nogach.

– Daruj sobie – odezwał się Breenen. – Jeśli planujesz psioczyć na mnie jak Tirana, to równie dobrze możesz to zrobić później.

Thessa podniosła się, zachwiała i prawie zgubiła papierosa, potem odwróciła się, by spojrzeć Breenenowi w oczy.

– Nie – oparła, nadal trzymając papierosa w kąciку ust. – Jesteś mi winien wyjaśnienia.

W końcu spojrzął w jej stronę.

– Usiądź, Thesso.

– Nie usiądę, dopóki nie zaczniesz mówić! – Jeśli stojący przy drzwiach dragoni przejęli się tym, że Thessa powstała, nie dali tego po sobie poznać. Kontynuowała: – Spójrz na mnie! Chcę, żebyś spojrzął mi w oczy i wyjaśnił, dlaczego zdradziłeś Demira. Byłeś dla niego jak ojciec. Ufał ci bardziej niż komukolwiek innemu. Jak

mogłeś mu to zrobić? – Mówiąc, obeszła portal feniksa i stanęła między nim a Breenenem. Sięgnęła do tyłu, wyczuwając związanymi dłońmi blaszaną obudowę.

Breenen westchnął i wstał.

– Jesteś grenką hutniczką – burknął. – Czyli nikim. Nie jestem ci nic winien.

– A Tiranie? Albo tym wszystkim zamordowanym i rannym egzekutorom? A Adrianie? – Breenen się wzdrygnął. Bingo. Znalazła jego słaby punkt. – Ją też zdradziłeś? Byłeś jednym z sześciu zabójców, którzy zatłukli ją na śmierć na schodach prowadzących do siedziby Zgromadzenia?

Spokojna, zmęczona postawa Breenena nabrała surowości.

– Pamiętasz naszą rozmowę sprzed kilku dni? Kiedy zapytałaś mnie o spuściznę?

– Oczywiście. Odpowiedziałeś, że twoją będzie przetrwanie.

– I nie kłamałem. – Breenen ze smutkiem popatrzył w stronę drzwi. – Przez lata pomagałem Adrianie wykorzenić Szklane Ostrze. Jakiś czas sam ich nawet infiltrowałem. Wszystkie nasze plany i cała praca, którą w nie włożyliśmy, zaowocowała jedynie śmiercią Adriany. Nie da się walczyć z tak potężnymi ludźmi jak oni. Najlepsze, co możesz zrobić, to zawrzeć z nimi układ. Przekazanie im ciebie i portalu feniksa to jedyny sposób, by zabezpieczyć przyszłość Demira. Ja i ty nie zapiszemy się na kartach historii, ale dzięki szansie, jaką dałem Demirowi, rodzinna gildia Grappów będzie miała ku temu okazję.

– Brzmisz jak tchórz – rzuciła Tirana.

– Być może. Nie widziałaś jednak tego, co ja widziałem, i nie wiesz tego, co ja wiem.

– To mi o tym opowiedz – ponagliła go Thessa. – Opowiedz o tym Demirowi. Kim są członkowie Szklanego Ostrza? Dlaczego nic o nich nie wspomniałeś, skoro twierdzisz, że to oni zabili Adriane?

– Nie wspomniałem o nich, bo Demir jest jeszcze dzieckiem; kruchym, zmiennym. – Zwrócił się do Tirany. – Widziałaś przecież, co zrobił, gdy dowiedział się o Capricu. Jego gniew zniszczyłby ród Grappoów, gdyby stanął przed wrogiem, którego siły nikt z nas nie może pojąć.

Thessa odnalazła palcami połączenie na końcu portalu feniksa. A następnie najdelikatniej jak umiała wybadała złączkę.

– Dlaczego miałybyśmy ci wierzyć? Zdradziłeś nas. Zdradziłeś Demira. Adrianę też zdradziłeś? Czy to ty doprowadziłeś do jej śmierci?

– Uważaj na słowa. – W wypowiedzi Breenena wreszcie pojawiły się emocje.

– Założę się, że byłeś jednym z tych spiskowców, którzy ją zamordowali – wyrzuciła z siebie, zaciskając palce na złączce.

Stopniowe drażnienie przyniosło wreszcie spodziewany skutek: Breenen przebiegł nagle przez pomieszczenie i chwycił Thesse mocno za podbródek, przyprawiając ją o szybsze bicie serca.

– Kochałem ją – wysyczał. – Nigdy nie podniosłbym na nią ręki. To, co teraz robię, robię dla Demira i to ze względu na nią. Nigdy tego nie zrozumiesz. Myślisz, że zszywałem na deszczu rannych egzekutorów, bo chciałem ich skrzywdzić? Nie! Nie miałem wyboru. Nie...

Thessa mocniej ścisnęła miedziany przewód. Jednym ruchem wypluła iskrzącego się papierosa prosto w twarz Breenena i mocno szarpnęła za złączkę. Zachwiał się do tyłu, charcząc i kaszląc. Dwaj dragoni odwrócili się w ich stronę, ale tylko się roześmiali. Thessa przesunęła stopą miedziany przewód z dala od portalu feniksa.

– A niech cię szkło! – warknął Breenen, podnosząc rękę na Thesse. Wyglądał, jakby walczył ze sobą, po czym ją opuścił i starł popiół z twarzy. – Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem. Przez co przeszła Adriana. Co cię to w ogóle obchodzi? Jesteś holikańską sierotą. Wszystko, co rani Demira, powinno sprawiać ci radość.

– Miało mnie to urazić? – spytała Thessa, dumna z tego, jak opanowany był jej ton. – Słabo ci poszło. Demir powiedział mi o Holikanie. – Uniosła podbródek. – Wybaczyłam mu tę niewielką odpowiedzialność, jaką tak naprawdę za to wszystko ponosi.

– Ha! A więc jesteś silniejsza, niż myślałem. Dobrze. I tak nie ma to żadnego znaczenia. Nie jesteś członkiem rodzinnej gildii Grappów. Od teraz twój los spoczywa w rękach Kerite i Szklanego Ostrza, to oni zdecydują, co z tobą zrobić. – Zamilkł na chwilę, zmarszczył brwi, a jego wzrok padł na podłogę. – Dlaczego portal feniksa nie jest uziemiony?

Thessa machnęła nogą, kopiąc Breenena w kolano najmocniej, jak tylko potrafiła. A nie było to łatwe z rękoma związanymi na plecach. Zachwiała się, potknęła o przewód uziemiający i wpadłaby prosto w ognisko, gdyby nie udało jej się przez nie przeskoczyć. Ostatecznie wylądowała ciężko na posadzce, tracąc oddech.

– Ej! – zawołał jeden z dragonów. – Przestańcie! – Odwrócił się w końcu, aby włączyć się do sprzeczki. Stał nad Thessą przez moment, po czym wybałuszył oczy, a z jego ust wydobyło się krótkie sapnięcie. Za nim stała Tirana, która zdążyła wyswobodzić się już z więzów i trzymała w ręku niewielki nóż. Dźgnęła mężczyznę jeszcze dwa razy, a następnie skoczyła szybko, wbijając ostrze w szyję drugiego dragona, gdy ten próbował dobyć miecza.

Thessa przewróciła się boleśnie na bok, usiłując klęknąć.

– Przetnij moje więzy – poprosiła Tiranę. – I odczep drugą złączkę. Wolę wyrzucić ten szkolerny portal do oceanu, niż dać go tym dupkom ze Szklanego Ostrza. – Podparła się nogą, spróbowała wstać i upadła. Po raz kolejny starając się podnieść, zobaczyła Breenena trzymającego w dłoni pistolet. Mierzył do całej trójki.

– Nie chcę was zabijać, ale zrobię to, jeżeli będę musiał – powiedział. – Podłącz portal feniksa z powrotem do przewodu uziemiającego. Nie pozwolę ci wrzucić go do oceanu.

– Szklan się – warknęła Thessa.

Tirana wyprostowała się, gotowa do skoku, nie zważając na broń.

– Twierdzisz, że robisz to dla Demira, ale czy wyobrażasz sobie, co zrobi, gdy się o tym dowie?

– To nie ma żadnego znaczenia – odrzekł Breenen. – Będzie żył. Tylko na tym mi zależy.

Tirana przestępowała z nogi na nogę. Latarnią wstrząsnął potężny huk, a przez małe okienko Thessa dostrzegła błysk. Spojrzała na przewód uziemiający, potem na portal feniksa, a na końcu na piorunochron. Nagle coś do niej dotarło. Przewróciła się na plecy, kopiąc obiema stopami w portal. Zaszurał po podłodze.

– Nie zepsuj tego! – krzyknął Breenen.

Thessa kopnęła ponownie. Portal feniksa przesunął się teraz w kierunku drzwi i około setki dragonów obserwujących bitwę na

zewnątrz.

– Szkło potęgi wzmacnia magię – rzuciła do Breenena. – Ciekawe, czy wzmocni też piorun. – Latarnią wstrząsnął kolejny grzmot, a zaraz po nim następny. Błyskawice pojawiały się już wraz z grzmotami. Dokładnie na szczycie Kuźni.

– Niczego nie dotykaj! – Breenen ukląkł, wyrывая drugi pistolet z dłoni martwego dragona i celując nim w Tiranę. – Odlóźcie wszystko na miejsce albo zabiję was obie.

– Nie – wyrzuciła z siebie Thessa. Koniec z chowaniem się. Koniec z byciem zastraszaną i więzioną. – Nie jestem niczyją niewolnicą.

– W porządku – odparł Breenen, unosząc podbródek. Pociągnął za spust, a huk wystrzału wypełnił pomieszczenie. Thessa poczuła, że coś ją przeszywa, wyrывая oddech z piersi. Było to jak stłumiona świadomość, po której nastąpił ostry, dojmujący ból. Tirana skoczyła w stronę Breenena, wymachując nożem, a Pari rzuciła się, wciąż związana, ku Thessie. W latarni rozległ się drugi strzał z pistoletu. Tirana potknęła się i upuściła nóż.

Drzwi nagle się otwały. Stał w nich kapitan Hellonian z pistoletem gotowym do strzału.

– Co tu się, szklorwa, dzieje?

Thessa napotkała jego spojrzenie, wciąż próbując zrozumieć ogarniający ją ból. Mężczyzna zmarszczył brwi, pokręcił głową i otworzył usta. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Thessa poczuła, że wszystkie włosy na jej ciele stają dęba. Przez krótką chwilę uszy wypełniał jej szum, a potem Hellonian rozpadł się w oślepiającym świetle.



Kizzie nadal wrzeszczała: „Uciekaj!”. Nie była jednak pewna, czy robi to, by pomóc Montegowi, czy aby zmusić się do działania i odciągnąć umysł od potworności, której przed chwilą doświadczyła. Mimo to posłuchała siebie i chłonąc całą magię szkła mocy, biegła na tyle szybko, na ile pozwalały jej nogi. Musieli wydostać się z tego ogromnego labiryntu, wyjść na otwartą przestrzeń i znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Tuż za nią słychać było odgłos ciężkich kroków Montega, a także krzyk tego nadprzyrodzonego stworzenia, pędzącego za nimi. Skręcając, dostrzegła jego masywne kończyny rozrywające resztki ludzkiej skóry i odsłaniające pofalowane, sinawe jak u topielca ścięgna. Za potworem, niczym rój szczurów podążających jego śladem, biegły dziesiątki akolitów uzbrojonych w noże i pałki. Z głębi budynku rozbrzmiewała kakofonia okrzyków; wyglądało na to, że przez zwolenników Aristanesa przetoczyła się fala niepokoju. Za każdym zakrętem było ich coraz więcej, biegli w ich stronę długimi korytarzami, wylaniali się z pokoi, pojawiali się na balkonach, podczas gdy Kizzie desperacko próbowała znaleźć

wyjście z posiadłości. W oknach były jednak kraty, a drzwi pozostawały zamknięte.

– Skąd my, szklorwa, przyszliśmy? – krzyknęła przez ramię do Montega.

Pałkarz nie odpowiedział. Jego ciężki oddech był niemal tak donośny, jak otaczające ich krzyki. Wyrwał mu się z płuc. Kizzie wydawało się, że rozpoznaje korytarz, skręciła więc szybko, co pozwoliło jej rzucić okiem w kierunku sunącego za nimi stwora. Zdarł już z siebie większość ludzkiej skóry i górował nad nimi, ze wzrostem ponad dwa i pół metra i szerokością tułowia przekraczającą obwód Montega. Był potężny i szczerzył się do nich szczerbatym uśmiechem na makabrycznie mackowatej twarzy.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że popełniła błąd i że wybrany przez nią korytarz prowadził ich jeszcze dalej w głąb posiadłości. Dostrzegłszy ciężkie drzwi mogące zaprowadzić ich do wyjścia, rzuciła się na nie, wślizgując się do środka i przytrzymując je na tyle długo, by Montego podążył za nią, a następnie je zatrzasnęła. Wraz z Montegiem naparli na drzwi od środka. Po drugiej stronie rozległ się potężny grzmot, na tyle mocny, żeby rozsadzić całą futrynę. Ale ta jakimś cudem wytrzymała, a Kizzie zaryglowała wrota i cofnęła się.

– Och, Kizzie – wydyszał Montego.

Odwróciła się i zobaczyła, jak rozgląda się po pokoju, a jej przerażenie spotęgowało się, gdy uświadomiła sobie, że to pomieszczenie donikąd nie prowadzi. Był to gabinet, nieco mniejszy niż ten Aristanesa, z ciężkimi kratami w wąskich oknach, kilkoma pustymi, zniszczonymi półkami na książki i zakurzonym, gnijącym biurkiem.

– O nie – wyszeptała. Z przerażenia ledwo mogła skupić myśli; zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu szkła harmonii, kiedy uświadomiła sobie, że ma je już w uchu. Rozległo się kolejne potężne łupnięcie w drzwi, wstrząsające całym pokojem i sprawiające, że z sufitu posypał się gipsowy pył. Stwór wrzasnął coś, co przypominało słowa w jakimś niezrozumiałym języku. – Co robić, co robić, co robić? – powtarzała nieustannie, jakby miało im to w czymkolwiek pomóc. Odwróciła się do Montega, drżały jej ręce. –

Przepraszam, Mały. Bardzo cię przepraszam. To nie tak miało się... – Urwała. Coś w Montegu wyrwało ją z panicznego amoku.

Jego twarz była spokojna, a oczy zamyślane. Montego rozglądał się metodycznie po pomieszczeniu.

– Jesteś wystarczająco szczupła, żeby prześlizgnąć się przez te kraty. Wystarczy tylko wybić szyby w tych oknach. Możesz sprowadzić pomoc albo zwabić to coś na światło dzienne.

– Co... co? Nie zostawię cię tu. – Nie sądziła, że cokolwiek może przerazić ją jeszcze bardziej, ale wizja opuszczenia Montega sprawiła, iż tak właśnie się poczuła.

– Jak chcesz – odparł Montego. Pełnym wdzięku, wyćwiczonym ruchem zdjął z siebie marynarkę, potem tunikę i złożył obie rzeczy, a następnie położył na podłodze. Miał na sobie jedynie długie spodnie. Obrócił się w prawo i w lewo, na prostych nogach, po czym zgiął się w pół, dotykając palców u stóp. Jego absolutny stoicyzm uspokoił ją.

– Co ty, szklorwa, wyprawiasz? – zapytała, wzdrygając się, gdy kolejne uderzenie sprawiło, że z sufitu posypało się więcej tynku.

– Rozciągam się.

– Po co?

– Zawsze rozciągaj się przed walką.

– Czyś ty oszalał?

Montego chwycił za swą laskę, sprawnie odkręcił srebrną główkę niedźwiedzia, położył ją na złożonych ciuchach i wyciągnął z kieszeni od spodni coś, co przypominało piłkę do krykieta. Dopasował ją do końca laski, przykręcił jedno do drugiego i oto trzymał w ręku cudgelingową pałkę.

Futryna zaczęła się rozłupywać. Z powodu ogromnego naporu nie mogła wytrzymać dłużej niż parę chwil.

– Mały – wyszeptła Kizzie. Była pewna, że zaraz zginie, i nie za dobrze radziła sobie z tą myślą. – Nie możesz z tym czymś walczyć. Nie widziałeś, co to coś zrobiło w wartowni.

– Jeśli nie chcesz zostawiać mnie tu samego – powiedział spokojnie Montego – to postaraj się utrzymać akolitów z dala ode mnie. Dzięki temu będę mógł skupić się na tym stworze. – Ruszył w stronę drzwi, wykonując kilka próbnych zamachów pałką. – Jestem najlepszym zabójcą na świecie – oświadczył, a jego głos

podnosił się wraz z kolejnymi słowami, oczy zaś rozbłysły przerażającym ogniem. – Nie oddam tego tytułu jakiemuś dziwadłu z powieści przygodowej. Jestem Mały Montego! – huczał w kierunku drzwi. Wyprostował ramiona, klatkę piersiową wypiął do przodu. – Słyszysz to, Wielkoludzie? Jestem Montego i zaraz z tobą skończę!

Wraz z ostatnim słowem wrota eksplodowały do wewnątrz, a uporna istota schyliła się, aby wejść do pomieszczenia. Ogromne, szponiaste palce sięgnęły do gardła Montega z szybkością, za którą Kizzie ledwo nadążała. Nim jednak do tego doszło, Montego zamachnął się pałką i uderzył w dziwaczną rękę niczym nauczyciel udzielający uczniowi reprimendy linijką. Stwór syknął, cofając się z bólu. Rozwarł szczękę i wydał z siebie ryk, od którego zagrzechotały Kizzie kości.

Montego zaatakował. Naparł ramieniem na tors potwora, wyrzucając ich obu z pokoju na korytarz, gdzie jego wielkie ciało wgniotło Wysokiego Mężczyznę w przeciwległą ścianę. Zdawało się, że uderzenie nieznacznie zbiło z tropu Wielkoluda, który chwycił Montega za ramię i rzucił nim w głąb korytarza. Kizzie poczuła się nagle bardzo, bardzo mała i samotna, wpatrując się przez zniszczone drzwi w przerażającą bestię. Potwór się wyprostował, wijąc się nieludzko, by odzyskać władzę nad kończynami. Wpatrywał się łapczywie w Kizzie, a z kącików jego ust zaczęły kapać strużki spienionej śliny.

Montego pojawił się ponownie, uderzając go pałką w twarz z siłą, która zmieniłaby ludzką czaszkę w miazgę. Ruchy jego ręki wydawały się rozmywać, oblicze spurpurowiało z wściekłości, a każde wypowiedane słowo kwitował ciosem powalającym stwora na ziemię.

– Nie! Odwracaj! Się! Ode! Mnie! Gdy! Ze! Mną! Walczysz!

Masywne ramię Wysokiego Mężczyzny wystrzeliło do przodu, chwytając Montega za nadgarstek, żeby powstrzymać ostateczny cios. Montego zacisnął lewą pięść i uderzył nią w szczękę stwora, potem chwycił go za drugie ramię. Mocowali się i szarpali, a pazury potwora wbijały się w ramiona Montega, aż spływała po nich krew. Monstrum zaczęło spychać Montega z powrotem w głąb korytarza.

Gdy znikli Kizzie z pola widzenia, ograniczonego zniszczonymi drzwiami, w ich miejsce natychmiast pojawił się tuzin

uzbrojonych akolitów, podążających za nimi z uniesioną bronią, wyraźnie czekających na okazję, aby pomóc swemu potwornemu sprzymierzeńcowi. Ich widok wyrwał Kizzie z letargu, oczyszczając jej umysł z mgły przerażenia. Nie była tak silna jak Montego. Nie mogła zmierzyć się z kimś takim jak Wysoki Mężczyzna, ale była szkłolerną Kizzie Vorcien. Jacys podrzędni wyznawcy nie byli dla niej przeciwnikami.

Włożyła rękę do kieszeni, odnalazła kawałek wysokorezonansowego szkła mocy i jednym szybkim ruchem przewlekła go przez dziurkę w prawym uchu. Momentalnie przeszła ją potężna magia, jej moc była o wiele silniejsza niż cokolwiek innego, czego Kizzie miała okazję doświadczyć. Przepływała przez nią w sposób, który sprawiał, że jej mięśnie chciały eksplodować. W jedną rękę złapała miecz, w drugą sztylet i rzuciła się w stronę drzwi, uderzając na akolitów z boku.

Nie był to tak brutalny atak, jaki zaserwował Montego, ale robiła uniki, zwroty, miotała mieczem i sztyletem, co kilka kroków zmieniając kierunek, płynąc przez tłum. Pchnięcie, cięcie, przesunięcie, nadeptanie, przeciągnięcie, zawinięcie, skok. Zadziwiła ją jej własna szybkość. Poruszała się tak sprawnie, że szkło rozumu w jej kolczykach ledwo nadążało za ruchami, jakie wykonywało ciało. W jednej chwili znalazła się po drugiej stronie korytarza, potykając się, łapiąc ściany i spoglądając w dół na zaścielające podłogę trupy.

– O szkłorwa – westchnęła. – Co to za moc. – Obróciła się, szukając Montega, i zobaczyła, jak przelatuje przez ścianę. Chwilę później pojawił się ponownie, wyskakując z dziury, którą sekundę temu zrobił własnym ciałem. Z osłepiającą prędkością wymachując pałą, ściał Wysokiego Mężczyznę z nóg i miażdżył mu ramię. Potwór odepchnął go szponami i obaj stanęli ponownie do walki za rogiem następnego korytarza.

Kizzie spuściła wzrok na krew ściekającą z jej ostrzy. Jeszcze tylko kilka minut mogła na spokojnie korzystać z mocy wysokorezonansowego szkła, nim zacznie ją ono zabijać. Potrzeby były jednak przytłaczające, bo zbyt wielu akolitów gnało korytarzem w jej stronę. Montego miał już na ciele krwawe rany od szponów

Wysokiego Mężczyzny. Była pewna, że niedługo oboje zginą. Jedyne, co ją pocieszało, to że zginą godnie.



Mimo starannego planowania flanki Demira zaczęły się rozpadać. Piechota Kerite była zbyt dobrze wyszkolona, a ich szkło mocy zbyt silne, co sprawiało, że byli nieustępliwi, zaś ich szarża zamieniła się w pojedynek na bagnety pomiędzy nimi a Legią Cudzoziemską. Demir wydawał rozkazy niczym błyskawica, wysyłając sygnał za sygnałem, posłańca za posłańcem. Jego kawaleria zaatakowała z boku, ale żołnierze Kerite zdołali się obrócić i stanąć naprzeciwko nich; wystrzelili salwę i założyli bagnety, zmuszając dragonów oraz kirasjerów do wycofania się.

Była to krwawa jatka, której towarzyszyło wykrzykiwanie rozkazów ponad wrzaskami ludzi i rzeniem koni, przerywane wystrzałami z muszkietów po obu stronach. W powietrzu unosił się dławiący dym prochowy, przyprawiający Demira o zawroty głowy. Z punktu obserwacyjnego widział, jak jego flanki drżą w obliczu potęgi wojsk Kerite, a środek zaczyna pękać. Piechota oglądała się przez ramię, szukając drogi ucieczki. Wszyscy wiedzieli, że ucieczka

oznacza śmierć, a jednak nie mogli przewyciężyć pierwotnego instynktu, wyczuwając zapach porażki.

– A niech to szkło! – wrzasnął Demir. – Przegrupować kirasjerów do kolejnej szarży! Nie pozwólcie piechocie wciągnąć dragonów, mają ich nękać na koniach. Skrzydlowa, moździerz na zachód. Ostrzelajcie ich z dziesięciu metrów! – Zaklął, przemierzając szczyt kopca, podczas gdy niewielka kompania reprezentacyjna Stalowych Taranów kręciła się nerwowo wokół niego.

– Brakuje im determinacji – mruknął Tadeas. – Środek zaraz się złamie!

– Wiem – warknął Demir. Nie miał nic w zanadru. Żadnych rezerw, żadnych sztuczek. Pozostała tylko walka między żołnierzami i było jasne, że to Kerite ją wygra. Zza pola bitwy dostrzegł jej sztandar, daleko na tyłach, tkwiący pośrodku grupy konnych oficerów. Wyobraził sobie, że jednym z nich jest Kerite. Wpatrując się w nią, zdystansowaną i obojętną, zdał sobie sprawę, że pozostała mu jedna rzecz. Był nią on sam. – Załatw mi flagę Grappów – powiedział Tadeasowi. – I wyciągnij miecz.

Kilkuset żołnierzy. Garstka inżynierów. Tylko to mu pozostało. Niewiele, żeby odwrócić losy bitwy. Przeklął się w duchu za tę dołującą myśl. Wciąż balansował na krawędzi ostrza. Potrzebował jedynie delikatnego powiewu wiatru, który przechyliłby szalę na jedną ze stron.

– Stalowe Tarany! – krzyknął. – Rogi gotowe, kopyta stalowe!

– Rogi gotowe, kopyta stalowe! – odkrzyknęła jego kompania reprezentacyjna.

Demir dobył miecza i zrobił jedyną rzecz, której dobrzy oficerowie ossańskich rodzinnych gildii robić nie powinni: ruszył do walki. Stoczył się z kopca, uderzając w plecy własnych żołnierzy jak młot wbijający belkę stropową. Garść granatów o krótkim zasięgu poszybowała nad jego głową, eksplodując w tylnych szeregach Smoków. Demir stał teraz ramieniem w ramieniu z żołnierzami, a przenikający przez prochowy dym smród błota i śmierci palił go w nozdrza. Zarzucił magiczną sieć w poszukiwaniu wrogich tancerzy szkła, a następnie podrzucił swą bańkę w powietrze.

Roztrzaskał ją tylko na dwie części, wystrzeliwując obie w tym samym kierunku i sterując nimi bardziej za pomocą zmysłów

niż wzroku. Pędziły, od czasu do czasu pozostając w tyle za jego umysłem, gdy przedzierały się przez czyjeś ciało. Magiczne światło na obrzeżach jego zmysłów nagle zgasło. Obrócił więc odłamkami, starając się utrzymać je w ruchu. Zginął kolejny tancerz.

Był tak skupiony na swym szkle, że nie zauważył wrogiego bagnetu, dopóki nie znalazł się on centymetry od jego oka. Odchylił się gwałtownie i poczuł, jak ostrze przesywa mu policzek i zahacza o ucho, wydzierając mu z ust bolesny krzyk. Puścił odłamki szklanej bańki i machnął mieczem, wbijając go w pierś stojącego tuż przed nim najemnika. Poczuł ręce na ramionach, odciągające go do tyłu, i zobaczył Tadeasa wkraczającego pomiędzy niego a wroga.

Demir przyłożył dłoń do twarzy, a chłodne powietrze muskało krwawą ranę. Z powrotem skierował zmysły w stronę fragmentów bańki i użył ich do przecięcia grupy wrogich oddziałów. Posłańcy wykrzykiwali raporty zza jego pleców, zmuszając go do skupienia się na kilkunastu różnych rzeczach jednocześnie.

Jego udział w bitwie nie wystarczał. Nawet Stalowe Tarany nie potrafiły odeprzeć wojsk Kerite. Jedna ze stron musiała się niedługo złamać i wszystko wskazywało na to, że będzie nią armia Demira. Klął, pchał, dźgał, napierając na otaczającą go piechotę.

Nagle oślepiło go jasne światło. Błysk trwający zaledwie ułamek sekundy, ale na tyle intensywny, że zmusił go do cofnięcia się i gwałtownego mrugania w celu pozbycia się go z siatkówki oka. Chwilę później rozległ się grzmot tak potężny, że jeszcze nigdy nie słyszał czegoś równie głośnego. Zadudnił ponad wszystkimi innymi dźwiękami dobiegającymi z pola bitwy. Demir zaczerpnął gwałtownie powietrza, próbując zlokalizować jego źródło. Nie był jedynym. Nawet piechota Kerite potknęła się oślepiona błyskiem i wystraszona hałasem, oglądając się przez ramię.

Dopiero po chwili Demir zdał sobie sprawę, że odgłos ten pochodził z Kuźni. Nawet z odległości kilkudziesięciu kilometrów mógł dostrzec pomarańczowe płomienie jarzące się na odległym skalnym cyplu oraz parę wodną strzelającą w górę ku szalejącej tam burzy. Ścisnęło go w żołądku. Czegoś podobnego mógł dokonać jedynie portal feniksa i nie było szans, żeby ktokolwiek przeżył taki wybuch.

Przełknął kulę w gardle i rozejrzał się po żołnierzach, zarówno swoich, jak i wrogich; nadal wydawali się zdezorientowani i oszołomieni. Wyglądali, jakby wyparowała z nich cała wola walki. Mógł to wykorzystać. Wzniósł miecz ku niebu i zaczął blefować.

– Ossańczycy! Oto nasza tajna broń! Za zwycięstwo! – wrzasnął, odwracając się do stojącego obok żołnierza. Wydierał się z największą pewnością siebie, jaką tylko udało mu się wykrzesać, aż zwycięska radość przeszła na następnego żołnierza, potem na kolejnego i pognąła przez całe bitewne pole.

– Za zwycięstwo! – rozległy się krzyki między wszystkimi rzędami. – Za zwycięstwo! To nasza broń! Za zwycięstwo! – Okrzyki przetoczyły się w górę i w dół, dodając mocy ossańskim żołnierzom, którym w końcu udało się zdominować piechotę Kerite.

W tamtym momencie, znajdując się zaledwie kilka metrów od najbliższych najemników, zobaczył, jak z ich oczu znika wiara w zwycięstwo i zaczynają się łamać.



Thessa nigdy nie doświadczyła tak ogromnego bólu. Przeszedł przez nią, rozchodząc się potężnymi falami wywołującymi drgawki, które jedynie spotęgowały to potworne uczucie. Miała zamglony wzrok, zmaćcone myśli, a zrozumienie, że ktoś krzyczy jej coś do ucha, zajęło jej dłużą chwilę.

– Thesso! Uciekinierko! Posłuchaj mnie! Musisz się wgrzyźć w to szkło lecznicze.

Thessa mrugała, aż w końcu jej oczy zaczęły łapać ostrość. Głos należał do Pari. Zarówno ona, jak i Tirana kucały nad nią. Wciąż były wewnątrz latarni, choć brakowało połowy ściany. Czuła zapach dymu i spalonego mięsa oraz straszliwe gorąco, jak w bałkańskiej saunie. Tirana trzymała mocno ręką swe okaleczone, zakrwawione ramię, a w uszach miała zarówno szkło kojące, jak i lecznicze.

– Jestem amagiczna! – wykrztusiła wreszcie do Pari, odrzucając oferowane przez dziewczynę szkło boże. – To mi w niczym, szklorwa, nie pomoże! Potrzebuję chirurga. – Chciała się przesunąć, ale kolejna fala bólu skutecznie jej to uniemożliwiła.

Wspomnienia sprzed oślepiającego białego blasku zaczęły powracać i łączyć się w spójną całość, choć jaskrawe światło nadal rezonowało w jej umyśle. – Breenen do mnie strzelił, tak?

– Ten zdrajca strzelił do nas obu – wyrzuciła z siebie Tirana, spoglądając na swe ramię. – Ale nie strzelił tak, aby nas zabić. Okazał się zbyt wielkim tchórzem, żeby dokończyć robotę. On i ci jego szkółcerni egzekutorzy. Każdego z nich obedrę ze skóry.

– Po tym, jak uratujemy Thesę, dobrze? – rzuciła Pari.

– Dobrze. Chodź, wstań. Uprzedzam, że będzie bolało.

Stwierdzenie, że „będzie bolało” było ogromnym niedopowiedzeniem. Thessa była o włos od omdlenia, i to dwukrotnie, gdy postawiły ją na nogi, oplatając jej ręce na swych ramionach. Rozejrzała się po pomieszczeniu, próbując zorientować się w sytuacji, zanim dotarło do niej, co się stało.

– Portal feniksa. Gdzie on jest?

– A jak myślisz? Breenen i jego zbiry zabrali go ze sobą. W sumie została ich zaledwie garstka. Wybuch zabił wszystkich stojących przed latarnią. Łącznie z dragonami.

Thessa poczuła, jak miękną jej kolana, a upadając, niemalże pociągnęła za sobą towarzyszki. Spojrzała na samotne miedziane przewody łączące uprzednio portal feniksa z obu stron. Jego brak był niczym dziura w jej sercu. Cała ta ciężka praca. Całe te znój i cierpienie. Odwróciła się, kierując wzrok na to, co było kiedyś ścianą latarni. Kuźnia uległa całkowitej transformacji. Nieuziemiony portal feniksa wyżłobił w niej dolinę biegnącą przez środek skały, zaczynając się od drzwi latarni i kończącą gdzieś w oddali, poza zasięgiem jej wzroku. Ślad skwierczał i pękał w deszczu, wydzielając parę wypełniającą nozdrza zapachem zwęglonej skały i spalonych ciał.

– Powiedziałas, że dragonów już nie ma? – zapytała słabo.

– Tak – odpowiedziała chłodno Pari. – Tak jak większości egzekutorów Breenena, naszych wozów i wszystkiego, co ze sobą przywieźliśmy. Nasi ranni egzekutorzy leżeli z boku i tylko to ich ocaliło.

– A niech to szkło – wyszeptała Thessa. Chciała rozproszyc uwagę nieprzyjaciela, a nie doprowadzić do katastrofy. – Dlaczego Breenen nie zabrał mnie ze sobą? – zapytała.

– Bo nie miał wystarczającej liczby egzekutorów, aby unieść zarówno ciebie, jak i portal – burknęła Tirana. – A teraz chodźmy, musimy się stąd zabierać.

Thessa, ciągnięta przez towarzyszek, zaczęła kuśtykać, a w miarę jak zbliżały się do krawędzi Kuźni, coraz wyraźniej dostrzegła nienaturalny krajobraz. Rozciągał się on na prawie dwa kilometry, przecinając wyszczerbioną bruzdę w zaroślach poniżej Kuźni. W dole garstka ich wiernych egzekutorów zbierała to, co pozostało z zapasów.

– Czekaj! – zawołała Thessa, próbując zawrócić w stronę latarni, prawie upadając, gdy całym ciałem wsparła się tylko na Tiranie. – Czy on w ogóle zadziałał? Czy portal feniksa działa?

Tirana i Pari spojrzały na siebie.

– A jak myślisz, co chciałam ci włożyć między zęby? – spytała Pari. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła garść szkielec bożych, trzymając je przed Thessą. Każdy z kawałków rezonował magią, był pełen kolorów i życia. Oddech ugrzązł Thessie w gardle, stłumiła ból, przykrywając go wściekłością.

Zadziałał. Portal zadziałał, a potem został skradziony.

– Znajdziemy tych zdrajców – oznajmiła Tiranie. – A kiedy już to zrobimy, pomogę ci ich oskórować.



Kizzie wyrwała szkło mocy z ucha i odrzuciła je na bok. Bolało ją całe ciało, huczało jej w głowie i przeszywały ją tak silne mdłości, że była pewna, iż zaraz zwymiotuje. Jej dłonie i ramiona pokrywały żółte łuski, a skóra pod nimi pękała, gdy tylko nią poruszała. Leżała na podłodze, z barkami i głową opartymi o ścianę, w tunice ciężkiej od krwi. Większość czerwonej substancji nie należała jednak do niej.

Samotny akolita, ostatni człowiek, z którym się zmierzyła, zanim opadła z sił, spoczywał zaledwie kilka metrów od niej, a jej miecz tkwił w jego oku aż po rękajeść. Wciąż drżała mu stopa, choć bez wątplenia był już martwy. Nie wiedziała, gdzie zgubiła sztylet. Rzuciła okiem na ostrze wytatuowane na dłoni akolity.

Gdzie podziewał się Aristanes? Gdzie była reszta akolitów? Okrzyki bijące na alarm nie odbijały się już echem od długich korytarzy. Gdzieś w oddali, jakby z dna studni, wciąż docierały do niej chrapliwe i nieludzkie krzyki Wysokiego Mężczyzny oraz towarzyszący im odgłos niszczonej ścian i mebli. Powinna wstać, odnaleźć ich i zrobić wszystko, co w jej mocy, by pomóc Montegowi. Ale czy mogła się w ogóle ruszyć? Każde ściętno zdawało się zniszczone przez magię, dzięki której udało jej się dotrzeć do tego momentu.

Zastanawiała się kiedyś, dlaczego najbogatsze i najpotężniejsze rodzinne gildie nie korzystają za często z wysokorezonansowych szkieł bożych. Myślała, że to dlatego, że ich koszt był zaporowy, teraz jednak, gdy na własnej skórze przekonała się o ich mocy, wiedziała, że powrót do zdrowia zajmie jej wiele dni, a może i tygodni. Gdyby musiała walczyć choćby kilka sekund dłużej, szklany trąd mógłby ją zabić.

Zamknęła oczy, wsłuchując się we własny gorączkowy, płytki oddech, czekając, aż pojawią się kolejni akolici, by ją wykończyć. Nie miała już siły, aby stanąć do walki.

Minęło trochę czasu, choć nie była pewna ile dokładnie, kiedy nagle ucichły odległe odgłosy walki. Wyteżyła zmysły – przypominając sobie, że wciąż ma w uszach szkło harmonii i splecione kolczyki z innych magicznych szkieł – starając się ustalić, który z walczących odniósł zwycięstwo.

Powoli docierał do niej odgłos skrobania, jakby ktoś włókł po marmurowej posadzce opancerzone ciało. Nie miała wątpliwości, że ten ktoś zbliża się ku niej. Szur, szur, skrob. Szur, szur, skrob. Jej nerwy obumarły, a ciało było tak wykończone, że nie sądziła już, iż może odczuwać przerażenie z powodu nadchodzącej śmierci. Dźwięk zbliżał się coraz bardziej, aż w głębi korytarza pojawił się cień i monstrualna postać.

To był Wysoki Mężczyzna. Stwór zmniejszył się znacznie, a jego masywne, chropowate ciało krwawiło od dziesiątek ran. Zostawiał za sobą czarną smugę smolistej krwi. Z jednego otwartego oka sączyła się żółć, kapała też z jego uszu. Na twarzy brakowało mu kilku macek. Kręcił głową, aż dostrzegł Kizzie, po czym odwrócił się w jej stronę, powłócząc jedną nogą. Szur, szur, skrob.

Kizzie próbowała zebrać w sobie siły i podczołgać się do ostatniego trupa, aby wydobyć z niego swój miecz. Chciała umrzeć z bronią w ręku, lecz uznała, że nie da rady. Zrobiła parę głębokich wdechów i wyjęła metalową pałkę z tylnej kieszeni. Niewiele by jej ona dała w starciu z bestią, nawet tak poważnie ranną, ale przynajmniej była to jakaś broń. Wyciągnęła ją przed siebie jak pistolet, czekając, aż Wysoki Mężczyzna zaatakuje.

Stwór podszedł do niej na odległość kilku metrów i zatrzymał się, górując nad Kizzie niczym posąg, z wpatrującymi się w nią błyszczącymi niebieskimi oczami. Odchrząknął, a to, co wydobyło się z jego ust, zaskoczyło ją swym ludzkim brzmieniem.

– Chcieliśmy zaproponować ci miejsce pośród nas – powiedział cicho.

Kizzie prychnęła.

– By zmienić mnie w coś takiego jak ty?

– Nie, nie – odparł Wysoki Mężczyzna, a w jego głosie słychać było zmęczenie całego świata. – Nie możesz zmienić swej rasy. Ale możesz nam służyć. – Spojrzał w dół na akolitę leżącego z mieczem Kizzie wbitym w oko.

– Szklan się – rzuciła Kizzie. Czowała się martwa w środku, cały jej strach zastąpiły ból i mdłości spowodowane zbyt dużą ilością szklanej magii. – Nie nadaję się na akolitkę potworów.

Wysoki Mężczyzna wykonał gest wyglądający jak wzruszenie ramion, ale Kizzie nie mogła być tego do końca pewna z powodu jego nieludzkiej anatomii i opadających barków.

– Doszliśmy więc do tego samego wniosku – stwierdził i wyciągnął w jej stronę szponiastą dłoń.

– Montego nie żyje? – zapytała Kizzie, a ręka, w której trzymała metalową pałkę, opadła ku ziemi. Zresztą jaki to miało sens? Umierać z bronią? Czy bez niej? I tak była już martwa. Tak jak Mały. Próbowała znaleźć w sobie jakiekolwiek emocje poza szokiem. Montego zginął i była to jej wina.

Wysoki Mężczyzna zamarł w bezruchu, przechylił lekko głowę, a jego szpony delikatnie zwinęły się w pięść w zaskakująco łagodnym geście.

– Nie wiedziałem, że człowiek może tak walczyć. Ułożę dla niego pieśń. Minęły setki lat, odkąd zrobiłem to po raz ostatni, ale on

na to zasłużył. Yuglidowie będą śpiewać na jego cześć jeszcze długo po tym, jak zginie cała ludzkość.

Yuglidowie. A więc to stworzenie miało swą nazwę. A nawet rasę.

– Jest was więcej? – dociekała z niedowierzaniem Kizzie.

– Nawet nie wiesz jak wielu – zaśmiał się Wysoki Mężczyzna. Spojrzał na swoje ciało, a Kizzie dostrzegła coś na kształt irytacji na jego potwornej twarzy. – Wychodowanie ludzkiej skóry zajmie mi miesiące. Ale cóż. Udowodniłaś swą wartość, Kissandro Vorcien. Zrobisz to szybko. – Kizzie zamknęła oczy, czekając na nadejście śmierci.

Usłyszała jakiś szept, potem ciche stęknienie, a następnie odczekała kilka sekund i otworzyła oczy. Yuglid upadł na kolana z wybałuszonymi w panice oczami i rozrzuconymi na boki rękoma. Nad jego ramieniem stał Montego, z twarzą umazaną karmazynową oraz czarną krwią, wyszczerzonymi zębami i potężnym, umięśnionym ramieniem owiniętym wokół szyi Yuglida. Potwór miotał się, uderzając rękoma do tyłu, a jego szpony wydrapywały głębokie bruzdy w pucołowatych policzkach Montega. Mały wzdrygnął się, sycząc z bólu, ale nie puścił. Podniósł drugą rękę i Kizzie zobaczyła, że trzyma w niej jej zaginiony sztylet, który zatopił w szyi Yuglida. Potwór szamotał się coraz bardziej rozpaczliwie, lecz nie umierał. Bulgotał i pluł, próbując złapać powietrze rozdziawionymi ustami, a w jego oczach widać było wyłącznie wściekłość.

– A to za to – wyszczał Montego przez zaciśnięte zęby, jakby odpowiadając na niewypowiedziane wcześniej pytanie – że odwróciłeś się plecami do najlepszego zabójcy na świecie, nie upewniwszy się, czy umarł. – Zaczął piłować sztyletem szyję Yuglida, tworząc na niej poszarpaną linię. – Nie będę bohaterem jakiejś szklolernej pieśni dla twojej pieprzonej rasy. Jestem Mały Montego i sam będę śpiewał swą pieśń.

Yuglidem wstrząsnął dreszcz i zamachnął się, niemalże zrzucając Montega z pleców, ale silnie zaciśnięte ramię nie ustąpiło. Mały zatrzymał sztylet w miejscu na tyle długo, aby uderzyć łokciem w szyję Yuglida, a siła tego uderzenia złamała wolę potwora. Miotanie ustało, zaś Montego odrzucił na bok sztylet i chwycił

w dłonie potworną głowę Wysokiego Mężczyzny. Przekręcając i ciągnąc, oderwał ją od ciała. Z odciętej szyi trysnęła czarna krew. Stwór osunął się i upadł, pozostawiając Montega za sobą, z głową, która powoli wyslizgiwała mu się spomiędzy palców.

Teraz, gdy Yuglid nie zasłaniał jej widoku, Kizzie pojęła, dlaczego Wysoki Mężczyzna uznał, że Montego nie żyje. Potężny wojownik był dosłownie rozerwany na strzępy, tors miał pocięty na kawałki, a z brzucha zwisały mu połacie tłuszczu, jakby dobrał się do niego ślepy rzeźnik. Jego spodnie były tak ciężkie od krwi, że zsuwały mu się z bioder, a wielkie ciało unosiło się i drżało przy każdym wdechu.

W pustej rezydencji zapadła niesamowita, śmiertelna cisza. Montego spojrział w dół na siebie, a potem w górę na Kizzie.

– Wiem, że nie wyglądam najlepiej – powiedział – ale może chciałabyś kiedyś wybrać się ze mną na herbatę, co? – Nagle zaszklily mu się oczy i upadł na zwłoki Yuglida.

Kizzie zebrała wszystkie siły, jakie tylko jej pozostały, i podczołgała się do niego po marmurowej posadzce. Nie ruszał się, a w jego ciele nie było już śladu życia, lecz gdy zbliżyła policzek do ust, poczuła ciepło jego oddechu. Podniosła głowę i rozejrzała się po otaczających ją zgliszczach, zastanawiając się, jak ma ich stąd wydostać.

– Z przyjemnością – odpowiedziała cicho i zaczęła się podnosić.



Idrian dotarł do namiotów medycznych z przewieszoną przez ramię tarczą, na której, jak na noszach, ułożony był Braileer. Gromiciel pokonał wiele kilometrów, biegnąc równym tempem i słuchając przez całą drogę urywanych oddechów oraz panicznego płaczu Braileera. Tłumaczył sobie, że płacz młodego płatnerza jest czymś dobrym, bo to znak, że chłopak jeszcze żyje.

Idrian przepchnął się obok rezerwowych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej pilnujących obozu medycznego i wszedł do największego z namiotów, do którego nieustannie wpływał strumień

rannych niesionych przez gwardzistów zwerbowanych do brudnej, ale koniecznej pracy przy ofiarach. Ostrożnie położył Braileera na jednej z setek zakrwawionych drewnianych płyt.

– Chwalebny! – krzyknął do chirurga Stalowych Taranów. – Chwalebny, chodź tu!

– Chwileczkę – usłyszał w odpowiedzi z drugiego końca namiotu. Kilkunastu chirurgów i medyków odwróciło głowy, wpatrując się przez chwilę w Idriana, po czym wróciło do swoich zajęć. Niektórzy z nich nie robili nic więcej jak tylko rozdawali szkła lecznicze i wynosili swych pacjentów z namiotu, podczas gdy inni używali igieł, noży i pił do kości, próbując uratować tych, którzy potrzebowali do przeżycia czegoś więcej niż magii.

Wkrótce do Idriana dołączył mężczyzna o pociągłej i topornej twarzy, ciemnej marnijskiej skórze i bezramkowych okularach osadzonych na czubku nosa. Chwalebny otrzymał swój przydomek od tego, że zawsze poświęcał najwięcej uwagi żołnierzom, którzy zostali ranni, robiąc coś „interesującego”, nawet jeśli było to coś niezwykle głupiego. Miał wyjątkowo dużo pracy w batalionie inżynierów bojowych.

– To ten dzieciak ze skrzypcami, prawda? – spytał Chwalebny, patrząc na Braileera. Pochylił się nad nim. – Muszę cię poprosić, żebyś przestał wydawać z siebie ten durny dźwięk – powiedział Braileerowi prosto w twarz. – Jest irytujący i tylko utrudnia ci oddychanie.

– To płacz – odparł Idrian. – I słyszysz go tu przez cały czas.

– Mimo to nie przestaje mnie irytować.

– Bądź dla niego miły – rzucił Idrian. Czuł ucisk w klatce piersiowej. Od momentu, w którym rozmawiali o śmierci, Idrian wiedział, że ten biedny dzieciak kiedyś umrze. Był zbyt miękki na wojsko. Miał zbyt dobre serce. Idrian nie powinien zabierać go ze sobą na tę misję. W jego głowie kłębiło się mnóstwo innych samooskarżeń, podczas gdy nawiedzające go zjawy śmiały mu się do ucha.

Chwalebny z kliniczną precyzją badał ciało Braileera, sprawdzając najpierw jego szyję, a potem wsłuchując się w oddech przy ustach i w klatce piersiowej.

– Co mu się stało?

– Słyszałeś tę plotkę o potworze, z którym walczyłem na dachu Fortu Alameda? – zapytał Idrian. Zobaczył, że Braileer wymachuje lekko ręką, i chwycił za nią.

– Tak.

– Dopadłem go. Złamał rękę Squeaks i zabił dwóch żołnierzy Valienta. Jorfax pewnie zaraz też się tu pojawi. Została przygnieciona przez konia.

– Squeaks złamała rękę, powiadasz – westchnął Chwalebny. Idrian wiedział z doświadczenia, że chirurg wyrażał jedynie dwa rodzaje emocji: lekką irytację i znaczącą irytację. – A niech ją szkło, pewnie tę samą.

Idrian kiwał się do przodu i do tyłu, gryząc się w język, żeby nie wydrzeć się na chirurga, by się pospieszył, gdy ten powoli kontynuował badanie. Chwalebny tylko bardziej by to poirytowało. Gromiciel rozejrzał się po namiocie, a potem spojrzął w kierunku ciągłego strumienia rannych napływających z pobliskiego wzgórza.

– Jak blisko bitwy jesteśmy?

– Niecały kilometr za naszymi – odpowiedział Chwalebny, nie podnosząc wzroku. – Niedawno minęli nas dragoni Kerite, ale uszanowali nasze medyczne flagi. Dzięki szkłu za to.

– A jak tam bitwa? – dopytywał Idrian. Według obowiązujących zasad nie powinien zwlekać, tylko natychmiast udać się na linię frontu i starać się pomóc.

Chwalebny pokręcił głową, po czym wyciągnął z kieszeni uśmierzające ból szkło kojące i wsunął je do jednej z dziurek w uchu Braileera. Kiwnął na Idriana głową, sugerując, żeby poszedł za nim. Idrian jeszcze raz ścisnął Braileerowi dłoń, a następnie oddalił się z chirurgiem kilka metrów. Dostrzegając minę Chwalebnego, poczuł, że kraje mu się serce.

– Ma zmiążdżoną tchawicę i dość poważne krwawienie wewnętrzne, nie wspominając o dwóch złamanych palcach. Prawdopodobnie ma też pęknięte żebra – stwierdził Chwalebny.

– Da się go uratować? – spytał Idrian.

– Da się czy się nie da. Oto jest pytanie. Odpowiedź brzmi: nie.

Idrian zaczerpnął gwałtownie powietrza.

– Co to, szklorwa, ma znaczyć? Jest kapralem i moim płatnerzem. Cokolwiek trzeba z nim zrobić, masz to zrobić bezzwłocznie!

Chwalebny objął Idriana ramieniem, a jego twarz spoważniała.

– Słuchaj, mamy ogromny deficyt szkła leczniczego. Mam zaledwie jeden kawałek wysokorezonansowego i rozkaz od Ministerstwa Legionów oraz Wewnętrznego Zgromadzenia, żeby nie dawać go nikomu poza tancerzami szkła, wysokimi rangą oficerami i Gromicielami.

– Więc udawaj, że to dla mnie.

– Nie mogę. Tamci gwardziści tylko na to czekają. Mam związane ręce. Nawet generał Grappo nie może uchylić tych rozkazów.

Żołądek Idriana ścisnął się boleśnie pod wpływem zdenerwowania i złości. Kolejny biedny dzieciak zginie w kolejnej przeklętej wojnie z rozkazu bogatych dupków siedzących sobie wygodnie z dala od pola bitwy.

– A kto może go uchylić? – drążył.

– Poruczniczka Prosotsi. Nie ma zbyt dużo swobody w podejmowaniu tego typu decyzji, ale i tak boi się korzystać z przywileju. Odrzuciła już dziesiątki próśb o użycie wysokorezonansowego szkła na potrzeby zwykłych żołnierzy.

Idrian znał realia wojny i współczuł zarówno oficerom, jak i chirurgom. Takie decyzje – zwłaszcza jeżeli w grę wchodziła niewystarczająca ilość szkła leczniczego – po prostu trzeba było podejmować i nie było to nic przyjemnego dla żadnej ze stron.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zostawię mu ten kawałek szkła kojącego w uchu i każę przenieść go do Klubu Umierających. – Chwalebny zmrużył oczy. – Śmierć nadejdzie dopiero za kilka godzin, ale przynajmniej nie będzie cierpiał.

Żołnierze zwykli posługiwać się posępnym określeniem „Klub Umierających” w kontekście miejsca, gdzie posyłano tych, dla których nie było już ratunku.

– A co mogłoby go ocalić? – zapytał cicho Idrian.

– Natychmiastowa operacja. Nacięcie ściany tchawicy umożliwiające dopływ powietrza do płuc, rozcięcie go, aby odsączyć nadmiar krwi i zaszyć to, co uległo rozerwaniu, a następnie ułożenie wszystkiego na swoje miejsce. Wysokorezonansowe szkło lecznicze mogłoby pomóc w utrzymaniu go przy życiu przez cały ten proces, ale nie ma gwarancji, że to się powiedzie.

Idrian spojrział na Braileera, a potem złapał za łańcuszek, który nosił na szyi. Co powiedziała mu Jorfax? Że jest zbyt miękki? Że jest gotowy chronić ludzi, których nawet nie zna? Może był przez to mniej skutecznym zabójcą, lecz dzięki temu mógł spać spokojnie. Idrian poczuł, jak jego obłęd chwycił się tylnej części szklanego oka, a słuchowe i wizualne halucynacje narastały w przytłaczającym tempie. Nacisnął dłonią na wykonane ze szkła bożego oko, aż jego wewnątrz demony ucichły, potem udał się do poruczniczki Prosotsi.

Była ona kobietą w średnim wieku, z krótkimi czarnymi włosami, przyglądającą się stołom operacyjnym z wyczuwalnym niepokojem.

– Pani porucznik – powiedział Idrian. – Chciałbym, żeby zatwierdziła pani użycie wysokorezonansowego szkła leczniczego dla tego tam dzieciaka. – Wskazał na Braileera. – To mój zbrojmistrz i istnieje szansa na jego uratowanie.

Poruczniczka Prosotsi z żalem pokręciła głową.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić. Mam rozkazy z góry.

Idrian potarł delikatnie skroń tuż przy szklanym oku, a żołądek ścisnął mu się boleśnie. Nagle ucichł cały szum w jego głowie, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę. Wiedział już, co powinien zrobić. Sięgnął pod stójkę munduru i odpiął wiszący na szyi mały srebrny nieśmiertelnik.

– To mój nieśmiertelnik długu. Za kilka dni upływa jego termin.

Poruczniczka wybałuszyła oczy.

– Będiesz mógł odejść jeszcze przed zakończeniem wojny.

– Zgadza się. Ale dodam do niego kolejny rok, jeśli zezwoli pani na użycie szkła leczniczego.

– Jesteś tego pewien? – Przesząpiła z nogi na nogę, a on widział na jej twarzy, że się waha. Jako dobra obywatelka Ossy

powinna zgodzić się w mgnieniu oka. Ale jako dobra oficerka powinna kategorycznie odmówić, nie pozwalając mu na odłożenie emerytury z tak błahego powodu. Poruczniczka Prosotsi najwyraźniej nie mogła się zdecydować, która z tych ról jest jej bliższa.

– Tak – odrzekł stanowczo Idrian. – Załatw to.

Odeszła, naradzając się krótko z pobliskim gwardzistą. Rozmowa trwała zaledwie kilka sekund, a kiedy wróciła, kiwnęła głową na znak zgody w kierunku Chwalebego.

– Załatwione. Od teraz Imperium jest właścicielem kolejnego roku twojego życia, kapitanie Sepulki.

Idrian odwrócił się, by sięgnąć po miecz i tarczę. Nic więcej nie mógł zrobić. Los Braileera spoczywał teraz w rękach Chwalebego, a dodatkowy Gromiciel z pewnością przyda się na polu bitwy. Zastanowił się nad tym, co zrobił, tęskniąc już za niewielkim srebrnym nieśmiertelnikiem długu, od lat dotykającym jego skóry. Dadzą mu inny, z nowymi datami służby. Co powiedziałyby na to Jorfax? Że przynosi hańbę wszystkim zabójcom? Niech mówi, co chce. Jeśli Braileer przeżyje, Idrian niczego nie będzie żałował.

Dzieciak leżał na stole, oszołomiony odłamkiem szkła otępiającego, który Chwalebny wetknął mu chwilę wcześniej w płatek ucha. Idrian zatrzymał się przy nich na moment, ścisnął ramię Braileera, po czym spotkał się spojrzeniem z Chwalebym.

– Rogi gotowe, kopyta stalowe – powiedział.

Chwalebny skinął głową.

– Rogi gotowe, kopyta stalowe – odparł, unosząc skalpel.



Demir obserwował, jak ostatni najemnicy Kerite uciekają w popłochu z pola bitwy, a ścigający ich kirasjerzy niszczą wszelkie pozory zorganizowanego odwrotu. Zaciskał zęby na widok wszechobecnej rzezi, a jego oczy nieświadomie unikały makabrycznego widoku tysięcy zabitych i rannych. Odnosił zdecydowane zwycięstwo, nie mniej śmiałe i dramatyczne niż to

sprzed dziewięciu lat na przedmieściach Holikanu, i jakaś część jego umysłu zastanawiała się, czy nie powinien uwiecznić tego jakiś wojskowy malarz. Tylko po co? Nie było potrzeby utrwalania tych wszystkich krwawych scen. Ludzie zapamiętają jego zwycięstwo. Zapamiętają, jak niezwykła generałka najemnej armii została odepchnięta od bram Ossy. Tylko to się liczyło.

– Daj sygnał kawalerii, żeby się wycofała – polecił Demir.

– Jesteś pewien? – zapytał Tadeas. Wuj Demira był ciężko ranny, ktoś wyciął mu szablą krwawy płat z klatki piersiowej, mimo to dumnie towarzyszył siostrzeńcowi z odłamkami szkła leczniczego i kojącego w uszach. – Mamy ich w odwodzie. Warto wykorzystać tę przewagę.

– Rozgromiliśmy tę najemną kompanię – stwierdził Demir. – Nie ma sensu doprowadzać do jeszcze większej jatki. Jeśli się przegrupują, to ich zmiażdżymy. W przeciwnym wypadku niech uciekają na wybrzeże. Wywiązali się ze swego kontraktu i nie jest to już ich wojna.

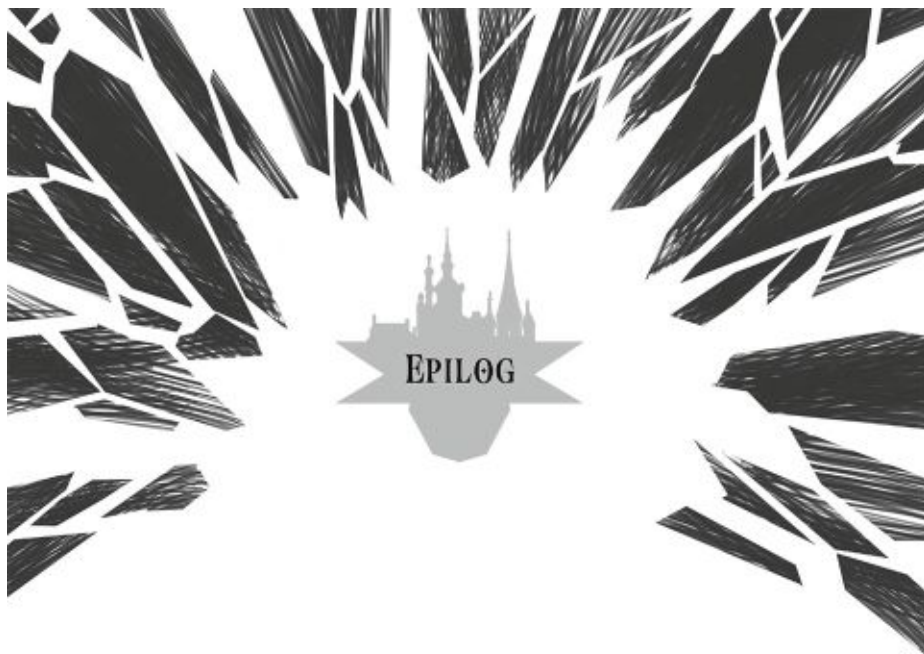
– Wydam rozkaz.

Znajdująca się na północnym zachodzie Kuźnia wciąż żarzyła się i tliła, choć burza przeszła już dalej. Zanotował w pamięci, żeby wysłać dragonów na poszukiwanie Thessy, gdy tylko pobojowisko się oczyści.

Demir zauważył niewielką grupę stojącą na odległym wzgórzu i odszukał szkło powiększające, aby przyjrzeć im się z bliska. Było to kilkunastu kirasjerów w lśniących napierśnikach, z flagą, na której widniały trzy błękitne smoki na zielonym polu. Pośrodku znajdowała się kobieta w średnim wieku, o jasnej skórze i długich brązowych włosach, z hełmem pod pachą. Wpatrywała się prosto w niego i choć nie miała własnego szkła powiększającego, Demir odniósł wrażenie, że widzi go równie dobrze jak on ją. Devia Kerite. Bohaterka jego młodości. Największa generałka na świecie, upokorzona przez zhańbionego patriarchę małej rodzinnej gildii. Nie. To nie było tak. Historia pisała się na jego oczach, ale nie przez małą gildię czy zhańbionego patriarchę.

– Po wydaniu tamtego rozkazu – powiedział Demir, patrząc przez szkło powiększające, jak Kerite i jej gwardia opuszczają pole bitwy – przygotuj list do Wewnętrzznego Zgromadzenia. Poinformuj

ich, że Książę Błyskawic spotkał się na polu bitwy ze Smokami Kerite i odniósł miażdżące zwycięstwo.



Profesorka Sumala Volos uniosła głowę ku północnemu zachodowi, nadal odczuwając pewien niepokój, odkąd ten przerażający dźwięk przeszył wczesnopołudniowe powietrze. Musieli go słyszeć wszyscy w promieniu setek kilometrów. Ptaki dopiero teraz powróciły do swoich trel. Czy to była sprawka ludzi? Może eksplodował jakiś skład amunicji? Albo coś naturalnego, jak wybuch wulkanu lub przesunięcie się płyt tektonicznych? Szukaniem odpowiedzi będzie się musiała zająć trochę później.

Ciągnięty przez woła wóz Volos, wypełniony książkami, eksperymentami i zapasowymi piorunochronami, które miała zamiar sprzedać ossańskim architektom, zajechał pod posiadłość Zorlianich. Nigdy nie przepadała za tą rezydencją, nawet kiedy należała do władającej Ossą rodzinnej gildii Zorlianich, a teraz, gdy była zarośniętą, podupadłą ruiną, darzyła ją jeszcze chłodniejszym uczuciem. Przerwała tę myśl, pozwalając sobie na parsknięcie szyderczym śmiechem. Właściwie to miło było patrzeć, że

dziedzictwo Zorlianich upadło tak nisko. Zdecydowanie sobie na to zasłużyli.

Nie przyjechała tam jednak, aby zwiedzać lub odgrzebywać dawne wspomnienia. Zatrzymała wóz przed posiadłością obok kilku innych powozów, zauważając, że dwa z nich były jeszcze zaprzęgnięte w konie. Wywnioskowała, że pewnie jeden z nich niedawno przybył na miejsce. Drugi szykował się do odjazdu, a mimo to nie było nikogo w pobliżu, żadnych ochroniarzy, woźnicy ani służby. Rezydencja wyglądała na zamieszkaną, o czym świadczyła wydeptana trawa i nieudolne próby naprawy sypiącego się budynku. Gdzie w takim razie wszyscy się podziewali?

Otworzyła usta, chcąc poczuć smak powietrza. Śmierć. Gniew. Zgnilizna. Wyciągnęła język, pozwalając, by rozeszły się na nim smaki, zanim uznała, że rozpadająca się stara posiadłość skrywa w sobie coś jeszcze, coś znacznie trudniejszego do opisania. Ukrywała smak wieczności. Tylko ją to upewniło, że przybyła we właściwe miejsce.

Zeskoczyła z powozu i sprawdziła pozostałe dwa pojazdy. Jeden z nich był nieoznakowany. Drugi, ten niedawno przybyły, miał poduszki ozdobione krzemowym symbolem rodzinnej gildii Grappów. Fascynujące. Splotła dłonie za plecami i weszła przez otwarte drzwi frontowe do willi, podążając za smakiem śmierci.

Nawet ją zaskoczyło to, co zastała. Były tam dziesiątki świeżych trupów, których wciąż ciepła krew rozlewała się po popękanych marmurowych posadzkach. Ciała należały do ludzi w różnym wieku i były oznaczone niewielkimi tatuażami przedstawiającymi różowe ostrze, widniejące na ich prawych dłoniach. Zaledwie kilka chwil zajęło jej ustalenie, że zginęli, walcząc z kimś znacznie szybszym od siebie.

Z każdą kolejną sekundą zagadka stawała się coraz ciekawsza. Ścieżka zniszczenia biegła przez środek rezydencji. Zdevastowane ściany, wyrwane z zawiasów drzwi. Wszędzie pełno było krwi, zarówno czerwonej, jak i czarnej, i to właśnie ta druga sprawiała, że musiała zachować szczególną ostrożność. Stąpała lekko, do granic możliwości wyciągając zmysły i zatrzymując się od czasu do czasu, by nasłuchiwać każdego odległego dźwięku.

Jej uwagę przyciągnął jęk umierającej kobiety. Volos przeszła przez małą, rozsypującą się salę koncertową i weszła w kolejny korytarz, gdzie zastała jeszcze większą masakrę. Znajdowało się tam dziewięć kolejnych ludzkich ciał, a także dziesiąte – masywne i obce, o szarej skórze pokrytej czarną krwią. Kilka metrów dalej leżała mackowata głowa, brutalnie odcięta i wyrzucona. Volos wpatrywała się w nią beznamiętnie, próbując pojąć, co się tu właściwie wydarzyło. Odsunęła oznaczonych tatuażem akolitów i na chwilę przykucnęła obok szarego ciała, delikatnie muskając jego skórę.

– Ostrzegałam cię, że to nie może się dobrze skończyć – powiedziała. – Ale ty słuchałeś tylko jego. – Spojrzała na człowieka, który tego dokonał. Był nim ogromny mężczyzna, praktycznie pocięty na kawałki, leżący w kałuży krwi. Przyjrzała mu się uważnie, zszokowana, że go rozpoznaje. Nic dziwnego. W końcu był to Mały Montego.

Usłyszawszy kolejny jęk, odwróciła się i ruszyła przez krwawe strumienie w kierunku kobiety z krzemowym symbolem rodzinnej gildii Vorcienów. Kobieta próbowała oddalić się od miejsca walki, ale nie uszła dalej niż kilkanaście kroków. Otworzyła szeroko oczy, dostrzegłszy nadchodzącą Volos, która uklękła obok niej.

– Ja... – wyszeptała kobieta – ...muszę iść... po pomoc.

Volos obejrzała ją dokładnie.

– Ma pani ostre zatrucie rezonansem – stwierdziła. Czyli silne objawy szklanego trądu, jak zwykli to nazywać ludzie laicy. Kobieta musiała o tym wiedzieć, a mimo to wciąż trzymała w dłoni odłamek szkła mocy, bez wątpienia próbując dodać sobie sił, aby wezwać pomoc. Volos delikatnie odsunęła od niej magiczne szkła. – Wyjdiesz z tego – oświadczyła. – Musisz tylko przez co najmniej tydzień trzymać się z dala od szkieł bożych, a potem może miesiąc lub dwa, żeby w pełni dojść do siebie.

– Nazywam się... Kizzie Vorcien. Pomóż mi... proszę. Odwdzięczę się...

Volos usiadła wygodnie na podłodze, przyglądając się małemu krzemowemu symbolowi na dłoni Kizzie.

– Jesteś jedną z bękartów Stutda, tak?

– Tak. Proszę. – Wyglądało na to, że mówienie kosztowało ją bardzo dużo wysiłku, a mimo to nie poddawała się. – Mały mnie

potrzebuje.

– Montego? – Volos odpowiedziała ze zdziwieniem. – Montego nie żyje.

Kizzie zamknęła oczy i zadrżała.

– Nie. On żyje. Stał tam jeszcze... chwilę... temu...

Volos o mały włos zignorowałaby słowa Kizzie. Zarżnięty kawał mięsa, którym kiedyś był Mały Montego, z pewnością już nie żył, a jednak... kiedy Volos odwróciła się w jego stronę, smakując powietrze, coś przemknęło jej po języku. Życie. Siła woli. Słaba, ale z pewnością jeszcze się w nim tliła.

Podeszła do Montega i sprawdziła jego puls. Niewiarygodne. Nic dziwnego, że udało mu się pokonać Gniewnego. Sprawdziła szyję Montega, a potem jego ramiona, dostrzegając mieszkankę trwałych i tymczasowych łusek trądu. Miały żółto-pomarańczowy odcień.

– Wygląda na to, że ma alergię na szkło boże – powiedziała, zerkając na Kizzie. – Podanie mu szkła leczniczego nie wystarczy. Potrzebna jest natychmiastowa operacja.

– Proszę – wyszeptała Kizzie. – Zrób coś... cokolwiek, co może mu pomóc...

Volos westchnęła. Nie tego się spodziewała, podążając za plotkami do tego przeklętego miejsca. Nie była jeszcze gotowa, aby się w to mieszać, a już na pewno nie w coś, co wiązało się z Vorcieniem. Rozejrzała się po ciałach, zastanawiając się nad możliwymi rozwiązaniami, a jej myśli były na tyle odległe, że dopiero po chwili usłyszała odgłos zbliżających się kroków.

– Nie przejmuj się nimi – odezwał się jakiś głos. – Zaraz się ich pozbędę.

Odwróciła się i zauważyła mężczyznę stojącego w korytarzu. Zmierzał w jej stronę. Był starszym człowiekiem, o krótkich czarnych włosach i oliwkowej skórze, który wyłonił się z jednego z pobliskich pokoi. Volos posmakował powietrza. Uczucie, którego dotknęła już wcześniej, pochodziło od niego. Był to smak wieczności. Spieła się.

– Witaj, Spiskowcu – przywitała go.

– Myślicielko – odpowiedział, używając jej formalnego imienia. – Jak wiele lat minęło od naszego ostatniego spotkania?

– Nie dość wiele – prychnęła Volos. – Jakim imieniem się ostatnio posługujesz?

– Aristanes – odrzekł, kłaniając się w pas. – A ty?

– Profesorka Volos. – Odwzajemniła ukłon.

– Ach! Podejrzywałem, że to możesz być ty. Czytałem twoją książkę o piorunochronach. Bardzo interesujące badania. Nie spodziewałem się ciebie, inaczej szybciej bym się z tym wszystkim uporał.

Volos zerknęła na Kizzie. Oczy dziewczyny były przymknięte, a jej uwaga przeskakiwała z Volos na Aristanesa i z powrotem. Drżała, ale mimo to tkwiła w niej chęć walki. Volos mogła jej posmakować.

– Nie planowałam oficjalnej wizyty. Mój wydawca poprosił, żebym przyjechała do Ossy podpisać kilka książek. Pomyślałam, że spróbuję cię odszukać i sprawdzić, czy nadal starasz się wszystkich pozabijać. Jak widzę, nic się w tej kwestii nie zmieniło, choć twoja twarz wygląda zupełnie inaczej.

Aristanes spojrział z niesmakiem na otaczające ich zwłoki, a potem dotknął swej klatki piersiowej na wysokości mostka.

– Ranisz moje serce. Jestem Spiskowcem, a nie Zdobywczynią.

Volos zmrużyła oczy na wzmiankę o jednej z nich.

– Jest gdzieś w pobliżu, czyż nie? Nadal nie mogę się nadziwić, że udało ci się ją przekonać, żeby ci pomogła. Miałam o niej lepsze zdanie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zostanie jednym z twoich sługusów.

– Przeszła na moją stronę. – Aristanes się uśmiechnął. – Zresztą jak wielu innych. Z tonu twojego głosu wnioskuję, że ty nie.

– Nudzi mnie twoja niechęć – odparła Volos. Nawet wśród Yuglidów uchodziła za zdystansowaną i beznamietną, a jednak obecność Aristanesa wzbudziła w niej uczucia takie jak gniew, strach i konsternacja. Nie zaskoczyło jej to, że rezyduje tuż obok stolicy największego imperium na świecie, ale wzbudziło w niej niepokój. Co tym razem zamierzał zrobić? Ile milionów musi zginąć? – Przydałoby ci się jakieś hobby.

– A niszczenie ludzkiej cywilizacji nie jest hobby? – zapytał ze zdziwieniem.

– Myślałam o czymś w stylu zbierania znaczków.

– Ach. Czyli nadal uważasz, że powinienem być taki jak ty, tak? Że powinienem się zasymilować? – W oczach Aristanesa pojawił się mroczny błysk. – Albo ja, albo oni, Myślicielko, a ludzie nigdy nie mieli ze mną szans.

Volos szturchnęła Montega butem.

– Ten, jak widać, dał radę. Pokonał Gniewnego. Powiedz mi, kiedy po raz ostatni któryś z nas poległ w walce z człowiekiem, co?

– To czysta aberracja. I wkrótce się z nią rozprawię.

Volos zakleła cicho i obeszła Montega, stając między nim a Aristanesem. Wierzba powtarzała jej nieustannie, że ma za miękkie serce, gdy w grę wchodzi ludzie.

– Nie sądzę.

Aristanes parsknął.

– Wojenne granice zostały już określone. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś przyglądała się im z areny, w końcu nie jestem gorliwym fanatykiem, ale jeśli zamierzasz się zaangażować, nie dam ci drugiej szansy.

– Gniewny życzyłby sobie, żeby jego przeciwnik został oszczędzony – stwierdziła Volos.

– Gniewny nie żyje. Zawiódł, więc nie przysługuje mu ostatnie życzenie.

Volos podwinęła rękawy.

– Zabieram tę dwójkę ze sobą – odrzekła, sięgając po Montega. Poruszała się swobodnie, jakby nigdy nic, lecz uważnie obserwowała, czy Aristanes nie wykonuje żadnych gwałtownych ruchów.

– Jeśli ich uratujesz, dowiedzą się, czym jesteś.

– Jakby żaden z nas nie ujawnił się nigdy ludziom – prychnęła Volos. – Zaskakująco dobrze potrafią dochować tajemnicy.

Aristanes wyglądał na zirytowanego.

– Po co chcesz im pomagać?

– Bo lubię ludzi, Spiskowcu. Są szalenie interesujący.

– Uzurpują sobie prawo do naszego świata. Robię wszystko, żeby odebrać im to, co należy do nas.

– Jak już wspominałam, nudzi mnie twoja niechęć – odparła Volos. Zawisła tuż nad Montegiem, czekając, aż Aristanes zrobi jakiś ruch albo odejdzie.

– Mógłbym cię zabić – ostrzegł Aristanes.

Nie był to błąd. Aristanes był o wiele starszy i dużo bardziej doświadczony, ale mimo to Volos pokręciła głową.

– Ile czasu zajęłoby ci wyhodowanie ludzkiej skóry, jeśli ją z ciebie zerwę? O ile wieków opóźnią się twoje plany, gdy moja siostra przyjdzie mnie szukać? Nie wypowiadam ci wojny. Nie atakuję cię. Po prostu... odchodzę z kilkoma na wpół martwymi ludźmi. To nie zbrodnia, a my wciąż żyjemy według pewnych zasad.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę, aż w końcu Aristanes westchnął oburzony.

– W porządku – wyrzucił z siebie. – Zabieraj te swoje nowe zwierzaki i wynos się z mojego domu. – Odwrócił się i odszedł, nie zaszczycając zwłok Gniewnego nawet przelotnym spojrzeniem. Ta drobna zniewaga w stosunku do zmarłego Yuglida sprawiła, że Volos utwierdziła się w swej decyzji. Dokonała właściwego wyboru. Od zawsze uważała Aristanesa za niezwykle okrutnego, ale jeśli nie było go nawet stać na kilka przelotnych słów, oznaczało to, że naprawdę zbłądził.

– Spiskowcu – zawołała za nim.

Zatrzymał się, wciąż odwrócony do niej plecami.

Wskazała na otaczającą ich zniszczoną i rozpadającą się posiadłość.

– Wybrałeś idealne miejsce na swój dom. To trafna metafora.

– Idź podpisywać książki – rzucił Aristanes. – Wkrótce nie będziesz miała ich komu sprzedawać. – Ruszył, a jego kroki odbijały się echem po ogromnych korytarzach.

Volos westchnęła raz jeszcze, zaciskając zęby. Cóż to za smutna, dojmująca myśl. Czy byłby zdolny spełnić tę groźbę? Bez wątplenia już wcześniej udawało mu się doprowadzić do upadków imperiów. A co z ludzkością? Nie miała wystarczających danych, by oszacować jego szanse. Wsunęła ręce pod ciało Montega, przerzucając je sobie przez ramię. Ciężar był jedynie niezręczną niedogodnością dla nadprzyrodzonego ciała ukrytego w jej ludzkiej skórze. Pogwizdywała sobie, układając Montega stabilnie na barku. Przystanąła chwilę obok zwłok Gniewnego.

– Śpij spokojnie, biedna duszyczko – powiedziała do niego, po czym zajęła się Kizzie. Wrzuciła ją sobie na drugie ramię, nie

zwracając uwagi na to, że dziewczyna drżała ze strachu.

– Czym jesteś? – zapytała szeptem Kizzie.

Volos uśmiechnęła się do niej.

– Jestem naukowczynią – odpowiedziała. – A teraz chodźmy zabrać twojego przyjaciela w miejsce, gdzie będę mogła go zoperować.

**KONIEC
TOMU PIERWSZEGO**

KRÓTKI SŁOWNIK NAJWAŻNIEJSZYCH SZKIEŁ BOŻYCH

AKTYWNE SZKŁA BOŻE

- Szkło aury: dodaje charyzmy
- Szkło lecznicze: wspomaga leczenie
- Szkło otępiające: wywołuje dezorientację
- Szkło strachu: wzmacnia lęk
- Szkło mocy: zwiększa siłę fizyczną i szybkość
- Szkło kojące: podnosi tolerancję na ból
- Szkło artystyczne: pobudza kreatywność
- Szkło dyscypliny: potęguje uległość
- Szkło zmysłów: wyostrza zmysły
- Szkło harmonii: zapewnia uczucie spokoju
- Szkło rozumu: przyspiesza bieg myśli

PASYWNE SZKŁO BOŻE

- Szkło potęgi: zwielokrotnia moc pobliskich szkieł bożych

BIERNE SZKŁA BOŻE

- Szkło młota: niezwykle wytrzymałe, najczęściej używane do produkcji zbroi
- Szkło brzytwy: bardzo ostre, po zaostrzeniu może przeciąć niemal wszystko

$$N_B = (B^T \cdot B)^{-1} \cdot B^T \cdot B^N$$

SZKŁO MOCY



SZKŁO ROZUMU



SZKŁO ZMYŚŁÓW



SZKŁO HARMONII



SZKŁO LECZNICZE



SZKŁO KOJĄCE



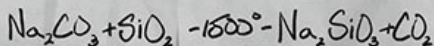
Se (221°)
Ti (1668°)
CaS (1750°)
MnO₂ (535°)
Mn (1246°)
Cr (1907°)
AgNO₃ (210°)
Ni (1455°)
PbO (888°)
Cu (1085°)
S (115°)

- Kolczyk egzekutora
- średnie szkło rozumu
- średnie szkło mocy (80 godz.)
- duże szkło zmysłów

- Bransoletka członka Zgromadzenia
- średnie szkło aury (120 godz.)
- duże szkło rozumu
- srebrna oprawa

- Wiertło medyka
- średnie szkło lecznicze
- duże szkło kojące (100 godz.)

- Pierścienek kochanków
- średnie szkło zmysłów (210 godz.)



Podziękowania

Kolejna napisana książka, kolejne grono wspaniałych osób, które pomogły mi ją wydać. Jako pierwszej chciałbym podziękować mojej wspaniałej żonie, Michele McClellan, za to, że była przy mnie, gdy dzieliłem się pomysłami, i czytała moje pierwsze szkice. Dziękuję mojej redaktorce Devi Pillai za to, że zaryzykowała z zupełnie nowym światem; dziękuję też wszystkim pracownikom wydawnictwa Tor, którzy mieli swój udział w tworzeniu, redagowaniu, wizualizacji i marketingu *W cieniu błyskawic*.

Dziękuję mojej wspaniałej agentce, Caitlin Blasdel, i wszystkim pracownikom Liza Dawson Associates za ich pracę przy sprzedaży serii. Podziękowania kieruję również do mojej asystentki Casey Blair oraz asystentów, Bena McSweeney'a i Nigar Taghiyevy.

Ogromne podziękowania należą się też wszystkim moim profesjonalnym konsultantom i pierwszym czytelnikom, którzy pomogli mi uporządkować cały tekst, w tym: Anthony'emu Scali, Amesowi Grawertowi, Davidowi Wohlreichowi, Rachel Lance, Nicole Lazar, Jayowi Dnihilowi, Markowi Lindbergowi, Loganowi Moritzowi, Krisowi Niedowi, Davidowi Hillowi, Samowi Baskinowi, Coltonowi Longowi, Tedowi Hermanowi, Chrisowi Baileyowi, Zarinowi Ficklinowi, Clintowi Sheridanowi, Jonowi Seigliemu, Rushikeshowi Joshuemu, Wyattowi Nevinsowi, Leticii Larze, Rahulowi Kanojia, Joshuemu Ely'emu, Luke'owi Kramarzowi, Glenowi Vogelaarowi, Joshowi Mulliganowi, Joshowi McDonałdowi, Jordanowi Stiebritzowi, Colinowi Schmuckerowi, Jonowi A. Melby'emu, Timowi Elliottowi i Michaelowi Wyattowi.

O Autorze

Brian McClellan jest autorem bestsellerowej serii fantasy o Magach Prochowych, w skład której wchodzi sześć książek, wydanych w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii przez wydawnictwo Orbit Books. Seria ukazała się w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy i przetłumaczono ją na kilkanaście języków.

COPYRIGHT © 2022 BY BRIAN McCLELLAN
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-981-5

TYTUŁ ORYGINAŁU: In The Shadow of Lightning

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski, Robert Łakuta

TŁUMACZENIE

Edyta Ładuch

ILUSTRACJA ORAZ PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

MAPA

Ben McSweeney

REDAKCJA

Mirosław Ruszkiewicz

KOREKTA

Magdalena Lisiecka

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe

Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

– Zdarza ci się od czasu do czasu słyszeć jakieś plotki o Stowarzyszeniu Fulgurtów? No wiesz, takie wieści jak ze szmatławca, sensacje i tym podobne?

– Jasne – prychnęła Kizzie. – Takie totalne bzdury, że niby jakiś członek stowarzyszenia zabija kochankę na terenie klubu albo eksperymentuje z wysokorezonansowym szkłem otępiającym i później lata nago po ulicy. Wszystkie naprawdę dobre ploteczki okazują się wysrane z palca.

– Może tak, a może nie.

– Co masz na myśli?

Co takiego robią członkowie Szklanego Ostrza, o czym jeszcze nie słyszałam?

– Takie tam standardowe głupotki – odrzekł niechętnie Gorian. – Pakty z demonami, mieszanie szkła strachu ze szkłem dyscypliny, zjadanie ludzi, składanie ofiar z żyjących istot.

fragment



TOM I

TRYLOGII MAGÓW SZKŁA

SZALEŃSTWO OD GENIUSZU DZIELI TYLKO SKALA SUKCESU.

Magiczne szkło mogące zabić lub uleczyć.
Młody mag-dowódca z głową pełną
ideałów. Splądrowane miasto,
morderstwo w biały dzień.

Adeptka magicznego rzemiosła,
genialny wynalazek, który mógłby odmienić
setki żyć i oblicze świata. Niespodziewana
wojna. Śmiertelnie niebezpieczne śledztwo
w gąszczu wielkiej polityki. Spiski,
podstępny, knowania.

Oto historia, której liczne wątki splatają
się niczym ledwie widoczna pajęczyna
a każdy uśmiechnięty przyjaciel może
okazać się jadowitym pajakiem.

*Wspaniała konstrukcja świata i prawdziwie
epicka narracja składają się na najlepsze
jak dotąd dzieło Briana. Serdecznie
polecam każdemu, kto szuka swojej
nowej ulubionej serii fantasy.*

**BRANDON
SANDERSON**

